

STEVE BERRY

# CZTERNASTA KOLONIA

„PORYWAJĄCA POWIEŚĆ. STEVE BERRY STWORZYŁ EKSCYTUJĄCĄ HISTORIĘ  
I PO RAZ KOLEJNY UDOWODNIŁ, ŻE JEST BEZKONKURENCYJNY”

*Associated Press*



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

STEVE BERRY

# CZTERNASTA KOLONIA

Z języka angielskiego przełożył  
Adam Olesiejuk



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:  
14th COLONY

Copyright © 2016 by Magellan Billet, Inc. All rights reserved.  
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz  
Redakcja: Paweł Sajewicz

Korekta: Małgorzata Hordyńska, Aneta Iwan, Anna Just

ISBN: 978-83-8110-027-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadrage.pl](mailto:info@soniadrage.pl)  
[www.soniadrage.pl](http://www.soniadrage.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Podziękowania

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Od autora](#)

[Przypisy](#)

*Dla moich Kaczek,  
Larry'ego i Sue Begynów, Brada i Kathleen Charonów,  
Glenna i Kris Coxów, Johna i Esther Garverów,  
Petera Hedlunda i Leah Barny, Jamiego i Colleen Kellych,  
Marianny McLoughlin, Terry'ego i Lea Morse'ów,  
Joego Perko, Alexa i Diane Sherwoodów, Fritza i Debi Stroblów,  
Warrena i Taisley Westonów*

# PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję Johnowi Sargentowi, szefowi Macmillana, Sally Richardson, która dowodzi St. Martin's, oraz mojemu wydawcy Andrew Martinowi. Wielkie wyrazy wdzięczności kieruję także do Hectora DeJeana z działu reklamy; Jeffa Dodesa i całej ekipy z działu marketingu i sprzedaży, ze szczególnym uwzględnieniem Paula Hochmana; Jen Enderlin, która o wydaniach w miękkiej oprawie wie wszystko; Davida Rotsteina, który stworzył okładkę; Stevena Seighmana, odpowiedzialnego za wewnętrzną kompozycję książki; oraz Mary Beth Roche i jej ludzi z działu audio.

Jak zawsze chylę czoła przed Simonem Lipskarem, który po raz kolejny wykonał świetną robotę.

Dziękuję też mojej redaktorce, Kelley Ragland.

Na wyróżnienie zasługuje jeszcze kilka osób: Meryl Moss i jej niesamowity zespół od promocji (zwłaszcza Deb Zip i JeriAnn Geller); Jessica Johns i Esther Garver, dzięki którym Steve Berry Enterprises działa bez zarzutu; pułkownik Barry King za pomoc w kwestiach związanych z maszyną wojskową; Hayden Bryan z episkopalnego kościoła Świętego Jana za otwarcie przede mną drzwi i bycie moim przewodnikiem; oraz Doug Scofield za zapoznanie mnie ze szkolnym matem.

Nie mógłbym zapomnieć o mojej żonie, Elizabeth, która jest po prostu wspaniała.

W 2013 roku Elizabeth i ja zorganizowaliśmy dla fanów rejs po Dunaju. Nie wiedzieliśmy, czego się po tym spodziewać, w końcu postanowiliśmy na osiem dni zamknąć się na małej łodzi z grupą zupełnie obcych ludzi. Każdy byłby trochę nerwowy. Ale okazało się to cudownym doświadczeniem i wróciliśmy z tej wycieczki bogatsi o dwudziestu nowych przyjaciół. W trakcie rejsu robiliśmy sobie przystanki, żeby zwiedzić to i owo, i zawsze wtedy podążaliśmy całą grupą za Elizabeth, która niosła przed sobą pomarańczowe wiosło. Po jakimś czasie zaczęliśmy na nią mówić Mama Kaczka, a sami, w naturalny sposób, staliśmy się jej Kaczatkami. Od tamtej pory udało nam się odwiedzić niemal wszystkich z tej dwudziestki, niektórych więcej niż raz. Kilka postaci w tej książce nosi nawet ich nazwiska. Tych zaś, których tym razem pominąłem, zapewniam: nie martwcie się, wasz czas nadejdzie.

Tę powieść dedykuję więc wszystkim Kaczkom.

Do których Elizabeth i ja z dumą się zaliczamy.



*Kadencje prezydenta i wiceprezydenta upływają w południe dnia 20 stycznia*

– DWUDZIESTA POPRAWKA  
DO KONSTYTUCJI STANÓW ZJEDNOCZONYCH

# PROLOG

WATYKAN

PONIEDZIAŁEK, 7 CZERWCA 1982

Ronald Reagan wiedział, że w to miejsce przywiodła go ręka Boga. Jak inaczej dałoby się to wytłumaczyć? Dwa lata temu walczył zaciekle w prawyborach, po raz trzeci starając się uzyskać prezydencką nominację Partii Republikańskiej. Wygrał tę bitwę, a potem zwyciężył w wyborach powszechnych, zdobywając aż czterdzieści cztery stany, dzięki czemu pokonał Jimmy'ego Cartera, urzędującego prezydenta z ramienia demokratów. Następnie, czternaście miesięcy temu, został postrzelony, ale jako pierwszy amerykański prezydent w historii zdołał przeżyć zamach na swoje życie. A teraz znalazł się tu, na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego, w prywatnym gabinecie papieża, gdzie za chwilę miał odbyć rozmowę z duchowym przywódcą niemal miliarda katolików.

Wszedł do pomieszczenia, które zachwycało go swoją prostotą. Grube zasłony w oknach były zaciągnięte, żeby nie wpuścić do środka letniego słońca. Prezydent wiedział, że każdej niedzieli papież staje w jednym z tych okien, by modlić się razem z tysiącami pielgrzymów zgromadzonych na placu Świętego Piotra. W skromnym wystroju pokoju najbardziej rzucało się w oczy zwyczajne drewniane biurko, bardziej przypominające stół, po którego obu stronach stały tapicerowane fotele z wysokimi oparciami. Na blacie były tylko złoty zegar, krucyfiks i skórzana podkładka. Pod spodem, na marmurowej posadzce, leżał orientalny dywan.

Jan Paweł II, ubrany w papieską biel, stał nieopodal biurka. W ciągu ostatnich kilku miesięcy on i prezydent napisali do siebie w sekrecie kilkanaście listów, które przekazywali za pośrednictwem specjalnego kuriera. Im obu sen z powiek spędzało widmo broni nuklearnej oraz ciężki los Europy Wschodniej. Siedem miesięcy wcześniej Sowieci wprowadzili w Polsce stan wojenny, kładąc kres wszelkim rozmowom o potencjalnych reformach. W odwecie USA zastosowały sankcje wymierzone zarówno w Związek Radziecki, jak i marionetkowy rząd Polski, które miały obowiązywać do czasu zniesienia stanu wojennego, uwolnienia wszystkich więźniów politycznych i wznowienia dialogu z opozycją. Aby jeszcze bardziej wkraść się w łaski Stolicy Apostolskiej, Reagan nakazał swojej specjalnej wysłanniczce dostarczyć papieżowi mnóstwo tajnych informacji wywiadowczych na temat Polski, chociaż podejrzewał, że większość tej wiedzy posiadano w Watykanie już wcześniej.

Ale dowiedział się dzięki temu jednego.

Ten sprytny kapłan, który od niedawna zajmował jedno z najbardziej wpływowych stanowisk na świecie, tak samo jak on uważał, że Związek Radziecki stoi w obliczu upadku.

Mężczyźni podali sobie ręce, wymienili wstępne uprzejmości i ustawili się do wspólnego zdjęcia. Jan Paweł II wskazał na biurko, po czym obaj zajęli przy nim miejsca pod czujnym okiem Matki Boskiej spoglądającej z obrazu na ścianie. Kiedy fotoreporterzy oraz wszyscy asystenci opuścili pomieszczenie, po raz pierwszy w historii papież i prezydent Stanów Zjednoczonych znaleźli się sam na sam. To Reagan poprosił o ten niezwykły przywilej, a Jan Paweł wyraził zgodę. W przygotowaniach do prywatnej rozmowy nie uczestniczył oficjalny personel żadnej ze stron. Tylko specjalna wysłanniczka prezydenta pracowała dyskretnie nad organizacją spotkania.

Tak więc obaj dobrze wiedzieli, dlaczego tu są.

– Wasza Świątobliwość, przejdę od razu do rzeczy. Chcę zerwać układ z Jałty.

Jan Paweł II pokiwał głową.

– Ja także. Były to bezprawne porozumienia. Popełniono wielki błąd. Zawsze uważałem, że ustalenia, które zapadły w Jałcie, powinny zostać cofnięte.

Pod tym względem jego wysłanniczka dobrze odczytała punkt widzenia papieża. Konferencja jałtańska odbyła się w lutym 1945 roku. Stalin, Roosevelt i Churchill spotkali się wtedy po raz ostatni, aby zdecydować, jak będzie wyglądała powojenna Europa i kto będzie sprawował w niej władzę. Nakreślono nowe granice, niektóre dość przypadkowo, inne świadomie, aby udobruchać Sowiec. W ramach tych ustępstw zdecydowano, że w strefie wpływów Związku Radzieckiego znajdzie się też Polska, gdzie Stalin zobowiązał się przeprowadzić wolne wybory. Oczywiście obietnica nigdy nie została spełniona i od tamtej pory władzę w tym kraju sprawowali komuniści.

– Jałta stworzyła sztuczne podziały – powiedział Jan Paweł II. – Ja i miliony moich rodaków nie mogliśmy znieść faktu, że nasza ojczyzna została sprzedana. Walczyliśmy i ginęliśmy na tej wojnie, ale dla nikogo nie miało to żadnego znaczenia. Przez czterdzieści lat dużo wycierpieliśmy, najpierw ze strony nazistów, a potem Sowiec.

– Wierzę też – podjął Reagan – że droga do zakończenia układu z Jałty wiedzie przez Solidarność.

To pęknięcie w żelaznej kurtynie pojawiło się dwa lata temu. Zaczęło się w Stoczni Gdańskiej, gdzie powstał pierwszy związek zawodowy niekontrolowany przez komunistów. Dziś Solidarność miała ponad dziewięć milionów członków, co stanowiło jedną trzecią całej krajowej siły roboczej. Na czele związku stanął niepokorny elektryk nazwiskiem Lech Wałęsa. Ruch stale rósł w siłę i zdobywał coraz większą popularność, i dlatego w grudniu poprzedniego roku polski rząd wprowadził stan wojenny, aby zdusić jego dalszy rozwój.

– Popełnili błąd, próbując zdławić Solidarność – powiedział prezydent. – Najpierw pozwalali jej istnieć przez szesnaście miesięcy, a potem, akurat kiedy zaczynała się naprawdę liczyć, wykonali zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zakazali jej dalszego działania. Tym razem rząd przecenił swoje siły.

– Wysyłałem sygnały do polskich władz – odparł papież – że trzeba rozpocząć rozmowy na temat przyszłości Solidarności i zniesienia stanu wojennego.

– Ale po co z nimi walczyć?

Prezydent obserwował reakcję rozmówcy na swoją sugestię. Jego specjalna wysłanniczka namawiała Reagana do poruszenia tego tematu, przekonana, że w Watykanie spotka się to ze zrozumieniem.

Na twarzy papieża zagościł uśmiech.

– Rozumiem. Zostawmy ich w spokoju. Przecież tylko jeszcze bardziej zrażają do siebie naród. Po co im w tym przeszkadzać?

Reagan pokiwał głową.

– Działania rządu przeciwko Solidarności są jak nowotwór. Niech rośnie. Każde wrogie słowo, które pada z ust władzy, tylko dodaje sił całemu ruchowi. Solidarność potrzebuje jedynie pieniędzy, żeby utrzymać się przy życiu, a Stany Zjednoczone są gotowe jej w tym pomóc.

Papież pokiwał głową, rozważając w skupieniu jego słowa. To więcej, niż prezydent uzyskał od własnych ludzi. Departament Stanu nie zgadzał się z tą taktyką, utrzymując, że reżim sprawujący władzę w Polsce jest stabilny, silny i cieszy się poparciem społeczeństwa. W podobny sposób oceniali sytuację w Związku Radzieckim.

Ale jego ludzie się mylili.

– Każdego dnia rośnie wewnętrzne napięcie w kraju, a Sowieci nie mają pojęcia, jak się z tym uporać. Komunizm nie ma narzędzi do radzenia sobie z niezadowolonym społeczeństwem poza uciekaniem się do przemocy i terroru. Moskwa uznaje jedynie taką moralność, która służy jej własnym celom. Komuniści rezerwują sobie prawo do popełniania każdej zbrodni. Kłamią, oszukują, robią, co chcą. Żaden system polityczny oparty na takich zasadach nie przetrwał długo. Upadek jest nieunikniony. – Prezydent przerwał

na chwilę, po czym dodał: – Ale możemy go przyspieszyć.

– To drzewo jest nadgniłe – przyznał papież. – Wystarczy dobrze potrząsnąć i zepsute jabłka zaczną same spadać. Komunizm jest złem. Odbiera ludziom wolność.

To kolejna opinia, którą Reagan miał nadzieję tu dziś usłyszeć; jego wysłanniczka się nie pomyliła. Jeszcze nigdy papież i prezydent nie spiskowali razem w taki sposób i żaden z nich nigdy nie będzie mógł się do tego przyznać. Kościół otwarcie zabraniał swoim przedstawicielom angażowania się w politykę. Całkiem niedawno świat przekonał się o tym, kiedy Jan Paweł II publicznie skarcił księdza, który zignorował papieski nakaz rezygnacji ze stanowiska państwowego. Nie oznaczało to jednak, że Kościół pozostawał ślepy na przypadki tyranii i niesprawiedliwości, zwłaszcza gdy zdarzały się tak blisko. To kolejny dowód na to, że wszystko działo się wedle boskiego planu. W tym konkretnym momencie w dziejach ludzkości epicentrum burzy znalazło się nad Polską. Po raz pierwszy od czterystu pięćdziesięciu lat nie Włoch, tylko właśnie Polak zasiadał na tronie Piotrowym. A niemal dziewięćdziesiąt procent Polaków stanowili katolicy.

Nie dałoby się napisać lepszego scenariusza.

Związek Radziecki znalazł się na skraju rewolucyjnych zmian. Prezydent czuł to całym sobą.

Naród rosyjski nie jest uodporniony na przewroty społeczne, a Polska stała się dziś kołem zamachowym, zdolnym wprawić w ruch cały mechanizm. Wystarczy, że padnie jeden kraj, a wszystkie pozostałe pójdą w jego ślady, jak kostki domina: Czechosłowacja, Bułgaria, Węgry, Rumunia i inne państwa satelickie Związku Radzieckiego. Cały blok wschodni. Każdy kraj, jeden po drugim, runie w tę przepaść.

Dlaczego więc im w tym nie dopomóc?

– Jeśli mogę... – odezwał się znowu prezydent. – Ktoś zapytał mnie kiedyś: po czym rozpoznać komunistę? Odpowiedź jest prosta. To ktoś, kto czyta Marksa i Lenina. A po czym rozpoznać antykomunistę? – Zawiesił na chwilę głos. – To ktoś, kto rozumie Marksa i Lenina.

Papież skwitował to uśmiechem. Ale była to prawda.

– Zgodziłem się na tę prywatną rozmowę – powiedział papież – ponieważ chciałem, żebyśmy mogli być ze sobą szczerzy. Uznałem, że przyszedł już na to czas. Dlatego muszę spytać: co z pociskami, które zamierza pan rozmieścić w Europie? W tej chwili kieruje pan bezprecedensowym procesem remilitaryzacji Ameryki, wydając na ten cel miliardy dolarów. To budzi mój niepokój.

Jego wysłanniczka ostrzegła go przed tym, więc prezydent miał gotową odpowiedź.

– Na świecie nie ma nikogo, kto bardziej ode mnie nienawidzi wojny i broni nuklearnej. Musimy uwolnić naszą planetę od obu tych plag. Moim celem jest pokój i powszechne rozbrojenie. Ale żeby to osiągnąć, muszę korzystać z tego, nad czym sprawuję bezpośrednią kontrolę. Tak, dozbrajamy się, robię to jednak nie tylko po to, by wzmocnić Amerykę, ale także by doprowadzić do bankructwa ZSRR.

Jan Paweł II słuchał z uwagą.

– Wasza Świątobliwość ma rację. Wydajemy miliardy dolarów. Sowietom nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko starać się nam dorównać. Będą musieli wydać tyle samo albo więcej. Różnica polega na tym, że nas na to stać, a ich nie. Kiedy Stany Zjednoczone inwestują w projekty rządowe, te fundusze z powrotem zasilają naszą gospodarkę w postaci pensji pracowników i dochodów uzyskiwanych przez przedsiębiorstwa. Kiedy Sowietom wydają pieniądze, po prostu uszczuplają swój skarb państwa. Nie ma tam wolnego rynku. Pieniądze znikają bezpowrotnie. Płace i dochody są odgórnie kontrolowane i regulowane, więc władze muszą nieustannie generować nowe środki, żeby pokryć wszystkie wydatki. My natomiast odzyskujemy pieniądze i ponownie wprowadzamy je do obiegu. Nie są w stanie dotrzymać nam kroku, rubel za dolara, rok po roku. To niemożliwe. Ich gospodarka imploduje.

Prezydent widział, że wzbudził zainteresowanie papieża.

– Komunizm nigdy nie zapewnił sobie społecznego poparcia, które by go legitymizowało. Władza opiera się w nim wyłącznie na przemoc i zastraszaniu. Czas pracuje przeciwko nim, a świat bardzo się zmienił. Komunizm to tylko współczesna wersja pańszczyzny, w moim odczuciu niemająca pod żadnym względem przewagi nad kapitalizmem. Czy Wasza Świątobliwość zdaje sobie sprawę, że w Związku Radzieckim mniej niż jedna rodzina na siedem posiada samochód? Jeśli ktoś chce kupić auto, musi czekać dziesięć lat. Jak taki system można uznać za stabilny?

– Ten reżim opiera się na chwiejnych podstawach – przyznał papież z uśmiechem. – Zawsze tak było, od samego początku.

– Chcę dać jasno do zrozumienia, że nie dążę do wojny. Narodowi amerykańskiemu nie zależy na podbojach. Chcemy trwałego pokoju.

Prezydent mówił szczerze. W wewnętrznej kieszeni marynarki nosił plastikową kartę z kodami potrzebnymi do uruchomienia amerykańskiego arsenału nuklearnego. Za drzwiami siedział jego wojskowy asystent, trzymający w rękach czarną skórzaną torbę, która zawierała wszystko, co niezbędne do zarządzenia ataku. Stany Zjednoczone posiadały w sumie 23 464 głowice jądrowe. Związek Radziecki zgromadził ich 32 049. Reagan nazywał je narzędziami zagłady. Wystarczyłaby zaledwie garstka, aby zniszczyć całą ludzką cywilizację.

Postawił sobie za cel dopilnować, by nigdy nie zostały użyte.

– Wierzę panu – powiedział papież. – Pańska wysłanniczka w przekonujący sposób przedstawiła pańskie stanowisko w tej sprawie. To bystra kobieta. Znalazł pan odpowiednią osobę do tej roli.

To wcale nie on ją znalazł. Wybrał ją Al Haig spośród swoich attaché w Departamencie Stanu. Jan Paweł II miał jednak co do niej rację. Była młoda, inteligentna i obdarzona wyjątkową intuicją. Reagan bardzo cenił sobie jej zdanie we wszystkich kwestiach związanych z Watykanem.

– Skoro już rozmawiamy otwarcie – odparł – pozwolę sobie zauważyć, że Wasza Świątobliwość także potrafi posługiwać się iluzją. Tamten ksiądz zbesztany na pasie startowym w Nikaragui – to była piękna demonstracja gniewu. Otrzymał nakaz rezygnacji ze stanowiska rządowego, ale przeciwstawił się. I nadal się przeciwstawia. Podejrzewam, że ten człowiek jest teraz dla Watykanu cennym źródłem informacji na temat poczynań sandinistów. I któż mógłby go o cokolwiek podejrzewać po takiej publicznej reprimendzie?

Jan Paweł II nic na to nie odpowiedział, ale Reagan widział, że wyciągnął słuszne wnioski. Sandiniści nie byli niczym więcej jak tylko marionetkami Sowietów. Jego ludzie już od jakiegoś czasu pracowali nad tym, aby uwolnić od nich Amerykę Środkową, i najwyraźniej ten sam cel przyświecał Watykanowi.

– Musimy prowadzić dalekowzroczną politykę – stwierdził papież. – Taką, która obejmuje cały świat i dąży do sprawiedliwości, wolności, miłości i prawdy. Pokój zawsze powinien być naszym priorytetem.

– Bez wątplenia. Mam pewną teorię. – To była odpowiednia chwila, żeby podzielić się swoimi przemyśleniami. – Z mojego punktu widzenia Związek Radziecki to zasadniczo państwo chrześcijańskie. Rosjanie byli chrześcijanami na długo przed tym, zanim stali się komunistami. Jeśli utrzymamy obecny kurs, myślę, że uda nam się przechylić szalę i ludzie w ZSRR powrócą do swojej odwiecznej wiary, która przyćmi nauki komunizmu.

Zastanawiał się, czy jego rozmówca uważa, że tylko stara się mu przypodobać. Przed przyjazdem otrzymał szczegółową sylwetkę papieża, sporządzoną na podstawie informacji przekazywanych przez swoją wysłanniczkę. Jan Paweł II cenił porządek i bezpieczeństwo, wolał zajmować się konkretnymi niż roztrząsać to, co niewiadome. Był myślicielem, który kieruje się rozumem i zdrowym rozsądkiem. Dwuznaczność, impulsywność i wszelkie przejawy ekstremizmu budziły w nim wstręt. Zanim podjął jakąś decyzję, zawsze starał się wszystko gruntownie przemyśleć. Ale nade wszystko nie znosił ludzi, którzy mówili mu to, co ich zdaniem chciał usłyszeć.

– Naprawdę pan w to wierzy? – zapytał papież. – W głębi serca? W swojej głowie i w swojej duszy?

– Muszę przyznać, Wasza Świątobliwość, że nie jestem człowiekiem, który regularnie chodzi do kościoła. Nie uważam się nawet za kogoś otwarcie religijnego. Ale jestem osobą głęboko uduchowioną. Wierzę w Boga. I czerpię siłę z mojej wiary.

Prezydent mówił całkowicie szczerze.

– Mamy ze sobą dużo wspólnego – dodał.

Jan Paweł II niewątpliwie też zdawał sobie z tego sprawę. W zeszłym roku, w odstępie zaledwie dwóch miesięcy, obaj zostali postrzeleni przez zamachowców. Wszystkie kule, wystrzelone z bliskiej odległości, o włos minęły tętnice, co oznaczałoby pewną śmierć. Reagan dostał w płuco, natomiast pociski przeznaczone dla Jana Pawła II przeszły na wylot, jakimś cudem omijając najważniejsze narządy.

– Bóg ocalił nas obu – powiedział prezydent – abyśmy mogli zrobić to, co planujemy. Jak inaczej to wytłumaczyć?

Od dawna uważał, że każdy człowiek ma do spełnienia zadanie w ramach boskiego planu dla świata, pozostającego poza ludzką kontrolą. Wiedział, że jego rozmówca również wierzy w moc symbolicznych aktów i w rolę opatrności.

– Zgadzam się z panem, panie prezydencie – odpowiedział niemal szeptem papież. – Musimy to zrobić. Razem.

– W moim przypadku zamachowiec był po prostu obłąkany. Ale Wasza Świątobliwość ma, jak sędzę, dług wobec Sowietów.

CIA odkryło powiązania pomiędzy niedoszłym zabójcą Jana Pawła II a Bułgarią, a pośrednio także Moskwą. Biały Dom przekazał tę informację Watykanowi. Co prawda brakowało niepodważalnych dowodów, ale w zamachu chodziło o zniszczenie Solidarności poprzez wyeliminowanie jej duchowego i moralnego przewodnika. Oczywiście Sowietom nigdy nie pozwoliliby sobie na to, żeby bezpośrednio uczestniczyć w spisku mającym na celu zamordowanie przywódcy miliardowej wspólnoty katolików.

Ale na pewno brali w tym udział.

– „Jeżeli to jest możliwe, o ile to od was zależy, żyjcie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi”<sup>1</sup> – odparł Jan Paweł II. – Zemsta byłaby odrobinę niechrześcijańska, czyż nie?

Prezydent postanowił również podeprzeć się Biblią i listem do Rzymian.

– „Nie wymierzajcie sami sobie sprawiedliwości, lecz pozostawcie to pomście Bożej”.

– „Jeżeli nieprzyjaciel twój cierpi głód – nakarm go. Jeżeli pragnie – napój go. Tak bowiem czyniąc, węgle żarzące zgromadzisz na jego głowę”.

Tak właśnie robią.

Papież był świadkiem zbrodni nazistowskich. Jeszcze jako zwykły ksiądz Karol Wojtyła przeżył ten niewyobrażalny koszmar, jaki dotknął Polski. Współpracował z tamtejszym ruchem oporu. Po wojnie robił, co mógł, żeby przeszkadzać Sowietom, którzy ściągnęli na polski naród dalsze cierpienia. Wedle wszelkich relacji Jan Paweł II był postacią heroiczną, człowiekiem niezwykłym, równie odważnym, co wykształconym.

Ludzie czerpali od niego siłę.

A teraz znalazł się we właściwym miejscu i czasie. I z odpowiednim nastawieniem.

– W chwili, gdy postrzelono mnie na placu Świętego Piotra – odezwał się papież – miałem nieodparte przecucie, że zostanę ocalony, i ta pewność nie opuściła mnie ani na chwilę. Maria Panna zainterweniowała osobiście tamtego dnia i sprawiła, że przeżyłem. Wierzę w to całym sercem. I niech Bóg mi wybaczy, ale rzeczywiście mam dług wobec Sowietów. Nie tylko za to, co chcieli zrobić mnie, ale też za krzywdę, jaką wyrządzają milionom ludzi na całym świecie od tak dawna. Wybaczyłem mojemu niedoszłemu zabójcy. Odwiedziłem go w jego celi, klęknąłem i modliłem się wraz z nim, a on

we łzach żałował za grzechy. Nadszedł czas, aby także ci, którzy go wysłali, zrozumieli swój grzech.

Prezydent widział w oczach rozmówcy determinację i gotowość do walki. On także był gotowy. Choć miał już siedemdziesiąt jeden lat, czuł się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Po nieudanym zamachu na jego życie wstąpiły w niego nowe siły, jakby naprawdę narodził się na nowo. Czytał to, co pisali publicyści. Oczekiwania w stosunku do jego prezydentury wydawały się dość niskie. W poprzednich dekadach sam ciężar tego stanowiska doprowadził do upadku wielu dobrych ludzi. Kennedy zginął. Johnson stracił władzę przez Wietnam. Nixon został zmuszony do rezygnacji. Ford przetrwał tylko dwa lata, a Cartera wyborcy odesłali do domu po jednej kadencji. Krytycy nazywali Ronalda Reagana lekkomyślnym kowbojem, podstarzałym aktorzyną, człowiekiem, który potrzebuje innych, żeby mówili mu, co ma robić.

Ale się mylili.

Był eksdemokratą, który dawno temu przeszedł na stronę republikanów, a to oznaczało, że tak naprawdę nie wpisywał się w żaden polityczny schemat. Wielu bało się go i nie ufało mu. Inni zwyczajnie nim gardzili. Ale był czterdziestym prezydentem Stanów Zjednoczonych i miał zamiar pozostać na tym stanowisku przez kolejnych siedem lat. Planował cały ten czas poświęcić na jeden cel.

Zniszczenie imperium zła.

Tym właśnie był dla niego Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Ale Reagan nie mógłby dokonać tego sam. Zresztą wcale nie musiał. Znalazł sojusznika, i to takiego, który miał dwa tysiące lat doświadczenia w walce z tyranią.

– Ze swojej strony będę nadal wywierał presję zarówno polityczną, jak i ekonomiczną – powiedział. – Wasza Świętobliwość dołoży do tego wsparcie duchowe. Przydałaby się kolejna wizyta w Polsce, ale jeszcze nie teraz. Może za jakiś rok.

Jan Paweł II odwiedził już raz swoją ojczyznę w 1979 roku. Na mszy świętej odprawionej na placu Zwycięstwa w Warszawie stawiły się trzy miliony ludzi. Reagan oglądał ten niezwykły spektakl w telewizji jeszcze jako kandydat na prezydenta. Widział, jak człowiek ubrany w biel wysiadł z papieskiego samolotu i ucałował ziemię. Pamiętał dokładnie, co papież kilkakrotnie powiedział swoim rodakom.

*Nie lękajcie się.*

I właśnie wtedy zrozumiał, ile może osiągnąć religijny przywódca kościoła liczącego miliard wiernych, szczególnie taki, który włada sercami i umysłami milionów Polaków. Był jednym z nich. Będą słuchać, co ma do powiedzenia. Ale papież nie może mówić otwartym tekstem. Komunikat płynący z Rzymu zawsze musi dotyczyć prawdy, miłości i pokoju. Bóg istnieje i każdy z nas ma niezbywalne prawo oddawać mu cześć. Moskwa z początku będzie próbowała to ignorować, ale w końcu odpowie groźbami i przemocą, a jaskrawy kontrast pomiędzy tymi dwiema postawami okaże się niezwykle wymowny. A w tym samym czasie Ameryka będzie wspierać ruchy reformatorskie w państwach bloku wschodniego, finansować budowanie w nich gospodarki wolnorynkowej oraz izolować Związek Radziecki zarówno pod względem ekonomicznym, jak i technologicznym, wolno, ale nieubłaganie doprowadzając Sowietów do bankructwa. Będzie wykorzystywać uczucia strachu i paranoi, które komuniści uwielbiają podsycać u innych, ale z którymi nie potrafią sobie radzić na własnym podwórku.

Doskonała wojna toczona na dwa fronty.

Spojrzał na zegar. Rozmawiali około piętnastu minut.

Każdy z nich dokładnie rozumiał, jakie stoi przed nimi zadanie i jaką obaj mają rolę do odegrania. Czas na ostatni krok. Prezydent wstał i wyciągnął rękę ponad blatem biurka.

Papież także podniósł się z fotela.

– Oby nam obu udało się wypełnić nasz obowiązek wobec ludzkości – powiedział prezydent.

Papież pokiwał głową i uścisnęli sobie ręce.

– Razem – dodał Reagan – pokonamy Związek Radziecki.



DZISIAJ

# ROZDZIAŁ 1

BAJKAŁ, SYBERIA  
PIĄTEK, 18 STYCZNIA  
GODZ. 15:00

Cotton Malone wiedział z własnego doświadczenia, że takie odludne miejsca z reguły oznaczają kłopoty.

Dzisiaj to się potwierdziło kolejny raz.

Wykonał samolotem nawrót o sto osiemdziesiąt stopni, żeby jeszcze raz rozejrzeć się przed lądowaniem. Od zachodu widział mosiężną kulę słońca wiszącą nisko nad horyzontem. Bajkał pokrywała warstwa lodu, tak gruba, że można było po nim jeździć samochodem. Cotton już wcześniej zauważył ciężarówki, autobusy i auta osobowe mknące we wszystkich kierunkach po mlecznobiałych liniach, wyznaczające kołami tymczasowe pasy ruchu. Inne pojazdy stały zaparkowane wokół wybitych w lodzie przerębli. Pamiętał z historii, że na początku XX wieku na zamrożonej tafli położono tory kolejowe, żeby usprawnić przesył zaopatrzenia na wschód podczas wojny rosyjsko-japońskiej.

Fakty dotyczące Bajkału ledwo mieściły się w głowie. To najstarsze jezioro na świecie, uformowane trzydzieści milionów lat temu w wielkiej dolinie ryftowej, zawiera jedną piątą zasobów słodkiej wody znajdujących się na Ziemi. Zasila je ponad trzysta rzek, a wypływa z niego tylko jedna. Bajkał ma niemal 640 kilometrów długości, a jego szerokość dochodzi do 80 kilometrów. Maksymalna głębokość jeziora wynosi ponad 1600 metrów. Linia brzegowa mierzy około 2000 kilometrów, a powierzchnia upstrzona jest trzydziestoma wyspami. Ten gigantyczny zbiornik wodny w kształcie półksiężyca znajduje się ponad 3000 kilometrów na zachód od wybrzeża Pacyfiku i ponad 5000 kilometrów na wschód od Moskwy, stanowiąc część ogromnego pustkowia niedaleko granicy z Mongolią. Bajkał figuruje na liście światowego dziedzictwa UNESCO, a to – Cotton wiedział aż nazbyt dobrze – też zazwyczaj zwiastuje kłopoty.

Zima trzymała w swoich szponach zarówno wodę, jak i otaczający ją ląd. Temperatura oscylowała wokół zera, wszędzie leżał śnieg, ale na szczęście chwilowo nie spadał z nieba. Cotton zszedł na pułap 200 metrów i wyrównał lot. Na nogach czuł ciepłe powietrze buchające z grzejnika w kabinie. Samolot należał do rosyjskich sił powietrznych, czekał na niego na małym lotnisku pod Irkuckiem. Skąd ta nagła współpraca pomiędzy Amerykanami i Rosjanami? Tego nie wiedział, ale Stephanie Nelle powiedziała mu, żeby korzystał, póki może. Normalnie do wjazdu na teren Rosji potrzebna była wiza i Cotton w czasach służby w jednostce Magellan Billet wielokrotnie używał fałszywek. Również celnicy często stwarzali problemy. Tym razem jednak obyło się bez tej całej biurokracji i żadni urzędnicy nie utrudniali mu przyjazdu. Bez problemu przyleciał do kraju na pokładzie rosyjskiego myśliwca HAL FGFA, nowego modelu z dwoma siedzeniami, i wylądował w bazie lotniczej na północ od Irkucka, gdzie na płycie stało w rządzie dwadzieścia bombowców średniego zasięgu Tu-22M. Po drodze korzystali z powietrznego tankowca Il-78 w celu uzupełnienia paliwa. Na lotnisku Cotton przesiadł się do śmigłowca, który zabrał go na południe, gdzie czekał już obiecany samolot.

Przygotowany dla niego jednosilnikowy dwupłatowiec An-2 miał zamknięty kokpit i tylną kabinę pasażerską mogącą pomieścić dwanaście osób. Czterołopatowe śmigło przegryzało się przez odporne, zimne powietrze, wprawiając cienki aluminiowy kadłub w nieustanne drżenie. Cotton nie znał zbyt dobrze tej niezawodnej sowieckiej maszyny, pamiętającej niemalże czasy drugiej wojny światowej, która leciała wolno i pewnie, nie pozwalając pilotowi na żadne specjalne wyczyny. Ten akurat model był

dotatkowo wyposażony w płozy, dzięki czemu mógł wystartować z zaśnieżonego pola.

Cotton zakończył manewr skrętu i ustawił kurs na północny wschód, przelatując nad gęsto zalesionym terenem. Z mijanych w dole ostrych grani sterczały nierówne rzędy ogromnych głazów przypominających zęby jakiegoś gigantycznego zwierzęcia. Słupy wysokiego napięcia, niczym długie palce szeroko otwartej dłoni, połyskiwały w świetle słońca na jednym z odległych stoków. Po drugiej stronie jeziora rozciągała się kraina o różnorodnej rzeźbie terenu: od pustych równin, tylko gdzieniegdzie nakrapianych skupiskami małych drewnianych domków, przez lasy pełne brzoź, jodeł i modrzewi po ośnieżone szczyty gór. Cotton dojrzał nawet stare baterie artyleryjskie rozlokowane wzdłuż jednego ze skalistych grzbietów. Jego misja polegała na dokładnym sprawdzeniu kilku budynków znajdujących się tuż nad wschodnim brzegiem jeziora, na północ od miejsca, gdzie kończyła swój bieg płynąca z Mongolii Selenga. Zapiaszczone ujście rzeki tworzyło imponującą deltę: skute lodem odnogi, ośnieżone wysepki i porastające zamrożone rozlewisko szuwary stapały się w jeden statyczny obraz o nieregularnym kształcie.

– Co widzisz przed sobą? – w słuchawkach rozległ się głos Stephanie Nelle.

System komunikacyjny samolotu był podłączony do telefonu komórkowego Cottona, dzięki czemu jego była szefowa mogła go monitorować z Waszyngtonu.

– Głównie lód. To niesamowite, że coś tak dużego jest w stanie zamarznąć na kamień.

Patrząc z góry, można było odnieść wrażenie, że w lodzie są zatopione ciemnoniebieskie opary. Nad taflą wirowała delikatna mgiełka śniegu, skrzącego się w słońcu jak diamentowy pył. Cotton podszedł bliżej i przyjrzał się stojącym w dole budynkom. Wcześniej zapoznał się ze zdjęciami satelitarnymi tego obszaru. Teraz oglądał go z lotu ptaka.

– Główny budynek znajduje się poza obrębem wioski, jakieś czterysta metrów na północ – zakomunikował.

– Jest jakiś ruch?

W skupisku domów z drewnianych bali panował spokój, jedyne ślady życia stanowiły kłęby dymu unoszące się z kominów. Wioska wydawała się pozbawiona punktu centralnego, przechodziła przez nią pojedyncza, czarna droga obrysowana śniegiem. Nad resztą zabudowań dominował kościół ze ścianami z żółtych i różowych desek i dwoma cebulastymi kopułami. Domy stały bardzo blisko jeziora, od którego oddzielała je jedynie kamienista plaża. Cotton został zawczasu poinformowany, że mniej zaludniony i rzadziej odwiedzany jest wschodni brzeg, gdzie żyło około 80 tysięcy ludzi skupionych w pięćdziesięciu osadach. Południowy kraniec jeziora stał się atrakcją turystyczną, popularną zwłaszcza latem, ale reszta linii brzegowej, ciągnąca się przez setki kilometrów, pozostawała bardzo odizolowana.

I właśnie dzięki temu mogło istnieć takie miejsce jak to poniżej.

Mieszkańcy nazwali swoją wioskę Czajanije, czyli „Nadzieja”. Jedyne, czego pragnęli, to żeby zostawiono ich w spokoju i przez ponad dwadzieścia lat rząd rosyjski szedł im na rękę. Byli to członkowie Czerwonej Gwardii, którzy stworzyli tu ostatni bastion zatwardziałych komunistów w nowej Rosji.

Cotton wiedział, że najważniejszy dom w wiosce to stara dacha. Każdy szanujący się sowiecki przywódca od czasów Lenina miał swoją wiejską rezydencję i ci, którzy zarządzali wschodnimi prowincjami, nie byli wyjątkiem. Widoczny w dole budynek stał na olbrzymiej skale sterczącej nad zamrożoną taflą jeziora, na końcu krętej czarnej drogi wijącej się wśród oprószonych śniegiem sosen. Nie była to żadna drewniana chatka, tylko piętrowy budynek z cegieł i betonu, ze ścianami koloru ochry i dachem pokrytym płytkami łupkowymi. Po jednej stronie stały dwa samochody. Z komina domu oraz jednego z kilku drewnianych budynków gospodarczych wydobywał się gęsty dym.

Nie było widać ani żywej duszy.

Cotton odbił na zachód, żeby okrążyć jezioro i zrobić jeszcze jedno podejście. Uwielbiał latać i miał

do tego prawdziwy talent – umiał świetnie panować nad maszyną. Już niedługo wykorzysta płozy samolotu i wylądował na lodzie kilka kilometrów na południe stąd, pod miasteczkiem o nazwie Babuszkin. Następnie uda się taksówką na nabrzeże przeładunkowe – które, jak go zapewniano, o tej porze roku nie obsługuje żadnych statków. Tam powinien czekać na niego jakiś samochód, żeby mógł z powrotem pojechać na północ i przyrzeć się temu miejscu z bliska.

Jeszcze raz przeleciał nad daczą i całym Czajaniem, po czym skierował samolot w stronę Babuszkinu. Słyszał o wielkim syberyjskim marszu lodowym podczas rosyjskiej wojny domowej, kiedy trzydzieści tysięcy żołnierzy wycofywało się przez zamarznięty Bajkał. Większość zmarła po drodze, a ich ciała tkwiły w lodzie aż do wiosny, kiedy wreszcie zniknęły w głębinach. To miejsce było brutalne i bezwzględne. Jakiś pisarz powiedział o nim kiedyś: „Nieprzyjazne dla obcych, mściwe wobec nieprzygotowanych”.

Cotton był w stanie w to uwierzyć.

Nagle jego uwagę przyciągnął błysk wśród wysokich sosen i modrzewi, których zielone gałęzie ostro kontrastowały z białym podłożem. Coś wyleciało pomiędzy drzew i mknęło w jego stronę, ciągnąc za sobą ogon dymu.

Pocisk?

– Mam kłopoty – powiedział do mikrofonu. – Ktoś do mnie strzela.

Lata doświadczenia zrobiły swoje – Cotton zaczął działać automatycznie i instynktownie. Odbił ostro w prawo i zanurkował, wytracając wysokość. Jego An-2 poruszał się z równą gracją co osiemnastokółowa ciężarówka, dlatego musiał bardzo się przechylić, żeby zejść jeszcze niżej. Człowiek, który przekazał mu samolot, ostrzegał, że trzeba przez cały czas bardzo mocno trzymać stery, i miał absolutną rację. Wolant szarpał się w jego rękach jak byk. Wydawało się, że wszystkie nity mogą w każdej chwili puścić. Pocisk z hukiem przeszedł obok, ale zahaczył o oba lewe skrzydła. Cały kadłub się zatrząsł. Cotton wyrównał lot i oszacował zniszczenia. Powierzchnie nośne skrzydeł pokrywało tylko płótno i wiele zastrzałów było teraz uszkodzonych i odsłoniętych, a postrzępione krawędzie materiału trzepotały w strumieniu powietrza.

Musiał jak najszybciej ustabilizować maszynę.

Samolot bujał się na boki, podczas gdy Cotton ze wszystkich sił starał się zachować nad nim kontrolę. Leciał prosto w stronę silnego północnego wiatru z prędkością mniejszą niż dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ryzyko przeciągnięcia stawało się jak najbardziej realne.

– Co się dzieje? – zapytała Stephanie.

Wolant nadal próbował wyrwać mu się z rąk, ale Cotton trzymał mocno i stopniowo zaczął odzyskiwać wysokość. Silnik ryczał jak kawalkada motocykli, śmigło walczyło, by utrzymać maszynę w powietrzu.

Cotton usłyszał złowieszcze terkotanie, a po nim odgłos przypominający wystrzał.

Wiedział, co się dzieje. Śmigło było poddane zbyt wielkiemu obciążeniu i silnik zaczął stawiać opór. Kontrolki na desce rozdzielczej na chwilę zgasły, po czym ponownie się zapaliły.

– Dostałem pociskiem ziemia-powietrze – oznajmił swojej byłej szefowej. – Tracę panowanie i zaczynam spadać.

W tym momencie silnik zamarł.

Wszystkie instrumenty przestały działać.

Kokpit z przodu i po bokach otaczały okna, siedzenie drugiego pilota było puste. Cotton przeszukał wzrokiem krajobraz na dole, ale gdziekolwiek spojrzeć, błyszczał tylko niebieski lód Bajkału. Jego An-2 w okamgnieniu zmienił się z samolotu w trzy i pół tony złomu.

Przeszył go strach. W głowie huczała tylko jedna myśl.

Czy tak właśnie będzie wyglądała jego śmierć?

# ROZDZIAŁ 2

WASZYNGTON  
GODZ. 2:20

Stephanie Nelle wpatrywała się w milczący głośnik na biurku, stanowiący jej bezpośrednie połączenie z telefonem Cottona Malone'a.

– Jesteś tam? – zapytała jeszcze raz.

W odpowiedzi usłyszała tylko ciszę.

W uszach dzwoniły jej ostatnie słowa Cottona.

*Tracę panowanie i zaczynam spadać.*

Spojrzała ponad blatem biurka na Bruce'a Litchfielda, pełniącego obecnie obowiązki prokuratora generalnego, który jeszcze przez dwa dni miał być jej przełożonym.

– Cotton ma kłopoty. Ktoś zestrzelił jego samolot pociskiem ziemia-powietrze.

Znajdowali się w biurze w Departamencie Sprawiedliwości. Normalnie Stephanie siedziałaby teraz we własnym, bezpiecznym gabinecie w siedzibie jednostki Magellan Billet w Atlancie. Ale to nie było już możliwe, ponieważ z powodu zbliżającej się inauguracji nowego prezydenta kazano jej przenieść się na północ, do Waszyngtonu.

Dobrze wiedziała dlaczego.

Żeby Litchfield mógł ją mieć na oku.

W grudniu Harriett Engle, która służyła jako trzeci prokurator generalny w administracji prezydenta Danny'ego Danielsa, złożyła rezygnację. Druga kadencja Danielsa dobiegła końca i nie dość, że oznaczało to zmianę na stanowisku prezydenta, kontrolę zarówno nad Białym Domem, jak i połową Kongresu przejęła nowa partia. Daniels dokładał wszelkich starań, żeby doprowadzić do zwycięstwa wspieranego przez siebie kandydata, ale poniósł porażkę. Wyglądało na to, że jego magia działała tylko na niego samego. Litchfield był tutaj o tej nieludzkiej porze, ponieważ tymczasowo sprawował nadzór nad Departamentem Sprawiedliwości oraz tym, co zostało z jednostki Magellan Billet.

Dwa miesiące temu, dzień po Święcie Dziękczynienia, Stephanie otrzymała informację, że nie tylko przestanie być szefem Magellan Billet, ale także cała jednostka zostanie rozwiązana. Nowy prokurator generalny, który w przyszłym tygodniu miał być zatwierdzony przez Senat, już wcześniej oznajmił, że jego zdaniem Magellan Billet niepotrzebnie duplikuje funkcje wielu innych podlegających rządowi komórek wywiadu i kontrwywiadu. Ponieważ Departament Sprawiedliwości nie potrzebował już jej usług, jednostka miała zostać zlikwidowana, a jej agenci przydzieleni do innych instytucji.

– Niech Rosjanie się tym zajmą – powiedział Litchfield. – Prosilili nas o pomoc, ty im jej udzieliłaś, teraz to ich problem.

– Chyba nie mówisz poważnie. Nasz człowiek został zestrzelony. Nie zostawiamy swoich ludzi na łasce obcych służb.

– Teraz dużo się tu zmieni. I nie zapominaj, że to ty wysłałaś tam Malone'a bez mojej zgody.

– Prosił mnie o to prezydent Stanów Zjednoczonych.

Litchfield pozostawał niewzruszony.

– Ustaliliśmy, że wszystkie decyzje operacyjne mają być konsultowane ze mną. Ale w tym przypadku tak się nie stało. I oboje wiemy dlaczego. Ponieważ ja bym na to nie pozwolił.

– Nie potrzebowałam twojego upoważnienia.

– Owszem, potrzebowałaś. Dobrze wiesz, że na mocy tymczasowego porozumienia obecna ekipa ma o wszystkim powiadamiać nową administrację, a począwszy od zeszłego tygodnia, wszelkie decyzje mają być podejmowane wspólnie. Moim zadaniem jest dopilnować, aby przyszła władza była informowana na bieżąco. Jednak z jakiegoś powodu decyzja o wszczęciu tej operacji została podjęta całkowicie jednostronnie.

Litchfield był sędzią z osiemnastoletnim stażem. Przez ostatnich pięć lat służył jako zastępca prokuratora generalnego, mianowany przez Daniela i zatwierdzony przez Senat. Nowy prokurator generalny jeszcze nie zdecydował, kto spośród podlegających mu urzędników zostanie, a kto odejdzie. Stephanie wiedziała, że Litchfield walczy o wysokie stanowisko i dlatego gdy tylko mianowany przez nowego prezydenta prokurator generalny zgłosił zamiar rozwiązania jednostki Magellan Billet, Litchfield bez namysłu skorzystał z okazji, by pokazać, że może grać w barwach nowej drużyny. W innych okolicznościach nigdy nie pozwoliłaby na tak daleko posuniętą ingerencję biurokracji, ale teraz, w przeddzień inauguracji, wszystko stało się płynne. Zmieniała się ekipa rządząca krajem. Nie było mowy o jakiegokolwiek stabilizacji.

– Próbowalaś zachować to w tajemnicy – dodał Litchfield – ale ja i tak się dowiedziałem. I dlatego jestem tu teraz, w środku nocy. Nie obchodzi mnie, co o tym myśli Biały Dom, to koniec.

– Lepiej módl się, żeby Cotton się stamtąd nie wydostał – odparła Stephanie równie swobodnym tonem co on.

– Co to ma niby znaczyć?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Poinformuj Rosjan o tym, co się stało – powiedział Litchfield. – Niech oni się tym zajmą. Zresztą nigdy tak naprawdę nie wyjaśniłaś, dlaczego prezydent postanowił wysłać tam Malone’a.

To prawda, chociaż akurat Litchfield z pewnością umiałby zrozumieć, jaką wartość posiada oddana komuś przysługa. W Waszyngtonie traktowano to jak osobną walutę. Przysługa za przysługę, tak właśnie kręcił się ten cały biznes, zwłaszcza przed laty, w czasach, gdy Stephanie rozkręcała swoją jednostkę. Jej pierwsza dwunastka agentów to byli bez wyjątku prawnicy, wszyscy dodatkowo przeszkoleni w pracy wywiadowczej. Wśród oryginalnych członków zespołu znalazł się także Cotton, sprowadzony w tym celu z Wojskowego Biura Śledczego marynarki wojennej, absolwent Wydziału Prawa na Uniwersytecie Georgetown. Pracował dla niej przez dwanaście lat, po czym przeszedł na wcześniejszą emeryturę i przeprowadził się do Kopenhagi, gdzie założył antykwariat z książkami. W ciągu ostatnich kilku lat raz na jakiś czas dawał się wciągnąć z powrotem do jej świata, kiedy zatrudniała go do pomocy przy specjalnych zleceniach. Jednym z nich było dzisiejsze zadanie, prosty lot zwiadowczy.

Ale coś poszło nie tak.

– Rób, co mówię – powiedział Litchfield.

Niedoczekanie, pomyślała.

– Bruce, jeszcze przez dwa dni to ja stoję na czele tej agencji. I dopóki jestem jej szefem, będę nią kierować tak, jak uważam za stosowne. Jeśli ci się to nie podoba, zwolnij mnie. Ale wtedy będziesz musiał się tłumaczyć przed Białym Domem.

Wiedziała, że tej groźby nie będzie mógł zlekceważyć. Danny Daniels nadal piastował urząd prezydenta, a Magellan Billet już od dłuższego czasu było agencją, do której zwracał się w pierwszej kolejności, gdy zachodziła taka potrzeba. Litchfield to typowy karierowicz z Waszyngtonu. Miał tylko jeden cel: przetrwać i zachować stanowisko. I zupełnie się nie liczyło, w jaki sposób go osiągnie. W przeszłości Stephanie miała z nim styczność tylko kilka razy, ale słyszała, jak tu i ówdzie nazywano go oportunistą. Dlatego za nic w świecie nie pozwoliłby sobie na przepychankę z prezydentem Stanów Zjednoczonych, ponieważ, po pierwsze, byłby skazany na porażkę, a po drugie, ściągnąłby na siebie zbyt

dużo uwagi. Jeśli ten człowiek chciał być członkiem nowej administracji, musiał najpierw przetrwać odejście starej.

– Posłuchaj – odezwał się – nie odbieraj tego jako złośliwość, ale twój czas minął. Tak samo jak prezydenta. Nie możecie oboje po prostu się z tym pogodzić? Tak, jesteś szefową Magellan Billet. Ale nie masz już pod sobą żadnych agentów. Wszyscy odeszli. Zostałaś tylko ty. Jedyne, co musisz jeszcze zrobić, to posprzątać po sobie. Potem pojechać do domu. Wycofać się. Zacząć korzystać z życia.

Przeszło jej to przez myśl. Stephanie zaczynała karierę w Departamencie Stanu jeszcze za czasów Reagana, potem przeniosła się do Departamentu Sprawiedliwości, a w końcu przydzielono ją do Magellan Billet. Kierowała tą jednostką przez wiele lat, a teraz to wszystko się skończyło. Budżet agencji wynosił 10 milionów dolarów i Stephanie dowiedziała się od swoich źródeł, że te środki mają zostać przekierowane na różne projekty społeczne, kampanie PR-owe i inne cele mające poprawić wizerunek nowego prokuratora generalnego. Najwyraźniej uznano to za ważniejsze niż tajne operacje wywiadowcze. Departament Sprawiedliwości miał zostawić szpiegowanie CIA, NSA i wszystkim innym trzyliterowym agencjom.

– Powiedz mi, Bruce, jakie to uczucie być tym drugim? Nigdy kapitanem, tylko zawsze drugim oficerem?

Litchfield pokręcił głową.

– Naprawdę, bezczelna stara jędza z ciebie.

– Bezczelna? – powtórzyła Stephanie z uśmiechem. – Pewnie. Jędza? Możliwe. Ale nie jestem stara. Jestem natomiast szefem Magellan Billet i będę nim jeszcze przez dwa dni. Może i zostałam sama na placu boju, ale nadal to ja tu dowodzę. Tak więc albo mnie zwolnij, albo wynoś się stąd.

Nie żartowała. Zwłaszcza gdy mówiła, że nie jest stara. Do dziś w jej aktach osobowych nie widniała informacja na temat wieku. Rubryka „data urodzenia” pozostawała pusta.

Litchfield wstał.

– W porządku, Stephanie. Zrobimy, jak chcesz.

Nie mógł jej zwolnić i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Będzie jednak mógł to zrobić dwudziestego stycznia w południe. To dlatego Stephanie pozwoliła Cottonowi bezzwłocznie udać się do Rosji, nie czekając na niczyją zgodę. Nowy prokurator generalny się mylił. Departament Sprawiedliwości potrzebował jednostki Magellan Billet, której misja wykraczała poza zakres kompetencji innych agencji wywiadowczych. Z tego właśnie powodu jej siedziba główna mieściła się dziewięćset kilometrów stąd, w Atlancie, z dala od waszyngtońskiej polityki. Ta jedna decyzja, podjęta przed laty przez Stephanie, pozwoliła jednostce działać skutecznie i jednocześnie zachować niezależność. Była dumna z tego dziedzictwa.

Litchfield wyszedł z gabinetu. Co do jednego miał rację – Stephanie straciła wszystkich swoich agentów, a biuro w Atlancie zostało zamknięte.

Nie miała zamiaru przyjmować innego stanowiska w Departamencie Sprawiedliwości ani też dać się wyrzucić. Wolą sama odejść z pracy. Przyszedł czas, żeby skorzystać z wypracowanej emerytury i znaleźć sobie jakieś inne zajęcie. Nie ma mowy, żeby siedziała całymi dniami w domu.

Jej umysł pracował na podwyższonych obrotach, co w pewnym sensie pozwalało Stephanie zachować spokój. Cotton miał kłopoty i nie chciała liczyć na pomoc Rosjan. Od początku nie podobało jej się, że musi im zaufać, ale nie było innego wyjścia. Dokładnie wyjaśniła Cottonowi ryzyko, a on zapewnił ją, że będzie ostrożny. Teraz została już tylko jedna osoba, do której mogła się zwrócić.

Sięgnęła po swojego smartfona i zaczęła pisać SMS-a.



# ROZDZIAŁ 3

WIRGINIA  
GODZ. 2:40

Luke Daniels, jak każdy chłopak, który dorastał na wsi w Tennessee, lubił się bić. W szkole średniej często i chętnie wdawał się w bójkę, szczególnie o dziewczyny, a jeszcze większą przyjemność sprawiało mu to później, podczas sześciu lat służby w wojsku, w formacji rangersów. Przez ostatni rok miał do tego sporo okazji jako agent w jednostce Magellan Billet, lecz niestety te dni dobiegły końca. Po tym, jak dostał wymówienie, przeniesiono go do Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony. Nową pracę miał zacząć w następną poniedziałek, dzień po objęciu urzędu przez nowego prezydenta.

Do tego czasu, według oficjalnej wersji, przebywał na urlopie.

A mimo to, choć był środek nocy, śledził właśnie inny samochód.

Jego wujek, obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, osobiście zwrócił się do niego o pomoc. Z reguły nie zgadzali się w wielu kwestiach, ale ostatnio obaj zaczęli wkładać więcej wysiłku w poprawienie swoich relacji. Prawdę mówiąc, Luke cieszył się, że może pomóc. Kochał robotę w Magellan Billet i szczerze lubił Stephanie Nelle. Została naprawdę źle potraktowana przez bandę polityków, którym się wydawało, że pozjadali wszystkie rozumy. Wujek Danny właśnie został wysłany na zieloną trawkę i oznaczało to koniec jego kariery politycznej. A jednak było coś, co najwyraźniej dręczyło zarówno prezydenta, jak i Stephanie. Jakiś problem, który nie dawał im spokoju.

Jak zwykle nikt nie wyjaśnił mu dokładnie, po co ma śledzić ten samochód. Jego celem okazała się rosyjska obywatelka Anja Pietrowa, atrakcyjna blondynka o klasycznych rysach, owalnej twarzy i wydatnych kościach policzkowych. Miała długie, umięśnione nogi, jak tancerka. W jej wyważonych ruchach wyczuwało się dużą pewność siebie. Najbardziej lubiła nosić obcisłe levisy wetknięte w sięgające do kolan kozaki. Nie malowała się, przez co jej twarz nabierała swego rodzaju surowości; być może na taki właśnie efekt liczyła. Rosjanka wywarła na nim spore wrażenie i żałował, że nie spotkał jej w innych okolicznościach. Obserwowanie jej przez ostatnie dwa dni okazało się wcale przyjemnym zajęciem.

Z tego, co zauważył, Pietrowa lubiła stołować się w restauracji Cracker Barrel. Dziś odwiedziła to miejsce dwukrotnie: najpierw przyszła na lunch, potem na kolację, kilka godzin temu. Następnie udała się do motelu przy międzystanowej autostradzie 66, kawałek na zachód od Waszyngtonu. Wujek Danny dostarczył mu wszystkich związanych ze sprawą informacji. Kobieta miała trzydzieści cztery lata i była kochanką niejakiego Aleksandra Zorina, starzejącego się byłego oficera KGB, który obecnie mieszkał na południu Syberii. Do tej pory nikt nie zawracał sobie nim głowy, ale tydzień temu musiało wydarzyć się coś, co wzbudziło popłoch wśród Rosjan, a jednocześnie zaniepokoiło wujka Danny'ego do tego stopnia, że postanowił wykorzystać Luke'a w charakterze psa gończego, a Cottona Malone'a wysłał na zwiady za ocean.

– Nie daj się zdemaskować – usłyszał od prezydenta. – Nie odstępuj jej na krok. Poradzisz sobie?

Ich relację w najlepszym razie dałoby się określić mianem napiętej, jednak Luke musiał przyznać, że jego wujek naprawdę potrafił rządzić. Będzie go brakowało Ameryce, tak jak jemu będzie brakowało roboty w Magellan Billet. Wcale mu się nie spieszyło do Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony. Po ukończeniu szkoły średniej ominął college, zaciągając się do wojska, ale dopiero w Magellan Billet wreszcie znalazł swoje miejsce.

Niestety teraz bezpowrotnie je utracił.

Jechał w odległości mniej więcej półtora kilometra od swojego celu. Mógł trzymać taki dystans, ponieważ na autostradzie panował niewielki ruch, a zimowa noc była jasna i pogodna. Pół godziny wcześniej czuwał na posterunku, obserwując motel, gdy nagle w drzwiach pojawiła się Anja. W rękę trzymała siekiere. Wsiadła do samochodu i ruszyła na zachód, do Wirginii. W tej chwili znajdowali się na wysokości Manassas. Rosjanka włączyła kierunkowskaz i zjechała z autostrady, skręcając na południe. Luke podążył za nią. Jechali teraz dwupasmową wiejską drogą, na której musiał zachować jeszcze większy odstęp, gdyż w przeciwieństwie do międzystanowej autostrady ta szosa była kompletnie pusta.

Dokąd ona jechała w samym środku nocy?

I po jaką cholere zabrała ze sobą siekiere?

Przyszło mu na myśl, że może powinien zadzwonić do wujka Danny'ego i go obudzić. Zanim wyruszył na misję, dostał bezpośredni numer telefonu do prezydenta. Miał przykazane niezwłocznie donosić o każdym incydencie, ale na razie jeszcze do niczego nie doszło. Po prostu wybrali się na przejażdżkę po wiejskich terenach Wirginii.

Anja, która znajdowała się niecały kilometr przed nim, znów skręciła.

Ponieważ na drodze nie było żadnych samochodów, a wokół panowała absolutna ciemność, wyłączył światła i podjechał do miejsca, gdzie samochód Rosjanki zniknął za zakrętem.

Siedział za kółkiem swojego srebrnego forda mustanga z 1967 roku, którego był dumnym posiadaczem od czasu, gdy sprawił go sobie w prezencie jeszcze w okresie służby w armii. Trzymał go w garażu niedaleko swojego mieszkania w Waszyngtonie. To jedna z niewielu należących do niego rzeczy, do których był naprawdę przywiązany. Lubił nim jeździć, zwłaszcza gdy miał wolne – Stephanie Nelle wymagała od swoich agentów w Magellan Billet, żeby co cztery tygodnie robili sobie przerwę. Facet, od którego kupił auto, na gwałt potrzebował pieniędzy i dlatego spuścił z ceny. Luke zapłacił za mustanga niecałe dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, znacznie poniżej ceny rynkowej. Samochód wyposażony w uruchamiany ręcznie napęd na cztery koła i podrasowany ośmiocylindrowy silnik o mocy trzystu dwudziestu koni mechanicznych był w idealnym stanie.

Kiedy podjechał bliżej, dostrzegł podjazd. Po obu stronach stały kamienne słupy zwieńczone łukiem z kutego żelaza. Za lekko uchyloną żelazną bramą majaczyła wybrukowana droga niknąca wśród ciemnych drzew. Nie zdecydował się na nią wjechać, ponieważ nie miał pojęcia, dokąd prowadzi i co zastanie na jej końcu. Uznał, że lepiej będzie pójść na piechotę, skręcił więc na podjazd, minął bramę i zaparkował wśród drzew, wszystkie te czynności wykonując przy wyłączonych światłach. Wsiadł z mustanga i cicho zamknął za sobą drzwi. Na zewnątrz panował chłód, ale niezbyt przenikliwy. Tego roku zima w Stanach Środkowoatlantyckich była wyjątkowo łagodna, a charakterystyczne dla tej części Ameryki obfite opady śniegu jak do tej pory omijały ten region szerokim łukiem. Luke miał na sobie grube sztruksy, sweter, ocieplaną kurtkę i rękawiczki. W kaburze na ramieniu tkwiła beretta, którą otrzymywał każdy agent Magellan Billet. Nie zabrał ze sobą latarki, ale miał telefon komórkowy, którym od biedy mógł oświetlić sobie drogę. Oczywiście upewnił się zawczasu, że telefon jest wyciszony.

Lekkim truchtem ruszył przed siebie.

Po jakichś dwustu metrach ujrzał czarne kontury rozłożystego, piętrowego domu z dwoma skrzydłami, przybudówkami i budynkami gospodarczymi. Na lewo rozciągało się porośnięte trawą pole pokryte warstwą szronu. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i wyłowił w ciemności kształt sowy kołującej nad łąką. Podobne obrazki nader często widywał, gdy dorastał na wsi w Tennessee. Aksamitne niebo usiane było srebrnymi niczym główki od szpilek gwiazdami, pomiędzy którymi błyszczał wąski sierp księżyca. Przed domem stał zaparkowany samochód, a w okolicach drzwi frontowych widać było snop światła latarki.

Nie miał pojęcia, kto mógł tu mieszkać; nigdzie nie dostrzegł ani skrzynki na listy, ani żadnej tabliczki z nazwiskiem czy adresem.

Ruszył przed siebie, lawirując pomiędzy ciernistymi krzakami. Z każdą chwilą chłód stawał się coraz bardziej odczuwalny, lecz wysiłek fizyczny i adrenalina sprawiły, że zaczął się pocić. Idąc wzdłuż fasady, naliczył w sumie szesnaście okien, jednak w żadnym nie paliło się światło. Do jego uszu dobiegło stuknięcie, jakby ktoś uderzył metalem o metal, po czym nastąpił trzask łamanego drewna. Oparł się o drzewo i wychylił głowę zza pnia, śledząc wzrokiem snop światła z latarki znikający za drzwiami domu, od których dzieliło go niecałe pięćdziesiąt metrów. Zaintrygował go fakt, że ktoś w tak bezceremonialny sposób wszedł do środka, lecz gdy podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że dom jest opuszczony i bardzo zaniedbany. Od frontu wyglądał jak budynek z epoki wiktoriańskiej. Oszalowanie wydawało się w większości nietknięte, ściany były jednak wyblakłe i pokryte plamami pleśni. Kilka okien na parterze zostało zabitych sklejką, w przeciwieństwie do tych na piętrze. Teren wokół domu porastały chwasty i dzikie krzewy. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby już od bardzo dawna nikt nie poświęcał temu miejscu najmniejszej uwagi.

Luke zastanawiał się, kim mógł być właściciel domu. I dlatego jakaś Rosjanka postanowiła tu przyjechać w samym środku nocy. Istniał tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Opuścił kryjówkę wśród drzew rosnących na skraju podjazdu i podszedł do ciężkich drewnianych drzwi frontowych, które miały wyłamany zamek.

Z pistoletem w ręku ostrożnie wszedł do środka. Na podłodze przestronnego przedpokoju wciąż leżał dywanik, a pod ścianami stało kilka mebli. Na pierwsze piętro wiodły kręcone schody, a otwarte drzwi prowadziły do sąsiednich pokoi, gdzie w oknach wisały zasłony. Złuszczona farba, pokruszony tynk, niezliczone wybrzuszenia pod tapetą – wszystko wskazywało na to, że siły natury powoli przejmowały budynek na własność.

Luke stanął u wylotu korytarza i zaczął nasłuchiwać. Miał wrażenie, jakby trafił do wnętrza grobowca.

Nagle rozległ się jakiś dźwięk.

A raczej huk.

Gdzieś na parterze.

W głębi korytarza, mniej więcej piętnaście metrów od niego, promienie światła przeszły mrok.

Po cichu zaczął skradać się do przodu, wykorzystując hałas, który tłumił odgłos jego kroków. Najwyraźniej Anja Pietrowa w ogóle nie starała się zachowywać dyskretnie. Prawdopodobnie uznała, że w promieniu wielu kilometrów i tak nie ma żywej duszy. I w każdej innej sytuacji miałyby rację.

Podszedł do otwartych drzwi, przez które sączyło się światło. Ostrożnie zajrzał do środka, a jego oczom ukazał się obszerny, wyłożony boazerią pokój, który musiał niegdyś pełnić funkcję gabinetu. Jedną ze ścian zajmowała biblioteczka sięgająca samego sufitu. Powyłamywane, puste półki tkwiły ukośnie w drewnianej ramie. Zerknął też na sufit, który pokrywały kasetony zdobione gipsowymi ornamentami. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli. Anja stała pod przeciwległą ścianą, próbując wybić dziurę w boazerii. I nawet nie starała się działać subtelnie. Bez wątpienia potrafiła posługiwać się siekierą. Jej latarka leżała na podłodze, oświetlając ścianę na tyle, by kobieta mogła śledzić postępy swojej pracy.

Jego zadanie polegało na obserwacji, nie wolno mu było interweniować.

*Nie daj się zdemaskować.*

Rosjanka nie przestawała tłuc w boazerię, co chwila odrywając kolejne fragmenty drewna, aż wreszcie udało jej się zrobić dziurę. Luke zauważył, że była to ściana działowa, za którą najwidoczniej znajdowało się kolejne pomieszczenie. Kopiając z całej siły, Anja powiększyła wyłom. Następnie za pomocą latarki zbadała przestrzeń za ścianą.

Odłożyła siekierę na podłogę, po czym przeszła na drugą stronę.

# ROZDZIAŁ 4

GIVORS, FRANCJA  
GODZ. 8:50

Cassiopeia Vitt zbyt późno zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Dwa dni temu jej robotnicy pracujący w kamieniołomie wydrążyli serię otworów w wapiennej skale nie za pomocą nowoczesnych wiertel, ale długiego metalowego dłuta, jakiego używano osiemset lat temu. Metoda polegała na ręcznym wbijaniu w kamień ostrza w kształcie gwiazdy o grubości ludzkiego kciuka, obracaniu go wewnątrz wapienia i ponownym uderzaniu w trzonek. Robotnicy powtarzali tę czynność tak długo, aż wydrążyli otwór sięgający kilkanaście centymetrów w głąb skały, po czym zabierali się za kolejny. Wgłębienia wyżłobione na odcinku dziesięciu metrów znajdowały się w kilkucentymetrowych odstępach. Do wyznaczania dzielących ich odległości nie użyto liniałów – za przyrząd kreślarski posłużyła długa lina z węzłami; dokładnie w taki sam sposób dokonywano pomiarów w przeszłości. Każdy otwór napełniono wodą, po czym zatkano, pozwalając zamarznąć znajdującej się wewnątrz cieczy. Na szczęście Matka Natura przysłała z pomocą w postaci gwałtownego spadku temperatury.

Kamieniołom znajdował się w odległości trzech kilometrów od francuskiej posiadłości Cassiopei. Od niemal dziesięciu lat starała się zbudować zamek, korzystając wyłącznie z metod, materiałów i narzędzi dostępnych w XIII wieku. Zakupiony przez nią teren należał niegdyś do jedyne go kanonizowanego króla Francji, Ludwika IX. Znajdowały się na nim nie tylko ruiny zamku, ale również szesnastowieczny dworek, w którym zamieszkała po przeprowadzonym uprzednio remoncie. Zainspirowana oficjalną nazwą pułku kawalerii Ludwika XV ochrzciła posiadłość mianem Royal Champagne.

Murowana wieża była niegdyś symbolem władzy szlacheckiej. Zamek w Givors został wzniesiony jako wojskowa forteca i posiadał wszystkie atrybuty średniowiecznej warowni: mury obronne, fosę, narożne wieżyczki i potężną basztę. Budowla została zrównana z ziemią trzysta lat temu i przywrócenie jej do życia stało się życiową misją Cassiopei. Tak jak w czasach średniowiecza, okolica wciąż była bogata w wodę, kamień, ziemię, piasek i drewno, a więc zapewniała wszystkie niezbędne surowce. Zatrudnieni przez nią kamieniarze, drwale, murarze, stolarze, kowale i garncarze pracowali przez sześć dni w tygodniu, nosili stroje z epoki i wiedli egzystencję zgodnie ze zwyczajami obowiązującymi przed osmiuset laty. Teren udostępniono zwiedzającym, a opłatę pobieraną za wstęp w całości przeznaczano na pokrycie kosztów budowy, jednak Cassiopeia w większości finansowała prace z własnych, całkiem pokaźnych środków. Według szacunków na ukończenie całego przedsięwzięcia potrzeba było jeszcze około dwudziestu lat.

Robotnicy pracujący w kamieniołomie sprawdzili otwory. Woda zamarzała i powoli zaczęła rozsadać skałę od środka. Pęknięcia, które pojawiły się wokół krawędzi, świadczyły o tym, że można zaczynać. Na kilkudziesięciometrowym nagim czole klifu widoczne były nieliczne szczeliny, rysy i występy skalne. Kilka miesięcy temu wydobyto już cały nadający się do użytku materiał z dolnych partii wapiennej skały. W tej chwili pracowali na wysokości dwudziestu metrów, stojąc na rusztowaniu z lin i drewna. Trzech mężczyzn wyposażonych w średniowieczne przyrządy noszące nazwę *chase masse* zaczęło uderzać w ścianę. Narzędzie wyglądem przypominało młotek, ale miało rozdwojony obuch o ostrych krawędziach połączonych wklęsłym łukiem – właśnie tą stroną przykładano się go do skały. Następnie należało walić w niego drugim młotkiem, a gdy pojawiło się pęknięcie, posuwać się dalej w linii prostej. W końcu skała zaczynała pękać wzdłuż naturalnych szczelin na skutek rozchodzących się w jej wnętrzu fal

uderzeniowych. Z pewnością była to żmudna praca, ale przynosiła pożądany efekt.

Cassiopeia przyglądała się swoim pracownikom wymachującym średniowiecznymi młotkami. Miarowy stukot metalu uderzającego o metal brzmiał niemal jak muzyka. Seria przeciągłych trzasków świadczyła o tym, że skała jest już wystarczająco osłabiona.

– Zaraz pęknie – ostrzegł jeden z mężczyzn, dając w ten sposób swoim kolegom sygnał, by przerwali pracę.

Wszyscy w milczeniu przyglądali się pionowej ścianie wznoszącej się kolejne dwadzieścia metrów ponad ich głowami. Jak wykazały testy laboratoryjne, ten biało-szary kamień stanowił bogate źródło magnezu, dzięki czemu był wyjątkowo twardy, a co za tym idzie, idealnie sprawdzał się jako materiał budowlany. Pod rusztowaniem stał wóz z sianem zaprzężony w konia, który służył jako środek transportu. Zabierał na plac budowy bloki skalne, które była w stanie podnieść jedna osoba. Podczas jazdy siano działało jak naturalny amortyzator – miękka wyściółka zapobiegała obtłukiwaniu się kamienia. Większe fragmenty rąbano na miejscu i dopiero potem je wywożono. Kamieniołom odgrywał rolę swoistego epicentrum całego przedsięwzięcia.

Cassiopeia obserwowała rozchodzące się po skale pęknięcia. Na korzyść robotników działała teraz także grawitacja. Wreszcie płat wielkości samochodu odpadł od ściany klifu i z hukiem roztrzaskał się o ziemię. Mężczyźni, podobnie jak ich szefowa, wydawali się zadowoleni z efektów swojej pracy, ponieważ ze zdobytego trofeum mogli uzyskać naprawdę sporą ilość bloczków skalnych. Poza tym udało się wykonać pierwszy wyłom w skale na tej wysokości. Teraz robotnicy mogli się zabrać za robienie następnych otworów i pozyskiwanie kolejnych fragmentów wapienia, na koniec zaś podniosą rusztowanie o kilka metrów wyżej. Cassiopeia lubiła patrzeć na swoich ludzi pracujących w strojach, jakie noszono w średniowieczu, z wyjątkiem nowoczesnych płaszczy i rękawic. Mieli też na sobie całkiem współczesne kaski i okulary ochronne – ubezpieczyciel wymógł na niej ten kompromis, który historia będzie musiała jej wybaczyć.

– Dobra robota, panowie – pochwalił swoich podwładnych kierownik budowy.

Cassiopeia przytaknęła skinieniem głowy.

Robotnicy powoli zaczęli schodzić z rozchwianej drewnianej konstrukcji. Jednak ona ociągała się z opuszczeniem platformy, z podziwem rozglądając się po kamieniołomie. Z większością członków swojej ekipy współpracowała od wielu lat. Dobrze im płaciła i przez okrągły rok zapewniała pokój z wyżywieniem. Francuskie uniwersytety nieprzerwanie dostarczały stażystów, którym bardzo zależało na uczestnictwie w tak innowacyjnym projekcie. W lecie zatrudniała do pomocy pracowników sezonowych, ale teraz, zimą, na miejscu został tylko ścisły trzon zespołu. Dzisiejszy dzień postanowiła spędzić na placu budowy, zaczynając od wizyty w kamieniołomie. Trzy z czterech murów obronnych były już na ukończeniu, a zdobyty dziś materiał miał wydatnie pomóc we wzniesieniu ostatniego.

Nagle usłyszała złowrogi trzask.

Potem kolejny.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. W końcu dość poważnie naruszyli wewnętrzną strukturę skały.

Odwróciła się w stronę klifu. Gdzieś nad jej głową rozległa się kolejna seria chrzęstów i pęknięć.

– Zabierzcie stąd wszystkich! – krzyknęła do robotników znajdujących się poniżej. – No już, uciekajcie!

Zaczęła machać rękami, dając do zrozumienia, by jak najszybciej opuścili rusztowanie. Nie do końca wiedziała, co się dzieje, ale uznała, że najlepiej zachować ostrożność.

Z każdą chwilą trzaski stawały się coraz głośniejsze i było ich coraz więcej. Przypominało to trochę dobiegający z oddali odgłos serii z broni automatycznej, który znała aż nazbyt dobrze. Ona także musiała wziąć nogi za pas, ruszyła więc w kierunku przeciwnego krańca platformy, skąd dużo łatwiej byłoby jej

zejść. Jednak w tym samym momencie od skały oderwał się duży blok, który gruchnął o górny podest rusztowania. Pod stopami poczuła silne wibracje. Nie miała się czego złapać, a nie mogąc utrzymać równowagi, upadła na zimne deski i kurczowo chwyciła się krawędzi rusztowania. Leżała tak, dopóki cała konstrukcja nie przestała się kołysać. Wyglądało na to, że liny wytrzymały i rusztowanie, na którym się znajdowała, przetrwało atak. Z dołu dobiegło ją wołanie. Mężczyźni pytali, czy nic jej się nie stało.

Uklękała i wyjrzała znad krawędzi.

– Wszystko w porządku.

Wstała i strzepnęła z ubrania pył.

– Będziemy musieli dokładnie sprawdzić rusztowanie – krzyknęła po chwili. – To było naprawdę mocne uderzenie.

W tym momencie rozległ się kolejny huk.

Spojrzała w górę i od razu zrozumiała, co się dzieje. Fragment skały, spod którego właśnie wydobyli sporą ilość wapienia, zaczął się odrywać od warstwy osadowej. Grawitacja obróciła się przeciwko nim, bezwzględnie wykorzystując słabe punkty wroga. Przy całej swojej pozornej solidności kamień potrafi być równie nieprzewidywalny jak drewno.

Skała z hukiem pękła w dwóch kolejnych miejscach.

Z góry posypał się deszcz gruzu, wzbijając w powietrze chmurę pyłu. Od ściany oderwał się nowy fragment wielkości głazu i spadając, o włos minął rusztowanie. Cassiopeia nie mogła uciekać przed siebie, bo właśnie tam groziło jej największe niebezpieczeństwo, dlatego odwróciła się i pobiegła na drugi koniec platformy. Za jej plecami kilka odłamków trafiło w deski, niszcząc sporą część konstrukcji.

Wszyscy robotnicy zdążyli już uciec. Na rusztowaniu została tylko ona.

W odsłonięte belki uderzył kolejny ogromny kawał skały. Zdała sobie sprawę, że za chwilę cały podest się zawali. Spojrzała w dół. Jakies dziesięć metrów niżej stał wóz, który nie zdążył jeszcze odjechać. Stos siana wydawał się wystarczająco duży, ale nie mogła tego wiedzieć na pewno.

Niestety nie miała wyboru.

Skoczyła głową w dół i obróciła się w powietrzu na plecy. Jeśli się nie pomyliła, wóz powinien znajdować się dokładnie pod nią. Spadając, usłyszała, jak drewniana wieża wali się pod naporem lawiny kamieni. Zacisnęła powieki. W następnej sekundzie wpadła w siano, które złagodziło upadek i pozwoliło na miękkie lądowanie. Otworzyła oczy i leżąc na wznak, przez chwilę wsłuchiwała się w huk roztrzaskujących się o ziemię desek i odłamków skalnych.

Wstała i rozejrzała się dokoła, żeby ocenić skalę zniszczeń.

Wszędzie unosiły się kłęby pyłu.

Robotnicy podbiegli do niej, pytając, czy nic jej nie jest. Pokręciła głową, po czym ponownie upewniła się, że nikomu nic się nie stało.

– Wygląda na to, że czeka nas dużo sprzątnia – stwierdziła.

Zeskoczyła z wozu. Była roztrzęsiona, ale przecież wypadki się zdarzają, zwłaszcza przy tak wielkich projektach. Na szczęście do tej pory na placu budowy nikomu nie stała się większa krzywda.

Cassiopeia ukończyła średniowieczną architekturę w paryskiej École Pratique des Hautes Études. Jej praca magisterska dotyczyła Pierre'a de Montreuil, trzynastowiecznego architekta, reprezentanta stylu gotyckiego. Na zaprojektowanie swojego zamku poświęciła niemal rok i miała nadzieję, że doczeka jego ukończenia. Nie miała jeszcze czterdziestu lat, więc to nie wiek stanowił problem. Chodziło raczej o ryzyko, jakie nieraz podejmowała, i nie było ono bynajmniej związane ze spadającymi kamieniami. Na przestrzeni lat wielokrotnie angażowała się w niebezpieczne przedsięwzięcia. Współpracowała z przedstawicielami zagranicznych władz, z agencjami wywiadowczymi, nawet z samymi prezydentami, zawsze jednak pilnowała się, by nie popaść w zgubną rutynę. Ale jeśli człowiek zbyt długo przebywa

w towarzystwie osób noszących przy sobie broń, prędzej czy później musi go spotkać coś złego. Jak dotąd jednak sprzyjało jej szczęście.

Tak jak dzisiaj.

Robotnicy ruszyli w stronę skalnego rumowiska.

Cassiopeia w kieszeni płaszcza poczuła wibracje telefonu.

Przez kilka ostatnich tygodni skupiła się na intensywnej współpracy ze swoją rodzinną korporacją, której siedziba znajdowała się w Barcelonie. Rodzice zapisali jej w spadku wartość miliarda dolarów firmę działającą na sześciu kontynentach. Ponieważ nie miała rodzeństwa, była jedynym udziałowcem. Prowadzenie biznesu nie należało do jej ulubionych zajęć, dlatego zazwyczaj zostawiała to swoim zaufanym pracownikom, ale ostatnio praca pozwalała jej zapomnieć o innych sprawach. W pierwszej chwili pomyślała, że to z pewnością kolejny telefon od dyrektora naczelnego, z którym odbyła już dziś jedną rozmowę.

Okazało się jednak, że to nie połączenie, tylko SMS.

Dotknęła ekranu, na którym wyświetliło się nazwisko nadawcy.

Stephanie Nelle.

Aż ją zmroziło na ten widok. Stephanie była ostatnią osobą, z jaką miała ochotę się w tej chwili kontaktować. Albo przedostatnią.

Przeczytała wiadomość.

COTTON MA KŁOPOTY. NIE MÓWIŁABYM CI O TYM, GDYBY SYTUACJA NIE BYŁA POWAŻNA.

# ROZDZIAŁ 5

## BAJKAŁ, ROSJA

Malone zamknął oczy, próbując całkiem oczyścić umysł. Miał tylko jedną szansę, żeby przeżyć. Ścisnął wolant i skierował nos samolotu prosto w wiejący z naprzeciwka wiatr, umyślnie starając się doprowadzić do przeciągnięcia. Facet, który przekazał mu maszynę, przechwalał się, że An-2 jest w stanie lecieć do tyłu w przednim wietrze o prędkości 55 kilometrów na godzinę. Niektórzy piloci potrafią nawet opaść w ten sposób na ziemię jak na spadochronie. Cotton zastanawiał się, czy to prawda. Teraz sam miał się o tym przekonać.

Samolotem rzucały turbulencje. Cotton do końca ściągnął kolumnę sterową do siebie, jednocześnie utrzymując skrzydła poziomo, co nie było łatwe, zważywszy na to, że stracił część lewych płatów. Silnik nadal się nie obracał, instrumenty nie działały. W kokpicie zrobiło się zimno, ponieważ padło ogrzewanie i Cotton z każdym oddechem wypuszczał z ust szarą mgiełkę. Na szczęście był ubrany w porządną odzież termiczną, wiatroodporną i z dobrą izolacją, będącą standardowym wyposażeniem w rosyjskiej armii. Miał też na sobie rękawiczki, ciężkie buty i płaszcz z kapturem wyściełanym futrem.

Czuł, jak samolot utrzymywany w powietrzu przez przeciwny wiatr stopniowo zwalnia. Nagle usłyszał dwa głośne pęknięcia – sloty nie wytrzymały nacisku na skrzydła. Zaczął tracić wysokość, i to całkiem gwałtownie. Manewrując powierzchniami sterowymi, udało mu się odrobinę ustabilizować maszynę, która wciąż jednak schodziła w dół. Rzucił okiem przez szybę i zobaczył zbliżający się coraz szybciej błękitny lód na zamarzniętej i obsypanej śniegiem tafli jeziora. Samolot przechylił się w prawo, potem w lewo, ale Cotton zdołał skontrolować i utrzymać kadłub frontem do wiatru. W oknach odbijał się oślepiający blask słońca, do kabiny wtargnął podmuch lodowatego powietrza. Silny wiatr dźwigał maszynę, wyręczając silnik, i samolot zniżał się coraz bardziej. Cotton nie miał pojęcia, gdzie ani w co uderzy, ale wiedział, że lądowanie na pewno nie będzie łagodne, dlatego szybko się upewnił, że jego uprząż jest ciasno zapięta, i zacisnął zęby.

Najpierw w zamarzniętą tafłę uderzył ogon. Płozy głośno odbiły się od twardego podłoża, kadłubem telepały podmuchy wiejącego przy powierzchni wiatru. Słyszac zgrzytanie stali o lodową skorupę, Cotton wiedział, że nie jest już w powietrzu. Głowę przeszył mu ostry ból, mózg na moment się wyłączył, a przed oczami rozbłysła feeria gwiazd. Na języku poczuł smak krwi. Samolot wpadł w poślizg i zaczął sunąć tyłem po lodzie, wirując jak karuzela w wesołym miasteczku. Cotton mógł jedynie siedzieć bez ruchu i mieć nadzieję, że ciężar maszyny w końcu pozwoli jej się zatrzymać. Całe szczęście wkoło było wystarczająco dużo wolnej przestrzeni.

Samolot wreszcie stanął w miejscu.

Jedynym, co mąciło absolutną ciszę, był szum krwi pulsującej Cottonowi w uszach i jego własny ciężki oddech.

Na jego usta wpełzł uśmiech.

Czegoś takiego jeszcze nie przerabiał.

W dawnych czasach Cotton był pilotem myśliwca, wyszkolonym w marynarce wojennej, i nadal miał licencję zawodową. Latał w życiu przeróżnymi maszynami i próbował niemal wszystkiego. Ale mógł iść o zakład, że mało komu udało się przeżyć przeciągnięcie i lądowanie tyłem.

Rozpiął uprząż i mrużąc oczy, spojrzął na skrzącą się, błękitną tafłę. W oddali ujrzał brudnoczerwona



ciężarówkę, która zmierzała w jego stronę; jej maska i boki były ochlapane błotem. W tym momencie Cotton zauważył, że z kadłuba jego samolotu leje się na lód struga gęstej cieczy, a w mroźnym powietrzu wychwycił mocny zapach benzyny. Miał przeciek, i to niemały. Ciężarówka mknęła prosto na niego przez sam środek jeziora, rozwiewając mgiełkę unoszącą się nad powierzchnią. Być może ktoś jechał mu z pomocą. Na pewno byłby wdzięczny, gdyby podwieźli go do Babuszkina, gdzie czekał na niego podstawiony przez Rosjan samochód. Teraz musiał nie tylko rozejrzeć się wokół dacy, ale także odkryć, kto próbował go zestrzelić.

Ciężarówka była coraz bliżej, spod jej kół przyskał śnieg. Samolot wciąż smagał lodowaty wiatr i temperatura we wnętrzu kokpitu znacząco spadła. Cotton naciągnął na zdrętwiałe z zimna uszy futrzany kaptur. Jego beretta, którą otrzymał jeszcze jako agent Magellan Billet, tkwiła w kaburze schowanej pod płaszczem. Telefon komórkowy był nadal podłączony do systemu łączności samolotu. Właśnie chciał go odłączyć, kiedy ciężarówka wyhamowała jakieś trzydzieści metrów od niego i wysiadło z niej dwóch mężczyzn. Obaj mieli w rękach karabiny i wpatrywali się w niego przez otwory w kominiarkach narciarskich.

Nie takiego komitetu powitalnego się spodziewał.

Mężczyźni w maskach przyklęknęli i wycelowali.

Cotton zeskoczył z siedzenia pilota w momencie, gdy otworzyli ogień.

Kule roztrzaskały przednią szybę kokpitu, do wnętrza posypał się deszcz odłamków szkła. Aluminiowa powłoka kadłuba nie stanowiła żadnej osłony przed pociskami, które przechodziły przez nią jak przez masło. Cotton musiał uciekać. Natychmiast. Przeczółgał się przez wąskie przejście do tylnej kabiny.

To tyle, jeśli chodzi o prosty lot zwiadowczy.

Sięgnął pod płaszcz i złapał za pistolet. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że wyjście jest po stronie przeciwnej do tej, po której stała ciężarówka. Szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł na błękitny lód. Tamci nadal kontynuowali ostrzał, dziurawiąc kadłub jak sito. Cotton liczył na to, że minie kilka sekund, zanim się zorientują, że zniknął.

Ruszył biegiem przed siebie, starając się, aby samolot pozostawał pomiędzy nim a napastnikami.

Po dwudziestu metrach zatrzymał się i obejrzał.

Strzały ucichły.

Zobaczył jednego z mężczyzn obok śmigła, drugi obchodził samolot od strony ogona. W końcu obaj go zauważyli. Z kadłuba nadal wyciekało pomarańczowawe paliwo, tworząc na lodzie coraz większą kałużę. Cotton wiedział, że kula nie podpaliłaby normalnej benzyny, takie rzeczy działy się tylko w filmach. Ale ta zasada nie odnosiła się do paliwa lotniczego. Niewiele potrzeba, żeby wybuchło.

Wymierzył w sam środek samolotu i oddał dwa strzały.

Zamaskowani mężczyźni nie mieli żadnych szans.

Eksplozja rozświetliła niebo, a fala uderzeniowa zwała Cottona z nóg. Upadając na lód, czuł się, jakby uderzył w beton. Przeturlał się na bok i ocenił sytuację. Po samolocie nie zostało śladu, a w miejscu, gdzie przed chwilą stali jego napastnicy, leżały tylko dwie czarne, bezkształtne bryły spalonego mięsa i zwęglonych kości.

Razem z samolotem wyparował jego telefon. A to oznaczało, że nie miał możliwości skontaktowania się z kimkolwiek.

Truchtem ominął dymiące pogorzelisko i dotarł do ciężarówki. Na szczęście kluczyki były w stacyjce. Na siedzeniu leżała krótkofalówka. Cotton wdrapał się do środka, wcisnął przycisk i powiedział do mikrofonu:

– Kto słucha z drugiej strony?

– Ja – odpowiedział po angielsku męski głos.

- A kim pan jest?
- Może pan się pierwszy przedstawi?
- Jestem kimś, kto właśnie załatwił dwóch facetów z karabinami.
- To znaczy, że stanowi pan problem.
- Często to słyszę. Dlaczego mnie zestrzeliliście?
- Co pan tu robi?

Cotton nie mógł wyjawić prawdziwej przyczyny, dlatego postanowił zmienić taktykę.

– A może byśmy się spotkali i pogadali twarzą w twarz? Jestem Amerykaninem, nie Rosjaninem. O ile robi to panu jakąś różnicę.

- Szpiegował mnie pan w moim domu.

W tym momencie Cotton zdał sobie sprawę, z kim rozmawia.

- Nazywam się Cotton Malone. Pan musi być Aleksandr Zorin.

Cisza, która zapadła, potwierdziła jego przypuszczenie.

- Zakładam, że ciężarówka znalazła się w pańskich rękach – odezwał się po chwili Zorin.

Cotton nie od razu wcisnął przycisk mikrofonu. Zrobiło mu się sucho w ustach.

- Teraz jest moja – powiedział w końcu.

– W takim razie proszę z miejsca, gdzie pan jest, skierować się na wschód. Niech pan zjedzie z jeziora i wjedzie na główną drogę. Jest tylko jedna. Proszę podążać nią na północ, aż zobaczy pan obserwatorium. Będę tam na pana czekał.

# ROZDZIAŁ 6

CZAJANIJE, ROSJA  
GODZ. 16:20

Aleksandr Zorin zostawił ubranie w zgrzebnym przejściu i schylając nisko głowę, wkroczył przez obite futrem drzwi do ciemnego, ponurego pomieszczenia. W jednym rogu paliła się słabo świeca łożowa, ledwo oświetlając okrągłe wnętrze z ciosanych bali. Pozbawione okien ściany były czarne jak noc, ponieważ przez dziesiątki lat palenia tu ognia całkiem pokryły się sadzą. Pośrodku znajdował się stos kamieni, pod którym płonęły brzoźowe polana. Po jednej stronie wznosiły się sosnowe ławy, zamontowane w kilku poziomach, jak schody. Otwór umieszczony wysoko nad głowami odprowadzał dym, pozostawiając tylko suche ciepło emanujące z kamieni. W takich warunkach oddychanie stawało się bolesne, a intensywne pocenie nieodzowne.

– Podoba ci się moja czarna bania? – zapytał mężczyznę, który siedział już na jednej z ław.

– Tęskniłem za tym.

Obaj byli nadzy, ale zupełnie nie wstydziło się swoich ciał. Zresztą Zorin wciąż trzymał się nieźle, a jego potężna klatka piersiowa i wydatne mięśnie nie zdradzały, że za kilka miesięcy miał skończyć sześćdziesiąt dwa lata. Na lewej piersi miał jasną, pomarszczoną bliznę, pamiątkę po ranie zadanej nożem wiele lat temu. Swoją wyprostowaną sylwetką i hardą miną starał się stwarzać wrażenie niezachwianej pewności siebie. Na głowie nosił niesforną, czarną czuprynę, która aż się prosiła o grzebień i nożyczki. Miał chłopięce rysy twarzy, które kobietom zawsze wydawały się pociągające, zwłaszcza cienki nos i usta odziedziczone po ojcu. Jego prawe oko było zielone, a lewe brązowe albo szare, zależnie od światła – tę z kolei cechę przekazała mu w genach matka. Czasami można było odnieść wrażenie, że jego twarz składa się z dwóch osobnych połówek, a on wielokrotnie obracał tę anomalię na swoją korzyść. Szczycił się, że jest człowiekiem wykształconym, który edukował się zarówno w szkołach, jak i na własną rękę. Przez kilkadziesiąt lat znosił życie na wygnaniu, ale nauczył się tłumić w sobie swoje potrzeby i przyzwyczajenia i zaakceptował przymusowe zejście do niższej sfery, gdzie oddychało się wyraźnie innym powietrzem i gdzie czuł się jak ryba wyrzucona na piasek.

Podszedł bliżej i usiadł na ławie. Deski były ciepłe i wilgotne.

– Zbudowałem tę łaźnię na dawną modłę.

Swego czasu każda wioska miała podobną banię, w której można było się skryć przed zimnem panującym na Syberii niemal przez okrągły rok. Większość z nich, tak jak cały dawny świat Zorina, odeszła już w niepamięć.

Jego gościem był powściągliwy Rosjanin o wyglądzie brutala, co najmniej dziesięć lat od niego starszy. Miał miły głos i żółte plamy od nikotyny na zębach. Jego rzędzące blond włosy były odgarnięte do tyłu znad wysokiego czoła, co ani trochę nie poprawiało wrażenia ogólnej mizerności. Ten człowiek nazywał się Wadim Bielczenko i w przeciwieństwie do Zorina nigdy nie musiał cierpieć wygnania.

Wiedział za to, jak smakuje odrzucenie.

Kiedyś był ważną osobą, naczelnym archiwistą Pierwszego Zarządu Głównego KGB, czyli ramienia agencji odpowiedzialnego za wywiad zagraniczny. Po upadku Związku Radzieckiego i zakończeniu zimnej wojny Bielczenko z dnia na dzień stał się zbędny, ponieważ chronione przez niego sekrety przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Cieszę się, że zgodziłeś się przyjechać – powiedział do swojego gościa Zorin. – Minęło już zbyt

dużo czasu, sprawy domagają się rozwiązania.

Bielczenko był prawie niewidomy, a katarakta w jego obu oczach stanowiła niejako dowód nabytej przez lata mądrości. Zorin sprowadził go tu dwa dni temu. Jego zaproszenie mogło łatwo przerodzić się w rozkaz, ale na szczęście nie było takiej potrzeby. Gość od chwili przyjazdu większość czasu spędzał w łaźni, chłonąc ciepło i ciszę.

– Słyszałem samolot – odezwał się Bielczenko.

– Mieliśmy gościa. Podejrzewam, że rząd cię szuka.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

– Boją się tego, co wiem.

– A powinni?

Zorin i Bielczenko rozmawiali ze sobą wiele razy. Praktycznie każdy, kogo kiedykolwiek znali i szanowali, już dawno nie żył, ukrywał się albo był skompromitowany. Kiedyś wszyscy z dumą nazywali się Sowietami, teraz to słowo brzmiało niemalże nieprzyzwoicie. W 1917 roku bolszewicy krzyknęli z dumą: „Władza dla Sowietów”, ale dziś podobne hasło zostałoby poczytane za zdradę. Jakże zmienił się świat od 1991 roku, kiedy rozpadł się Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Cóż to było za wspaniałe państwo! Największe na świecie, zajmujące jedną szóstą powierzchni globu. Od wschodu do zachodu rozciągało się na przestrzeni dziesięciu tysięcy kilometrów i obejmowało jedenaście stref czasowych. Z północy na południe miało siedem tysięcy kilometrów. W jego granicach mieściły się tundra, tajga, stepy, pustynie, góry, rzeki i jeziora. Przez osiemset lat rządili na tych ziemiach Tatarzy, carowie, a potem komuniści. Żyło tam piętnaście narodowości, sto różnych grup etnicznych, mówiło się w 127 językach. Nad tym wszystkim sprawowała kontrolę partia komunistyczna, armia oraz KGB. Teraz została już tylko Federacja Rosyjska, będąca zaledwie cieniem dawnego mocarstwa. A zamiast próbować powstrzymać to, co nieuniknione, i walczyć w bitwie, której nie dało się wygrać, Zorin i setki jemu podobnych w 1992 roku wycofali się na wschód w okolice Bajkału, gdzie mieszkali po dziś dzień. Stara sowiecka dacha służyła im za centrum dowodzenia, a mieszczące się nieopodal skupisko domków i sklepików przerodziło się w wioskę Czajanije.

To znaczy „Nadzieja”. Bo tylko to im pozostało.

– Co z samolotem? – zapytał Bielczenko.

– Kazałem go zestrzelić.

– Niby czym? – zaśmiał się pod nosem starszy mężczyzna. – Brytyjskimi javelinami? Ręcznymi wyrzutniami rakiet? Może tymi zabytkowymi redevye’ami?

Mimo zaawansowanego wieku ten człowiek nadal miał imponującą pamięć do szczegółów.

– Skorzystałem z tego, co było pod ręką. Ale masz rację, nasz pocisk był wadliwy. Mimo to spełnił swoją rolę.

Zorin pochylał się nad wiaderkiem zimnej wody, zaczerpnął jej chochlą i oblał nią gorące kamienie. Syknęły jak rozgrzana lokomotywa, wyrzucając w górę kłęby pary. Płomień świecy pod przeciwległą ścianą zrobił się niebieski. Temperatura jeszcze bardziej wzrosła, a jego mięśnie się rozluźniły. Para parzyła go w oczy, więc je zamknął.

– Czy pilot przeżył? – spytał Bielczenko.

– Tak, udało mu się wylądować. To Amerykanin.

– Robi się ciekawie.

W dawnych czasach rozłożyliby się na najniższych ławach, a służba polewałaby ich gorącą wodą. Następnie ich ciała byłyby szorowane, ugniatane, moczone zimną wodą, potem znów gorącą, smagane brzożowymi witkami i obmywane pękami konopii. Na koniec jeszcze raz długo schładzano by ich zimną wodą. Stan gruntownego oczyszczenia po pobycie w takiej łaźni graniczył z poczuciem bezcielesności.

Tamte czarne banie to było niezwykle przeżycie.

– Wiesz, czego chcę – odezwał się Zorin. – Najwyższy czas, żebyś powiedział mi o wszystkim. Nie można dopuścić, żeby ta wiedza umarła razem z tobą.

– Nie lepiej dać już sobie z tym spokój?

Zorin zadawał sobie to pytanie wiele razy i zawsze dochodził do tej samej odpowiedzi.

– Nie.

– To wciąż dla ciebie takie ważne?

Zorin skinął głową.

Starszy mężczyzna wyciągnął ręce na boki i oparł je na wyższej ławie.

– Kiedy tu jestem, wszystkie moje mięśnie odżywają.

– Ty umierasz, Wadim. Obaj to wiemy.

Już wcześniej zauważył, z jakim trudem przychodzi jego gościowi oddychanie. Zwrócił uwagę na jego wychudzoną sylwetkę, drżące dłonie i rżenie w gardle.

– Strzegłem tylu tajemnic – powiedział niemal szeptem Bielczenko. – Powierzano mi wszystkie sekrety. Archiwiści byli kiedyś niezwykle ważni. Do tego znałem Amerykę. Badałem Stany Zjednoczone. Zgłębiałem ich mocne i słabe strony. Historia nauczyła mnie ogromnie dużo. – Przymknął oczy, po czym mówił dalej. – Historia jest istotna, Aleksandrze. Nigdy o tym nie zapominaj.

Nie trzeba mu było tego tłumaczyć.

– Właśnie dlatego nie mogę dać sobie spokoju. Nadszedł czas. Teraz jest idealny moment. Ja także badałem Amerykę. Znam jej aktualne słabości i mocne strony. Mamy szansę na odwet, o którym obaj od dawna marzyliśmy. Jesteśmy to winni naszym sowieckim braciom.

Powiedział przyjacielowi szczerą prawdę.

– A zatem rozwiązałeś zagadkę *Szkolnego mata*? – zapytał Bielczenko.

– Jestem blisko. Dokumenty, które dostałem od ciebie w zeszłym roku, okazały się bardzo pomocne. Potem znalazłem jeszcze więcej. Anja jest teraz w Waszyngtonie, gdzie próbuje zlokalizować kluczowy element układanki.

Zorin widział, że stary archiwista w pełni zdaje sobie sprawę z pozostałych mu wpływów. Czterdzieści lat pilnowania sekretów KGB niewątpliwie dało mu poczucie autentycznej władzy. Do tego stopnia, że rosyjski rząd nadal miał go na oku. To mogłoby tłumaczyć pojawienie się niespodziewanego intruza.

Ale Amerykanin?

Zorin czuł się zbity z tropu.

Przez dwadzieścia lat walczył z czasem i przeciwnościami losu, gdy świat nie szczędził wysiłków, żeby go uśmiercić. Szczęśliwie udało mu się tego uniknąć. Cały ten czas przy życiu utrzymywało go pragnienie zemsty. Nie wiedział jednak, ile nienawiści wciąż nosił w sobie jego gość.

– Myślałem, że *Szkolny mat* to ślepy zaułek – odparł Bielczenko.

On także kiedyś miał wątpliwości. Na szczęście jego dominującą cechą zawsze była niespożyta energia i żelazna determinacja. A jeśli życie na wygnaniu czegokolwiek go nauczyło, to tego, jak ważna jest cierpliwość. Miał nadzieję, że Anja odniesie sukces i już niedługo będą mogli ruszyć z miejsca.

– Już wkrótce nadejdzie czas, by zaatakować – powiedział. – Taka okazja nie powtórzy się przez wiele lat.

– Ale czy to jeszcze ma jakieś znaczenie?

– Czyżbyś się wahał?

Bielczenko zmarszczył brwi.

– Ja tylko pytam.

- Dla mnie to ma znaczenie.
- Zerowa poprawka – mruknął starszy mężczyzna.
- To część większej całości. Potrzebne mi to, co wiesz tylko ty. Powiedz mi, Wadim. Pozwól mi być tym, który to wykorzysta.

Przez wiele lat czuł się jak człowiek pogrzebany żywcem, który nagle budzi się i zaczyna bezsilnie napierać na wieko trumny, z każdą chwilą coraz bardziej zdając sobie sprawę z daremności swoich wysiłków. Ale to się wkrótce zmieni. Wreszcie znalazł sposób na wydostanie się z tej trumny. Na odzyskanie wolności. I nie chodziło wcale o realizację konkretnych celów politycznych, czy też tworzenie własnej legendy. Jego poczynaniami nie kierowało nic z wyjątkiem żądzy zemsty.

Miał do spłacenia dług wobec całego świata.

- W porządku, Aleksandrze. Powiem ci to, co chcesz wiedzieć. On mieszka w Kanadzie.
- Możesz mnie do niego skierować?

Bielczenko skinął głową.

Zorin słuchał z uwagą wyjaśnień starszego przyjaciela. Po wszystkim podniósł się z ławy i spojrzał na zegarek. Na jego skórze błyszczały krople potu.

Zostało jeszcze tylko pięćdziesiąt sześć godzin.

Przeszedł go dreszcz ekscytacji, jak impuls elektryczny przesywający mięśnie i mózg, wzywający do działania. Niezliczone lata nużącej, doprowadzającej do szału beczynności wreszcie dobiegną końca.

- Muszę iść.
- Dowiedzieć się, skąd się tutaj wziął ten Amerykanin? – zapytał Bielczenko.
- Dlaczego zakładasz, że się z nim zobaczę?
- A co innego mógłbyś teraz zrobić?

Istotnie. Co innego? Pojawienie się tego Amerykanina akurat w tym momencie nie mogło być dziełem przypadku.

- Być może będę potrzebował twojej pomocy – stwierdził.
- Czyżby szykowała się przygoda? – spytał niepewnie Bielczenko.

Zorin się uśmiechnął.

- Nazwałbym to raczej środkami ostrożności.

# ROZDZIAŁ 7

## FRANCJA

Cassiopeia spojrzała na ekran swojego telefonu i zobaczyła, że przyszedł drugi SMS od Stephanie Nelle, tym razem zawierający numer oraz prośbę: „Zadzwoń do mnie”.

Ostatnie tygodnie były dla niej wyjątkowo burzliwe. W jej życiu nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Podjęła zasadnicze decyzje, które dotknęły także innych ludzi, w szczególności Cottona. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w Utah, z początku uważała, że postąpiła słusznie, ale z czasem zaczęła dopuszczać możliwość, że mogła się mylić. A efekt był taki, że mężczyzna, na którym zależało jej w młodości, stracił życie, natomiast tego, którego kochała teraz, sama od siebie odsunęła.

Dużo rozmyślała o Cottonie. Ostatni raz zadzwonił do niej kilka tygodni temu, ale nie odebrała. Zamiast tego wysłała mu lakonicznego e-maila – „Zostaw mnie w spokoju” – i najwyraźniej wziął sobie do serca jej słowa, ponieważ więcej nie próbował się z nią kontaktować. Cotton był dumnym mężczyzną, nigdy by się przed nią nie płaszczył, ona zresztą wcale tego nie oczekiwała. Jasno dała mu do zrozumienia, co myśli, a on uszanował jej uczucia.

Ale i tak za nim tęskniła.

Wszystko to nadal ciążyło jej na sercu. Po trosze czuła, że Cotton i Stephanie po prostu zrobili, co do nich należało, a okoliczności nie pozostawiły im większego wyboru. Z drugiej jednak strony miała już dość kłamstw nierozzerwalnie związanych z pracą służb wywiadowczych. Została wykorzystana. Nie dość na tym, sama się do tego przyczyniła. Myślała, że jest w stanie utrzymać sytuację pod kontrolą. Ale pomyliła się i kilku ludzi przypłaciło to życiem.

Jeszcze raz przeczytała pierwszą wiadomość od Stephanie w nadziei, że źle coś zrozumiała. Niestety, nie było mowy o pomyłce. Cotton miał kłopoty. To Stephanie ściągnęła ją do Utah i to do niej Cassiopeia miała większe pretensje niż do Cottona za to, co się wtedy stało. Dlatego w reakcji na tamte wydarzenia zerwała także wszelkie kontakty z szefową Magellan Billet. Nie żałowałaby, gdyby nigdy więcej nie zamieniła z tą kobietą ani słowa. Ale gdzie jest Cotton? Co się z nim dzieje? I dlaczego Stephanie uznała, że musi zwrócić się do niej o pomoc? Cassiopeia wiedziała, że powinna posłuchać głosu rozsądku i nie mieszać się do tego. Taka opcja nie wchodziła jednak w grę.

Wycofała się z głośnego kamieniołomu i skierowała porośniętą drzewami ścieżką w stronę swojego dworku. Jasne promienie porannego zimowego słońca padały z bezchmurnego nieba na ziemię poprzez gołe konary drzew. Latem zielone gałęzie dębów i wiązów łączyły się wysoko nad głową, tworząc naturalne sklepienie, przez co panował tu permanentny półmrok, a ciemny grunt po obu stronach przykrywał dywan z fioletowych wrzosów, janowców i polnych kwiatów. Teraz jednak był środek zimy, a powietrze było na tyle chłodne, że Cassiopeia miała na sobie płaszcz, chwilowo przyprószony pyłem wapiennym. Wiedziała, co musi zrobić. Stuknęła palcem w podświetlony numer w SMS-ie i poczekała na połączenie.

– Jak się masz? – spytała ją na wstępie Stephanie.

Nie interesowała jej gadka szmatka.

– Co się stało?

– Cotton jest w Rosji, wykonuje dla mnie pewne zadanie. Leciał małym samolotem, który został zaatakowany z ziemi. Spadł.

Cassiopeia zatrzymała się, zamknęła oczy i przygryzła wargę.

– Straciłam z nim łączność.

– Czy on żyje?

– Nie wiem i nie mam jak się dowiedzieć.

– Wyślij agenta.

– Nie mam już żadnych agentów. Moja jednostka została rozwiązana. Straciłam wszystkich ludzi. Nasz nowy prezydent ma inne priorytety i nie ma dla mnie miejsca w jego planach.

– Więc jak Cotton dostał się do Rosji?

– Sytuacja wymagała natychmiastowego działania. Biały Dom pozwolił mi go zatrudnić, żeby się tam rozejrzeć. Od czasu Utah wykonał dla mnie kilka drobnych zadań. Ale coś poszło nie tak.

Cassiopeia miała wrażenie, że nader często sprawy w jej życiu przybierają podobny obrót, zwłaszcza gdy tak świadomie kusiło się los. Przynajmniej przestała się już sama oszukiwać. Ostatnie, pełne refleksji tygodnie pozwoliły jej ujrzeć wiele rzeczy w nowym świetle. Wiedziała już, że ponosi odpowiedzialność za to, co się stało, w nie mniejszym stopniu niż Stephanie i Cotton. I to przede wszystkim tłumaczyło, dlaczego postanowiła jednak oddzwonić.

– Rosjanie poprosili nas o pomoc – dodała Stephanie.

– Pomoc w czym?

– Chcieli, żebyśmy rzucili okiem na parę chodzących reliktyw, które mogą okazać się problemem.

– Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, musisz powiedzieć mi wszystko.

Miała nadzieję, że Stephanie zrozumie to, czego nie wyraziła wprost. *Nie tak jak ostatnio, kiedy zataiłaś przede mną to i owo, a potem zwyczajnie mnie okłamałaś.*

Stephanie wytłumaczyła jej, w czym rzecz. Po upadku Związku Radzieckiego w 1991 roku większość komunistów w Rosji usunęła się w cień i starała się nie rzucać w oczy. Jednakże mała grupka zatwardziałyh zwolenników dawnego systemu przeniosła się na wschód i osiedliła się nad Bajkałem. Rosyjskie władze od czasu do czasu tam zaglądały, ale w dużej mierze zostawiały ich w spokoju, a oni odwdzięczali się tym samym. Nagle jednak coś się zmieniło.

– Jedna z nich jest tu, w Waszyngtonie – dodała Stephanie. – W tym momencie obserwuje ją Luke Daniels.

Cassiopeia pamiętała młodego, przystojnego agenta Magellan Billet, który był razem z nimi w Utah.

– Mówiłaś, że nie masz więcej agentów.

– Został do tego oddelegowany osobiście przez prezydenta.

Wiedziała oczywiście, że Luke Daniels jest bratankiem prezydenta Danielsa.

– Dlaczego Rosjanie są tacy skorzy do współpracy?

– Tego właśnie nie wiem. Ale już niedługo się dowiem.

– Ty i ja mamy nierozwiązany problem.

– Rozumiem. Ale zrobiłam to, co musiałam. Nie mam zamiaru nikogo przepraszać za to, co się wydarzyło w tamtej jaskini.

Cassiopeia nie spodziewała się niczego innego. Stephanie Nelle była twardą kobietą. Kierowała swoją jednostką z żelazną konsekwencją. Po raz pierwszy spotkały się kilka lat temu dokładnie tu, na terenie jej posiadłości. Od tamtej pory kilkakrotnie miały ze sobą do czynienia i Cassiopeia nigdy tego nie żałowała, aż do zeszłego miesiąca.

Wciąż do końca nie otrząsnęła się po incydencie na rusztowaniu. Nikt z ludzi, którzy dla niej pracowali, nie miał pojęcia o jej dodatkowych zajęciach. Nikt nie wiedział, że doskonale radzi sobie z bronią i potrafi wybrnąć z naprawdę trudnych sytuacji. Utrzymywała to wszystko w tajemnicy. To kolejny powód, dla którego Cotton był dla niej kimś wyjątkowym. Mieli ze sobą bardzo dużo wspólnego.



– Po co mi o tym wszystkim mówisz? – odezwała się. – Jestem bardzo daleko od Rosji.

W tym momencie z oddali dobiegło ją dudnienie wirników tłukących powietrze, z każdą chwilą coraz głośniejsze. Mrużąc oczy, spojrzała poprzez gałęzie drzew i dostrzegła zarys wojskowego śmigłowca lecącego od strony pobliskich wzgórz.

– Przysłałaś tu helikopter?

– Piętnaście kilometrów od ciebie znajduje się francuska baza wojskowa. Zadzwońłam gdzie trzeba i mogę cię przerzucić do Rosji w ciągu pięciu godzin. Musisz podjąć decyzję. Albo wsiądziesz do tego helikoptera, albo odeślesz go z powrotem.

– Dlaczego miałabym tam lecieć?

– Mogę ci podać praktyczne argumenty. Posiadasz wyjątkowe umiejętności. Jesteś wysoce wykwalifikowana, dyskretna, a do tego mówisz biegle po rosyjsku. Ale obie znamy prawdziwy powód.

Nastąpiła chwila ciszy, po której Stephanie powiedziała:

– Kochasz go, a on cię potrzebuje.

## ROZDZIAŁ 8

Luke podjął decyzję. Wykona otrzymany rozkaz i będzie tylko obserwował. Malone nauczył go, że agenci terenowi mogą praktycznie robić, co chcą, o ile tylko udaje im się osiągnąć zamierzony cel.

Ale nie dziś.

To była ewidentnie nieoficjalna, ściśle tajna operacja przeprowadzana na osobistą prośbę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dlatego Luke postanowił tym razem być grzecznym chłopcem i został na miejscu, patrząc w ślad za światłem latarki, które tańczyło za rozwaloną ścianą.

Usłyszał kilka stłumionych uderzeń, jakby coś upadło na podłogę.

Po chwili przerwy ten sam dźwięk rozległ się jeszcze kilka razy.

Anja Pietrowa najwyraźniej przyszła tu po coś konkretnego. W końcu przemierzyła tysiące kilometrów, żeby przybyć dokładnie w to miejsce. Luke musiał przyznać, że zżerała go ciekawość, ale powtarzał sobie, że wróci tu później, żeby zobaczyć, co takiego kryje się za ścianą.

Snop światła przesunął się w stronę prowizorycznego przejścia, a chwilę później ponownie pojawiła się w nim Anja. Wyłoniła się z dziury w ścianie, trzymając w rękach jedynie swoją latarkę. Luke, nie zwlekając ani chwili, cofnął się do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. Miał nadzieję, że Rosjanka nie pójdzie w jego kierunku. Usłyszał pstryknięcie i latarka zgasła, na powrót pograżając wnętrze domu w absolutnej ciemności. Mocno przywarł do ściany i wsłuchiwał się w stukot obcasów kobiety, która zdecydowanym krokiem ruszyła z powrotem w stronę drzwi wejściowych. Zakładał, że miała na nogach te same wysokie, skórzane buty, w których widywał ją przez ostatnich kilka dni.

Ostrożnie wyjrzał z kryjówki i zdążył zobaczyć, jak Anja znika w drzwiach. Odczekał jeszcze kilka sekund, po czym niemal bezszelestnie pospieszył za nią. Dotarł do wyjścia, gdzie spodziewał się zobaczyć, jak odjeżdża.

Ale w zasięgu wzroku nie było nikogo, a samochód wciąż stał na swoim miejscu.

Zanim zdążył zareagować, skoczyła mu na plecy i zarzuciła na szyję sznur, który zacisnęła jak garotę, odcinając dopływ tlenu do mózgu. Najwyraźniej odpowiednio skręciła wcześniej linkę, żeby ułatwić sobie zadanie. Nie dało się ukryć, że zrobiła to całkiem fachowo.

Luke'owi szybko zaczęło brakować powietrza.

W głowie rozbłysły mu światła, przed oczami wirowały czarne kręgi.

Ale on też nie był amatorem.

Zrywając z kodeksem dżentelmena z południa, mocno kopnął ją w kolano, jednocześnie przysuwając się bliżej, żeby pozbawić ją przewagi i uniemożliwić realizację śmiertelnego zamiaru.

Podstawowa zasada samoobrony: nigdy się nie odsuwaj, kiedy ktoś cię dusi.

Zignorowała pierwsze uderzenie, ale już drugie wytrąciło ją z równowagi.

Luke obrócił się w miejscu i trafił Anję łokciem w ramię, odtrącając ją i sprawiając, że wypuściła z rąk sznur. Zawirowała w miejscu na swoich obcasach, stanęła pewnie z rozpostartymi rękami i roześmiała się.

– To wszystko? – zapytała.

Ruszył do ataku, próbując wymierzyć jej kopniaka w korpus. Ale była zwinna jak ptak, zrobiła unik i sama kopnęła go w plecy na wysokości krzyża.

Bolało.

Ciągle jesszczenie doszedł do siebie po próbie duszenia, oddychał szybko i nierówno. Anja musiała

widzieć, że jest osłabiony. Bez wahania podskoczyła i wbiła mu obcas prawego buta w klatkę piersiową. Poleciał do tyłu, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i padł na ziemię, tłukąc głową o coś twardego.

Na moment pociemniało mu przed oczami.

Ona tymczasem wybiegła przez drzwi frontowe.

Luke wolno pozbierał się z ziemi. Ta kobieta była silna i umiała walczyć. Sprawiała przy tym wrażenie, jakby dobrze się bawiła. Najwyraźniej otrzymała inne rozkazy niż on.

*Nie daj się zdemaskować.*

Sama z siebie go zaatakowała.

Chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz i usłyszał dźwięk uruchamianego silnika, po czym zobaczył, jak Rosjanka odjeżdża. Wziął się w garść i rzucił w pościg. W biegu wyciągnął pistolet z zamiarem strzelenia w oponę albo w szybę, ale tylne światła jej samochodu były już daleko.

Pobiegł do swojego mustanga.

Mroźne powietrze boleśnie kłuło w płuca i gardło, ale nie zwalniał. Całe szczęście, że w ramach treningu każdego tygodnia przebiegał prawie dziesięć kilometrów. Jego trzydziestoletnie ciało składało się głównie z mięśni i zamierzał utrzymać ten stan tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

Dopadł do swojego samochodu, wskoczył do środka i odpalił silnik. Czas wykorzystać moc tych ośmiu cylindrów. Cofnął się kawałek, po czym z piskiem opon pomknął po zimnym asfalcie, minął żelazną bramę i wyjechał na główną ulicę. Była pusta. Zakładając, że kobieta wracała tą samą drogą, którą tu przyjechała, skręcił w lewo i wcisnął gaz do dechy. Przebywanie na odludziu w środku nocy miało swoje zalety – mógł jechać na pełnej prędkości, próbując dogonić uciekinierkę. Na drodze przed nim nie było żadnych świateł, nic też nie widział we wstecznym lusterku. Luke pamiętał, że ulica biegła dosyć prosto aż do wjazdu na autostradę.

Więc gdzie ona się podziała?

Odpowiedź poznał w chwili, gdy coś z hukiem uderzyło w jego tylny zderzak. W lusterku nagle rozblęły reflektory i Luke zrozumiał, że ta jedza na niego czekała.

Żaden problem.

Zdjął nogę z gazu i odbił w lewo, wjeżdżając na przeciwległy pas ruchu. Anja poszła w jego ślady i ponownie wbiła się w tył jego samochodu.

Naprawdę zaczynała go wkurzać.

Opony pisnęły i mustang obrócił się w prawo, a Luke niemal wypuścił kierownicę z rąk. Zniosło go aż do krawędzi drogi i samochód zachwiał się, zahaczając jednym kołem o miękkie pobocze. Przy tej prędkości mogło się to zakończyć katastrofą. Luke szarpnął kierownicą w lewo i wrócił na twardą nawierzchnię. Anja wykorzystała ten moment, żeby wjechać na lewy pas, i zrównała się z pojazdem Luke'a. Zerknął w jej stronę, ale było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Nagle jednak u niej w samochodzie zapaliła się wewnętrzna lampka i ujrzał przez okno jej twarz.

Anja spojrzała Luke'owi prosto w oczy, wydeła usta i posłała mu całusa.

Zaraz potem światło zgasło, a ona skręciła kierownicę i wjechała w bok jego samochodu.

Teraz naprawdę go wkurzyła.

Jego ford mustang z 1967 roku jeszcze kilka minut temu był w idealnym stanie.

Luke wcisnął gaz do dechy i postanowił sprawdzić, jak szybko jest gotowa jechać jego przeciwniczka. Raz po raz spoglądał to na nią, to na jezdnię. Przejechali już pod autostradą międzystanową 66 i mknęli dalej na północ, po pustkowiach Wirginii. Droga prowadziła pod górę, na niewielkie wzgórze. Anja ciągle jechała równo z nim na sąsiednim pasie, najwyraźniej zupełnie nie przejmując się tym, co może znajdować się po drugiej stronie wzniesienia.

Postanowił zatem jeszcze bardziej utrudnić jej życie.

Skręcił w jej stronę i zaczął spychać ją z drogi. Teraz nie robiło mu to żadnej różnicy. Jego mustang i tak wymagał już wizyty u blacharza.

Po lewej miała barierkę i kiedy Luke usłyszał ostry zgrzyt metalu o metal, wiedział, że udało mu się ją przygwoździć. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Szybko zerknął i zobaczył, że w jej samochodzie po stronie pasażera otwiera się okno. Chwilę potem ukazała się ręka Anji z pistoletem w dłoni. Jedyne, co mógł zrobić, to odbić mocno w prawo i schylić jak najniżej głowę, jednocześnie nie zdejmując nogi z gazu i rąk z kierownicy.

Rozległ się strzał i szyba w oknie eksplodowała. Luke zamknął oczy. Na przednie siedzenie posypało się szkło, kilka odłamków poraniło jego twarz i dłonie. Noga ześliznęła mu się z pedału gazu, przez co momentalnie zwolnił na tyle, że Anja zdołała wyrwać się do przodu. Wyprostował się i już miał ponownie ruszyć w pościg, gdy jej samochód nagle wjechał na jego pas i zmniejszył prędkość. Jakby sprawdzała, czy odważy się uderzyć w nią od tyłu.

Ostro odkręcił kierownicę w lewo.

Mustang wyskoczył na przeciwny pas ruchu i wyprzedził samochód Rosjanki. Ale gdy ją mijał, jego prawy bok zasypał grad kul, dziurawiąc karoserię i rozbijając tylne okno.

Usłyszał też dwa inne, donośne odgłosy, oznaczające nowe kłopoty.

Przebite opony.

Szarpnął kierownicą i poczuł, jak tyłem samochodu zarzuca na boki. Wiedział, że zbliża się do łuku, którego nie da rady pokonać na dwóch kołach. Ryzyko dachowania było zbyt duże, a mustang miał tylko zwykłe pasy bezpieczeństwa. W oczach czuł szczypiący pot. Zaczął zmniejszać prędkość, próbując odzyskać panowanie nad pojazdem. Koła zaklekotały. Głośny chrobot metalu na asfalcie oznajmił, że dla niego to już koniec trasy.

Anja tymczasem pognęła do przodu, prawie nie zwalniając, pokonała zakręt i zniknęła w ciemności nocy.

Luke zatrzymał się, otworzył drzwi i wysiadł.

Obszedł samochód dookoła i zobaczył dym unoszący się z dwóch przestrelonych opon. Cała prawa strona była upstrzona dziurami po kulach. Do tego dochodziły potężne wgniecenia, odrapany lakier i roztrzaskane szyby w oknach.

Cholerny oryginalny ford mustang z 1967 roku.

Doszczętnie zniszczony.

Walnął otwartą dłonią w maskę i zaklął. Potem kopnął w bok samochodu i rzucił kolejne przekleństwo. Dobrze, że jego matka tego nie słyszała. Nigdy nie lubiła wulgarnego języka.

*Nie daj się zdemaskować.*

To ostatnie, co usłyszał od wujka Danny'ego.

Nie poszło mu zbyt dobrze.

## ROZDZIAŁ 9

Stephanie zeszła na parter budynku Departamentu Sprawiedliwości. Niewiele mogła tu zdziałać z martwą linią telefoniczną służącą za jedyny środek komunikacji. Miała nadzieję, że telefon Cottona uległ tylko chwilowej awarii, a nie został całkiem zniszczony, kiedy jego właściciel rozbił samolot. Zadzwoiła do swojego odpowiednika w służbach rosyjskich, człowieka, który zwrócił się do Amerykanów o pomoc, a ten zapewnił ją, że zrobi rozeznanie w sytuacji. Zgodził się jednak, aby Cassiopeia przyjechała do Rosji jako wysłanniczka strony amerykańskiej. Wszystko to, co się ostatnio działo, wydawało się Stephanie co najmniej zastanawiające. Ale już wkrótce to nie będzie jej zmartwienie.

Zapięła płaszcz i wyszła przez drzwi frontowe, mijając punkt kontrolny. Chociaż zegarek wskazywał godzinę 3:40 nad ranem, nie czuła się ani trochę zmęczona. Postanowiła wrócić do hotelu Mandarin Oriental i czekać na wieści w swoim pokoju. Tam przynajmniej uwolni się od Litchfielda, choć z drugiej strony podejrzewała, że ten drań nie będzie się jej więcej naprzykrzał, dopóki nie stanie się jej oficjalnym przełożonym.

W normalnych warunkach czekałby na nią samochód, ale ten przywilej przeszedł do historii wraz z jednostką Magellan Billet. Praktycznie rzecz biorąc, była teraz osobą prywatną. Właściwie aż tak bardzo się tym nie przejmowała. Umiała się o siebie zatroszczyć, nauczyła się tego dawno temu.

W okolicach Construction Avenue dostrzegła trzy taksówki zaparkowane wzdłuż krawężnika. Postanowiła skorzystać z jednej z nich. Nocne powietrze było chłodne, ale suche. Wcisnęła dłoń w kieszenie płaszcza i ruszyła w stronę postoju. Waszyngton jeszcze nie zaczął budzić się do życia, na ulicach było cicho i spokojnie. Wznoszące się wszędzie wokół budynki rządowe były pogrążone w ciemności, dzień pracy miał się rozpocząć dopiero za kilka godzin. Niestety w jej branży nie obowiązywały godziny urzędowania. Kierowanie Magellan Billet to zajęcie całodobowe. Stephanie nie pamiętała, kiedy ostatni raz wzięła prawdziwy urlop.

Wielokrotnie się zastanawiała, jak będzie wyglądał koniec jej kariery. Nigdy nie przypuszczała jednak, że pewnego dnia po prostu wszystko się rozpadnie. Rzecz jasna nie oczekiwała fanfar czy uroczystych pożegnań, ale miło byłoby usłyszeć chociażby zwykłe podziękowanie za swoją pracę. I wcale nie miała na myśli Danny'ego. Wiedziała, jaki on ma do tego stosunek. Chodziło jej raczej o nową ekipę. Zwykła przyzwoitość nakazywałaby, żeby nowo mianowany prokurator generalny porozmawiał z nią twarzą w twarz. Ale ten dupek wolał się wdzięczyc do mediów i wysłał Litchfielda, by wykonał za niego brudną robotę. Zresztą nie powinna się dziwić. W polityce trzeba mieć krótką pamięć i nikogo nie obchodziło, że jednostka Magellan Billet została zlikwidowana. Szczerze mówiąc, inne agencje wywiadowcze pewnie są z tego zadowolone. Specjalna relacja łącząca Stephanie z Białym Domem od zawsze budziła ich zawiść. Ale sama zasłużyła na to zaufanie, ponieważ regularnie odnosiła sukcesy, co w niemałej mierze zawdzięczała Cottonowi. Dlatego właśnie musi teraz doprowadzić tę ostatnią operację do końca i pozostanie na posterunku aż do chwili, kiedy nowy prezydent złoży przysięgę i uściśnie rękę przewodniczącemu Sądu Najwyższego.

Przy chodniku obok niej zatrzymał się czarny cadillac, w którym otworzyło się tylne okno. W głowie Stephanie zapaliła się lampka ostrzegawcza, ale już po chwili rozpoznała znajomą twarz.

Nikołaj Osin.

Osin, rzekomo zatrudniany przez rosyjską misję handlową, w rzeczywistości pracował dla SWR, czyli Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, która powstała w miejsce zlikwidowanego

Pierwszego Zarządu Głównego KGB i zawiadywała wszystkimi rosyjskimi operacjami wywiadowczymi. On sam stał na czele rezydentury agencji w Waszyngtonie. I w przeciwieństwie do czasów zimnej wojny SWR i CIA nie utrzymywały już tożsamości szefów swoich placówek w tajemnicy – bardziej liczyło się bowiem to, by mogli szybko i sprawnie współpracować przy zwalczaniu globalnego terroryzmu. Teoretycznie Rosja i Stany Zjednoczone stały się dziś sojusznikami, ale ich stosunki nadal były napięte, a dawna nieufność nigdy do końca nie wygasła. Jednym z punktów spornych okazała się na przykład sama definicja terroryzmu. Dla Amerykanów kaukascy separatyści i Czeczeni byli bojownikami o wolność, tak jak Hamas czy Hezbollah dla Rosji. Tak naprawdę we wzajemnych relacjach dało się zauważyć więcej niezgody niż współpracy. I dlatego też prośba Osina, w wyniku której Cotton wyruszył nad Bajkał, wydawała się tak niezwykła.

Stephanie zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Kazałeś mnie obserwować?

– Przyjechałem tu po naszej rozmowie, w nadziei, że będziesz akurat wychodzić z biura. Chciałem zamienić z tobą słowo na osobności.

Jeszcze nigdy nie odniosła wrażenia, że Osin działa lekkomyślnie. Miał raczej reputację człowieka kompetentnego i rozważnego.

– O czym?

– O Forward Pass.

Ciekawe, ile lat minęło, odkąd po raz ostatni usłyszała tę nazwę? Co najmniej dwadzieścia pięć. I miało to miejsce całkiem niedaleko, jakieś półtora kilometra stąd, na Pennsylvania Avenue. Stephanie zastanawiała się, czy operacja wywiadowcza o kryptonimie Forward Pass nadal była chroniona klauzulą tajności. Niemal wszystkie niegdyś poufne dokumenty z lat osiemdziesiątych zostały już ujawnione, a po upływie trzydziestu lat i upadku Związku Radzieckiego zmieniły się z tajemnic państwowych w źródła historyczne. Na temat Reagana i jego wojny z komunizmem napisano setki książek. Stephanie sama kilka z nich przeczytała. Niektóre trafiały w sedno, inne trochę mniej, większość zupełnie rozmijała się z prawdą. W żadnej z nich nie widziała jednak wzmianki o Forward Pass.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała.

– Daj spokój, Stephanie. Ronald Reagan osobiście nazwał w ten sposób twoją operację.

*Stephanie wpatrywała się w prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nigdy dotąd nie znalazła się tak blisko najpotężniejszego człowieka na świecie.*

*– Al Haig mówi mi, że jesteś zdolnym prawnikiem – powiedział Reagan. – Ma o tobie bardzo dobre zdanie.*

*Siedzieli w Gabinetce Ovalnym, ona na małej sofie, on w fotelu, wyprostowany, z uniesioną wysoko głową i skrzyżowanymi nogami. Wyglądał jak aktor, którym kiedyś był. Późnym wieczorem Stephanie odebrała telefon od sekretarza stanu Haiga, który kazał jej niezwłocznie udać się do Białego Domu. Wydało jej się to co najmniej dziwne, w końcu była tylko prawniczką niższego szczebla z Departamentu Stanu. W momencie gdy dostała wiadomość, szykowała się już do spania, ale natychmiast z powrotem się ubrała i złapała taksówkę. A teraz rozmawiała w cztery oczy z naczelnym zwierzchnikiem sił zbrojnych.*

*– Słyszałem – powiedział Reagan – że zaczęłaś pracę w czasie kadencji prezydenta Cartera.*

*Pokiwała głową.*

*– W 1979 roku. Uznałam, że prywatna praktyka to nie dla mnie. Zawsze interesowały mnie stosunki międzynarodowe, więc zaczęłam się ubiegać o pracę w Departamencie Stanu i zostałam przyjęta.*

– Cyrus Vance mówi, że jesteś rewelacyjna.

Przyjęła komplement z uśmiechem. Jej były szef, sekretarz stanu w administracji Cartera, z czasem stał się dla niej też przyjacielem i mentorem. Tak samo jak ona uważał służbę państwu za wielki zaszczyt.

– Rozmawiał pan z Vance'em?

Reagan skinął głową.

– Chciałem poznać jego opinię. Stwierdził, że pewnego dnia sama mogłabyś zostać sekretarzem stanu.

Stephanie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc milczała.

– Ile masz lat?

W innych okolicznościach wykręciłaby się od odpowiedzi, ale nie tym razem.

– Dwadzieścia siedem.

– A więc pamiętasz lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Wiesz, co oznacza zimna wojna.

Owszem, wiedziała.

– Jakie jest twoje zdanie na temat Związku Radzieckiego? – zapytał.

Pytanie było w pełni uzasadnione, ponieważ w Departamencie Stanu przydzielono ją do wydziału odpowiedzialnego za relacje z Sowietami.

– Ten system jest z gruntu wadliwy. Mój ojciec mawiał, że jeśli musisz budować mury, żeby się zatrzymać ludzi w kraju, to znaczy, że masz poważny problem.

– Twój ojciec miał rację – odparł Reagan z uśmiechem. – Mam zamiar doprowadzić do końca Związku Radzieckiego.

Śmiałe słowa, do tego wypowiedziane nonszalanckim tonem. Lecz mimo to nie brzmiały jak puste przechwałki, bardziej jak prosta deklaracja misji, w którą najwidoczniej święcie wierzył.

– A ty mi w tym pomożesz.

Stephanie otrząsnęła się ze wspomnień i skupiła na twarzy w oknie samochodu. Od bardzo dawna nie wracała myślami do tamtego wieczora w Białym Domu. Następne siedem lat na zawsze zmieniło jej życie.

– Stephanie – odezwał się Osin. – Udało mi się ustalić, że samolot, którym leciał twój człowiek, eksplodował na jeziorze.

Na chwilę zamarło jej serce.

– Ale wybuch nastąpił już po lądowaniu. Znalezione tam dwa ciała, spalone na popiół. Wiemy, że to Rosjanie.

– Ani śladu Malone'a?

– Nie. Ale tamci dwaj zapewne mieli jakiś pojazd.

Ta myśl dodała jej nieco otuchy. Być może Cotton jednak zdołał się stamtąd wydostać.

– Czy moja druga agentka będzie miała wolną rękę? – upewniła się.

– Oczywiście.

Wszystko to zaczynało wyglądać naprawdę podejrzanie.

Zaledwie kilometr stąd robotnicy wznosili właśnie rusztowanie i stawiali platformę, na której już niedługo miała się odbyć inauguracja nowego prezydenta. Przed laty ceremonię tę organizowano po wschodniej stronie budynku Kongresu, ale Reagan podczas składania przysięgi chciał być zwrócony twarzą na zachód, w stronę Kalifornii, i od tamtej pory każdy kolejny prezydent szedł za jego przykładem. Zazwyczaj okres przejścia od jednej administracji do drugiej to względnie spokojny czas dla instytucji rządowych. Stara ekipa oddaje władzę, nowa dopiero się uczy, jak ją sprawować. Rzadko kiedy w tym

stanie zawieszenia dzieje się coś znaczącego. I akurat w tym momencie Rosjanie zwrócili się do Amerykanów o pomoc.

A teraz jeszcze Forward Pass.

– Może się ze mną przejedziesz? – zapytał Osin.

– Nie powiedziałaś mi, skąd znasz ten kryptonim.

– Na tym polega moja praca, muszę wiedzieć takie rzeczy. Ty tam byłaś, Stephanie, jako specjalna wysłanniczka Reagana w Watykanie. Miałaś swój udział w zawarciu umowy, która doprowadziła do upadku Związku Radzieckiego. Dla mnie to bez znaczenia. Szczerze mówiąc, cieszę się, że tamten reżim przeszedł do historii. Ale jest ktoś, kogo ta kwestia bardzo interesuje.

Nareszcie coś konkretnego.

– Aleksandr Zorin. On chce zemsty.



## ROZDZIAŁ 10

Zorin jechał wysypaną żwirem ścieżką wzdłuż brzegu jeziora, potem skręcił w głąb lądu i skierował się w stronę dziwnie wyglądającego, szaro-białego gmachu obserwatorium. Budynek, o bryle pełnej ostrych kątów, z wycelowanym w niebo długim, prostokątnym kształtem, przypominał jakieś dzieło sztuki nowoczesnej. Powstał dwadzieścia lat temu w celu badania słońca, ponieważ nad Bajkałem świeciło ono przez ponad dwieście dni w roku. Kilometr dalej, na sąsiednim wzgórzu, stało drugie, mniejsze obserwatorium, zajmujące się gwiazdami. Miało okrągłą kopułę, przez co bardziej pasowało do typowego wyobrażenia o tym, jak powinien wyglądać taki obiekt. O tej porze roku w żadnym z budynków nie było nikogo – słońce wisiało na niebie zbyt nisko, a noce były za bardzo zachmurzone. Z tego właśnie powodu Zorin wybrał to obserwatorium na miejsce spotkania z Amerykaninem.

Rozmowa z Wadimem Bielczenką wprawiła go w doskonały nastrój. Bielczenko był teraz jedyną osobą oprócz Anji, która знаła jego plany. Zorin dowiedział się też wreszcie, gdzie mieszka człowiek, o którym rozmawiali.

W Kanadzie.

Przy całej potędze Stanów Zjednoczonych, wszystkich wygranych wojnach i arogancji obejmującej zasięgiem całą planetę, Kanada pozostawała ich niekwestionowaną porażką. Dwukrotnie próbowały ją podbić i za każdym razem poniosły sromotną klęskę. Zorin zawsze uważał, że warto czerpać z tego faktu inspirację – był to jasny dowód, że to tak zwane mocarstwo nie jest niezwyciężone. On z kolei czuł się w Kanadzie jak u siebie. Służył tam przez trzy lata w latach osiemdziesiątych, dowodząc rozległą siatką szpiegowską KGB i korzystając z pomocy całej armii informatorów – urzędników państwowych, dziennikarzy, policjantów, robotników pracujących w fabrykach – czyli dosłownie każdego, od kogo dało się uzyskać przydatną wiedzę. Choć trudno w to uwierzyć, większość z nich pracowała za darmo i całkiem nieświadomie, wyjawiając istotne fakty w zwykłych, niezobowiązujących rozmowach. Kanada tradycyjnie zachowywała neutralność w światowych rozgrywkach – szczególnie podczas zimnej wojny – co w dużej mierze tłumaczyło łatwość zdobywania w tym kraju informacji wywiadowczych. Ludzie zazwyczaj mówili dużo swobodniej w państwie, które nie opowiadało się po żadnej stronie, i to czyniło Kanadę, podobnie jak Szwecję czy Szwajcarię, wymarzonym miejscem dla szpiegów.

Jego kwatery główna mieściła się w Ottawie. Była to placówka średniego szczebla, o nieporównanie mniejszym znaczeniu niż posterunki KGB w Londynie, Waszyngtonie, Paryżu czy Bonn. Nie przydzielano tam nigdy żadnego generała, wystarczył zwykły pułkownik, taki jak Zorin. Ale praca nie była zupełnie bez znaczenia. Kanada sąsiadowała z państwem będącym głównym wrogiem ZSRR i to samo w sobie czyniło ją istotną z punktu widzenia obu stron zimnej wojny. Władze nie szczędziły środków na funkcjonowanie placówki, ponieważ zadanie Zorina w Kanadzie polegało na przygotowaniach do nieuchronnej wojny z USA. Jak dziesiątki tysięcy innych oficerów KGB na całym świecie, stał się żołnierzem walczącym na niewidzialnym froncie. Jego bazami operacyjnymi były ambasady i misje handlowe, biura Aeroflotu i całe mnóstwo fasadowych przedsiębiorstw. A w przeciwieństwie do wojska, które przez większość czasu odbywało szkolenie w koszarach, funkcjonariusz KGB ruszał na wojnę w chwili, gdy stawiał nogę na obcej ziemi.

Zorin zatrzymał samochód i wysiadł. Znalazł się z powrotem na mrozie. Terenu obserwatorium nie strzegły żadne ogrodzenia. Bo i po co? Było tu tylko kilku naukowców i trochę mało znaczącego sprzętu. Budowla stała na niewielkim wzniesieniu, dzięki czemu górowała ponad bezkresną, błękitną taflą.

W gasnącym świetle słonecznym dostrzegł kontury starej łady mknącej po zamrożonym jeziorze. Raz na jakiś czas dało się usłyszeć znajomą symfonię trasków i pęknięć, które oznaczały, że płyty lodowe przesuwały się, tworząc nowy wzór z białych linii. Woda, nawet uwięziona pod lodową skorupą, wciąż żyła, nigdy się nie poddawała, nieustannie przystosowywała się do nowych warunków.

Tak jak on.

Miał na sobie rękawice, wysokie buty, futrzaną czapkę i płaszcz, a pod spodem gruby szary sweter z golfem; szyję owinał szalikiem. Zima zawsze przywodziła mu na myśl dzieciństwo w środkowej Rosji. Jego rodzice nie należeli do elity narodu, czyli aparatczyków, których pochodzenie automatycznie gwarantowało im na całe życie rozliczne przywileje. Nie mieli luksusowego mieszkania, letniej dachy ani dostępu do najlepszych towarów i usług. Jego ojciec był drwalem, a matka pracowała na roli. Zorin urodził się jako trzeci z ich synów, a jego życie zmieniło się diametralnie w wieku szesnastu lat, kiedy pewien robotnik z fabryki wręczył mu partyjną literaturę. Po raz pierwszy czytał wtedy o Leninie, Sowietach i robotniczej utopii. Wtedy też zaczął wierzyć. Dołączył do młodzieżówki komunistycznej, z początku dla zajęć rekreacyjnych, ale z czasem zaangażował się w politykę. W miarę jak jego własna rodzina się rozpadała, Sowietci rośli w siłę. Jego ojciec przez większość dzieciństwa syna mieszkał w innym mieście, a wizyty, które składał w domu co kilka tygodni, wciąż żyły w pamięci Aleksandra. Opowiadał wtedy o wielkiej wojnie, o swojej służbie w wojsku i o bitwie pod Stalingradem, w której brał udział i jako jeden z nielicznych przeżył. Zorin marzył kiedyś o tym, by iść na wojnę i walczyć u boku ojca, ale to nigdy się nie spełniło.

Jego rodzice zawsze wiązali ze swoim najmłodszym synem największe nadzieje. Chcieli, żeby się uczył, w przeciwieństwie do starszych braci, którzy byli zmuszeni wcześniej iść do pracy. „Dopilnuję, żebyś był wykształconym człowiekiem. A co potem zrobisz z tą edukacją, to już twoja sprawa”. I choć sporo można mu zarzucić, ojciec Zorina dotrzymał słowa: wysłał syna do szkoły średniej, gdzie ten dzięki swojej błyskotliwości, usposobieniu i talentowi organizacyjnemu zwrócił na siebie uwagę dygnitarzy partyjnych. Stał się członkiem nomenklatury, czyli tych, którzy cieszyli się względami władzy. Spędził siedem lat w szkole wojskowej, studiując marksizm, leninizm, filozofię, ekonomię i historię Partii Komunistycznej. Z dzikiego, impulsywnego i czasem aroganckiego chłopca, który nigdy nie przyznawał się do błędów, zmienił się w bystrego, cierpliwego i pełnego determinacji mężczyznę. Jak powiedział sam Lenin: „Dajcie nam swoje dziecko na osiem lat, a już na zawsze zostanie bolszewikiem”.

Podczas ostatniego roku w szkole pułkownik z GRU, czyli Głównego Zarządu Wywiadowczego, zarekomendował go do pracy w wywiadzie. Zorin zdał egzaminy wstępne i został przyjęty do podlegającego KGB Instytutu Czerwonego Sztandaru w Moskwie, łączącego funkcje obozu wojskowego, wyższej uczelni i szkoły dla szpiegów. Przyjmowano tam jedynie trzystu kandydatów rocznie, a ci, którzy ukończyli naukę w instytucie, zostawali agentami wywiadu zagranicznego i mogli odtąd być wysyłani do pracy w innych krajach. W instytucie Zorin nauczył się mówić płynnie po angielsku, dowiedział się także wszystkiego, co powinien wiedzieć o świecie zachodnim. Zgłębiał takie zagadnienia jak system bankowy i podatkowy, karty kredytowe, kredyty hipoteczne – zjawiska obce mieszkańcom Związku Radzieckiego, ale absolutnie podstawowe dla ludzi żyjących poza jego granicami. Uczono go także udzielania pierwszej pomocy i przeprowadzania rekonesansu, alfabetu Morse’a, umiejętności przetrwania w terenie oraz nawigacji na podstawie położenia słońca i gwiazd. Poznał techniki obrony przed bronią jądrową, biologiczną i chemiczną. Oprócz tego trenował skakanie ze spadochronem, nurkowanie z aparatem tlenowym i latanie samolotem. Podczas szkolenia po raz pierwszy siedział za kierownicą samochodu i opanował zasady ruchu drogowego – w Związku Radzieckim mało kto posiadał na własność cztery kółka.

Większość studentów nie kończyła kursu i musiała się zadowolić pracą polegającą na wyszukiwaniu

szpiegów na terenie kraju, dzięki czemu nie musieli opuszczać bezpiecznego łona ojczyzny. Zorin zdał egzaminy końcowe, uzyskał stopień porucznika i zdobył atrakcyjny przydział do jednostki zajmującej się Ameryką Północną. Dodatkową nagrodą było mieszkanie w pobliżu Kremla wyposażone w prywatną łaźnię, co stanowiło dowód na to, że jego przełożeni wiązali z nim niemałe nadzieje. Niecałe trzy lata później został wysłany za granicę, najpierw do Europy Zachodniej, potem do Ameryki. I podczas gdy wielu z jego kolegów po fachu traciło w tym momencie dawny zapał – sprawiał to uderzający kontrast pomiędzy obrazem kapitalizmu, jaki malowano przed nimi w domu, a tym, jak w rzeczywistości wyglądało życie na Zachodzie – on oparł się wszelkim pokusom i pozostał w pełni lojalny.

Ministerstwo Strachu. Tak określano niegdyś KGB.

Służba ta, z jej zarządami głównymi i dyrektoriatami, obejmowała swoim zasięgiem całe państwo, ale wszystko to straciło znaczenie 26 grudnia 1991 roku, kiedy wraz z uchwaleniem deklaracji numer 142-H dwanaście republik ZSRR zyskało niepodległość. Oznaczało to koniec Związku Radzieckiego, który zastąpiła Wspólnota Niepodległych Państw. Michaił Gorbaczow, ostatni sekretarz generalny partii, przekazał pełnię władzy nowemu prezydentowi Rosji, Borysowi Jelcynowi.

Na samą myśl o Jelcynie Zorinowi robiło się niedobrze.

Ten niekompetentny, skorumpowany pijak otoczył się ludźmi, którzy okradali swój kraj i w ten sposób stali się miliarderni. Zorin, tak jak miliony jego rodaków, czuł się zdradzony zarówno przez Jelcyna, jak i oligarchów, w większości krewnych i znajomych prezydenta, którzy wyrosli na gruzach ZSRR i spijali śmietankę, całej reszcie zostawiając zsiadłe mleko. W Związku Radzieckim przynajmniej był porządek, czego nie dało się powiedzieć o Federacji Rosyjskiej. Zabójstwa na zlecenie stały się niemalże osobną gałęzią biznesu. Mafia kontrolowała wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, łącznie z bankami i wielkimi koncernami, i budziła znacznie większy strach niż KGB nawet za najgorszych czasów. Pierwsze socjalistyczne państwo na świecie przekształciło się w państwo przestępcze. Autorytarne, ale bez żadnych autorytetów. Dwa nieudane przewroty, w 1991 i 1993 roku, na dobre zraziły ludzi do ideałów komunizmu.

Zorin wciąż pamiętał tamtą grudniową noc, kiedy czerwony sztandar ZSRR został po raz ostatni opuszczony z masztu nad Kremlem i na jego miejscu zawieszono trójkolorową flagę Rosji.

Tak skończyła się zimna wojna.

A potem zaczął się koszmar.

Poziom inflacji sięgnął dwustu pięćdziesięciu procent. Krajowa gospodarka skurczyła się o piętnaście procent. Wstrzymywano wypłacanie pensji i emerytur, pieniądze praktycznie wyparowały. Dla Zorina czara goryczy się przelała, gdy pewnego dnia wyszedł kupić chleb. W sklepie napotkał starego człowieka, który miał na sobie swoje wszystkie ordery z czasów drugiej wojny światowej. Mężczyzna pytał, czy może kupić ćwierć bochenka, ponieważ tylko na tyle było go stać. Sprzedawca odmówił, więc Zorin wystąpił naprzód i zaproponował weteranowi, że kupi mu cały bochenek, ale ten odrzucił ofertę, mówiąc: „Jeszcze mam swoją dumę”.

On także nigdy jej nie stracił. Dlatego też przeprowadził się na wschód, gdzie nie musiał już więcej patrzeć na ten upadek.

Zaczął rozcierać ręce, żeby je rozgrzać, i zerknął na zegarek.

Amerykanin powinien już tu być.

Zorin przepracował dwadzieścia lat jako funkcjonariusz tajnych służb. Ludzi z KGB nigdy nie określano mianem agentów, mówiono na nich albo „funkcjonariusze”, albo „oficerowie”, co zawsze mu się podobało. Jego praca przynosiła mu chlubę. Walczył za swoją ojczyznę bez jakichkolwiek uprzedzeń, szykując się do nieuchronnej wojny ze Stanami Zjednoczonymi. W samym XX wieku siedemdziesiąt pięć milionów Rosjan zmarło w wyniku rewolucji, konfliktów zbrojnych, głodu i rządów terroru. Przez

amerykańską ziemię od połowy XIX wieku nie przetoczyła się żadna wojna, natomiast Rosja była nieustannie pustoszona. Zorin uczone, że jedynym sposobem na pokonanie wroga jest przeniesienie walki na jego terytorium, i na tym w dużej mierze polegała jego misja. Nowa Federacja Rosyjska stworzyła własną służbę wywiadowczą, SWR, ale agencja ta w niczym nie przypominała swojej poprzedniczki. Bezpieczeństwo narodowe przestało być uważane za priorytet, zamiast tego skupiono się na szpiegostwie handlowym i przemysłowym. SWR istniała chyba tylko po to, by szefowie mafii mogli się bez przeszkód bogacić. Zorin chciał służyć swojemu państwu, a nie przestępcom, więc postanowił odejść. Wielu z jego współpracowników także zrezygnowało z dalszej służby i w większości znaleźli zatrudnienie w syndykatach zbrodni, w których ceniono ich kwalifikacje. Jego także kusiła ta perspektywa, ostatecznie jednak nie zdecydował się na ten krok i w efekcie po raz pierwszy w życiu stał się bezrobotny.

Nie posiadał się z radości, gdy w 1999 roku Jelcyn nareszcie ustąpił ze stanowiska. Oglądał to w telewizji, pamiętał, co mówił ten zapijaczony dureń: „Chcę prosić was o wybaczenie za marzenia, które się nie spełniły, a także za nadzieje, które okazały się nieuzasadnione”.

Rychło w czas.

Niestety szkody były już nieodwracalne.

Zorin w dalszym ciągu posiadał rosyjski paszport i po dziś dzień nosił przy sobie swoją legitymację emeryta Partii Komunistycznej i KGB, chociaż nigdy nie zobaczył z tej emerytury ani rubla. Mało kto rozumiał, w jaki sposób Związek Radziecki został tak naprawdę rzucony na kolana. Zorin postanowił, że będzie jednym z tych nielicznych, dlatego przeczytał na ten temat wszystko, co był w stanie zdobyć. Wadim Bielczenko, przebywający obecnie w jego daczce, także znał każdy szczegół.

Ponownie spojrzął na zegarek. Ciekawe, jak tam Anja i jej misja w Wirginii? Miała przy sobie jednorazowy telefon komórkowy, który kupił dla niej w Irkucku. On sprawił sobie taki sam i uzgodnili, że będą się ze sobą kontaktować, tylko jeśli okaże się to absolutnie konieczne. Przenośne telefony nie istniały za jego czasów, ale starał się być na bieżąco z rozwojem techniki; nauczył się też używać komputera i wykorzystywać możliwości, jakie stwarzał internet.

Między nim a Anją było dwadzieścia siedem lat różnicy. Jego pierwsza żona zmarła na raka, a syn z powodu przedawkowania narkotyków. Bardzo mocno przeżył ich śmierć. Całe życie uczone go, by działał, opierając się zarówno na sprawdzonych faktach, jak i na przypuszczeniach. By był ostrożny i gotowy na wszystko. I absolutnie opanowany. Przede wszystkim jednak miał w sobie fundamentalne umiłowanie szczerości, które kazało mu zawsze być uczciwym wobec samego siebie.

Anja również była silną osobą. Przepęłniały ją żądza i gniew, dwa uczucia, które Zorin rozumiał doskonale. Pojawiła się w jego życiu kilka lat temu, kiedy desperacko potrzebował kogoś, kto podzieli jego pasję. Na szczęście miała słabość do starszych mężczyzn, zwłaszcza takich, którzy niczego nie udawali. Tamtego dnia, kiedy w końcu wyjawiał jej swoje cele i ambicje, jej reakcja była natychmiastowa.

*Zrobimy to razem.*

Sprawiła mu tym wielką radość.

Po raz trzeci zerknął na zegarek. Zostało jeszcze pięćdziesiąt pięć godzin.

Naprawdę myślał, że Amerykanin się tu zjawi, ale najwidoczniej został przez niego okłamany.

Żaden problem.

Jak każdy dobry funkcjonariusz przewidział i tę ewentualność.

# ROZDZIAŁ 11

Stephanie nigdy wcześniej nie słyszała o Aleksandrze Zorinie, dlatego poprosiła Nikołaja Osina o wyjaśnienia.

– To były oficer KGB i GRU, dowodził także oddziałem specnazu.

Teraz już rozumiała. Specnaz to radzieckie siły specjalne, które swego czasu przeprowadzały zamachy, naloty i akty sabotażu. Utworzono je po drugiej wojnie światowej na wzór amerykańskich komandosów i nazywano wojskami „specjalnego przeznaczenia” – w skrócie „specnaz”. Skoro Zorin stał kiedyś na czele jednej z tych jednostek, to znaczy, że nie można go lekceważyć. Bez wątpienia jest świetnie wyszkolony, a do tego znacznie bardziej przyzwyczajony do działań ofensywnych niż defensywnych.

– A za co ten Zorin chce się mścić?

– Tęskni za komunizmem.

– To niech się przeprowadzi do Chin.

– Wątpię, żeby pałał wielką miłością do Chińczyków. Jest raczej tradycjonalistą i prawdziwym wyznawcą leninizmu. A przy tym wyjątkowo niebezpiecznym. Był także częścią specjalnej grupy operacyjnej.

Stephanie wiedziała, o czym mówi. Te specjalnie przygotowane jednostki infiltrowały wrogi kraj jeszcze przed wybuchem wojny albo tuż po nim. Ich zadanie polegało na zakłócaniu pracy elektrowni i sieci komunikacyjnych, niszczeniu tam, autostrad i innych celów o strategicznym znaczeniu. W skład tych grup wchodziłi eksperci od broni, materiałów wybuchowych i min oraz zawodowi zabójcy. Wszyscy byli także pilotami i posługiwali się płynnie przynajmniej dwoma językami obcymi, w tym niemal zawsze angielskim.

– Służył w naszej armii podczas wojny z Afganistanem – dodał Osin. – Zresztą wykazywał się tam dużą skutecznością.

– Nikołaj, proszę, powiedz mi, o co tu naprawdę chodzi.

Stephanie liczyła na to, że jej pojednawczy ton rozwiąże język starego szpiega. Wszystko zaczęło się od telefonu, który wykonał do niej Osin. Kilka dni wcześniej Kreml zwrócił się do Białego Domu z prośbą o pomoc, a prezydent Daniels skierował Rosjan właśnie do Stephanie.

Sytuacja, którą przedstawiono jej na początku, wydawała się stosunkowo prosta. Były archiwista KGB, niejaki Wadim Bielczenko, zaginął. Rosyjskie służby obserwowały go, odkąd dawno temu zdano sobie sprawę, że ludzie jego pokroju mogą stanowić wielkie zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Archiwiści mieli swego czasu nieskrępowany dostęp zarówno do tajnych informacji wywiadowczych, jak i najbardziej poufnych dokumentów państwowych. Zbyt dużo wiedzieli i dlatego lekceważenie ich mogło okazać się fatalne w skutkach. Nauczką dla wszystkich był przypadek niejakiego Mitrochina, który w 1992 roku przemycił na zachód dwadzieścia pięć tysięcy stron tajnych akt, obnażając funkcjonowanie sowieckiego wywiadu i jasno dowodząc, że KGB z czasem stała się największą służbą wywiadowczą na świecie.

*Tarcza i miecz Partii.*

Tak brzmiało motto agencji.

I tylko dzięki jej archiwistom Zachód zyskał jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak bardzo jest niebezpieczna. Stephanie doskonale rozumiała więc, dlaczego Bielczenko znalazł się na liście osób, które należy baczenie obserwować. Jedyne, czego jeszcze nie wiedziała, to czemu ten człowiek stał się tak ważny akurat w tej

chwili i jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Zorin.

– To głęboko rozgoryczony człowiek – powiedział Osin. – Uciekł na wschód po upadku ZSRR, razem z mniej więcej setką innych wygnańców. Przez wiele lat żyli nad Bajkałem bez żadnych incydentów. Ostatnio jednak coś się zmieniło. Zorin zna Bielczenkę. Na przestrzeni lat komunikowali się ze sobą wiele razy. Ale jeszcze nigdy Bielczenko sam nie udał się na wschód.

Na tym właśnie polegała misja Cottona. Miał obejrzeć dację oraz okoliczną wioskę i spróbować zlokalizować Bielczenkę.

– Czemu nie wysłaliście swoich ludzi? – zapytała Stephanie. – Dlaczego zwróciliście się do mnie?

– Z kilku powodów. Najważniejszy z nich jest taki, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z Rosją. To zewnętrzny problem.

– Mógłbyś mówić jaśniej?

– Jeżeli twój agent znajdzie Bielczenkę, z przyjemnością wszystko ci wytłumaczę. Na razie powiedzmy tylko, że w moim odczuciu nie jesteśmy wrogami, chociaż czasami trudno to stwierdzić z całą pewnością. Kazano mi zaangażować w to was, żeby okazać naszą dobrą wolę.

A także, zdała sobie sprawę Stephanie, po to, by Moskwa mogła się wyprzeć odpowiedzialności, gdyby coś poszło nie tak. „Przynajmniej uczestniczyliście w tym od samego początku” – tak będą się tłumaczyć. Osin miał też rację co do obecnych stosunków między oboma krajami. Rosja i Stany Zjednoczone nie rywalizowały już ze sobą w sposób otwarty. Ale chociaż zimna wojna skończyła się dawno temu, wzajemne stosunki nadal były dość ozięble. Stephanie przeczuwała jednak, że ta afera przypomina raczej dawne czasy.

– Na razie – dodał Osin – istnieje szansa, że stronami w tym konflikcie są wyłącznie Zorin i Stany Zjednoczone. Taką przynajmniej mamy nadzieję. Dlatego uznałem za rozsądne was ostrzec. Nie chcemy, żebyście przegrali.

Ta zastanawiająca uwaga z pewnością wpisywała się w całą gamę dziwnych rzeczy, które działy się ostatnio.

Osin spojrział na Stephanie zaskakująco przyjaznym wzrokiem, po czym spytał:

– Słyszałaś o Stanisławie Łuniewie?

Oczywiście. Były oficer armii radzieckiej i najstarszy rangą funkcjonariusz tamtejszego wywiadu, jaki kiedykolwiek przeszedł na stronę Stanów Zjednoczonych. Łuniew zbiegł na Zachód w 1992 roku i od tamtej pory żył w ukryciu. W międzyczasie spisał jednak swoje wspomnienia, które zatytułował *Oczami wroga*. Stephanie czytała je kilka razy. Szczególnie jedno zdanie z tej książki na zawsze wryło jej się w pamięć: „Najlepszym szpiegiem będzie człowiek, którego wszyscy lubią, a nie tajemnicza postać czająca się w kącie”.

– To, co twierdzi Łuniew, to prawda.

Wiedziała, co ma na myśli. W swoich wspomnieniach Łuniew ujawnił pewne szokujące fakty. Napisał o sowieckiej broni o kryptonimie RA-115. W Ameryce nazywano je walizkowymi bombami jądrowymi. Każda ważyła około dwudziestu kilogramów i zawierała ładunek o mocy sześciu kiloton. To stosunkowo niewiele w porównaniu z bombami, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki – miały one siłę odpowiednio szesnastu i dwudziestu kiloton – ale na ograniczonej przestrzeni sześć kiloton jest w stanie dokonać naprawdę ogromnych zniszczeń. Kongres zakazał produkcji tego rodzaju broni w 1994 roku, choć zakaz ten uchylono dziesięć lat później. Mimo to, z tego, co wiedziała Stephanie, Stany Zjednoczone nie posiadały bomb walizkowych w swoim arsenale. Co innego dawny Związek Radziecki i dzisiejsza nowa Rosja. Przypomniała sobie niepokojącą sprawę z 1997 roku, kiedy rosyjski doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego oznajmił w telewizyjnym programie *60 Minutes*, że los ponad stu ładunków RA-115 pozostaje nieznany. Nikt nie wie, czy zostały zniszczone, czy skradzione. W Kongresie odbyła

się seria przesłuchań, podczas których eksperci debatowali nad tym, czy ta broń w ogóle istnieje.

– To znaczy, że RA-115 to prawda?

Osin pokiwał głową.

– Sowieci wyprodukowali dwieście pięćdziesiąt sztuk. Są mniej więcej tej wielkości. – Rękami nakreślił w powietrzu prostokąt o rozmiarach mniej więcej sześćdziesiąt na czterdzieści centymetrów. – Otrzymywały je jednostki wywiadu wojskowego KGB i GRU, stworzone z myślą o operacjach specjalnych. Po upadku Związku Radzieckiego przejęło je SWR i tak już zostało.

Stephanie zastanawiała się, na ile może mu wierzyć. Zazwyczaj państwa nie dzieliły się między sobą tego typu informacjami. O tym, że rosyjski arsenał nuklearny jest bardzo słabo zabezpieczony, słyszało się już w 1990 roku. Na mocy decyzji podjętej przez Kongres w 1991 roku Amerykanie zaczęli udzielać Rosji wsparcia technicznego w celu wyeliminowania jej głowic bojowych i objęcia lepszą kontrolą materiałów do produkcji broni jądrowej. Na szczęście do dziś nigdzie nie znaleziono żadnej zaginionej czy skradzionej bomby. Z czasem wrzawa wokół potencjalnego zagrożenia ucichła i bomby walizkowe trafiły do sfery kina i telewizji. W prawdziwym świecie nigdy nie widziano ani jednej. A teraz Osin zakomunikował Stephanie, że nie tylko istnieją, ale także jest ich aż dwieście pięćdziesiąt.

– Nasze służby kontrwywiadowcze ciężko pracowały, żeby zbagatelizować zagrożenie i zdyskredytować media, które zbyt interesowały się tym problemem – powiedział. – Skutecznie odwracaliśmy uwagę opinii publicznej.

To fakt. Stephanie pamiętała, że prawdziwość faktów zaprezentowanych w programie *60 Minutes* stała pod znakiem zapytania, kiedy się okazało, że w czasie emisji producent promował właśnie napisaną przez siebie książkę o zagrożeniach nuklearnego terroryzmu. Ten sam producent uczestniczył także przy tworzeniu filmu *Peacemaker*, który dopiero co miał premierę – obraz opowiadał o poszukiwaniach broni jądrowej skradzionej przez terrorystów. Wszystko to poważnie nadszarpnęło jego wiarygodność.

– Nie marnujecie czasu – skomentowała Stephanie. – Zawsze coś kombinujecie.

Uśmiechnął się.

– Mógłbym powiedzieć to samo o was.

– Co to ma wspólnego z Wadimem Bielczenką?

– Nadal nie wiadomo, co się stało z osiemdziesięcioma czterema spośród tych RA-115.

Choć było to szokujące wyznanie, Stephanie zachowała spokój i opanowanym głosem odparła:

– I dopiero teraz nam o tym mówicie?

– Dobra wiadomość jest taka, że ta broń jest dobrze ukryta w miejscach, o których wie tylko garstka ludzi. Zła jest taka, że do tej garstki zalicza się też Wadim Bielczenko.

Teraz to w głosie Osina dało się usłyszeć pewną nerwowość.

– I uważasz, że Aleksandr Zorin szuka jednej z tych walizek?

– Nie można tego wykluczyć.

Jechali po wyludnionych ulicach Waszyngtonu, mijając pozamykane budynki i puste chodniki. Stephanie od chwili, gdy odebrała telefon od Osina, czuła, że coś naprawdę jest nie tak. Później zadzwonił drugi raz, aby ją ostrzec, że na terenie Stanów Zjednoczonych przebywa kobieta, którą trzeba mieć na oku.

– Powiedz mi coś więcej o Anji Pietrowej.

– Jak już mówiłem, to kochanka Zorina. Jakieś dwadzieścia pięć lat młodsza od niego, wyszkolona w policji. Wygląda na to, że podziela jego żądzę zemsty. Przysłał ją tu w konkretnym celu. Miejmy nadzieję, że uda ci się dowiedzieć, jaki to cel.

Pomyślała o Luke’u Danielsie, który miał za zadanie nie odstępować Pietrowej na krok. Powinien

sobie poradzić.

– Bomba RA-115 – podjął Osin – jest skonstruowana tak, aby przetrwała długie lata, jeśli tylko będzie podłączona do źródła zasilania. Jest też wyposażona w awaryjną baterię na wypadek utraty mocy. Kiedy bateria zacznie się wyczerpywać, nadajnik wysyła drogą satelitarną zaszyfrowaną wiadomość do najbliższej rosyjskiej ambasady albo konsulatu.

– Czy kiedykolwiek odebrano taki sygnał?

Osin pokiwał głową.

– Siedemdziesiąt dziewięć razy. Ani razu nie podjęto żadnych działań.

– Czyli wszystkie bomby są dziś rozładowane i niegroźne.

– Zgadza się. Pozostaje jeszcze pięć. Od nich nie odebrano nigdy żadnego sygnału.

– Czy to możliwe, że ciągle działają? – Zapytała, a po chwili dodała: – Po dwudziestu latach z okładem?

– Zorin najwyraźniej tak uważa.

– Więc odzyskajcie je.

– Nie wiemy, gdzie szukać. Zniknęły wszelkie dokumenty na ich temat. Prawdopodobnie zniszczył je Bielczenko.

– W ramach zabezpieczenia na spokojną starość?

Osin się uśmiechnął.

– Zapewne. Niestety Zorin chyba odkrył to, co wiedział tylko Bielczenko.

Teraz stało się jasne, dlaczego poszukiwania starego archiwisty to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Stephanie poczuła wibracje swojego telefonu.

W normalnych warunkach by to zignorowała, ale ponieważ ciągle jeszcze była w kontakcie z Białym Domem, postanowiła spojrzeć na wyświetlacz.

Luke Daniels. Zły znak.

– To może być coś związanego ze sprawą – powiedziała.

– Odbierz, proszę.

Stephanie słuchała przez chwilę relacji Luke'a z tego, co wydarzyło się w Wirginii.

– Zakładam, że wiesz o wszystkim, dlatego postanowiłem zadzwonić do ciebie zamiast do niego. Nie chcę słuchać, jak bardzo dałem ciała. Ale wiem, że i tak mnie to nie ominie. Ta kobieta zniknęła mi z oczu.

– Gdzie jesteś?

– Wezwałem pomoc drogową i odholowali mojego mustanga na parking zaraz przy międzystanowej numer sześćdziesiąt sześć.

Podał jej dokładne namiary.

– W tym domu – dodał – trzeba się będzie jeszcze raz rozejrzeć. Nie powinien zbyt długo stać otwarty.

Stephanie przyznała mu rację.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała do telefonu, po czym spojrzała na Osina. Był z nią szczery, ona natomiast miała bardzo ograniczone możliwości i nie chciała, żeby Bruce Litchfield znowu wtrącał się w jej pracę. Nie było innego wyjścia.

– Potrzebuję twojej pomocy. Musimy jechać do Wirginii. To ma związek z Anją Pietrową.

– Podaj mi tylko adres, a mój kierowca nas tam zawiezie.



## ROZDZIAŁ 12

Malone nie miał najmniejszego zamiaru spotykać się z Zorinem w żadnym obserwatorium. To byłby przecież szczyt głupoty. Dlatego ominął dziwaczną budowlę na skalistym wzniesieniu i jechał jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów na północ, aż dotarł do daczy. Dwupasmowa ulica obrysowana śniegiem biegła równoległe do brzegu jeziora. Malone minął po drodze dwa samochody jadące w przeciwnym kierunku, przez co nabrał jeszcze większych podejrzeń co do prawdziwych intencji Zorina. Wiedział, że jedyne, co czeka na niego w tym obserwatorium, to poważne kłopoty. Postanowił więc udać się prosto do jaskini lwa.

Malone miał doskonałe wyczucie kierunku, po części dzięki swojej ejdetycznej pamięci. Był to dar, który posiadał od urodzenia. Często się zastanawiał, po kim go odziedziczył, aż któregoś dnia matka powiedziała mu, że jego ojciec miał podobny talent. Malone zdążył się już przyzwyczaić do tego, że nigdy nie zapominał żadnych szczegółów. Pamiętał co do słowa wypracowania, które pisał w podstawówce, i co się dokładnie działo podczas każdego kolejnych świąt Bożego Narodzenia. Ta zdolność na pewno przydawała mu się w pracy prawnika, a potem w czasie służby w jednostce Magellan Billet. Dziś pomagała mu w katalogowaniu rzadkich książek w jego antykwariacie w Kopenhadze. Ale z tej samej przyczyny nie potrafił uwolnić się od wspomnień o Cassiopei Vitt. Pamiętał każdą chwilę, jaką spędzili razem, a to niekoniecznie było takie przyjemne.

Znalazł krętą dróżkę, którą wcześniej widział z samolotu. Prowadziła na wzniesienie, gdzie stała dacza. Ostrożnie zjechał z głównej drogi i znalazł się między drzewami, a chwilę potem zatrzymał ciężarówkę na zaśnieżonej polanie. Wysiadł i ruszył pieszo w stronę domu, grzęznąc w suchym śniegu i dla utrzymania równowagi łapiąc się pni drzew. Ogołoczone z liści drzewa wyciągały gałęzie przypominające kolczaste macki do ciemniejącego z każdą chwilą nieba. Zacinający, mroźny wiatr boleśnie szczypał w oczy. Malone utrzymywał się w formie dzięki codziennym ćwiczeniom, ale ta wspinaczka na przejmującym zimnie wystawiła jego kondycję na ciężką próbę.

Kiedy dotarł na szczyt, obejrzał się za siebie i zobaczył na śniegu ślady stóp zdradzające jego położenie. Dalszą drogę blokowało zardzewiałe, druciane ogrodzenie, które sięgało do pasa. Malone poczuł na szyi kłujący podmuch lodowatego wiatru znad jeziora. Skrył się za grubą sosną i obrzucił wzrokiem daczę. Z trzech kominów nadal unosił się dym. Jeden z dwóch pojazdów, które stały wcześniej przed domem, zniknął. Malone wyłowił uchem płynące z niedaleka dźwięki ludowej muzyki i szybko zlokalizował jej źródło – mały okrągły budynek gospodarczy, cały z drewna, z jednymi drzwiami i bez okien, z którego stożkowego dachu wydobywała się cienka smuga pary.

Otrzymał zadanie odnalezienia Wadima Bielczenki. W tym celu pokazano mu zdjęcie Rosjanina zrobione kilka lat temu. Facet podobno był kiedyś archiwistą KGB. Po namierzeniu go Malone miał się natychmiast wycofać i zameldować o wszystkim. To pierwsze wydawało się stosunkowo łatwe, ale druga część zadania mocno się skomplikowała, odkąd jego komórka została zniszczona. Zdobył jednak ciężarówkę, więc na pewno da radę znaleźć gdzieś na tym pustkowiu telefon.

Przeskoczył przez ogrodzenie i znalazł się na asfaltowej nawierzchni ciągnącej się od końca podjazdu do samego domu. Parujący budynek, z którego dobiegała muzyka, stał nieco dalej. Malone posuwał się ostrożnie, żeby nie przewrócić się na ciemny lód.

Doszedł do drzwi okrągłej chatki i bez wahania wszedł do środka. W progu uderzyła go fala gorącego, suchego powietrza. W głąb budynku prowadziło kolejne przejście, zakryte futrzanym pledem zwisającym

z futryny. Lekko odsunął zasłonę i ujrzał za nią coś w rodzaju sauny. Pośrodku pomieszczenia, pod stosem gorących kamieni, palił się ogień. Na jednej z sosnowych ław naprzeciwko drzwi siedział starszy mężczyzna. Był nagi, nogi miał wyciągnięte przed siebie, a powykręcane przez reumatyzm ręce splecione za głową. Malone rozpoznał jego twarz – widział ją na fotografii.

Wadim Bielczenko.

Muzyka dobiegała z małego odtwarzacza kompaktowego leżącego na ławce. Malone wśliznął się do środka i podszedł do starszego człowieka. Szeroka i płaska twarz koloru brudnego śniegu przypominała pozbawioną wyrazu maskę. Zamknięte oczy niemal ginęły w fałdach pomarszczonej skóry. Wilgotne blond włosy kleiły się do czaszki, a o zaawansowanym wieku wyraźnie świadczyły zapadłe policzki i klatka piersiowa. Mężczyzna spokojnie palił cygaro o bardzo intensywnym zapachu.

Malone schylił się i wyłączył muzykę.

Bielczenko otworzył oczy i wyprostował się. Oboje oczu miał zamglone przez kataraktę.

– Nazywam się Cotton Malone – odezwał się Malone po angielsku.

Bielczenko wpatrywał się w niego.

– I co pan tu robi?

– Przyszedłem sprawdzić, czy jest pan cały i zdrowy.

– A dlaczego miałbym nie być?

– Zniknął pan bez śladu i ludzie zaczęli się martwić.

– Chce pan powiedzieć, że rosyjskie służby bezpieczeństwa zaczęły się o mnie martwić. A dlaczego przysłali Amerykanina, żeby sprawdził, co u mnie słychać?

Jego głos był niski i gardłowy. Mówił jednostajnym tonem, niezdradzającym żadnych emocji.

– Sam się nad tym zastanawiałem.

Bielczenko wypuścił z ust chmurę niebieskawego dymu, który poszybował do góry.

– Jest pan szpiegiem?

– Już nie.

Gorące powietrze parzyło w nozdrza, więc Malone starał się oddychać płytko i przez usta. Po plecach ściekła mu strużka potu, zostawiając za sobą nieprzyjemny chłód.

– Powiedzmy, że teraz jestem szpiegiem na pół etatu.

– Za moich czasów też kilku takich mieliśmy. Nigdy za nimi nie przepadałem.

– Gdzie jest Zorin?

– Poszedł spotkać się z panem.

Malone nie przyjechał tutaj, żeby ucinąć sobie pogawędki. Tak naprawdę jego zadanie zostało wykonane. Znalazł Bielczenkę i teraz musiał tylko powiadomić kogo trzeba. Ale czasem trudno pozbyć się starych nawyków i dlatego nie mógł się powstrzymać przed zadaniem jeszcze jednego pytania.

– Dlaczego rosyjski rząd tak się panem przejmuje?

– Ponieważ wiem różne rzeczy, panie Malone. A oni też chcą się ich dowiedzieć, zanim umrę.

– I pan obiecał im wszystko powiedzieć – Malone zaczął rozumieć, o co tu chodzi.

– Uznałem, że to mała cena za pozostanie przy życiu. Kiedy dowiedzą się wszystkiego, czego chcą, stanę się dla nich bezwartościowy. Pan naprawdę nie rozumie, w co się pan wpakował, prawda?

– Nie mam pojęcia. Może pan mi to wyjaśni?

Bielczenko zaśmiał się pod nosem.

– A dlaczego niby miałbym to zrobić?

Dobre pytanie. Malone postanowił zostawić je na później.

– Muszę już iść. Miło było pana poznać.

– Wiedział pan, że każdą historię, jaka kiedykolwiek zrodziła się w ludzkim umyśle, da się rozbić na

trzy części?

Malone'owi nie podobał się ton, którym Bielczenko wypowiedział to dziwne zdanie.

– Początek, środek i koniec – kontynuował Rosjanin. – Kiedy te trzy części łączą się w kompletną opowieść, jest w tym jakaś symetria, poczucie spełnienia. To doprawdy coś magicznego. Mamy już za sobą początek oraz rozbudowany środek. Teraz, panie Malone, nadszedł czas na finał tej historii.

To wszystko wydawało się coraz bardziej podejrzane. Malone był pewien, że zachował się sprytnie, unikając Zorina i kierując się prosto tutaj, ale teraz coś mu podpowiadało, że druga strona przewidziała jego posunięcie. Starszy człowiek trzymał w lewej dłoni cygaro, a w prawej, którą sięgnął za ławkę, nagle pojawił się pistolet.

– Niech pan nie myśli, panie Malone, że nie widzę dostatecznie dobrze, by do pana strzelić.

Malone kątem oka dostrzegł jakiś ruch i się odwrócił. Futrzana zasłona przesunęła się i w drzwiach stanęli dwaj mężczyźni ubrani w zimową odzież i trzymający w rękach karabiny.

– A dlaczego miałby pan do mnie strzelać? – zapytał.

Bielczenko wzruszył ramionami.

– Ponieważ według Zorina nie ma mowy, aby wydostał się pan stąd żywy.

## ROZDZIAŁ 13

Cassiopeia wierciła się niespokojnie na tylnym siedzeniu francuskiego myśliwca. Przed nią siedział pilot. Śmigłowiec zabrał ją z posiadłości do bazy lotniczej, gdzie czekał na nią nowoczesny wojskowy odrzutowiec. Lecieli z szybkością 2200 kilometrów na godzinę, niemal osiem kilometrów nad ziemią, dokładnie tą samą trasą, którą niecałe dwanaście godzin wcześniej pokonał Cotton.

Nie lubiła wysokości i wcześniejszy incydent na rusztowaniu mocno wyprowadził ją z równowagi. Ale latanie było złem koniecznym, dlatego postanowiła jakoś przetrzymać tę podróż. Wcisnęła się w niedopasowany skafander i zapakowano ją do kokpitu, gdzie ledwo mogła się ruszyć. Po drodze pilot myśliwca zszedł na niższy pułap i zrównał się z powietrznym tankowcem, z którego pobrał paliwo. Nigdy wcześniej nie widziała na własne oczy, jak przebiega taka procedura, i musiała przyznać, że był to fascynujący widok. Pomogło jej to na chwilę przestać myśleć o tym, że znajduje się właśnie na bardzo, bardzo dużej wysokości.

Cały lot z Francji na Syberię miał zająć niewiele ponad cztery godziny, co samo w sobie było imponujące. Świat naprawdę bardzo się skurczył. Stephanie doskonale przewidziała jej reakcję, wiedziała bowiem, że Cassiopeia wciąż kocha Cottona. W jej życiu było wielu mężczyzn, z kilkoma związała się na poważnie, ale żaden nie mógł się równać z Cottonem Malone'em. Poznali się kilka lat temu w jej dworku, tego samego dnia, gdy po raz pierwszy spotkała także Stephanie Nelle. Stało się to za sprawą ich wspólnego znajomego, Henrika Thorvaldsena. Henrik niestety już nie żył – został zamordowany w Paryżu. Było to kolejne z serii nieszczęść, które chodziły za nią przez całe życie.

Kiedy zerwała kontakt z Cottonem, właściwie od razu wiedziała, że taki stan rzeczy nie utrzyma się długo. Zajmował w jej życiu zbyt ważne miejsce. Czowała się swobodnie w jego obecności, a on szanował ją i traktował jak równą sobie. Pewnie, czasem potrafił zachować się nie w porządku. Ale ona też przecież nie była aniołem. Tak to już bywa w związkach. Coś za coś, i tak bez końca. Zastanawiała się, czy będą w stanie zacząć od nowa. Oboje byli dumni i padło między nimi sporo gorzkich słów. Wcześniej minęło wiele miesięcy, zanim którekolwiek z nich odważyło się wyznać swoje uczucia. Ale w końcu powiedzieli sobie wszystko i na słowach się nie skończyło. Oby teraz się nie okazało, że oddalili się od siebie bezpowrotnie.

Stephanie obiecała, że da znać, jeśli tylko dowie się czegoś nowego. Opowiedziała jej też o dacy stojącej w wiosce zwanej Czajanije. „Nadzieja”. Ciekawa nazwa i niewątpliwie stosowna, zważywszy na to, że osada została założona przez wygnańców.

Komunizm to martwa religia. Nie ma czegoś takiego jak raj dla robotników, pozbawiony podziałów klasowych, gdzie wszystko należy do wszystkich. To, co stworzył dawny Związek Radziecki, było jedną wielką iluzją, która przetrwała tak długo tylko dlatego, że opierała się na rządach strachu i przemocy. To rzekomo bezklasowe społeczeństwo było głęboko podzielone na biednych i bogatych. Uprzywilejowana klasa rządząca miała to, co najlepsze, a cała reszta zabijała się o marne resztki. Wspólna własność okazała się mitem, w rzeczywistości wszystko znajdowało się w rękach garstki wybrańców. Jedynym, co powstrzymywało masy przed powstaniem, były serwowane na każdym kroku kłamstwa i terror. Ostatecznie jednak nie dało się dłużej ukrywać prawdy. Ten system musiał upaść.

I upadł.

Cassiopeia miała piętnaście lat, kiedy to się stało. Mieszkała w posiadłości swoich rodziców w Hiszpanii. Jej ojciec zawsze był apolityczny, ale rozpad Związku Radzieckiego przyjął z ogromną

radością. Pamiętała, że zacytował wtedy słowa amerykańskiego prezydenta Thomasa Jeffersona: „Władza, która jest dostatecznie wielka, by dać ci wszystko, co chcesz, jest też dostatecznie silna, by odebrać ci wszystko, co masz”.

Nigdy tego nie zapomniała.

Jej dorosłe życie nie toczyło się już w cieniu zimnej wojny. Zamiast tego zagrożenia płynęły dziś z innych źródeł. Kiedy Wschód i Zachód zbliżyły się do siebie, nowi wrogowie zaczęli traktować Rosjan i Amerykanów z równą zacieklnością.

W co ten Cotton dał się wciągnąć?

*Zatrudniłam go, żeby się tam rozejrzył. Od czasu Utah wykonał dla mnie kilka drobnych zadań.*

Tak powiedziała jej Stephanie przez telefon. A zatem Cotton został agentem do wynajęcia. „Od czasu Utah”. Może w ten sposób próbował zapomnieć o tym, co się stało. Ona starała się zająć biznesem i swoim zamkiem, ale żadna z tych rzeczy nie pomogła jej odzyskać spokoju. W swoim niemal czterdziestoletnim życiu kilkakrotnie myślała, że się zakochała. Ale teraz wiedziała już na pewno, że tylko jeden z tych związków naprawdę coś znaczył.

*Coś poszło nie tak.*

Serce jej się ścisnęło na te słowa Stephanie. Czy Cotton był ranny? Martwy? Cassiopeia żałowała, że ten odrzutowiec nie może lecieć dwa razy szybciej.

– Ile jeszcze? – zapytała po francusku pilota przez mikrofon przy słuchawkach.

– Niecałe dwie godziny. Mamy dobry czas.

Wróciła myślami do pierwszej rozmowy, jaką kiedykolwiek odbyła z Cottonem pewnego ciepłego, czerwcowego dnia w jej posiadłości. Ich wcześniejsze spotkania były krótkie i bardzo gwałtowne: oboje do siebie strzelali. Ona próbowała go chronić, on nie miał pewności, kim ona jest. Tamtego dnia wyszła za nim na słońce i przespacerowali się tą samą alejką w cieniu drzew w stronę miejsca budowy.

– *Kiedy skończę – powiedziała – będzie tu stał trzynastowieczny zamek, dokładnie taki, jaki stał tu osiemset lat temu.*

– *Ambitne przedsięwzięcie.*

– *Lubię wielkie projekty.*

*Wkroczyli na plac budowy przez szeroką drewnianą bramę i weszli do stodoły ze ścianami z piaskowca, w której mieściło się schronisko dla turystów. Nad całym terenem unosił się zapach koni, kurzu i gruzu. Kręciło się tam około stu gości.*

– *Położyliśmy już całe fundamenty i właśnie stawiamy zachodni mur zewnętrzny – powiedziała, wskazując ręką kierunek. – Niedługo zaczynamy narożne baszty i wewnętrzne budynki.*

*Przeszli przez plac budowy i wspięli się na strome wzgórze, skąd rozciągał się panoramiczny widok na cały teren.*

– *Często tu przychodzę, żeby popatrzeć. Tam w dole pracuje na pełen etat sto dwadzieścia osób, mężczyzn i kobiet.*

– *Całkiem spory personel do opłacenia.*

– *To niewielka cena za możliwość zobaczenia na własne oczy kawałka historii.*

– *Podobno mówią tu na panią Ingénieur – powiedział. – To prawda?*

– *Ekipa nadała mi taki przydomek – odparła z uśmiechem. – Sama to wszystko zaprojektowałam.*

– *Z jednej strony jest pani strasznie zarozumiała. Ale z drugiej potrafi pani być naprawdę intrygująca.*

*Nie obraziła się, wiedziała bowiem, że w tym, co mówi, jest trochę racji.*

- Zrezygnował pan z pracy dla rządu?
- W tej branży nigdy tak naprawdę nie odchodzi się na emeryturę. Jedyne częściej niż przedtem schodzi się z linii strzału.
- Więc pomaga pan Stephanie Nelle po prostu jako przyjaciel?
- Szokujące, czyż nie?
- Ani trochę. Właściwie wydaje się to całkowicie współgrać z pańskim charakterem.
- Skąd pani wie, jaki mam charakter?
- Wiem o panu znacznie więcej. Też mam przyjaciół w pańskiej dawnej branży. Wszyscy wypowiadali się o panu bardzo pochlebnie.
- Miło słyszeć, że ludzie pamiętają.
- A pan ile wie o mnie? – zapytała.
- Tylko tyle, ile przeczytałem w krótkiej notce biograficznej.
- Mam swoje dziwactwa.

To prawda, a najgorszą z nich była niezdolność do wyznania tego, co czuje. Cotton cierpiał na podobną przypadłość, co w dużej mierze tłumaczyło ich ostatnie rozstanie i aktualną sytuację. Darzyli się głębokim uczuciem, ale żadne z nich nie chciało się do tego przyznać. Był jednak ten jeden raz w Chinach, kiedy po jednej z wielu niebezpiecznych przygód wreszcie zdobyli się wobec siebie na szczerość.

- Koniec gierki – powiedziała.  
Pokiwał głową, po czym wziął ją za rękę.
- Cotton...
- Uciszył ją, kładąc jej palec na ustach.
- Ja też.
- I wtedy ją pocałował.

Dobrze pamiętała tamtą chwilę. Oboje to wiedzieli, choć żadne z nich nie powiedziało tego wprost. Naprawdę go kochała. Ostatni miesiąc dowiódł tego ponad wszelką wątpliwość.

Czy było już za późno?

Z całego serca miała nadzieję, że nie.

# ROZDZIAŁ 14

## WIRGINIA

Luke stał oparty o swojego mustanga i patrzył, jak czarny SUV ostrożnie wjeżdża na parking przez otwartą bramę. Spojrzał na zegarek. Było kilka minut po piątej rano. Na zewnątrz panował przejmujący chłód, ale Luke go nie czuł. Gotował się z wściekłości, bo, po pierwsze, został pokonany przez jakąś nieznaną kobietę, a po drugie, najcenniejsza rzecz, jaką posiadał, właśnie uległa całkowitemu zniszczeniu. Człowiek, który przyjechał na miejsce zdarzenia, tylko pokręcił głową, po czym wciągnął wrak mustanga na lawetę i odwiózł go na parking pełen innych samochodów, które dni świetności dawno miały za sobą.

Kiedy SUV się zatrzymał, wysiadła z niego Stephanie razem z jakimś mężczyzną w ciemnym płaszczu.

– Ciężka noc? – zapytała, spoglądając na mustanga.

Drzwi od strony pasażera nosiły wyraźne ślady walki.

– Anja Pietrowa jest niebezpieczna – zauważył mężczyzna w płaszczu. – Przeszła policyjne szkolenie i przez kilka lat pracowała w zawodzie.

To by wiele wyjaśniało. Zdecydowanie potrafiła o siebie zadbać.

– A pan to kto?

Mężczyzna przedstawił się jako Nikołaj Osin.

– Szef oddziału SWR – dodała Stephanie.

– Oficjalnie jestem przedstawicielem misji handlowej i nie wiem nic o żadnym SWR.

– W porządku – powiedział Luke. – Będziemy się tego trzymać. Ale może powie mi pan coś więcej na temat tej Anji Pietrowej?

Oprócz nich na oświetlonym parkingu pełnym porzuconych samochodów nie było nikogo.

– Jest związana z mężczyzną, który może poważnie zaszkodzić temu krajowi. Wysłał ją tutaj w jakimś konkretnym celu i właśnie dlatego poradziłem Stephanie, żeby bacznie ją obserwowała. Najwyraźniej Pietrowej się to nie spodobało.

Luke wciąż się zastanawiał, jak to możliwe, że ta kobieta go zobaczyła. Starał się zachować wyjątkową ostrożność, ale czasami po prostu coś się musi spieprzyć. I choć nie uzyskał pełnej odpowiedzi na swoje pytanie, postanowił już dalej nie drążyć.

– Musimy sprawdzić ten dom.

Ruszyli więc z powrotem na południe Wirginii i po niedługim czasie ich oczom ukazał się znajomy wjazd zwieńczony łukiem z kutego żelaza. W każdych innych okolicznościach agentom z Magellan Billet dosłownie kilka minut zajęłoby ustalenie, kto jest właścicielem domu, jednak teraz to było niemożliwe. Oczywiście w Białym Domu też mogli to sprawdzić, ale wówczas Luke musiałby zameldować o zaistniałej sytuacji. Zdaniem Stephanie należało się jeszcze wstrzymać z wykonaniem tego telefonu. Luke nie protestował. Może dowiedzą się czegoś, co odrobinę złagodzi reakcję wujka Danny'ego na wieść o tym, że Luke nawalił i nie dopilnował tej jednej rzeczy, o którą go proszono.

SUV zatrzymał się przed głównym wejściem i cała trójka wysiadła.

– W Wirginii pełno jest podobnych reliktyw – zauważyła Stephanie.

– Jaki ogromny dom – powiedział Nikołaj.

– Wygląda na to, że już od dawna nikt tu nie mieszka – dodała.

Po drodze wyjaśniła Luke'owi, że Malone znalazł się w niebezpieczeństwie, więc wysłała do niego Cassiopeię, co miało zarówno dobre, jak i złe strony. Chciał wierzyć, że wszystko jest w porządku, ale ich sojusznicy z SWR nie zdołali uzyskać zbyt wielu informacji od ludzi z Syberii. Oczywiście pytanie za sto punktów, a mianowicie dlaczego komuś w ogóle przyszło do głowy, żeby zestrzelić samolot Malone'a, nadal pozostawało bez odpowiedzi. Ale niezależnie od tego, kto za tym stał, gra toczyła się o wysoką stawkę, skoro w ruch poszły pociski ziemia-powietrze. Jednak nie tylko ruscy nie chcieli tego przyznać; wujek Danny również nie odkrył jeszcze wszystkich kart.

Ich kierowca znalazł latarkę, która dawała jasne, halogenowe światło. Na niebie pojawiły się pierwsze oznaki świtu, ale do wschodu słońca zostały jeszcze jakieś dwie godziny.

Luke wziął od mężczyzny latarkę i ruszył przodem. Atmosfera wewnątrz budynku wciąż kojarzyła się z grobowcem.

– Od razu poszła tędy. Wiedziała dokładnie, dokąd iść.

– Czego mogła szukać? – zapytała Osina Stephanie.

– Na to pytanie wolałbym odpowiedzieć, kiedy już się trochę rozejrzę. Oczywiście powiem wam wszystko.

Luke szczerze wątpił w tę deklarację. Kilka razy miał już do czynienia z agentami SWR i zdążył się przekonać, że określenie ich mianem ludzi powściągliwych byłoby daleko posuniętym eufemizmem. Niegodni zaufania krętacze i kłamcy – oto opis, który pasuje do nich jak ulał. Luke rozumiał jednak, że ta operacja wymaga współpracy, a ponieważ chciał w niej uczestniczyć, postanowił zachować podobne komentarze dla siebie.

Poprowadził ich korytarzem prosto do gabinetu, gdzie w kręgu światła rzucanym przez latarkę ich oczom ukazała się wyrwa w obitej boazerią ścianie.

– Widać, że umie się posługiwać siekierą – stwierdził, wskazując leżące na podłodze narzędzie.

Chciał jak najszybciej zobaczyć, co jest po drugiej stronie, więc skierował w tę stronę światło latarki. Pomieszczenie było niewielkie, mniej więcej trzy na trzy metry. Na wszystkich ścianach od podłogi aż po sufit ciągnęły się półki, które, w przeciwieństwie do tych w gabinecie, pustych i przekrzywionych, ugięły się od książek. Pośrodku stał stół, a na nim przykryty szklanym kloszem drewniany stojak, na którym spoczywała otwarta księga. Z sufitu zwisał mały żyrandol, ale w pomieszczeniu nie było prądu. Zakurzone żarówki tylko lekko połyskiwały w świetle latarki.

– Wygląda jak jakiś sekretny pokój – powiedział pod nosem – o którego istnieniu nasza droga Anja doskonale wiedziała. Wyrąbała dziurę w ścianie dokładnie tam, gdzie trzeba.

Luke wszedł do środka pierwszy, a za nim Stephanie i Osin. Oświetlając regały latarką, zaczął uważnie się przyglądać zawartości półek. Było tu mnóstwo książek i oprawionych rękopisów, jednak najwięcej miejsca zajmowały drewniane skrzynki na akta wypełnione luźnymi kartkami. Luke przeczytał kilka etykietek: DOWÓDZTWO WOJSKOWE – KORESPONDENCJA, BITWA POD PRINCETON, OBLĘŻENIE BOSTONU, ZAJĘCIE FORTU TICONDEROGA. Pobieżnie rozejrzał się po całym pomieszczeniu i przeczytał jeszcze kilka tytułów widniejących na grzbietach.

Temat przewodni od razu rzucał się w oczy.

– Wszystkie te książki dotyczą wojny o niepodległość – stwierdził Luke.

– To nie wszystko – dodała Stephanie. – Są tu dzieła z osiemnastego, dziewiętnastego i dwudziestego wieku, które opisują historię od rewolucji aż do czasów wojny tysiąc osiemset dwunastego roku.

Na pierwszy rzut oka w pomieszczeniu znajdowało się kilkaset tomów pokrytych grubą warstwą kurzu. Z pewnością od bardzo dawna nikt tu nie zaglądał. Na półkach gdzieniegdzie widać było puste przestrzenie. Brakujące książki leżały porozrzucone na podłodze.

– Teraz już rozumiem, co to był za hałas – przypomniał sobie Luke. – Słyszałem, jak zrzucała te książki



na ziemię.

– Nikolaïj, powiedz nam, czego ona tu szukała? – Stephanie zwróciła się do Osina.

Mężczyzna, zamiast odpowiedzieć, podniósł szklany klosz, który chronił księgę leżącą na stojaku, i powoli zaczął przewracać strony. Po chwili zamknął wolumin i ich oczom ukazał się tytuł wypisany złotymi literami na czarnej skórzanej oprawie.

DZIEJE POWSTANIA  
TOWARZYSTWA CYNCYNATÓW  
UTWORZONEGO PRZEZ OFICERÓW ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH  
PO ZAKOŃCZENIU REWOLUCJI,  
KTÓRA PRZYNIOSŁA AMERYCE NIEPODLEGŁOŚĆ

Stephanie podeszła bliżej, otworzyła książkę i przejrzała kilka stron.

– To historia towarzystwa. Są tu opisy przebiegu obrad, protokoły zebrań, jest też statut. Książka została wydana w 1847 roku.

– A kim są ci cynycynaci? – zapytał Luke.

Stephanie, zamiast odpowiedzieć, znów zaczęła przyglądać się regałom.

– Jesteśmy w archiwum. Założę się, że Towarzystwo Cyncynatów nie ma pojęcia o jego istnieniu. – W tym momencie nastąpiła krótka pauza. – W przeciwnym razie z pewnością odzyskaliby te zbiory. Ale dlaczego Anja Pietrowa interesuje się czymś takim? – Z tym pytaniem Stephanie zwróciła się do Osina, lecz nie uzyskała żadnej odpowiedzi. – Wspominałeś wcześniej o Forward Pass – nie dawała za wygraną. – O ile mi wiadomo, ta operacja jest wciąż ściśle tajna. Mogłeś się o niej dowiedzieć wyłącznie z własnych archiwów.

– Mamy dokładne informacje na temat tego, co się wtedy wydarzyło.

Luke słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

– Czy to znaczy, że Aleksandr Zorin też o tym wie?

– Jestem pewien, że tak. Ale nie tyle co Bielczenko.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Bielczenko wie, gdzie się podziały zaginione bomby jądrowe?

Luke w milczeniu przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Czy dobrze usłyszał? „Zaginione bomby jądrowe”? Postanowił jednak nie przerywać, doszedł bowiem do wniosku, że w swoim czasie Stephanie z pewnością wszystko mu wyjaśni.

– Czy Pietrowa coś stąd wyniosła? – spytała, odwracając się do Luke’a, który przecząco pokręcił głową.

– W każdym razie ja nic nie widziałem.

– Wobec tego dla niej to też był ślepy zaułek. Nikolaïj, obiecałeś, że powiesz nam wszystko. No więc mów, po co ona tu przyjechała? – zażądała Stephanie podniesionym głosem, co nie zdarzało jej się zbyt często.

– Dobrze, ale najpierw muszę skontaktować się z Moskwą i przedyskutować pewne rzeczy na osobności z moimi przełożonymi.

– Na twoją prośbę wysłałam swojego człowieka na Syberię. Nie wiedział, po co tam leci, a teraz okazało się, że zaginął w akcji.

– Przecież pozwoliliśmy ci wysłać kolejnego agenta, żeby zbadał tę sprawę.

– To za mało. Możesz mi wyjaśnić, o co tak naprawdę chodzi?

– Niestety nie mogę, przynajmniej na razie.

Luke wyczuł w jego głosie nutę autentycznego zaniepokojenia, co w przypadku ludzi z SWR było rzadkością.

– Muszę o wszystkim powiadomić prezydenta – oznajmiła Stephanie. – To on zdecyduje, co robimy dalej.

– Rozumiem.

Rosjanin bez słowa opuścił tajną bibliotekę.

Luke spojrział na swoją byłą szefową.

– Niezłe szambo, co?

Stephanie ostrożnie przykryła szklanym kloszem spoczywającą na stojaku księgę, wzbijając przy tym chmurę połyskujących w świetle drobin kurzu, które powoli opadły na blat stołu.

– Rzeczywiście można to tak określić.

– Wiesz, kim są ci cali cynycynaci? – spytał po raz kolejny.

Stephanie pokiwała głową.

– A mogłabyś mnie oświecić?

– Nie tutaj – odparła, kierując się w stronę wyjścia.

# ROZDZIAŁ 15

BAJKAŁ  
GODZ. 19:50

Zorin wrócił do swojej daczy i najpierw udał się do głównego budynku. Zaraz po przybyciu otrzymał informację, że Amerykanin, niejaki Malone, został pojmany. Dlatego bez większego pośpiechu poszedł zdjąć płaszcz i rękawiczki. Cieszył się, że już niedługo będzie musiał znosić tę straszną pogodę. Lato trwało tak krótko w tej części świata, że Zorin naprawdę się stęsknił za łagodnym, ciepłym wiatrem. Nie umiał przewidzieć, co się wydarzy w ciągu następnych kilku dni. Mógł tylko mieć nadzieję, że pamięć go nie zawiodła, że wiedza, którą zdobył, okaże się zgodna z prawdą, że dostatecznie wszystko zaplanował oraz że w decydującej chwili nie zabraknie mu determinacji. Stanowczo zbyt długo trwał w bezczynności i przyjemnie było poczuć, że nareszcie bierze się do działania. Jeszcze nigdy nie był na nic tak gotowy. Jedyne, co mąciło jego spokój, to ten nowy, niespodziewany szczegół – pojawienie się nieznanego Amerykanina.

Ale w jakimś sensie nawet to wydawało się ekscytujące.

Przeszedł przez salon z wysokim sufitem i widokiem na zamrożone jezioro, mijając ogień wesoło buzujący w kominku. Dotarł do schodów i zszedł do piwnicy, gdzie czekał Malone przykuty kajdankami do grubej, żelaznej rury. Nagie żarówki za drucianymi osłonami rzucały na ściany ostre cienie. Amerykaninowi zabrano płaszcz i najwyraźniej broń, ponieważ kabura, którą miał pod pachą, była pusta.

– Zabił pan dwóch moich ludzi.

Malone wzruszył ramionami.

– To się zdarza, kiedy zaczyna się do kogoś strzelać.

– Po co pan tu przyjechał?

– Żeby znaleźć tego starego, Bielczenkę, który wyraźnie nie chciał zostać znaleziony. Mój błąd.

– I teraz dwóch moich ludzi nie żyje.

– Wysłał ich pan, żeby mnie zabili.

– Jest pan szpiegiem?

– Prowadzę księgarnię.

Zorin zaśmiał się pod nosem.

– Powiedział pan przez radio, że nazywa się Cotton Malone. Skąd takie osobliwe imię, „Cotton”?

– To długa historia, ale skoro mamy czas, z chęcią ją opowiem.

– Niestety muszę uciekać.

– Należy pan do Czerwonej Gwardii?

Kimkolwiek był ten człowiek, miał dobre informacje.

– Służyłem swojemu państwu aż do dnia, kiedy przestało istnieć.

– I wtedy trafił pan tutaj. Na sam koniec świata.

– Przyjechałem tu z własnej woli, razem z innymi, którzy dzielali moje przekonania. Zbudowaliśmy to miejsce i żyliśmy tu w spokoju przez wiele lat. Nikomu nie sprawialiśmy kłopotu, a mimo to rząd wciąż próbuje nas szpiegować.

– Wyobrażam sobie, że miliony zabitych, niewinnych ludzi powiedziałoby to samo o władzach ZSRR.

– Możliwe. Rzeczywiście mieliśmy pewną skłonność do przesady.

Wiedział, że to grube niedopowiedzenie. Tortury i egzekucje były w Związku Radzieckim na porządku

dziennym. Zorin, tak samo jak każdy inny oficer KGB, został pod tym kątem odpowiednio wyszkolony. Reżim istotnie pochłoniął miliony istnień. Kiedy Zorin zaczynał służbę w KGB, przemoc i ból stanowiły jego główne środki perswazji. Uczono go dokładnie, jak nimi operować, żeby złamać czyjś ducha. Potem podstawowym narzędziem do otwierania zamkniętych ust stały się narkotyki, a jeszcze później zaczęto wykorzystywać rozmaite sztuczki psychologiczne. W końcowym okresie istnienia KGB sporą popularność zyskały metody wywoływania stresu fizycznego. Zorin czytał wszystko na temat „zaawansowanych technik przesłuchiwania podejrzanych” stosowanych przez CIA i wiedział, że to tylko wymyślne określenie na zwykłe tortury. On sam, rzecz jasna, nie miał nic przeciwko takiemu podejściu. Ale Amerykanin wyglądał na silnego i pewnego siebie, można więc było mniemać, że złamanie go wymagałoby niemałego wysiłku.

A na to zwyczajnie brakowało czasu.

– Wy w Ameryce nie macie pojęcia, co znaczy być obywatelem Związku Radzieckiego – powiedział. – W dwudziestym wieku zginęło nas siedemdziesiąt pięć milionów i wszyscy mieli to gdzieś.

– Większość z tych ludzi straciło życie z winy skorumpowanych albo głupich przywódców. Jeśli chodzi o mordowanie niewinnych, naziści to przy was amatorzy. Wy, komuniści, staliście się w tym prawdziwymi fachowcami. Gdzie służyłeś? W KGB?

Zorin pokiwał głową.

– Kierowałem jednostką specnazu. Prowadziłem przygotowania do wojny ze Stanami Zjednoczonymi.

Zawsze lubił wypowiadać te słowa na głos.

– To już zamknięty rozdział – odparł Malone.

– Może nie.

Doskonale pamiętał tamten straszliwy dzień w sierpniu 1991 roku, kiedy z okna siedziby głównej KGB obserwował, jak rozeźlony tłum szturmuje plac Łubiański. Ludzie rysowali sprayem na ścianach budynku swastyki, wypisywali słowa w rodzaju „rzeźnicy” i „mordercy”. Wymachiwali pięściami i przeklinali, a potem próbowali obalić pomnik Dzierżyńskiego, ale Żelazny Feliks trzymał się mocno. W końcu sprowadzono dźwig, który dokonał dzieła zniszczenia, zostawiając tylko pusty cokół. Tamtego dnia ani jedna osoba w tym tłumie nie bała się kary za zbezczeszczenie pamięci legendarnego twórcy radzieckich organów bezpieczeństwa.

Zawarty w tym geście komunikat był aż nadto czytelny.

*Wasz czas minął.*

Zorin pamiętał paraliżujący strach, który ogarnął go w tamtej chwili. Krzyki tłumu, nawoływanie do zachowania spokoju, potem kakofonia syren i czystego chaosu. Po raz pierwszy w życiu poczuł lęk, jak zimny dreszcz pełznący mu po plecach, choć przecież zawodowo zajmował się wywoływaniem tego uczucia u innych. Niezrozumiałe możliwości, jakie niosła ze sobą przyszłość, sprawiły, że jego ciało zaląła fala zwątpienia, która znalazła ujście w pęcherzu. Stał w oknie, patrząc na to, co działo się w dole, ze spodniami nasiąkającymi ciepłym moczem, i płonął ze wstydu.

Było to okropne przeżycie.

Nigdy nikomu o tym nie opowiedział.

– Reagan był sprytny – odezwał się. – Znacznie sprytniejszy od Gorbaczowa. Postawił sobie za cel nas zniszczyć i dopiął swego.

Dzięki Bogu Amerykanie wierzyli w szczerść. Demokracja opierała się na konfrontowaniu ze sobą idei, tolerowaniu różnych punktów widzenia i rozwiązywaniu konfliktów na drodze zdrowej debaty. Jej zwolennicy naiwnie uważali, że prawda zawsze zwycięży, a najlepszym arbitrem jest sam naród. Szeroki dostęp do informacji był dla nich wartością samą w sobie.

Wiele amerykańskich dokumentów, niegdyś ściśle tajnych, wyszło na jaw po prostu z uwagi na wpływ

czasu. Powstały książki – Zorin czytał każdą bez wyjątku – w których sugerowano, że Biały Dom i Watykan wspólnie pracowały nad tym, by rzucić Moskwę na kolana. Ale podczas gdy podobne publikacje opierały się na domysłach i przypuszczeniach, on wiedział coś, czego nie wiedzieli ich autorzy. Swego czasu rzeczywiście opracowano plan, spisek mający na celu osłabienie Związku Radzieckiego.

Cel ten został osiągnięty.

Zorin znał nawet nazwę, jaką nosiła ta operacja. Forward Pass.

– Ameryka nie ma pojęcia, jaki spowodowała chaos – powiedział. – Kiedy zniszczyliście sowiecki system polityczny, zniszczyliście też cały ład i porządek, co pozwoliło przejść władzę kryminalistom. Wszystko, czego ja i tak wielu innych broniliśmy przez całe życie, z dnia na dzień zniknęło bez śladu. Ale czy was to obchodziło? – Nie czekał na odpowiedź. – Nie, nikogo to nie obchodziło. Pozostawiliście nas samym sobie, żebyśmy głębiej pograżali się w naszej klęsce. – Wycelował w Cottona oskarżycielski palec. – Mamy dług wobec Ameryki. I myślę, że najwyższy czas, żebyśmy go spłacili.

Przyjemnie było wyrzucić z siebie te słowa. Zbyt długo ciążyły mu na dniach żołądka. I chociaż miał już ponad sześćdziesiąt lat, nigdy nie zapomniał tego wszystkiego, czego nauczył się w młodości. Tak naprawdę to właśnie te wspomnienia pomogły mu utrzymać się przy życiu przez ostatnie ćwierć wieku. Od tej chwili będzie działał szybko i instynktownie, bez wahania. Nie dopuści do głosu sumienia, nie będzie próbował racjonalizować swoich decyzji.

Od teraz liczą się tylko efekty.

Podobało mu się to nowo odnalezione poczucie wolności.

Ostatnimi czasy coraz więcej rozmyślał o swoim szkoleniu w akademii wojskowej, gdzie zanim został szpiegiem, nauczył się być żołnierzem. Jego ulubiony instruktor, podpułkownik, niestrudzenie wbijał młodym rekrutom do głowy, że Stany Zjednoczone to ich Naczelny Wróg.

*Jeśli o tym zapomnicie, przypłacicie to życiem.*

Zorin nie zapomniał ani na chwilę.

Wiele razy w ciągu swojej kariery musiał zabić wysłannika obcych służb i za każdym razem wykonywał zadanie.

*Możecie nienawidzić swoich sąsiadów, szkolnych kolegów, nawet przyjaciół, ale nigdy drugiego żołnierza. Pamiętajcie, kiedy nadejdzie wojna, wszyscy będziecie mieli wspólnego wroga. Musicie znać i szanować swojego przeciwnika. Musicie się nauczyć, na jakich zasadach funkcjonuje Ameryka. Znać jej mocne i słabe strony. Ameryka ułatwia nam to zadanie. Ten kraj pierze swoje brudy na oczach całego świata. Zwracajcie na to wszystko uwagę.*

Wojna rzeczywiście nadeszła.

Ale wbrew oczekiwaniom nie była to frontalna konfrontacja z wrogiem. Walka toczyła się w ukryciu i mało kto zdawał sobie sprawę, że w ogóle trwa jakaś bitwa. Na czele swoich armii stanęli dwaj generałowie, Reagan i ten przeklęty polski papież. Ich orężem nie były kule czy bomby, tylko Bóg, moralność i pieniądze. Wspólnymi siłami udało im się przyprzeć Związek Radziecki do muru i wpędzić go w kryzys polityczny i ekonomiczny, z którego kraj nie potrafił się wygrzebać.

Nikt się tego nie spodziewał. Aż w końcu było już za późno.

*Komuniści muszą z dużą skrupulatnością, uwagą i wyczuciem wykorzystywać każdy rozłam, nawet najmniejszy, pomiędzy ich wrogami.*

Lenin napisał to w latach dwudziestych i o dziwo właśnie Stany Zjednoczone najbardziej wzięły sobie do serca jego słowa.

Teraz jego kolej, żeby pójść za tym przykładem.

– Zdaje pan sobie chyba sprawę – odezwał się Malone – że świat się zmienił? Zimna wojna już się

skończyła.

– Może dla was. Ale nie dla mnie. Mam do spłacenia dług. I zamierzam go spłacić.

Dokładnie za pięćdziesiąt dwie godziny, ale tego nie powiedział na głos.

Jego życie jako szpiega było wymagające i wyczerpujące. Zjeździł cały świat, przekraczał granice pod fałszywym nazwiskiem, zawsze ukrywając swoją prawdziwą tożsamość i prawdziwe myśli. Wszystkie podejmowane przez niego działania miały ten sam cel: zmanipulować, wykorzystać albo zdradzić kogoś innego. Choć był odcięty od swojej kultury, języka i przybranej rodziny, nigdy nie dał się omamić urokom kapitalizmu. Myślał tylko o tym, jak przetrwać, i każdego dnia żył w strachu, że zostanie zdemaskowany. Koniec mógł nadejść w każdej chwili, z każdej strony. Jedynym, co mogło pokonać ten towarzyszący mu na każdym kroku niepokój, była niezachwiana lojalność wobec sowieckich ideałów.

Która nadal w nim nie wygasła.

Jego przeszłość napełniała go dumą, nosił ją jak odznakę honorową. Oficer KGB musi mieć czyste ręce, gorliwe serce i jasny umysł. Nienawidził wszystkich tych, którzy postanowili mu odebrać tę dumę, zarówno w jego własnym kraju, jak i poza nim. Ktoś mu kiedyś powiedział, że jedynym honorowym sposobem na opuszczenie szeregów KGB jest śmierć, i z czasem zaczął w to wierzyć.

Odwrócił się w stronę schodów.

– Przyślę na dół ludzi, których spotkał pan w łaźni. Mają z panem niedokończone sprawy i są nad wyraz zmotywowani, ponieważ zabił pan ich dwóch towarzyszy.

– Niech się pan nie czuje zbyt pewny siebie – zawołał za nim Malone.

Zorin zatrzymał się i spojrzał przez ramię. Pozwolił sobie na pełen samozadowolenia uśmiech.

– Bez obaw.

# ROZDZIAŁ 16

WASZYNGTON

GODZ. 8:30

Stephanie zabrała Luke'a do hotelu Mandarin Oriental, gdzie zatrzymywała się za każdym razem, gdy przyjeżdżała do stolicy. Na miejsce przywiózł ich Nikołaj Osin, który przez całą drogę z Wirginii nie odezwał się ani słowem. Luke miał ochotę przycisnąć go do muru – Stephanie od razu to wyczuła, ale rzuciła mu wymowne spojrzenie, dając wyraźnie do zrozumienia, że to nie jest odpowiedni moment. Dobrze było znów mieć młodego Danielsa w swoim zespole. Kiedy przyjmowała go do pracy, wcale nie miała pewności, czy się do tego nadaje. Zrobiła to wyłącznie ze względu na jego wuja. Zgodziła się wyświadczyć mu tę przysługę pod jednym warunkiem: jeżeli chłopak się nie sprawdzi, będzie miała prawo w każdej chwili go zwolnić. Danny'emu nie przeszkadzał nepotyzm, ale nie znosił ludzi niekompetentnych. Jego zdaniem nikomu nie przysługiwała taryfa ulgowa. Ta zasada dotyczyła również jego samego. Na szczęście Luke okazał się świetnym agentem, w dużej mierze ze względu na przeszkolenie wojskowe, ale nie tylko. Do jego niewątpliwych atutów zaliczał się również atrakcyjny wygląd, pewna doza arogancji i beztroski stosunek do świata. Stephanie doceniała też fakt, że w każdą niedzielę dzwonił do swojej matki, i to bez względu na okoliczności, w jakich się akurat znajdował. Każdy trzydziestoletni mężczyzna, który okazywał tak wielki szacunek swoim rodzicom, automatycznie zasługiwał w jej oczach na uznanie.

– Obawiam się, że w którymś momencie chyba będziesz musiała mi wyjaśnić, o co tu chodzi – powiedział Luke. – Słyszałem coś o zaginionych bombach jądrowych. A poza tym właśnie straciłem samochód.

Na zewnątrz panował przejmujący chłód, więc czym prędzej weszli do eleganckiego lobby, po którym, mimo wczesnej pory, kręciło się mnóstwo ludzi w grubych płaszczach.

– Swoją drogą – dodał po chwili – niezbyt mocno przycisnęłaś tego ruskiego.

– Wyraźnie widać, że ma problem. Musimy dać mu trochę czasu. – To mówiąc, Stephanie ruszyła w kierunku windy.

– Dokąd idziemy?

– Do mojego pokoju.

– No wiesz, za kogo ty mnie uważasz? Zresztą ja już nawet dla ciebie nie pracuję – powiedział Luke, wzbudzając uśmiech na jej twarzy.

Gdy już znaleźli się w windzie, Stephanie wybrała czwarte piętro. Naprawdę współczuła Osinowi. Moskwa celowo wciągnęła Waszyngton w jakąś swoją wewnętrzną rozgrywkę. Z pewnością rosyjskie władze miały ku temu powody, ale możliwe, że w ciągu kilku ostatnich godzin sytuacja uległa zmianie. Już sam fakt istnienia dwustu pięćdziesięciu ładunków RA-115 był dostatecznie niepokojący, jednak zaginięcie pięciu z nich oznaczało sytuację kryzysową. Stephanie powtarzała sobie w duchu, że przecież minęło już dwadzieścia pięć lat. Szczerze wątpiła, by po tak długim czasie bomby wciąż stanowiły jakiegokolwiek zagrożenie. Poza tym, jeśli coś jest tak cenne, a zarazem tak bardzo niebezpieczne, z reguły szybko zostaje namierzone. A skoro przez tyle lat ten problem w ogóle nie wypłynął na powierzchnię, najwyraźniej nie należało się tym aż tak przejmować. Ta myśl dodała jej otuchy. Tak czy owak, musiała o tym poinformować Biały Dom.

Ale wszystko po kolei.

Po wyjściu z windy ruszyła cichym korytarzem, wiadącym do wynajmowanego przez nią apartamentu. Kiedy weszli do środka, od razu uruchomiła laptopa i wysłała e-maila zawierającego opis okolic opuszczonego domu w Wirginii oraz samego wnętrza budynku. Do listu dołączyła zdjęcie posiadłości, które pstryknęła swoim telefonem.

– Napisałaś do Białego Domu? – zapytał Luke.

Stephanie pokiwała głową.

– Tylko do nich możemy się z tym zwrócić. Oficjalnie, jako pracownik Departamentu Sprawiedliwości, nie powinnam w ogóle się tym zajmować.

– Tato mówił, że masz do zasad taki sam stosunek jak on.

Wiedziała, że Luke w ten sposób przezywał Malone'a, głównie po to, żeby go zirytować. Oczywiście Cotton nie pozostawał mu dłużny, nazywając go Studenciakiem, choć taki przydomek nijak się miał do rzeczywistości.

– Powinieneś trzymać się od niego z daleka – odpowiedziała. – Ma na ciebie zły wpływ.

– Ma kłopoty, prawda? I to poważne?

Stephanie starała się nad tym nie zastanawiać.

– Na tyle poważne, że musiałam poprosić o pomoc Cassiopeię. Nie była zachwycona, ale nie odmówiła. Albo już jest na miejscu, albo wkrótce tam będzie.

– Wiadomo chociaż, czy Malone żyje?

Stephanie zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Nie, ale jest dobry, więc musimy założyć, że nic mu się nie stało. Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że pomagając mi, możesz zrujnować własną karierę?

Luke wzruszył ramionami.

– Są na tym świecie gorsze rzeczy.

Wykapany wujek. Obaj byli przesadnie pewni siebie i uwielbiali się popisywać, choć trzeba przyznać, że za ich słowami zawsze szły czyny. Wiele lat temu, jeszcze za czasów pierwszej kadencji Danny'ego Danielsa, Stephanie i prezydent niespecjalnie za sobą przepadali. Jednak seria rozmaitych kryzysów zbliżyła ich do siebie i w pewnym momencie oboje zdali sobie sprawę z faktu, że coś do siebie czują. Jediną osobą, która o tym wiedziała, była Cassiopeia. Malone może i czegoś się domyślał, ale nigdy nie robił aluzji. Zresztą żadne z nich nigdy nie poruszyłyby tego tematu. Stephanie wiedziała, że Danny wkrótce zostanie pierwszym amerykańskim prezydentem, który wziął rozwód. Jednakże choć jego długoletnie małżeństwo się rozpadło, rozstawał się z żoną w przyjaźni. Państwo Daniels już wcześniej podjęli decyzję o tym, że każde z nich na nowo ułoży sobie życie, kiedy tylko wyprowadzą się z Białego Domu. Pauline zdążyła znaleźć miłość gdzie indziej i Danny cieszył się jej szczęściem. „Ona naprawdę na to zasługuje”, powtarzał wielokrotnie. On także zasługiwał na szczęście, które być może czekało na niego właśnie u boku Stephanie, ale na razie nic jeszcze nie było przesądzone.

– Zakładam, że raczej nie zamierzasz ze mną rozmawiać o żadnych bombach – zaczął Luke. – Może więc wytłumaczysz mi chociaż, kim są ci cynycy? Kiedy pytałem cię o to w tamtym domu, powiedziałaś „nie tutaj”. To może tutaj?

– Założyli pierwszy w Ameryce klub oficerski. Działają od bardzo dawna i nigdy się nikomu nie naprzykrzali.

A jednak z jakiegoś powodu kochanka byłego komunistycznego szpiega przyjechała tu aż z Syberii, żeby przetrząsnąć zapomniane archiwa towarzystwa. Skąd miała informacje na temat tego sekretnego pokoju? Stephanie dostatecznie dobrze знаła zwyczaje członków stowarzyszenia, by wiedzieć, że zawsze starali się zachowywać pełną dyskrecję. Toteż zaczęła się zastanawiać, czy oni sami w ogóle zdawali sobie sprawę z istnienia tego archiwum.



Na ekranie laptopa pojawiła się informacja o odebranej poczcie.

Wiadomość przysłała od szefa personelu Białego Domu, Edwina Davisa.

*Nieruchomość w Wirginii należy do Bradleya Charona, który zginął w katastrofie lotniczej w 2002 roku. Z informacji znalezionych w internecie wynika, że jego dzieci nie dogadywały się z drugą żoną. Walka przed sądem spadkowym trwa do dziś. Odbyło się już wiele rozpraw, złożono liczne apelacje, a tymczasem rodzinny majątek niemal całkiem stopniał. Sześć lat temu pożar zniszczył część domu. Wiadomo na pewno, że było to podpalenie. Ogień został podłożony najprawdopodobniej przez jedno z dzieci, jednak nikomu nic nie udowodniono. Ubezpieczyciel nie wypłacił odszkodowania, przez co majątek popadł w całkowitą ruinę. Zaległe podatki sięgają setek tysięcy dolarów. Władze hrabstwa podjęły właśnie decyzję o wystawieniu nieruchomości na sprzedaż podczas publicznej aukcji. Mam nadzieję, że mogłem pomóc.*

Rzeczywiście e-mail z Białego Domu okazał się bardzo pomocny, ponieważ dał im konkretny punkt zaczepienia. Stephanie wpisała w Google nazwisko „Bradley Charon”.

Po chwili na ekranie pojawiło się 42 800 wyników.

Żeby zawęzić obszar poszukiwań, dodała: „Wirginia”, „testament”, „Towarzystwo Cyncynatów”.

Na pierwszej stronie wyświetliło się kilka odnośników do artykułów w prasie.

Charon miał doktorat z zakresu nauk politycznych, pochodził z zamożnej rodziny i był ostatnim potomkiem rodu, którego korzenie sięgały czasów sprzed rewolucji. W ciągu swojej kariery zawodowej piastował stanowisko rektora i dziekana na trzech różnych uczelniach. W akademickich kręgach cieszył się reputacją prawdziwego naukowca. Był dwukrotnie żonaty. Z pierwszą żoną, z którą miał trójkę dzieci, spędził czterdzieści lat. Jego drugie małżeństwo trwało niespełna pięć i stało się przyczyną rodzinnego konfliktu, ponieważ wdowa utrzymywała, że ma prawo do całości majątku.

– Co za chciwa suka – stwierdził Luke, zaglądając Stephanie przez ramię.

Nie mogła się z nim nie zgodzić.

– Tak naprawdę jedynymi osobami, które zyskują coś na takich walkach, są prawnicy.

– Tak to już jest.

– Zwłaszcza kiedy ludzie tracą właściwą perspektywę.

Wyglądało na to, że w przypadku Charonów ponoszenie strat to rodzinna specjalność. Spór o majątek jak dotąd nie przyniósł nikomu korzyści. Sprawa krążyła między lokalnym sądem spadkowym a kilkoma sądami apelacyjnymi w Wirginii. W sumie wydano cztery opinie sądowe, które nie przyniosły żadnego rozwiązania.

– Po pożarze rodzina chyba w ogóle przestała interesować się domem – powiedziała Stephanie. – Towarzystwo ubezpieczeniowe odmówiło wypłaty odszkodowania, a żaden ze spadkobierców nie zamierzał inwestować w nieruchomości ani grosza. Najwyraźniej nie mieli pojęcia o istnieniu tajnego archiwum. W przeciwnym razie wszystko by stamtąd zabrali. Te księgi i rękopisy są warte fortunę.

– W takim razie skąd wiedziała o nich nasza Rosjanka?

Dobre pytanie.

Nagle jej uwagę przykuło jedno z haseł na stronie wyszukiwarki. Kliknęła w odnośnik.

Na ekranie pojawił się nekrolog Charona.

Został pochowany w Manassas, nieopodal swojej rezydencji. Pierwsza część nekrologu mówiła o jego rodzinie i związkach z lokalną społecznością, ale to ostatni akapit szczególnie zainteresował Stephanie.

*Był honorowym członkiem Towarzystwa Cyncynatów, odpowiedzialnym za powiększanie zbiorów*

*biblioteki naukowej towarzystwa. Przypominanie Amerykanom o długu wdzięczności, jaki mają wobec bohaterów rewolucji, stało się jego życiową misją. Podczas pogrzebu jednym z honorowych żałobników niosących jego trumnę będzie obecny prezes towarzystwa.*

– Wygląda na to, że wszystkie drogi prowadzą do cyncynatów – zauważył Luke.

Stephanie przyznała mu rację.

– Domyślam się, że już wiesz, dokąd teraz powinniśmy się udać?

Odpowiedź na to pytanie również była twierdząca, ale najpierw Stephanie musiała się dowiedzieć, co się działo na Syberii.

## ROZDZIAŁ 17

Malone'owi nie podobała się ta sytuacja. Zorin wydawał się całkiem pewny siebie. Dało się to wyczytać z jego wyrachowanego, pogardliwego wyrazu twarzy. Szedł przez piwnicę sprężystym, zdecydowanym krokiem, jak zdobywca zmierzający po zwycięstwo. W jego głosie, wyraźnie zabarwionym goryczą, wciąż pobrzmiwała energia, która maskowała zaawansowany wiek, a wrażenie to potęgowała imponująca postura – ramiona jak u niedźwiedzia, szeroki tors i mocarne, żylaste ręce.

*Mam do spłacenia dług. I zamierzam go spłacić.*

Zorin wypowiedział te słowa z upiornym uśmiechem na twarzy. Jego spojrzenie było zimne i twarde, pełne buntu. Z zewnątrz Rosjanin sprawiał wrażenie szorstkiego i niewykształconego człowieka. I chociaż Malone spędził z nim tylko kilka minut, od razu wiedział, że ma do czynienia z zaprawionym w bojach weteranem zimnej wojny, a najprawdopodobniej także z niebezpiecznym socjopatą. Znał ten typ. Tacy ludzie są nieprzejednani, praktycznie pozbawieni sumienia i zatrwająco skuteczni. Uparcie dążą do celu, a ich jedyną słabością jest to, że opierają swoje działania na błędnym rozumowaniu.

Zorin to chyba idealny przykład tego gatunku.

W dalszym ciągu czuł, że walczy w zimnej wojnie, która zakończyła się wiele lat temu.

Z łaźni, gdzie siedział nagi Bielczenko, ludzie Zorina zaprowadzili Malone'a do głównego budynku, przez cały czas trzymając go na muszce. Tam zaciągnęli go do chłodnej piwnicy z kamiennymi ścianami pozbawionymi okien. Zabrali mu płaszcz i broń, przykuli mu ręce kajdankami do żelaznej rury. Nie ruszyli jednak portfela, który trzymał w tylnej kieszeni spodni, i to przeoczenie mogło się dla niego okazać zbawienne.

Potrzebował tylko odrobiny prywatności. A teraz właśnie został sam.

Kiedy Zorin wrócił na górę i zatrzasnął za sobą drzwi, Malone wiedział, że taka szansa może się nie powtórzyć. Wykręcił tułów, zsunął skrupowane ręce najniżej, jak mógł, i wydobyl z kieszeni portfel. W środku szybko znalazł wytrych. W kajdankach był prosty zamek, którego otwarcie nie powinno nastęczać większych trudności.

Zorin odczuwał wyraźnie niezdrową fascynację Stanami Zjednoczonymi. Wydawało się zatem nieco dziwne, że tak bardzo tęsknił za starym Związkiem Radzieckim. Współczynnik umieralności był tam szokująco wysoki, średnia długość życia zatrwająco niska. Gdyby komunistyczny reżim nie implodował, kraj zapewne wymarłby w końcu z braku środków do życia. Niedobór towarów i podstawowych usług przybrał rozmiary epidemii, podobnie jak powszechny alkoholizm. Ceny rosły w zawrotnym tempie, płace gwałtownie spadały i szerzyła się wszechobecna korupcja. Obietnice Lenina, który zapowiadał równość i wolność dla wszystkich, nigdy się nie ziściły. Zamiast tego wykształcił się system sankcjonujący władzę kolejnych tyranów, samonapędzający się reżim, który istniał tylko po to, by utrwalac uprzywilejowaną pozycję garstki ludzi będących u steru.

Za czym tu tęsknić?

Cotton uznał to za irracjonalne rozumowanie groźnego socjopaty.

Pracował nad zamkiem na prawej dłoni – cholerstwo okazało się bardziej odporne, niż się spodziewał. Przyszło mu do głowy coś, co powiedział kiedyś Oscar Wilde: „Prawda rzadko kiedy jest czysta i nigdy prosta”. Jednak tak właśnie postrzegał ją Zorin, który najwyraźniej czerpał perwersyjną przyjemność ze swojego poprzedniego życia.

Dokąd teraz się udał? O co w tym wszystkim chodzi?

Stephanie musi się o tym dowiedzieć.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i pospieszne kroki na schodach, a po chwili w piwnicy pojawili się ci sami mężczyźni co wcześniej. Obaj byli tędzy i nieogoleni, mieli mongoloidalne rysy twarzy i mocne ramiona ludzi pracujących na roli.

Malone wysunął wytrych z zamka i ukrył go w dłoni.

Tamci dwaj od razu przeszli do rzeczy. Dostali do Malone'a i zaczęli go okładać pięściami. Uważali przy tym, żeby nic mu nie złamać. Jak zauważył Zorin, nie chcieli zbyt szybko kończyć zabawy. Przygotowywał się, jak mógł, na ich ciosy, ale i tak bolały jak diabli. W którymś momencie zrzucili płaszcze i podwinęli rękawy swetrów aż do łokci, gotowi do dalszej pracy. Uśmiechali się, wiedząc, że ich ofiara nie może im się w żaden sposób przeciwstawić. Malone wciągnął w nozdrza zatęchłe powietrze cuchnące kurzem i olejem opałowym.

– Tacy jesteście twardzi, kiedy mam skute ręce? – odezwał się. – Rozkujcie mnie i zrobmy to jak mężczyźni.

Drab w czerwonym swetrze wbił mu w brzuch pięść rozmiaru małej szynki.

Co mi tam, pomyślał Malone, i odbił się plecami od rury, wymierzając mu kopniak prosto w kolano. Rosjanin wrzasnął i upadł na podłogę, trzymając się za przetrącony staw. Jego towarzysz w czarnym swetrze rzucił się do ataku z uniesioną pięścią, ale Malone powtórzył ten sam manewr, tym razem trafiając obiema stopami w pierś napastnika i odrzucając go kilka kroków do tyłu.

Czerwony pozbierał się z ziemi. W jego oczach płonęła czysta wściekłość.

Malone wiedział, że nie uda mu się dostatecznie zyskać na czasie, żeby zdjąć kajdanki. Obaj mężczyźni szykowali się do jednoczesnego ataku, nie byli więc aż tak głupi, na jakich wyglądali. Po kilku ciosach w głowę będzie widział tylko gwiazdy i stanie się zupełnie bezbronny. A ci goście mieli już chyba dość subtelności.

Chcieli go zabić.

Nagle powietrze przeszyły dwa głośnie strzały.

Obaj mężczyźni zamarli z szeroko otwartymi oczami. Z ust Czerwonego pociekła strużka krwi. Jak na komendę obaj bezwładnie upadli na ziemię, niczym marionetki, którym przecięto sznurki. Za nimi, u dołu schodów stał Wadim Bielczenko. Stary archiwista miał na sobie koszulę z długimi rękawami i jeansy, które trzymały się na nim tylko dzięki ciasno zapiętemu paskowi. W prawej ręce dzierżył beretę Malone'a.

Bielczenko przeszedł nad dwoma trupami. Jego twarz wydawała się jeszcze bledsza i bardziej pokryta plamami niż w łaźni. Bezbarwne oczy były zupełnie pozbawione wyrazu.

– Mówiłem, że ciągle potrafisz strzelać – powiedział.

– Dlaczego pan ich zabił?

Bielczenko wyciągnął z kieszeni kluczyk i rzucił go Malone'owi.

– Żeby panu pomóc. To chyba oczywiste.

Malone złapał kluczyk i szybko wyswobodził się z kajdanek.

– Słyszałem to, co powiedział panu Zorin – kontynuował Bielczenko. – Zdaje pan sobie sprawę, że on jest szalony.

Malone czuł się trochę jak lotka podczas meczu badmintonu. Był zupełnie zbity z tropu i nie wiedział już, co ma o tym wszystkim myśleć.

– Myślałem, że jesteście po tej samej stronie – powiedział, a widząc, że Bielczenko wciąż nie opuścił broni, dodał: – Mnie też pan zastrzeli?

Rosjanin oddał mu pistolet.

– Znalazłem go na górze. Chyba nie ma mi pan za złe, że go pożyczyłem.

– Ani trochę. Może pan z niego korzystać do woli. Nie byłem pewien, w jaki sposób uporam się z tymi dwoma.

– Ci wszyscy ludzie to fanatycy. Mieszkają w wiosce i ubóstwiają Zorina. On jest tu najstarszy. Wszyscy razem kurczowo trzymają się ideału, który tak naprawdę nigdy nie istniał.

– A pan?

– Jak ktokolwiek może uwierzyć w to, że jakiś system polityczny jest w stanie zapewnić społeczeństwu wszystkie dobra i usługi, nie ponosząc żadnych kosztów? Przynieść powszechne szczęście poprzez wyeliminowanie chciwości, skąpstwa, egoizmu i niewierności. Stworzyć miejsce, gdzie człowiek może stać się szlachetny, silny i odważny. Gdzie przestałyby istnieć zbrodnie, przemoc i nierówności społeczne. Przecież to absurd. Wielki eksperyment o nazwie Związek Radziecki udowodnił jedynie, że to wszystko jest po prostu niemożliwe.

Malone wiedział, że powinien wracać. Jego misja była zakończona. Ale właśnie na jego oczach zaczęła się krystalizować kolejna, związana z fanatycznym komunistą.

– O co chodzi Zorinowi? Mówił, że ma dług do spłacenia.

Bielchenko pokiwał pomarszczoną głową.

– To prawda. Czuje, że musi się odegrać na Stanach Zjednoczonych.

Stephanie wspominała, że Bielchenko to były archiwista KGB. Dlatego Malone zapytał:

– Co mu pan powiedział?

– Gdybym nie wyjawiał Zorinowi tego, co chciał wiedzieć, zabiłby mnie. Gdybym go okłamał, wyjechałby i na własną rękę dotarł do prawdy, a potem by wrócił i mnie zabił. Wolałem zatem powiedzieć mu prawdę. Wątpię jednak, czy to jeszcze ma jakiegokolwiek znaczenie. Minęło już tyle czasu. Nie ma już nic do znalezienia.

Malone'owi cisnęło się na usta całe mnóstwo pytań, ale jedno było najważniejsze:

– Więc dlaczego rozmawia pan teraz ze mną?

– Ponieważ nigdy nie byłem idealistą. Urodziłem się w złym, skorumpowanym systemie i nauczyłem się, co robić, aby przetrwać. W końcu stałem się strażnikiem komunistycznych sekretów, kimś ważnym dla warstwy uprzywilejowanej. Ufali mi, a ja nie nadużywałem ich zaufania. Ale oni wszyscy przeszli już do historii. Jak sam pan zauważył, zimna wojna się skończyła i świat jest dziś zupełnie inny. Inaczej uważa jedynie Zorin oraz kilku takich jak ci tutaj. Jego plan to czyste szaleństwo. Nie wyniknie z tego nic dobrego. Dlatego na wypadek, gdyby zagrożenie było nadal aktualne, zdecydowałem się ocalić panu życie i powiedzieć o wszystkim. – Bielchenko przerwał na chwilę. – Pytał pan, czego szuka Zorin.

Malone czekał na dalszy ciąg.

– Broni nuklearnej. Takiej, o której istnieniu nikt nie wie.

## ROZDZIAŁ 18

Stephanie i Luke wysiedli z taksówki przed wejściem do Anderson House. Pałacyk z kamienia wapiennego w stylu Beaux-Arts mieścił się przy Massachusetts Avenue, kilka przecznic od Dupont Circle, w otoczeniu ambasad i innych placówek dyplomatycznych. Stephanie wiedziała wszystko na temat tego budynku. Został wzniesiony w drugiej połowie XIX wieku przez amerykańskiego dyplomatę nazwiskiem Anderson. Był jedną z największych i najbardziej luksusowych rezydencji w Waszyngtonie. Anderson wraz z rodziną korzystał z niego podczas zimowego sezonu towarzyskiego. Dom został zaprojektowany z myślą o przyjmowaniu gości, którzy mogli podziwiać zgromadzoną przez gospodarza bogatą kolekcję dzieł sztuki i mebli. Kiedy Anderson zmarł w 1937 roku, jego żona oddała dom grupie ludzi bliskich sercu męża.

Towarzystwu Cyncynatów.

Cały czas w wiadomościach słyszało się o tym, jak Ameryka źle traktuje wojennych weteranów, ale nie było to nic nowego. Tak naprawdę wszystko zaczęło się już w 1783 roku, kiedy dobiegła końca wojna o niepodległość. Przez cztery lata oficerom Armii Kontynentalnej nie wypłacano żołdu, co oczywiście wzbudzało powszechne niezadowolenie. Krążyły plotki, że armia wkrótce zostanie rozwiązana, ale o spłacie długów nie było mowy. Coraz częściej mówiło się o przewrocie wojskowym, który miał szanse powodzenia, ponieważ nowo powstałe państwo jeszcze nie było w stanie się obronić. George Washington musiał osobiście interweniować i ostudzić te nowe rewolucyjne zapędy. Generał Henry Knox wpadł na pomysł utworzenia organizacji, która zadbałaby o interesy oficerów już po rozwiązaniu armii. W powołaniu do życia takiego towarzystwa widział szansę na przekucie gniewu w konstruktywny dialog. Jego pomysł spotkał się z ogólną aprobatą.

Nazwa towarzystwa pojawiła się w sposób naturalny.

W XVIII wieku rzymscy klasycy należeli do kanonu, który studiował każdy szanujący się uczoney. Żyjący w V wieku naszej ery Lucjusz Kwinkcjusz Cyncynat był rzymskim arystokratą, który wybrał ubogie życie na swojej farmie. Kiedy pojawiła się groźba wojny, rzymski senat obwołał go dyktatorem na sześć miesięcy w nadziei na to, że zażegna kryzys. Już po dwóch tygodniach Cyncynat odniósł zwycięstwo, a następnie, kierując się dobrem społecznym i osobistą skromnością, zrezygnował z powierzonej mu władzy i wrócił na swoją farmę. Oficerowie Armii Kontynentalnej wybrali go na swojego patrona, ponieważ tak samo jak Cyncynat stanęli w obliczu ubóstwa i musieli zająć się uprawą roli. Motto towarzystwa stanowiło wyraz ideału, jakim była bezinteresowna służba.

*Omnia reliquit servare Rempublicam.*

Zrzekł się wszystkiego, by chronić Republikę.

W chwili powstania towarzystwa w jego szeregi wstąpiła niemal połowa z pięciu i pół tysiąca uprawnionych do tego oficerów. Pierwszym przewodniczącym został George Washington, który sprawował to stanowisko do 1799 roku, później zastąpił go Alexander Hamilton. Wśród członków towarzystwa znalazło się także dwudziestu trzech sygnatariuszy Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Miasto Cincinnati w stanie Ohio otrzymało nazwę na cześć stowarzyszenia, ponieważ należał do niego pierwszy gubernator tamtego terytorium. Miał on nadzieję, że zachęci w ten sposób innych, by przybywali na zachód i osiedlali się na tych terenach. Członkostwo było uzależnione od płci oraz więzów krwi. Na początku mógł się o nie ubiegać każdy oficer Armii Kontynentalnej. Po jego śmierci prawo przynależności do towarzystwa przechodziło tylko na jednego męskiego potomka. Dalszy krewny mógł

zając jego miejsce dopiero w chwili, gdy zabrakło spadkobierców dziedziczących w linii prostej.

Ta tradycja przetrwała do dziś.

Stephanie wiedziała o tym wszystkim, ponieważ jej zmarły mąż był członkiem filii towarzystwa w stanie Maryland. Początkowo każda z trzynastu kolonii zorganizowała swój lokalny oddział. Przodkowie Larsa Nelle ze strony ojca walczyli w Maryland w wojnie o niepodległość. Jeden z nich był członkiem założycielem towarzystwa. Dlatego gdy w tajnej bibliotece zobaczyła księgę przykrytą szklanym kloszem, od razu wróciły wspomnienia. Jej mąż nie należał do osób, które łatwo ulegały emocjom. Stephanie z czasem zaakceptowała jego ponure usposobienie, jednak po tym, jak popełnił samobójstwo, zaczęła żałować, że tak łatwo się z tym pogodziła. Lars nie podchodził do życia zbyt entuzjastycznie i niewiele rzeczy dawało mu szczęście, jednak czymś, co zawsze sprawiało mu radość, było właśnie Towarzystwo Cyncynatów.

Stephanie spojrzała na zegarek.

Właśnie minęła dziewiąta rano.

Zanim wyszli z hotelu, przejrzała stronę internetową towarzystwa, z której wyczytała, że rezydencję oraz bibliotekę otwierają o dziewiątej, ale zwiedzanie zaczyna się dopiero w porze lunchu. Od kilkudziesięciu lat posiadłość pełniła funkcję muzeum, będąc jednocześnie ogólnokrajową siedzibą towarzystwa. Salę balową wynajmowano osobom z zewnątrz na różnego typu imprezy i na przestrzeni lat zdarzyło jej się uczestniczyć w kilku z nich.

W pamięć zapadła jej szczególnie jedna, która miała miejsce w sierpniu 1982 roku.

*Stephanie była pod wrażeniem białych, pokrytych freskami, wysokich na dwa piętra ścian sali balowej, skąpanej w ciepłym blasku dwóch okazałych kryształowych żyrandoli. Na przeciwległym krańcu sali, na dębowej posadzce, ustawiono dwanaście owalnych stołów przykrytych białymi obrusami. Szczególną uwagę zwracały schody z żelazną balustradą wiodące na otwartą galerię. Spiralne barokowe kolumny podtrzymywały balkon, na którym występowali muzycy. Dzisiejszego wieczora miał się tu odbyć koncert tria smyczkowego.*

*Od jej rozmowy z prezydentem Reaganem upłynęło pół roku. W tym czasie zdążyła czterokrotnie odwiedzić Rzym. Podczas spotkań z papieżem zdołała nawiązać z nim nić porozumienia. Razem z Janem Pawłem II znaleźli wspólny język, dyskutując o operze i muzyce klasycznej, za którą oboje przepadali. Reagan również stanowił jeden z głównych tematów ich rozmów. Papieża wyraźnie ciekawiła postać amerykańskiego prezydenta. Zadawał wiele pytań, wykazując się przy tym wiedzą, którą momentami ją zdumiewała. Oczywiście z każdego z tych spotkań zdawała relację prezydentowi, w równym stopniu zafascynowanym postacią biskupa Rzymu.*

*Dwa miesiące wcześniej prezydent i papież odbyli spotkanie w cztery oczy w Watykanie. Stephanie przygotowała grunt pod tę rozmowę i cieszyła się, że udało im się zawrzeć porozumienie. Podczas czerwcowej wizyty nie była obecna przy rozmowach. Zatrzymała się w pobliskim hotelu, gdzie przebywała do czasu wyjazdu prezydenta i jego świty. Kiedy Reagan opuścił Watykan, wraz z ludźmi z Rzymu rozpoczęła prace nad szczegółowym planem działania na najbliższe miesiące. W tamtym czasie w Europie Wschodniej wrzało, sytuacja polityczna zmieniała się z dnia na dzień i Stephanie była podekscytowana faktem, że może brać w tym udział.*

*Dzisiejszego wieczora, zupełnie nieoczekiwanie, została zaproszona na przyjęcie organizowane przez Departament Stanu. Kiedy wróciła z lunchu, na jej biurku leżała koperta. Oczekiwano jej w Anderson House niedaleko Dupont Circle o godzinie 18:00. Nastręczało to pewnych trudności natury garderobianej, ale szybko rozwiązała ten problem, wpadając z krótką wizytą do*

pobliskiego butiku. Stephanie nie znała zbyt wielu osób obecnych na przyjęciu, ale jedna twarz z pewnością nie była jej obca. George Shultz. Sekretarz stanu we własnej osobie.

Objął stanowisko zaledwie przed miesiącem, po tym, jak Al Haig został po cichu usunięty. W obozie rządzącym istniała różnica zdań co do tego, w jaki sposób należy prowadzić politykę zagraniczną. Haig był zwolennikiem jednej opcji, podczas gdy Biały Dom miał nieco odmienną wizję.

– Widzę, że otrzymała pani moje zaproszenie – powiedział Shultz, kiedy Stephanie znalazła się obok niego.

Jej szef był ekonomistą i pracownikiem naukowym, który sławę zdobył przede wszystkim dzięki działalności w sektorze prywatnym. Za rządów Nixona piastował trzy różne stanowiska na szczeblu ministerialnym. Teraz Reagan mianował go swoim sekretarzem stanu. Tego wieczora miał na sobie elegancki czarny smoking, który mocno opinał jego dość obfite kształty.

– Nie wiedziałam, że zaproszenie przyszło od pana – przyznała Stephanie.

Jeszcze pół roku temu byłaby przerażona całą tą sytuacją, jednak fakt, że pracowała dla prezydenta, jeżdżąc z tajnymi misjami do Włoch, dodał jej pewności siebie. Stała się równorzędnym graczem w tej poważnej grze. Niestety wiedzieli o tym tylko prezydent i Alexander Haig.

– Może przejdziemy do ogrodu zimowego – zaproponował Shultz, puszczając ją przodem.

Kilka par przeszklonych drzwi wychodziło z sali balowej wprost na dawną oranżerię, skąd rozciągał się widok na tarasowy ogród ozdobiony posągami i sadzawką lustrzaną. Ściany wąskiej, prostokątnej galerii pokrywały malowidła z motywami roślinnymi przypominające wnętrze ogrodu. Przestrzeń zdobiły także pozłacane treliaże i marmurowe kolumny. Śliska, wypolerowana na błysk marmurowa posadzka wyglądała jak tafla szkła, a błękitny sufit imitował niebo. Shultz wskazał drogę skinieniem głowy i weszli do mieszczącego się na końcu galerii niewielkiego pokoju, gdzie stał stół i krzesła.

– Chcę pani przekazać, że operacja Forward Pass będzie kontynuowana – powiedział, zniżając głos. – Prawdę mówiąc, sprawy nabiorą teraz większego tempa.

Najwyraźniej jej nowy szef wiedział o wszystkim.

Kilka dni wcześniej Shultz wydał oficjalne oświadczenie, zapowiadając, że najważniejszym zadaniem Departamentu Stanu będzie rozwijanie relacji dyplomatycznych z Europą i Związkiem Radzieckim. Haig na krótko przed swoim odejściem wzbudził pewne zaniepokojenie, gdy otwarcie zasugerował, że nuklearny strzał ostrzegawczy w Europie mógłby podzielać na Związek Radziecki jak idealny środek odstraszający. Tak jawnie konfrontacyjne posunięcie stało w absolutnej opozycji do wszystkiego, co chciał osiągnąć prezydent. Ronald Reagan żywił głęboką odrazę do broni atomowej. I nawet jeśli nie był to fakt powszechnie znany, jego najbliżsi współpracownicy doskonale o tym wiedzieli. Na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy doszło do eskalacji napięcia w stosunkach nie tylko pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą, lecz także pomiędzy Waszyngtonem i innymi najważniejszymi stolicami. W odpowiedzi na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce władze Stanów Zjednoczonych zakazały amerykańskim firmom oraz ich europejskim filiom przyłączania się do budowy gazociągu biegnącego z Syberii do Niemiec Zachodnich. Europejscy przywódcy żywo zaprotestowali przeciwko tym sankcjom, ponieważ były one w interesy finansowe ich państw. Haig niewiele zrobił, by uspokoić sytuację. Stephanie od razu się domyśliła, że to zadanie przypadło w udziale stojącemu obok mężczyźnie.

– Prezydent osobiście poinformował mnie o pani misji – oznajmił Shultz. – Trzeba przyznać, że ma ambitny plan.



Haig tylko raz rozmawiał z nią na temat operacji Forward Pass, próbując wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji. Stephanie uprzejmie uchylała się od odpowiedzi na jego pytania, co stało się przyczyną wielu tarć pomiędzy nimi.

– Prezydent szuka ludzi do pomocy – kontynuował Shultz. – Potrzebuje współpracowników. Nie interesuje go nasze zdanie. Chce tylko, żebyśmy podążyli wyznaczoną przez niego ścieżką. Zamierzam wypełnić jego wolę. Od pani oczekuję tego samego.

– Wiemy, jaki dokładnie jest cel?

– Tak, i myślę, że jesteśmy w stanie go osiągnąć. Muszę przyznać, że zanim zostałem wybrany na sekretarza stanu, nie byłem specjalnym fanem Ronalda Reagana. Uważałem, zresztą jak wielu innych, że on się do tego zupełnie nie nadaje. Przecież to aktor, na litość boską. Ale myliłem się. To wyjątkowo przenikliwy i inteligentny facet. Wie, czego chce, i robi wszystko, żeby to osiągnąć. I to mi się podoba. Ma naprawdę świeże podejście. Poinformował mnie, że sam będzie podejmował wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące polityki zagranicznej, natomiast szczegóły, czyli tak naprawdę faktyczne działania dyplomatyczne, pozostawi w mojej gestii. – Shultz umilkł na chwilę. – Zwłaszcza w sprawie Forward Pass. Jednym słowem, czeka nas sporo ciężkiej pracy.

– Czyli mam panu o wszystkim meldować?

Zależało jej na tym, żeby nawiązać z nim dobry kontakt. Z tego, co czytała i słyszała na jego temat, wynikało, że był doskonałym politycznym graczem. W przeciwnym razie chyba nie miałby na koncie czterech różnych stanowisk rządowych.

Shultz potrząsnął głową.

– A po cóż miałbym panią w ten sposób ograniczać? Niech pani robi swoje i informuje mnie tylko wtedy, kiedy uzna to pani za stosowne albo kiedy to będzie konieczne. Oboje pracujemy dla prezydenta Stanów Zjednoczonych. On jest naszym szefem. To dlatego zaprosiłem panią na dzisiejsze przyjęcie. Chciałem o tym wszystkim powiedzieć pani osobiście. – Shultz nachylił się do niej i szepnął: – Poza tym wolałem, żeby w Departamencie Stanu nie widziano, że ze sobą rozmawiamy.

Stephanie uśmiechem skwitowała jego konspiracyjny ton.

– Ośmielę się stwierdzić – dodał, także się uśmiechając – że najbliższe lata zapowiadają się interesująco.

I rzeczywiście miał rację.

Do kolejnego spotkania prezydenta z papieżem doszło dopiero w 1984 roku. W tym okresie Stephanie stała się głównym pośrednikiem przekazującym informacje pomiędzy Waszyngtonem i Rzymem. Podróżowała po świecie, przemierzając tysiące mil. Kursowała pomiędzy Watykanem i Białym Domem, przez cały ten czas pomagając w koordynowaniu działań mających na celu doprowadzenie do upadku Związku Radzieckiego.

Dziś, po raz pierwszy od tamtego wieczora w 1982 roku, znów przyszło jej odwiedzić Anderson House.

Po rozmowie na osobności Shultz z powrotem zaprowadził ją do środka, gdzie na gości czekały przybrane kwiatami stoły. Kolacja była wyśmienita i wszyscy świetnie się bawili. Przez cały wieczór towarzyszyła im muzyka, salę wypełniał gwar rozmów i pobrzękiwania porcelany. Wśród towarzystwa krążyły zabawne anegdoty. Stephanie czuła, jak z każdą chwilą nabiera coraz większej pewności siebie. Do dziś przechowywała w pamięci wspomnienie tamtej nocy wraz z całą gamą harmonijnych dźwięków. Gdzieś miała nawet menu w złotej ramce, odręcznie podpisane przez Shultza – pamiątkę z czasów, gdy

została osobiście zwerbowana przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, a sekretarz stanu był jej tajnym sprzymierzeńcem.

Od tego czasu wszystko się zmieniło. Teraz nie była już nikomu do niczego potrzebna.

Ruszyła z Lukiem w stronę rezydencji, przechodząc przez zwieńczoną łukiem bramę. Za otwartą żelazną furtką znajdował się dziedziniec dla powozów, chroniony przed promieniami porannego słońca przez wsparty na kolumnach portyk. Dwupiętrowy budynek dzielił się na dwa dwutraktowe skrzydła.

Od pamiętnego przyjęcia minęło niemal trzydzieści pięć lat. George Shultz dawno przestał być sekretarzem stanu. Reagan i Jan Paweł II odeszli z tego świata. Została tylko ona. Z czasem zdobyła pozycję światowej klasy oficera wywiadu. Niektórzy uważali ją za jedną z najlepszych agentek służb wywiadowczych. Niestety ani dla nowego prezydenta, ani dla nowego prokuratora generalnego nie miało to żadnego znaczenia. Już za chwilę miała zostać bez pracy. Ale jedna rzecz przez cały czas nie dawała jej spokoju. Wciąż wracała pamięcią do rozmowy z Nikołajem Osinem, który podczas podróży do Wirginii mówił jej o zaginionych ładunkach jądrowych i o komunistycznym fanatyku nazwiskiem Zorin.

*On chce zemsty.*

Stephanie była już pewna jednego. Podpowiadały jej to lata doświadczenia.

To, co działo się teraz, miało związek z przeszłością.

# ROZDZIAŁ 19

## BAJKAL

Malone zdał sobie sprawę, że Bielczenko mówi śmiertelnie poważnie. Nie był przygotowany na takie rewelacje i nie potrafił ukryć zdumienia.

– Broń, o której nikt nie wie? – powtórzył.

– Od urodzenia uczono nas, że Ameryka to nasz wróg. Że wszystko, co amerykańskie, stanowi zaprzeczenie naszego stylu życia. Naszym obowiązkiem było szykować się do wojny z głównym wrogiem. Na tym opierało się całe nasze życie.

– Nam mówiono to samo o was.

– I ktoś się jeszcze zastanawia, dlaczego nie ufaliśmy sobie nawzajem? Dlaczego nie mogliśmy żyć w przyjaźni? Nie było na to szans. W łaźni powiedziałem panu, że każda historia ma początek, środek i koniec. Historia komunizmu zaczęła się w 1918 roku wraz z rewolucją bolszewicką. Środek trwał od tamtej chwili aż do teraz. Po drodze mieliśmy Stalina, Chruszczowa, Breżniewa, Gorbaczowa, Jelcyna i Putina. Obecny rząd jest nie lepszy od poprzednich. Katastrofa goni katastrofę. Ludzie tacy jak Zorin nie zapomnieli tego, co im kiedyś wpojono. On w dalszym ciągu widzi w Ameryce wroga, tyle że kierują nim bardziej osobiste motywacje niż wcześniej. Dla niego finał tej historii jeszcze nie nastąpił. Rozgrywa się właśnie teraz.

– Twierdził, że dowodził jednostką specnazu.

Bielczenko pokiwał głową.

– Posiada szereg umiejętności, które przez ponad dwadzieścia lat były uśpione, ale których nigdy się nie zapomina. Z pewnością będzie trudnym przeciwnikiem.

Malone zdawał sobie sprawę, że radzieckie siły specjalne należały do najlepszych na świecie. Pokazały, co potrafią, między innymi w wojnie z Afganistanem w latach osiemdziesiątych.

– Był w Afganistanie? – zapytał.

– Prawie pięć lat. Kiedy się stamtąd wycofaliśmy, uznał to za zdradę wszystkich, którzy tam polegli. Pod tym względem nie zgadzam się z nim. Ta wojna musiała się skończyć. Ale kiedy upadł Związek Radziecki, obaj przekonaliśmy się, co naprawdę oznacza zdrada. Specnaz miał te same problemy, co wszyscy inni: korupcja, niskie morale, brak funduszy. Wielu z jego funkcjonariuszy poszło pracować dla mafii, która sowicie opłacała ich usługi.

– Ale nie Zorin.

– Nie od razu, ale ostatecznie on też przez jakiś czas pracował dla gangsterów. Każdy prędzej czy później musiał się na to zdecydować. To oni mieli pieniądze. Ale Zorin zawsze przede wszystkim służył swojemu krajowi, a nie rublowi. A kiedy jego kraj przestał istnieć, postanowił zniknąć.

Dzięki czemu uniknął katastrof, które nastąpiły po 1991 roku, pomyślał Malone. Podczas wojny w Czeczenii oddziały specnazu utraciły resztki swojej reputacji, ponosząc w walce partyzanckiej porażkę za porażką. Malone czytał kiedyś o całej jednostce, która została zmasakrowana przez czeczeńskich bojowników. Potem zaś przyszedł atak na moskiewski teatr w 2002 roku oraz oblężenie szkoły w Biesłanie w 2004 roku. W pierwszym przypadku siły specnazu spartaczyły akcję ratunkową i w rezultacie setki ludzi poniosły śmierć, a w drugim przeprowadziły szturm z użyciem rakiet i czołgów, co znacznie zwiększyło liczbę ofiar. Działali bez żadnej finezji, po amatorsku, zupełnie nie zważając na

życie niewinnych ludzi, w tym także swoich współobywateli.

– Aleksandr to człowiek w pełni oddany sprawie, w którą wierzy – ciągnął Bielczenko. – Bardzo długo mieszkał tu, w tym domu, i przez ten czas jego rozgoryczenie zdążyło dojrzeć, okrzepnąć. I jak przystało na komandosa z dawnych lat, nadal potrafi myśleć i działać na własną rękę.

Malone musiał się dowiedzieć więcej o broni nuklearnej, dlatego postanowił zacząć od początku.

– Musi mi pan powiedzieć dokładnie, co tu się dzieje.

Bielczenko oparł się o jeden z żelaznych filarów podtrzymujących konstrukcję domu.

– Nie znam wszystkich szczegółów. Wiem, że może się to panu wydać dziwne, zważywszy na moje dawne stanowisko. Na pewno specnaz ma dostęp do małych, przenośnych ładunków jądrowych. Nazywaliśmy je RA-115. Były ukryte w tajnych składach broni.

Malone słyszał oczywiście o tych kryjówkach rozmieszczonych w zachodniej i środkowej Europie, w Izraelu, Turcji, Japonii i nawet w Ameryce Północnej. Trzymano w nich uzbrojenie oraz sprzęt radiowy z myślą o wojskach, które znajdą się na tych terenach w przyszłości.

– Pamiętam jeden taki skład w Szwajcarii – powiedział. – Kiedy go znaleziono, strzelono do niego z armatki wodnej i nagle wszystko wyleciało w powietrze. Całe miejsce było zaminowane.

– Tamten skład i inne zostały zlokalizowane dzięki wyznaniom Mitrochina. Wie pan, że uważam tego człowieka za zdrajcę. Nie miał prawa ujawniać tych wszystkich tajemnic. Naszym zadaniem było ich strzec.

– Czy to miało wtedy jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

– Dla mnie miało. A także dla ludzi takich jak Zorin. My wierzyliśmy w swoją służbę. I nawet gdy nasze państwo przestało istnieć, nasza misja nie została odwołana. Nadal mieliśmy obowiązek pilnować, aby tamte sekrety nie dostały się w obce ręce.

– Dlaczego więc teraz pan mi to wszystko mówi? Dlaczego właśnie zabił pan tych dwóch? Co się zmieniło?

– Zorin stracił z oczu to, o co naprawdę walczyliśmy. Zniżył się do poziomu tych, którzy doprowadzili do naszego upadku. Ludzie tacy jak Stalin, Beria, Breżniew, Andropow i wszyscy inni tak zwani przywódcy partyjni. Oportuniści, którzy nie wierzyli w nic poza sobą. Zorin stał się podobny do nich, chociaż chyba sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Więc mówi pan, że jeden z tych ukrytych magazynów zawiera broń jądrową?

– Wiele z nich ją zawierało. Ale musi się pan martwić tylko o jeden magazyn. Reszta jest niegroźna.

– Muszę wiedzieć więcej.

– Zorin udał się do Kanady.

Wreszcie jakaś nowa informacja.

– Szuka człowieka nazwiskiem Jamie Kelly. To Amerykanin, który kiedyś pracował dla KGB. Kiedy w 1991 roku nastąpił koniec, Kelly usunął się w cień, jak wielu innych funkcjonariuszy rozsianych po całym świecie. On zna położenie składu broni, w którym może się znajdować pięć ładunków RA-115. Te ładunki mogą nadal być w pełni sprawne.

Czy to w ogóle możliwe?

– Myślałem, że walizkowe bomby potrzebują stałego zasilania, inaczej stają się bezużyteczne.

– To prawda. Ale jeżeli tylko nie zabraknie źródła mocy, broń będzie wciąż działała. Nasi inżynierowie zaprojektowali je tak, aby mogły przetrwać bardzo długo, o ile są dobrze ukryte.

Słyszając to, Malone z miejsca nabrał podejrzeń. W końcu jego rozmówca przez całe życie zajmował się oszustwem i manipulacją, dlaczego więc teraz miałoby być inaczej?

– Co Zorin zamierza zrobić z tą bronią?

– Niestety nie wyjawiał mi swoich planów, co jest całkiem zrozumiałe. Zapewnił mnie jedynie, że jego

dług wobec Ameryki zostanie spłacony.

– Więc czego właściwie chciał od pana?

– Potrzebował nazwiska i miejsca pobytu Kelly'ego. Widzi pan, po rozpadzie Związku Radzieckiego podjęto decyzję o nieujawnianiu informacji na temat tajnych składów broni. Postanowiliśmy, że pozostaną ukryte. Gdyby któryś został przypadkiem odkryty, zabezpieczająca go bomba-pułapka ochroniłaby zawarte w nim tajemnice. Zdrajcy w rodzaju Mitrochina zrujnowali tę strategię. Mało kto zdawał sobie jednak sprawę, że w niektórych z tych składów kryła się broń jądrowa. Mitrochin nie zaliczał się do tego grona.

– Ale pan nie wie, gdzie znajduje się ten skład, którego szuka Zorin?

– Nigdy nie posiadałem tej informacji. Ale Jamie Kelly wie. I z tego, co słyszałem, ciągle żyje.

W tym momencie ciszę zakłócił dobiegający z góry hałas.

– Brzmi jak jakiś pojazd – stwierdził Malone, przesuając się w stronę schodów z pistoletem w ręku.

Bielchenko ruszył za nim, podnosząc z ziemi karabin należący do jednego z zabitych.

– Myśli pan, że to będzie potrzebne? – zapytał Malone.

– Całkiem możliwe.

Malone chwycił swój płaszcz, założył go i zaczął wspinać się po schodach, które prowadziły do kuchni wyposażonej w żelazny piec i kominek. Przy jednej ścianie stał kredens, na haczykach wisały porcelanowe kubki. W powietrzu unosił się cierpki zapach niezmywanej nigdy podłogi i brudnej wody w zlewie. Na zewnątrz paliło się światło. W jednym z okien Malone dostrzegł trzech mężczyzn w wełnianych kominiarkach wysiadających z terenowego auta przypominającego jeepa wranglera.

W świetle reflektorów ruszyli w stronę domu.

Po chwili Malone usłyszał dobrze znany, rwany odgłos strzałów z karabinów.

## ROZDZIAŁ 20

Stephanie i Luke weszli do środka. Anderson House od lat trzydziestych pełnił funkcję siedziby Towarzystwa Cyncynatów. Mimo to trudno było się tu dopatrzeć śladów ich obecności. W rezydencji mieściło się muzeum, w którym zwiedzający mogli za darmo obejrzyć kolekcję zgromadzonych przez rodzinę Andersonów obrazów i rzeźb pochodzących z epoki nazywanej w Ameryce wiekiem połączonym. Biura towarzystwa znajdowały się w piwnicy. Stephanie dowiedziała się tych wszystkich szczegółów wiele lat temu, jeszcze za życia swojego męża. Jak wyjaśniła Luke'owi, cyncynaci stworzyli pierwszą w kraju organizację, do której mogli wstępować wyłącznie potomkowie członków założycieli. Byli najstarszym w kraju prywatnym stowarzyszeniem patriotycznym, które za nadrzędny cel swojej działalności obrało kultywowanie pamięci o wojnie o niepodległość.

Jego członkowie traktowali swoją misję bardzo poważnie.

W podziemiach rezydencji znajdował się imponujący księgozbiór zawierający dzieła, w tym także rękopisy, z tamtej epoki. Stephanie, którą od zawsze fascynowały rewolucja amerykańska i wojna roku 1812, przed wielu laty dowiedziała się o zgromadzonej przez członków towarzystwa obszernej kolekcji tekstów źródłowych oraz opracowań. Zawartość tajnej biblioteki w Wirginii wydawała się szczególnie wartościowa i Stephanie wciąż się zastanawiała, czy ktokolwiek zdawał sobie sprawę z jej istnienia. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Wyciągnęła swój identyfikator z Magellan Billet i machnęła nim przed nosem recepcjonistce, która od razu skierowała ją do mieszczącej się w piwnicy siedziby towarzystwa.

Po drodze Stephanie zauważyła, że niewiele się tu zmieniło od czasów jej ostatniej wizyty. Hol wejściowy przechodził w długi przedpokój z eleganckimi schodami wiodącymi na piętro. Dalej znajdowały się sala balowa i biblioteka. Niezwykle bogata kolekcja obrazów, mebli, marmurów i malowideł ściennych zachwycała tak samo jak przed laty, w powietrzu zaś wciąż unosił się ten sam lekko zatęchły zapach przeszłości.

Choć Towarzystwo Cyncynatów zaliczało się dziś do grona organizacji non-profit, jego początki nie miały zbyt wiele wspólnego z działalnością dobroczynną. W latach osiemdziesiątych XVIII wieku wielu uważało to stowarzyszenie wojskowe za realne zagrożenie. Przekonywano, że zrzeszanie się żołnierzy nie jest najlepszym pomysłem. Obawy wydawały się uzasadnione, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że koloniści mieli dotychczas do czynienia głównie z ostentacyjną arogancją ze strony brytyjskiej armii. Do tego dochodził aspekt dziedziczenia członkostwa, a to zbyt mocno kojarzyło się z tradycją arystokratyczną, do której przedstawiciele nowo powstałego narodu żywili głęboką odrazę. Konstytucja wyraźnie zabraniała nadawania tytułów szlacheckich. Władze kilku stanów, a także członkowie Kongresu rozważali delegalizację towarzystwa. Tylko dzięki zaangażowaniu samego George'a Washingtona udało się nieco rozwiać ich obawy.

Zmarły mąż Stephanie, Lars, uwielbiał brać udział w dorocznych spotkaniach towarzystwa organizowanych w sali balowej Anderson House. Pasjonował się historią i sam miał całkiem pokaźną kolekcję literatury kolonialnej. Jego książki do dziś stały na półkach w ich domu w Georgii, gdzie Stephanie powinna w tej chwili siedzieć i zastanawiać się, co zrobić z resztą swojego życia. Ale zamiast tkwić w czterech ścianach, przyjechała tutaj, łamiąc bezpośredni rozkaz wydany przez jej przełożonego, z każdą chwilą pograżając się coraz bardziej.

– Ale odlot – wymamrotał pod nosem Luke, rozglądając się dokoła. – Wyglądasz, jakbyś znała to

miejsce.

Ta nieudana próba wyciągnięcia z niej informacji wywołała uśmiech na jej twarzy.

– W końcu siedzę w tym od dawna.

– Dobra, rozumiem. Opowiesz mi, jak będziesz gotowa.

W piwnicy mieściła się biblioteka zaprojektowana dla wygody użytkowników. Na podłodze leżała wykładzina, sufit został wyłożony wygłuszającymi panelami, setki książek zaś i rękopisów spoczywały na solidnych metalowych regałach. Pośrodku stały trzy ciężkie drewniane stoły. W powietrzu unosił się słodkawy zapach papieru, skórzanych opraw i kleju introligatorskiego. Nierzuczające cienia oświetlenie jarzeniowe dawało efekt lekko niebieskawej poświaty.

Przy drzwiach czekał na nich niski, szczupły mężczyzna. Wyglądał na niecałe pięćdziesiąt lat, a jego twarzznaczona była zmarszczkami od częstego śmiania się. Szyję oplatał mu łańcuszek, na którym miał zawieszony okulary. Nazywał się Fritz Strobl i był kustoszem towarzystwa. Stephanie wyjaśniła mu, na jakie znalezisko natknęli się w Wirginii.

– Właściciel domu, Brad Charon, był członkiem towarzystwa przez całe swoje dorosłe życie. Nic więc dziwnego, że zdołał zgromadzić taką kolekcję – stwierdził Strobl.

– Którą ukrył przed światem – zauważył Luke.

Na twarzy Strobla pojawił się uśmiech.

– Cóż, pan Charon zawsze wydawał się nieco ekscentryczny. Ale kochał Amerykę. I kochał to towarzystwo.

– Zmarł nagle? – spytała Stephanie, mimo że знаła odpowiedź na to pytanie.

– Zginął w katastrofie lotniczej. Byłem na jego pogrzebie. Bardzo smutna historia. Czytałem później o sporze sądowym pomiędzy jego spadkobiercami, ale to było dawno temu.

Na przestrzeni ponad dwudziestu lat pracy w wywiadzie Stephanie nauczyła się wielu rzeczy. Dowiedziała się, jak uprawiać politykę, w której wszystkie chwytaki są dozwolone, czym jest zakulisowa dyplomacja, kiedy należy podjąć współpracę, a kiedy uciec się do podstępów. Podróżując po całym świecie, miała do czynienia z całą gamą ludzkich charakterów, od tych najgorszych po te najbardziej szlachetne, i niezliczoną ilość razy musiała podejmować decyzje, od których zależało czyjeś życie. Zdobyła wiele cennych umiejętności, między innymi nauczyła się zwracać uwagę na szczegóły. Zadziwiała ją, jak często ludzie w ogóle nie zauważali się nawzajem. I nie chodziło wcale o narcyzm czy przerost ego. Najczęstszym wytłumaczeniem była po prostu obojętność. Ale ona potrafiła wyłapać każdy, nawet najdrobniejszy detal.

Jej uwadze nie uszedł na przykład fakt, że Stroblowi lekko trzęsły się ręce. Obie ręce, nie tylko prawa czy lewa, co mogłoby być oznaką jakiejś fizycznej przypadłości. W dodatku po jego skroni spływała cienka, połyskująca w świetle lamp strużka potu, choć w pomieszczeniu panował przyjemny chłód; właściwie temperatura była na tyle niska, że ani ona, ani Luke nie czuli potrzeby zdjęcia płaszczy. Jednak najbardziej wymowne wydawało się przygryzanie wargi – Strobl zrobił to aż cztery razy, prawdopodobnie po to, by powstrzymać jej zauważalne drżenie.

– To z jakiej agencji państwo jesteście?

– Z Departamentu Sprawiedliwości.

– A jaki właściwie jest cel waszej wizyty?

Tym razem Stephanie zdecydowała się na chytry wybieg.

– Chcieliśmy zgłosić odkrycie tajnego archiwum. Znaleźliśmy w nim unikatową księgę umieszczoną pod szklanym kloszem. Jest w niej szczegółowy opis początków towarzystwa. To z jej powodu się tu dziś znaleźliśmy.

Następnie pokazała mu zdjęcie, które zrobiła telefonem, zanim opuścili rezydencję.

– To oryginalne wydanie naszej pierwszej kroniki – wyjaśnił Strobl. – W jego posiadaniu znajduje się zaledwie kilku członków towarzystwa. Nie miałem pojęcia, że pan Charon był właścicielem jednego z egzemplarzy.

– Teraz ten oryginał może trafić do was – powiedział Luke.

Strobl rzucił im obojgu osobliwe spojrzenie, które wyrażało jego sprzeciw.

– Bardzo dziękuję za przekazanie mi tej informacji, a teraz wybaczą państwo, ale muszę wracać do pracy. W poniedziałek wieczorem wydajemy przyjęcie z okazji inauguracji i właśnie jesteśmy w trakcie przygotowywania sali balowej.

– Szykuje się poważna impreza? – spytała Stephanie.

– Cóż, sam prezydent nie uświetni jej swoją obecnością, ale z tego, co nam wiadomo, pojawi się wiceprezydent wraz z kilkoma przedstawicielami nowego rządu.

Stephanie poczuła niesmak, ale niczego nie dała po sobie poznać. Nie miała zamiaru tak łatwo zrezygnować. Luke przeszedł na drugi koniec sali i zaczął udawać, że przegląda książki. Zza pleców Strobla rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie, które potwierdziło jej własne podejrzenia.

Mężczyzna kłamał.

Stephanie rozejrzała się po bibliotece. W jednym rogu dostrzegła ciemną kulę przymocowaną do paneli pokrywających sufit. Kamera monitoringu. Wcale nie zdziwił jej ten widok. Ze względu na wartość obrazów i antyków znajdujących się na wyższych piętrach podobne kamery z pewnością zainstalowano na terenie całego muzeum.

– Mój świętej pamięci mąż, Lars Nelle, był członkiem towarzystwa.

Miała nadzieję, że dzięki tej ciekawostce Strobl nieco się rozluźni, ale niestety nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– Aktywnie udzielał się w filii w Maryland – nie poddawała się. – Kilka razy odwiedziliśmy wspólnie Anderson House.

Wciąż żadnej reakcji.

Za to Luke zaczął się uważnie przysłuchiwać.

– Może powinniście się wybrać do domu Charona i zabrać stamtąd te wszystkie książki? – zasugerowała Stephanie.

– Ale to przecież niemożliwe. Sama pani powiedziała, że biblioteka znajduje się na terenie rezydencji. To byłaby kradzież.

– Tylko gdyby ktoś was przyłapał – wtrącił Luke. – Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek miał wam to za złe. W końcu te książki leżą tam od bardzo dawna. My nikomu nic nie powiemy.

– Obawiam się, że nie działamy w ten sposób.

Wyraźne podenerwowanie Strobla mogło wynikać z faktu, że w piątkowy poranek zupełnie znieacka pojawił się u niego ktoś z Departamentu Sprawiedliwości, wymachując rządowym identyfikatorem i zadając mnóstwo pytań.

Być może jednak przyczyna leżała gdzie indziej.

– Z drugiej strony może macie rację – odezwał się nagle Strobl. – Te zbiory mogą okazać się bardzo cenne. Pan Charon sfinansował zakup wielu książek i dokumentów, które tutaj widzicie. Sam był zagorzałym kolekcjonerem. Z pewnością życzyliby sobie, żeby właśnie do nas trafiło wszystko, co udało mu się zgromadzić.

W jego głosie zaszła interesująca zmiana.

W miejsce niepokoju pojawiła się nuta pewności siebie.

Strobl sięgnął po leżący na stole notatnik i długopis.

– Czy może mi pani raz jeszcze podać dokładną lokalizację tej biblioteki?



Stephanie podyktowała mu adres.

– Zgadza się? – spytał, podając jej notatnik.

Spojrzała na zapisaną kartkę.

*Na pierwszym piętrze w dyżurce za spiżarnią jest Rosjanka z pistoletem. Widziała was. Kazała mi się was pozbyć albo zabije człowieka, który tam pracuje.*

Stephanie kiwnęła głową i oddała mu notatnik.

– Zgadza się. To stary dom w środku lasu. Na waszym miejscu pojechałabym tam jak najszybciej.

Mróz z pewnością nie przysłuży się tym wiekowym księgom.

– Tak zrobimy.

Stephanie podziękowała mu za poświęcony im czas i razem z Lukiem wyszła z biblioteki.

– Anja Pietrowa tu jest – oznajmiła, gdy znaleźli się w ciemnym korytarzu pozbawionym kamer. – Na pierwszym piętrze, w dyżurce za spiżarnią. Na parterze się rozdzielimy. Na pewno cię zauważy. Wszędzie są kamery.

– Żaden problem. Mam z nią niewyrównane rachunki.

Stephanie wiedziała, że tym razem Luke nie popełni żadnego błędu.

Zeszli po schodach i znów znaleźli się w eleganckim holu. Za biurkiem nadal siedziała ta sama recepcjonistka. Stephanie skrzyła w jej kierunku, a Luke podbiegł do schodów po drugiej stronie galerii.

Recepcjonistka podniosła się z krzesła.

– Proszę pana – zawołała za nim. – Tam nie wolno...

Stephanie spokojnie odsunęła płaszcz, odsłaniając pistolet w kaburze.

Kobieta spojrzała na nią zszokowana.

Nie zwalniając kroku, Stephanie podniosła palec i przyłożyła go do ust.

## ROZDZIAŁ 21

Malone musiał donieść Stephanie Nelle o tym, czego się dowiedział. Sprawa była znacznie poważniejsza, niż się spodziewał, być może nawet Stephanie nie uświadamiała sobie do końca skali zagrożenia – w końcu kiedy zadzwoniła, żeby zlecić mu tę misję, mówiła jedynie, że Rosjanie zwrócili się do Amerykanów o pomoc w znalezieniu Bielczenki oraz że może po drodze natknąć się na Zorina. Niestety nie miał telefonu komórkowego, a przed chwilą jacyś trzej faceci z karabinami odcięli mu drogę ucieczki z daczki.

Bielczenko wydawał się zupełnie niespieszony tym, co się działo na zewnątrz.

– To kozłik. Taki przydomek nosi ten pojazd. Ma go tylko wojsko. Ci ludzie z pewnością przybyli tu na rozkaz Kremla. Przyjechali po mnie.

– Dlaczego?

– Rząd zapewne uznał, że przestałem być użyteczny. Musi pan uciekać. To pana nie dotyczy. Ja się tym zajmę. Na końcu tego korytarza jest tylne wyjście. Niech pan jedzie do Kanady i odnajdzie Jamiego Kelly'ego.

– Nie powiedział mi pan, gdzie mam go szukać.

– W Charlottetown na Wyspie Księcia Edwarda. Kelly jest zatrudniony na pół etatu w tamtejszym college'u.

– Jedźmy do niego razem – zaproponował Malone.

Ale Bielczenko puścił jego słowa mimo uszu. Szarpnął za klamkę drzwi frontowych i zaczął strzelać do napastników w kominiarkach.

Tamci odpowiedzieli ogniem.

Malone miał poważne wątpliwości, czy stary Rosjanin rzeczywiście ma tak dobry wzrok, jak cały czas uparcie twierdził. Poza tym wiedział, że wystrzelując około czterdziestu nabojów na minutę, Bielczenko za chwilę zostanie z pustym magazynkiem.

I tak się stało.

Malone skoczył, objął Rosjanina rękami i odepchnął go od drzwi, o włos unikając wrogiego ostrzału. Pociągnął go za sobą i razem padli na drewnianą podłogę.

– Zwariował pan? – wrzasnął.

Ściany pomieszczenia zasypał grad kul. Kamienna fasada budynku zapewniała jako taką osłonę, ale nie okna, które zaczęły się rozsypywać w drobny mak. Nad ich głowami fruwały drewniane drzazgi i odłamki szkła. Malone nie podnosił się z ziemi, czekał na odpowiedni moment.

– Jednego załatwiłem – odezwał się Bielczenko.

Na dworze zrobiło się całkiem ciemno – zimą na Syberii noc zapada wcześniej. Powinno im to pomóc w ucieczce. Problem w tym, żeby wydostać się z domu i nie dać się przy tym zabić.

Strzały na zewnątrz ucichły.

Malone wiedział, co to oznacza. Napastnicy przeładowywali broń.

Mieli tylko chwilę, więc nie czekając dłużej, pomógł Bielczence podnieść się z ziemi i zgięci w pół pobiegli korytarzem prowadzącym w głąb domu.

Do kuchni wpadł jeden z mężczyzn w kominiarkach.

Malone obrócił się w biegu i strzelił.

Kula trafiła prosto w twarz i roztrzaskała czaszkę. Malone dawno temu nauczył się, że o ile to

możliwe, należy celować w głowę albo w nogi. Ludzie są dzisiaj za bardzo opancerzeni. I chociaż odszedł z czynnej służby i nie musiał już szlifować swoich umiejętności, nadal pozostawał doskonałym strzelcem. Ciało mężczyzny zważyło się na podłogę i przez chwilę jeszcze poruszało, wstrząsane konwulsjami. Malone uznał, że upuszczony przez zabitego karabin AK-47 może się bardzo przydać, więc szybko podniósł go z ziemi.

Widząc, że broń ma pełen magazynek, od razu poczuł się lepiej.

Wrócił do korytarza, spodziewając się zobaczyć tam Bielczenkę, ale żwawy starzec gdzieś zniknął. Na parterze daczego paliło się niewiele świateł, a za oknami była już czarna noc. Schował swój pistolet do kabury pod płaszczem i ruszył przed siebie z karabinem opartym wygodnie o prawe ramię. Korytarz miał dobre sześć metrów, a na końcu znajdowało się kolejne pomieszczenie.

Dom wydawał się kompletnie pusty.

Malone skoncentrował się i spróbował uspokoić bicie serca. Ile razy znajdował się w podobnych sytuacjach?

Zbyt wiele, żeby je wszystkie spamiętać.

Przez otwarte drzwi i rozbite okna do środka wtargnęło mroźne powietrze i Malone z każdym oddechem wypuszczał z ust delikatną mgiełkę. Zrezygnował z pracy w jednostce Magellan Billet dokładnie po to, by więcej nie pakować się w takie kłopoty. Odszedł ze służby w marynarce oraz z Departamentu Sprawiedliwości, sprzedał dom i przeprowadził się do Kopenhagi, gdzie otworzył antykwiariat z książkami. Po dwudziestu latach w wojsku i dziesięciu w Magellan Billet postanowił diametralnie zmienić styl życia. Niestety jego dawny świat nie chciał o nim zapomnieć. Od czasu przejścia na emeryturę dawał się wciągnąć w jedną awanturę za drugą, aż w końcu stwierdził, że mógłby przynajmniej dostać parę groszy za fatygę. Ta misja wydawała się banalnie prosta: miał odnaleźć kogo trzeba i wracać do domu. Niechcący wpakował się jednak w sam środek międzynarodowego gniazda szerszeni i z wszystkich stron otaczały go teraz rozwścieczone owady.

Gdy szedł korytarzem, deski podłogowe trzeszczały mu pod stopami; stary, wytarty dywan bardzo kiepsko tłumiał kroki. Zaczął myśleć o Garym. Jego syn był już niemal dorosły, za chwilę miał skończyć liceum i musiał zdecydować, co dalej robić ze swoim życiem. Przebąkiwał coś o marynarce wojennej, o pójściu w ślady ojca i dziadka. Ekszona Malone'a nie była zachwycona tym pomysłem, ale ustalili między sobą, że pozwolą chłopakowi wybrać własną drogę. Życie już i tak jest wystarczająco trudne, nawet kiedy rodzice nie narzucają dzieciom swojego zdania.

Malone pomyślał też o Cassiopei.

Ciekawe, gdzie teraz jest, co robi. Ostatnio coraz częściej zdarzało mu się o niej rozmyślać. Niestety ich romans chyba definitywnie się zakończył. Kiedy jakiś czas temu próbował się z nią skontaktować, otrzymał dość obcesową odpowiedź.

„Zostaw mnie w spokoju”.

Tak też zrobił.

Nadal jednak za nią tęsknił. Co nie powinno dziwić, zważywszy na to, że ją kochał.

Dotarł do końca korytarza.

Przywarł plecami do ściany i zaczął balansować na palcach stóp. Uspokoił oddech, uniezależniając rytm pracy płuc od pracy nóg. Ta sztuczka już nieraz ocaliła jego skórę.

Przycisnął łokcie do ciała i uniósł karabin, delikatnie obejmując palcem spust, ale wszystkie mięśnie miał rozluźnione.

Ostrożnie wyjrzał zza futryny.

Zobaczył przestronny pokój z wysokim, sklepionym sufitem i kominkiem, w którym resztkami sił tliły się jeszcze czarne polana. Większość jednej ściany zajmowały ciemne okna wychodzące na jezioro. Na

stoliku po drugiej stronie pomieszczenia paliła się lampka, żarząca się słabym, żółtawym światłem. W każdym rogu czały się długie cienie. Stało tam kilka surowych, sosnowych mebli, w tym sofa i krzesła zwrócone w stronę okien. W normalnych warunkach pokój mógłby wydawać się przytulnym, bezpiecznym miejscem, gdzie można schronić się przed zimmem, ale dziś wieczorem wyglądał bardziej jak pułapka. Po drugiej stronie znajdowały się zamknięte drzwi, przy których stał Bielczenko.

– Czy to jest wyjście? – zapytał Malone.

Bielczenko pokiwał głową.

– Czekałem na pana.

Stary Rosjanin stał częściowo w cieniu, reszta pokoju niemal tonęła w ciemności. Pełne napięcia spojrzenie archiwisty zwiastowało kłopoty. Coś było nie tak.

Nagle Malone zdał sobie sprawę, że Bielczenko nie ma już w rękach karabinu.

– Gdzie pana broń? – zapytał, nie ruszając się z miejsca.

– Już jej nie potrzebuję.

Bielczenko mówił wolno i cicho. Wcześniej gadał jak najęty, a teraz nagle zapomniał języka w gębie? A może...

– Wyjdźmy drugą stroną – zaproponował Malone.

– To niemożliwe.

Nagle gdzieś z wnętrza pokoju ktoś zaczął strzelać, a huk odbił się głośnym echem od wysokiego sufitu. Malone rzucił się przed siebie, wyciągnięty jak struna przejechał kawałek po drewnianej podłodze i zatrzymał się pod sofą, niedaleko okien, cały czas mocno ściskając w rękach broń. Kątem oka wyłowił jakiś ruch w półmroku i dostrzegł czarny kształt wyłaniający się z cienia. Natychmiast nacisnął spust i posłał w tamtym kierunku serię z kałasznikowa. Kształt odskoczył i uderzył o ścianę, po czym zatrząsł się i osunął na ziemię, stapiając z plamą cienia. Malone doskoczył do ciężkiego, drewnianego stołu, przewrócił go i ustawił przed sobą jako osłonę.

Przez chwilę tylko nasłuchiwał.

Jedynym odgłosem, który mącił ciszę, było wycie wiatru za oknami. Z pojazdu wysiadło trzech mężczyzn i wszyscy trzej zostali wyeliminowani. Malone wolno wstał, z bronią gotową do strzału i palcem na spuście.

I wtedy usłyszał pomruk i pełen bólu jęk dobiegający spod przeciwległej ściany. Pospieszył w tamtą stronę.

Bielczenko leżał na podłodze. Malone zobaczył na nim kilka ran postrzałowych, z których sączyła się krew. Najwyraźniej tamte kule były przeznaczone dla starego archiwisty.

Schylił się nad rannym.

– Czekał na pana?

– Niestety – zdołał wydusić z siebie Bielczenko. – A ja... tak bardzo chciałem się stąd wydostać.

Malone nie był pewny, czy może mu wierzyć po tym, jak Rosjanin pierwszy otworzył ogień do napastników, a potem wypowiedział do niego te dziwne słowa: „To niemożliwe”.

Patrzył z niepokojem na Rosjanina, który zacisnął oczy, a jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Wygląda na to... że nie jestem im już potrzebny – dodał. – Widocznie poradzili sobie... bez mojej pomocy.

Jego rany wyglądały bardzo źle.

– Nie jestem w stanie nic zrobić – powiedział Malone.

– Wiem. Niech pan idzie i pozwoli mi w spokoju umrzeć.

Bielczenko wpatrywał się w niego otepiałym wzrokiem. Miał na wpół otwarte usta, z trudem łapał krótkie, urywane oddechy i stękał jak ranione zwierzę. Co jakiś czas zanosił się kaszlem, za każdym

razem wypluwając trochę krwi. Zły znak, świadczący o tym, że miał przebite płuca.

– Kłamałem... wcześniej. Znam plan Zorina.

W kąciку ust Rosjanina bulgotała różowa piana. Całym jego ciałem wstrząsały drgawki.

– Spędziliśmy dziesiątki lat... szukając słabych punktów wroga. Ameryka robiła to samo. Znaleźliśmy coś. *Szkolny... mat.* Ale nie mieliśmy szansy... tego wykorzystać. Zerowa... poprawka. To wasz... słaby punkt.

Bielczenko próbował mówić dalej, ale jego gardłowe rżenie stało się już całkiem niezrozumiałe. Na jego wargach zebrała się ślina, oczy wyszły z orbit. To, co miał do powiedzenia, wydawało się naprawdę ważne, ale kolejne słowa już nie padły. Na zawsze utknęły gdzieś pomiędzy językiem a zębami. W końcu źrenice się rozszerzyły, a każdy mięsień zwiotczał.

Malone dla pewności sprawdził puls.

Twarz zmarłego Rosjanina wyglądała teraz jeszcze starzej niż przedtem.

*Szkolny mat? Zerowa poprawka?*

*To wasz słaby punkt.*

Co to wszystko znaczyło?

Malone nie miał czasu teraz się nad tym zastanawiać. Kontrolę przejął nad nim instynkt przetrwania. Podeszedł do drzwi i wolno je otworzył. Prowadziły na wybrukowany plac przed domem, po którym szedł wcześniej, zanim trafił do łaźni. Przed wyjściem poświęcił jeszcze chwilę, żeby przyjrzeć się człowiekowi, którego zastrzelił. Był w średnim wieku, miał na sobie zielony mundur polowy, czarny sweter, wojskowe buty. Żadnej kamizelki kuloodpornej. Zapewne nie przewidywali większych trudności. Przeszukał ciało, ale nie znalazł nic, co pomogłoby zidentyfikować mężczyznę albo jego pracodawców.

Czy ci trzej rzeczywiście byli żołnierzami, tak jak powiedział Bielczenko?

Opuścił dom, czujnie wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Siarczysty mróz szczypał w twarz, a wiatr znad jeziora natychmiast rozwiewał wydychaną przez niego parę. Piętnaście metrów dalej, w świetle reflektorów, stał pojazd nazywany koźlikiem. Malone przez chwilę się zastanawiał, czy nie poszukać telefonu komórkowego u któregoś z zabitych, ale uznał, że to nie byłoby zbyt mądre. Spojrzał na ogrodzenie, czarne szkielety drzew oraz wzgórze, u którego stóp czekała zdobyta wcześniej ciężarówka, i podjął decyzję. Jaki jest sens, żeby szedł pieszo i ryzykował, że zamarznie po drodze, skoro ma przed nosem sprawny pojazd?

Podbiegł do koźlika i zobaczył, że kluczyki są w stacyjce. Wgramolił się do kabiny przykrytej płóciennym dachem i uruchomił silnik. Wrzucił bieg, wykręcił i dodał gazu. Samochód szarpnął do przodu, rozbryzgując oponami śnieg i przebijając światłami ciemność. Już po chwili dacza była daleko z tyłu.

Malone jechał krętą, czarną ścieżką prowadzącą do głównej drogi, ciągnąc za sobą ogon spalin. W pewnym momencie pojawiła się przed nim druga para reflektorów, które chwilowo go oślepiły. Odbił ostro w prawo, żeby ominąć nadjeżdżający z przeciwka pojazd – był podobny do tego, który sam prowadził, a przez zamgloną przednią szybę dało się zauważyć dwie ciemne sylwetki. W końcu dotarł do głównej drogi i skręcił na południe, na tyle szybko, że cała kabina się zachwiała, a silnik musiał się solidnie napracować. I wtedy w lusterku wstecznym ujrział dwa światła sunące po łuku przez zawieję śnieżną.

To był tamten drugi koźlik.

Jechał prosto na niego.

Malone zobaczył, że z okna po stronie pasażera wyłoniła się jakaś postać.

Chwilę potem rozległ się huk strzałów z broni automatycznej.

## ROZDZIAŁ 22

Zorin zostawił za sobą Bajkał i jechał ciemną drogą na wschód w kierunku Ułan Ude. Miasto to powstało w XVIII wieku przy ujściu rzeki Udy, najpierw zamieszkiwali je Kozacy, potem Mongołowie. Jego nazwa, dosłownie „czerwona Uda”, stanowiła celowe nawiązanie do sowieckiej ideologii. Dzięki kolei transsyberyjskiej oraz drogom federalnym, które zbiegały się w tym miejscu, miasto bardzo się rozwinęło. Jeszcze przed 1991 rokiem czterysta tysięcy mieszkańców prawie nie miało kontaktu z cudzoziemcami i dlatego wciąż przetrwało tu tak wiele dawnych obyczajów.

Kiedy upadł Związek Radziecki, w całym kraju starano się wymazać przeszłość. Wszystkie pomniki czy popiersia komunistycznych przywódców zostały albo zniszczone, albo zdewastowane. Mówiło się nawet o tym, żeby zamknąć mauzoleum Lenina i wreszcie pogrzebać jego szczątki, ale na szczęście ten pomysł nie zyskał większego poparcia. W przeciwieństwie do reszty Rosji, która chciała jak najszybciej zapomnieć, ludzie z Ułan Ude pamiętali. Na centralnym placu miasta nadal stała największa głowa Lenina na świecie. Mierząca niemal osiem metrów i ważąca czterdzieści ton rzeźba z brązu robiła niezapomniane wrażenie. Dzięki specjalnej powłoce ochronnej ciemna powierzchnia przetrwała działanie żywiołów, a schody u podstawy cokołu służyły jako popularne miejsce spotkań. Sam Zorin także wielokrotnie odbywał tę stukilometrową podróż tylko po to, żeby napić się czarnej kawy w pobliżu pomnika Lenina i powspominać dawne czasy.

W Ułan Ude mieściło się także najbliższe lotnisko międzynarodowe, z którego zamierzał teraz wyruszyć do Kanady. Nie był bogatym człowiekiem – w czasach służby w KGB zarabiał bardzo skromnie, a kiedy nastąpił koniec, nie czekała na niego żadna odprawa ani emerytura czy jakiegokolwiek świadczenia. Z tego właśnie powodu większość byłych funkcjonariuszy decydowała się na pracę dla zorganizowanych grup przestępczych. Mafia dawała im szansę na wielkie pieniądze, a dla ludzi, którzy dotychczas ryzykowali życiem za marne grosze, była to pokusa nie do odparcia. Nawet on w końcu uległ i zatrudnił się w lokalnym gangu działającym głównie na terenie Irkucka, nigdy jednak nie zaprzedał swojej duszy. Trzeba przyznać, że nowi pracodawcy traktowali go uczciwie i płacili nieźle, dzięki czemu był w stanie zgromadzić dwanaście milionów rubli w gotówce – około trzystu trzydziestu tysięcy amerykańskich dolarów – które trzymał ukryte w swojej dacy. Część tych funduszy poszła na sfinansowanie wyprawy Anji, a resztę planował wykorzystać właśnie teraz.

Spojrzał na zegarek.

O tej porze Amerykanin powinien być już martwy.

Zorin zostawił swoim ludziom wyraźne instrukcje: ciało intruza miało zniknąć bez śladu. Ktokolwiek przysłał tu tego Malone’a, na pewno będzie go szukał.

Trzy dni temu zamówił czarterowy odrzutowiec, choć ostateczna decyzja zależała od efektów jego rozmowy z Bielczenką. Samolot czekał na niego w tej chwili w Ułan Ude. Wreszcie poznał cel swojej podróży, ale nie miał wizy uprawniającej do wjazdu na teren Kanady. Oczywiście nie mógł jej uzyskać w sposób legalny, zresztą nawet gdyby mógł, nie było już na to czasu. Miał jednak gotowe alternatywne rozwiązanie, a obietnica większej zapłaty zapewniła mu niezbędną współpracę ze strony firmy przewozowej. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Bielczenko powiedział mu prawdę.

Ale po co miałyby kłamać?

Zmrożony asfalt dudnił pod kołami. W tej krainie panował klimat jak na innej planecie. Zorinowi tutejsza zima zawsze kojarzyła się z lodowym więzieniem. W tym roku wydawała się jednak bardziej

znośna niż zwykle. Czyżby dobry omen zwiastujący powodzenie jego misji? Zbyt długo żył w ciągłym napięciu, ze zszarganymi nerwami. Często się zastanawiał, czy nie jest przypadkiem ostatnim prawdziwym komunistą, który pozostał na tym świecie. Ta ideologia w swojej najczystszej postaci już dawno odeszła w niepamięć, a być może w ogóle nigdy nie istniała, przynajmniej nie tak, jak wyobrażał to sobie Karol Marks. Jej chińska odmiana miała niewiele wspólnego z pierwowzorem, a rozmaite mniejsze reżimy rozsiane po całym globie były komunistyczne tylko z nazwy. Filozofia, którą mu wpojono, praktycznie rzecz biorąc przeszła do historii.

Wciągnął w płuca rozgrzane powietrze buchające z samochodowego ogrzewania.

Przez chmury przebijał blady sierp księżyca. Z napięcia zaschło mu w gardle, czuł znajome mrowienie – to budziły się w nim stare instynkty. Już więcej nie zmarnuje żadnej szansy. I choć jest dziś zaledwie cieniem dawnego siebie, przynajmniej uwolnił się od strachu, który dopadł go tamtego dnia w 1991 roku, kiedy wściekły tłum szturmował Łubiankę. Jego determinacja dodawała mu sił i ta świadomość napełniała go spokojem.

Zbyt długo prześladowały go jego lęki, nie potrafił odzyskać wewnętrznej równowagi. Tego gniewu nie dało się okiełznać, najwyżej tymczasowo stłumić seksem i alkoholem. Na szczęście nie uzależnił się od jednego ani drugiego – nigdy nie pozwoliłby sobie na taką oznakę słabości. Uważał siebie samego za człowieka kierującego się sercem i sumieniem. Zachowywał swoje zdanie dla siebie, rzadko się wyklócał i unikał niepotrzebnych sporów. Życie próbowało zmienić go w zombie, zdusić w nim wszystkie uczucia, ale koniec końców to tylko podsycalo jego żądze zemsty. Zorin zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, co dowodziło, że to nadal on sprawował nad sobą pełną kontrolę. Był czymś więcej niż tylko kawałkiem mięsa z zębami i żołądkiem. Czymś więcej niż pozbawionym znaczenia żywym reliktem.

Był mężczyzną.

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie dnia, kiedy po raz pierwszy rozmawiał z Anją.

Udał się wtedy tą samą drogą co dziś do Ułan Ude. Zamierzał wsłuchiwać się w odgłosy miasta – silniki, klaksony, syreny – obserwować niezliczone starowinki w bezkształtnych sukniach i chustach na głowie, usiąść na ławce ze zmęczonymi mężczyznami o ziemistych twarzach, ubranych w grube płaszcze z szorstkiego, wybielonego materiału. Uwielbiał tamtejsze kiermasze odbywające się na szerokiej, brukowanej ulicy w cieniu drzew. Po obu stronach ciągnęły się otwarte stragany z poczerniałych ze starości desek, a środkiem płynęła falująca rzeka ludzi. Większość sprzedawców wystawiała ziarna zbóż, sól kamienną, przyprawy i lokalne produkty. Niektórzy handlowali ubraniami i innymi towarami, dało się tam też kupić konserwy czy świece. Zorin odczuwał swoisty komfort, wdychając mocny zapach tłumu, będący specyficzną mieszanką potu, wilgotnej wełny, czosnku, kapusty i skóry.

Jego ulubiona kafejka mieściła się w pobielonym budynku ze spiczastym dachem i szeroką, drewnianą werandą, niedaleko głowy Lenina. Od targowiska oddzielał go niski mur z dużych kamieni. Solidne, drewniane stoły stały bezpośrednio na klepisku pod ciemnymi dźwigarami. Wnętrze zdobiły kaligrafowane napisy oprawione w ramki. Dzięki przytłumionym światłom goście siedzący w narożnikach mogli się cieszyć sporą dozą prywatności. Wiosną i latem na szczycie ogrodzenia rosły kwiaty. Co jakiś czas można było nawet usłyszeć stukot końskich kopyt na bruku.

Anja weszła do środka, żeby napić się zimnej wody. Była ubrana w mundur miejscowej policji. Jej czystej, naturalnej twarzy nie szpecił makijaż, a gdy coś ją rozbawiło, przeuroczy śmiech dobiegał z głębi jej gardła. Miała bladą skórę pokrytą mnóstwem piegów i zęby lekko wystające z za cienkich warg, z maleńką szparką pośrodku. Od razu było widać, że nie brakuje jej inteligencji, nie sprawiała też ani trochę wrażenia osoby niedostępnej czy oszalałej na punkcie przemijającej młodości. Wręcz przeciwnie. Jej oczy skrzyły się ekscytacją, kryła się w nich jakaś tajemnica. Ale kiedy się jej przedstawił,

rozmawiała z nim tak otwarcie, że ani przez chwilę nie wąpił w jej szczerść.

Wszystko, co robiła, świadczyło o wielkiej sile.

Zorin widział ją kilka razy na mieście i dowiedział się, że jest powszechnie szanowaną funkcjonariuszką policji. Tutejsi opowiadali historię o tym, jak do miejscowego klubu wdarli się członkowie gangu – dosłownie wjechali samochodami prosto przez okna i drzwi – i zaczęli bić wszystkich obecnych. Anja była jednym z pierwszych policjantów na miejscu zdarzenia i własnoręcznie obezwładniła czterech facetów, a dwóch z nich prawie zabiła. Ludzie z miasta wymawiali jej nazwisko z respektem.

Tak samo jak niegdyś nazwisko Zorina.

Przypomnił sobie ostry aromat wołowiny piekającej się na metalowym ruszcie. Mięso było wyborne, delikatne i soczyste, przesiąknięte zapachem dymu.

Zjedli ten posiłek razem.

– *Mój ojciec zrobił karierę w partii – powiedziała Anja. – Był ważnym człowiekiem w tym mieście.*

– *A już nie jest?*

*Pokręciła głową.*

– *Zapił się na śmierć.*

– *A twoja matka?*

– *Żyje. Ciągłe czeka, aż jej córka wyjdzie za mąż i zacznie rodzić dzieci.*

– *A dlaczego jej córka tego nie robi? – spytał Zorin z uśmiechem.*

– *Bo chcę od życia czegoś więcej?*

*Doskonale ją rozumiał.*

– *Kiedy byłem mała – powiedziała – w naszym domu wisiał plakat z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej. Matka obejmująca dziecko i wpatrująca się w zakrwawiony bagnet nazistowskiego żołnierza. A pod spodem hasło: „Wojownicy Armii Czerwonej, ratujcie nas”. Pamiętam każdy szczegół tego plakatu. Marzyłam o tym, żeby być jednym z tych wojowników.*

*Zorin także miał w pamięci plakat, na który napatrzył się w dzieciństwie. Obraz wysokiej, potężnej kobiety z głową owiniętą chustką i szeroko otwartymi ustami, wykrzykującymi ponadczasowy apel: „Ojczyzna wzywa”.*

– *Kiedy nastąpił koniec, byłem ledwie nastolatką – ciągnęła Anja. – Ale pamiętam czasy przed Jelcynem. Większość ludzi w tym mieście też je wciąż pamięta. Dlatego mieszkam tutaj. My nie zapomnieliśmy.*

*Ta kobieta coraz bardziej go intrygowała. Wyglądało na to, że fizycznie jest w doskonałej formie, a przy tym mówiła spokojnym, wyważonym tonem, który od razu zwrócił jego uwagę.*

*Nic o nim nie wiedziała. Byli sobie obcy, a mimo to czuł, że coś go z nią łączy. Dlatego postanowił zapytać:*

– *Słyszałaś o Czajanije, nad jeziorem?*

– *Znam tę nazwę. Mieszkasz tam?*

*Pokiwał głową.*

– *Może chciałabyś mnie kiedyś odwiedzić?*

Tak się wkrótce stało, a po pierwszej wizycie przyszły kolejne, aż w końcu Anja odeszła z pracy i zamieszkała z nim na stałe. Kiedy zdarzyło mu się przyjąć jakieś zlecenie od grup przestępczych w Irkucku, jechała tam razem z nim. Zarabiali wspólnie. Jego walka stała się jej walką. U jego boku znalazła to „coś więcej”, którego szukała w życiu. A on znalazł towarzyszkę.



Zorin otrząsnął się z tych wspomnień i zwolnił, żeby skręcić na skrzyżowaniu. Od lotniska dzieliło go już tylko kilka kilometrów.

Po raz ostatni spojrzął na zegarek.

22:25.

Zostało jeszcze pięćdziesiąt godzin.

## ROZDZIAŁ 23

Luke ruszył pędem w kierunku schodów przylegających do jednej ze ścian korytarza. By szybciej dostać się na górę, przeskakiwał po dwa stopnie wyłożone czerwoną wykładziną, jedną ręką wspierając się o wypolerowaną, drewnianą balustradę, podczas gdy drugą już sięgał po swoją beretkę. Nie żartował, mówiąc, że ma z Anją Pietrową niewyrównane rachunki. Nadszedł czas, by odpłacić pięknym za nadobne.

Minął półpiętro, gdzie schody skręcały w prawo, i już za chwilę znalazł się na górze. Przed nim rozciągał się korytarz, dokładnie taki sam, jak piętro niżej, który prowadził w głąb rezydencji w kształcie litery H. Ściany, wyłożone ciemną boazerią i wykończone listwą profilową, ostro kontrastowały z ozdobnym, kremowym sufitem. Po jednej stronie wisiały obrazy, po drugiej gobeliny. Z sufitu zwisały trzy kryształowe żyrandole. Żadna z lamp się nie paliła. W galerii mieściły się również liczne rzeźby, proporce i miecze. Dało się tu zauważyć wyraźne azjatyckie wpływy. Jeśli chodzi o układ pomieszczeń, Luke wiedział tylko to, co powiedziała mu Stephanie: dyżurka znajdowała się obok spiżarni. A spiżarnia powinna się mieścić niedaleko jadalni – którą właśnie dostrzegł za otwartymi drzwiami po swojej lewej.

Wszedł do środka z uniesioną bronią. Tu ściany także były wyłożone ciemną boazerią, a kamienna posadzka przedstawiała misterną mozaikę. Wisiało tu jeszcze więcej gobelinów niż na korytarzu. Obok drzwi znajdował się okazały kominek. Pośrodku stał lśniący mahoniowy stół z krzesłami, nad którym górował kolejny kryształowy żyrandol.

Drzwi po lewej stronie prowadziły do mniejszego pomieszczenia o znacznie prostszym wystroju: białe szafki, ciemne blaty i cała masa szuflad. Według wiszącej na ścianie tabliczki mieściła się tu spiżarnia. Kiedy Luke wszedł do środka, naprzeciwko dostrzegł kolejne uchylone drzwi i natychmiast ruszył w ich stronę. Za progiem zaczynał się krótki korytarz wiodący do niewielkiego, pozbawionego okien pomieszczenia pełnego monitorów. Na podłodze leżał mężczyzna. Luke pochylił się nad nim. Nie widząc żadnych poważniejszych obrażeń, zaczął go cucić.

– Wszystko w porządku?

Powieki mężczyzny drgnęły i po chwili wrócił do siebie.

– Ta suka mnie znokautowała.

– Uciekła? – spytał Luke.

Oczy mężczyzny powoli odzyskiwały ostrość.

– Tak. Zobaczyła pana na ekranie, a potem mnie rąbnęła.

Na korytarzu było pusto. W pobliżu schodów, po których Luke wszedł na piętro, też. Ale w tak wielkim domu z pewnością było wiele klatek schodowych. Mógł tylko mieć nadzieję, że Pietrowa wiedziała o tym miejscu równie mało, co on.

– Niech się pan stąd nie rusza – rzucił, po czym opuścił dyżurkę, cofając się do spiżarni. Zatrzymał się jednak w progu drzwi do jadalni. Czuł jej obecność. Była tu. Czekala na niego, przekonana, że jest krok przed nim. Tak jak ostatnim razem.

Skradając się, podszedł do drzwi prowadzących na korytarz.

Panowała tam niczym niezmacona cisza.

Kamienną posadzkę korytarza również zdobiła imponująca mozaika, która miała na oko jakieś piętnaście metrów długości. Nagle w drzwiach na drugim końcu pojawiła się Anja Pietrowa. Wycelowała pistolet i pociągnęła za spust. Luke zdążył cofnąć się do jadalni. Kula rozerwała boazerię

dosłownie kilka centymetrów od miejsca, gdzie stał przed chwilą. Kolejny strzał poczynił jeszcze większe spustoszenie. Po nim padł następny.

Luke uznał, że skoro ma dojść do strzelaniny, lepiej będzie znaleźć się po drugiej stronie pomieszczenia. Ta kobieta była zuchwałą. Lubiła przechodzić do ofensywy. Specjalnie zaczekała, żeby stoczyć z nim kolejny pojedynek. Postanowił więc przygotować się na jej przybycie. Obszedł stół naokoło i zajął dogodną pozycję z pistoletem wycelowanym prosto w drzwi.

– Mówiłeś coś? – dobiegł jej głos z korytarza. – Jak chcesz, to chodź tu po mnie.

Luke pokręcił głową.

Naprawdę uważała, że jest kompletnie niegroźny?

Być może na tym opierał się cały jej plan: chciała go prowokować tak długo, aż w końcu popełni jakiś błąd. Co w takiej sytuacji powiedziała by Malone? „Zachowaj spokój, nie spiesz się”. Święta racja. Luke wyszedł zza stołu i ruszył w kierunku drzwi.

Na korytarzu było pusto. Ani śladu uroczej Anji.

Z wyciągniętym przed siebie pistoletem powoli opuścił jadalnię.

Szybko rozejrzał się na wszystkie strony. Można było się stąd wydostać czterema różnymi drogami: schodami, po których tu wszedł, przez jadalnię, z której przed chwilą wyszedł, przez drzwi, w których pokazała się Anja, i jeszcze jedne, znajdujące się trzy metry od niego.

Kiedy do nich podszedł, okazało się, że prowadzą na wąską galerię nad salą balową. Na dół wiodły schody biegnące wzdłuż ściany. Na wypolerowanej drewnianej posadzce stały puste stoły. Luke nie widział na nich żadnych obrusów ani ozdób. Przypomniawszy sobie słowa Strobla. Podobno przygotowywali się do inauguracyjnego przyjęcia. Ogromna sala tonęła w promieniach słonecznego światła, wpadającego przez szklane drzwi i wysokie okna. Białe, błyszczące ściany sprawiały, że wewnątrz wydawało się jeszcze jaśniejsze. Przed sobą miał półokrągły balkon osłonięty ozdobną, żelazną balustradą.

Wiedział, że Anja musi gdzieś tu być.

Nie miał żadnych wątpliwości.

*Chodź tu po mnie.*

Nie pomylił się.

Wyłoniła się zza przeszlonych drzwi po jego lewej.

Silnym kopnięciem wytrąciła mu z ręki berettę. Obrócił się w miejscu, a ona błyskawicznie do niego doskoczyła. Była nieuzbrojona. Najwyraźniej chciała się z nim zmierzyć w walce wręcz. Luke nie miał nic przeciwko temu. Przypomniawszy sobie, co mówił człowiek z SWR. Anja była dobrze wyszkolona.

Żaden problem. On też sporo umiał.

Rzuciła się do przodu. Obracając się na jednej nodze, drugą wycelowała w niego. Balkon był szeroki najwyżej na półtora metra, więc nie mieli zbyt wielkiego pola manewru, ale Luke'owi to wystarczyło. Udało mu się zrobić unik i przeszedł do kontrataku. Trafił ją nogą w brzuch, odrzucając do tyłu. Wpadła na rząd drewnianych krzeseł ustawionych pod ścianą. Wprawdzie natychmiast się podniosła, ale jej twarz zdradzała lekkie zdumienie.

– Coś nie tak? – spytał Luke. – Masz dość?

Anja posłała mu wyzywający uśmiech. Jej wielkie brązowe oczy kipiały gniewem.

Skoczyła niczym kot. Chwyciła go za szyję i z całej siły wbiła palce w skórę. Oplotła ramieniem jego szyję, złączyła dłonie i ścisnęła, zamykając go jak w imadle i odcinając mu dopływ powietrza. Luke ustawił się przodem do balustrady i wbił jej ciało w tylną ścianę balkonu. Zrobił to raz, potem drugi. Za trzecim uderzeniem głośno wypuściła powietrze i zwolniła uścisk. Luke obrócił się, mocno wykręcił jej rękę, zacisnął prawą pięść i wymierzył jej cios prosto w szczękę.

Ale Anja miała w sobie niewyczerpane pokłady siły.

Uderzyła go łokciem w tył głowy, napała i przygwoździła jego twarz do ściany. Następnie sprawnie wykręciła mu do tyłu obie ręce, aż poczuł przeszywający ból w ramionach. Zmusiła go, żeby stanął na palcach z twarzą i klatką piersiową przyciśniętą do ściany. W filmach często się zdarzało, że twarda, agresywna kobieta umiejętnie wyprowadzanymi ciosami pokonuje większych od siebie mężczyzn. W rzeczywistości jednak rozmiar miał znaczenie, a pod względem wagi i zasięgu ramion przewaga była po stronie Luke'a.

Ciężko opadając na ziemię, zdołał się wyrwać z jej uścisku. Odwrócił się, wziął zamach i trafił Anję przedramieniem w kolano, ścinając ją z nóg. Próbowwała uchylić się przed ciosem, ale spóźniła się o ułamek sekundy.

Straciła równowagę i upadła.

Ze zwinnością akrobatki niemal natychmiast zerwała się na równe nogi, ale Luke wyprostował rękę i otwartą dłonią uderzył ją w twarz. Tym razem dostała w sam czubek nosa.

Zachwiała się, wyglądała na zamroczoną.

Raz ci się udało, pomyślał, ale drugi raz...

Luke zadał kolejny cios i Anja z trzaskiem zwała się na drewniane krzesła pod ścianą; siła uderzenia była tak duża, że jedno z nich się połamało. Z kącika ust pociekła jej cienka strużka krwi.

– Masz już dość? – spytał Luke, z wysiłkiem łapiąc oddech. – Bo ja tak mogę jeszcze długo.

Jego surowe spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego. Rodzice od dziecka uczyli go, że nie wolno bić kobiet. Ale nigdy w życiu nie spotkali takiego drapieżnika jak Anja Pietrowa. W jej żyłach płynęło na tyle dużo testosteronu, że ta stara zasada wydawała się jej nie dotyczyć.

Ciągle pamiętał też o swoim ukochanym samochodzie, który ta wariatka całkiem zdemolowała.

Anja nie podnosiła się z ziemi. Wyglądało na to, że nie ma już więcej sił.

Luke odnalazł swój pistolet, po czym wbijając kolano w kręgosłup Rosjanki, przycisnął ją do podłogi.

– Jesteś aresztowana.

# ROZDZIAŁ 24

## ROSJA

Cassiopeia nie znosiła helikopterów jeszcze bardziej niż samolotów. Te, którymi była kiedykolwiek zmuszona latać, podskakiwały i trzęsły w powietrzu jak samochód na podziurawionej ulicy, a wszystko to do akompaniamentu ogłuszającego łomotu wirników. Teraz jej negatywne odczucia dodatkowo potęgowały nieprzeniknione ciemności, przejmujący chłód oraz niepokój o Cottona. Stephanie nie przysłała jej żadnych nowych informacji, a po lądowaniu w bazie lotniczej też nie usłyszała niczego, co mogłoby dodać jej otuchy. Nikt nie widział Cottona ani nie słyszał o nim żadnych wieści, odkąd jego samolot spadł nad Syberią. A jeśli tutejsze władze coś wiedziały na ten temat, to nie chciały się tym z nikim podzielić.

Postanowiła zacząć poszukiwania od miejsca jego awaryjnego lądowania, dlatego wojskowy śmigłowiec niósł ją teraz na wschód w kierunku Bajkału. Była wdzięczna za zimową odzież, którą otrzymała, a oficer dowodzący okazał się całkiem uprzejmy – choć o ile się nie myliła, chyba próbował z nią trochę flirtować, a to ostatnie, czego w tej chwili potrzebowała.

Śmigłowiec przecinał powietrze tuż pod warstwą nisko wiszących chmur, które tworzyły nad ziemią lodowaty całun. Daleko na południu widać było Irkuck otoczony nieco zamgloną, świetlną aureolą. Cassiopeia przez te wszystkie lata nauczyła się spać gdzie popadnie, więc wcześniej udało jej się chwilę zdrzemnąć na pokładzie odrzutowca w drodze do Rosji. Teraz także spróbowała przymknąć oczy – chciała na moment przestać myśleć o tym, że znajduje się setki metrów nad ziemią wewnątrz maszyny, która technicznie rzecz biorąc, nie powinna nawet być w stanie wznieść się w powietrze. Czytała kiedyś, że trzmielce teoretycznie nie powinny umieć latać; z helikopterami było podobnie, a jednak jakimś cudem potrafiły oderwać się od ziemi. Według czasu lokalnego dochodziła jedenasta wieczorem, ale czuła się tak, jakby jej organizm został siedem godzin wcześniej we Francji.

– Miejsce, gdzie rozbił się samolot, jest dwadzieścia kilometrów przed nami – usłyszała w słuchawkach.

– Jak daleko jest stamtąd do daczy?

– Dziesięć kilometrów na północ.

Skinieniem głowy podziękowała siedzącemu naprzeciwko oficerowi. Oprócz nich w kabinie byli jeszcze dwaj piloci sterujący maszyną. Cassiopeia od początku rozmawiała z załogą po angielsku, ponieważ Stephanie zasugerowała, żeby na razie nie afiszowała się ze swoimi zdolnościami lingwistycznymi. Na studiach uczyła się rosyjskiego, a także kilku innych języków. Zakładała, że pewnego dnia może jej się to przydać, ale nie przypuszczała jak bardzo. Chociaż wolała się do tego nie przyznawać, lubiła walczyć i brać udział w różnych akcjach. W większość afer, w jakich przyszło jej uczestniczyć, angażowała się z pobudek osobistych, głównie za sprawą jej starego przyjaciela Henrika Thorvaldsena. Boże świeć nad jego duszą. Po śmierci Henrika kilkakrotnie zdarzyło jej się pracować dla Stephanie Nelle, ale nigdy za pieniądze, bardziej w ramach przyjacielskiej przysługi.

Po Utah wszystko się zmieniło.

A jednak wsiadła do tego śmigłowca i leciała teraz nad Rosją, kierując się Bóg wie dokąd.

Tym razem robiła to z miłości.

Malone wcisnął sprzęgło, wrzucił drugi bieg i zakręcił kierownicą. Tył pojazdu zatoczył szeroki łuk, ale

koła mocno trzymały się zmarzniętej nawierzchni. Znalazłszy się na prostym odcinku drogi, Malone przycisnął gaz do dechy i zwiększył obroty silnika tylko po to, by za chwilę na kolejnym łuku znów zacząć manewrować dźwignią zmiany biegów.

Obok świszczały kule.

Droga biegła po zboczu wzgórza, a wzdłuż ostrych zakrętów rosły szpalery drzew przypominające rzędy kolumn w katedrze. Koźlik ślizgał się na boki, gdy co jakiś czas trafiał na kawałek lodu czy stwardniałego śniegu. Malone intensywnie pracował sprzęgłem. Wiatr owiewał jego kabinę, kołysząc całym pojazdem. Wszystko w środku trzęsło się i grzechotało.

Jedna z kul roztrzaskała boczne okno.

Odłamki szkła posypały się na jego kark i tył głowy.

Malone próbował utrudnić napastnikom celowanie, ale z niewielkim powodzeniem. Droga stała się z powrotem płaska i koźlik wyjechał spośród drzew. Po prawej miał otwartą przestrzeń jeziora, którego tafla nie oferowała praktycznie żadnej osłony. Z drugiej strony miałyby tam dużo miejsca do manewrowania i nie musiałyby się martwić, że w każdej chwili może walnąć w jakieś drzewo. Dlatego skręcił mocno w prawo, przeskoczył przez drogę i wjechał prosto w leśne podszycie, żeby już po chwili znaleźć się na zamarzniętym jeziorze.

Odgłos strzałów nie ustawał, a w pewnym momencie kula przeleciała ze świstem przez wnętrze koźlika. Malone postanowił spróbować czegoś innego. Zredukował bieg i szarpnął kierownicą w lewo. Nie zdejmując nogi ze sprzęgła, pozwolił, aby koła przez chwilę gładko sunęły po lodzie, a następnie wykonał zręczny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Bez chwili wahania wrzucił drugi bieg i dodając gazu, ruszył prosto na ścigający go pojazd.

Jego zachowanie wyraźnie zaskoczyło tamtych dwóch. Malone kręcił kierownicą to w lewo, to w prawo, uniemożliwiając im oddanie pewnego strzału w przednią szybę. Kierowca drugiego pojazdu musiał mocno odbić w lewo, żeby uniknąć zderzenia czołowego – to jasno dowodziło, że napastnicy wcale nie są gotowi na wszystko. Malone ponownie zawrócił, zataczając szeroki łuk, i jeszcze raz wziął na cel przednią szybę samochodu swoich prześladowców.

W tym momencie w jego lusterku wstecznym rozbłysły światła.

Do gry wkroczył jakiś nowy gracz.

Ktoś otworzył ogień w jego kierunku.

Cassiopeia wpatrywała się we wrak samolotu. Dzięki noktowizorowi dokładnie widziała spalony kadłub oraz dwa trupy leżące po jego obu stronach. Rosjanie zdążyli już poinformować Stephanie, że nigdzie nie znaleźli trzeciego ciała. Cassiopeia musiała jeszcze tylko zajrzeć do środka i sprawdzić, czy w kokpicie jest telefon komórkowy Cottona, ponieważ Stephanie od kilku godzin nie odbierała z niego żadnego sygnału. Jednostka Magellan Billet dysponowała specjalnym oprogramowaniem umożliwiającym namierzanie telefonów swoich ludzi, a tym samym śledzenie ich ruchów.

– Mamy doniesienia o strzałach na jeziorze – usłyszała w słuchawkach głos mówiący po rosyjsku.

– Gdzie? – zapytał oficer dowodzący.

– Sześć kilometrów na północ stąd.

Ich helikopter unosił się trzydzieści metrów nad lodem.

– Co się stało? – odezwała się Cassiopeia po angielsku. Nadal podtrzymywała iluzję, że nie rozumie ani słowa po rosyjsku.

Oficer wyjaśnił otrzymany meldunek.

– To może być on – stwierdziła.

Dowódca dał znak pilotom, żeby skierowali się w stronę strzelaniny.

Malone ujrzał trzy kolejne koźliki. Jechały w szyku bojowym, jak myśliwce.

Otwarta przestrzeń jeziora okazała się obosieczną bronią.

Malone miał poważny problem, podobny do tego w daczce, kiedy był przykuty kajdankami do żelaznej rury. Mógłby wprawdzie jechać dalej, aż dotrze do zachodniego brzegu jeziora, ale nie wiedział, jak wiele kilometrów musiałby pokonać. Tym razem przynajmniej był uzbrojony, bo uciekając z domu Zorina, zabrał ze sobą karabin.

Jeden z koźlików wysunął się przed szereg, próbując minąć go od lewej. Malone uznał, że najlepszą obroną jest atak. Gwałtownie skręcił w tę samą stronę, żeby zmusić kierowcę do podjęcia szybkiej decyzji, po czym niemal natychmiast ostro zahamował, ściskając mocno kierownicę, i zaczął się ślizgać po lodzie.

Tamten drugi pojazd zbyt szybko odbił w lewo. Przednie koła oderwały się od podłoża, impet obrócił go w powietrzu i samochód ciężko przewalił się na bok, zgrzytając metalem o lód.

Jeden z głowy.

Malone wyprostował koła i jechał dalej.

Cassiopeia zobaczyła w dole małe skupisko samochodowych reflektorów przebijających nocne ciemności. Cztery pary świateł podążały w ślad za piątą, wszystkie poruszały się szybko. Noktowizor pozwolił jej dostrzec, że to pojazdy terenowe, w typie jeepa. Jeden próbował przegonić tego na przedzie i w rezultacie wpadł w poślizg i przewrócił się na bok. Cassiopeia poczuła jednocześnie ulgę, niedowierzanie i ekscytację.

Wiedziała, kto siedzi za kierownicą pierwszego pojazdu.

Helikopter pruł przed siebie na północ, lecąc nisko nad jeziorem. Cassiopeia spojrzała na siedzącego naprzeciwko oficera, który także obserwował rozgrywającą się poniżej scenę. Wiedziała, że zamarznięta tafla jeziora ciągnie się jeszcze przez wiele kilometrów, i gdyby nie przybyła na czas, Cotton mógłby mieć poważne kłopoty.

Dobrze, że przyjechała ocalić jego skórę. Była mu to winna.

– Musimy być pewni, że to on – odezwała się po angielsku.

Śmigłowiec zrównał się z pościgiem. Cassiopeia wyteżyła wzrok i we wnętrzu pojazdu jadącego na czele, wśród słabych refleksów lampek na desce rozdzielczej, ujrzała znajomą twarz.

Dobrze było znowu ją zobaczyć.

– To on – powiedziała.

Przez noktowizyjne gogle dostrzegła także dwie sylwetki wyłaniające się z okien po stronie pasażera ze ścigających Cottona samochodów.

Obie postaci trzymały w rękach karabiny.

– To wojskowe koźliki – powiedział po rosyjsku pilot do dowódcy.

– Wiem – odparł oficer. – Sytuacja się skomplikowała. Mamy strzelać do naszych ludzi?

Cassiopeia rozumiała ich rozterki, ale nie mogła zdradzić, że wie, o czym mówią, dlatego powiedziała tylko:

– Musimy coś zrobić.

Malone nie miał innego wyjścia, jak tylko jechać dalej. Był cały zziębnięty – grzejnik zamontowany w kabinie koźlika nie mógł zrekompensować braku szyby w oknie. Usłyszał, że jadący za nim ludzie znowu otworzyli ogień, a pojedyncze strzały szybko przeszły w regularne serie. Płaska powierzchnia jeziora umożliwiała dokładniejsze celowanie.

Kilka głębokich haustów zimnego powietrza pomogło mu oczyścić umysł.

Nagle bezpośrednio przed nim pojawiły się światła, które sfrunęły z nieba i zawisły jakieś trzydzieści metrów nad ziemią. W tych egipskich ciemnościach ciężko było dojrzeć cokolwiek więcej, ale potężny łomot przypominający bicie gigantycznego serca dawał jasno do zrozumienia, że są to światła śmigłowca.

Malone mógł tylko mieć nadzieję, że maszyna nie należy do Zorina.

Światła zbliżały się z dużą szybkością i już po chwili rozległ się charakterystyczny dźwięk strzałów z działa pokładowego. Ponieważ jednak żadna z kul go nie dosięgła, założył, że są przeznaczone dla jego prześladowców. We wstecznym lusterku zobaczył, jak jadące za nim samochody terenowe rozrywają szyk i rozjeżdżają się na boki. Odwrócił głowę i wyjrzał przez otwarte tylne okno. Helikopter robił drugie podejście, koźliki zaczęły się wycofywać.

Kolejna seria z działa pokładowego przyspieszyła ich odwrót.

Malone zakręcił kierownicą, wprawiając przednie koła w poślizg, obrócił pojazd bokiem i zatrzymał się, ale nie wyłączał silnika. Załoga śmigłowca była chyba zadowolona z efektu swojej interwencji, ponieważ maszyna zawróciła i skierowała się w jego stronę. Najwyraźniej wojsko przybyło mu z odsieczą, co było o tyle niezrozumiałe, że ci, którzy przed chwilą go ścigali, również wyglądali na żołnierzy.

Niebo nad jego głową wypełnił ciemny kadłub bojowego helikoptera. W tylnej części kabiny zapaliło się światło i dało się zobaczyć sylwetkę mężczyzny w kasku przycupniętego przy otwartym włazie. Malone musiał zmrużyć oczy. Z ogłuszającym hukiem wirników maszyna schodziła coraz niżej, wzbijając w górę tumany śniegu.

Gdy tylko płozy dotknęły lodu, z wnętrza śmigłowca wyskoczyła jakaś postać i zaczęła biec w jego kierunku.

W świetle swoich reflektorów Malone zobaczył najpierw, że ta osoba była drobna i szczupła, choć owinięta grubym płaszczem z kapturem. Gdy znalazła się trzy metry od niego, dostrzegł ciemne włosy i delikatne rysy twarzy zdradzające hiszpańskie pochodzenie.

W końcu ujrzał ją całą.

Cassiopeia.

Stała przed koźlikiem, wpatrując się w niego przez przednią szybę. W jej ciemnych oczach kryła się miłość i troska. Jej widok z miejsca podniósł go na duchu. Cassiopeia podeszła wolno do drzwi od strony kierowcy, a on je otworzył. Było tak wiele rzeczy, które chciał jej powiedzieć, ale pierwsze słowo, jakie przyszło mu do głowy, wydawało się najbardziej oczywiste.

Dziękuję.

Wysiadł z samochodu, ale zanim zdążył się odezwać, ona położyła mu na ustach palec w rękawiczce i szepnęła:

– Nic nie mów.

I wtedy go pocałowała.



# ROZDZIAŁ 25

## WASZYNGTON

Luke posadził Anję Pietrową na krzesła w jadalni i przywiązał ją do niego taśmą izolacyjną. Kiedy byli jeszcze w Anderson House, tą samą taśmą skrepował jej ręce za plecami, po czym wyprowadził ją z budynku. Zdążył zniknąć akurat przed pojawieniem się policji, którą ktoś widocznie wezwał przez telefon. Stephanie została na miejscu, żeby się tym zająć. Co prawda plan był inny, ale w końcu doszło do strzelaniny, więc nie należało się dziwić takiemu obrotowi spraw. Luke razem z Pietrową wymknął się z sali balowej przez dziedziniec na tyłach budynku i wyszedł na ulicę. Tam złapał taksówkę i kazał się zawieźć na drugi koniec miasta, prosto do swojego mieszkania. Identyfikator Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony oraz dwudziestodolarowy napiwek skutecznie zagłuszyły wszelkie wątpliwości taksówkarza.

Luke mieszkał niedaleko Georgetown, w oplecionej bluszczem kamienicy z czerwonej cegły, zamieszkałej głównie przez lokatorów po siedemdziesiątce. Lubił panujący tu spokój. Podobało mu się, że każdy pilnował swego nosa, nie wtrącając się w cudze sprawy. Spędzał tu zaledwie kilka dni w miesiącu, pomiędzy kolejnymi zadaniami, ale cieszył się, że ma to mieszkanie.

– To twoja rodzina? – spytała Anja, spoglądając na oprawioną w ramy fotografię.

Luke urodził się i wychował w hrabstwie Blount w stanie Tennessee, gdzie jego ojciec i wujek byli znanymi postaciami – zwłaszcza wujek, który zaczynał w lokalnych władzach, potem został gubernatorem i senatorem, aż wreszcie zwyciężył w wyborach prezydenckich. Kiedy Luke miał siedemnaście lat, jego ojciec zmarł na raka. Razem z trzema braćmi nieustannie czuwał przy ojcu w ostatnich dniach jego życia. Matka ciężko przeżyła śmierć męża. Spędzili ze sobą wiele lat. Był dla niej całym światem i nie mogła się pogodzić z jego odejściem. Dlatego Luke dzwonił do niej w każdą niedzielę. Ani razu o tym nie zapomniał. Nawet kiedy właśnie wykonywał gdzieś misję, a w Tennessee dawno już minęła północ, i tak telefonował. Jego ojciec mawiał, że najmądrzejszą rzeczą, jaką w życiu zrobił, było poślubienie tej kobiety. Rodzice Luke’a zaliczali się do ludzi wyjątkowo pobożnych – należeli do Południowej Konwencji Baptystów – i postanowili nadać swoim synom imiona czterech ewangelistów. Dwóch starszych braci nazwali Matthew i Mark, najmłodszego John. Jemu, jako trzeciemu z kolei, przypadło imię Luke.

Zdjęcie, o które pytała Anja, przedstawiało rodzinę w komplecie na kilka tygodni przed śmiercią ojca.

– Zgadza się – odpowiedział Luke.

Zaintrygowało go jej zainteresowanie fotografią. Najprawdopodobniej próbowała w ten sposób uśpić jego czujność, by w odpowiednim momencie wykonać jakiś ruch. Powinien związać jej nogi, ale to mogło się okazać niebezpieczne, zważywszy na siłę, z jaką potrafiła kopnąć. Z drugiej strony on też umiał nieźle przyłożyć, o czym zdążyła się już przekonać. Siniak na jej twarzy stanowił naoczny dowód, że nie warto z nim zadzierać.

– Podoba mi się twój dom – stwierdziła Anja. – U mnie jest zupełnie inaczej.

Luke nie przywykł do rozmów w cztery oczy z Rosjanami, a już na pewno nie z takimi zmijami jak Anja Pietrowa.

Sięgnął po drugie krzesło, obrócił je i postawił tuż za nią, po czym na nim usiadł, niemal wbijając oparcie w jej kark.

– Po co pojechałaś do tego domu w Wirginii?

Anja parsknęła śmiechem.

– Naprawdę myślisz, że ci odpowiem?

– Myślę, że powinnaś to zrobić dla swojego dobra. Nie wrócisz do domu. Trafisz do więzienia, gdzie z pewnością zdobędziesz ogromną popularność.

Jej jasne włosy ledwie dotykały ramion. Na pierwszy rzut oka nie sprawiała wrażenia kobiety atrakcyjnej, jednak było w niej coś dziwnie kuszącego. Być może chodziło o tę pewność siebie – jej twarz nie zdradzała nigdy żadnych oznak zdenerwowania czy niepokoju. A może raczej o to, że była jednocześnie kobieca i szalenie wysportowana. Tak, to mu się w niej zdecydowanie podobało.

– Jesteś żoną Zorina?

– Kto to jest Zorin?

– Nie obrażaj mnie – odparł Luke z uśmiechem.

Anja cały czas miała głowę odwróconą w stronę rodzinnej fotografii i nawet nie próbowała na niego spojrzeć.

– Jesteś blisko ze swoimi braćmi?

– Nawet bardzo.

– Ja nie mam żadnego rodzeństwa. Jestem jedynaczką.

– To by wyjaśniało, dlaczego nie umiesz się bawić z innymi.

– Byłeś kiedyś na Syberii?

– Nie.

– Więc nie masz pojęcia, jak ciężkie może być życie.

Ale Luke nie był zainteresowany dalszą rozmową na ten temat.

– Czego szukałaś w tym domu?

Anja znowu wybuchnęła niskim, gardłowym śmiechem.

– Lepiej się módl, żeby tego nie znalazła.

Stephanie chciała już iść, ale policjanci ciągle jej nie puszczali. Na zadawane przez nich pytania starała się udzielać jak najbardziej ogólnikowych odpowiedzi, jednak oni z uwagi na inauguracyjne przyjęcie, które miało się odbyć w Anderson House za trzy dni, wykazywali szczególną dociekliwość. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyliby sobie członkowie Towarzystwa Cyncynatów, byłoby uznanie ich siedziby za miejsce niedostatecznie bezpieczne. Oznaczałoby to odwołanie imprezy, a przecież każdy chciał zabłysnąć, wydając przyjęcie dla przedstawicieli nowej administracji. W końcu Stephanie zadzwoniła do Edwina Davisa i dopiero interwencja szefa personelu Białego Domu sprawiła, że policjanci dali jej spokój. Oczywiście Edwin chciał poznać więcej szczegółów, podobnie zresztą jak prezydent, ale udało jej się go zbyć.

Przynajmniej chwilowo.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie nagłe pojawienie się Bruce'a Litchfielda, który przyjechał na miejsce samochodem należącym do Departamentu Sprawiedliwości.

– Może mi powiesz z łaski swojej, co tutaj robisz? – zapytał, nawet nie próbując ściszać głosu.

Stali na zewnątrz budynku, przed głównym portykiem, tuż obok żelaznej bramy, która prowadziła na ulicę. Personel Anderson House wrócił już do środka.

– Kiedy tylko pokazałaś swój identyfikator, ktoś od razu zadzwonił do departamentu, żeby zapytać, czego od nich chcemy. A ponieważ chodziło o Magellan Billet, telefon został przekierowany do mnie. Dowiedziałem się, że doszło do bójki i strzelaniny, a ty wymachiwałaś pistoletem. Powiedziano mi również, że zatrzymaliście jakąś kobietę, która wcześniej groziła pracownikom. I co, macie ją?

Stephanie pokiwała głową.

Na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiego oburzenia.

– Mówiłem ci, żebyś trzymała się od tej sprawy z daleka. Co ty wyprawiasz?

W ciągu całej swojej kariery pracowała dla wielu prokuratorów generalnych. Jedni byli gorsi, inni lepsi, ale wszyscy okazywali jej szacunek.

– Wykonuję swoją pracę.

– Już nie – powiedział, rzucając jej zimne, pełne satysfakcji spojrzenie. – To koniec. Jesteś zwolniona ze skutkiem natychmiastowym.

Stephanie ruszyła przed siebie, nie zwracając uwagi na jego słowa.

Litchfield chwycił ją za ramię.

– Powiedziałem, że jesteś zwolniona. Oddaj mi identyfikator i broń.

– Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swoje zwolnienie. Puść mnie.

Zabrał rękę i się uśmiechnął.

– Miałem nadzieję, że zareagujesz w ten sposób.

Na jego znak z samochodu zaparkowanego na ulicy wyszło trzech mężczyzn. Wszyscy byli w średnim wieku, mieli krótkie włosy i ciemne garnitury.

Agenci z Departamentu Sprawiedliwości.

– Przywiozłem ich ze sobą, bo wiedziałem, że będziesz robić problemy. Wybieraj: albo dobrowolnie oddasz mi broń i odznakę, albo ci panowie zabiorą cię prosto do aresztu. I zapewniam cię, tym razem Biały Dom ci nie pomoże.

Domyśliła się, że ten dureń dostał od nowej ekipy rządzącej zielone światło, żeby raz na zawsze się jej pozbyć. Jego brak lojalności wobec prezydenta, który dał mu tę pracę, był doprawdy zadziwiający. Ale to do niego pasowało. W końcu miała przed sobą stuprocentowego oportunistę. Dawniej brakowało mu wiary w siebie, dziś czuł się absolutnie pewny swego i całkowicie bezkarny. Wiedział, że nie grożą mu żadne konsekwencje, niezależnie od tego, co będzie miał na ten temat do powiedzenia aktualny lokator Białego Domu.

Załatwił ją. Koniec gry.

Dostała tymczasowe przyzwolenie, żeby trochę powęszyć. Mając wsparcie Białego Domu, zdołała odkryć na tyle dużo, że sprawa zaczęła nabierać kształtów, ale ta licencja została właśnie cofnięta.

Wyciągnęła broń i identyfikator, po czym oddała je Litchfieldowi.

– Wracaj do Atlanty, Stephanie. Twoja kariera jest skończona. A z tą kobietą rób sobie, co chcesz. Tutaj nikogo to nie obchodzi. – Po tych słowach się odwrócił.

– Bruce.

Kiedy się obejrzał, Stephanie pokazała mu środkowy palec. Ten gest mówił sam za siebie.

Litchfield tylko pokręcił głową.

– Najpiękniejsze jest to, że twoje zdanie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

I odszedł w stronę samochodu. Stephanie patrzyła, jak wsiada do środka i odjeżdża.

Trzydzieści siedem lat pracy dla rządu. Tyle misji, tyle akcji, tyle spraw. I w taki sposób się to kończy?

Z zamyślenia wyrwało ją skrzypnięcie frontowych drzwi. Odwróciła się i ujrzała Fritza Strobla, który wyszedł z budynku i podszedł do niej.

– To nie wyglądało dobrze – powiedział.

– Szpiegował mnie pan?

– Rzeczywiście obserwowałem całą sytuację. Proszę mi wybaczyć, po prostu czekałem, aż wszyscy sobie pójdą, żeby móc z panią porozmawiać na osobności.

Nie była w nastroju.

– O co chodzi, panie Strobl?

– Chciałem pani podziękować za zajęcie się tą kobietą. Tu u nas nie zdarzają się takie rzeczy.

Właściwie to był pierwszy taki incydent. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Pani natomiast wygląda na uczciwą osobę. – Urwał na chwilę. – Cóż, obawiam się, że panią okłamałem.

Udało mu się wzbudzić jej zainteresowanie.

– Kiedy wspomniała pani o archiwum w posiadłości Charona, dobrze wiedziałem, o czym mowa. Już od jakiegoś czasu zastanawialiśmy się, jak odzyskać te zbiory.

Wszystko stało się jasne.

– Ale nie chcieliście się mieszać w rodzinną awanturę o spadek.

– Dokładnie tak. – Strobl pokiwał głową. – Dlatego woleliśmy utrzymać istnienie tego archiwum w tajemnicy. Przecież nie mogliśmy się z tym zwrócić do rodziny Charonów. Kilku członków towarzystwa wiedziało o sekretnej bibliotece Brada, w tym także nasz obecny historyk. Rozważaliśmy nawet to, co pani zasugerowała. Przywłaszczenie.

Podobało jej się, w jak zawoalowany sposób mówił o pospolitej kradzieży.

– Ta kobieta, którą aresztowaliście, dopytywała się właśnie o to archiwum. Szukała w nim czegoś konkretnego.

Stephanie przypomniała sobie książki ściągnięte z półek i rozrzucone po całej podłodze.

– A wie pan czego?

– Tego mi nie powiedziała, ale koniecznie chciała rozmawiać z naszym historykiem – Strobl zawiesił na chwilę głos. – To nieco krępujące. Widzi pani, organizacja tak stara jak nasza musi mieć pewne... tajemnice. W większości przypadków to nieszkodliwe sekrety, w szerszym kontekście niemające znaczenia. Nam także ich nie brakuje.

– Powiedział pan o tym wszystkim policji?

Strobl pokręcił głową.

– Nikt mnie o to nie pytał. A gdybym tak skontaktował panią z naszym historykiem, to czy pomogłaby nam pani odzyskać te zbiory?

Czyżby chciał zawrzeć układ?

– Coś mi się wydaje, panie Strobl – odparła Stephanie z uśmiechem – że chce mnie pan namówić do kradzieży.

– Skądże znowu. Po prostu te książki i dokumenty są dla nas bardzo ważne. One należą do nas. Jest pani w stanie je zdobyć?

– Oczywiście.

Strobl podał jej to samo nazwisko i adres, które wcześniej wyciągnęła z niego Anja Pietrowa. W głowie Stephanie natychmiast zaczął powstawać plan działania.

– Ma pan samochód? – spytała na koniec.

Skinął głową.

– W takim razie muszę go od pana pożyczyć.

# ROZDZIAŁ 26

## ROSJA

Zorin czekał na pokładzie odrzutowca. Jego wylot z Ułan Ude opóźniał się już niemal pół godziny. Wynajął samolot przez internet, umowę sfinalizował przez telefon, zaraz po rozmowie z Bielczenką w łaźni. Miał lecieć bez międzylądowania z Ułan Ude aż na Wyspę Księcia Edwarda w Kanadzie, gdzie podobno mieszkał obecnie Jamie Kelly. Według jego obliczeń odległość, jaką planował przebyć, wynosiła niecałe 4900 mil morskich. Człowiek z firmy, od której charterował samolot, rozumiał jego potrzeby i polecił mu gulfstreama G550. Obiecał, że maszyna będzie w Ułan Ude przed zmrokiem, gotowa do startu.

Znowu czuł się jak w czasach służby w KGB, czujny i zdystansowany. Powracały nawyki wyuczone w trakcie szkolenia. Po przybyciu na lotnisko obejrzał samolot ze wszystkich stron. Mierzył około trzydziestu metrów długości i potrafił latać z prędkością sięgającą jednego macha, a jego zasięg wynosił 6800 mil morskich. Kabina z regulowanym ciśnieniem umożliwiała latanie na pułapie 15 500 metrów, wysoko ponad samolotami komercyjnymi i jakimikolwiek wiatrami czy innymi niesprzyjającymi zjawiskami pogodowymi. Zorin obliczył, że samolot powinien dostarczyć go na miejsce w jakieś dziesięć i pół godziny, a zatem uwzględniając dwunastogodzinną różnicę czasu, znajdzie się w Kanadzie jeszcze w piątek wieczorem, nieco przed dwudziestą trzecią czasu lokalnego.

Powiedziano mu, że na lotnisku w Ułan Ude spotka się z nim przedstawiciel firmy przewozowej, i to zapewne stanowiło przyczynę opóźnienia, ponieważ nie czekał na niego nikt oprócz dwóch pilotów. Mieli lecieć i odpoczywać na zmianę. Firma zalecała wynajęcie czterech, ale Zorin odrzucił ten pomysł.

Oznaczałoby to zdecydowanie zbyt wielu świadków.

Wnętrze odrzutowca było przestronne i luksusowo urządzone, łącznie z boazerią z drzewa orzechowego i kryształowymi kieliszkami do wina. Po każdej stronie znajdowało się osiem owalnych okien, jak czarne plamki na bladobeżowych ścianach. Pasażerowie mieli do dyspozycji dziewięć wygodnych siedzeń oraz dwie długie sofy. Zarówno na rufie, jak i na dziobie mieściły się kuchnie pokładowe i Zorin zawczasu poprosił o przygotowanie posiłku. Nic nie jadł cały dzień i musiał wreszcie wrzucić coś na ząb. W samolocie była dostępna sieć bezprzewodowa i komunikacja satelitarna – jedno i drugie prawdopodobnie przyda się do wstępnego rozpoznania celu podróży oraz do nawiązania kontaktu z Anją.

Zamontowane w środku grzejniki skutecznie chroniły przed panującym na zewnątrz zimmem, światła były przyjemnie przyciemnione. W pewnym momencie przez drzwi na przedzie samolotu przeszedł krępy człowiek opatulony w gruby, wełniany płaszcz. Miał szeroką głowę porośniętą sztywnymi, czarnymi włosami i wysokie, typowo słowiańskie kości policzkowe, w tej chwili zaczerwienione od mrozu. Pod płaszczem był ubrany w zupełnie zwyczajny garnitur. Powiedział, że reprezentuje firmę i przyjechał, żeby doprowadzić do końca ich interesy przed startem. Na jednej ręce błyszczał wysadzany klejnotami rolex, na drugiej pierścion z brylantem.

Na Zorinie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Spóźnił się pan – powiedział po rosyjsku.

– Byłem na kolacji.

– I kazał mi pan tutaj siedzieć i na siebie czekać?

Ciemne oczy mężczyzny zdradzały jednocześnie szacunek i niechęć.

– Zdaję sobie sprawę, że zależy panu na czasie. Ale musi pan zrozumieć, że ja codziennie robię interesy z takimi ludźmi jak pan.

– Wie pan, czego chcę? – zapytał Zorin, gdy mężczyzna usiadł na skórzanym fotelu naprzeciwko niego.

– Słyszałem, że chce się pan przenieść z punktu A do punktu B tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Mówiąc to, pozwolił sobie na uśmiezek, który bardzo zirytował Zorina. Tak niestety wyglądała nowa Rosja. Każdy zakładał, że wszyscy naokoło są skorumpowani. Nikt nie brał nawet pod uwagę możliwości, że kogoś może motywować do działania honor i poczucie obowiązku. Ale postanowił stłumić w sobie to rozdrażnienie i dalej utrzymywać pozory luzu i opanowania. Było to dla niego niecodzienne doświadczenie, ponieważ nigdy nie czuł się zbyt swobodnie.

– Otrzymałem także polecenie, aby dokończyć naszą transakcję przed pańskim odlotem.

Zorin umiał czytać między wierszami.

*Ponieważ pana nie znamy.*

Schylił się i podniósł z podłogi torbę, którą zabrał ze sobą z daczki. W środku znajdowały się trzy związane gumką zwitki banknotów o nominale pięciu tysięcy rubli. Rzucił je niedbale na orzechowy blat stolika pomiędzy nimi.

– Dziesięć milionów rubli.

Przedstawiciel firmy przewozowej nawet nie drgnął.

– Musi pan być niezwykle pewny siebie, skoro nosi pan przy sobie taką ilość gotówki.

Postanowił wyjaśnić to i owo.

– Jestem człowiekiem, któremu lepiej nie wchodzić w drogę.

Jego rozmówca odchylił się w fotelu i rzucił mu wyzywające spojrzenie, dodając pozbawiony wesołości uśmiech.

– Cały czas mamy do czynienia z niebezpiecznymi ludźmi. Ten samolot kosztował trzysta miliardów rubli. Jest w stanie dolecieć do każdego zakątka globu. Niebezpieczni ludzie, tacy jak pan, cenią sobie możliwości, które daje taka maszyna.

– A ja okazałem już swoją wdzięczność, płacąc więcej, niż ta podróż jest warta.

– To prawda. Przejdźmy zatem do tych specjalnych usług, o które pan prosił. Do rejestru zostanie wciągnięty lot do Nowego Jorku. Trasa będzie biegła bezpośrednio nad Wyspą Księcia Edwarda. Jak planuje pan dostać się na ziemię?

Zorin rozważał kilka opcji. Brak wizy i sfałszowanych dokumentów oznaczał, że nie może po prostu wysiąść na lotnisku z samolotu. Udawana sytuacja awaryjna pozwoliłaby na nieplanowane wcześniej lądowanie, podczas którego mógłby się niepostrzeżenie wymknąć. Takie rozwiązanie wiązało się jednak ze sporym ryzykiem. W tej chwili nikt nie wiedział, że udaje się na zachód, i chciał, żeby tak zostało. Dlatego zdecydował się na jedyny sposób, który mógł mu zapewnić powodzenie.

– Zamierzam wyskoczyć.

Z ust przedstawiciela firmy wydobył się zduszony śmiech.

– Tego się spodziewałem. Istotnie jest pan niebezpiecznym człowiekiem. Chce pan wyskoczyć z odrzutowca, na dużej wysokości, w środku nocy?

Zorin robił to już wcześniej, i to nieraz. Jego szkolenie w specnazie obejmowało skoki ze spadochronem w warunkach podwyższonego ryzyka. W Afganistanie dwukrotnie skakał w nocy nad terytorium znacznie bardziej niebezpiecznym niż Kanada.

– Będziemy musieli na miejscu zejść na niższy pułap – stwierdził. – Zakładam, że da się sfabrykować odpowiedni powód.

Jego rozmówca przechylił się do przodu w fotelu i przesunął dłonią ponad leżącymi na blacie pieniędzmi.

– Zważywszy na pańską szczodrość, na pewno coś wymyślimy. Poinformuje pan pilotów, kiedy dokładnie będzie pan chciał skoczyć?

Zorin wskazał na terminal komputerowy przy innym stoliku, który służył pasażerom jako biuro podczas lotu.

– Znajdę dobre miejsce. Będę też potrzebował map. Czy wasza firma dysponuje planami tamtego rejonu?

– Mamy mapy każdego rejonu na świecie.

Mężczyzna pobierał rulony banknotów z blatu i wcisnął je sobie do kieszeni płaszcza.

– Na pańskim miejscu byłbym ostrożny, mając przy sobie tyle gotówki – Zorin nie mógł się powstrzymać od komentarza.

– Zapewniam pana, na zewnątrz czekają na mnie ludzie równie niebezpieczni jak pan – odparł drugi mężczyzna i wstał. – Miło było robić z panem interesy. Życzę przyjemnego lotu.

Przez całą ich rozmowę nie padły żadne nazwiska. Nie było takiej potrzeby. W dokumentacji lotu będą figurować jedynie dwaj piloci, którzy lecą do Nowego Jorku, żeby odebrać stamtąd klienta. Oficjalnie na pokładzie nie będzie nikogo więcej. Taki był kolejny warunek postawiony przez Zorina.

– Spadochron, o który pan prosił, jest z tyłu samolotu – powiedział przedstawiciel firmy. – W oznaczonym schowku, razem z noktowizyjnymi goglami.

Zorin, który zażądał obu tych rzeczy, z zadowoleniem stwierdził, że ci ludzie potrafią spełnić wymagania klienta. W dawnych czasach wyglądało to zupełnie inaczej, ale dzisiaj każdy mógł zdobyć niemalże wszystko, czego zapragnął.

– Piloci nie będą panu przeszkadzać. Z przodu mają swoją własną kabinę, w której będą odpoczywać. Wiedzą, że mają nie zadawać żadnych pytań, tylko wypełniać pańskie polecenia. Nie wątpię, że umie pan je wydawać.

Po tych słowach mężczyzna w płaszczu wyszedł z samolotu.

Choć jak na gust Zorina był stanowczo zbyt zadowolony z siebie, niewątpliwie wydawał się dobry w swoim fachu.

A on potrafił to docenić.

Ta wyprawa pochłonęła prawie wszystkie jego zasoby finansowe. W torbie zostało zaledwie kilka tysięcy rubli i trochę amerykańskich dolarów. Ale nie przejmował się tym. Wszystko, co trzeba, bez trudu zdobędzie po drodze. Jako wyszkolony żołnierz specnazu znał się też na sztuce przetrwania. Mógł tylko mieć nadzieję, że jakaś częśćka minionej epoki rzeczywiście nadal istnieje i czeka na niego gdzieś w Ameryce Północnej.

Teraz wszystko zależało od tego, czy uda mu się znaleźć Jamiego Kelly'ego.

Na pokład maszyny weszli piloci.

Jeden z nich poinformował go, że za niecałe piętnaście minut będą już w powietrzu.

Zorin spojrzął na zegarek.

Zostało jeszcze czterdzieści dziewięć godzin.

## ROZDZIAŁ 27

Podczas powrotnej drogi helikopterem Malone wysłuchał opowieści Cassiopei o telefonie od Stephanie Nelle i jej wyprawie na wschód z Francji. Znowu wydawała się taka jak dawniej, nie wyglądała już na zagubioną, ostry język zniknął, w oczach znów tańczyły psotne isierki. Kiedy Stephanie straciła z nim łączność, wszyscy założyli, że stało się najgorsze. Moskwa wyraziła oficjalną zgodę, aby Cassiopeia przyjechała na miejsce zdarzenia, i ten fakt zastanawiał Malone'a nie mniej niż powód jego własnej obecności w Rosji. Zachował jednak swoje wątpliwości dla siebie, ponieważ w tej chwili nie mieli jak przedyskutować tego na osobności.

Na pokładzie śmigłowca dostał rękawiczki, które przyjął z wdzięcznością. Cassiopeia przez cały czas uważnie mu się przyglądała. Najwyraźniej czas zmienił jej punkt widzenia na wiele spraw, skoro osobiście przybyła mu na ratunek. Była niewątpliwie bardzo energiczną kobietą, ale nie niezwykłą, co dobitnie pokazało Utah. W ciągu ostatnich dwóch lat oboje widzieli siebie nawzajem w naprawdę złym stanie, ale żadne z nich nie oceniało drugiego, każde próbowało jedynie pomóc. Czuł się przy niej naprawdę swobodnie, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w przypadku człowieka, który ma problem z wyrażaniem uczuć. Z pewnością nigdy nie miał takiego wrażenia przy swojej byłej żonie. Pam też była twardą kobietą, ale przejawiało się to u niej na inne sposoby. Największa różnica polegała na tym, że Cassiopeia potrafiła być wobec niego wyrozumiała, znacznie bardziej niż Pam. Może to dlatego, że byli do siebie tak podobni, a może też dlatego, że zawsze umiał jej się odwdzińczyć tym samym.

Śmigłowiec wylądował w bazie i Malone z Cassiopeią pospieszyli do szarego, granitowego budynku otoczonego wysokim ogrodzeniem. W środku czekał na nich oficer w mundurze, który przedstawił się jako dowódca bazy.

– Mam państwa poinformować, że cieszymy się, że wyszliście z tego cało – powiedział do nich obojga. – Doceniamy waszą pomoc, ale od tej pory nie będziemy już jej potrzebować. Teraz tą sprawą zajmą się nasze służby wewnętrzne.

– Czy moja szefowa została poinformowana? – zapytał Malone.

– Tego nie wiem. Otrzymałem instrukcje, aby bezzwłocznie zapewnić wam samolot na zachód, dokądkolwiek zechcecie.

– A co, jeśli nie chcemy nigdzie lecieć?

– Nie macie wyboru. Czekają na was dwa myśliwce, zatankowane i gotowe do lotu. W pokoju obok są skafandry – oficer wyciągnął rękę w stronę drzwi.

Sytuacja zdecydowanie się zmieniła.

Malone przez chwilę się zastanawiał, czy powiedzieć temu człowiekowi, co wie o zaginionych rosyjskich bombach jądrowych i o byłym sowieckim szpiegu mieszkającym w Kanadzie, dokąd prawdopodobnie właśnie w tej chwili udaje się Zorin. Do tego dochodziła jeszcze kwestia tamtych rzekomych żołnierzy w daczach, którzy zabili Wadima Bielczenkę.

Coś mu jednak podpowiadało, że ci ludzie wiedzą o tym wszystkim.

Dlatego więcej się nie odezwał.

Malone poczuł siłę grawitacji, gdy myśliwiec HAL FGFA wystrzelił w nocne niebo. Zdążył się stęsknić za tym uczuciem i żałował, że nie lata już regularnie takimi maszynami. Pilotowanie myśliwców miało być karierą na całe życie, ale przyjaciele jego nieżyjącego ojca z marynarki wojennej mieli co do niego



inne plany i tak Malone trafił na studia prawnicze, a potem do Wojskowego Biura Śledczego, gdzie ciężką pracą wyrobił sobie reputację dobrego prawnika. Stamtąd przeniósł się do Departamentu Sprawiedliwości, a w końcu znalazł się w jednostce Magellan Billet. Teraz za to był właścicielem księgarni, a czasami wolnym strzelcem albo jeszcze kimś innym, sam do końca nie umiał tego zdefiniować.

Wiedział, że Cassiopeia na pewno przeżywa ciężkie chwile na tylnym siedzeniu drugiego myśliwca, który wystartował zaraz za nim. Nie znosiła latać, zwłaszcza samolotami zdolnymi rozwinąć prędkość ponad dwóch machów. Rosjanom ewidentnie się spieszyło, żeby ich odprawić, i dlatego ani się obejrzeni, a już oboje siedzieli w myśliwcach lecących do Europy.

– Słyszysz mnie tam? – odezwał się Malone do mikrofonu.

– Słyszę – odpowiedziała Cassiopeia.

– Wszystko dobrze?

– A jak myślisz?

– Zdrzemnij się. Obudzę cię, gdy będziemy blisko.

Postanowili, że polecą do francuskiej bazy lotniczej niedaleko posiadłości Cassiopei. Tam Malone miał zamiar skontaktować się ze Stephanie. Chciał to zrobić jeszcze przed opuszczeniem Syberii, ale nikt nie pozwolił mu wykonać telefonu i nie było najmniejszych szans na to, żeby skorzystał z ich łączy komunikacyjnych w powietrzu.

W słuchawkach słyszał rozmowę pilotów z naziemną kontrolą. Oczywiście nie rozumiał ani słowa. Ale Cassiopeia rozumiała.

– Znaleźli twojego przyjaciela – powiedziała w pewnym momencie. Po duńsku. Sprytna dziewczyna. Intuicyjnie wiedziała, że powinni zachować dyskrecję. Oby tylko na linii nie było nikogo, kto znał ten język. Malone od razu odgadł, kogo ma na myśli: Zorina.

– Jest w prywatnym czarterowym odrzutowcu, gdzieś niedaleko. Leci na zachód. Piloci otrzymali rozkaz przechwycenia jego samolotu.

Myśliwiec odbił na południe.

Kontrolki, które Malone widział przed sobą, zamrugwały. Wszystko było napisane cyrylicą i choć umiał mniej więcej zidentyfikować większość instrumentów, część pozostawała zupełną tajemnicą. Samolot miał dwa siedzenia oraz podwójny zestaw przyrządów z przodu i z tyłu, dzięki czemu każdy z pasażerów był niejako zamknięty we własnym kokonie. W dalszym ciągu zwiększali wysokość, zbliżając się do przestrzeni pomiędzy ziemią a jej orbitą. Dla Malone'a był to znajomy teren. Ponad sobą przez pleksiglasową osłonę widział mrowie gwiazd.

Myśliwiec szarpnął do przodu i wyrównał lot. Drugi dołączył do niego i ustawiły się obok siebie na pułapie sześciu tysięcy metrów. Na krawędziach osłony zaszklily się drobinki lodu. Malone sprawdził przepływ tlenu i spojrzął na wskaźnik ciśnienia; na zewnątrz powietrze było już bardzo rozrzedzone. Dwaj piloci nie odzywali się do siebie zbyt często. Malone'owi zdarzyło się latać i z ludźmi przesadnie gadatliwymi, i milczącymi jak głaz i sam nie był pewien, które towarzystwo preferował. Ci dwaj nie zamienili ze sobą ani słowa od dobrych kilku minut, a w słuchawkach słychać było jedynie jednostajny szum i sporadyczne trzaski zakłóceń.

Próbował uporządkować myśli.

Czy po dwudziestu trzech latach od zakończenia zimnej wojny gdzieś tam nadal jest ukryta przenośna bomba jądrowa? Czy Zorin mógłby ją znaleźć? Bielczenko był o tym przekonany. I dlaczego tamci żołnierze pojawili się w daczy? Żeby zabić Bielczenkę, a być może także Zorina? Niestety stary archiwista zginął, zanim zdążył mu wyjaśnić plan swego gospodarza.

Wspominał tylko o „szkolnym macie” i „zerowej poprawce.”

Cokolwiek to znaczyło.

Malone miał pod maską mokre policzki, w ustach czuł metaliczny smak, a w kabinie unosił się zapach rozgrzanego plastiku urządzeń elektronicznych. Najwyraźniej pokładowy system dostarczania tlenu nie był zbyt czysty.

Teraz, gdy Bielczenko już nie żył, do celu mógł go doprowadzić tylko Zorin. Były funkcjonariusz KGB sprawiał wrażenie człowieka zgorzkniałego i cynicznego. Ale czy na tyle, żeby przeprowadzić atak na wielką skalę z użyciem broni jądrowej? Może faktycznie w Kanadzie mieszka jakiś Jamie Kelly, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale równie dobrze to też mogło być kłamstwo. Malone nie był pewny, ile z tego, czego dowiedział się w ciągu ostatnich kilku godzin, jest prawdą. Dlatego najrozsądniej byłoby trzymać się Zorina.

W słuchawkach usłyszał krótką rozmowę po rosyjsku.

– Twój znajomy jest przed nami – odezwała się po chwili po duńsku Cassiopeia. – Ale zbliża się do granicy z Mongolią. Chcą zestrzelić jego samolot, zanim ją przekroczy.

Drugi myśliwiec schował się pod nimi i zszedł o jakąś milę niżej, żeby odbić w bok. Malone rozejrzał się po panelu z instrumentami, szukając sposobu na przeniesienie kontroli nad samolotem do tylnego kokpitu, ale nie umiał zlokalizować właściwego przełącznika. Maszyna zatrzęsała się i jej nos przechylił się w dół. Malone wiedział, co się dzieje. Pilot szykował się do ataku.

Na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu przed sobą widział, jak systemy pokładowe szukają celu. Lecieli niemalże pionowo w dół, szybko wytracając wysokość, aż w końcu wyrównali lot na pułapie trzech tysięcy metrów. Na rozgwieżdżonym niebie Malone dostrzegł drugi myśliwiec z Cassiopeią na pokładzie – był jakieś trzy kilometry na lewo od nich. Odwrócił się w kierunku południowym, wyteżył wzrok i dojrzał migające punkciki światła, oznaczające skrzydła innego samolotu. W miarę jak się do niego przybliżali, światełka stawały się coraz większe.

Samolot Zorina.

Rosjanie w słuchawkach znowu zamienili ze sobą kilka słów.

Na wyświetlaczu pojawiły się rzędy liczb. Nie musiał znać cyrylicy, żeby wiedzieć, że radar pokładowy namierzył cel. Jeszcze przed startem zajrzał pod spód kadłuba i naliczył sześć węzłów uzbrojenia, lecz w żadnym z nich nie umieszczono pocisków powietrze-powietrze. Myśliwiec był jednak wyposażony w dwa działka kalibru trzydzieści milimetrów.

– Czekają na rozkazy z dołu – usłyszał głos Cassiopei.

Mógłby po prostu nie reagować, pozwolić im robić swoje. To niewątpliwie zakończyłoby całą sprawę. Ale wciąż dźwięczały mu w uszach słowa, które wypowiedział do niego Zorin w piwnicy, kiedy mówił o upadku ZSRR.

*Nikogo to nie obchodziło. Pozostawiliście nas samym sobie, żebyśmy głębiej pograżali się w naszej klęsce. Mamy dług wobec Ameryki. I myślę, że najwyższy czas, żebyśmy go spłacili.*

„My”?

Czy Zorin jest jedynym zagrożeniem?

A może zabicie go tylko doda sił komuś innemu, kto zajmie jego miejsce?

Oba myśliwce wyrównały lot i wolno zbliżały się do celu, przygotowując się do zniszczenia go swoimi działkami, co nie powinno zwrócić na nie uwagi wścibskich radarów. Sądząc po konturach samolotu Zorina, był to learjet albo gulfstream. Odpowiednia ilość dobrze wymierzonych strzałów z trzydziestomilimetrowego działka z łatwością strąci go z nieba. Malone zdecydował, że musi coś zrobić. Był tylko jeden problem – musiał pokrzyżować plany obu myśliwcom jednocześnie.

– Popatrz na instrumenty przed sobą – powiedział do mikrofonu po duńsku. – Widzisz gdzieś zmianę albo przeniesienie sterowania, coś w tym stylu?

– U góry po prawej jest napis „tylne sterowanie.”

Znalazł u siebie przełącznik zabezpieczony czerwoną osłonką. Zapewne nikt tutaj nie wiedział, że potrafi pilotować wojskowy odrzutowiec. Dlatego postanowił otworzyć plastikową przykrywkę i użyć przełącznika, myśląc: „Do cholery z tym, trzeba spróbować”.

W tej samej sekundzie znajdujący się przed nim drążek sterowy nagle ożył. Pilot natychmiast zrozumiał, co się dzieje, ale Malone nie pozwolił mu w żaden sposób zareagować. Pchnął drążek do przodu i niemal od razu wykonał zwrot w stronę drugiego myśliwca. Maszyna zanurkowała, gwałtownie tracąc wysokość, a Malone czuł, jak w ciało wpijają mu się pasy uprząży. Ostremu skrętowi towarzyszyły wibracje, pęd powietrza szarpał całym kadłubem. Drugi myśliwiec przeleciał z hukiem pod nimi, a fala pozostawiona przez ich dopalacze stworzyła na tyle silne turbulencje, że jego pilot nie miał innego wyboru, jak tylko zrobić gwałtowny unik.

Oba bojowe odrzutowce coraz bardziej oddalały się od celu. Żaden nie miał możliwości oddania strzału.

Malone przypuszczał, że Cassiopeia nie czuje się zbyt dobrze. Pędziła w myśliwcu, którym rzucało na wszystkie strony, podczas gdy jej pilot próbował odzyskać panowanie nad maszyną. Malone tymczasem poderwał nos samolotu i zaczął mozolnie zwiększać wysokość. Turbina silnika wsysała powietrze, wynosząc ich do góry jak winda. Wiedział, że jego gospodarz w każdej chwili może odebrać mu kontrolę nad samolotem. Dlatego przyciągnął drążek do siebie, wykonał w powietrzu idealną pętlę i zanurkował z powrotem w kierunku drugiego myśliwca. Rzucił okiem na przyrządy i zobaczył, że pokładowy radar zgubił namierzony wcześniej cel. W uszach dzwoniły mu wściekłe okrzyki dwójki pilotów. Nie musiał znać ich języka, żeby zrozumieć sens tego, co mówią.

Ci ludzie byli wkurzeni.

Popuścił drążek i spokojnie opadł na siedzenie. Po prawej burcie zrównał się z nimi drugi myśliwiec i oba odrzutowce leciały teraz skrzydło w skrzydło. Jego ciało się rozluźniło. Pilot z przedniego kokpitu z powrotem przejął stery.

Samolot Zorina zniknął.

– Rozumiem, że to było konieczne – odezwała się Cassiopeia. – Prawie wyplułam wnętrzności.

– Mnie się podobało – odparł.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Nie mogłem pozwolić, żeby go zestrzelili.

– I jak mniemam, wytłumaczysz mi to wszystko później?

– Ze szczegółami.

W słuchawkach trwała rozmowa pomiędzy pilotami a ziemią. Malone spodziewał się, że gdy wylądują, dyskusja w tej kwestii może stać się jeszcze bardziej ożywiona. Nie miał nic przeciwko.

– Nie są zadowoleni – powiedziała Cassiopeia.

– Gdzie mój znajomy?

– Przekroczył granicę. Rozkazano im nie kontynuować pościgu.

To dało mu do myślenia. Ciekawe, ile tak naprawdę wiedzą Rosjanie?

Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

# ROZDZIAŁ 28

## WASZYNGTON

Luke usiłował wyciągnąć z Anji Pietrowej więcej informacji, ale Rosjanka milczała jak głaz. Siedziała spokojnie, z rękami skrepowanymi na plecach, przywiązana taśmą izolacyjną do krzesła. Granatowo-czarny siniak na twarzy musiał boleć, ale jej puste, pozbawione wyrazu spojrzenie pozostawało niewzruszone. Zupełnie nie wyglądała jak osoba, która właśnie została pojmana.

Luke usiadł po drugiej stronie pokoju, poza zasięgiem jej wzroku, w jednym ze swoich foteli ustawionych frontem do okna. Zawsze się w tym miejscu odprężał i chyba nigdzie na świecie nie czuł się tak dobrze, jak tutaj. W ogóle całe mieszkanie traktował jak swój azyl. Obecność Pietrowej stanowiła pogwałcenie zasady, zgodnie z którą nigdy nie przyprawdzał kobiet do domu. Oczywiście chodził na randki i niejednokrotnie zdarzyło mu się spędzić noc z kobietą, jednak zawsze lądowali albo u niej w mieszkaniu, albo w hotelu, albo w ogóle gdzieś za miastem. Sam już nawet nie pamiętał, skąd się wzięła ta zasada, ale za wszelką cenę starał się jej przestrzegać. Nawet jego matka nigdy nie odwiedziła go w mieszkaniu. Jedyne wyjątek to Stephanie, która była tu ten jeden raz tuż przed wyjazdem do Utah.

Zazwyczaj lubił siedzieć w milczeniu, ale dziś ta głucha cisza działała mu na nerwy. Nie bardzo wiedział, co dalej począć z Pietrową. Chcieli z niej wyciągnąć jak najwięcej informacji i na tym właściwie kończył się ich plan. Pietrowa była obywatelką innego kraju, a ponieważ przeprowadzali całą operację po cichu, mieli ograniczone możliwości prawne. Co prawda zagroził jej więzieniem, ale tak naprawdę była to tylko pusta pogroźka. W dodatku wszystko wskazywało na to, że wcale nie pójdzie im z nią tak łatwo. Na szczęście podjęcie odpowiednich decyzji pozostawało w gestii Białego Domu. Szkoda tylko, że wujkowi Danny'emu zostało już tak mało czasu.

Ciszę przerwało pukanie do drzwi.

Luke wstał z fotela i poszedł otworzyć. Spodziewał się ujrzeć Stephanie, tymczasem na progu stał ten szpieg z SWR, z którym jechali samochodem, Nikołaj Osin. Towarzyszyli mu dwaj mężczyźni. Żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego.

– Przyjechałem po Anję Pietrową – oznajmił Osin.

– A skąd wiedziałeś, że ją tu zastaniesz?

– Twoja szefowa mi powiedziała. Zaproponowałem, że zajmiemy się Pietrową. Zgodziła się, bo przecież nikomu nie zależy na tym, żeby zrobiła się z tego międzynarodowa afera.

Osin zajrzał do środka i odnalazł wzrokiem Anję.

– Co jej zrobiłeś? Pobijeś ją?

– Nie pozostała mi dłużna, możesz być pewny. A wracając do celu twojej wizyty, pozwól, że najpierw skonsultuję się z szefową.

Luke celowo nie zaprosił mężczyzn do środka.

– Proszę bardzo, ale Pietrowa i tak pójdzie z nami.

Luke spojrzął przez ramię. Rosjanka nie wydawała się zbyt zachwycona tą perspektywą. Pytanie tylko, czy należało się tym przejmować? W końcu darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Pietrowa stąd zniknie i będą mieli kłopot z głowy. Mimo to widział wyraźnie, że kobieta nie pała wielką miłością do swojego wybawcy.

Luke wziął do ręki telefon i wybrał numer Stephanie. Odebrała od razu. Przez chwilę słuchał bez

słowa, po czym rozłączył się i gestem zaprosił Osina z obstawą do mieszkania.

– Możecie ją zabierać.

Stephanie jeszcze nigdy nie została wyrzucona z pracy. Owszem, na przestrzeni całej kariery wiele razy słyszała podobne groźby ze strony różnych prezydentów i prokuratorów generalnych, ale nigdy nie skończyło się faktyczną dymisją.

Aż do dziś.

Bruce Litchfield na pewno otrzymał błogosławieństwo od nowej administracji. Nie ulegało wątpliwości, że dali mu wolną rękę, w przeciwnym razie nie byłby taki hardy. Świeżo mianowany prokurator generalny na pewno uznał, że mogą sobie na to pozwolić, bo Danny Daniels już za kilka godzin zupełnie przestanie się liczyć. To duży błąd. Stephanie przez te wszystkie lata zdążyła się przekonać, że Danny zawsze będzie się liczył, niezależnie od swojej aktualnej pozycji. Wierzył w to, co robił, i zawsze bronił swoich przekonań, nie zważając na konsekwencje polityczne. Był człowiekiem, którego szanowała i podziwiała, a nowe władze mogłyby się od niego dużo nauczyć.

Schowana w wejściu do kamienicy bacznie obserwowała dom Luke'a Daniela, który znajdował się jakieś trzydzieści metrów dalej. Przed trzypiętrowym budynkiem z czerwonej cegły rozciągał się szeroki trawnik, dookoła rosły drzewa. W ogołconych z liści gałęziach szumiał przeszywająco zimny wiatr. Dom stał przy ruchliwym bulwarze w północno-zachodniej części miasta. W ciągu ostatnich piętnastu minut podjechał pod niego tylko jeden samochód – czarny cadillac, z którego wysiadł Nikołaj Osin w towarzystwie dwóch mężczyzn.

Przed chwilą zadzwonił do niej Luke. Powiedziała mu, że ma wypuścić Anję Pietrową i przekazać ją w ręce Osina. Wiedziała, że rosyjski agent perfekcyjnie odegra powierzoną mu rolę. Dlatego właśnie skontaktowała się z nim tuż po wyjściu z Anderson House i przedstawiła mu swój plan. Jej przebiegły kolega po fachu pochwalił ten pomysł. Obiecał, że od razu uda się do mieszkania Luke'a i zajmie się ich małym problemem.

Po kilku minutach w skąpanych w słońcu drzwiach frontowych pojawiła się Anja w asyście dwóch mężczyzn w ciemnych płaszczach. Za nimi szedł Osin. Stephanie patrzyła, jak cała grupa wsiada do czarnego cadillaca. Samochód ruszył z miejsca i po chwili zniknął za wysokim żywopłotem. Rosjanka musiała być co najmniej mocno zdezorientowana.

Luke również wyszedł z budynku. Stephanie opuściła swoją ocienioną kryjówkę, a on podszedł do niej, sprężystym krokiem przecinając parking przed domem.

– I tak po prostu im na to pozwoliłaś?

– To był mój pomysł.

– Może mi to wyjaśnisz? Bo nie wiem, czy pamiętasz, ile zachodu kosztowało złapanie tej kobiety.

– Fritz Strobl powiedział mi coś bardzo ciekawego. Brad Charon pełnił w Towarzystwie Cyncynatów funkcję strażnika tajemnic.

Stephanie zrelacjonowała mu swoją rozmowę z kustoszem.

– *Nasze towarzystwo stworzyło to stanowisko bardzo dawno temu – wyjaśnił Strobl. – Formalnie zostało zlikwidowane w połowie dwudziestego wieku, przynajmniej tak mi się wydawało. Jednak dziesięć lat temu odkryłem, że ta funkcja wciąż istnieje i stanowi część obowiązków naszego historyka.*

– *A co to ma wspólnego z kobietą, którą złapaliśmy?* – zapytała Stephanie.

– *Wiedziała, że pan Charon był strażnikiem tajemnic. Zaledwie garstka członków towarzystwa, i to tych z najwyższego szczebla, posiadała tę informację. Nawet ja nie miałem o tym pojęcia.*

*A ona jakimś cudem się dowiedziała.*

*Cisnęła jej się na usta cała masa pytań, na czele z tym fundamentalnym.*

*– Dlaczego to wszystko jest takie ważne?*

*– Ta kobieta chciała wiedzieć, kto jest historykiem obecnie. Zagroziła, że mnie zabije, jeśli jej nie powiem, jak się nazywa.*

*– Strobl podał jej nazwisko i adres tego człowieka – dokończyła Stephanie. – Mieszka pod Annapolis w stanie Maryland.*

*– A czy poczciwy Fritz wspomniał może, dlaczego Pietrowa tak strasznie interesuje się zapomnianymi przez wszystkich sekretami tego towarzystwa?*

*– Mówił, że nie ma pojęcia. I ja mu wierzę.*

*– Coś czuję, że obmyśliłaś już jakiś plan. Mam rację?*

*– Owszem, ale najpierw muszę ci o czymś powiedzieć. Jakąś godzinę temu zostałam zwolniona przez człowieka pełniącego obowiązki prokuratora generalnego. Już nie pracuję dla rządu, więc wszystko, co od tej pory robimy, robimy na własną rękę.*

*– I to mi się podoba – odpowiedział Luke, uśmiechając się szeroko.*

## ROZDZIAŁ 29

Zorin postanowił odrobinę odpocząć, zanim zacznie na poważnie planować, co zrobi po przedostaniu się na terytorium Kanady. Był tak zmęczony, że czuł to w kościach i wszystkich mięśniach. Nie był już młodzieniaszkiem. Na szczęście miał przed sobą kilka godzin spokoju, podczas których mógł odzyskać siły.

Nie wiedzieć czemu zaczął myśleć o swojej matce, która nie żyła od wielu lat. Całe życie pracowała na roli. Wciąż miał ją przed oczami, jak kłęczy na czarnej ziemi w pełnym słońcu, wśród rzędów ogórków, pomidorów i ziemniaków, a liście kołyszą się na wietrze jak morskie fale. Tam, gdzie Moskwa widziała wzór „porządku i wydajności”, jego matka widziała owoc pracy swoich rąk. Kochała tamte pola, gdzie powietrze nigdy nie było zanieczyszczone sadzą, węglem, chemikaliami czy spalinami. Może to jeden z powodów, dla których uciekł na Syberię – tam nadal dało się znaleźć tę samą czystość.

Matka Zorina była łagodną, życzliwą i naiwną kobietą, która nigdy nie uważała się za Sowietkę, tylko za Rosjankę. Ale miała dość oleju w głowie, żeby nie sprawiać nikomu żadnych kłopotów i zachowywać swoje zdanie dla siebie, dzięki czemu żyła długo i umarła ze starości. Jako dziecko chodził z nią do kościoła, ponieważ podobały mu się śpiewy sakralne. Już wtedy zdał sobie sprawę, że jest ateistą, choć jego matka nigdy się tego nie dowiedziała, i dobrze, albowiem Bóg odgrywał bardzo ważną rolę w jej życiu. Taka właśnie była jego matka – wytrwała, uważna, lojalna i pracowita.

I zawsze lubił słuchać, jak sobie nuciała pod nosem.

Jedna z melodii na stałe wbiła mu się w pamięć – piosenka z czasów jej dzieciństwa, której słów nauczyła swoich synów.

*Wyszedł zając na spacer  
Wnet myśliwy dojrzał smyka  
Strzelił prosto mu w kuperek  
Padł zajączek, już nie fika  
Rety rety, olaboga  
Mój zajączek martwy leży  
Gdy do domu go przyniosłem  
Okazało się, że przeżył*

Uwielbiał tę rymowaną. On też, tak samo jak ten zając, wyszedł na spacer, który trwał ponad dwadzieścia pięć lat. Ujmując to metaforycznie, został zastrzelony i uznany za martwego. Ale teraz powracał do życia, dokładnie tak jak zając z piosenki.

Często się zastanawiał, w jaki sposób stał się tak bezwzględny człowiekiem. Na pewno nie z powodu matki. A jego ojciec, choć kiedyś był żołnierzem, ostatecznie okazał się słaby i uległy, pozbawiony odwagi. Ale w jego życiu nie brakowało przemocy.

Zorin zabijał ludzi bez żadnych skrupułów. Bez chwili wahania kazał zabić tamtego Amerykanina, który pojawił się w jego dacy. Dawno wyzbył się resztek sumienia, jeżeli w ogóle kiedykolwiek je posiadał.

Jego bracia znaleźli sobie żony, mieli z nimi dzieci i umarli młodo.

Jego żona i syn również nie żyli.

Nie został mu nikt, o kogo chciałby walczyć – z wyjątkiem Anji. Ale to, co ich łączyło, to nie miłość, bardziej potrzeba towarzystwa, którą oboje dzielali. Zorin zastanawiał się, jak Anja radzi sobie w Ameryce. Być może dowie się już wkrótce.

Zjadł posiłek przygotowany przez firmę przewozową. Jedzenie było smaczne i sycące. Samolot z pewnością już dawno opuścił rosyjską strefę powietrzną i leciał na zachód ponad Federacją Środkowoazjatycką. Dalsza trasa wiodła nad Europą i Oceanem Atlantyckim. Cieszył się, że znowu zaczął działać, że może skoncentrować myśli na niewidzialnym froncie walki z odwiecznym wrogiem. Był dobrym żołnierzem, z oddaniem narażał życie dla ojczyzny, bronił Związku Radzieckiego. Nigdy nie złamał danej przysięgi. Nigdy nie stawiał siebie samego ponad swoim krajem. Nigdy nie popełnił żadnego głupiego błędu.

W przeciwieństwie do jego przełożonych, którzy nie widzieli tego, co mieli przed samym nosem.

Przypomniawszy sobie pewien zimny styczniowy dzień w 1989 roku i swoje pierwsze zderzenie z prawdą.

– *Towarzyszu Zorin, oto właśnie człowiek, o którym wam opowiadałem.*

*Zorin przyjrzał się nieznajomemu, który stał dziwnie zgarbiony, jakby próbował ukryć swój wzrost. Pod bulwiastym, ogniście czerwonym nosem uwagę przykuwał gruby czarny wąs. Zwykle Zorin nie miał w zwyczaju spotykać się ze zwerbowanymi informatorami; zajmowali się tym jego podwładni. On musiał ocenić i przesłać ich raporty do Moskwy. Ale ten człowiek powiedział coś, co zaintrygowało go do tego stopnia, że postanowił osobiście zweryfikować wiarygodność jego rewelacji.*

– *Nazywam się...*

*Zorin podniósł rękę. Mężczyzna przerwał, a jego usta nerwowo się zacisnęły.*

– *Nazwiska nie są istotne. Liczy się tylko to, co pan wie.*

*Jeden z podwładnych Zorina nadał temu człowiekowi kryptonim „Aladyn”, co służyło jedynie odróżnieniu go od tysięcy innych tajnych informatorów rozsianych po całym terytorium Kanady i Stanów Zjednoczonych. Aladyn pracował w kalifornijskiej firmie wykonującej zlecenia dla Departamentu Obrony. Przyjechał na północ, do Quebecu, rzekomo po to, by spędzić urlop na dorocznym zimowym karnawale, ale prawdziwym celem jego wizyty było właśnie to spotkanie.*

*Siedzieli w apartamencie w hotelu Frontenac, za który Aladyn sam zapłacił, wysoko ponad zamarzniętą rzeką Świętego Wawrzyńca. Ludzie Zorina przez dwa dni upewniali się, że informator przyjechał w pojedynkę, a pokój został elektronicznie przeczesany pod kątem jakichkolwiek podsłuchów. Zgadając się na to spotkanie, Zorin zdecydował się na duże ryzyko, ale uznał, że potencjalne korzyści są tego warte.*

– *Podobno – zaczął – posiada pan informacje dotyczące Inicjatywy Obrony Strategicznej.*

– *Które już przekazałem, a wy mi za to zapłaciliście.*

– *Chcę to usłyszeć jeszcze raz, osobiście.*

– *Nie wierzy mi pan?*

– *To bez znaczenia, czy wierzę czy nie. Po prostu chcę to jeszcze raz usłyszeć.*

*Aladyn wydawał się zaniepokojony. Nikt mu nie wyjaśnił, dlaczego musiał przyjechać do Quebecu. Zaczynał swoją karierę na kanadyjskiej uczelni wyższej, jako fizyk specjalizujący się w zaawansowanych badaniach nad technologią laserową. Jego praca naukowa przyciągnęła uwagę Amerykanów, którzy wkrótce go zwerbowali. Ale Zorin utrzymywał z nim stały kontakt, płacąc Aladynowi za współpracę kilka tysięcy dolarów. Dwa tygodnie temu Aladyn zakomunikował im coś nadzwyczajnego.*

– *Jak już mówiłem pańskiemu człowiekowi, IOS to fikcja.*



Inicjatywa Obrony Strategicznej została ogłoszona przez Reagana sześć lat temu. Amerykański prezydent obwieścił całemu światu, że zamierza stworzyć tarczę chroniącą przed rakietami nuklearnymi – wrogie pociski miały być zestrzeliwane w locie i w ten sposób pozbawiane siły rażenia. „To rozwiązanie jest w zasięgu naszych możliwości” – zapewniał Reagan. Od tamtej pory na prace nad projektem, w których uczestniczył również Aladyn, wydano miliardy dolarów. Nadrzędnym celem Zorina i wszystkich innych funkcjonariuszy KGB stało się zdobycie jak największej ilości danych wywiadowczych na temat IOS. Dla Moskwy była to sprawa o priorytetowym znaczeniu.

– Dlaczego pan tak uważa? – zapytał.

– Brałem udział w spotkaniach, słyszałem rozmowy. Taka technologia po prostu jeszcze nie istnieje. Miną dziesiątki lat, zanim będziemy w stanie zestrzelić pocisk. Przeprowadzono w tej sprawie niezliczone badania. Nie da się tego zrobić. Amerykańscy podatnicy nie mają pojęcia, jaka ilość pieniędzy została wyrzucona w błoto.

Moskwa obawiała się programu IOS tak bardzo, że podczas wszystkich rozmów, jakie toczyła w ostatnim czasie ze Stanami Zjednoczonymi na temat rozbrojenia nuklearnego, domagała się jego likwidacji. Każda redukcja potencjału jądrowego musi oznaczać jednocześnie rezygnację ze strategicznej broni defensywnej. Amerykanie rzecz jasna nie chcieli o tym słyszeć, dlatego też negocjacje od kilku lat tkwiły w martwym punkcie. A teraz nagle miało się okazać, że cała sprawa była jednym wielkim oszustwem?

– Pracujemy nad pociskami antybalistycznymi – kontynuował Aladyn – laserami rentgenowskimi, strumieniami cząstek, laserami chemicznymi, armatami szybkostrzelnymi i udoskonalonymi systemami namierzania i obserwacji. Słyszał pan kiedyś o „inteligentnych kamykach”?

Zorin z uwagą wysłuchał opowieści o satelitarnym systemie obronnym składającym się z wolframowych kul wielkości arbuza, które poruszając się z ogromną prędkością, działają jak głowice kinetyczne zdolne do zniszczenia satelity albo pocisku balistycznego.

– To wszystko brzmi fantastycznie – podsumował Aladyn. – I byłoby wspaniale, gdyby tak to wyglądało w praktyce. Ale to tylko propaganda. Te systemy istnieją tylko na papierze. W rzeczywistości nie dysponujemy technologią, która pozwoliłaby wcielić te pomysły w życie.

– Porozmawiajmy o Departamencie Obrony – zaproponował Zorin.

To był tak naprawdę główny powód, dla którego zorganizował to spotkanie. Chciał usłyszeć na własne uszy najbardziej szokującą informację, jaką przekazał mu jego podkomendny.

– Oni wiedzą, że to czysta iluzja, ale chcą, żebyśmy dalej robili swoje, i cały czas pompują w ten projekt miliardy dolarów. Rozumie pan? Naszym zadaniem jest przekonanie opinii publicznej, że to prawda.

– Reagan sam przyznał, że to ogromne przedsięwzięcie i cel może zostać osiągnięty dopiero pod koniec wieku.

– Co innego powiedzieć, że coś jest trudne i zajmie dużo czasu, a co innego porwać się na coś zupełnie niewykonalnego. Tak właśnie jest z programem IOS. Nie da się go zrealizować, a w każdym razie nie w dającej się przewidzieć przyszłości. Waszyngton zdaje sobie z tego sprawę. Z całego tego projektu nie wyniknie nic poza tym, że bardzo wzbogacą się podwykonawcy, którzy biorą od państwa pieniądze za pracę nad nierealnymi pomysłami.

Tajnych informatorów klasyfikowano ze względu na ich wiarygodność.

„Doskonale ulokowani” mieli bezpośredni dostęp do spraw, o których mówili. Jeśli uznano ich za

„niezaufanych”, to znaczyło, że albo byli nowicjuszami, albo ich doniesienia nie zostały jeszcze zweryfikowane. „Niepewni” zawsze budzili podejrzenia, ale każdy, kto miał już trochę meldunków na koncie, prędzej czy później stawał się „wiarygodny.”

Pozyskiwanie nowych źródeł informacji było specjalnością Zorina. Zasady gry opierały się na zdrowym rozsądku. Przede wszystkim dana osoba musiała być warta zachodu, czyli mieć dostęp do pożądanego wiedzy. Jeśli tak było, nawiązywano z nią kontakt, zazwyczaj w sposób nieformalny i pozornie przypadkowy, i próbowano zbudować przyjazną relację. Zawsze jednak istniało niebezpieczeństwo, że nowo zwerbowanym informatorem jest po prostu agent wrogich służb, który wciąga szpiega w pułapkę – właśnie o to Zorin z początku podejrzewał Aladyna. Takie pomyłki zdarzały się nader często i najczęściej przekreślały dalszą karierę w KGB. Ostatecznie jednak, kiedy wzięta na cel osoba została gruntownie prześwietlona oraz odbyło się przynajmniej siedem osobistych spotkań, podczas których jej intencje wydawały się szczere, przyznawano jej kryptonim i rozpoczynała się poważna współpraca.

Aladyn pomyślnie przeszedł wszystkie testy i stał się „wysoce wiarygodny”.

Każdego dnia agenci terenowi musieli radzić sobie z własnymi podejrzeniami, będąc świadomi, jakie mogą być konsekwencje, jeśli pochopnie uwierzą w otrzymane informacje. Zorin usłyszał coś, co w najlepszym wypadku mogło być czyjaś fantazją, a w najgorszym kłamstwem.

Ale przekazał te informacje dalej.

Za co spotkała go nagana ze strony przełożonych.

Moskwa postrzegала Inicjatywę Obrony Strategicznej jako amerykańską próbę zneutralizowania sowieckiej siły militarnej i wyjścia na prowadzenie w wyścigu zbrojeń. Z perspektywy Kremla kosmiczny system obrony przeciwrakietowej czynił napastniczą wojnę nuklearną nieuniknioną. Dlatego ich reakcja była przesadzona. Związek Radziecki musiał rozpocząć pracę nad analogicznym programem i to KGB miało za zadanie przyspieszyć ten proces poprzez działania szpiegowskie. Tymczasem Zorin zameldował, że całe przedsięwzięcie to być może oszustwo. Z reguły nawet informacje pochodzące z „wysoce wiarygodnych” źródeł były dość trywialne. Rzadko kiedy trafiało się coś, co mogło realnie zagrozić wrogiemu państwu. Ale raz na jakiś czas szczęście się do nich uśmiechało.

Zorin poprawił się w skórzanym fotelu, przypominając sobie oficjalną odpowiedź na jego raport dotyczący rewelacji Aladyna.

*Zapomnij o tych bzdurach i wracaj do pracy.*

A jednak historia pokazała, że miał rację.

Nigdy, w żadnym miejscu na świecie, nie powstał żaden system obrony przeciwrakietowej.

Władze ZSRR wydały na jego stworzenie miliardy rubli, cały czas wierząc, że Amerykanie robią dokładnie to samo. To prawda, rząd USA także wydawał miliardy dolarów, tak jak mówił Aladyn, ale był to jedynie fortel zaplanowany przez samego Ronalda Reagana. Amerykański prezydent wymyślił sposób na to, by jego wrogowie własnoręcznie się osłabili. I odniósł sukces. Radziecka gospodarka implodowała z powodu hiperinflacji, a to z kolei doprowadziło do upadku całego reżimu komunistycznego.

Zorinowi przewracało się w żołądku, ilekroć zaczynał myśleć o tym, jak łatwo można było tego wszystkiego uniknąć. Gdyby tylko Moskwa słuchała, kiedy on i inni funkcjonariusze KGB donosili o tym, czego dowiadywali się niezależnie od siebie. Jednakże największą słabością ślepego posłuszeństwa jest ignorancja. Wszelkie decyzje podejmowała garstka ludzi, a wszyscy inni robili, co im kazano – i nieważne, że niektóre z tych decyzji mogły być błędne.

Przymknął oczy i pozwolił, aby ogarnęła go senność.

Bezpowrotnie minęły dni, kiedy żołnierze Armii Czerwonej maszerowali w idealnie równym szyku po placu Czerwonym, wysoko podnosząc błyszczące buty, z rękami przyciśniętymi do piersi i głowami

zwróconymi ku mauzoleum Lenina.

Nad którym górowała siedziba głupców.

Tamte czasy przeszły do historii.

Teraz, kilkadziesiąt lat później, znalazł się tutaj. Był sam, ale nie bezsilny. Nadal miał w sobie krzepką krew chłopca oraz determinację komunisty, a jego organizm na szczęście nie był zrujnowany przez alkohol, papierosy czy lekkomyślny styl życia.

Do głowy przysłała mu jeszcze jedna rymowanka z dzieciństwa.

*Cicho, cicho, moje myszy,  
Kot was widzi, kot was słyszy.  
Skończcie już to harcowanie,  
Bo was zje na drugie danie.*

Mądra rada.

Po ponad dwóch dekadach spędzonych na refleksji doszedł do wniosku, że cały system sowiecki opierał się na zinstytucjonalizowanej nieufności. Wojskowe i cywilne służby wywiadowcze nigdy ze sobą blisko nie współpracowały. W teorii chodziło o to, aby żadna z nich nie poczuła się zbyt pewnie i nie urosła przesadnie w siłę, ale faktyczny rezultat był taki, że obie stały się nieefektywne. Nikogo nie obchodziło zdanie drugiej strony. Choć jedni i drudzy umieli po mistrzowsku zdobywać informacje, nikt nie potrafił ich porządnie przeanalizować. Tak więc kiedy obie te służby stanęły w obliczu oczywistej prawdy – że ich kraj dał się wciągnąć w zacieklą, rozpaczliwą rywalizację, której cel został spreparowany przez Amerykanów – jedni i drudzy odmówili wyciągnięcia stosownych wniosków i twardo trzymali się obranego kursu, aż doprowadziło to ich wszystkich do zagłady.

Zorin nie zamierzał okazać się równie głupi.

To była jego własna wojna.

I będzie toczona na jego warunkach.

Wstrząsnął nim nerwowo dreszcz. Nie było to nic niezwykłego. Każdy oficer pracujący w terenie wiedział, co to strach. Najlepsi z nich nauczyli się go poskramiać.

Jego naczelny wróg, Stany Zjednoczone, odebrał mu przeszłość, stopień, reputację, wiarygodność, życiowe osiągnięcia, nawet honor.

Ale nie życie.

I chociaż przez jego myśli na przemian przetaczały się fale optymizmu i zwątpienia, czasem łagodzonego przez pewność siebie, lecz niemal zawsze zabarwionego poczuciem winy, wiedział jedno.

Tym razem nie pozwoli sobie na żaden błąd.

## ROZDZIAŁ 30

Luke siedział za kierownicą forda escape'a, który, jak się okazało, należał do Fritza Strobla. W jaki sposób udało jej się pożyczyć samochód od zupełnie obcego człowieka, to pozostawało dla niego tajemnicą. Jechali na wschód drogą numer 301 w kierunku Annapolis.

– Słyszałeś już o zaginionych ładunkach jądrowych – powiedziała Stephanie siedząca na miejscu pasażera. – Zdaniem Rosjan pięć z nich zostało ukrytych i wciąż ich nie odnaleziono. Te bomby są bardzo małe, mają rozmiar walizki.

– Jak w serialu *24 godziny*?

– Wiem, że to brzmi jak jakieś science fiction, ale Osin jest z nami szczerzy, przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Zawsze podejrzewaliśmy, że Rosjanie nauczyli się produkować broń jądrową niewielkich rozmiarów. Moc wybuchu każdej z tych bomb wynosiła mniej więcej sześć kiloton, ale nie zostało to nigdy potwierdzone. Oczywiście my też budowaliśmy takie same ładunki.

– I wciąż nimi dysponujemy?

– Wątpię. W latach dziewięćdziesiątych zakazano ich produkcji. Co prawda ta decyzja została cofnięta po jedenastym wrześniu, ale nigdy nie słyszałam, żebyśmy w tej chwili mieli coś podobnego w swoim arsenale.

Stephanie opowiedziała mu o Aleksandrze Zorinie, który ponoć żywił głęboką urazę do Stanów Zjednoczonych, a także o archiwście KGB, niejakim Wadimie Bielcencie.

– Cotton udał się na poszukiwania Bielczenki.

Jak się okazało, niepozorny silnik forda miał zaskakująco dużą moc, a w dodatku na autostradzie panował niewielki ruch, dzięki czemu mogli rozwinąć całkiem przyzwoitą prędkość.

– Miałaś jakieś wieści od Cassiopei? – zapytał Luke.

Stephanie pokręciła głową.

– Nie, do tej pory się nie odezwała.

– Myślisz, że z Cottonem wszystko w porządku?

– Mam nadzieję.

Jej głos zdradzał niepokój, który jemu również się udzielił.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Spojrzeli na siebie, po czym Stephanie zerknęła na ekran swojej komórki i znów pokręciła głową.

– To Osin.

Odebrała telefon. Rozmowa trwała zaledwie kilka chwil.

– Pietrowa jest już w drodze – oznajmiła, kiedy tylko się rozłączyła.

Wcześniej wyjaśniła Luke'owi, że Osin zawiózł ją na lotnisko Dulles International, gdzie wręczył jej bilet linii lotniczych KLM na lot prosto do Moskwy. Jego ludzie odeskortowali Pietrową na terminal, przypilnowali, żeby się odprawiła, i zostawili ją dopiero, kiedy przeszła przez bramki. Oczywiście gdy tylko zniknęli jej z pola widzenia, natychmiast zawróciła, opuściła halę lotniska i wsiadła do taksówki, którą najprawdopodobniej pojechała do centrum, a dokładnie na ulicę oddaloną o dwie przecznice od Anderson House, gdzie stał jej pokierszowany wynajęty samochód.

– Pojechała prosto po swój wóz, a to oznacza, że musi być niedaleko za nami – powiedziała Stephanie.

– Jej cel to Annapolis.

– Zawsze masz takiego nosa do ludzi?

– Prawie zawsze.

– No a co z tymi zaginionymi ładunkami?

– Mało prawdopodobne, że przetrwały, a jeśli nawet, to na pewno się już do niczego nie nadają.

A jednak Zorin wciąż jest nimi zainteresowany.

– Dobrze się czujesz?

Luke dobrze znał Stephanie i widział, że jest naprawdę przejęta całym zajściem z Bruce'em Litchfieldem.

– Nigdy nie sądziłam, że moja kariera zakończy się w taki sposób – odpowiedziała cicho. –

Trzydzieści siedem lat.

– Trzydzieści siedem lat temu nie było mnie nawet w planach – zauważył Luke.

Stephanie się uśmiechnęła, a on więcej już jej nie zagadywał. Przez kilka minut jechali w milczeniu.

– To były ekscytujące czasy – odezwała się wreszcie, bardziej do siebie niż do niego. – Reagan postanowił zmienić świat. Z początku wszyscy myśleliśmy, że zwariował, ale okazało się, że ostatecznie udało mu się tego dokonać.

Luke wiedział niewiele na temat lat osiemdziesiątych. W życiu skupiał się przede wszystkim na teraźniejszości. Uważał się za człowieka solidnego i pragmatycznego. Wierzył, że należy brać życie takim, jakie jest – wszelkie mrzonki, sentymenty i rzekome uroki tego świata nie robiły na nim większego wrażenia. Dokładnie tak samo podchodził do historii, która stanowiła jedynie element przeszłości. Oczywiście nie uważał, że należy ją ignorować, ale też nie widział sensu w ciągłym roztrząsaniu tego, co bezpowrotnie minęło.

– Uczestniczyłam w tej wielkiej zmianie.

Luke wyczuł, że Stephanie ma ochotę na zwierzenia, co było dość niezwykłe, ale tego dnia wydarzyło się już tyle dziwnych rzeczy, że jakoś specjalnie go to nie zaskoczyło.

Dlatego trzymał buzię na kłódkę i słuchał.

*Stephanie wyszła z papieżem na dziedziniec. To była jej dwudziesta dziewiąta wizyta w Rzymie. Spotkali się na specjalną prośbę Jana Pawła II. W tym czasie w Stanach Zjednoczonych sytuacja polityczna stawała się dość napięta. Właśnie dobiegała końca druga kadencja Reagana. Wiceprezydent Bush i gubernator Massachusetts, Michael Dukakis, toczyli zacieklą walkę o fotel prezydencki i nikt nie wiedział, jaki będzie wynik. Papież wyrażał zaniepokojenie przyszłością i Stephanie przyjechała, by rozwiać jego obawy. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, jej oczom ukazała się marmurowa willa i dwukondygnacyjna loggia. Na dziedzińcu stały posągi i kilka pustych ławek, nie brakowało też fontanny. Znajdowali się w samym sercu Watykanu, w strefie zarezerwowanej wyłącznie dla mieszkańców, których była zaledwie garstka.*

– Prezydent Reagan niedługo przekaze urząd komuś innemu – zaczął papież. – Czy to oznacza, że pani służba również dobiega końca?

*Stephanie postanowiła nie owijać w bawełnę.*

– Prawdopodobnie tak. Ten, kto wygra, dobierze sobie nowych współpracowników.

*Z tego, co wiedziała, wiceprezydent Bush nigdy nie został zaangażowany w operację Forward Pass. Już od jakiegoś czasu stosunki panujące pomiędzy jego obozem a ludźmi Reagana stawały się coraz bardziej napięte. Przyjmując nominację od swojej partii podczas narodowej konwencji republikanów, Bush powiedział delegatom, że pragnie państwa życzliwego i szlachetnego, co oczywiście wywołało natychmiastową reakcję ze strony ekipy prezydenta w stylu: „A nasze takie nie jest?”.*

– Nowy porządek zawsze zastępuje stary – stwierdził papież. – To samo dotyczy Watykanu

*o całego świata. A co się stanie, kiedy pani zabraknie? Czy to oznacza także koniec tego, nad czym pracowaliśmy przez ostatnich sześć lat?*

*Dobre pytanie.*

*– Nie sądzę, żeby dało się to teraz zatrzymać – odparła Stephanie. – To już za daleko zaszło. Zbyt wiele trybów zdążyliśmy uruchomić w tej maszynie. Nasi ludzie są przekonani, że Związek Radziecki upadnie za dwa, najwyżej trzy lata.*

*– To było w październiku 1988 roku. Wtedy po raz ostatni rozmawiałam z Janem Pawłem II. Ale miałam rację. Bush wygrał, Departament Stanu przejęła nowa ekipa. Oczywiście nie było tam dla mnie miejsca i to, co zaczęłam, dokończyli za mnie inni. To właśnie wtedy przenieśliam się do Departamentu Sprawiedliwości. Kilka lat później zostałam szefową Magellan Billet.*

*– To znaczy, że miałaś w tym swój udział? W upadku muru berlińskiego? Ale czad!*

*– Tyle tylko, że to Bushowi przypisuje się ten sukces – odparła Stephanie. – Chociaż dni Związku Radzieckiego były już policzone na długo przed tym, zanim objął urząd.*

*– Ale jakoś mu to nie pomogło zostać na drugą kadencję – zauważył Luke, chcąc chociaż trochę poprawić jej humor. Mimo wszystko coś tam wiedział o historii.*

*Na twarzy Stephanie pojawił się uśmiech.*

*– Rzeczywiście, nie pomogło.*

*– Jak ci się udało tego dokonać?*

*– To dość skomplikowane. Pod koniec lat osiemdziesiątych na Moskwę wywierano naciski niemal ze wszystkich możliwych stron. Do tego dochodziły konflikty wewnętrzne. To ciśnienie narastało od dłuższego czasu i stawało się coraz silniejsze. To właśnie Reagan wymyślił, w jaki sposób można to wykorzystać. Powiedział mi kiedyś, że musimy jedynie dolać ostatnią kroplę, która przepełni tę czarę. I dokładnie tak zrobiliśmy. Operacja nazywała się Forward Pass.*

*Wszystko zaczęło się od admirała Johna Poindextera, jednego z najważniejszych członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego za czasów prezydentury Reagana. Co prawda już wcześniej inni zgłaszali ten postulat, ale dopiero Poindexter przekształcił ideę obrony strategicznej w praktyczną koncepcję. Po co Ameryka miała się ścigać z Sowietami w produkcji broni atomowej, tak jak to czyniła od dziesiątków lat? Jak do tej pory jedynym efektem takiego podejścia było wykształcenie się doktryny wzajemnego gwarantowanego zniszczenia.*

*Zdaniem Poindextera Ameryka powinna raczej wykorzystać swoją przewagę w zakresie silnej gospodarki oraz innowacyjnych technologii. Dlatego właśnie należało dokonać zmiany strategii i zamiast na ofensywie, skupić się na defensywie. Stany Zjednoczone posiadały dziesiątki tysięcy głowic nuklearnych gotowych do przeprowadzenia ataku na wschodzie. Może więc należało zastanowić się teraz, w jaki sposób powstrzymać rosyjskie rakiety lecące w przeciwnym kierunku? Pomysł Poindextera został przedstawiony w Białym Domu pod koniec 1982 roku i od razu spotkał się z gorącą aprobatą. Reagan wielokrotnie podkreślał, że uważa doktrynę wzajemnego gwarantowanego zniszczenia za niemoralną, dlatego tak bardzo spodobała mu się idea obrony strategicznej. Jednakże nie od razu ujawniono nowe plany. Dopiero w marcu 1983 roku w wyemitowanym na żywo orędziu prezydent ogłosił przed całym światem zainicjowanie nowego projektu.*

*Z początku planowano rzeczywiście rozpocząć prace nad Inicjatywą Obrony Strategicznej, ale technologiczne trudności okazały się nie do pokonania. Równocześnie rozpoczęto rozbudowę konwencjonalnego systemu obrony, co wiązało się z masową produkcją broni oraz sprzętu*

wojskowego. Budowano nowe samoloty, okręty i łodzie podwodne. Do Departamentu Obrony płynęły miliardy dolarów. Nigdy wcześniej w czasach pokoju nie dozbrajano się na taką skalę.

Sowieci nie mieli wyboru. Musieli zacząć gonić Amerykę. I zaczęli.

Władze w Moskwie były autentycznie zszokowane programem strategicznej obrony przeciwrakietowej. Nazwały IOS próbą rozbrojenia Związku Radzieckiego, twierdząc, że Stany Zjednoczone dążą do politycznej hegemonii. Jednak prawdziwym zagrożeniem dla ZSRR był sam rozwój technologiczny, mogący zaowocować powstaniem nowej, dużo skuteczniejszej broni ofensywnej – takiej, której nie byłoby w stanie się przeciwstawić bez własnego programu obrony strategicznej.

Zainwestowali więc miliardy rubli w rozwój systemu, na który najwyczejniej w świecie nie było ich stać.

Jak się okazało, to właśnie była ta kropla, która przepełniła czarę.

– Chcesz mi powiedzieć, że wzięliśmy komunistów podstępem?

– Nie nazwałabym tego podstępem. Po prostu wykorzystaliśmy ich słaby punkt, robiąc maksymalny użytek z naszych przewag.

– Czyli jednak podstęp – zaśmiał się Luke.

– To trochę bardziej skomplikowane. Watykan duchowo wspierał mieszkańców państw Bloku Wschodniego i dodawał im otuchy, podczas gdy my wywieraliśmy presję gospodarczą i polityczną. Wywołało to prawdziwy chaos w Moskwie, który pogłębił się jeszcze bardziej, gdy Ameryka ogłosiła zainicjowanie programu IOS. Kiedy tylko Sowieci zrozumieli, że ten projekt stanowi dla nich realne zagrożenie, mieli do wyboru tylko dwie możliwości: albo stanąć do wyścigu, albo spróbować nas przechytrzyć. Oczywiście postanowili skorzystać z obu tych opcji naraz. KGB zajęło się infiltracją programu IOS. Ich szpiedzy próbowali poznać jak najwięcej szczegółów, ale agenci CIA zawsze byli o krok przed nimi. Przekazywali im fałszywe informacje, wykorzystując ich nadgorliwość. Reagan naprawdę perfekcyjnie to rozegrał. Moskwa nie miała absolutnie żadnych szans na wygraną.

Jechali autostradą w kierunku Annapolis. Luke utrzymywał stałą prędkość, co jakiś czas zerkając w lusterko wsteczne.

– Powinnaś być z siebie dumna – powiedział do Stephanie. – W końcu odegrałaś w tym wszystkim ważną rolę.

– Z podręczników do historii ludzie nie dowiedzą się, co naprawdę się wtedy wydarzyło. Kiedy po raz pierwszy spotkałam Ronalda Reagana w 1982 roku, powiedział mi, że jego zdaniem naszą bronią powinny się stać pieniądze i moralność i dlatego należy uczynić z Watykanu naszego sojusznika. Fakt, że zarówno on, jak i Jan Paweł II przeżyli zamach na swoje życie, uważał za swoisty znak od Boga. Miał na tym punkcie prawdziwą obsesję. Na początku wydawało mi się, że jego plan jest dość naciągany i że nic z tego nie będzie, ale on wykazywał ogromną determinację. W czerwcu 1982 roku pojechałam z nim do Rzymu i uczestniczyłam w jego pierwszym spotkaniu z Janem Pawłem II. Przedstawił papieżowi swoją wizję i bez ogródek poprosił go o wsparcie. Trzeba było mieć jaja, żeby coś takiego zrobić.

Luke był tego samego zdania.

– A papież zrobił to, co papież potrafią robić najlepiej. Odwołał się do wiary i opatrności Bożej, kierując do Polaków słynne słowa: „Nie lękajcie się”. No i się nie ulękli. Dzięki temu Solidarność przetrwała. Moskwa sądziła, że wprowadzenie stanu wojennego ostudzi zapał Polaków i odbierze im ducha walki. Nic bardziej mylnego. Zamiast tego zew wolności poczuły także inne państwa Bloku Wschodniego, a wszystkie marionetkowe rządy zaczęły stopniowo słabnąć. Kiedy wreszcie doszło do upadku ZSRR, cały system runął z wielkim hukiem. Idąc ramię w ramię, Reagan i papież byli

niepokonani. Ale to Reagan obmyślił całe przedsięwzięcie i doprowadził je do skutku.

– Tak jak mówiłem. Cholernie dobry podstęp.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. Najważniejsze, że plan zadziałał, kładąc kres zarówno zimnej wojnie, jak i istnieniu ZSRR. A wszystko dzięki aktorowi, którego wielu nie traktowało poważnie, uważając go za niekompetentnego i nieskutecznego polityka. W naszych czasach nikogo już nie obchodzi komunizm. Dziś głównym problemem są bojowo nastawieni radykałowie i fanatycy religijni.

– Na szczęście żaden z nich nie stoi na czele państwa, a jedyną ideologią, jaką wyznają, jest ich własny obłąd. To już nie jest zimna wojna, tylko raczej szalona wojna.

– Dzisiaj wystarczy jeden drobny błąd, jedno z pozoru nieistotne przeoczenie albo po prostu zwykły pech i sytuacja natychmiast robi się ekstremalna. Kiedyś nasi wrogowie tylko się odgrążali, a teraz od razu przechodzą do czynów.

Luke przypomniał sobie o zaginionych bombach.

– Wygląda jednak na to, że przeszłość zostawiła nam prezent pożegnalny – zauważył. – Ostatni cios na odchodnym.

Stephanie skinęła głową.

– Który musimy odeprzeć.



# ROZDZIAŁ 31

POŁUDNIOWA FRANCJA

GODZ. 20:40

Cassiopeia wreszcie wydostała się z rosyjskiego myśliwca. Przed chwilą razem z Cottonem zakończyła długi lot z Syberii i wylądowała w bazie lotniczej położonej niedaleko jej dworku.

Piloci przez całą drogę nie odezwali się do nich ani słowem, zapewne zabroniono im rozmawiać ze swoimi pasażerami. Wybryk Cottona, który udaremnił ich atak na Zorina, wyraźnie zaskoczył wszystkich. Cassiopeia spodziewała się nawet, że myśliwce zostaną natychmiast zawrócone do Irkucka, tak się jednak nie stało. Z ulgą i radością znów stanęła na francuskiej ziemi.

Cotton wysiadł ze swojej powietrznej taksówki i od razu podszedł do niej.

– Muszę zadzwonić do Stephanie.

– Zakładam, że dzieje się tutaj dużo więcej niż to, o czym na razie usłyszałam.

– Można tak powiedzieć.

Weszli do jednego z budynków i poprosili o prywatny gabinet. Personel czekał na ich przybycie – w końcu nie każdego dnia dwa rosyjskie myśliwce lądują w bazie lotniczej NATO. Oficer dowodzący skierował ich do małej sali konferencyjnej. Gdy byli już sami, Cassiopeia wyciągnęła swój telefon komórkowy, ten sam, z którego nie wolno im było skorzystać na Syberii, wybrała numer Stephanie i przełączyła się na tryb głośnomówiący.

– W Waszyngtonie jest teraz popołudnie – rzucił Cotton.

Usłyszeli sygnał uzyskanego połączenia.

– Dokąd leci Zorin? – spytała Cassiopeia.

– Do Kanady, na Wyspę Księcia Edwarda. Według moich obliczeń będzie na miejscu około jedenastej wieczorem czasu lokalnego.

Sygnał powtórzył się dwukrotnie.

– Też będziemy musieli się tam wybrać?

Zanim Malone zdążył odpowiedzieć, ktoś odebrał telefon, ale nie była to Stephanie. Malone od razu rozpoznał głos prezydenta Danny'ego Danielsa.

– Martwiliśmy się – powiedział prezydent.

– Ja również – odparł Cotton. – Ostatnie godziny były bardzo interesujące. Jak to się stało, że połączyłem się z panem? Czy jest tam Stephanie?

– W tej chwili nie może rozmawiać. Zajmuje się kochanką Zorina, która sprawia nam niespodziewanie dużo kłopotów. Pewnie cię zainteresuje, że mój bratanek dostał od niej niezły wycisk.

Cotton się uśmiechnął.

– Na pewno nie jest aż tak źle.

– Wiesz, zostało mi mniej niż półtorej doby na stanowisku i możesz mi wierzyć, prezydent nie ma zbyt wiele do roboty w ostatnich dniach urzędowania poza pakowaniem swoich rzeczy. Czuję się bezużyteczny jak skrzydła u świni. Więc lepiej powiedz mi coś, co poprawi mi humor.

– Zorin leci do Kanady. Szuka ukrytej broni jądrowej.

– To samo zameldowała Stephanie.

Daniels powiedział im wszystko, co wie, a następnie Cotton zdał relację z tego, co się wydarzyło nad Bajkałem i w dacy Zorina, kończąc na śmierci Wadima Bielczenki.

– Ten archiwista sądził, że to byli żołnierze rosyjskiej armii i zostali przysłani, żeby go zabić. Wie pan może, co miał na myśli, mówiąc o „szkolnym macie” i „zerowej poprawce”?

– Nie mam bladego pojęcia, ale przynajmniej dałeś mi jakieś zajęcie, za co jestem głęboko wdzięczny. Stephanie właśnie kieruje swoją własną małą operacją i kazała wszystkie telefony przełączać do Białego Domu. Czekam na wieści od niej. A ty czego teraz potrzebujesz?

– Szybkiego transportu do Kanady – powiedział Cotton i wytłumaczył prezydentowi, gdzie są w tej chwili.

– Zaraz coś zorganizujemy. Nie ruszaj się z miejsca.

– Dobrze byłoby też namierzyć samolot Zorina.

– Już o tym pomyślałem. Dostaniesz informacje o jego trasie.

– Musimy wiedzieć, czy zagrożenie jest realne, czy to tylko pobożne życzenia Zorina – dodał Cotton. – Nie wiadomo nawet, czy pracuje sam. Na pewno w daczce miał pomocników. No i zostają jeszcze Rosjanie. Bez wątplenia chcieli śmierci tego archiwisty.

– Kiedy leciałam z nimi helikopterem nad jeziorem – odezwała się Cassiopeia – załoga stwierdziła, że pojazdy goniące Cottona należą do wojska. Wydawali się dość skonsternowani tym faktem.

– Czy to panna Vitt? Dzień dobry – przywitał się Daniels. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Rzeczywiście. Miło pana słyszeć, panie prezydencie.

Ostatni raz spotkała się z nim na piętrze w Białym Domu, po kolejnej ciężkiej przeprawie, podczas której zarówno ona, jak i prezydent dowiedzieli się o sobie paru zaskakujących rzeczy.

– Cała ta sprawa jest jakaś śmierdząca – stwierdził Daniels. – Moskwa jasno zwróciła się do nas o pomoc. Wyszedłem im naprzeciw i wysłałem ciebie, Cotton. Następnie ostrzegli nas przed Anją Pietrową, która przyjechała tu na polecenie Zorina, więc kazałem Luke’owi ją śledzić. Do tego pozwolili Cassiopei wjechać na teren Rosji, żeby sprawdziła, co z tobą.

– A potem nagle coś się zmieniło – zauważył Cotton. – Praktycznie wywalili nas stamtąd na zbity pysk.

– Ładnie powiedziane – odparł z rozbawieniem prezydent. – Ale zgadzam się. Sytuacja bardzo szybko się zmieniała. Muszę przeprowadzić małe śledztwo. Może i wysyłają mnie na zieloną trawkę, ale ten byk nadal potrafi wierzgać.

Cassiopeia nie miała co do tego wątpliwości.

– Potrzebujemy także wszelkich informacji, jakie posiada CIA na temat człowieka o nazwisku Jamie Kelly – dodał Cotton. – Podobno to Amerykanin, obecnie mieszka na Wyspie Księcia Edwarda i pracuje tam na wyższej uczelni. Bielczenko powiedział mi, że ten facet był kiedyś sowieckim agentem. Właśnie jego szuka Zorin.

Cotton miał już wszystko wyliczone. Pod względem szybkości żaden prywatny odrzutowiec nie mógł się równać z wojskowym myśliwcem, a zatem powinni być w stanie dotrzeć na drugą stronę Atlantyku co najmniej godzinę przed Zorinem.

– Wasz transport już się szykuje do drogi – powiedział Daniels. – Informujcie nas na bieżąco.

Rozmowa się zakończyła.

Cassiopeia spojrzała na Cottona. Po raz pierwszy znaleźli się sam na sam i mogli ze sobą szczerze porozmawiać.

– Popełniłam błąd – zaczęła. – Okropnie się zachowałam w Utah.

– Wszyscy ciężko to przeżyliśmy. Naprawdę mi przykro, że tak się to musiało skończyć.

Wierzyła, że mówi z głębi serca. Stojący przed nią mężczyzna nie był zimnym, nieczułym zabójcą. Pociągał za spust tylko wtedy, gdy nie miał innego wyboru. Tak jak w Utah.

– Zrozumiałam, że nie chcę spędzić reszty życia bez ciebie. – Postanowiła być z nim szczerą i ten jeden raz nie owijać w bawełnę. Miała nadzieję, że odwzajemni się tym samym.

– Więc jest nas dwoje – stwierdził. – Potrzebuję cię.

Cassiopeia zdawała sobie sprawę, ile kosztowało go takie wyznanie. Żadne z nich nie należało do osób, które łatwo przywiązują się do innych.

– Możemy zapomnieć o tym, co się stało, i spróbować zacząć od nowa? – zaproponowała.

– Brzmi dobrze.

Uśmiechnęła się do niego. Ona też tak czuła.

Rozpięła suwak i zaczęła zdejmować rosyjski skafander, który ciągle miała na sobie.

– Rozumiem, że musimy się wcisnąć do kolejnego myśliwca i przeprowić przez Atlantyk?

– To najszybsza opcja.

– A co zrobimy, gdy już będziemy na miejscu?

– Znajdziemy Jamiego Kelly'ego, zanim uprzedzi nas Zorin.

# ROZDZIAŁ 32

ANNAPOLIS, MARYLAND

GODZ. 15:20

Stephanie podziwiała wewnątrz domu należącego do Petera Hedlunda, aktualnego historyka Towarzystwa Cyncynatów. Jak sam wyjaśnił, ta kolonialna rezydencja z cegły została wzniesiona w połowie XVIII wieku. Od tego czasu miała kilku właścicieli, którzy bardzo o nią dbali. Jednak obecny kształt budynek zyskał w połowie XX wieku, kiedy to dokonano częściowej przebudowy. Stephanie była zachwycona zarówno pomysłowym połączeniem marmuru, drewna orzechowego i gipsu, jak i bardzo starannym doбором odważnych kolorów. Wszystko to przypominało jej dom, w którym kiedyś mieszkała z mężem, i to całkiem niedaleko stąd.

Stephanie dobrze знаła Annapolis. Choć obecnie było jedynie stolicą stanu Maryland, tuż po zakończeniu wojny o niepodległość przez chwilę pełniło funkcję stolicy całego kraju. To niewielkich rozmiarów miasto, liczące zaledwie czterdzieści tysięcy mieszkańców, niezbyt się rozrosło od czasów, gdy sama mieszkała tu w latach osiemdziesiątych.

Fritz Strobl uprzedził Hedlunda o ich wizycie. Stephanie i Luke siedzieli teraz w przepięknym gabinecie, gdzie w kominku z czerwonej cegły wesoło trzaskał ogień. Stephanie wyjaśniła gospodarzowi cel wizyty. Hedlund wysłuchał jej spokojnie, po czym bez chwili wahania przystał na jej propozycję.

– Moja żona wyszła na kilka godzin.

– To nam ułatwi sprawę. Poza tym im mniej osób, tym lepiej.

– Czy ta kobieta jest niebezpieczna?

– Zdecydowanie tak – odparła Stephanie. – Nie sądzę jednak, żeby jechała tu z zamiarem zrobienia panu krzywdy. Zależy jej na czymś innym, czymś konkretnym, a my musimy się dowiedzieć, co to takiego. Nie wiadomo panu przypadkiem, czego tak usilnie szuka?

Zadając to pytanie, bacznie obserwowała jego reakcję. Od Strobla niewiele się dowiedziała na temat Hedlunda. Być może nie chciał jej za dużo powiedzieć, a może po prostu sam za dużo o nim nie wiedział. Stephanie stawiała raczej na to drugie. Miała nadzieję, że Hedlund zna odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

– Rzeczywiście noszę ceremonialny tytuł strażnika tajemnic – odparł Hedlund z uśmiechem – ale zapewniam panią, że to jedynie relikw, pamiątka z czasów, gdy rzeczywiście było czego strzec. Dziś nasze towarzystwo jest przede wszystkim organizacją filantropijną, której działalność, z tego, co mi wiadomo, jest w pełni jawna.

Zanim przeszli do gabinetu, Hedlund pokazał im swoją prywatną bibliotekę, w której znajdowały się zbiory dotyczące wczesnej amerykańskiej historii, zwłaszcza pierwszych pięćdziesięciu lat istnienia republiki. Przez całe dorosłe życie kolekcjonował książki dotyczące czasów kolonialnych i był zachwycony, gdy został historykiem towarzystwa.

– Znał pan Bradleya Charona? – zapytała Stephanie.

Hedlund skinął głową.

– Byliśmy przyjaciółmi. Po jego śmierci, zupełnie nagłej i nieoczekiwanej, nie mogłem się pozbierać. Ta katastrofa lotnicza była jak grom z jasnego nieba.

– Wiedział pan o jego sekretnej bibliotece? – wtrącił Luke, który przez ostatnią godzinę siedział wyjątkowo cicho.

– Wiedziałem tylko o księgozbiornicy, podobnym zresztą do mojego, który trzymał w swoim gabinecie. Po tym tragicznym wypadku wszystkie te książki trafiły do rąk towarzystwa. Na szczęście Bradley wykazał się zapobiegliwością, formalnie zapisując nam je w spadku. Przy tej całej walce o jego majątek pewnie nigdy w życiu nie doczekalibyśmy się tych książek. Teraz są bezpieczne w Anderson House.

Stephanie opowiedziała mu o odkryciu, jakiego dokonali w Wirginii.

– Chciałbym zobaczyć tę ukrytą bibliotekę – stwierdził Hedlund.

To jednak musiało poczekać. Stephanie spojrzała na zegarek. Dałaby wszystko, żeby się wreszcie dowiedzieć, co w tej chwili dzieje się w Rosji. Wszystkie przychodzące połączenia przekierowała do Białego Domu, żeby Edwin Davis mógł się tym zająć, podczas gdy ona nadzorowała akcję w Annapolis. W kilku słowach opowiedziała mu o tym, jak potraktował ją Litchfield. Edwin wyraził współczucie, ale niestety nie mógł nic na to poradzić. Oboje zgodzili się, że w tym momencie mogą tylko dalej robić swoje, a najlepszą strategią będzie działanie na obu frontach. Szykowało się coś naprawdę poważnego, coś, czego Rosjanie chyba sami też do końca nie rozumieli. Świadczyła o tym nagła zmiana nastawienia Osina, który jeszcze podczas wizyty w posiadłości Charona zachowywał się w sposób bardzo powściągliwy, lecz gdy tylko na scenie pojawiła się Anja Pietrowa, chętnie zgodził się na współpracę.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

Stephanie dała znak Luke'owi i Hedlundowi, żeby ukryli się na piętrze. Kiedy opuścili gabinet, wstała, wygładziła bluzkę i spodnie i wzięła głęboki oddech, by opanować nerwy.

Dzwonek zabrzączał po raz drugi.

Stephanie wyszła z gabinetu na korytarz wyłożony marmurową posadzką. Ciemnoniebieskie ściany zdobiły dwa olejne obrazy przedstawiające Annapolis. Podeszła do drzwi, otworzyła zamek i uśmiechnęła się do kobiety, która stała na progu.

– Pani Hedlund? – spytała Anja Pietrowa.

– Tak, to ja – odparła Stephanie.

Luke przysłuchiwał się odgłosom dobiegającym z parteru, ukryty w jednej z sypialni na piętrze, której drzwi wychodziły na galerię nad holem wejściowym.

Anja Pietrowa jeszcze nigdy nie widziała Stephanie. Co więcej, w ogóle nie wiedziała o jej istnieniu, dzięki czemu mogli uciec się do takiego fortelu. Doszli do wniosku, że to najszybszy sposób, żeby się wreszcie dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Oczywiście było to ryzykowne, ponieważ nie dało się przewidzieć, jak zachowa się Pietrowa, ale właśnie po to Stephanie miała ze sobą Luke'a.

Kazała mu mieć oczy, a właściwie uszy szeroko otwarte.

Stephanie zaprosiła Pietrową do środka i szybko zamknęła za nią drzwi. Na dworze panował chłód.

– Co się pani stało? – spytała, wskazując na siniak na twarzy gościa.

– Spadłam ze schodów, straszna ze mnie niezdara. Żle to wygląda, ale wcale tak bardzo nie boli.

– Jest pani Rosjanką? Wydaje mi się, że słyszę akcent.

Pietrowa skinęła głową.

– Urodziłam się w Rosji, ale mieszkam w Ameryce. Zastałam pani męża?

– Niestety nie ma go w domu.

– A kiedy wróci?

– Nie mam pojęcia.

To kłamstwo miało zmusić Anję do jak najszybszego odkrycia kart. Poza tym Stephanie nie chciała niepotrzebnie narażać Hedlunda, choć pewnie byłoby lepiej, gdyby to on przeprowadził z Pietrową tę rozmowę.

– Przyjechałam z daleka, żeby z nim porozmawiać. Muszę mu zadać kilka pytań. Chodzi o Towarzystwo Cyncynatów. On jest jego historykiem, prawda?

– I to już dość długo.

– A ma tu w domu bibliotekę?

– O tak – odparła Stephanie, spoglądając w głąb korytarza. – Piękną, jest tam mnóstwo książek.

– Mogłabym ją zobaczyć?

Stephanie udawała wahanie, żeby nie wzbudzić podejrzeń Pietrowej.

– A można wiedzieć, po co?

Na twarzy Rosjanki pojawił się wyraz poirytowania. Stephanie zaczęła się zastanawiać, kiedy w końcu straci cierpliwość. Co prawda w Anderson House odebrali jej broń, ale miała przecież samochód, w którym mogła trzymać zapasowy pistolet.

W tym momencie Pietrowa sięgnęła pod kurtkę i wyciągnęła niewielki rewolwer.

– Chcę zobaczyć bibliotekę. Natychmiast.

Gdyby na górze nie siedział Luke, gotów w każdej chwili wkroczyć do akcji, Stephanie pewnie poczułaby się nieswojo. Anja Pietrowa roztaczała aurę osoby, której należało się obawiać. Nic dziwnego, w końcu wywodziła się z miejsca, gdzie strach zawsze był w cenie. W tonie Rosjanki nie było śladu fałszywej brawury. W jej prostych i rzeczowych słowach krył się jasny komunikat.

*Zrobię ci krzywdę.*

– Ja... – bąknęła Stephanie, udając strach. – Jeszcze nigdy nie celowano do mnie z pistoletu.

Pietrowa nie odezwała się ani słowem. Jej milczenie mówiło samo za siebie.

To był ten moment, kiedy należało ustąpić.

– Dobrze... W takim razie chodźmy. Proszę za mną.

Luke patrzył przez szparę w drzwiach, jak Stephanie i Pietrowa opuszczają hol i kierują się w głąb domu. Wiedział, że musi zejść na parter, żeby zająć lepszą pozycję do podsłuchiwania ich rozmowy, ale najpierw postanowił zajrzeć do Hedlunda. Ich gospodarz schował się w innej sypialni, na końcu wyłożonego dywanem korytarza. Luke niemal bezszelestnie przemknął w stronę uchylonych drzwi, uważając, żeby w żaden sposób nie zdradzić swojej obecności.

Zatrzymał się w przejściu. Z pokoju dobiegał niski, gardłowy głos.

Ostrożnie zajrzał do środka. Hedlund siedział w fotelu, wyglądał przez okno i rozmawiał przez komórkę. W obecnej sytuacji takie zachowanie było dość dziwne. Jeszcze kilka minut temu, kiedy siedzieli w gabinecie, wydawał się tym wszystkim szczerze zaskoczony i skory do wszelkiej pomocy.

– Na pewno chodzi właśnie o to – powiedział Hedlund. – Myśleliśmy, że wszyscy o tym dawno zapomnieli, ale najwyraźniej nie mieliśmy racji. Znowu się zaczyna.

Przez kilka sekund historyk w milczeniu słuchał swojego rozmówcy, po czym znów się odezwał.

– Tutaj niczego nie znajdzie. Dopilnowałem tego wiele lat temu.

I znów cisza.

– Będę cię na bieżąco informować – powiedział Hedlund i się rozłączył.

„Tutaj niczego nie znajdzie”?

Robiło się coraz ciekawiej.

A to oznaczało, że Stephanie może mieć poważny problem.

## ROZDZIAŁ 33

Chociaż lot przez ocean przebiegał gładko i spokojnie, a piloci zgodnie z obietnicą nie opuszczali swojej części samolotu, Zorin nie był w stanie zasnąć na dłużej niż dwie godziny. Wcześniej skorzystał z przeznaczonego dla niego komputera, żeby znaleźć dobre miejsce do lądowania – park narodowy na północnym wybrzeżu, który powinien zapewnić dużą dyskrecję. Pogoda także nie stanowiła problemu. Na północy Kanady była teraz łagodna zima, spadło niewiele śniegu, utrzymywała się niska wilgotność powietrza. Skok tak czy inaczej będzie trudny, ale wiedział, że da sobie radę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wyląduje około czterdziestu kilometrów na północny zachód od Charlottetown, stolicy wyspy, gdzie mieści się uniwersytet. Ze strony internetowej uczelni dowiedział się, że Jamie Kelly nadal pracuje tam na pół etatu. Kiedy pogrzebał w sieci nieco dłużej, udało mu się też znaleźć jego adres zamieszkania.

*Szkolny mat.*

Próbował poskładać w całość tę układankę od ponad dziesięciu lat, krok po kroku wydobywając kolejne fragmenty z archiwów przeszłości. Ale najbardziej owocna była rozmowa z Bielczenką, nawet jeśli stary archiwista zawsze uważał, że cała ta sprawa to nic więcej jak tylko pobożne życzenia.

Zorin wiedział, że to nieprawda.

*Wysoki mężczyzna z wyraźnie poszarzałą twarzą, który wkroczył do mieszkania, wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat. Jego gęste, siwe włosy były zaczesane do tyłu, a za okularami bez oprawek kryły się ciemne oczy, przenikliwe i zmęczone zarazem. Towarzyszyło mu czterech asystentów. Szybko przeszukali pozostałe pomieszczenia, po czym wyszli na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Mieszkanie należało do KGB i pozostawało pod stałą obserwacją. Dziś wieczór gościło Jurija Władimirowicza Andropowa.*

*Nie było żadnych oficjalnych powitań. Andropow od razu zasiadł u szczytu drewnianego stołu, na którym czekała zimna kolacja oraz szklanki pełne wódki. Zorin również zajął miejsce za stołem, razem z trzema innymi oficerami KGB. Dwóch znał, trzeciego widział po raz pierwszy. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko Andropowa, który tak samo jak on miał bardzo skromne początki – był synem kolejarza, a w młodości pracował jako robotnik i telegrafista oraz służył w marynarce i walczył w Finlandii podczas wielkiej wojny ojczyźnianej. Po wojnie zaczął konsekwentnie piąć się w górę w partyjnej hierarchii, aż w końcu stanął na czele KGB. W listopadzie zeszłego roku, dwa dni po śmierci Breżniewa, Andropow został wybrany na czwartego sekretarza generalnego od czasów Stalina.*

*– Zamierzam zrobić coś niezwykłego – odezwał się szeptem do zebranych Andropow. – Jutro ogłoszę wstrzymanie wszelkich prac nad kosmicznym systemem obrony przeciwrakietowej.*

*Zorin nie wierzył własnym uszom. Odkąd Reagan ogłosił w marcu, że Ameryka chce stworzyć system obrony strategicznej, cały sowiecki potencjał badawczy został podporządkowany temu samemu celowi. Do pomocy zaangażowano także wszystkie agencje wywiadowcze, którym nakazano dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o programie IOS.*

*– Pan Reagan uważa nas za imperium zła – ciągnął sekretarz generalny. – Pokażę mu, że się myli. Powiemy całemu światu, że rezygnujemy z dalszych prac.*

*Nikt się nie odezwał.*

– Otrzymałem list od dziesięcioletniej dziewczynki z Ameryki – podjął Andropow. – Pytała w nim, dlaczego chcemy podbić świat. Dlaczego dążymy do wojny. Odpowiedziałem jej, że nie zależy nam ani na jednym, ani na drugim. Jutro planuję powiedzieć to samo całemu światu. Po wszystkim zamierzam iść do szpitala.

Zorin słyszał pogłoski. Sekretarz generalny cierpiał ponoć na ostrą niewydolność nerek i utrzymywał się przy życiu tylko dzięki regularnym dializom. Rzecz jasna nie zostało to podane do wiadomości publicznej. Fakt, że Andropow sam o tym wspomniał, wydawał się co najmniej zaskakujący.

– Mówię wam o tym nie bez powodu – kontynuował Andropow. – Wy czterej zostaliście przeze mnie wybrani, ponieważ mam dla was specjalne zadanie. Przyjechałem tu dziś, żeby osobiście przekazać wam instrukcje. To misja, którą sam zaplanowałem. Każda operacja będzie miała osobny kryptonim zaczerpnięty z szachów, które uwielbiam. Któryś z was grywa w szachy?

Wszyscy siedzący za stołem pokręcili głowami.

Andropow kolejno wskazał palcem każdego z nich.

– Związanie bezwarunkowe. Cofnięty pion. Ciche posunięcie. Szkolny mat.

Tamto spotkanie miało miejsce w sierpniu 1983 roku. Wtedy Zorin po raz pierwszy usłyszał te słowa. Nie znał jeszcze ich znaczenia, ale szybko nadrobił zaległości.

Związanie bezwarunkowe. Jedna z figur jest zablokowana tak skutecznie, że nie można nią wykonać prawidłowego ruchu, nie narażając króla na szach.

Cofnięty pion. Pionek, który został z tyłu za innymi pionkami tego samego koloru i z braku wsparcia nie może się przesunąć do przodu.

Ciche posunięcie. Ruch, który nie skutkuje zbiciem albo bezpośrednim zagrożeniem figury przeciwnika.

Szolny mat. Najkrótsza możliwa rozgrywka. Zwycięstwo w dwóch ruchach.

– Każde zadanie jest równie istotne i niezbędne dla powodzenia pozostałych – powiedział Andropow. – Wszystkie razem zmienią świat.

– Mówimy o czterech zupełnie niezależnych operacjach? – zapytał jeden z agentów.

– Dokładnie tak. Cztery całkiem odrębne misje, których rezultaty będą znał tylko ja. Żaden z was nie będzie się komunikował z pozostałymi, chyba że na mój wyraźny rozkaz. Czy to jasne?

Wszyscy pokiwali głowami, wiedząc, że Andropowowi nie można się sprzeciwić. Siedział przed nimi człowiek, który przekonał Chruszczowa do brutalnego zduszenia powstania na Węgrzech. Jako szef KGB szerzył w kraju strach i terror, robiąc wszystko, aby odbudować utraconą pozycję Partii. W większym stopniu przypominał Stalina niż którykolwiek z tak zwanych reformatorów rządzących ostatnio w ZSRR. Zakaz kontaktowania się między sobą nie był niczym niezwykłym. Zorin wiedział, że słabi ludzie wkradali się w łaski swoich zwierzchników, donosząc na innych. Żony szpiegowały mężów, dzieci rodziców, sąsiedzi donosili na siebie nawzajem. Najlepiej nigdy nie zadawać żadnych pytań i mieć bardzo kiepską pamięć. Każde słowo, każde działanie należy wybierać z wielką rozwagą. A jeszcze lepiej, tak jak polecił Andropow, w ogóle nic nikomu nie mówić.

– Pod talerzami znajdziecie koperty – kontynuował Andropow. – W środku są szczegółowe instrukcje dotyczące waszych operacji. Jest także sprecyzowany sposób, w jaki zameldujecie o powodzeniu misji. Macie trzymać się tych wytycznych.

Nie padło ani jedno słowo o ewentualnym niepowodzeniu. Taka opcja nie wchodziła w grę.



*Jeden z oficerów sięgnął po swój talerz.*

*– Jeszcze nie. Złamiecie pieczęć dopiero, kiedy stąd wyjdziecie. Dzięki temu nie będzie was kusiło, żeby omawiać między sobą wasze zadania.*

*Nikt więcej się nie poruszył.*

*Zorin rozumiał konieczność wytworzenia wokół przywódcy aury pewności siebie i nie przeszkadzało mu, że Andropow tak dalece ich sobie podporządkowuje. On także miał talent do zastraszania innych i sam wielokrotnie wykorzystywał te same zagrania w kontaktach ze swoimi podkomendnymi.*

*– Musicie wiedzieć, towarzysze, że to, co wspólnie osiągniemy, uderzy w Amerykę u jej podstaw. Oni uważają się za tak doskonałych, tak nieomylnych. Ale mają słabe punkty. Udało mi się odkryć dwa z nich i teraz, gdy nadejdzie właściwa chwila, wszyscy razem damy Ameryce nauczkę.*

*Zorinowi podobał się ten plan. I cieszył się, że może być jego częścią.*

*– Minimum wysiłku, maksimum efektu. Oto nasz cel i dokładnie tego od was oczekuję. To najważniejsza operacja, jakiej kiedykolwiek się podjęliśmy. A zatem, towarzysze, kiedy przyjdzie czas, musimy być gotowi.*

*Andropow gestem wskazał na stojące na stole potrawy.*

*– A teraz jedzmy. Spędźmy miło czas. Potem zabieramy się do pracy.*

Przez ostatnie dwadzieścia lat Zorin stopniowo odtwarzał szczegóły trzech pozostałych misji. Odtajnienie dokumentów oraz naturalnie fakt, że w międzyczasie Związek Radziecki przestał istnieć, znacznie ułatwiły mu zadanie. Ale i tak udało się znaleźć bardzo niewiele informacji. Nad swoją częścią planu, *Cichym posunięciem*, pracował z oddaniem przez sześć lat, począwszy od spotkania z Andropowem w 1983 roku, aż do 1989 roku, kiedy zadanie de facto straciło rację bytu.

Zaraz po tamtym spotkaniu Andropow rzeczywiście poszedł do szpitala. Dziesięcioletnia amerykańska dziewczynka, o której opowiadał, przyjechała do ZSRR na osobiste zaproszenie Andropowa. Jej wizyta została oczywiście wykorzystana w celach propagandowych, ku wielkiemu zainteresowaniu zachodnich mediów. Sam sekretarz generalny był już jednak zbyt ciężko chory, żeby ją powitać. Kilka lat później ta dziewczyna niestety zginęła w katastrofie lotniczej, co również odbiło się szerokim echem w prasie. Sam Andropow natomiast zmarł pół roku po tajnej odprawie w kryjówce KGB; w sumie sprawował stanowisko sekretarza generalnego zaledwie przez piętnaście miesięcy. Zastąpił go Czernienko, człowiek słaby i niekompetentny, który przetrwał tylko trzynaście miesięcy, a po jego śmierci w 1985 roku władzę w końcu przejął Gorbaczow.

Ogólnie rzecz biorąc, było to bardzo burzliwe kilka lat jak na radzieckie standardy. W kraju panował zamęt, brakowało jasno określonego kierunku. Ale cztery równoległe operacje wywiadowcze posuwały się naprzód. Nikt nigdy nie wydał rozkazu przerwania misji. Zorin, który siedział teraz na pokładzie samolotu, wsłuchując się w jednostajny szum silników odrzutowych, zatopiony w otaczającym go bezruchu, wiedział już dziś, co zdołali osiągnąć pozostali trzej oficerowie.

Andropow zrobił dokładnie to, co zapowiedział: obwieścił całemu światu, że Związek Radziecki zaprzestanie dalszych prac nad kosmicznym systemem obrony przeciwrakietowej. Oczywiście nie dotrzymał słowa. Potajemne badania trwały nadal, pochłaniając kolejne miliardy rubli. Zorin i wszyscy inni funkcjonariusze KGB w dalszym ciągu starali się wydobyć od swoich źródeł każdy możliwy strzęp informacji na temat programu IOS.

*Związanie bezwarunkowe.*

*Cofnięty pion.*

Obaj oficerowie wykonali przydzielone im zadania. Wiedział to na pewno.

Zawsze szczył się tym, że wyzbył się sumienia. Porządny oficer nie może sobie pozwolić na okazywanie słabości. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat przemyślał sobie niektóre sprawy.

Czy doprowadziło do tego poczucie winy? Trudno powiedzieć.

Wrócił myślami do tamtej nocy w stanie Maryland.

Wtedy ostatni raz zabił człowieka.

# ROZDZIAŁ 34

## MARYLAND

Stephanie, w dalszym ciągu odgrywając rolę pani Hedlund, zaprowadziła Anję Pietrową do biblioteki.

– Czego pani szuka? – spytała z niepokojem w głosie.

– Rób, co każe, to zaraz zniknę ci z oczu.

Weszły do biblioteki, gdzie dzięki otwartym żaluzjom i odsłoniętym firanom popołudniowe słońce bez żadnych przeszkód wpadało przez oszklone drzwi tarasowe. Wzdłuż dwóch ścian na całej wysokości biegły półki z drewna orzechowego, które ugiwały się od książek.

– Siadaj tu, żebyś cię miała na widoku – rozkazała Pietrowa, wskazując na sofę.

Stephanie posłusznie wykonała polecenie, a Rosjanka zaczęła uważnie przeglądać grzbiety książek. Niewątpliwie szukała czegoś konkretnego.

Poszukiwania nie trwały jednak długo.

– Nie ma jej tu. Muszę znaleźć jedną książkę. Starą księgę należącą do Towarzystwa Cyncynatów. Twój mąż będzie wiedział jaką. Jest strażnikiem tajemnic, a ja muszę poznać jedną z nich.

Stephanie miała nadzieję, że nie będzie trzeba w to wciągać Hedlunda, ale teraz stało się jasne, że się bez niego nie obejdzie.

Pietrowa wycelowała w nią pistolet.

– Gdzie twój mąż?

– Niedługo powinien wrócić.

Luke szybko wycofał się do pokoju, w którym skrył się na początku. Odczekał kilka sekund, po czym z powrotem wyszedł na korytarz i zbliżył się do głównej sypialni. Uchylił drzwi i skinął na Hedlunda, który nadal siedział w tym samym fotelu pod oknem.

Mężczyzna wstał i podszedł do niego miękkim krokiem.

– Musimy zejść na parter – wyszeptał Luke.

Ruszyli w kierunku schodów. Luke musiał się dowiedzieć, z kim rozmawiał Hedlund, jednak chciał to zrobić w taki sposób, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń. Spojrzał na gospodarza i bezgłośnie zapytał: „Ma pan komórkę?”

Hedlund skinął głową.

„Proszę mi ją dać”.

Mężczyzna posłusznie wręczył mu telefon.

Luke nacisnął odpowiedni przycisk i wyłączył dźwięk. Zeszli na parter. Z gabinetu dobiegały głosy dwóch kobiet. Pietrowa najwyraźniej nie znalazła tego, po co tu przyjechała. Usłyszała, jak Stephanie mówi, że jej mąż powinien zaraz wrócić. Był to uprzednio ustalony sygnał, że czas na plan B.

Hedlund musiał wkroczyć do akcji.

Chwycił mężczyznę za ramię i zaprowadził do drzwi wejściowych.

– Musi się pan dowiedzieć, czego ta kobieta szuka. Stephanie będzie tam razem z panem, ja będę was stąd osłaniał. W porządku? Tak jak mówiliśmy wcześniej, niech pan spróbuje jak najwięcej od niej wyciągnąć, ale tak, żeby jej nie sprowokować. A to – dodał, wskazując na komórkę – chwilowo zatrzymam, żeby nikt wam nie przeszkadzał.

Hedlund nie zgłaszał sprzeciwu.

– Nie powinniśmy zadzwonić na policję? – zapytał.

– To my jesteśmy z policji – odparł Luke, po czym chwycił za klamkę i szepnął: – Właśnie wrócił pan do domu.

Otworzył drzwi wejściowe i głośno nimi trzasnął. Następnie wskoczył do szafy, w której ukrył się pomiędzy płaszczami.

– To ja – usłyszał donośny głos Hedlunda.

Stephanie od razu zorientowała się, co się dzieje. Luke zrozumiał, że muszą skorzystać z pomocy Hedlunda, więc wymyślił, jak go wprowadzić w sposób niewzbudzający żadnych podejrzeń. Dobra robota. Ale w końcu nie spodziewała się po młodym Danielsie niczego innego. Spojrzała na Pietrową, a ta dała jej znak, żeby wezwała męża.

– Jestem w bibliotece – zawołała Stephanie.

Po chwili w progu stanął Hedlund.

– Mamy gościa – oznajmiła Stephanie. – Ta pani szuka czegoś, co należy do towarzystwa. Chodzi o jakąś książkę, ale nie powiedziała, o jaką. Zagroziła, że zrobi mi krzywdę, jeśli nie będę współpracować.

Pietrowa wyciągnęła pistolet, który jeszcze przed chwilą trzymała schowany za plecami. Hedlund patrzył na nią zszokowany.

– Nic ci nie jest? – spytał Stephanie, wczuwając się w rolę.

– Wszystko w porządku. Naprawdę.

– Dość tego – przerwała im Pietrowa podniesionym głosem. – Przyjechałam po dziennik Tallmadge’a.

– Skąd pani o nim wie? – zapytał Hedlund. Stephanie wydało się to dość odważnym posunięciem. I nie było częścią planu.

– Nie twoja sprawa. Gdzie jest dziennik?

– On nie istnieje. To tylko mit. Oczywiście słyszałem o nim, ale nigdy go nie widziałem. Dziwi mnie tylko, skąd pani się o nim dowiedziała. Tę wiedzę posiada tylko kilku członków towarzystwa.

– Dawno temu ktoś się wygadał – odparła Pietrowa. – A my słuchaliśmy. Dlatego wiemy.

– Rosjanie? – drążył Hedlund.

– Sowietci. Mów, co wiesz o tej książce.

Stephanie też chciała to usłyszeć.

– Został napisany przez jednego z naszych członków założycieli, Benjamin Tallmadge’a z Nowego Jorku – zaczął Hedlund. – Był asem wywiadu z czasów wojny o niepodległość, jednym z pierwszych amerykańskich szpiegów. Pułkownik Tallmadge walczył się przyczynił do naszego zwycięstwa nad Brytyjczykami. Po wojnie działał w towarzystwie aż do śmierci, która nastąpiła, o ile mnie pamięć nie myli, w 1835 roku. Prowadzony przez niego dziennik rzekomo stanowił część najwcześniejszych archiwów towarzystwa. Jednak z tego, co mi wiadomo, przepadł ponad sto lat temu.

– Kłamiesz! – wrzasnęła Pietrowa. – Przestań łąć. Mieliście go jeszcze trzydzieści lat temu. Nasi ludzie widzieli go na własne oczy. Znam prawdę, tak samo jak ty. Charon też ją znał. Więc pytam raz jeszcze: gdzie jest dziennik?

– Mówię przecież, że...

Pietrowa w okamgnieniu doskoczyła do Stephanie i przyłożyła jej pistolet do skroni.

– Zastrzelę twoją żonę, jeśli mi nie powiesz, gdzie on jest.

Odciągnęła kurek rewolweru.

Sytuacja robiła się poważna.

Luke usłyszał groźbę Anji, a zaraz po niej charakterystyczny dźwięk broni szykowanej do strzału. Najgorsze, że był tam też Hedlund. Nie mieli przecież pojęcia, co robi Pietrowa. Zdecydowanie wydawała się zniecierpliwiona i zdenerwowana. Stephanie kazała mu samemu zdecydować, w którym momencie należy przerwać to przedstawienie. Prosiła jednak, żeby dał im jak najwięcej czasu. To była ich jedyna szansa, żeby się wreszcie dowiedzieć czegoś konkretnego, dlatego musieli ją w pełni wykorzystać.

Teraz przynajmniej wiedzieli już, czego szuka Pietrowa.

Dziennika Tallmadge'a.

Luke chwycił za broń. Przypomnił sobie ostatnie słowa, które wypowiedziała do niego Stephanie.

*Tylko broń Boże jej nie zabij.*

Łatwo powiedzieć.

Stephanie zachowała zimną krew, uświadomiła sobie jednak, że w takiej sytuacji żona Hedlunda raczej nie byłaby równie opanowana.

– Proszę – odezwała się – niech pani zabierze ten pistolet.

Ale lufa pozostała przyciśnięta do jej głowy.

– Gdzie jest dziennik Tallmadge'a? – powtórzyła pytanie Pietrowa. – Kiedyś miał go Charon, to wiem na pewno. Teraz ty jesteś strażnikiem tajemnic. Gadaj, gdzie on jest, albo ją zastrzelę.

Stephanie spojrzała na Hedlunda, który wydawał się zadziwiająco spokojny.

– Wiesz, czym się zajmowałem, zanim przeszedłem na emeryturę? – zapytał Pietrową, która nic na to nie odpowiedziała. – Przez trzydzieści dwa lata pracowałem dla FBI.

Stephanie nie miała o tym pojęcia. Jednak to by wyjaśniało jego zimne, wyrachowane spojrzenie. Pietrowa, rozumiejąc, co to oznacza, odsunęła lufę od skroni Stephanie i wycelowała broń prosto w Hedlunda.

– Jak śmiesz przychodzić do mojego domu i grozić nam śmiercią? – rzucił ostro. – Powiedziałem już, że ten dziennik nie istnieje.

– Kłamiesz.

– A skąd ta pewność?

Wdawanie się z tą kobietą w dyskusję nie było najlepszym pomysłem. Należało to przerwać, i to jak najszybciej.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Luke kilka razy zastukał palcami w boazerię.

Wtargnięcie z pistoletem do zamkniętej przestrzeni biblioteki nie wydawało się najmądrzejszym posunięciem. Ktoś mógłby zarobić kulkę. Dlatego postanowił spróbować wywabić Pietrową na korytarz, gdzie będzie miał większe pole manewru. Kiedy usłyszał, co mówi Hedlund, utwierdził się w przekonaniu, że ich gospodarz sporo przed nimi ukrywa.

Musiał szybko coś zrobić.

Stephanie bacznie obserwowała reakcję Pietrowej.

– Kto to? – zapytała Rosjanka.

Hedlund wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Chcesz, żebym otworzył? – Jego pogardliwy ton brzmiał jak wyzwanie. Pietrowej wyraźnie się to nie podobało.

– Idź sprawdzić – rozkazała, cały czas trzymając go na muszce. – Ty też – dodała po chwili, wskazując

Stephanie drogę pistoletem.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, Stephanie dostrzegła wahanie na twarzy Pietrowej i nagle się domyśliła, co planuje Rosjanka. Przeszklone drzwi prowadzące z biblioteki na taras stanowiły idealną drogę ucieczki, którą mogła ułatwić niespodziewana wizyta czekającego na progu gościa. Niestety Stephanie nie miała przy sobie żadnej broni. Jej beretta wciąż tkwiła w płaszczu, który zostawiła w gabinecie, gdzie rozmawiali z Hedlundem.

– Nie zatrzymuj się – rozkazała Pietrowa.

Hedlund ruszył w kierunku głównego wejścia.

Stephanie musiała jakoś ostrzec Luke'a, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, Hedlund nagle stanął i odwrócił się. W rękę trzymał broń.

Luke wrócił na galerię na piętrze, skąd mógł swobodnie obserwować wszystko, co się dzieje na parterze. Miał nadzieję, że perspektywa pojawienia się intruza wystarczy, żeby Pietrowa się odsłoniła. Skoro okazało się, że w tym domu już niczego więcej się nie dowiedzą, chciał jak najszybciej zakończyć to spotkanie aresztowaniem Pietrowej, najlepiej nie dopuszczając do strzelaniny.

To stawało się jednak coraz mniej realne.

Hedlund był uzbrojony, broń prawdopodobnie ukrył wcześniej w sypialni. Luke słyszał, jak mężczyzna mówił o swojej przeszłości w FBI, ale wiedział, że to niewiele mu pomoże w starciu z takim zawodowcem jak Pietrowa.

Zbytnią pewność siebie może skończyć się tragicznie.

Kto jak kto, ale Luke doskonale o tym wiedział. Przez własną arogancję kilkakrotnie znalazł się o włos od śmierci. Ale do cholery, miał dopiero trzydzieści lat i za każdym razem dobrą wymówkę. Natomiast Hedlund był emerytem, a zachowywał się tak, jakby nadal grał w pierwszej lidze.

W tej sytuacji niewiele można było zrobić.

Prawdę mówiąc, Luke miał tylko jedną opcję.

Stephanie rzuciła się na przykrytą dywanem podłogę, zastanawiając się, kto pierwszy pociągnie za spust. Odpowiedział jej Hedlund, strzelając tuż obok niej. Stephanie przekręciła się na plecy i zobaczyła, że Pietrowa zniknęła.

– Nie wstawaj! – krzyknął Hedlund, który stał z bronią wyciągniętą przed siebie, ściskając rękojeść obiema rękami.

– Schowaj się, ty idioto! – zawołała Stephanie. – Natychmiast!

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Pietrowa i oddała dwa strzały. Obie kule dosięgły Hedlunda, który krzyknął z bólu i osunął się na podłogę.

Luke usłyszał strzały. Niewiele myśląc, zwinnie wskoczył na biegnącą po łuku balustradę i zjechał na parter.

Gdy zeskoczył z poręczy, zobaczył Hedlunda leżącego na ziemi.

Odwrócił się w lewo, uniósł pistolet i posłał dwa strzały w kierunku Pietrowej, która jednak przytomnie zdążyła cofnąć się do biblioteki. Nie opuszczając broni, podbiegł do miejsca, gdzie korytarz łączył się z holem. Słyszał jęki Hedlunda. Wiedział, że musi go obejrzeć, lecz w tym momencie jego spojrzenie padło na Stephanie, która leżała na plecach po drugiej stronie korytarza.

Czy ona też była ranna?

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i poczuł podmuch zimnego powietrza.

Stephanie podniosła się z podłogi.

– Uciekła przez bibliotekę. Biegnij za nią.

Luke jeszcze raz spojrział na Hedlunda.

– Ja się nim zajmę – powiedziała Stephanie. – A ty zatrzymaj tę sukę.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać.

## ROZDZIAŁ 35

Zorin stał skulony na środkowoatlantyckim zimnie. Chociaż przez całe życie mieszkał i pracował w niskich temperaturach, nie znosił marznąć. Ludziom z Zachodu wydaje się, że z czasem w człowieku wykształca się coś w rodzaju odporności na zimno, ale nic bardziej mylnego. Czekał w ciemnościach niemal pół godziny, lecz jego cierpliwość została wreszcie nagrodzona, gdy na końcu ulicy pojawił się samochód. Kierowca fordą zatrzymał pojazd przy krawężniku i Zorin wsiadł do ciepłego wnętrza. Za kierownicą siedział mężczyzna w jego wieku, czyli trzydziestokilkuletni. Jego podbródek i grubą szyję pokrywał trzydniowy zarost, na głowie miał czapkę z daszkiem w barwach drużyny Chicago Bears. Dodał gazu i samochód odjechał, rozpryskując oponami okruchy śniegu i lodu.

Piętnaście minut później przyjechali do niczym niewyróżniającego się baru w północnym Baltimore. Neon nad drzwiami przedstawiał nagą tancerkę. Zorin mieszkał na zachodzie dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że trafił do przybytku rozpusty i dekadencji. Kierowca wybrał to miejsce, co było całkiem zrozumiałe – w końcu znajdowali się na jego terenie.

Dlatego nie oponował.

Mężczyzna w czapce mieszkał i pracował w Baltimore pod przybranym nazwiskiem Joe Perko. Zorin również posłużył się jednym ze swoich pseudonimów, żeby łatwo dostać się na terytorium Stanów Zjednoczonych. Mimo całej tej zimnowojennej retoryki amerykańskie granice przypominały bardziej dziurawy płot niż betonowy mur. Obaj mówili doskonale po angielsku, co zawdzięczali szkoleniu, jakie przeszli w KGB.

Weszli do środka.

Wnętrze tonęło w półmroku, za wyjątkiem oświetlonego baru i sceny, na której robiła właśnie striptiz absurdalnie chuda blondynka z wielkim biustem. Zorin nigdy nie przepadał za szczupłymi kobietami ani za chudymi stekami – w obu przypadkach wolał, gdy na kościach było trochę tłuszczu. Lubił także kobiety, które urodziły się blondynkami, a nie takie, które tworzyły iluzję za pomocą chemicznych specyfików. Z głośników płynęła muzyka, ale ruchy kobiety nie zgrywały się z podkładem. Właściwie sprawiała wrażenie znudzonej i poirytowanej.

Stoliki wokół sceny obsługiwały kelnerki w stroju topless.

– Podoba mi się tu – stwierdził Perko. – Wszyscy gapią się na panienki i nikt nie zwraca uwagi na ciebie.

Zorin musiał przyznać, że to trafna obserwacja.

Zajęli stolik pod sceną i zamówili drinki u jednej z kelnerek.

– Skończyłem – powiedział cicho Perko. – Wypełniłem swoją rolę.

Zorin wiedział, co to oznacza. Kolejna część planu Andropowa, Cofnięty pion, za którą odpowiadał właśnie Perko, została wykonana.

– Zajęło mi to pięć lat, ale się udało – ciągnął mężczyzna. – Ciężko uwierzyć, że minęło już tyle czasu, odkąd siedzieliśmy przy jednym stole z Andropowem. Tak wiele się zmieniło.

W rzeczy samej. Był rok 1988. Andropow nie żył od kilku lat, a Związkiem Radzieckim rządził teraz Gorbaczow. Naczelnymi hasłami były dziś pieriestrojka i głośność – przebudowa i otwartość stały się głównymi celami przyświecającymi ich państwu. Dawny sposób myślenia szybko odchodził w niepamięć.



– Zgodnie z rozkazami, które znalazłem w swojej kopercie, miałem zgłosić się do ciebie – wyjaśnił Perko. – Po wykonaniu zadania. Co niniejszym czynię.

Niecałe dwa lata temu Zorin otrzymał komunikat od człowieka, który ukończył inną ćwiartkę operacji, Związanie bezwarunkowe. Tak jak dziś, spotkał się z nim osobiście, z tym że w Nowym Jorku, i wtedy po raz pierwszy dowiedział się więcej, niż powinien.

Kelnerka przyniosła im zamówione drinki i Zorin wziął spory łyk wódki. Na co dzień nie pił dużo, ale kiedy trzeba, umiał dobrze udawać. Perko z nieskrywaną przyjemnością wychylił swoją szklanę jednym haustem.

– Żubrówka – szepnął, odstawiając szkło na stół. – Ale to nie to co u nas.

Zorin przyznał mu rację. Polska wódka była jedynie marnym substytutem trunków, które piło się u nich w kraju.

– Zakończyłeś swoje zadanie? – zapytał Perko.

– Jeszcze nie.

Niestety była to prawda.

Kiedy tamtego wieczora Andropow zostawił ich samych, czterej oficerowie zjedli kolację, a koperty z indywidualnymi rozkazami przez cały czas pozostawały zamknięte pod talerzami. Po skończeniu posiłku wyszli i każdy z pewnością odczekał, aż dostatecznie oddali się od miejsca spotkania, zanim przeczytał zawartość koperty. Fakt, że sekretarz generalny wybrał ich osobiście, niósł ze sobą ogromną odpowiedzialność i wszyscy przestrzegali wymogu dyskrecji.

Z tego, co wiedział, żaden nie kontaktował się z pozostałymi. Tylko z nim, już po wykonaniu misji. Tak jak nakazywały instrukcje znalezione w kopertach.

– W końcu je sprowadziłem – powiedział Perko. – Wszystkie są na miejscu.

Blond szkielet na scenie rozebrał się już do naga i zaczął sugestywnie kręcić biodrami. Kilku klientów doceniło te starania i wynagrodziło nowo odkryty entuzjazm tancerki banknotami rzucającymi jej pod nogi.

Zorin napił się swojej wódki.

– Jechały przez Meksyk i Kubę – kontynuował Perko. – Musiałem mieć pewność, że nie zostaną wykryte. Nasz człowiek przewiózł je przez granicę. Ja przejąłem je od niego w Teksasie i sam przetransportowałem na północ.

Zorin dowiadywał się w tej chwili znacznie więcej, niż powinien, ale cała operacja budziła w nim coraz większą ciekawość, dlatego zapytał:

– Wszystko w jednym kawałku?

Perko pokiwał głową.

– Wszystkie w walizkach, naładowane. Każda w pełni sprawna.

– Żadnych problemów?

– Żadnych. Ale to jednak dość przerażające – Perko mówił półgłosem, ledwo przebijając się przez głośną muzykę. – Niesamowite, że coś tak małego może mieć moc bomby jądrowej.

Nie sposób się nie zgodzić.

Podlegająca Zorinowi jednostka specnazu została wyszkolona w rozmieszczaniu ładunków RA-115 na wrogim terytorium. Wiedział o tajnych składach broni w Europie i na Dalekim Wschodzie, w których znajdowały się bomby walizkowe, ale teraz po raz pierwszy się dowiedział, że są one również w Stanach Zjednoczonych. Najwyraźniej Andropow rzeczywiście stworzył plan zakrojony na wielką skalę.

– Przekazałem je człowiekowi od Szkolnego Mata, zgodnie z moimi rozkazami – powiedział Perko. – Wiesz może, co on ma teraz z nimi zrobić?

Zorin pokręcił głową.

– To już nie dotyczy ani ciebie, ani mnie.

Perko skinął na kelnerkę, żeby przyniosła mu następnego drinka.

– Zostałem odwołany. Wyjeżdżam za dwa dni.

Zorin wiedział o tym już wcześniej. Mimo to odparł:

– W takim razie musimy oblać twój powrót do domu.

Tak też zrobili.

Świętowali przez kilka godzin, przy akompaniamencie muzyki i w towarzystwie kolejnych tancerek wyginających się na scenie. Jedna z tych kobiet została mu w pamięci. Była drobna i ciemna, miała azjatycki kształt oczu, szeroki nos i kruczoczarne włosy. Perko, któremu też wpadła w oko, chciał poznać ją nieco bliżej, ale Zorin mu to wyperswadował, a w końcu wyprowadził pijanego oficera z baru i wpakował go z powrotem do samochodu. Sam wypił niewiele, dzięki czemu zachował trzeźwość umysłu. Kiedy znaleźli się w samochodzie i stwierdził, że w pobliżu nie ma żywej duszy, zakrył współtowarzyszowi usta dłonią, po czym szarpnął jego głowę w jedną, a potem w drugą stronę, skręcając mu kark. Tkanka się rozerwała, kość pękła, śmierć nastąpiła natychmiast. Tę umiejętność również nabył podczas szkolenia w KGB.

Tym samym wykonał dwie trzecie swojej misji.

Jego rozkazy były proste. Gdy pozostali trzej oficerowie zgłoszą się do niego, by powiadomić o ukończeniu swoich zadań, ma ich zlikwidować.

Ciche Posunięcie.

Dwóch już nie żyło.

A ponieważ martwi nie mogli mu narobić żadnych kłopotów, nie powstrzymywał ich, gdy zaczęli opowiadać o swoich poczynaniach. Od człowieka odpowiedzialnego za Związanie Bezwarunkowe dowiedział się o stworzeniu pięciu ładunków RA-115, specjalnie zaprojektowanych z myślą o długiej żywotności i maksymalnej sile rażenia. Dzięki Perce, odpowiedzialnemu za Cofnięty Pion, wiedział teraz, że wspomniane bomby zostały przemycone na teren Ameryki. Tylko Szkolny Mat nadal pozostawał tajemnicą. Ale domyślał się, na czym polegała ta część planu – na zabezpieczeniu i ukryciu ładunków.

A co z oficerem, któremu przydzielono to zadanie?

Jego nazwisko wyjawiał mu Wadim Bielczenko.

Był to człowiek podobnie jak Zorin szkolony do przeprowadzania tajnych operacji na Zachodzie i wyekspediowany do Stanów Zjednoczonych, który ostatecznie przyjął pseudonim Jamie Kelly i zamieszkał w Kanadzie.

Siedząc w zacisznej, słabo oświetlonej kabinie wynajętego gulfstreama, Zorin ponownie zaczął wspominać dwóch zabitych przez siebie ludzi, którzy wykonali jedynie swoją pracę i do końca wiernie służyli ojczyźnie. To całkiem naturalne, że chcieli komuś opowiedzieć o tym, czego dokonali, szczególnie komuś, kto w ich przekonaniu także należał do zespołu. Ale Andropow przewidział ich niedyskrecję i właśnie dlatego od samego początku jedną z części jego planu było Ciche Posunięcie.

Zorin również tylko wykonywał swoje rozkazy. Ale te dwa morderstwa zawsze bardzo ciążyły mu na sercu.

Jedynie, co mógł zrobić, to dopilnować, aby ich śmierć nie okazała się bezsensowna. Był im to winny.

## ROZDZIAŁ 36

Luke wypadł do ogrodu przez drzwi w bibliotece i zdążył dostrzec Anję Pietrową znikającą za niewysokim żywopłotem. Natychmiast rzucił się w pogoń, przeskakując przez krzaki niczym zawodnik w olimpijskim biegu przez płotki. Obiegł budynek dookoła i kiedy znalazł się na trawniku przed wejściem frontowym, zobaczył, jak Rosjanka pędzi w stronę samochodu, który wciąż nosił ślady ich spotkania w Wirginii.

– Tym razem mi się nie wywiniesz – krzyknął za nią.

Anja odwróciła głowę i ich spojrzenia na moment się skrzyżowały. W pierwszym odruchu chciał do niej strzelić, ale dzieliło go od niej jakieś sto metrów, a ona już wskakiwała za kierownicę i uruchamiała silnik.

Poza tym Stephanie wyraźnie kazała mu sprowadzić ją żywą.

Pobiegł więc prosto do forda, którym przyjechali tu z Waszyngtonu. Wsiadł do środka, odpalił silnik, zjechał tyłem z podjazdu i ruszył za Pietrową. Dzielnica, w której mieszkał Hedlund, miała szerokie ulice, budowane jeszcze za czasów, kiedy parkowanie na jezdni wzdłuż krawężnika było dozwolone. Kilku kierowców skorzystało z tej możliwości i Luke musiał lawirować pomiędzy samochodami, z każdą chwilą dodając gazu. Wreszcie zobaczył przed sobą auto Pietrowej, która ignorując znak stopu, ostro skręciła w prawo. Luke wykonał ten sam manewr, czując, jak opony ślizgają się po zmarzniętej nawierzchni. Wiedział, że musi być ostrożny, bo w takich warunkach nietrudno o wypadek.

Wsiadając, rzucił pistolet na siedzenie pasażera, żeby był pod ręką.

Jeżeli tylko ją dogoni, to już więcej mu nie ucieknie.

Pietrowa na pełnym gazie przejechała przez kolejne skrzyżowanie, na szczęście niezbyt ruchliwe. Luke zobaczył, że zbliżają się do szerokiej, pełnej samochodów ulicy. Rosjanka na chwilę zwolniła, po czym z rykiem silnika włączyła się do ruchu. Niemal natychmiast przecięła podwójną ciągłą linię i wylądowała na przeciwnym pasie ruchu. Rozległo się wycie klaksonów i pisk opon samochodów zjeżdżających jej z drogi. Pietrowa mknęła do przodu slalomem, sprawnie lawirując pomiędzy jadącymi z naprzeciwka autami. Żeby nie stracić jej z oczu, Luke musiałby pędzić z taką samą prędkością, nie chciał jednak nikogo niepotrzebnie narażać. Dlatego ostrożnie podjechał do skrzyżowania, dokonał szybkiej oceny sytuacji, a następnie dodał gazu i wyminął sznur samochodów, wykorzystując pas awaryjny.

Pietrowa prowadziła agresywnie, ale widać było, że nie miała w zwyczaju pędzić w tak ekstremalnych warunkach. Popełniała drobne błędy, częściej hamowała, niż przyspieszała, źle wchodziła w zakręty, zbyt gwałtownie skręcała kierownicę, kiedy tylne koła wpadały w poślizg. Z kolei jego ford escape cały się trząsał, jakby jechał po kocich łbach. Ten samochód ewidentnie nie był przystosowany do tak szaleńczej jazdy.

Za to sam Luke świetnie sobie radził.

Widząc przed sobą pusty odcinek drogi, wcisnął gaz do dechy. Mknął teraz czteropasmówką, a od ruchu jadącego z naprzeciwka oddzielał go pas zieleni. Po chwili dostrzegł auto Pietrowej, która przedarła się przez rzekę samochodów niecały kilometr przed nim.

W tym momencie pojawił się kolejny problem. Migające niebieskie światła tuż za samochodem Anji.

Namierzył ją funkcjonariusz policji stanowej.

Jakby tego było mało, w lusterku wstecznym dostrzegł takie same światła, którym towarzyszyło wycie

syreny. Jemu też siedział na ogonie radiowóz.

Wyciągnął z kieszeni swój identyfikator z Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony. Jedną ręką dalej ścisnął kierownicę, a drugą opuścił szybę i wystawił na zewnątrz odznakę, tak żeby ścigający go idiota mógł ją zobaczyć. Policjant zjechał na lewy pas, zrównał się z nim i opuścił okno od strony pasażera.

– Zatrzymajcie ją! – krzyknął Luke, wskazując przed siebie.

Mężczyzna kiwnął głową i dodał gazu, skracając dystans dzielący go od kolegi, który ścigał Pietrową. Ponieważ oba samochody były wyposażone w radio, Luke miał nadzieję, że chociaż raz w życiu lokalna policja na coś się przyda.

Znów złapał obiema rękami kierownicę i ruszył w ślad za dwoma radiowozami. Inne samochody usuwały im się z drogi, zjeżdżając na lewe i prawe pobocze, dzięki czemu pośrodku zrobiło się dość miejsca. Pędzili na wschód, coraz bardziej oddalając się od centrum miasta. Ciągące się po obu stronach zabudowania wyglądały na siedziby instytucji państwowych. Luke przypomniał sobie, że gdzieś w pobliżu, nad Zatoką Chesapeake, mieści się budynek Akademii Marynarki Wojennej.

Po jakichś trzech kilometrach policjanci rozjechali się na równoległe pasy i zwolnili, dzięki czemu Pietrowa mogła znowu wystrzelić do przodu. Luke zrozumiał, co planują. Ich manewr skojarzył mu się z polowaniem, podczas którego naganiacze kierują zwierzynę prosto na celownik myśliwych. Jednocześnie tworzyli ruchomą blokadę, żeby zatrzymać jadące za nimi samochody.

Luke wiedział, co to oznacza.

Gwałtownie skręcił w prawo i wypadł na wąskie wyasfaltowane pobocze, dostatecznie szerokie, żeby mógł wyminąć policjantów. Zaraz potem odbił w lewo i na pełnym gazie wrócił na jezdnię. Teraz, kiedy policyjne samochody zwolniły, blokując w ten sposób ruch na drodze, został sam na sam z Pietrową. Zabudowania się skończyły i prosta czteropasmowa droga, przedzielona na pół betonową barierą, zaczynała bieć pod górę, w stronę potężnego mostu.

I wtedy je zobaczył.

Cztery kolejne radiowozy, mniej więcej w połowie drogi prowadzącej na most, blokujące ruch w obu kierunkach.

*Cholera. Szybcy są.*

Z naprzeciwka nic nie jechało, a policjanci ciągle jeszcze przepuszczali samochody znajdujące się po tej stronie drogi, gotowi w każdej chwili ją zamknąć, kiedy zostanie już tylko samochód Pietrowej.

Na to nie trzeba było długo czekać.

Rosjanka nie miała dokąd uciekać. Mogła albo wjechać prosto w blokadę, albo wykonać skręt o sto osiemdziesiąt stopni i przebić się na pas biegnący w przeciwnym kierunku, gdzie z pewnością zostałaby zatrzymana przez dwóch jadących za Lukiem policjantów.

Luke dostrzegł w rękach funkcjonariuszy broń.

To nie tak miało wyglądać. Potrzebował jej żywej, ale w żaden sposób nie mógł powstrzymać rozwoju wypadków. Czuł się, jakby oglądał film. Rozgrywająca się przed nim scena wydawała się odległą, nierealną. A jednak to wszystko działo się naprawdę. Uświadomił sobie, że miejscowa policja odgrywała podobne scenariusze jedynie w ramach ćwiczeń. Teraz wreszcie mieli szansę przeżyć to naprawdę. Nie ma mowy, żeby przepuścili taką okazję.

Powietrze przeszyły pierwsze strzały. Policjanci najwyraźniej celowali w opony, bo autem Pietrowej gwałtownie zarzuciło w lewo, potem w prawo, a po chwili z łoskotem wpadła na barierkę mostu.

Posypały się iskry.

Siła uderzenia była tak duża, że wystarczyła, by oderwać od ziemi tył samochodu, który niczym pocisk wystrzelony z katapulty, w tej chwili podlegał już tylko prawom dynamiki i sile grawitacji.

Pojazd przekoziółkował i wyleciał za barierkę.

Luke natychmiast podjechał w to miejsce, zatrzymał się i wyskoczył z wozu. Kiedy dopadł do roztrzaskanej barierki, samochód Anji właśnie zderzył się z porastającymi zbocze drzewami. Nic nie było w stanie powstrzymać upadku. Maszyna niczym kula armatnia leciała w dół, obracając się wokół własnej osi. Pietrowa wyleciała na zewnątrz. Do uszu Luke'a dobiegł zduszony krzyk, po którym nastąpił głuchy łomot. Samochód, zbyt ciężki, by od razu się zatrzymać, złożył się jak teleskop. Wreszcie, z całkowicie ściętym przodem i wciąż wirującymi kołami, opadł na dach. Silnik wył jeszcze przez chwilę, po czym wydał ostatnie tchnienie. Pietrowa wpadła do wody kilka metrów od brzegu.

Luke przeskoczył przez barierkę i pędem puścił się w dół stromego zbocza porośniętego gęstym poszyciem. Po drodze kilka razy omal nie stracił równowagi. Żeby się nie przewrócić, hamował na wystających z ziemi korzeniach. W końcu dotarł na sam dół, do miejsca, gdzie wylądowała Pietrowa. Słońce, kiedy tylko wychodziło zza chmur, rzucało na wodę ostre, ruchome cienie. Ciało unosiło się na powierzchni, na wpół zanurzone w gęstym, błotnistym szlamie, w którym pływały kawałki lodu. Tułów Anji był nienaturalnie wykręcony.

Dwóch policjantów ruszyło za Lukiem.

– Proszę się stamtąd odsunąć! – krzyknął jeden z nich.

Luke był zły. Wyszarpnął identyfikator, żeby go im pokazać.

– Kretyni! Kto wam kazał do niej strzelać?

Policjanci zatrzymali się kilka kroków od niego.

Luke spojrzał na Rosjankę. Wygięta pod dziwnym kątem szyja i powykręcane kończyny świadczyły o tym, że jest martwa.

– A kim ty do cholery jesteś? – spytał jeden z policjantów.

Luke odwrócił się do nich i z obrzydzeniem pokręcił głową.

– Jestem agentem federalnym i zaraz skopię wam dupy za to, że zabiliście kobietę, która była moim jedynym tropem.

# ROZDZIAŁ 37

WYSPA KSIĘCIA EDWARDA, KANADA

GODZ. 22.49

Zorin zacisnął pasy spadochronu. Przechodził szkolenie w latach siedemdziesiątych i sprzęt, którego wtedy używał, był prymitywny, zawodny i często niebezpieczny. Kilku jego kolegów odniosło poważne obrażenia albo wręcz zginęło podczas ćwiczeń. Skakanie ze spadochronem nie cieszyło się dużą popularnością wśród młodych rekrutów KGB, ale on to uwielbiał i ogółem zaliczył niemal sto skoków. Zamawiając samolot, specjalnie poprosił o spadochron przeznaczony do użytku na większych wysokościach, o lepszej sterowności. Nie był to może sprzęt porównywalny z tym, jakiego używała armia, ale niewiele mu brakowało. Skakanie w nocy stanowiło osobny problem, ale kiedy już spadochron się otworzy, nie różniło się od żadnego innego skoku, zwłaszcza odkąd pojawiły się noktowizory – w przeszłości nie miał dostępu do takich luksusów.

Gulfstream pokonał trasę nad Atlantykiem w całkiem dobrym czasie. Nad Nową Fundlandią piloci skorygowali kurs i zamiast na zachód skierowali się na południe, prosto na Nowy Jork. Kiedy znaleźli się nad Zatoką Świętego Wawrzyńca, skontaktowali się przez radio z kanadyjską kontrolą ruchu powietrznego. Oznajmili, że mają problemy z utrzymaniem właściwego ciśnienia w kabinie, i poprosili o pozwolenie na zejście poniżej trzech tysięcy metrów na kilka minut, żeby mogli uporać się z usterką. Kontrola z początku była temu niechętna, ale potem ustąpiła, zapewne obawiając się, że odmowa groziłaby katastrofą.

Zorin wcisnął sobie na głowę kask.

Jego pistolet był bezpiecznie upchnięty w torbie pod czarnym kombinezonem. Strój czekał na niego razem ze spadochronem. W torbie znajdowała się też resztką pieniędzy Zorina. Nie było tego dużo, może pięć tysięcy amerykańskich dolarów, ale na jego potrzeby powinno w zupełności wystarczyć. Wszystkie ruble zostawił na pokładzie; od tej pory były dla niego bezużyteczne. Dzięki Google Maps znalazł na północnym wybrzeżu dobre miejsce do lądowania. Wyspa Księcia Edwarda jest ogromna, mierzy dwieście dwadzieścia kilometrów z zachodu na wschód i sześćdziesiąt cztery kilometry w najszerszym punkcie z północy na południe. Zorin znał ją dobrze. Na tej niskiej, garbatej bryle z czerwonego piaskowca i żyznej gleby mieszkało sto czterdzieści tysięcy ludzi, w większości potomków pierwszych francuskich i brytyjskich kolonistów, którzy osiedlili się tu w XVIII wieku. Kiedyś, w czasach służby w KGB, odwiedził jej stolicę, Charlottetown.

– Zbliżamy się do wybrzeża – odezwał się głos pilota w interkomie.

Dziś w nocy na niebie świecił tylko półksiężyc. Kabina została już rozhermetyzowana, światła zgaszone. Wcześniej ustalili, że samolot zboczy nieco z kursu, który normalnie powinien prowadzić ponad Nową Szkocję, i odbije pięćdziesiąt kilometrów na zachód, żeby znaleźć się bezpośrednio nad Wyspą Księcia Edwarda. Kiedy Zorin opuści pokład, piloci skorygują kurs, a drobne odchylenie wytłumaczą kłopotami z ciśnieniem w kabinie. Przy odrobinie szczęścia nikt nie będzie zadawał więcej pytań.

– Została niecała minuta – oznajmił pilot.

Zorin pociągnął za klamkę i otworzył drzwi samolotu, które z impetem wpadły do środka.

Do kabiny wtargnęło lodowate powietrze, ale Zorin miał na sobie trzy warstwy odzieży, w tym kurtkę pod kombinezonem, rękawice, kominiarękę i kask z goglami. Na przedzie samolotu pojawił się jeden

z pilotów i podniósł obie ręce, pokazując dziesięć palców. Zorin siłą przyzwyczajenia jeszcze raz sprawdził wszystkie klamry przy spadochronie.

Wszystko wyglądało w porządku.

Pilot miał już w górze tylko pięć palców.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Zorin skrzyżował ręce na piersi. I skoczył.

Ogarnął go siarczasty mróz, ale wielowarstwowy strój zdawał egzamin. Zorin znał prawa fizyki. Trzy sekundy po opuszczeniu samolotu leciał już z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Za sześć sekund będzie to dwieście kilometrów na godzinę. Cały skok powinien potrwać nie więcej niż trzy minuty. W powietrzu wszystko działo się szybko, człowiek miał wrażenie, jakby wpadł głową naprzód do tunelu aerodynamicznego. Skóra na czole robiła się napięta, policzki pod wełnianą kominiarką próbowały oderwać się od reszty twarzy.

Zorin już dawno nie czuł się w ten sposób. Ale lubił to.

Dzięki noktowizyjnym goglom widział, że wciąż jest nad Zatoką Świętego Wawrzyńca, ale siła rozpędu szybko niosła go w stronę brzegu. Nie miał przy sobie wysokościomierza, nauczono go jednak korzystania z tradycyjnych metod: zacznij od punktu wyjścia i po prostu odliczaj kolejne metry. Czaszę spadochronu należało otworzyć na wysokości tysiąca pięciuset metrów, a potem, gładko szybując, znaleźć miejsce, które pozwala na względnie bezpieczne lądowanie.

Wyprostował ręce i nogi, żeby jego ciało przestało się obracać. Podczas skoku mnóstwo rzeczy może pójść nie tak. Zaplątane linki, silne wiatry, rozdarcie czaszy. Większość podobnych problemów da się rozwiązać pod warunkiem, że zrobi się to przed pułapem pięciuset metrów. Po przekroczeniu tej granicy nie ma już czasu, by zrobić cokolwiek. Można tylko zginąć.

Na razie wszystko szło jak po sznurku.

Przed sobą, za wąską plażą widział rozmazane kontury klifów i skalnych ścian, a dalej postrzępioną linię wierzchołków drzew, które porastały wybrzeże. Z ostrych grani sterczały jak zwierzęce kły nierówne rzędy wielkich głazów. Musiał na nie uważać. Łąka, której szukał, zaczynała się kawałek dalej na prawo. Dzięki internetowej mapie satelitarnej wiedział, że jest tam około hektara otwartej przestrzeni, a to w zupełności wystarczyło na lądowisko.

W głowie rozległ mu się sygnał ostrzegawczy.

1500 metrów.

Zorin pociągnął za linkę i czasza wystrzeliła w górę.

Gwałtowne szarpnięcie i głośny huk natychmiast dały do zrozumienia, że coś jest nie tak.

Sprawny spadochron powinien być prostokątny i stabilny, dzięki czemu można nim sterować. Ten jednak zapadł się w sobie jak przekłuty balon, wszystkie linki były poskręcane i poplątane. Jego ciało zaczęło się bezwładnie obracać, jak marionetka. Zamiast wolno i w kontrolowany sposób schodzić w dół, spadał coraz szybciej, wirując w powietrzu. Siła odśrodkowa sprawiała, że cała krew napływała mu do stóp. Wiedział, że jeśli nie przestanie się kręcić, za chwilę straci przytomność. Miał jeszcze zapasowy spadochron, ale nie mógł ryzykować, że jego linki splączą się z uszkodzonym głównym spadochronem.

Musiał najpierw pozbyć się tego ostatniego.

Sięgnął do uchwyty wyczepnego, ale w wyniku awarii cała uprzęż przesunęła się do góry i uchwyt znalazł się poza jego zasięgiem.

Wewnętrzny zegar ostrzegał, że zbliżała się granica pięciuset metrów.

Za kilka sekund uderzy w ziemię.

Na szczęście szkolono go, jak nie popaść w panikę i nie stracić jasności myślenia. Uznał, że została mu tylko jedna opcja. Niezależnie od ryzyka.

Otworzył zapasowy spadochron.

Czasza poszła w górę i w pełni się otworzyła, jedynie w minimalnym stopniu ocierając się o splątane linki głównego spadochronu. Zorin od razu zwolnił i przestał się obracać na tyle, że mógł odzyskać kontrolę nad sytuacją i pomanewrować linkami. Nad jego głową, po przeciwnych stronach, kołysały się dwie czasze, z których tylko jedna łapała powietrze, niosąc go pionowo w dół, ku ziemi.

Stanowczo za szybko.

Chwycił za linki od zapasowego spadochronu i zaczął sterować swoim lotem, kierując się w stronę łąki. Ze studiowania Google Maps wiedział, że wzdłuż północnego wybrzeża wyspy na odcinku czterdziestu kilometrów ciągnie się park narodowy. W zasięgu wzroku nie paliły się żadne światła, wszędzie wokół była tylko leśna głusza. Wcześniej wydawało się to korzystne z jego punktu widzenia. Teraz wiedział jednak, że jeśli będzie ranny, może minąć kilka dni albo i tygodni, zanim ktoś go tu odnajdzie.

Zostało trzysta metrów.

Minął plażę i znalazł się wreszcie nad suchym lądem, cały czas kierując się na łąkę.

Dwieście metrów.

Przez chwilę doświadczył nieprzyjemnego złudzenia, że grunt zbliża się do niego z niepohamowaną prędkością, ale szybko się z tego otrząsnął.

Pięćdziesiąt metrów.

Las był tuż pod nim. Rosły tu stare drzewa z grubymi, wysokimi pniami. Szybko zdecydował, że powinien lądować całym ciałem, a nie tylko na nogi, ponieważ poruszał się z taką prędkością, że mógłby sobie rozwalić kolano. Pociągnął za linki sterownicze i spróbował wytworzyć większy opór powietrza.

Przed jego oczami ukazała się łąka.

Płaska, otwarta, zachęcająca. Wiedział jednak, że czeka tam na niego zimna, twarda ziemia.

Postanowił wykorzystać drzewa. Umiejętnie manewrując linkami, skorygował lot, dzięki czemu otarł się o czubki drzew stojących na skraju łąki. Zaczepiając stopami o gałęzie, zgodnie z zamierzeniem udało mu się zwolnić. Jeszcze bardziej pochylił czaszę spadochronu i dotykał butami jednego drzewa za drugim, co utrudniało mu zachowanie kontroli nad spadochronem. Ale gdy całkiem minął las i znalazł się bezpośrednio nad łąką, leciał już na tyle wolno, że mógł bezpiecznie spaść z pozostałych kilku metrów, amortyzując nogami siłę uderzenia.

Jego ciało zważyło się na ziemię, oba spadochrony jeszcze krótko trzepotały za nim, ale po chwili się uspokoiły.

Spojrzał z powrotem w niebo.

Gulfstream już dawno zniknął.

Zorin nie miał wątpliwości, że to był sabotaż. Ten drań z firmy przewozowej musiał uszkodzić jego główny spadochron. Wypadki przy skokach zdarzały się niezmiernie rzadko. Firma najprawdopodobniej bała się, co może mu przyjść do głowy, kiedy znajdzie się na ziemi, i nie chciała, żeby ktokolwiek był w stanie skojarzyć go z jej samolotem. A więc wzięli od niego pieniądze, przetransportowali go na drugi koniec świata, a potem chcieli mieć pewność, że nie przeżyje skoku. Nikt by o niczym nie wiedział. Gdzieś na ziemi albo jeszcze lepiej w wodzie znaleziono by anonimowego trupa. Nigdy nie udało by się wyjaśnić, skąd się tam wziął. Przynajmniej pozwolili mu skoczyć we właściwym miejscu – pewnie uznali, że to i tak nie ma znaczenia, bo nie przeżyje lądowania. W każdej innej sytuacji wróciłby, żeby zabić ich wszystkich. Teraz jednak to nie było możliwe.



Miał zadanie do wykonania.

# ROZDZIAŁ 38

ANNAPOLIS

GODZ. 10:00

Stephanie siedziała w poczekalni, gdzie spędziła ostatnich kilka godzin. Karetka pogotowia zabrała Petera Hedlunda do najbliższego szpitala. Dzięki kłamstwu, że jest z Departamentu Sprawiedliwości, pozwolono jej wsiąść do ambulansu. W chwili, gdy odjeżdżali spod domu, zjawiała się policja. Funkcjonariusze pojechali za nimi na oddział urazowy, gdzie Stephanie wyjaśniła im, co się stało. Kiedy wspomniała o Anji Pietrowej i Luke’u Danielsie, dowiedziała się o pościgu na autostradzie i o śmierci Pietrowej. Kiedy zaczęli jej zadawać więcej pytań, poradziła im, żeby zgłosili się do Białego Domu, a dokładniej do biura szefa sztabu, którego personel z przyjemnością udzieli im wyczerpujących odpowiedzi.

Czuła się przytłoczona wydarzeniami tego dnia.

Kłopoty Cottona. Pierwsza od dawna rozmowa z Cassiopeią. Rosjanie. Sowieci. Litchfield. Zwolnienie z pracy. Postrzelony Hedlund. A do tego śmierć Pietrowej.

Jakiś promyk nadziei pojawił się dopiero, gdy zadzwoniła do Białego Domu i usłyszała od Edwina, że Cotton razem z Cassiopeią wyruszyli do Kanady śladem Aleksandra Zorina. Na szczęście nic mu się nie stało. Zawsze mogła na niego liczyć. Tak samo jak na Cassiopeię, która chyba całkiem wróciła do gry i znów była w swoim żywiole. Edwin przekazał jej również wszystko, o czym opowiedział mu Cotton, tym samym dostarczając wielu brakujących elementów układanki, z której wreszcie zaczął się wyłaniać bardziej spójny obraz, choć wciąż jeszcze niekompletny.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos znajomych kroków na szpitalnym korytarzu. Podniosła głowę i zobaczyła Luke’a, ciężko stąpającego po wykaflowanej posadzce. On też wyglądał na wykończony.

– Głupio wyszło – powiedział, podchodząc do jej krzesła.

Oprócz nich w poczekalni nie było nikogo.

– Niestety miejscowych trochę poniosło. Ale przynajmniej mam to – dodał, wyciągając z kieszeni komórkę. – Telefon na kartę, pewnie kupiony gdzieś po drodze. Był wyłączony.

Stephanie opowiedziała mu o Cottonie, Zorinie i ładunkach nuklearnych.

– Wygląda na to, że wszyscy zmierzają w naszym kierunku.

Przyznała mu rację.

– Co z Hedlundem? – zapytał.

Stephanie wyjaśniła, że jedna kula przebiła klatkę piersiową, a druga drasnęła go w prawe ramię. Miał szczęście, ponieważ strzał w pierś nie okazał się śmiertelny. Zabrali go prosto na stół operacyjny, dwie godziny temu przyjechała jego żona. Siedziała teraz przy nim na sali pooperacyjnej.

– Kto by się spodziewał, że Hedlund był kiedyś w FBI – odezwał się Luke. – Musiał wziąć ten pistolet, kiedy był na górze w sypialni. Cholerny samotny jeździec, który chce w pojedynkę ratować świat.

– To cud, że przeżył.

– I przy okazji nas okłamał.

Stephanie spojrzała na niego z zaciekawieniem. Luke wyciągnął z kieszeni jeszcze jeden telefon.

– To komórka Hedlunda. Wziąłem ją od niego, zanim wszedł do biblioteki. Rozmawiał przez nią, kiedy jeszcze był na górze.

Luke opowiedział o podsłuchanej rozmowie, zakończonej słowami „tutaj niczego nie znajdzie”. Stephanie uważnie go wysłuchała, po czym zadała oczywiste pytanie:

– Do kogo dzwonił?

– Sprawdziłem numer w pamięci telefonu. Kierunkowy 703.

Wirginia, okolice Waszyngtonu.

– Z listy kontaktów wynika, że numer należy do niejakiego Larry’ego Begyna.

– Domyślam się, że sprawdziłeś, kto to jest.

– Lawrence Paul Begyn to aktualny przewodniczący Towarzystwa Cyncynatów.

– Ciekawe, co ukrywają – powiedziała pod nosem Stephanie.

– Coś na tyle ważnego, że nasz były agent Hedlund sięgnął po broń.

Stephanie spojrzała na Luke’a i pokiwała głową.

– Wiemy, że w domu Hedlunda nic nie ma – ciągnął dalej. – Ale wiemy też, że istnieje coś, czego uparcie ktoś szuka. Dziennik Tallmadge’a. Pietrowa wiedziała, o co ma pytać.

– Czas, żebyśmy i my wytoczyli ciężką artylerię – stwierdziła Stephanie.

Luke od razu pojął, co ma na myśli.

– Rozumiem, że wujek Danny zna już wszystkie szczegóły.

Stephanie skinęła głową.

– Zanim wrócimy do Waszyngtonu, musimy zrobić jeszcze jedną rzecz – oznajmiła.

Luke i tym razem wiedział, o czym mówiła.

– Prowadź. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, co on ma do powiedzenia.

Peter Hedlund, który odzyskał przytomność, siedział na łóżku. Obok czuwała przy nim żona imieniem Leah.

– Zdaje pan sobie sprawę – zaczęła Stephanie – że zachował się pan wyjątkowo bezmyślnie.

– Bywałem w gorszych tarapatach.

– Tyle tylko, że mnie nie było wtedy na linii strzału.

– Pani umie sobie radzić w takich sytuacjach.

Stephanie oddała mu telefon.

– Proszę mi powiedzieć, o czym pan rozmawiał z Larrym Begynem. Tylko bez żadnych kłamstw, nie mam na to czasu.

Wyraz twarzy Hedlunda świadczył o tym, że zrozumiał i że jest gotów współpracować.

– Czy to nie może poczekać? – spytała jego żona. – Przecież Peter został postrzelony.

– Bardzo mi przykro, ale nie może. Gdyby pani mąż od samego początku był ze mną szczery, nie byłoby nas tu w tej chwili. Choć z drugiej strony nie zapominajmy, że przecież jest strażnikiem tajemnic. – Stephanie nie miała ochoty tego dłużej ciągnąć. – Kobieta, która do pana strzelała, nie żyje. Ale wiedziała o dzienniku Tallmadge’a. Musi mi pan powiedzieć, co w nim jest.

– Jak zginęła? – spytał Hedlund.

– Zachowując się jak ostatnia idiotka – odparł Luke.

Hedlund zrozumiał aluzję i podniósł ręce w geście kapitulacji.

– No dobrze, wygraliście. Wszystko wam powiem.

Zorin zebrał z ziemi oba spadochrony i ściągnął z siebie kombinezon. Pod spodem miał kurtkę, czarne spodnie i czarny golf. Musiał schować cały ten pakunek tak, żeby jeszcze długo nikt go nie znalazł, i postanowił, że najlepiej będzie ukryć wszystko głęboko w lesie. Wszedł więc pomiędzy drzewa i znalazł dobre miejsce pod zwalonym pnem. Zostawił też kask i noktowizor, uznając, że obie te rzeczy więcej mu się nie przydadzą. Wszystko, co niezbędne, miał w kieszeniach albo w torbie. Jeśli będzie

potrzebował czegoś więcej, zdobędzie to po drodze. W tym momencie na szczycie listy znajdował się środek transportu. Spadając, zauważył niedaleko stąd rząd małych domków; wszystkie były ciemne, co sugerowało, że mogą być także puste. Mimo to postanowił je sprawdzić i ruszył w ich kierunku.

Z poruszaniem się pod osłoną nocy wiązał się cały szereg zasad. Podczas szkolenia uczył się dla bezpieczeństwa najpierw badać grunt palcami, a potem dopiero stawiać piętę. Kroki powinny być krótkie, stopy ustawione pod lekkim kątem, jedna ręka wyciągnięta do przodu. Nie niósł w ręku broni, ale na wszelki wypadek trzymał ją pod kurtką, a palec cały czas spoczywał na spuście. Najważniejsza była czujność i przytomność umysłu. Trzeba mieć oczy dookoła głowy i być gotowym na wszystko.

Znalazł drogę biegnącą równoległe do wybrzeża i przez kilka kilometrów szedł nią na wschód, aż dotarł do kilku chat stojących na polanie między drzewami. W nozdrzach poczuł ostry zapach soli. Najbardziej się obawiał, że jakiś pies może zdradzić jego obecność, ale ciszę zakłócał jedynie stłumiony łoskot fal rozbijających się w oddali o niewidoczny brzeg. W porównaniu z Syberią panujący tu chłód kojarzył się bardziej z wiosną.

W sumie naliczył osiem prostokątnych domków z drewnianymi ścianami i spiczastymi dachami. Wszystkie okna były ciemne. Pod trzema chatami stały pojazdy. Jego uwagę zwrócił zwłaszcza jeden z nich – stary dostawczy pick-up. Zorin przez dwadzieścia pięć lat żył jak na wygnaniu i miał teraz duże zaległości. Samochody bardzo się zmieniły od czasów, gdy potrafił w niecałą minutę odpalić każdy pojazd poprzez zwarcie kabli na krótko. Elektroniczne stacyjki, komputery, immobilizery – tego typu wynalazki nie istniały za jego czasów. Ale ten stary pick-up mógł być właśnie tym, czego szukał.

Podszedł bliżej i zobaczył, że drzwi od strony kierowcy nie są zamknięte na klucz. Ostrożnie je otworzył, sięgnął pod kolumnę kierownicy i rozebrał osłonę stacyjki. Niewiele widział w tych ciemnościach, ale właściwie nie było mu to potrzebne. Znalazł trzy pary kabli. Wyszarpnął je, uważając, żeby się nie splątały. Każdy przewód odpowiadał za inną pozycję kluczyka w stacyjce: jeden uruchamiał tylko światła, drugi radio, ostatni zapalał silnik. Ale który był który? To musiał ustalić metodą prób i błędów. Wyciągnął z kieszeni swój nóż i obrał końcówki wszystkich sześciu kabli z izolacji.

Pierwsza para drucików sprawiła, że na moment rozbłysły światła, więc natychmiast ją rozłączył. Następna para lekko zaiskrzyła, po czym uruchomiła rozrusznik, a ten z kolei postawił na nogi silnik. Zorin wiedział, że trzymanie gołych kabli groziło porażeniem, i to całkiem nieprzyjemnym, dlatego ostrożnie rozsunał je jak najdalej od siebie. Nie miał czasu, żeby z powrotem zakładać osłonę. Będzie musiał po prostu uważać.

Jak dotąd szło mu nieźle.

Wskoczył do samochodu, wcisnął gaz i odjechał.

Zerknął na zegarek. Zostało trzydzieści osiem godzin.

Amerykańska wojna o niepodległość oficjalnie zakończyła się w 1783 roku, ale wrogie stosunki między Stanami Zjednoczonymi i Anglią utrzymywały się jeszcze przez kilkadziesiąt lat. Brytyjczycy potajemnie wspierali Indian atakujących granice, próbując zatrzymać dalszą ekspansję Amerykanów na zachód. Wydali także zakaz eksportowania niektórych towarów do swoich kolonii w obszarze Indii Zachodnich. Kiedy Francja znalazła się w stanie wojny z Anglią, władze Stanów Zjednoczonych ogłosiły neutralność, mimo że darzyły Francuzów ogromną sympatią z powodu wsparcia, jakiego ci udzielili Ameryce podczas rewolucji. Kiedy jednak Brytyjczycy zablokowali francuskie porty, a okręty Królewskiej Marynarki Wojennej zaczęły atakować amerykańskie statki i siłą wcielać marynarzy do swoich załóg, Kongres wydał w 1807 roku ustawę o embargu, zakazującą handlu z Wielką Brytanią.

To właśnie wtedy Kanada znów zyskała na znaczeniu.

Podczas wojny o niepodległość Armia Kontynentalna dokonała inwazji na Kanadę. Celem tej kampanii było przekonanie francuskojęzycznych Kanadyjczyków do przyłączenia się do walki przeciwko Wielkiej Brytanii. Jednak Amerykanie ponieśli dotkliwą klęskę w bitwie pod Quebeciem, która miała miejsce w 1775 roku. Podczas pertraktacji pokojowych w 1783 roku negocjatorzy na próżno usiłowali w ramach traktatu uzyskać prawo do kontroli nad prowincją Quebec. Ich wysiłki spęły na niczym. Amerykanom tak bardzo zależało na Kanadzie, że w artykułach konfederacji, przyjętych w 1781 roku, pojawił się zapis, na mocy którego Kanada, choć znajdowała się w rękach Brytyjskich, mogłaby automatycznie przyłączyć się do nowo powstałej unii bez konieczności przegłosowania tego przez pozostałe stany.

Stosunki amerykańsko-brytyjskie osiągnęły punkt krytyczny w 1812 roku, kiedy Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Wielkiej Brytanii. Prezydent James Madison i jego zasiadający w Kongresie poplecznicy przekonywali, że nadszedł czas, by bronić niedawno wywalczonej niepodległości. Jednak decyzja została przeforsowana niewielką ilością głosów. Krytycy tego pomysłu potępiali „wojnę pana Madisona”, określając ją jako lekkomyślne przedsięwzięcie, motywowane nie tyle pobudkami patriotycznymi, co pragnieniem ekspansji.

Ofensywa rozpoczęła się od inwazji na Kanadę.

Partia Demokratyczno-Republikańska Madisona cieszyła się największym poparciem na Południu, zwłaszcza na obszarach wiejskich, a także na terytorium ciągnącym się wzdłuż rzeki Missisipi aż do Wielkich Jezior. Mieszkańcy pogranicza entuzjastycznie odnieśli się do wizji przejścia Kanady, ponieważ podejrzewali tamtejszych Brytyjczyków o dozbrajanie indiańskich plemion. Wszystkim się wydawało, że inwazja pójdzie gładko i że zwykli Kanadyjczycy powitają Amerykanów z otwartymi rękami, niczym wyzwolicieli. Jak twierdził Thomas Jefferson, wystarczyło tylko przekroczyć granicę, żeby kampania zakończyła się zwycięstwem.

Tak się jednak nie stało.

Amerykańska armia była słabo wyposażona, a do tego liczyła niecałe siedem tysięcy żołnierzy. Większość z nich nie przeszła żadnego szkolenia, co skutkowało także brakiem dyscypliny. Na ich czele stanął podstarzały, niezbyt szanowany generał William Hull, którego podwładni uważali za skończonego idiotę. Po nieudanej przeprawie przez rzekę Detroit Hull dał się oszukać i uwierzył, że w jego kierunku zmierza liczny oddział zbrojnych Indian. Dlatego dał swoim żołnierzom,

których miał pod sobą dwa i pół tysiąca, rozkaz do odwrotu i skapitulował przed znacznie mniejszą formacją Brytyjczyków. I tak, choć wojna trwała zaledwie kilka miesięcy, całe terytorium Michigan dostało się w ręce wroga.

Po raz drugi inwazja na północ zakończyła się klęską.

Po 1815 roku Ameryka straciła nadzieję na to, że Kanada kiedykolwiek stanie się częścią Stanów Zjednoczonych. Pomiedzy dwoma sąsiadami znów zapanował pokój. Na początku XX wieku mierząca prawie dziewięć tysięcy kilometrów linia graniczna pomiędzy Kanadą i USA była najdłuższą niezmilitaryzowaną granicą na świecie. Ani jedni, ani drudzy nie mieli wobec siebie złych intencji.

Do czasu drugiej wojny światowej.

Kiedy pod koniec 1940 roku toczyła się bitwa o Anglię, groźba zdobycia Wielkiej Brytanii przez Hitlera wydawała się całkiem realna. Stany Zjednoczone ogłosiły neutralność, ponieważ zarówno członkowie Kongresu, jak i zwykli obywatele nie chcieli mieszać się do tej wojny. Roosevelt miał jednak na ten temat inne zdanie. Uważał, że udział Ameryki w tej walce jest nieunikniony. Według raportów wywiadu jednym z pomysłów Hitlera było ponowne wyniesienie na brytyjski tron Edwarda VIII, który abdykował jeszcze przed wojną, i uczynienie z niego marionetkowego władcy podporządkowanego nazistom. Fakt, że Edward sympatyzował z Niemcami, nie był dla nikogo tajemnicą. Hitler chciał przejąć kontrolę także nad innymi państwami należącymi do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów: Australią, Nową Zelandią, Związkiem Południowej Afryki, Indiami, Kanadą oraz mnóstwem innych kolonii rozrzuconych po całym globie. Mimo uchwały podjętej przez brytyjski parlament w 1931 roku, na mocy której Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Związek Południowej Afryki i Irlandia zyskały niepodległość, wciąż istniały liczne więzy łączące te dawne dominia z Londynem.

Dla Stanów Zjednoczonych opanowanie Kanady, która teoretycznie mogłaby stać się dla Niemców bazą wypadową do dalszych ataków, stało się priorytetem. Ustalono, które plaże mogłyby zostać wykorzystane do przeprowadzenia desantu. Opracowano strategię inwazji wyprzedzającej. Sporządzono dziewięćdziesięcioczęściowy dokument zawierający szczegółowe plany odcięcia dopływu zamorskich posiłków poprzez opanowanie portu Halifax, a następnie zajęcie hydroelektrowni na Niagarze. W tym samym czasie okręty marynarki wojennej miały zablokować wszystkie kanadyjskie porty nad Pacyfikiem i Atlantykiem, a także opanować obszar Wielkich Jezior. Inwazję lądową zaplanowano na trzech frontach: wojsko miało wyruszyć z Dakoty Północnej w kierunku Winnipeg, z Vermont do Montrealu i Quebecu oraz ze Środkowego Zachodu do Ontario, gdzie zamierzano zdobyć bogate w zasoby naturalne kopalnie. Ponadto planowano wysłać wojskowy konwój do Vancouver i w tym samym czasie zaanektować wszystkie kolonie brytyjskie na Karaibach. Kampania miała na celu przejęcie kontroli nad Kanadą i przygotowanie jej prowincji do przekształcenia ich na mocy późniejszego traktatu pokojowego w amerykańskie stany i terytoria zależne.

Stephanie w zdumieniu słuchała monologu Petera Hedlunda.

– To właśnie członkowie Towarzystwa Cyncynatów opracowali plan inwazji w 1812 roku – powiedział Hedlund. – Zadanie powierzył im sam James Madison. Oczywiście mieli się tym zająć w tajemnicy. W tamtym czasie większość naszych członków stanowili weterani wojny o niepodległość. Niektórzy walczyli nawet w kampanii kanadyjskiej w 1775 roku. Nasz plan był wykonalny, ale niestety zarówno marynarka wojenna, jak i wojska lądowe nie zdołały go przeprowadzić. Po prostu nie byliśmy wtedy potęgą militarną, za jaką się uważaliśmy.

– Mówi pan o zamierzcłej historii – zauważył Luke. – A co z inwazją na Kanadę podczas drugiej wojny światowej?

– Wtedy również przygotowaliśmy plan ataku dla Departamentu Wojny, rzecz jasna w sekrecie. Roosevelt sporo wiedział na temat Towarzystwa Cyncynatów, należało do niego kilku jego najbliższych współpracowników. Podobało mu się, że kultywujemy pamięć o rewolucji amerykańskiej, zrzeszając potomków tamtych żołnierzy. Wiedział o pracy, jaką wykonaliśmy podczas wojny w 1812 roku. Podobnie jak Madison chciał być przygotowany do tej kampanii, nie zamierzał jednak angażować pracowników Departamentu Wojny do planowania inwazji na państwo sojusznicze. Dlatego zwrócił się do nas, a my, pozostając w cieniu, opracowaliśmy odpowiednią strategię.

Stephanie zaczęła tracić cierpliwość.

– No dobrze, ale co to jest ten dziennik Tallmadge’a?

Hedlund poprawił się na łóżku. Jego żona stała naprzeciwko Stephanie i Luke’a. Na jej twarzy wciąż malowało się zaniepokojenie. Stephanie zastanawiała się, do jakiego stopnia była wtajemniczona w to, o czym mówił jej mąż, skoro nie wyprosił jej z sali.

Wcześniej, kiedy Hedlund rozmawiał o Benjaminie Tallmadge’u z Pietrową, Stephanie od razu rozpoznała to nazwisko. Wiedziała, że Tallmadge służył w Armii Kontynentalnej i stał na czele siatki szpiegowskiej znanej jako Culper Ring, która bardzo sprawnie działała w okupowanym przez Brytyjczyków Nowym Jorku. Ostatecznie George Washington mianował go szefem wywiadu, w praktyce czyniąc z niego pierwszego amerykańskiego agenta. Po wojnie Tallmadge został kongresmanem, a także, o czym właśnie się dowiedziała, jednym z założycieli Towarzystwa Cyncynatów.

– Tallmadge kierował pracą nad planem inwazji na Kanadę przygotowywanym w 1812 roku dla Madisona – wyjaśnił Hedlund. – Przebieg tych prac skrzętnie odnotowywał w swoim dzienniku. To jeden z nielicznych utajnionych dokumentów, jakie kiedykolwiek znalazły się w posiadaniu towarzystwa, i dlatego przekazują go sobie kolejni strażnicy tajemnic. W rzeczywistości wcale nie zawiera żadnych groźnych informacji. Po prostu doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeśli te zapiski nigdy nie będą publicznie dostępne.

Stephanie doskonale rozumiała pobudki, jakimi się kierowali.

– Wizerunek dobroczynnego towarzystwa założonego przez oficerów wojskowych ległby w gruzach, gdyby wyszło na jaw, że tworzyliście wojenne plany.

– Właśnie – zgodził się z nią Hedlund. – I dlatego w tamtym czasie uznaliśmy, że należy zachować istnienie dziennika w tajemnicy.

– Z pewnością będzie z tego kiedyś świetny film dokumentalny na History Channel – wtrącił Luke. – Ale mnie ciekawi co innego. Wtedy w sypialni, zanim zaczął się pan bawić w bohatera, powiedział pan niejakiemu Begynowi, że „znowu się zaczyna”. Co pan miał na myśli?

– Jest pan dobrym agentem – odparł Hedlund z uśmiechem. – Bardzo spostrzegawczym.

– Tego lata planuję zdobyć stopień skauta orlego. Jeszcze tylko kilka sprawności i dopnę swego.

W każdych innych okolicznościach Stephanie nie darowałaby mu tego sarkazmu rodem z Tennessee, ale doskonale rozumiała, jak się czuje. Pietrowa nie żyła, a ich jedynym tropem był w tej chwili mężczyzna, który wciąż kluczył i udzielał wymijających odpowiedzi.

– Mieliśmy problem z Bradem Charonem – przyznał Hedlund. – Był wspaniałym facetem. Bardzo go lubiłem. Sęk w tym, że za dużo gadał.

– Co raczej nie powinno być cechą strażnika tajemnic – zauważyła Stephanie.

– Absolutnie nie powinno. Mniej więcej trzydzieści lat temu miał miejsce pewien incydent. Brad wpuścił do naszego tajnego archiwum osobę, która nie była członkiem towarzystwa. Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że kiedy to się stało, Brad został odwołany ze swojej funkcji. Tak czy owak,

gdyby tylko na tym się skończyło, nie byłoby żadnego problemu. Niestety po jakimś czasie sytuacja się powtórzyła. Mieliśmy nadzieję, że wszyscy o tym zapomną, ale najwyraźniej tak się nie stało.

– No a Begyn? – nie dawał za wygraną Luke.

– Begyn wie wszystko.

Ale dla Stephanie to było za mało.

– O co konkretnie powinniśmy go zapytać?

– To proste. Zapytajcie go, czym według ojców założycieli miała stać się Kanada po amerykańskiej rewolucji. Jaki kryptonim nosił plan inwazji na Kanadę w 1812 roku. I jak Roosevelt nazwał swój plan z czasów drugiej wojny światowej. Wszystkie te trzy koncepcje łączy to samo hasło.

Stephanie czekała w milczeniu.

– *Czternasta kolonia.*



# ROZDZIAŁ 40

## WYSPA KSIĘCIA EDWARDA

Zorin miał doskonały czas.

Znał się na smartfonach, nawigacji satelitarnej, nawet na aplikacjach dokładnie wskazujących kierunek, ale i tak wolał tradycyjne metody. Zatrzymał się przy nadmorskim motelu, gdzie dostał mapę wyspy, i ustalił trasę do Charlottetown. Ciemne drogi były niemal zupełnie puste i podróż na południowy wschód zajęła niecałą godzinę. Zorin jechał ostrożnie, nie przekraczał dozwolonej prędkości i stosował się do wszystkich znaków. Nie chciał ryzykować, że ściągnie na siebie uwagę jakiegoś wścibskiego policjanta.

Mając adres Jamiego Kelly'ego, szybko zlokalizował na mapie właściwą ulicę. Na pewno pomagał mu fakt, że w przeszłości zdarzyło mu się już odwiedzić tę wyspę. Jej wschodnia połowa, gdzie znajdowały się ziemie uprawne, była gęściej zaludniona, na wybrzeżach roilo się od przystani rybackich. Zachodnia część pozostawała nieco bardziej dzika, rosło tam więcej lasów i mieszkało mniej ludzi. Najbardziej rozwinięty był wąski pas centralny, w którym mieściło się Charlottetown. To tu w 1864 roku miała miejsce słynna konferencja, na której narodziła się Konfederacja Kanady. Zorin był kiedyś nawet w budynku Province House, gdzie odbyło się to historyczne spotkanie.

Przez trzy lata miał swoją bazę operacyjną w Ottawie, potem przeniósł się do Quebecu. Należał do grupy trzynastu oficerów przydzielonych do Towarzystwa Przyjaźni Sowiecko-Kanadyjskiej, według oficjalnej wersji stworzonego po to, by promować współpracę i wymianę kulturową między oboma państwami, ale w rzeczywistości służącego jako przykrywka dla działalności KGB. Wykradanie kanadyjskich tajemnic państwowych nigdy nie zaliczało się do priorytetów Związku Radzieckiego, ale gdyby tak było, na pewno okazałoby się to stosunkowo łatwe z uwagi na niekompetencję Kanadyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej. Za czasów Zorina ta agencja istniała od niecałych dziesięciu lat, jej ludzie byli więc w branży szpiegowskiej jak dzieci i nie stanowili żadnej konkurencji dla o wiele bardziej doświadczonych funkcjonariuszy KGB. Poza tym bez trudu dało się wykorzystywać niezliczonych Kanadyjczyków, którzy nie znosili Stanów Zjednoczonych. On sam osiągnął tu kilka niemałych sukcesów, zbierając informacje dotyczące aktywności Amerykanów na Arktyce i metod używanych przez Kanadę i USA do wykrywania sowieckich okrętów podwodnych typu Tajfun oraz zdobywając mapy dna morskiego, nieocenione dla radzieckiej floty podwodnej. Zawsze wykonywał swoją pracę z dużą starannością i oddaniem. Mieszkał tu sam, a jego żona i syn zostali w Związku Radzieckim – w przeciwieństwie do innych kobiet, które wyjeżdżały razem z mężami za granicę, jego żona wcale nie miała ochoty żyć na Zachodzie.

Zorin zwolnił, ponieważ wjeżdżał do historycznej dzielnicy Charlottetown. Po obu stronach szerokich ulic rosły drzewa z gołymi gałęziami. Imponujące kościoły, architektura wiktoriańska i oszalowane domy zdradzały brytyjskie dziedzictwo wyspy, ale zauważył, że dziś dominują tu raczej modne kawiarnie i nowoczesne sklepy. Niewątpliwie miasto wyglądało inaczej, niż kiedy widział je po raz ostatni, wiele lat temu. Naszła go refleksja o nieustannie zmieniających się czasach i przez chwilę czuł się bardzo stary.

Wiele lokali gastronomicznych było nadal otwartych i korzystało z piątkowego ruchu. Zorin zjechał z głównej alei i minął hotel Great George, w którym mieszkał w latach osiemdziesiątych. Następna ulica nosiła nazwę University, ale jego nie interesowała uczelnia, tylko jeden z jej pracowników. Jamie Kelly

mieszkał w Stratford, sąsiednim miasteczku leżącym zaraz za rzeką Hillsborough.

Kierując się mapą, przejechał przez długi most ponad ciemną, szeroką wstęgą wody, która biegła prosto jak autostrada. Następnie odbił na południe i znalazłszy się na dwupasmowej drodze, ruszył w poszukiwaniu celu swojej wyprawy. Jechał jak robot, z wyłączonym umysłem, a jego ciało automatycznie reagowało na zmieniające się warunki. W sielskiej okolicy, do której trafił, stało więcej eleganckich wiktoriańskich domów na przestronnych, zadrzewionych działkach. Tylko gdzieś w oknach paliły się światła. Dom pod wskazanym adresem znajdował się na końcu uliczki. Był to piętrowy, kwadratowy budynek z ceglanym frontem i oknami wykuszowymi na obu kondygnacjach. Rozejrzał się i stwierdził, że dom jest zwrócony na wschód, a rzeka płynie jakieś kilkaset metrów dalej na zachód, za rosnącym na tyłach budynku pasem drzew.

Zaparkował pick-upa na ulicy i zauważył, że w domu Kelly'ego i na parterze, i na piętrze palą się światła. Nie widział skrzynki pocztowej ani niczego innego, co mogłoby zidentyfikować lokatora. Tylko numer domu. Wszedł z samochodu i wziął ze sobą swoją torbę, żeby nie zostawiać jej bez opieki.

Nie wiedział, czy w środku czekają na niego kłopoty.

Ale był na to przygotowany.

Malone z uwagą obserwował pick-upa zatrzymującego się przed domem Jamiego Kelly'ego. Siedział razem z Cassiopeią w samochodzie, który czekał na miejscowym lotnisku, gdzie wylądowały ich dwa francuskie myśliwce. Edwin Davis zgodnie z obietnicą zajął się wszystkimi przygotowaniami. Po drodze mieli małe opóźnienie z powodu niekorzystnych warunków pogodowych nad Grenlandią, ale i tak udało im się przybyć na miejsce dobre pół godziny przed tym, zanim nad wyspą przeleciał samolot Zorina.

Kanadyjska kontrola ruchu powietrznego we współpracy z Królewską Policją Konną bacznie obserwowała odrzutowiec i odnotowała lekkie odchylenie od planowanego kursu, które sprawiło, że samolot ominął Nową Szkocję, ale za to zahaczył o północne wybrzeże Wyspy Księcia Edwarda. Nie sposób było stwierdzić, czy Zorin wyskoczył ze spadochronem, ale Malone cały czas zakładał, że Rosjanin taki właśnie miał plan. W ten sposób zmniejszyła się ryzyko wykrycia przez obce służby, choć oczywiście nocny skok z lecącego z dużą prędkością odrzutowca wymagał nie tylko umiejętności żołnierza specnazu, ale i odrobiny szczęścia. Jeśli Zorin zginął podczas próby skoku, sprawa była zakończona. Jeśli nie, były agent KGB powinien skierować się prosto pod ten adres.

I właśnie tak się stało.

– To on – odezwał się do Cassiopei, patrząc na Zorina przez lornetkę noktowizyjną, którą znalazł w samochodzie razem z dwiema berettami i dodatkowymi magazynkami.

Zaparkowali na jednym z podjazdów biegnących wzdłuż ulicy, licząc na to, że mieszkańców ciemnego budynku nie było akurat w domu. Ich wóz wyglądał zatem jak jeden z wielu anonimowych samochodów stojących na podjazdach i nie miał prawa wzbudzić żadnych podejrzeń Zorina. Do środka przez lekko opuszczoną szybę sączyło się chłodne powietrze, dzięki czemu okna nie zachodziły mgłą.

– Co teraz? – zapytała Cassiopeia.

Malone osunął się na swoim siedzeniu, opierając głowę o ramę drzwi.

– Teraz czekamy.

Zorin podszedł do drzwi wejściowych. W podłużnych oknach po obu stronach paliło się światło. Kolumny na ganku podtrzymywały przybudówkę na piętrze. Wszystkie osiem okien na górze jarzyło się bursztynowym blaskiem lamp. Przez drzwi przebijały się dźwięki jakiejś opery.

Zapukał na tyle głośno, żeby na pewno go usłyszano.

W środku ktoś ściszył muzykę, a po chwili rozległ się odgłos kroków na twardej podłodze. Zamek

szczęknął i w pionowym pasku światła pomiędzy drzwiami a futryną ukazała się twarz sześćdziesięciokilkuletniego mężczyzny z siwą brodą. Kiedy Zorin ostatni raz widział tego człowieka, podczas pamiętnego spotkania z Andropowem, jego włosy były czarne. Teraz się przerzedziły i zrobiły całkiem siwe. Podgardle porastał mu co najmniej dwudniowy zarost, a między przednimi zębami widniała ta sama szpara co kiedyś.

– Witaj, towarzyszu – powiedział.

Rosjanin, który przybrał nazwisko Jamie Kelly, wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

Nagle na jego wąskich wargach wykwitł upiorny uśmiech.

Zorin wiedział, że i on został rozpoznany.

– Aleksandr Zorin. Bardzo długo czekałem na twoje przybycie.

Cassiopeia patrzyła, jak Zorin wchodzi do budynku i zamykają się za nim drzwi. Cieszyła się, że jest znowu z Cottonem. Tu właśnie było jej miejsce. Ciągłe nie mieli okazji powiedzieć sobie wszystkiego, co leżało im na sercu, odbyli jedynie tę krótką rozmowę we Francji. Wszystko działo się zbyt szybko i ani przez chwilę nie byli sami, może z wyjątkiem ostatnich trzydziestu minut spędzonych w samochodzie. Nie próbowała jednak się przed nim usprawiedliwiać, nie prosiła o współczucie czy wyrozumiałość, tylko jeszcze raz powtórzyła, że spotkała ją krzywda, tym samym wystawiając się na cios, który z łatwością mógł jej zadać.

Ale nie zrobił tego.

Zamiast tego przyjął jej wyznania ze zrozumieniem i przyznał się do własnych błędów.

– Wygląda na to, że jest tutaj cała stara gwardia – odezwał się Cotton.

Dzięki jego telefonowi do Białego Domu Cassiopeia wiedziała już dokładnie, z czym mają do czynienia. To było trochę jak polowanie, ulubiona rozrywka jej ojca. Kilka razy zabrał ją ze sobą, żeby zobaczyła, jak tropi jelenia. Zawsze umiał zachować odpowiedni dystans, jednocześnie trzymając się na tyle blisko, by w każdej chwili wiedzieć, co może zrobić zwierzę, i cierpliwie czekał na idealny moment do oddania strzału. I chociaż sama nie przepadała za polowaniami, uwielbiała spędzać czas z ojcem. Teraz razem z Cottonem śledzili swojego jelenia przez całą drogę z Syberii aż do Kanady, a po drodze nawet nie pozwolili go zabić innemu łowcy.

– Ale chyba nie będziemy tu tylko siedzieć? – powiedziała.

– Niecierpliwa jak zawsze – odparł Cotton z uśmiechem.

– Moglibyśmy na przykład się całować.

– To dopiero dobry pomysł. Ale choć perspektywa wydaje się niezmiernie kusząca, mamy zadanie do wykonania. – Sięgnął na tylne siedzenie i chwycił marynarski worek, który leżał tam już, kiedy wsiedli do samochodu.

– Nie byłem pewny, co się wydarzy, ale wolałem się przygotować.

Rozpiął zamek i wygrzebał ze środka małe urządzenie elektroniczne z kablem.

– Musimy to przyczepić do któregoś z okien. Wtedy będziemy mogli podsłuchiwać. Nie jest to może sprzęt z najwyższej półki, ale powinien dać sobie radę.

– Rozumiem, że któreś z nas ma się tym zająć.

– To brzmi jak idealne zadanie dla ciebie.

– A co z tobą?

– Ja będę się gapił na twój tyłek.

Posłała mu szelmowski uśmiech.

– Nie wątpię.

# ROZDZIAŁ 41

Luke usiadł za kierownicą forda escape'a i razem ze Stephanie opuścili Annapolis. Peter Hedlund miał przebywać w szpitalu jeszcze przez kilka dni.

– Dopilnowałem, żeby śmierć Pietrowej pozostała tajemnicą – powiedział. – Policja stanowa Maryland zgodziła się współpracować, choć dopiero po interwencji Secret Service, która podciągnęła sprawę pod bezpieczeństwo narodowe.

Dobrze było mieć Biały Dom za sojusznika.

– Publicznie będą mówić tylko, że ofiara nie została zidentyfikowana.

Widział, że jego była szefowa jest zmęczona i wcale jej się nie dziwił. Dochodziła północ, a oni mieli za sobą bardzo długi dzień.

– Obiecałam Fritzowi Stroblowi, że zwrócę mu wóz w jednym kawałku – odezwała się Stephanie. – Jestem wdzięczna, że go nie rozbiłeś.

– Rozumiem, że jedziemy zobaczyć się z Larrym Begynem? – zapytał.

– Z samego rana. Oboje musimy się trochę przespać. Cotton ma Zorina pod kontrolą, a tutaj wszystko utkwilo w martwym punkcie. Zadzwoiłam do Edwina i powiedziałam mu, że najwyższy czas chwilę odpocząć.

Luke nie mógł się z tym nie zgodzić.

Telefon Stephanie zaczął wibrować. Spojrzała na wyświetlacz.

– To nie będzie przyjemne – stwierdziła, po czym odebrała telefon.

– Ignorujesz mnie – w głośniku odezwał się głos Danny'ego Danielsa.

– Twój szef sztabu wie o wszystkim.

– Chcę to usłyszeć od ciebie, bezpośrednio.

– Nie spodoba ci się to.

– Nie masz pojęcia, ile rzeczy mi się w tej chwili nie podoba.

Stephanie zrelacjonowała prezydentowi wydarzenia ostatnich kilku godzin, kończąc na śmierci Pietrowej i rewelacjach Hedlunda. Daniels opowiedział im następnie o postępach Cottona, który w ślad za Zorinem pojechał do Kanady. Dla Luke'a każdy, kto jest w stanie wykonać nocny skok z odrzutowca pędzącego nad nieznanym terytorium, zasługiwał na sporą dozę szacunku. Sam zrobił coś podobnego dwukrotnie, jeszcze jako ranger, i za każdym razem było to dosyć straszne przeżycie.

– Ale mamy nowy problem – oznajmił na koniec prezydent.

Luke'owi nie podobał się jego poważny ton.

– Moskwa dostała szału.

Malone ruszył przodem i poprowadził Cassiopeię przez ciemną ulicę w kierunku domu Jamiego Kelly'ego. Edwin Davis, od którego dostali adres, przekazał im również garść informacji na temat mieszkającego pod nim osobnika.

Kelly miał sześćdziesiąt cztery lata. Wcześniej, od 1993 do 2005 roku, pracował na uniwersytecie Georgetown jako zastępca dziekana do spraw studenckich. Potem przeprowadził się do Kanady, zamieszkał na Wyspie Księcia Edwarda i zatrudnił się na pół etatu na miejscowym uniwersytecie. Nie był nigdy karany. Miał wzorową historię kredytową, nigdy nie pojawił się na niczyjej czarnej liście ani nie ściągnął na siebie zainteresowania organów państwowych. Jeśli Kelly rzeczywiście był sowieckim

kretem, najwyraźniej znał się na swoim fachu jak mało kto, ponieważ ani razu nie padł na niego nawet cień podejrzenia. Po zakończeniu zimnej wojny historycy dowiedzieli się, że ludzie z KGB zinfiltrowali niemal każde społeczeństwo na świecie. Stany Zjednoczone były oczywiście ich głównym celem, więc nikt nie miał wątpliwości, że są tam agenci obcych służb. Raz na jakiś czas ujawniono jakieś nazwisko i czyjaś prawdziwą tożsamość, ale ogólnie rzecz biorąc, ci szpiedzy pozostawali niewykryci. Teoretycznie to wszystko miało już niewielkie znaczenie. Rosja i Stany Zjednoczone nie byli już wrogami. Czasem jednak trudno było dostrzec jakiegokolwiek oznaki przyjaznych relacji między oboma państwami. Stare nawyki trudno jest wykorzenić.

Chłodne nocne powietrze szczypało w nos i wysuszało gardło. Zarówno Cotton, jak i Cassiopeia mieli na sobie ubrania z goreteksu, które dostali od Francuzów. Ciemność zapewniała doskonałą osłonę. Cicha podmiejska okolica już dawno pogrążyła się we śnie.

Dotarli do końca grubego żywopłotu okalającego dom i ostrożnie przeszli wąskim przesmykiem pomiędzy krzewami a ścianą budynku do światła bijącego z okna na parterze. Z wnętrza dobiegały stłumione głosy. Malone postanowił zaryzykować i zerknął przez szybę – zobaczył Zorina i drugiego mężczyznę z brodą siedzących w salonie. Skinął głową na Cassiopeię, która uniosła urządzenie podsłuchowe i ostrożnie przycisnęła przyssawkę do lewego dolnego narożnika okna. Kabel był już podłączony do odbiornika.

Włożyła słuchawkę do ucha i dała mu znak, że wszystko działa jak należy.

Malone wycofał się stamtąd, czujnie rozglądając się wkoło.

Zorin z podziwem oglądał dom Kelly'ego. Pomieszczenia znajdowały się po obu stronach centralnego korytarza, przez co miało się wrażenie, jakby w środku mieściły się dwa symetryczne mieszkania. Wnętrze zdobiły kunsztownie wykonane ornamenty, takie jak drewniane gzymsy, łuki, żłobkowane listwy i rozety na suficie. Reszta wystroju była równie imponująca: na ścianach wisiało mnóstwo obrazów, na stołach stały rzeźby. Pokój, w którym usiedli na tapicerowanych fotelach, miał jedno wykuszowe okno od frontu oraz drugie na bocznej ścianie. Zorin położył swoją torbę na podłodze obok fotela. Za przyjemne ciepło odpowiadały kaloryfery oraz ogień trzaskający w zabytkowym kominku. W powietrzu unosił się lekki zapach eukaliptusa.

– Dawno się nie widzieliśmy – powiedział idealną angielszczyzną Kelly.

Zorin nie miał ochoty na wstępne pogaduszki.

– Dlaczego na mnie czekałeś?

– Tęsknię za dawnymi czasami. Ty też za nimi tęsknisz?

Powtarzał sobie, że ten człowiek to zawodowiec. Skutecznie zakorzenił się w zachodnim społeczeństwie, a to wymagało zarówno dużej wprawy, jak i cierpliwości. Zawsze wiedział, że z tamtej trójki to on będzie stanowił największe wyzwanie.

– Jestem tu właśnie ze względu na dawne czasy.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział Kelly. – Prawie wszyscy inni już odeszli. Gdy o nich myślę, ogarnia mnie smutek. Dokonaliśmy wielkich rzeczy, Aleksandrze.

– Mieszkasz tu sam?

Kelly pokiwał głową.

– To jedno, czego żałuję. Nigdy się nie ożeniłem. Byłoby to zbyt ryzykowne. Miałem wiele kobiet, w większości nie były zbyt mądre ani piękne, ale za to chętne. Pomagały się na chwilę rozerwać. Ale jestem już na to trochę za stary. A ty? Znalazłeś sobie kogoś?

– Moja żona zmarła – odparł Zorin. Nie chciał wspominać o Anji.

– Tacy jak my nie powinni być sami. Większość czasu spędzam na czytaniu.

– Dlaczego mieszkasz w Kanadzie?

– Przyjechałem tu raz wiele lat temu i postanowiłem, że jeśli przeżyję, nie zostanę rozstrzelany albo wsadzony do więzienia, na starość osiadę w tym kraju. Rozumiesz, o czym mówię, prawda? Nigdy nie wiesz, kiedy po ciebie przyjdą ani czy w ogóle to zrobią. Nie wiesz, kto na ciebie doniósł albo cię wydał. Pewnego dnia po prostu się u ciebie pojawiają, z bronią i odznakami, i znikasz. Co zadziwiające, mnie udało się tego uniknąć. Ale muszę przyznać, że kilka minut temu, gdy usłyszałem, jak pukasz do drzwi, przeszedł mnie dreszcz. Trochę za późno na gości.

– Ładnie się urządziłeś – zauważył Zorin, rozglądając się po bogatym wnętrzu.

W powietrzu między nimi zawisło to, czego nie powiedział na głos.

*Jak kapitalista.*

– Kiedy upadł Związek Radziecki, uznałem, że powinienem całkowicie przystosować się do życia na Zachodzie.

– Mogłeś też wrócić do domu.

– Do czego? Wszystko, co znałem, przestało istnieć.

Tu niewątpliwie miał rację.

– Więc postanowiłeś sam stać się wrogiem?

– Chciałbym, żeby to było takie proste, Aleksandrze – odparł Kelly z uśmiechem. – Dla wszystkich naokoło byłem Amerykaninem, więc po prostu dalej odgrywałem tę rolę.

– Przysłano cię tu, żebyś ich szpiegował.

Kelly wzruszył ramionami.

– Takie było moje pierwotne zadanie, a dzięki posadzie na uniwersytecie w Waszyngtonie zyskałem dostęp do wielu osób. Poznałem zastępcę przewodniczącego Senackiej Komisji ds. Wywiadu i jednego człowieka z RAND Corporation, miałem przyjaciela w Brookings Institute i kilku kolegów w Departamencie Stanu. Byłem doskonałym kretem, ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o szpiegowanie. Wykonywałem swoją pracę aż do chwili, gdy przestała ona mieć znaczenie.

Najwyższy czas przejść do sedna.

– *Szkolny mat.* Ukończyłeś misję?

– A jeśli tak, to mnie też zamierzasz zabić? – Kelly szybkim ruchem wsunął rękę pod rozpiętą koszulę za plecami i wyjął zza pasa rewolwer. – Chyba nie myślisz, że w środku nocy podszedłbym do drzwi nieuzbrojony. Zapewniam cię, towarzyszu, że mną nie pójdzie ci tak łatwo, jak z tamtymi dwoma.

Zorin siedział nieruchomo, próbując pozbierać myśli i obrać jakąś taktykę. Nie mógł tego zepsuć.

– Skąd wiedziałeś?

– Jestem wyszkolonym oficerem KGB, tak jak ty – odparł Kelly po rosyjsku. – Zwracam uwagę, co się wokół mnie dzieje.

Tylko tutaj, w bezpiecznej przestrzeni własnego domu, pod osłoną ciemnej, zimnej nocy, obaj mogli się odważyć mówić w ojczystym języku. Wydawało się to w jakimś sensie stosowne do sytuacji, dlatego Zorin również przeszedł na rosyjski.

– Nie przyjechałem, żeby cię zabić.

– Więc po co?

– Chcę dokończyć to, co zamierzał zrobić Andropow. Jego plan zbyt długo pozostawał w zawieszeniu.

– Moje rozkazy były jasne. Miałem nie meldować o niczym nikomu z wyjątkiem samego Andropowa.

– Według moich rozkazów powinieneś zgłosić się do mnie.

Kelly zaśmiał się pod nosem.

– To, jak mniemam, nie najlepiej by się dla ciebie skończyło.

Nagle wszystko stało się jasne. Po tym, jak doniósłby o powodzeniu *Związania bezwarunkowego*

i *Cofniętego piona*, sam zostałby zlikwidowany.

Na placu boju zostaliby tylko Kelly i Andropow.

Z bombami walizkowymi.

– Zameldowałem o drugiej egzekucji – powiedział – ale wtedy nikt już nie wiedział, o czym mówię.

– Bo Andropow dawno nie żył, a nikogo innego to nie obchodziło. Z pewnością sam widzisz, towarzyszu, że to wszystko już odeszło w przeszłość. – Głos Kelly’ego ścichł, jakby eksszpieg był już zmęczony zmaganiem się z zaginionymi teoriami i zapomnianymi ideałami. – Wszystko, co obaj znaliśmy, przestało istnieć. Tak naprawdę zostaliśmy tylko ty i ja. Jesteśmy prawdopodobnie jedynymi ludźmi na świecie, którzy wiedzą, co miał oznaczać *Szkolny mat*.

– Bardzo długo czekałem, żeby odplacić się Zachodowi – odparł Zorin. – Oni nas zniszczyli, dlatego usilnie szukałem sposobu na to, by chociaż w jakimś stopniu się na nich zemścić. Do wczoraj nie wiedziałem nawet, czy jeszcze żyjesz. Przebyłem daleką drogę, żeby zwrócić się do ciebie o pomoc. Ty znasz sposób, a ja mogę zapewnić nam niezbędne środki. Razem możemy sprawić, że *Szkolny mat* stanie się rzeczywistością.

Widział przynajmniej, że Kelly słucha z uwagą.

– Pamiętasz, co Andropow mówił tamtego wieczora? Co powiedział na sam koniec?

Kelly pokiwał głową.

– Każde słowo.

On także pamiętał.

*Musicie wiedzieć, towarzysze, że to, co wspólnie osiągniemy, uderzy w Amerykę u jej podstaw. Oni uważają się za tak doskonałych, tak nieomylnych. Ale mają słabe punkty. Udało mi się odkryć dwa z nich i teraz, gdy nadejdzie właściwa chwila, wszyscy razem damy Ameryce nauczkę. Minimum wysiłku, maksimum efektu. Oto nasz cel i właśnie tego od was oczekuję. To najważniejsza operacja, jakiej kiedykolwiek się podjęliśmy. A zatem, towarzysze, kiedy przyjdzie czas, musimy być gotowi.*

– Ta chwila nadeszła – stwierdził Zorin. – Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów, ale wiem już dostatecznie dużo.

Kelly nadal milczał, ale opuścił broń. Czyżby gest dobrej woli?

– Zdajesz sobie sprawę, że plan może dziś już być niewykonalny? – powiedział.

Zorin starał się nie popadać w zbyt ni optymizm, ale postawił sprawę jasno.

– Jestem gotowy podjąć to ryzyko. A ty?

Cassiopeia słuchała toczącej się w domu rozmowy i zwróciła uwagę, że gdy dwaj mężczyźni przeszli z angielskiego na rosyjski, zmienił się także ich ton – z ostrożnego stał się konspiracyjny. Ona także odważyła się zajrzeć do środka i zobaczyła, jak Kelly opuszcza broń, z której wcześniej mierzył do Zorina. Uświadomiła sobie teraz, że Cotton poprosił, by zajęła się podsłuchem właśnie na wypadek, gdyby ci dwaj zaczęli mówić po rosyjsku.

Jak zwykle pomyślał o wszystkim.

To kolejna cecha, którą w nim uwielbiała.

– Jestem gotowy od ponad dwudziestu lat – odezwał się Kelly. – Wykonałem swój obowiązek.

– A zatem, towarzyszu, powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć.

Stojąc na trawniku, Malone jednym okiem zerkał na Cassiopeię przyczajoną w krzakach koło domu, a drugim monitorował ulicę. Na zimnym powietrzu jego oddech od razu zmieniał się w parę. Zorin z pewnością nie podejrzewał, że może być w tej chwili obserwowany, a już na pewno nie przez tego samego amerykańskiego agenta, którego ostatni raz widział przykutego kajdankami do rury w swojej

własnej piwnicy. Do tego domu w Kanadzie przywiodły ich dwie zupełnie różne trasy. Czy na amerykańskiej ziemi naprawdę mogło zostać ukrytych pięć ładunków jądrowych rozmiaru walizki? Malone z jednej strony nie bardzo sobie wyobrażał, jak coś podobnego mogłoby uniknąć wykrycia, ale z drugiej strony wiedział, że kontrole graniczne w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych nie wyglądały tak jak dziś. Państwa nie pilnowały swoich granic z taką samą czujnością, jakiej nauczyła ich wojna z terroryzmem. Malone zameldował Białemu Domowi o wszystkim, czego się dowiedział, zakładał więc, że po tamtej stronie Stephanie także nie próżnowała. Ale najszybsza droga do ukrytych bomb walizkowych wiodła i tak przez dom Jamiego Kelly'ego.

Spojrzał na zegarek.

Według czasu kanadyjskiego piątek dobiegł końca i zaczęła się sobota.

Usłyszał jakiś dźwięk, a gdy się odwrócił, zobaczył samochód jadący wolno ciemną ulicą. Miał wyłączone światła, a to nigdy nie był dobry znak. Malone stał schowany za pniem solidnego dębu, sądząc po obwodzie, całkiem wiekowego. Za jego plecami grunt opadał lekko w stronę rzeki, a pomiędzy domem i jej brzegiem gdzieniegdzie rosły jeszcze pojedyncze drzewa.

Samochód zatrzymał się niedaleko podjazdu pod domem Kelly'ego, zaraz za pick-upem Zorina.

Wyłoniły się z niego cztery czarne postacie.

Każda trzymała w rękach krótkolufowy karabin automatyczny.



# ROZDZIAŁ 42

## WASZYNGTON

Stephanie szła przodem, prowadząc Luke'a do Gabinetu Ovalnego. Danny kazał im przyjechać do siebie prosto z Annapolis. Odpoczynek musiał poczekać. W środku już czekał na nich prezydent, jego szef sztabu i jeszcze jeden gość.

Nikołaj Osin.

– Zamknij drzwi – powiedział Danny do Luke'a.

Stephanie od razu zauważyła zmiany w gabinecie. Na ścianach pojawiły się puste przestrzenie, zniknęły zdjęcia i inne pamiątki, którymi Danny tak bardzo lubił się otaczać. Za trzydzieści siedem godzin skończy się jego czas za tym słynnym dębowym biurkiem. Kiedy nowy prezydent przejmie władzę, urządzi gabinet wedle własnego gustu.

– Robi dość przygnębiające wrażenie, prawda? – odezwał się Danny, widząc, że Stephanie rozgląda się po opustoszałym wnętrzu.

– Ale to czyni ten kraj wielkim – odparła.

Podczas gdy w innych państwach przekazywanie władzy z rąk do rąk bywało problematyczne, tutaj odbywało się całkiem gładko. Zgodnie z pierwotnym zapisem w konstytucji wybory prezydenckie należało przeprowadzić w listopadzie, faktyczne zaś objęcie urzędu dokonywało się czwartego marca następnego roku. Jednak te cztery miesiące od chwili wyborów do czasu zaprzysiężenia okazały się kłopotliwe. Zanim Lincoln przejął władzę z rąk Buchanana, siedem stanów zdążyło dokonać secesji. Wielki kryzys znacznie się pogłębił w czasie, gdy Ameryka czekała na objęcie urzędu przez Roosevelta po odejściu Hoovera. Ustępujący prezydent, słusznie lub nie, był postrzegany już tylko jako nominalny przywódca, z którego zdaniem nikt się nie liczył, podczas gdy prezydent elekt oficjalnie nie był jeszcze uprawniony do podejmowania jakichkolwiek decyzji.

Sytuacja uległa zmianie za sprawą dwudziestej poprawki do konstytucji. Według nowego zapisu kadencja prezydenta dobiega końca dwudziestego stycznia, dokładnie o godzinie dwunastej w południe. Kongres uchwalił także kilka dodatkowych ustaw regulujących przejęcie władzy, zgodnie z którymi nowy prezydent musi mieć zapewniony zespół pomocników, dostęp do wszystkich służb rządowych, szkolenie dla nowego personelu i fundusze na pokrycie wszystkich kosztów. Stephanie dokładnie wiedziała, co się stanie w niedzielę o godzinie 12:01, tuż po zaprzysiężeniu prezydenta Warnera Scotta Foksa. Akta i inne dokumenty, które nie zostały usunięte, natychmiast trafią do niszcarki. Wszystkie hasła i kody dostępu zostaną zmienione. W Białym Domu pojawią się nowi ludzie, którzy od razu przejmą obowiązki starej ekipy. Nawet archiwum zawierające przemówienia, materiały prasowe, oficjalne komunikaty oraz nagrania wideo dotyczące ośmiu lat prezydentury Danielsa zniknie z oficjalnej strony Białego Domu. Pięć po dwunastej pełnia władzy będzie już w rękach nowego rządu, a proces jej przekazywania ani na moment nie sparaliżuje funkcjonowania państwa.

– Tak, jesteśmy takim oświeconym narodem – odparł Daniels. – Co nie zmienia faktu, że to jednak jest przygnębiające. Powiedziałem już swoim ludziom, żeby sobie darowali wygłupy.

W kręgach rządowych istniał niepisany zwyczaj, że odchodząca ekipa zostawiała nowej jakąś zabawną niespodziankę. Najsłynniejszy dowcip zrobili ludzie Clintona, kiedy przed objęciem władzy przez George'a W. Busha pousuwali ze wszystkich klawiatur literę „W”.

Stephanie usiadła na sofie obok Luke'a, zwrócona twarzą do Osina i Edwina Davisa. Danny wygodnie rozsiadł się w głębokim bujanym fotelu z wysokim oparciem. Ile razy była w tym gabinecie? Zbyt wiele, żeby mogła spamiętać. Ile przeżyła już kryzysów? Zdecydowanie za dużo.

Ten mógł być jej ostatnim.

– Zdajesz sobie sprawę, że już nie mam dostępu do tajnych informacji? – powiedziała. – Oficjalnie jestem zwykłym cywilem.

– Tak, a Edwin szuka pracy. Osin w każdej chwili może stracić życie. Luke od poniedziałku ma nowego szefa. A ja właśnie idę w odставку. Każdy z nas ma swoje problemy.

Stephanie doskonale rozumiała, skąd to rozgoryczenie.

– Co się dzieje, Nikołaj?

– W moim rządzie nastąpił rozłam. Ten podział trwa już od jakiegoś czasu, ale obecna sytuacja sprawiła, że niektóre sprawy nabrały tempa. – Osin opowiedział o tym, jak dostał polecenie, żeby przekonać władze Stanów Zjednoczonych do wszczęcia poszukiwań archiwisty Wadima Bielczenki. Rozkaz przyszedł prosto z Kremla.

– Uznano, że jeśli was w to wciągniemy, dla wszystkich stanie się oczywiste, że w żaden sposób nie jesteśmy zaangażowani w to, co robi Zorin. Ludzie, którzy wydali ten rozkaz, chcieli pokazać Ameryce, że Rosja nie ma z tym nic wspólnego. To, czego szuka Zorin, najprawdopodobniej już dawno nie istnieje, dlatego władze doszły do wniosku, że nie zaszkodzi zwrócić się do was o pomoc. Mieliście znaleźć Bielczenkę i zatrzymać Zorina, a to wszystko na prośbę Rosji.

– Chcieliście w ten sposób udowodnić, że można wam zaufać? – spytał Luke.

Osin skinął głową.

– Dokładnie tak. Ale na Kremlu jest jedna frakcja, która nie zgadzała się z tym pomysłem.

– Problem polega na tym – odezwał się Danny – że to, czego szuka Zorin, wcale nie musiało zniknąć z powierzchni ziemi.

– A członkowie tej frakcji – dokończył Osin – sami chcą to znaleźć i sobie przywłaszczyć.

Wcześniej, kiedy jechali razem samochodem, Osin powiedział jej co nieco na ten temat. Natomiast Edwin był dość powściągliwy podczas dwóch rozmów telefonicznych, które ze sobą odbyli. Jednak Stephanie doskonale rozumiała przyczynę jego zachowania – po prostu o pewnych sprawach wolał nie mówić głośno przez telefon. Ale tutaj, w jednym z najbezpieczniejszych miejsc na całej kuli ziemskiej, mogli wreszcie rozmawiać otwarcie.

Spojrzała na Osina i zapytała wprost:

– Powiedz mi, czego dokładnie szuka Zorin.

– Pięciu przenośnych bomb jądrowych ukrytych przez KGB w latach osiemdziesiątych. To była ostatnia część operacji o kryptonimie *Szkolny mat*. Ładunki wciąż mogą być sprawne.

Nie brzmiało to zbyt dobrze.

– Wracając do rozłamu w rosyjskim rządzie – kontynuował Osin. – Główna frakcja w zasadzie przejęła kontrolę nad SWR oraz naczelnym dowództwem armii. Jej przedstawiciele nie są ani komunistami, ani postępowcami. W rzeczywistości są o wiele gorsi. Ich nadrzędnym i jedynym celem jest dbanie o własny interes. Świetnie się urządzili w nowej rosyjskiej rzeczywistości. Kiedy dowiedzieli się o *Szkolnym macie* i o tym, że operacja wciąż może być w toku, wydali rozkaz zlikwidowania waszych dwóch agentów. A potem kazali zestrzelić samolot Zorina. Ale ten wasz Malone im w tym przeszkodził, pozwalając Zorinowi uciec.

– Cotton i Cassiopeia są teraz na Wyspie Księcia Edwarda – powiedział Danny. – Pojechali tam za Zorinem. Kazałem im go śledzić, żeby zobaczyć, dokąd się uda. Sprawdziliśmy, mieszka tam stary kontakt Zorina z KGB. Cholerny śpioch, który przez lata pracował tu, w Waszyngtonie, i nie został

zdemaskowany.

– Sęk w tym – podjął Osin – że moje stronnictwo straciło przewagę w tych wewnętrznych przepychankach. W tej chwili kontrolę przejęli nasi przeciwnicy i trudno przewidzieć, jaki będzie ich następny krok. Wiadomo natomiast, że działania Zorina w jakiś przewrotny sposób są im na rękę.

– Co dokładnie miała na celu operacja *Szkolny mat*? – spytała Stephanie.

– Naprawdę nie mam pojęcia – odparł Osin. – Ale niezależnie od tego, co chciano dzięki niej osiągnąć, na pewno wzbudza ogromne zainteresowanie.

– Niestety wygląda na to, że już nie potrzebują Zorina, skoro wydali na niego wyrok śmierci – stwierdził Danny. – A zatem uważają, że wiedzą już wystarczająco dużo. Ale my go nadal potrzebujemy.

– Możliwe, że kluczową postacią w tym wszystkim jest człowiek nazwiskiem Kelly – powiedział Osin. – Być może tylko on wie, gdzie zostały ukryte te bomby. Jak dotąd nie miałem żadnych sygnałów, które świadczyłyby o tym, że Moskwa posiada tę informację.

– Jak poważny jest konflikt w waszym rządzie? – zapytała Stephanie.

– Na tyle poważny, że postanowiłem całkowicie zignorować rozkaz i powiedzieć wam wszystko, co wiem. To jakiś kompletny obłąd. Nie mam bladego pojęcia, co chcą osiągnąć, utrzymując to wszystko w tajemnicy.

– Za to Zorin ma – wtrącił Luke. – Nie bez powodu się tym zainteresował. Ten facet ma plan. Przesłał tutaj Pietrową w konkretnym celu. Wie o wiele więcej, niż im się wydaje.

Osin przyznał mu rację.

– Źle się stało, że Pietrowa zginęła. Macie jakiś inny pomysł na to, jak się dowiedzieć, czego szukała?

Mimo że Rosjanin sprawiał wrażenie szczerego i otwartego, trzydzieści lat pracy w wywiadzie nauczyło Stephanie, że w takich sytuacjach lepiej trzymać język za zębami. „Ufaj, ale wszystko sprawdzaj” – tak brzmiało motto Reagana i Stephanie absolutnie się z tym zgadzała. Poza tym zauważyła, że do tej pory nikt tu nie wspomniał o dzienniku Tallmadge’a.

– Zanim przyjechaliście – powiedział Edwin – pan Osin poinformował nas, że agenci SWR działający zarówno u nas, jak i w Kanadzie, zostali postawieni w stan pełnej gotowości.

– Planują powstrzymać Zorina – stwierdził Osin. – Potem, jak sądzę, będą chcieli pojmać Kelly’ego, a to, czego szuka Zorin, zatrzymać dla siebie. Co oznacza, że wszystkim grozi niebezpieczeństwo.

Stephanie przypomniała sobie o Kanadzie.

– Czy Cotton o tym wie?

– Próbowałem się do niego dodzwonić, ale za każdym razem włącza się poczta głosowa – przyznał Edwin.

Ciekawe tylko, czy to dobry, czy zły znak, pomyślała Stephanie.

## ROZDZIAŁ 43

Malone szybko ocenił sytuację i uznał, że trzeba działać natychmiast. Nie mógł dłużej czekać, nie miał czasu się zastanawiać. Musiał coś zrobić.

Teraz.

Wyciągnął pistolet, wycelował w okno, pod którym stała Cassiopeia schowana wśród krzaków, i strzelił, pilnując, żeby kula miała wznoszący tor lotu, dzięki czemu, przebiwszy szybę, trafi w sufit.

Brzęk rozbitego szkła sprawił, że Zorin zareagował instynktownie. Zeskoczył z fotela i odruchowo zakrył głowę. Widział, że Kelly zachował się dokładnie tak samo, a zatem musiał być równie zaskoczony jak on. Spokój i cisza uspiły jego czujność. W końcu zbliżając się do domu, nie dostrzegł i nie wyczuł nic, co mogłoby budzić podejrzenia.

A jednak zostali zaatakowani.

Cassiopeia wcisnęła mikrofon z odbiornikiem do kieszeni i wydobyla swój pistolet. Strzał z ciemności i rozbita szyba to nie było coś, czego się spodziewała. Rzuciła się na ziemię i wyglądając przez krzaki, zobaczyła Cottona przyciśniętego do grubego dębu oraz cztery cienie zbliżające się do domu, które po chwili rozbiegły się w różnych kierunkach. Każdy niósł broń. Domyśliła się, że pierwszy strzał musiał oddać Cotton, chcąc w ten sposób ostrzec zarówno ją, jak i Zorina.

Ale kim byli ci nowi gracze?

Nie było teraz czasu, żeby się tego dowiedzieć.

Skoro Cotton jej nie zawołał, to znaczy, że nie chciał zdradzić jej obecności, choć strzelając, dał napastnikom jednoznacznie do zrozumienia, że ktoś stoi im na drodze.

Nagle nocną ciszę rozdarło kilka serii z broni automatycznej.

Kule wbiły się w drzewo, za którym stał Cotton. Na szczęście gruby pień okazał się twardy jak kevlar. Ale nie miała zamiaru tak leżeć i pozwolić, by Cotton wziął na siebie cały ostrzał. Nie spuszczała oczu z czterech cieni przesuwających się w ich stronę trzydzieści metrów od niej.

Nagie gałęzie nad jej głową poruszały się na wietrze.

W którymś momencie dwa cienie znalazły się na otwartej przestrzeni, próbując skryć się za kilkoma drzewami.

Czas włączyć się do walki.

Malone miał nadzieję, że jego strzał ostrzegawczy odniósł pożądany skutek. Zorin i Kelly wiedzieli już, że coś się dzieje na zewnątrz, coś, co bez wątpienia miało związek z nimi. Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. A przynajmniej powinno tak być. W każdym razie tamci dwaj nie byli już teraz takim łatwym celem. Tymczasem w stronę Malone'a nadal strzelał napastnik po lewej, który próbował go w ten sposób unieruchomić, żeby dać pozostałym szansę na ominięcie przeszkody.

Niestety nie miał możliwości rzucenia okiem i rozeznania się w sytuacji.

Ale zniszczenie okna zaalarmowało także Cassiopeię.

A ta właśnie otworzyła ogień ze swojej kryjówki w krzakach.

Zorin gestem zasygnalizował Kelly'emu, że powinni uciekać z salonu.

„Trzymaj się blisko ziemi”, powiedział bezgłośnie.

Przeczołgali się w stronę otwartego przejścia prowadzącego do przedpokoju. Na zewnątrz wciąż świszczały kule, ale żadna nie była wymierzona w dom. Słyszał zarówno serie z broni automatycznej, jak i pojedyncze strzały.

Czyżby trwała tam wymiana ognia pomiędzy dwoma różnymi strzelcami?

Malone zobaczył, że jeden z cieni nagle przechylił się do tyłu, a za chwilę padł na ziemię, jakby ktoś odciął mu zasilanie.

Jeden zero dla Cassiopei. Zawsze świetnie widziała w ciemnościach.

Chwilowe zamieszanie, które wywołała, pozwoliło Malone'owi ustalić, że dwaj napastnicy przesunęli się na prawo, a ostatni trzymał się lewej strony i zmierzał w kierunku frontowych drzwi domu Kelly'ego.

Postanowił zająć się tymi po prawej.

W tym momencie cień po jego lewej posłał serię w stronę krzaków, w których leżała ukryta Cassiopeia.

Zorin wturlał się do przedpokoju dokładnie w chwili, gdy kule dosięgły zewnętrznej ściany budynku. Oszalowanie nie mogło postawić żadnego oporu poruszającym się z ogromną prędkością pociskom i wiele z nich przebiło się do środka, roztrzaskując szkło, rozrywając tkaniny, wbijając się w płyty kartonowo-gipsowe.

Jedna z lamp eksplodowała w deszczu iskier.

Ponownie zakrył głowę rękami.

Kelly leżał na podłodze po jego lewej, za ścianą, która podtrzymywała znajdujące się powyżej sklepienie. Chociaż sytuacja była groźna, Zorin czuł, że znalazł się w swoim żywiole. Czujnie rejestrował każdy ruch i dochodzący go dźwięk. W myślach rozważał kolejne możliwości, jednocześnie wsuwając broń do torby i wyciągając z niej swój pistolet.

– Ja ciągle mam broń – odezwał się do niego Kelly.

Ktoś kopnął w drzwi wejściowe.

Zorin podniósł głowę z niepokojem. Natychmiast zerwał się na równe nogi i stanął oparty plecami o ścianę obok drzwi, które chwilę później otworzyły się z trzaskiem łamanego drewna, ponieważ zamek został brutalnie wyrwany z ościeżnicy. Przez częściowo oświetlone wejście do środka wpadł mężczyzna ubrany w czarny kombinezon, ściskający oburącz karabin. Zorin napiął mięśnie ramion i wyrzucił przed siebie wyprostowaną dłoń, trafiając napastnika prosto w twarz. Człowiek w czerni gwałtownie wypuścił powietrze i zgiął się wpół, machając rękami, żeby nie stracić równowagi. Kopnięcie kolaniem w szczękę odrzuciło go na ścianę, po której, bezwładny jak marionetka, osunął się na drewnianą podłogę. W żyłach Zorina płynęła teraz czysta adrenalina, żołądek zawiązał się na supeł. Już bardzo dawno nie robił takich rzeczy. Intruz siedział nieruchomo ze zwieszoną głową i otwartymi ustami, wciągając powietrze krótkimi, rwanymi oddechami. Zorin musiał się dowiedzieć, kim byli ci ludzie. Schylił się i odciągnął swoją ofiarę z dala od drzwi, cały czas przyciskając mu pistolet do szyi.

– Kto cię przysłał? – zapytał.

W oczach mężczyzny nie było śladu strachu, jego twarz wykrecała bezsilna wściekłość.

Kelly zajął stanowisko przy drzwiach z uniesioną bronią, tak jak ich kiedyś uczono. Dobrze było zobaczyć, że upływ czasu nie stępił jego instynktów.

– Kto? – powtórzył, szarpiąc mężczyznę w czerni.

– Wal się, zdrajco.

Zorina zalała fala gniewu.

On? Zdrajcą?

Nigdy.

Przyłożył intruzowi lufę pistoletu pod zuchwę i pociągnął za spust, rozsadzając jego czaszkę, która rozpadła się na milion krwawych kawałków.

Dostał odpowiedź.

Ci ludzie byli z rosyjskich służb. Prawdopodobnie z SWR.

Ale kto w takim razie do nich strzelał?

Cassiopeia przewidziała, co się stanie, kiedy zdradzi swoją obecność, i opuściła kryjówkę za krzakami od razu po tym, jak położyła jednego z napastników. Była to słuszna decyzja, bo chwilę później drugi z nich zasypał to miejsce gradem kul z karabinu. Znajdowała się teraz na tyłach domu i kucając, czekała na okazję, żeby pomóc Cottonowi, który nadal był odsłonięty. Strzały wymierzone w jej stronę ustały, a Cassiopeia dostrzegła, że jedna z ciemnych postaci przemyka ku drzwiom frontowym.

To już problem Zorina.

Ona musiała zająć się tymi dwoma, którzy skierowali uwagę na Cottona.

Malone rzucił się w lewo i postanowił samemu zaatakować z flanki. Ciemność była zarówno wrogiem, jak i sprzymierzeńcem, ale jego przeciwnicy mieli broń, która wypluwała setki kul naraz. On miał berettę z pełnym magazynkiem, ale nie mógł się równać z ich siłą ognia, dlatego musiał ruszyć głową.

Schował się za niezbyt imponującą jodłą i wyteżył słuch. Starał się żadnym fałszywym ruchem nie zdradzić swojej pozycji. Nie spuszczał oczu z mężczyzn, jednocześnie nasłuchując jakichkolwiek odgłosów od strony krzaków, z których powinna się wyłonić Cassiopeia. Miał nadzieję, że była na tyle przewidująca, żeby nie siedzieć w miejscu. Ale przecież umiała sobie radzić i nigdy nie popełniłaby takiego amatorskiego błędu. Dlatego zakładał, że skryła się gdzieś z tyłu domu. Tymczasem jeden z cieni wbiegł na ganek i Malone usłyszał odgłos wyważanych drzwi, a chwilę potem z wnętrza domu dobiegł pojedynczy strzał. Mogło to oznaczać, że napastnik zginął z ręki Zorina albo Kelly'ego.

Okrzyknął drzewo, starając się, aby pień znajdował się pomiędzy nim a potencjalnym niebezpieczeństwem. Zrobiło się cicho jak na cmentarzu, a to niekoniecznie dobry znak. W kilku domach na ulicy zapaliły się światła w oknach. Ciekawe, czy sąsiedzi już wezwali policję.

Nagle pokazał się jeden z cieni.

Był dziesięć metrów od niego. Tak samo jak on ukryty za drzewem.

Mężczyzna otworzył do niego ogień.

Malone przywarł całym ciałem do pnia drzewa, policzył do trzech, a następnie wychylił się i oddał dwa strzały, zabijając napastnika na miejscu.

– Rzuć broń – odezwał się męski głos za jego plecami.

Malone się nie poruszył.

– Nie będę więcej powtarzał. Rzuć broń.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko wypuścić pistolet z ręki. Gdy broń leżała już na trawie, odwrócił się i zobaczył czwartego ze strzelców, który mierzył do niego z karabinu.

Zorin usłyszał kolejną wymianę ognia na zewnątrz, w tej samej sekwencji co poprzednio: szybka seria, a po niej pojedyncze strzały.

– Powinniśmy uciekać – powiedział do Kelly'ego.

– Muszę na chwilę iść na górę. Będziemy potrzebować kilku rzeczy.

Kiwnął głową i Kelly wbiegł na schody.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Zorin czuł się zdezorientowany. Nikt nie powinien wiedzieć, że tu

jest. Tylko Bielczenko mógł go zdradzić, a ta opcja wydawała się wysoce wątpliwa. Zresztą komu miałby cokolwiek powiedzieć? Bielczenko nienawidził nowej Rosji równie mocno jak on sam, a nic nie wskazywało na to, że Moskwa jest świadoma jego działań. Jediną komplikacją było zjawienie się tego Amerykanina, Malone'a – to rzeczywiście mogło budzić podejrzenia – ale on przecież już dawno nie żył.

Więc kto był przed domem?

Stał ze wzrokiem wbitym w otwarte drzwi frontowe, gotowy strzelać, gdy tylko coś się poruszy. Po chwili na schodach pojawił się ponownie Kelly, który zbiegł, trzymając w rękach małą torbę podróżną. Jak każdy porządny agent był przygotowany na sytuację awaryjną. Zupełnie jak Zorin ze swoją torbą.

– Pieniądze, paszport, zapasowe magazynki – wyjaśnił szeptem Kelly. – I parę innych rzeczy, które nam się przydadzą.

– Dokąd jedziemy?

– Dokończyć *Szkolnego mata*.

Cassiopeia zdawała sobie sprawę, że Cotton ciągle jest w niebezpieczeństwie. Wsłuchując się w odgłosy walki, zwróciła zwłaszcza uwagę na dwa pojedyncze strzały. Nagle jej uszu dobiegł głos nakazujący komuś rzucić broń. Nie należał do Cottona. Wykorzystała tę chwilę, żeby wrócić przed dom i przemknąć wzdłuż żywopłotu do miejsca, gdzie stały dwie ciemne sylwetki, jedna zwrócona w jej stronę twarzą, druga plecami. Szła pochylona, starając się stąpać jak najlżej. Powiew wiatru głośno potrząsnął gałęziami drzew, co tym bardziej pomogło stłumić jej kroki.

– Dla kogo pracujesz? – odezwał się ten sam głos.

– Mógłbym zapytać o to samo.

Cotton. Usłyszała go wyraźniej, co oznaczało, że to on stał przodem do niej.

– Zdajesz sobie sprawę – ciągnął Cotton – że jesteś tu całkiem sam.

– Tak jak ty.

– W takim razie zastanówmy się, dlaczego tu jesteśmy. Może dzięki temu obaj dowiemy się czegoś nowego.

Cotton z pewnością ją widział i dlatego grał na zwłokę. Dobrze. Tak trzymać. Jeszcze tylko kilka metrów.

– W tym domu jest Zorin – powiedział Cotton.

– Daleko nie ucieknie.

Malone widział Cassiopeię, która powoli zbliżała się do mężczyzny stojącego trzy metry przed nim. Robił wszystko, żeby zyskać na czasie.

– Wiem, dlaczego ścigacie Zorina – oznajmił. – A skoro ja to wiem, to zgadnij kto jeszcze? Ludzie w Waszyngtonie w pełni panują nad sytuacją.

– Kiedy Zorin zginie, to nie będzie miało żadnego znaczenia.

Nagle ciszę przeszył ryk uruchamianego silnika. Odgłos dochodził zza domu Kelly'ego. Chwilę później zapaliły się przednie światła i na ulicę wypadł samochód, który odjechał z piskiem opon. Człowiek z karabinem obrócił się w miejscu i posłał chaotyczną serię w ślad za pojazdem w nadziei, że któraś z kul dosięgnie celu.

Cassiopeia uniosła broń i nacisnęła spust, jednym strzałem zwalając mężczyznę z karabinem z nóg.

Strzały ucichły. Znow zapadła cisza.

– Miałem nadzieję, że ciągle oddychasz – powiedział Cotton.

Opuściła pistolet.

– Podobno to ty miałeś pilnować mojego tyłka.

Malone ruszył biegiem w kierunku ich samochodu zaparkowanego kilka domów dalej.

– Choć wolałbym kontynuować ten temat, musimy złapać tamten wóz. Zakładam, że w środku są Zorin i Kelly.

Przyznała mu rację.



## ROZDZIAŁ 44

Stephanie siedziała w Gabinetcie Ovalnym, sam na sam z prezydentem Dannym Danielsem. Osin wrócił do siebie, a przed odjazdem zobowiązał się do zachowania ich rozmowy w tajemnicy. Edwin Davis zamknął się w swoim biurze, a Luke pojechał do domu, żeby się przespać. Minęła północ, co oznaczało, że zaczął się właśnie ostatni dzień Danny'ego na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– To już prawie koniec – powiedziała do niego Stephanie.

Danny wolno bujał się w swoim fotelu. Był małomówny i wydawał się dziwnie posępny.

– Nie chcę odchodzić – odezwał się w końcu.

Uśmiechnęła się.

– Nikt nie chce.

– Wielu moich poprzedników dotarło tak daleko i dalej nie mieli zielonego pojęcia, co robią. Z radością czekali, aż nadejdzie koniec. Ja lubiłem tę robotę.

– Byłeś dobrym prezydentem. Historia będzie dla ciebie łaskawa.

Naprawdę tak uważała.

– Jakie to uczucie być bezrobotnym? – zapytał. – Już niedługo do ciebie dołączę.

– Nie tak sobie wyobrażałam przejście na emeryturę.

– Ja też nie, ale wiesz, że nie mogłem się w to mieszać. Poza tym, czy to by coś zmieniło? Magellan Billet już nie istnieje. Tym durniom się wydaje, że wiedzą więcej niż ty, ja czy ktokolwiek inny. Pamiętaj, Fox był wcześniej gubernatorem.

Wychwyciła sarkazm w jego głosie. Nowy prezydent prznosił się do Białego Domu prosto z posiadłości gubernatora i miał pewne doświadczenie w administracji państwowej, ale był praktycznie nieznaną na arenie międzynarodowej. Prowadził kampanię z pozycji umiarkowanego izolacjonizmu, wyczuwając, że Ameryka jest zmęczona odgrywaniem roli światowego żandarma. Wygrał ze sporą przewagą głosów w wyborach powszechnych i jeszcze większą wśród kolegium elektorów. Niewątpliwie dawało to do myślenia. Czyżby nastroje społeczne aż tak bardzo się zmieniły? Pogląd, że Ameryka mogłaby funkcjonować w oderwaniu od tego, co się działo w innych, nieważne jak odległych częściach globu, graniczył przecież z absurdem.

Te dni minęły bezpowrotnie.

– Spuszczasz kogoś z oka na dłużej niż minutę – powiedział Daniels – a on zaraz wbija ci nóż w plecy. Bliski Wschód, Azja, Chiny, teraz Rosja. Wszyscy zaczynają sobie poczynać coraz śmielej. A nasi sojusznicy? Niech ich cholera, czasami zachowują się gorzej niż nasi wrogowie. Daj, zabierz, kup, przynieś... Wszyscy czegoś od nas chcą.

Stephanie przypomniała sobie z uśmiechem, kiedy po raz pierwszy usłyszała z jego ust podobne słowa. Było to lata temu, podczas innej bitwy, jednej z pierwszych, którą wspólnie stoczyli, jeszcze zanim oboje uświadomili sobie, co do siebie czują.

– Gdzie Pauline? – zapytała.

– Wyjechała. Ale wróci w poniedziałek na zaprzysiężenie przed Kapitołem. To będzie nasze ostatnie wspólne wystąpienie publiczne jako mąż i żona.

Zauważyła, że głos mu lekko zadrżał.

– Wszystko z góry zostało już spakowane i wysłane do Tennessee. Pauline pojechała kilka dni temu, oficjalnie po to, żeby dopilnować przeprowadzki. Nie może się doczekać, kiedy będzie mogła zacząć

nowe życie. I muszę przyznać, że też cieszyłem się z jej wyjazdu. Czas na zmiany.

– Kiedy rozwód?

– Za kilka miesięcy. Kiedy nikogo już nie będzie obchodziło, co się z nami dzieje. Załatwimy to szybko i po cichu. Tak jak Al Gore. Czasami w życiu się pieprzy, ludzie to rozumieją.

Nikogo nie interesuje jakiś były prezydent czy wiceprezydent.

Stephanie dobrze wiedziała, co czuje. Wiele lat temu jej własne małżeństwo rozpadło się do tego stopnia, że ona i Lars przez lata żyli osobno. I pewnie ciągle tak by to wyglądało, gdyby on nie powiesił się na tamtym moście we Francji. Ostatecznie, z pomocą Cottona i Cassiopei, zaczęła rozumieć, dlaczego tak się to skończyło, ale nadal na samą myśl odczuwała w sercu wielki smutek.

– Nie powinienes się położyć spać?

– Jestem nocnym markiem. Wiesz przecież. Zresztą już od jakiegoś miesiąca fatalnie sypiam. Nie podoba mi się, w jakim kierunku zmierza ten kraj. Naprawdę mnie to przeraża. I cały czas zachodzę w głowę, czy to moja wina.

– Bo starałeś się wszystkich chronić i robiłeś to skutecznie?

– Dzięki nam wydawało się to takie łatwe.

Wiedziała, że wcale takie nie było. Już na pierwszy rzut oka nowy prezydent stanowił całkowite przeciwieństwo Danny'ego Danielsa. Ale tak właśnie wyglądała amerykańska polityka. Wahadło przechylało się z zadziwiającą regularnością, żadna tendencja nie trwała zbyt długo, zupełnie jakby naród pragnął stale próbować czegoś nowego, a jednocześnie wiecznie narzekał, że nic się nigdy nie zmienia. Mas zwyczajnie nie da się zadowolić i Stephanie dziwiła się, że ktokolwiek w ogóle próbował to zrobić. Ale Danny nie tylko podjął tę próbę, ale także osiągnął sukces.

– Zrobiłeś, co do ciebie należało – powiedziała. – Chroniłeś ten kraj przed zagrożeniami, i to bez łamania praw obywatelskich.

– Mieliśmy przed sobą sporo wyzwań, prawda?

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiesz przecież, że nadal możesz być przydatny. Twoje życie się jeszcze nie kończy.

Pokręcił głową.

– Mój następcą to żółtodziób.

– Za trzydzieści sześć godzin będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Nigdy nie miał do czynienia z czymś takim. A ludzie, których zatrudnia, nie byli najmądrzejsi w klasie. Ta świadomość także mnie przeraża.

– To już nie nasz problem – stwierdziła.

– Nie mogę się pogodzić z tym, co cię spotkało – powiedział Daniels. – Nigdy bym cię w to nie wciągał, gdybym podejrzewał, że cię wyrzucą.

Jego zapewnienia brzmiały szczerze.

– Zawsze traktowałeś mnie uczciwie, od dnia, w którym się poznaliśmy – odparła. – I wyjaśnijmy sobie jedno: nie robię niczego, czego nie chcę. Sama podjęłam tę decyzję i dlatego teraz ponoszę konsekwencje.

Uśmiechnął się, cały czas bujając się w fotelu.

– Mustang Luke'a jest do kasacji? – zmienił temat.

– Nadaje się już tylko na części.

– Uwielbiał ten samochód.

Nie była pewna, do kogo Danny właściwie to mówi. Myślnami był chyba zupełnie gdzie indziej.

– Jesteś zmęczony.

– Nie, bardziej zmartwiony. Coś się szykuje, czuję to. I nie jest to nic dobrego. Nie każdego dnia szef

oddziału SWR wparadowuje do Białego Domu i ujawnia tajemnice państwowe. Gdzieś w kraju jest ukrytych pięć ładunków jądrowych.

– To nie wygląda tak jak w filmach. Takie urządzenia wymagają obsługi technicznej, a minęło już naprawdę bardzo dużo czasu.

– Mimo to Zorin uparcie prze naprzód. To mnie niepokoi.

– Rosjanie nigdy nie słynęli z przebiegłości.

– Ale są twardymi przeciwnikami.

Stephanie odczekała chwilę, zanim przerwała milczenie, żeby zadać pytanie, które naruszy protokół.

– Co będzie dalej z nami?

Prezydent spojrział na nią uważnie.

– A może coś być?

– Jeśli tego chcesz.

– Chcę.

Poczuła na przedramionach gęsią skórę, co nie zdarzało jej się często. Cieszyła się, że to powiedział, i miała nadzieję, że możliwości, jakie niesie ze sobą to wyznanie, podniosą go na duchu w ciągu najbliższych dni.

– Zaraz po zaprzysiężeniu wracam do Tennessee – powiedział. – Do mojej chatki w lesie. Może zechciałabyś do mnie dołączyć?

– Może najpierw weźmiesz rozwód?

Roześmiał się.

– Spodziewałem się, że to powiesz. Ale zawsze możesz wpaść z wizytą, prawda?

– I trafić na pierwszą stronę jakiegoś brukowca? Nie, dziękuję. Poczekam, aż będziesz wolny.

– Co teraz będziesz robić?

Dotychczas za bardzo się nad tym nie zastanawiała.

– Chyba zacznę pobierać emeryturę. A potem zobaczę, czy ktoś nie potrzebuje usług byłej agentki wywiadu z doświadczeniem.

– Myślę, że dostaniesz dużo propozycji. Mogę cię o coś poprosić? Nie podejmuj żadnej decyzji, dopóki nie przedyskutujesz tego ze mną.

Widziała, że ma coś konkretnego na myśli. Ale właśnie tego się po nim spodziewała. Ten człowiek to zawodowy gracz. Zawsze nim był i zawsze nim będzie.

– Nie będę o nic pytać.

Daniels wyszczerzył się jak kot z Cheshire.

– Nie pytaj. Przynajmniej na razie.

Nagle dostrzegła dziwny błysk w jego oku. Wiedział coś, czego ona nie wiedziała.

Coś ważnego.

– O co chodzi? – zapytała.

## ROZDZIAŁ 45

Zorin siedział na miejscu pasażera w małym, dwudrzwiowym hatchbacku, którego prowadził Kelly. Opuścili dom przez drzwi kuchenne, znaleźli samochód w garażu i udało im się odjechać bez większych trudności. Zorina wciąż zastanawiała wymiana ognia, do której doszło przed domem Kelly'ego. Na moście nad rzeką minęli dwa radiowozy mknące na wschód, podczas gdy oni kierowali się na zachód. Przez nikogo nie zatrzymywani przejechali przez całe Charlottetown i w końcu znaleźli się na głównej drodze.

– Dokąd jedziemy? – odezwał się.

– Wracamy na terytorium naczelnego wroga.

Czyli Stanów Zjednoczonych.

– Ukryłeś ładunki RA-115 w bezpiecznym miejscu?

– Miałem jasne rozkazy. Znaleźć miejsce, gdzie nie zostaną wykryte, ale pozostaną sprawne. Nie było to łatwe zadanie. Ale udało mi się.

– Co się z tobą stało? – zapytał Zorin. – Po naszym rozstaniu z Andropowem tamtego wieczora?

– Wróciłem do swojego życia. W przeciwieństwie do ciebie, Aleksandrze, nie urodziłem się w naszej ojczyźnie. Moi rodzice działali jako tajni agenci w Stanach Zjednoczonych. Mam paszport, jestem pełnoprawnym amerykańskim obywatelem. Przyjechałem wtedy do Moskwy razem z wycieczką. Ośmielę się stwierdzić, że w latach osiemdziesiątych Rosja nie była popularnym krajem wśród turystów, ale Amerykanie i tak tam jeździli. Rozkazano mi przyjechać do kraju na spotkanie w cztery oczy, więc kupiłem bilet. Tamtego wieczora wymknąłem się z hotelu i przyszedłem na miejsce spotkania.

Zorin wiedział wszystko o Intourist, państwowym przedsiębiorstwie i swego czasu jedynym biurze podróży, które mogło funkcjonować w Związku Radzieckim. Założył je sam Stalin. Firma, której personel niezmiennie stanowili pracownicy KGB, kontrolowała przyjazdy zagranicznych gości na teren Związku Radzieckiego. Zorin w ciągu swojej kariery także był oficjalnie zatrudniony w niejednym biurze Intouristu. Dlatego doskonale rozumiał, w jaki sposób Kelly dostał się do Moskwy, żeby wziąć udział w naradzie z sekretarzem generalnym.

– Po spotkaniu z Andropowem dołączyłem do mojej wycieczki i wróciłem do Waszyngtonu. Dalej chodziłem do swojej pracy, a jednocześnie wykonywałem rozkazy dotyczące *Szkolnego mata* i uważnie słuchałem, co się dzieje naokoło.

To zawsze była najskuteczniejsza metoda zbierania informacji wywiadowczych. Zorin sam się o tym przekonał podczas służby na kilku zagranicznych placówkach, ale jego specjalnością nie były kontakty towarzyskie, tylko raczej wdrażanie decyzji politycznych.

– W grudniu 1991 roku wszystko przestało się liczyć – kontynuował Kelly. – Tamten świat po prostu się skończył. Nigdy więcej nie kontaktowało się ze mną ani KGB, ani SWR. A co się działo z tobą, Aleksandrze?

– Szybko zraziłem się do nowej Rosji. Za bardzo rozpanoszyli się w niej gangsterzy. Przeniosłem się na wschód, na Syberię. Moja żona i syn zmarli, więc żyłem w samotności, czekając na właściwy moment, żeby powrócić.

Zbliżali się do mostu Konfederacji, ciągnącego się przez trzynaście kilometrów ponad cieśniną Northumberland, która oddzielała Wyspę Księcia Edwarda od reszty Kanady. Trzydzieści lat temu na drugą stronę można się było dostać jedynie promem.

Kelly zatrzymał się przy bramkach, zapłacił za przejazd i wjechał na oświetlony most.

– Ja także się zastanawiałem, czy kiedykolwiek nadarzy się jeszcze okazja – powiedział Kelly. – Przez wiele lat żyłem w przekonaniu, że to już koniec. Andropow zmarł w 1984 roku, a moje rozkazy pochodziły bezpośrednio od niego. Nigdy jednak nie usłyszałem, że operacja została odwołana, dlatego dalej robiłem swoje.

– Ze mną było podobnie – przyznał Zorin, spoglądając na swojego towarzysza. – Musimy skończyć to, co zaczęliśmy, jesteśmy to winni im wszystkim. Nigdy nie mieliśmy szansy stoczyć wielkiej bitwy przeciwko naszemu wrogowi. Zanim do niej doszło, ten wróg nas zniszczył.

– To prawda. Ale sami bardzo przyczyniliśmy się do własnej zagłady. Od dziesiątek lat czytam o tym, co się stało. Popelniono tak wiele błędów. Historia nauczyła mnie bardzo wiele.

Zorin również wyciągnął parę wniosków. Przede wszystkim wiedział, że musi teraz działać bez wahania, bez zahamowań, bez litości. Nie było już miejsca na politykę, na współczucie czy poczucie moralności. Te wzniosłe hasła nikogo nie powstrzymały przed zniszczeniem Związku Radzieckiego.

– Szkolny mat oznacza zwycięstwo w dwóch posunięciach. Andropow sam nadał nazwę twojej misji. Symbolika jest pewnie nieprzypadkowa?

– O tak. A żeby móc skutecznie wykonać szkolnego mata w szachach, twój przeciwnik musi zagrać wyjątkowo głupio. I tak jest w tym przypadku. Ameryka sama ułatwiła nam zadanie.

– Ja odpowiadałem za *Ciche posunięcie*.

– Trafne określenie – odparł ze śmiechem Kelly. – Posunięcie, które nie zagraża żadnej figurze na szachownicy. Andropow miał wyczucie ironii, trzeba mu to oddać.

– Wiedziałeś o pozostałej dwójce?

Nadal jechali przez dwupasmowy most, nie napotykając po drodze prawie żadnych samochodów. Nic dziwnego, w końcu był środek nocy.

– Słyszałem o ich przedwczesnej śmierci. Nie było trudno odgadnąć przyczynę. Im mniej ludzi wiedziało o wszystkim, tym lepiej. Zakładałem, że według planu na końcu miałem zostać tylko ja i czekać na rozkaz wprowadzenia w życie *Szkolnego mata*. Jak mnie znalazłeś?

– Twoje nazwisko figuruje w starych aktach. Natomiast twój obecny adres dostałem od kogoś, kto miał dostęp do poufnych danych.

– Uzyskałeś pomoc archiwisty?

Zorin kiwnął głową.

– To pewnie jedyni ludzie, którzy wiedzą, gdzie szukać – stwierdził Kelly. – Musiały istnieć jakieś dokumenty dotyczące mojej służby. Archiwiści wyrządzili wiele szkód. Czytałem książkę Mitrochina, kiedy się ukazała w latach dziewięćdziesiątych. Dla mnie była to kwestia życia lub śmierci. Bałem się, że ten zdradziecki głupiec wymienił w książce moje nazwisko.

– W Moskwie pewnie przeglądają teraz te same akta, które wyszukał mój archiwista.

– Też tak myślę. Ten człowiek w moim domu musiał być z SWR.

Zorin uznał, że to odpowiednia chwila, by zapytać o szczegóły misji.

– Twoim pierwszym posunięciem było ukrycie broni jądrowej. Jaki był drugi krok prowadzący do *Szkolnego mata*? Ten, który miał zakończyć rozgrywkę?

– Punkt docelowy.

Tego właśnie nie był w stanie odkryć Bielczenko albo też nie chciał się podzielić swoją wiedzą. Andropow mówił tamtego wieczora, że uderzą w Amerykę „u samych jej podstaw” i że udało mu się ponoć odkryć „dwa słabe punkty”. „Gdy nadejdzie właściwa chwila – przekonywał – wszyscy razem damy Ameryce nauczkę. Minimum wysiłku, maksimum efektu”.

– Dowiedziałem się o zerowej poprawce – oznajmił Zorin. – Również dzięki pomocy tego samego

archiwisty. Dlatego wiem, że teraz właśnie nadszedł czas, żeby zaatakować. – Musiał uruchomić całą ćwiczoną przez lata cierpliwość, żeby ukryć swój entuzjazm i utrzymać emocje na wodzy. – Ale czy ty wiesz, gdzie jest punkt docelowy?

– Moje zadanie polegało na tym, żeby to ustalić. Pamiętasz, co powiedział nam Andropow? – Kelly podniósł dwa palce. – Dwa słabe punkty. Koperta pod moim talerzem zawierała opis obu. Jednym jest zerowa poprawka.

O której opowiedział Zorinowi Bielczenko.

– Drugim jest faktyczne miejsce detonacji.

Dotarli do końca mostu, zjechali z niego i znaleźli się w kontynentalnej części Kanady.

– Jestem jedyną osobą, która zna położenie tego miejsca – dokończył Kelly.

Malone prowadził, a Cassiopeia obserwowała drogę przed nimi za pomocą noktowizyjnej lornetki. Trzymali się ponad półtora kilometra za samochodem Zorina, próbując się nie wyróżniać spośród garstki pojazdów na jezdni. Jak dotąd nic nie wskazywało, żeby zostali zdemaskowani, zresztą wydawało się to mało prawdopodobne. Kiedy ruszyli w pościg z ulicy, na której mieszkał Kelly, mieli jakieś dwie minuty straty do Zorina. Udało im się go jednak dogonić na moście nad rzeką Hillsborough, ponieważ Rosjanin zwolnił na widok radiowozów, ewidentnie nie chcąc niepotrzebnie ściągać na siebie uwagi. Potem utrzymywali już stałą prędkość i podążali za swoim celem na zachód, potem na południe, aż trafili na most Konfederacji. Po drodze Cassiopeia zrelacjonowała Malone'owi wszystko, co usłyszała w domu Kelly'ego.

– Jesteśmy w Nowym Brunszwiku – stwierdziła.

– Byłaś tu kiedyś?

Opuściła lornetkę.

– Kilka razy. Ładna okolica.

– Masz jakiś pomysł, dokąd jadać?

Cassiopeia wyciągnęła swój telefon komórkowy i zaczęła stukać w ekran.

– Przed nami są lotniska w Moncton i St. John. Może kierują się na jedno z nich. Zbliżamy się też do dużego rozjazdu. Można stąd jechać na zachód, w głąb Nowego Brunszwiku, albo na wschód, do Nowej Szkocji.

– Będziemy chyba musieli poczekać, żeby się przekonać.

– Jak myślisz, kim mogli być ci goście pod domem Kelly'ego? – spytała.

– Na pewno Rosjanami. Bo kim innym?

– Zgadzam się. – Z powrotem przyłożyła lornetkę do oczu. – Skręcają na zachód, w stronę Moncton.

Według mojego telefonu do miasta jest jeszcze pięćdziesiąt kilometrów.

Malone dodał gazu, żeby szybko dotrzeć do tego samego zakrętu.

Wiedział, że muszą za wszelką cenę uniknąć dwóch rzeczy.

Nie mogli dać się zdemaskować i nie mogli stracić z oczu tamtego samochodu.

## ROZDZIAŁ 46

Stephanie stała za prezydenckim biurkiem w Gabinetcie Owalnym i wpatrywała się w dwie teczki leżące na blacie. Jedna była gruba i opatrzona wielkim czerwonym podpisem „Forward Pass – Ścisłe tajne”. Miała wytarte krawędzie, a oficjalny stempel Białego Domu pochodził z roku 1989. Pieczęć była przełamana, a kartki w środku pomieszane, ale Stephanie bez trudu rozpoznała wszystkie listy, notatki, okólniki, opinie prawników i depesze międzynarodowe. Wiele z nich napisała sama.

– Jaki był Reagan? – zapytał Danny.

– Inteligentny, sprytny, obdarzony intuicją. Uwielbiał, kiedy inni go nie doceniali. Ale potrafił odczytywać intencje ludzi, zwłaszcza Sowietów. Spędzał dużo czasu, rozmyślając o ich upadku.

Zaczęła przewracać kolejne strony. Najwcześniejsze dokumenty pochodziły z lutego 1982 roku i dotyczyły jej pierwszego spotkania z Reaganem. Ostatnie nosiły datę „listopad 1989” – wtedy poinformowano ją, że jej dalsze usługi nie będą już potrzebne. Wyglądało na to, że po jej odejściu nie wydarzyło się w tym temacie nic więcej, ale to właściwie nie powinno dziwić. Kości zostały rzucone na długo przed tym, zanim pierwszy Bush objął urząd. Myślami wróciła do niezliczonych spotkań, które odbywały się w tym gabinecie, głównie w późnych godzinach nocnych, kiedy w pobliżu prawie nie było żywej duszy. Stephanie miała nawet okazję poznać Nancy Reagan, która wydała jej się nadzwyczaj życzliwą osobą, całym sercem dzielającą aspiracje męża. Para prezydencka bezsprzecznie stanowiła zespół. Stephanie z zazdrością patrzyła na ich związek, ponieważ w tym samym czasie jej własne małżeństwo się rozpadało.

– Reagan miał słuszne przeczucia względem Związku Radzieckiego – powiedziała. – Był też cierpliwy. Cekał na pojawienie się kogoś takiego jak Gorbaczow, a kiedy to nastąpiło, w pełni to wykorzystał. Może w ten sposób przejawiało się jego aktorskie doświadczenie. Potrafił wybrać najlepszy moment, żeby wypowiadając swoją kwestię, wyrzucić jak największe wrażenie na słuchaczach. Nigdy się z niczym nie spieszył. Zawsze mi powtarzał, że mam pracować dobrze, a nie szybko.

– Nasz kraj miał to szczęście, że na czele zazwyczaj stał odpowiedni człowiek w odpowiednim czasie. Na samym początku był Washington. Kiedy nastąpił rozłam państwa, zjawił się Lincoln. Kiedy musieliśmy stawić czoła kryzysowi i dwóm wojnom światowym, mieliśmy Wilsona i Roosevelta. A potem Reagana w czasach zimnej wojny. Czy żałował, że to wszystko się zakończyło już po jego odejściu, kiedy władzę przejął Bush?

– Ani trochę. Nie zależało mu na poklasku, liczyły się tylko rezultaty. Chciał za swojego życia uczynić świat bezpieczniejszym miejscem i osiągnął swój cel. Ostatni raz widziałam się z nim w 1992 roku, w jego prezydenckiej bibliotece. Byliśmy wtedy sami i jeszcze raz podziękował mi za całą wykonaną pracę. Był niezwykłym człowiekiem i historia zapamięta, że to Ronald Reagan wygrał zimną wojnę.

– Dobrze się spisałaś – powiedział Danny. – Naprawdę dobrze. Musisz być cholernie dumna z tego, co udało ci się osiągnąć.

Pochwała z jego ust dużo dla niej znaczyła. Daniels nie należał do ludzi, którzy rzucają komplementami na prawo i lewo. Poza tym sama natura pracy w wywiadzie oznaczała, że rzadko kiedy można było liczyć na wyrazy uznania. Z reguły musiała wystarczyć satysfakcja z wykonanego zadania, choć to czasem wydawało się niewiele. Stephanie była dumna. Bardziej niż umiałaby wyrazić. Była na posterunku, kiedy Europa Wschodnia odrzuciła system jednopartyjny i gospodarkę planowaną, w zamian wybierając wolność i rządy prawa. Pomogła dwóm najpotężniejszym ludziom na świecie doprowadzić do

całkowitego zniszczenia imperium zła.

Od tamtej pory wydarzyło się sporo, ale nic nie mogło się z tym równać.

– To był wyjątkowy czas – powiedziała. – Ale później, podobnie jak teraz, nowa administracja Busha uznała, że nie jestem już do niczego potrzebna. Wtedy przenieśli mnie do Departamentu Sprawiedliwości.

– „Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem zapadła żelazna kurtyna, która podzieliła nasz kontynent. Po jej drugiej stronie znalazły się wszystkie stolice dawnych państw Europy Środkowej i Wschodniej. Warszawa, Berlin, Praga, Wiedeń, Budapeszt, Belgrad, Bukareszt i Sofia – wszystkie te sławne miasta i ich mieszkańcy są dziś w sowieckiej strefie wpływów”.

Stephanie nie kryła, że jest pod wrażeniem.

– Przemówienie Churchilla. Wygłoszone w Fulton w stanie Missouri w 1946 roku, po tym, jak sam przegrał wybory i przestał być premierem. Nie wiedziałam, że zgłębiasz historię zimnej wojny.

– Chcesz powiedzieć, że nie sądziłaś, że umiem cokolwiek zapamiętać. Jeszcze dowiesz się o mnie wielu rzeczy, z których wcześniej nie zdawałaś sobie sprawy.

Nie miała co do tego wątpliwości.

– Kiedy Churchill przemawiał, na widowni siedział Truman – podjął Danny. – Powiedział później, że zgadzał się z każdym słowem, zwłaszcza z określeniem „żelazna kurtyna”. Churchill nie mylił się co do Stalina i Rosji.

– A zwycięstwo w tej zimnej wojnie zajęło nam kolejne czterdzieści pięć lat.

– Ale wygraliśmy. Odnieśliśmy pełne i absolutne zwycięstwo.

– Jak się o tym dowiedziałeś? – zapytała, wskazując na otwartą teczkę. – Tylko kilku ludzi wiedziało o Forward Pass.

– Osin powiedział mi wczoraj.

– I nawet o tym nie wspomniałeś?

– Umieję dotrzymać tajemnicy.

Uśmiechnęła się. Kiedy tylko chciał, umiał być naprawdę uroczy.

– Zorin jest żołnierzem z czasów zimnej wojny, tak jak ty – powiedział Danny. – Ale w przeciwieństwie do ciebie nadal w niej walczy. On jest jednym z naszych problemów, ale rozłam wewnątrz Kremla to całkiem osobna sprawa. Osin, trzeba mu to przyznać, stara się postępować sensownie. Ale w rosyjskim rządzie jest więcej wariatów niż Osinów. Nie fanatyków w rodzaju Lenina czy Marksa. Raczej zwyczajnych bandziorów, którzy myślą tylko o sobie. Na szczęście nie są to ludzie, którzy dążyliby do światowej dominacji. Ale jeżeli na naszym terenie jest ukrytych pięć bomb jądrowych, z pewnością bardzo chcieliby to wykorzystać. Mieliby w rękę bicz, dzięki któremu mogliby nas trzymać pod kontrolą.

Wskazał na drugą teczkę leżącą na blacie.

– Kazałem Edwinowi zebrać te materiały.

Stephanie wyciągnęła rękę, ale powstrzymał ją, łagodnie ujmując jej dłoń. Przeszedł ją niespodziewany dreszcz.

W tym momencie rozległo się brzęczenie telefonu na biurku.

Prezydent wcisnął podświetlony przycisk i włączył głośnik.

– Mamy problem w Kanadzie – usłyszeli głos Edwina.

Oboje wysłuchali relacji z tego, co odkryła policja na Wyspie Księcia Edwarda: cztery trupy w domu człowieka nazwiskiem Jamie Kelly, bez żadnych dokumentów pozwalających stwierdzić ich tożsamość.

– Jakieś wieści od Cottona?

– Nic. Ale przynajmniej wiemy, że nie próżnował.



Wszystko na to wskazywało.

– Odezwie się, kiedy to będzie konieczne – zapewniła Edwina Stephanie. – Możesz powiedzieć Kanadyjczykom, żeby pozwolili nam się tym zająć?

– To już załatwione.

– Informuj mnie na bieżąco – powiedział Danny, po czym zakończył rozmowę.

Stephanie widziała troskę malującą się na jego twarzy.

– Co chciałeś mi pokazać? – zapytała.

– Cotton zameldował, że ten archiwista, Bielczenko, przed śmiercią wspomniał o dwóch rzeczach:

o *Szkolnym macie* i zerowej poprawce. Nad wyjaśnieniem tego pierwszego obiecał popracować Osin. Jeśli chodzi o to drugie, myślę, że sami damy sobie radę. – Ponownie wskazał na biurko. – Wszystko jest tutaj.

Spojrzała na drugą teczkę.

– W środku są kopie dokumentów, które Edwin znalazł w starych, utajnionych aktach CIA. Zaprowadziły go tam słowa „zerowa poprawka”. Bardzo pomocny okazał się fakt, że w Langley działa teraz cyfrowy indeks archiwów. Ludzie z CIA mówią, że ostatni raz słyszeli to określenie użyte w kontekście Związku Radzieckiego w latach osiemdziesiątych. Zabierz teczkę na górę i poczytaj o tym. Potem trochę się prześpij. Możesz wybrać sobie dowolną sypialnię.

– Łącznie z twoją?

Wyszczerzył zęby.

– Sama to powiedziałaś: dopiero kiedy będę wolnym człowiekiem.

Stephanie sięgnęła po teczkę. Marzyła o tym, żeby wreszcie się zdrzemnąć. Ale jednocześnie zżerała ją ciekawość i chciała się w końcu dowiedzieć, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

– Pomówimy o tym przy śniadaniu – powiedział Danny.

Odwróciła się i skierowała do drzwi.

– Sowieci mówili na to „zerowa poprawka” – dodał, zanim wyszła. – My to nazywamy dwudziestą poprawką do konstytucji.

Cassiopeia nie odrywała od oczu lornetki, dzięki której jak na dłoni widziała ciągnącą się przed nimi szarą drogę. Technologia noktowizyjna bardzo się rozwinęła od czasów, gdy obserwowany obraz był cały zielony. Tak naprawdę widok z lornetki przypominał zmierzch w pogodny, letni dzień. Cassiopeia jednocześnie śledziła ich trasę na smartfonie, dzięki czemu wiedziała, że powoli opuszczają terytorium Kanady – od granicy ze stanem Maine dzieliło ich niecałe osiemdziesiąt kilometrów.

– Czy on zamierza wjechać na teren Stanów? – zapytała.

– Kelly może bez problemu przekroczyć granicę – odparł Cotton. – Edwin mówił mi, że ma amerykańskie obywatelstwo. Ale Zorin? Nie ma szans. Skoczył tu ze spadochronem. Jeżeli nie przywiózł ze sobą jakichś fałszywych dokumentów, musiałby zdobyć wizę, żeby wjechać do nas na rosyjski paszport. A wątpię, czy w ogóle ma jakikolwiek paszport. Ale to go na pewno nie powstrzyma.

Trzymali się w bezpiecznej odległości od celu, czasem nawet nieco za bardzo się oddalali, ale na szczęście jadący z przodu samochód nie wykonywał żadnych więcej zakrętów.

– Przed nami jest miasto, Digdeguash – oznajmiła, studiując mapę w telefonie.

Cotton wprawnie wykorzystywał nieliczne samochody, które napotykali po drodze, jako osłonę.

Cassiopeia spojrzała na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem.

– Zorin nie planuje przejeżdżać przez granicę – odezwał się nagle Cotton.

Też tak uważała, dlatego zaczęła przesuwać palcem mapę na ekranie w górę i w dół, a potem w lewo i prawo.

- Jesteśmy na północ od Maine. Między nami a granicą jest Zatoka Passamaquoddy, może trzydzieści kilometrów stąd.
- Tak właśnie zamierza przekroczyć granicę – stwierdził Cotton. – Przepłynie zatokę.

## ROZDZIAŁ 47

Zorin nie naciskał, żeby Kelly wyjawiał, co udało mu się odkryć. Potencjalne miejsce detonacji i tak było bez znaczenia, jeżeli same bomby nie przetrwały upływu czasu.

Najpierw więc musieli się zająć tym, co najważniejsze.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Minąwszy St. John, skierowali się dalej na południe czteropasmową drogą, która później skurczyła się do dwóch pasów, biegnących równoległe do wybrzeża. Jego kierowca wydawał się dokładnie wiedzieć, dokąd zmierza.

Kiedy znaleźli się wśród pogrążonych we śnie domków, Kelly zatrzymał się na skrzyżowaniu, a następnie wjechał na kolejną czarną drogę prowadzącą na południe.

– Bezpośrednio przed nami jest urocze miasteczko o nazwie St. Andrews – powiedział. – Odwiedzałem je wiele razy. Mieszka tam zaledwie kilka tysięcy ludzi, a zaraz za rzeką St. Croix zaczyna się już stan Maine. Lubię żeglować, a w wiosce działa wypożyczalnia łodzi. O tej porze możemy jedną ukraść i zanim ktokolwiek się zorientuje, będziemy już daleko stąd. Ominiemy rzekę i skierujemy się przez zatokę do Eastport w Maine. To niedaleko, może z pięćdziesiąt kilometrów. Tam bez problemów wślizgniemy się na teren Stanów Zjednoczonych.

Zorin musiał zaufać, że ten człowiek wie, co robi.

– Byłem tu latem. Obserwowanie wielorybów to całkiem spory biznes w St. Andrews. Lubię to miasteczko. Zostało założone przez brytyjskich lojalistów, którzy uciekli z kolonii po amerykańskiej wojnie o niepodległość, ponieważ nie byli zwolennikami nowo powstałego państwa. W taką pogodę na wodzie będzie dość zimno, ale to najrozsądniejsza opcja.

– Po co mamy wypływać na zatokę zamiast po prostu przepłynąć rzekę? Mówiłeś, że granica jest niecałe trzy kilometry w tamtą stronę.

– Chodzą tam patrole, dzień i noc. Najłatwiej dostać się na teren Stanów frontowymi drzwiami, czyli przez zatokę. Przygotowałem się na tę ewentualność wiele lat temu. Nie sądziłem, że kiedykolwiek wprowadzę ten plan w życie.

Minęli tablicę informującą, że wjeżdżają do St. Andrews. Dalej stały znaki wskazujące drogę do akwarium i centrum przyrodniczego.

– Hotel Algonquin jest naprawdę cudowny – powiedział Kelly. – W stylu Starego Świata. Stoi tam, na tamtym wzgórzu. Natomiast przystań jachtowa jest w tę stronę.

Przejechali wolno przez maleńkie centrum miasta, pełne budynków z kolorowymi ścianami, w których mieściły się głównie sklepy, kawiarnie i galerie sztuki. Nad jednym z nich powiewała podświetlona flaga Kanady. Kelly zaparkował na nabrzeżu i obaj szybko wysiedli z samochodu, niosąc swoje torby w rękach. Zimne nocne powietrze szczypało w twarz i napinało skórę zupełnie jak na Syberii. W zasięgu wzroku nie było nikogo, z wyjątkiem łagodnego uderzania wody o brzeg panowała tu niemal zupełna cisza.

Weszli na pomost, do którego po obu stronach były przywiązane żaglówki. Kelly w końcu zdecydował się na jednomasztową łódź, długą na około sześć metrów, i wskoczył na jej pokład.

– Odwiąż cumę – powiedział do Zorina. – Wypłyniemy z basenu i wtedy postawimy żagiel. Znasz się na żeglowaniu?

– Ani trochę.

– No to masz szczęście, że jesteś ze mną.

Zorin rozplątał węzeł i wskoczył do łodzi. Gdyby miał być szczerzy, w ogóle nie przepadał za wodą, ale rozumiał, dlaczego plan Kelly'ego ma sens. Łódź od razu oddryfowała od przystani i prąd zaczął ich nieść w stronę zatoki. Kelly zajął się rozkładaniem żagla i przygotowywał się do złapania równego północnego wiatru. Przed sobą widzieli wąski przesmyk ciągnący się przez kilka kilometrów i po obu stronach porośnięty drzewami.

Co mówił Kelly? Pięćdziesiąt kilometrów na drugą stronę?

Zorin uznał, że jakoś wytrzyma ten rejs.

Spojrzał na zegarek. Była prawie czwarta nad ranem.

Zostało trzydzieści sześć godzin.

Malone obserwował kradzież jednomasztowej żaglówki i patrzył w ślad za Kellym i Zorinem, którzy właśnie oddalali się od brzegu. Razem z Cassiopeią dotarli do miasta kilka minut po Rosjanach i zatrzymali się kawałek od przystani, pozostając pod osłoną ciemności. Opuścił lornetkę i podał ją Cassiopei. Znajdowali się czterysta metrów od nabrzeża, ukryci wśród nielicznych budynków przy głównej ulicy.

– Nie możemy płynąć za nimi – stwierdziła Cassiopeia, patrząc przez szkła na ciemną tafłę zatoki. – W tak zimną noc na wodzie nie będzie żadnych innych łodzi.

– Pożyczysz mi na chwilę telefon?

Podziała mu aparat, a on ponownie wybrał numer Białego Domu, ten sam, pod który zgłosił się wcześniej, żeby złożyć częściowy raport. Odebrał Edwin Davis. Malone opowiedział szefowi sztabu, co się dzieje, na koniec dodając:

– Zakładam, że mamy możliwość wysłania tutaj drona?

– Daj mi chwilę, zaraz się dowiem.

Dwie minuty później Edwin oddzwonił.

– Załatwione. Kanadyjczykom nie do końca się to podoba, ale możemy działać. Wydałem rozkaz i dron za chwilę będzie w powietrzu. Powinien do was dotrzeć za niecałe trzydzieści minut.

Malone zerknął na Cassiopeię, która słyszała całą rozmowę, mimo że nie włączył trybu głośnomówiącego. Skinęła głową i powiedziała:

– Jesteśmy w stanie przez ten czas obserwować Łódź, ale nie dłużej. Kierują się gdzieś na południowy wschód, w stronę Maine.

– Słyszałeś? – spytał Edwina Malone.

– Będziemy ich widzieli przez całą drogę. Co zamierzacie zrobić?

– Czekać, aż zadzwonisz i powiesz, że ich namierzyliście. Wtedy pojedziemy samochodem na południe i przekroczymy granicę z Maine. Dzięki temu będziemy w pobliżu niezależnie od tego, gdzie postanowią zejść na ląd. Dopilnujmy, żeby nikt im nie przeszkadzał. Żadnych patroli granicznych.

– Z tego, co słyszałem, nie jest tam zbyt szczerze – powiedział Davis. – Tak naprawdę każdy może się dostać do tego kraju.

– To tyle, jeśli chodzi o bezpieczeństwo naszych granic.

– Gdyby tylko dowiedziała się o tym opinia społeczna. Przynajmniej możemy patrolować granice dronami.

– Po prostu ich nie zgubcie. Zaszliśmy już zbyt daleko.

– Nie zgubimy.

Malone się rozłączył. Cassiopeia, która stała obok, nadal obserwowała rozciągającą się przed nimi zatokę.

– Na nasze szczęście ci dwaj są z innej epoki – zauważył. – W ich czasach nie było dronów

z kamerami wysokiej rozdzielczości.

Cassiopeia odjęła od oczu lornetkę.

– Jak myślisz, jaki jest ich ostateczny cel?

Na to pytanie naprawdę nie potrafił odpowiedzieć.

– Miejmy nadzieję, że Stephanie uda się to rozgryźć.

Kwestia sukcesji prezydenckiej budziła kontrowersje od chwili uchwalenia Konstytucji Stanów Zjednoczonych w 1787 roku. Artykuł II, sekcja 1, klauzula 5 głosi, że o urząd prezydenta może się ubiegać osoba, która jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, urodziła się w tym kraju, ma co najmniej trzydzieści pięć lat oraz od co najmniej czternastu lat mieszka na stałe w Stanach Zjednoczonych. W przypadku usunięcia ze stanowiska, śmierci, ustąpienia lub niezdolności do dalszego pełnienia obowiązków prezydenta artykuł II, sekcja 1, klauzula 6 wskazuje na aktualnego wiceprezydenta jako pierwszego w linii sukcesji.

Siedmiu amerykańskich prezydentów zmarło w trakcie pełnienia urzędu i za każdym razem wiceprezydent składał przysięgę i pełnił obowiązki głowy państwa przez pozostałą część kadencji. To, czy wiceprezydent stawał się w takim wypadku pełnoprawnym prezydentem, czy też jedynie pełniącym obowiązki prezydenta, od dawna stanowiło przedmiot konstytucyjnej debaty. Nikt nie umie tego stwierdzić z całą pewnością. Problem został w końcu rozwiązany w 1967 roku wraz z ratyfikowaniem 25. poprawki do konstytucji, która wyklarowała artykuł II, sekcję 1, klauzulę 6, stwierdzając, że w razie śmierci, rezygnacji lub usunięcia ze stanowiska urzędującego prezydenta, wiceprezydent staje się faktycznym prezydentem. Ta poprawka ustaliła również, że zawsze kiedy zwolni się stanowisko wiceprezydenta, nowy wiceprezydent zostaje mianowany przez prezydenta, a zatwierdzony przez Kongres. Przed jej uchwaleniem w przypadku, gdy wiceprezydent zgodnie z zasadami sukcesji przejmował obowiązki prezydenta (lub zwalniał swój urząd z innych przyczyn), stanowisko pozostawało nieobsadzone aż do czasu następnych wyborów prezydenckich. W 1974 roku Gerald Ford jako pierwszy został wiceprezydentem, a później także prezydentem w wyniku działania 25. poprawki. Dziś jest to już ugruntowane amerykańskie prawo, a większość niejasności, które niegdyś wiązały się z kwestią przejmowania obowiązków prezydenta przez wiceprezydenta, zostało raz na zawsze rozstrzygniętych.

Ale co z kwestią sukcesji prezydenckiej, kiedy nie ma wiceprezydenta?

Taką ewentualność przewiduje 20. poprawka do konstytucji. Reguluje ona także kwestię sukcesji, która ma miejsce, zanim

prezydent i wiceprezydent zostaną zaprzysiężeni.

Oto stosowny fragment:

Kadencja prezydenta i wiceprezydenta upływa w południe dnia 20 stycznia. [...] Jeżeliby w czasie wyznaczonym jako początek kadencji prezydenta prezydent elekt już nie żył, wówczas prezydentem zostałaby wiceprezydent elekt. Jeżeliby prezydent nie został wybrany przed terminem wyznaczonym jako początek jego kadencji albo jeżeliby prezydent elekt nie odpowiadał wymogom przepisanych dla prezydenta, wówczas obowiązki jego przejmuje wiceprezydent elekt do czasu ustalenia prezydenta odpowiadającego tym wymogom. Kongres może w drodze ustawy określić, kto i w jakim trybie obrany przejmuje obowiązki prezydenta w razie, gdy ani prezydent elekt, ani wiceprezydent elekt nie odpowiada przepisanych wymogom. Osoba ta pełni wówczas obowiązki, dopóki nie zostanie ustalony prezydent lub wiceprezydent odpowiadający przepisanych wymogom<sup>2</sup>.

Po pierwsze, z tekstu tej poprawki jasno wynika, że kadencja prezydencka upływa w samo południe 20 stycznia, a zatem w tym samym momencie rozpoczyna się kadencja następnego prezydenta. Po drugie, gdyby prezydent elekt zmarł przed rozpoczęciem swojej kadencji, wiceprezydent elekt zostaje prezydentem 20 stycznia i sprawuje urząd przez cały czas trwania kadencji, na którą został wybrany prezydent elekt. Po trzecie, jeśli do 20 stycznia prezydent nie został wybrany bądź prezydent elekt nie jest w stanie objąć urzędu, zastępuje go wiceprezydent elekt i pełni obowiązki dopóty, dopóki nie zostanie wybrany nowy prezydent albo prezydent elekt nie będzie mógł objąć urzędu. I wreszcie, Kongres może ustanowić prawo z myślą o przypadkach, w których zarówno prezydent elekt, jak i wiceprezydent elekt nie są zdolni do sprawowania władzy.

Tę ostatnią kwestię Kongres uregulował w ustawie o sukcesji prezydenckiej z 1947 roku, która określa linię sukcesji w sytuacjach, gdy nie ma prezydenta ani wiceprezydenta, zarówno przed, jak i po zaprzysiężeniu. Pierwszy w kolejce jest spiker Izby Reprezentantów, następnie przewodniczący pro tempore Senatu. Po nich następują różni członkowie gabinetu w ustalonym porządku, zaczynając od sekretarza stanu, skarbu, obrony i prokuratora generalnego, a skończywszy na sekretarzu spraw weteranów, który jest szesnasty w linii sukcesji.

Aby móc zastąpić prezydenta, dany członek gabinetu musi spełniać wymogi nakładane na prezydenta przez konstytucję oraz zostać mianowany za zgodą Senatu. Ustawa głosi, że po złożeniu

przysięgi dany urzędnik natychmiast zwalnia swoje stanowisko w gabinecie i staje się prezydentem na czas pozostały do końca kadencji albo do chwili, gdy prezydenckie obowiązki będzie mogła przejąć osoba znajdująca się wyżej w linii sukcesji. Ustawa ta nigdy nie została zastosowana w praktyce, ale nadal istnieją pewne wątpliwości prawne dotyczące jej zgodności z konstytucją.

Przed wszystkim zwróćmy uwagę na dokładne brzmienie tekstu ustawy. Sekcja (a)(1) głosi:

Jeżeli z powodu śmierci, ustąpienia lub usunięcia ze stanowiska bądź niezdolności do objęcia urzędu zarówno prezydent, jak i wiceprezydent nie są w stanie pełnić obowiązków prezydenta, wówczas spiker Izby Reprezentantów przejmuje obowiązki prezydenta po uprzednim ustąpieniu ze stanowiska spikera oraz zwolnieniu miejsca w Izbie Reprezentantów.

W pierwszej kolejności należy zadać pytanie, czy członek Kongresu w ogóle może być uwzględniony w linii sukcesji? Artykuł II, sekcja 1, klauzula 6 konstytucji jasno stwierdza, że jedynie „funkcjonariusz” Stanów Zjednoczonych może zostać wyznaczony do pełnienia obowiązków prezydenta. Niemal każdy prawnik, który analizował tę kwestię, łącznie z jednym z amerykańskich ojców założycieli, Jamesem Madisonem, doszedł do wniosku, że to sformułowanie wyklucza członków Kongresu. Taką interpretację zdaje się potwierdzać artykuł I, sekcja 6, klauzula 2 konstytucji (znana jako klauzula niezgodności), która głosi:

Żaden senator ani członek Izby Reprezentantów nie może w okresie, na który go wybrano, zostać powołany na jakiegokolwiek stanowisko w służbie cywilnej Stanów Zjednoczonych, które w tym okresie zostało stworzone lub stało się wyżej wynagradzane. Ktokolwiek sprawuje urząd w służbie Stanów Zjednoczonych, nie może zostać członkiem którejkolwiek z izb, dopóki na tym urzędzie pozostaje.

Zgodnie z amerykańskim systemem konstytucyjnym dwie gałęzie władzy państwowej, ustawodawcza i wykonawcza, muszą pozostać odrębne. W odniesieniu do tego wymogu ustawa o sukcesji z 1947 roku zastrzega, że spiker Izby Reprezentantów i/lub przewodniczący pro tempore Senatowi musi najpierw ustąpić ze swojej funkcji w Kongresie, aby móc zostać zaprzysiężonym jako prezydent. Ale jak taka osoba może być uprawniona do objęcia urzędu prezydenta, skoro po rezygnacji nie jest już spikerem



ani przewodniczącym pro tempore, a zatem w myśl ustawy jest wyłączona z linii sukcesji?

Jeśli chodzi o członków gabinetu obejmujących urząd prezydenta zgodnie z zasadami sukcesji, ustęp (d)(3) ustawy jasno stwierdza:

Złożenie przysięgi przez członka gabinetu jest jednoznaczne z ustąpieniem ze stanowiska, którego sprawowanie uprawnia go do objęcia urzędu prezydenta.

Podobne zastrzeżenie nie występuje jednak w ustępie ustawy, który odnosi się do przejęcia obowiązków prezydenta przez spikera Izby Reprezentantów oraz przewodniczącego pro tempore Senatu.

Kolejne wątpliwości natury prawnej wiążą się z umiejscowieniem członków gabinetu w linii sukcesji. Ustawa z 1947 roku wyraźnie stwierdza, że każdy członek gabinetu, który obejmuje urząd, służy jako „pełniący obowiązki prezydenta” do chwili wybrania nowego spikera Izby Reprezentantów lub nowego przewodniczącego pro tempore Senatu, który następnie zastępuje tego członka gabinetu jako pełniący obowiązki prezydenta. Eksperci nazywają to „odsunięciem”, ale tekst ustawy kłóci się w tym miejscu z artykułem II, sekcją 1, klauzulą 6 konstytucji, która mówi, że kiedy funkcjonariusz państwowy Stanów Zjednoczonych zgodnie z zasadami sukcesji obejmie urząd prezydenta, osoba ta „ma wówczas pełnić obowiązki prezydenta, dopóki niezdolność ta nie ustanie lub nie nastąpi wybór nowego prezydenta”.

Eksperci zgadzają się, że konstytucja w żadnym miejscu nie sankcjonuje odsuwania jednego urzędnika państwowego przez innego, co wydaje się rozsądne, albowiem dzięki temu chroni się kraj przed chaosem, który z pewnością zrodziłby się, gdyby prezydentura kilkakrotnie przechodziła z osoby na osobę w tak krótkim przedziale czasowym. Zapobiega to również sytuacji, w której Kongres mógłby wywierać wpływ na władzę ustawodawczą (naruszając tym samym podział władzy) poprzez groźbę zastąpienia członka gabinetu pełniącego obowiązki prezydenta nowo wybranym spikerem Izby Reprezentantów.

Mówiąc krótko, ustawa o sukcesji prezydenckiej z 1947 roku to dalece niedoskonały akt prawny. Jeden z komentatorów określił ją mianem „wiszącej w powietrzu katastrofy”. Gdyby jej postanowienia kiedykolwiek zostały zastosowane w praktyce, wywołałoby to niekończące się spory natury prawnej. W załączniku do niniejszej analizy znajduje się długa lista opinii prawników oraz artykułów naukowych (wydanych od

1947 roku do dziś), których autorzy doszli do tego samego wniosku. Mimo to Kongres Stanów Zjednoczonych nie podjął żadnej próby skorygowania niedociągnięć tej ustawy.

Zastanówmy się nad tym: jeżeli prezydent umrze w trakcie pełnienia urzędu, zgodnie z 25. poprawką do konstytucji zastępuje go wiceprezydent, który służy do końca kadencji. Jeśli wiceprezydent umrze w trakcie pełnienia urzędu, zgodnie z tą samą poprawką prezydent wspólnie z Kongresem wybiera jego następcę, który służy do końca kadencji. Jeśli prezydent-elekt umrze przed złożeniem przysięgi, 20. poprawka stwierdza, że prezydentem zostaje wiceprezydent elekt.

Ale co by się stało, gdyby zarówno prezydent elekt, jak i wiceprezydent elekt zmarli przed dwunastą w południe 20 stycznia?

Dwudziesta poprawka nie bierze pod uwagę takiej ewentualności. Zamiast tego upoważnia ona Kongres do znalezienia odpowiedniego rozwiązania, co znalazło wyraz w ustawie o sukcesji prezydenckiej z 1947 roku. Jednakże w akcie tym także nie znajdziemy odpowiedzi na ten katastrofalny scenariusz. Obecny kształt ustawy o sukcesji oznacza zatem, że w przypadku zaistnienia tej skrajnej sytuacji Stany Zjednoczone pogrążyłyby się w politycznym i prawnym chaosie.

Stephanie po raz drugi doczytała do końca tekst analizy.

W teczce znalazła również notkę z informacją, że ten dokument został przechwycony 9 kwietnia 1982 roku – stanowił część materiałów, które odebrano sowieckiemu szpiegowi schwytanemu w Niemczech Zachodnich. Autor pozostawał nieznan, ale KGB niewątpliwie zadało sobie niemało trudu, żeby dowiedzieć się wszystkiego na temat stosunkowo mało znanej części amerykańskiego prawa, jaką była ustawa o sukcesji prezydenckiej z 1947 roku.

Stephanie zaszła się w skromnej sypialni na drugim piętrze Białego Domu. W pokoju stały dwa duże łóżka, pomiędzy nimi na mahoniowym stoliku paliła się lampa. Danny był w głównym apartamencie piętro niżej. Próbowała położyć się spać, ale nie mogła zasnąć, dlatego postanowiła jeszcze raz przeczytać analizę. Uważała się za osobę dobrze obeznaną z amerykańską konstytucją i wiedziała o niektórych mankamentach dwudziestej poprawki. Ale opisane w tekście wady ustawy o sukcesji stanowiły dla niej zaskoczenie, podobnie jak fakt, że Kongres nie wydawał się zainteresowany jej poprawianiem.

Z drugiej strony rozumiała, dlaczego nikomu się z tym nie spieszyło. Jakie było prawdopodobieństwo, że przepisy tej ustawy kiedykolwiek znajdą zastosowanie w praktyce?

Tylko przy dwóch okazjach cały skład amerykańskiego rządu zbiera się w jednym miejscu. Jedną z nich jest coroczne orędzie o stanie państwa, wygłaszane przez prezydenta zawsze w styczniu w Izbie Reprezentantów na Kapitolu. Druga to prezydencka inauguracja. W obu wydarzeniach biorą udział wszyscy najważniejsi ludzie w państwie.

Z wyjątkiem jednego, tak zwanego „wyznaczonego do przeżycia”.

Jest nim zazwyczaj członek gabinetu wybierany w sekrecie przez szefa personelu Białego Domu przed

uroczystością. Osoba ta zostaje przetransportowana do odległego miejsca, które pozostaje tajemnicą, i otoczona ochroną godną prezydenta. Towarzyszy jej nawet asystent uzbrojony w podręczną walizkę z kodami nuklearnymi (zwaną potocznie „nuklearną futbolówką”), za pomocą której wyznaczony potajemnie członek gabinetu mógłby w razie potrzeby autoryzować kontratak z użyciem broni jądrowej. W razie totalnej katastrofy osoba ta, w myśl ustawy o sukcesji z 1947 roku, przejęłaby obowiązki prezydenta. Wszystkie te plany awaryjne zakładały jednak, że z podobną procedurą nie wiązałyby się żadne dalsze komplikacje natury politycznej czy konstytucjonalnej.

Tymczasem mogło to być błędne założenie.

Tak naprawdę cała ustawa o sukcesji prezydenckiej wydawała się teraz mocno podejrzana.

Ale co to wszystko miało wspólnego z Aleksandrem Zorinem i zaginionymi rosyjskimi ładunkami jądrowymi? Czy Zorin wszedł w posiadanie tych informacji i teraz planował atak w dzień inauguracji? Taki wniosek wydawał się najbardziej logiczny, zważywszy na to, co powiedział Cotton na temat Zorina i zerowej poprawki. Faktem jest, że w poniedziałek cały skład rządu z wyjątkiem osoby wyznaczonej do przeżycia zgromadzi się po zachodniej stronie Kapitolu z okazji uroczystego otwarcia administracji Warnera Foksa.

Czy Zorin mógłby cokolwiek zyskać poprzez taki lekkomyślny akt agresji? *On chce zemsty* – tak tłumaczył Osin.

Do tego dochodziła jeszcze ta druga kwestia, o której wspomniał Cotton.

*Szkolny mat.*

Danny mówił, że czeka, aż Osin dowie się więcej na ten temat.

Ale Stephanie znała szybszy sposób dotarcia do tych informacji.

## ROZDZIAŁ 49

Zorin miał przed oczami Eastport w stanie Maine. Razem z Kellym przepłynęli zatokę i dotarli na stronę amerykańską w niecałe dwie godziny. W końcu jakieś pół kilometra od brzegu opuścili żagiel i zrzucili kotwicę. W kabinie pod pokładem znaleźli dwie koje, trochę zapasowego ekwipunku i kamizelki ratunkowe. Wcisnęli się do środka i zaciągnęli zasłony w lukach. Teraz wyglądając przez nie, widzieli port i marinę, przy której stały zacumowane przeróżne łodzie. Na pierwszy rzut oka Eastport sprawiało wrażenie niewielkiej, staroświeckiej miejsciny. Jak wyjaśnił Kelly, było to najbardziej wysunięte na wschód miasteczko w Stanach Zjednoczonych.

– Port pełni funkcję przejścia granicznego – powiedział. – Kursuje stąd prom na Deer Island w Nowym Brunzswiku, ale tylko latem. O tej porze roku można swobodnie wpływać i wypływać.

– Nie mogą nas aresztować.

– Bez obaw. Testowałem już wcześniej tę trasę. Czego nas uczono, Aleksandrze? Bądź przygotowany albo zgin.

Zorin wygramolił się na tylny pokład i wsłuchał w szum fal przyboju rozbijających się o kamienisty brzeg. Tu, na wodzie, gdzie nic nie osłaniało ich przed wiatrem, północne powietrze przeszywało skórę jak nóż. Przypomniał mu się inny mroźny dzień, wiele lat temu na Kamczatce, gdzie sześciu uzależnionych od opium żołnierzy porwało samolot Tu-134 lecący na syberyjskie pola naftowe. Dwóch spośród siedemdziesięciu czterech pasażerów zginęło, a samolot został na tyle uszkodzony, że nie mógł lecieć na Zachód, dokąd zamierzali udać się żołnierze. Tamtego dnia Zorin także siedział na wodzie, około pół kilometra od brzegu, czekając na rozkazy, a jego kości przenikał silny, arktyczny wiatr. W końcu on i trzej inni członkowie jego jednostki specnazu dyskretnie zeszli na ląd i wzięli szturmem samolot, zabijając wszystkich sześciu porywaczy.

Był dobry w swojej pracy.

Budził szacunek. Strach.

I był za to odpowiednio wynagradzany.

Po Moskwie codziennie jeździły w tę i z powrotem nieoznakowane autobusy zapewniające darmowy transport pracownikom KGB. Oficerom wywiadu takim jak Zorin nigdy niczego nie brakowało. Ludzie z KGB zaopatrywali się w specjalnych sklepach, w których zawsze można było dostać kiełbasę, ser, chleb, łososia, nawet kawior. Mieli dostęp do zachodnich ubrań. Do ich dyspozycji były siłownie, sauny, baseny i korty tenisowe. Prywatny personel medyczny pracował całą dobę, w nowocześnie wyposażonej klinice dyżurowali dentyści, dało się zamówić nawet masażystów. Podmoskiewska siedziba Pierwszego Zarządu Głównego była lepiej strzeżona niż Kreml. Cóż to był za gmach! Materiały budowlane sprowadzono z Japonii i Europy. Finowie zajęli się wystrojem wnętrza. Każdy kąt budził podziw. Marmurowa fasada skrzyła się w słońcu, drewniane podłogi lśniły jak lustro. Nie szczędzono środków, ponieważ całe to miejsce miało przypominać wszystkim, którzy tam pracowali, że są wyjątkowi.

Dla najlepszych tylko to, co najlepsze.

A oficerowie służący w Wydziale ds. Ameryki Północnej, jak Zorin, byli najwyżej w hierarchii.

I nagle to wszystko się skończyło.

– Widziałeś, co się stało z Laskiem? – zapytał. Tak potocznie nazywano siedzibę Pierwszego Zarządu Głównego.

Kelly pokręcił głową.

– Nie byłem w kraju ani razu od czasu tamtego spotkania z Andropowem. Nigdy nie nadarzyła się okazja.

– Masz szczęście, oszczędziłeś sobie wstydu. Ja pojechałem tam w 1994 roku. Budynek zmienił się w ruinę, farba odłaziła od ścian, w środku brud i smród. Większość obecnego personelu w południe była już pijana. Fińskie meble, którymi kiedyś wszyscy się zachwycali, albo rozkradziono, albo zdewastowano. W łazienkach wały się dziesiątki butelek po wódce, wszystko cuchnęło alkoholem i papierosami. Ludzie na potęgę kradli papier toaletowy i papierowe ręczniki, nigdzie nie dało się znaleźć nawet skrawka. Trzeba było wycierać tyłek starymi gazetami. Ci z góry pozwolili, żeby nasza siedziba całkiem sparszywiała, tak samo jak my.

Na samą myśl o tym Zorin czuł obrzydzenie. Inteligentni, lojalni i pewni siebie ludzie zostali złamani, zniszczeni. Nigdy nie wolno mu było o tym zapomnieć. Czerpana z tych wspomnień nienawiść stała się dla niego paliwem, dzięki któremu dawne emocje wciąż w nim nie wygasły. Jako oficer służący za granicą rozumiał, że wszystko jest przejściowe. Podczas szkolenia nauczył się wyłączać umysł w zetknięciu z absurdami otaczającej go rzeczywistości. Moskwa zawsze była dla niego domem, gdzie czuł się swobodnie i bezpiecznie, ale kiedy tamten świat przestał istnieć, w jednej chwili opuściła go cała zdolność logicznego rozumowania.

Naprawdę poczuł się samotny i porzucony.

– Niemal ci zazdroszczę – powiedział do Kelly’ego. – Ty żyłeś tutaj i nie musiałeś patrzeć na tę klęskę.

– Ale nigdy nie zapominałem, że jestem oficerem KGB. Ani na chwilę. Moją misję powierzył mi sam Andropow. To dużo dla mnie znaczyło, Aleksandrze.

Zorin mógł powiedzieć to samo.

Fale głośno rozbijały się o kadłub ich łodzi. Różowiejące niebo na wschodzie zapowiadało niedaleki świt. Wiatr nie zelżał, a tafla wody przypominała pomarszczoną folię aluminiową. Kelly wyciągnął ze swojej torby latarkę i mapę, którą rozłożył na pokładzie. Zorin widział, że przedstawia wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, ciągnące się od Maine aż do Florydy.

– Jesteśmy tutaj – powiedział Kelly, kierując światło latarki na północno-wschodni koniuszek stanu Maine. – Pojedziemy na zachód do Bangor, a stamtąd ruszymy na południe autostradą międzystanową numer dziewięćdziesiąt pięć. Kiedy się na niej znajdziemy, będziemy mogli nadrobić kawał czasu. Pod wieczór powinniśmy być u celu naszej podróży.

– Rozumiem, że nie zamierzasz mi wyjawić żadnych szczegółów?

– Może po prostu razem się wszystkiego dowiemy, krok po kroku.

Zorin rozumiał, że nie ma sensu się spierać, więc nic więcej nie powiedział. Zresztą Kelly robił dokładnie to, na co cały czas liczył, dlatego nie miał powodu do narzekania. Spojrzał na leżące na brzegu miasteczko. W porcie niedaleko mariny dostrzegł pojedyncze sylwetki ludzi. Po ulicy biegnącej równoległe do nabrzeża sunęły samochody, a gdy skręcały w głąb lądu, ich światła padały na stojące po obu stronach budynki.

Stany Zjednoczone Ameryki.

Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz był tu z wizytą.

– Jak dostaniemy się na tę autostradę na południe? – zapytał. – Nie wiem, czy uda nam się tu ukraść samochód.

– Dlatego ułatwimy sobie życie i po prostu go wypożyczymy. Jestem amerykańskim obywatelem z kanadyjskim prawem jazdy, więc to nie powinien być problem. Czy ktokolwiek w Ameryce wie, że tu jesteś?

Pokręcił głową.

– Nie, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Podobno Moskwa ma mnie na oku, ale oni też nie mają pojęcia, gdzie teraz jesteście.

Przez chwilę zastanawiał się, jak się miewa Anja. Ciągłe miał przy sobie komórkę, z której dzwonił tylko do niej. Postanowił, że dziś wieczorem spróbuje się z nią skontaktować.

– A co z SWR? – zapytał Kelly. – Ewidentnie byli przygotowani na to, że się u mnie zjawisz.

Ponownie na myśl przyszedł mu Bielczenko. Czy wszystko, co stary archiwista powiedział mu w łaźni, zostało następnie przekazane do Moskwy?

– Masz rację. Wiedzieli.

– Więc dlaczego wcześniej nic z tym nie zrobili? – ciągnął Kelly.

– Ponieważ wcześniej nie było powodu, a może zwyczajnie nie wiedzieli wszystkiego aż do teraz.

– Wiedzą o *Szkolnym macie*?

– Niewykluczone. Mogli znaleźć te same stare dokumenty co ja. Inni archiwiści mogli posiadać te same informacje, które mnie udało się zdobyć. Ale sam mówiłeś, że nikomu nie powiedziałeś o swoich poczynaniach. Nigdy nie zdałeś żadnego raportu. Czy to była prawda?

Kelly pokiwał głową.

Zorin nadal nie wierzył w to, że Bielczenko mógłby go wydać.

– Muszą błędzić po omacku w nadziei, że to my doprowadzimy ich do składu broni.

Ponownie odwrócił się w stronę brzegu. Eastport miało w sobie coś ponurego – wydawało się jednocześnie zaciszne, zachęcające i nieco złowrogie.

Zastanawiał się, czy na łodzi czekają już na nich ludzie z SWR.

Malone zwolnił przed samym wjazdem do Eastport w stanie Maine. Miasteczko leżało na wyspie Moose, a ze stałym lądem łączyła je grobla komunikacyjna. Tak długo, jak tylko mogli, obserwowali żaglówkę z brzegu w St. Andrews. Patrzyli za nią, jak lekko przechylona pod naporem żagla unosi się i opada na falach, a wiatr pcha ją uparcie przed siebie. Kiedy łódź zniknęła im z oczu, ruszyli na południe drogą US-1, minęli przejście graniczne i pojechali dalej, równoległe do rzeki St. Croix. Cassiopeia sprawdziła na swoim smartfonie, że najbardziej wysunięty na wschód punkt to miasteczko Eastport.

Sprzyjało im szczęście. Dron, który śledził łódź z powietrza, ujawnił, że właśnie została zakotwiczona w zatoczce niedaleko Eastport. Udało im się więc przybyć na czas.

Centrum miasteczka było niewielkie, ale bardzo eklektyczne. Przy głównej ulicy stały niskie, drewniane budynki, niektóre z czarnymi, żelaznymi poręczami i ozdobnymi kratami. Na maszcie zwieńczonym rzeźbą orła łopotała amerykańska flaga. Miejsowość wyglądała jak idealne miejsce na weekendowy wyjazd, zwłaszcza że Portland leżało mniej niż czterysta kilometrów na południe stąd. Edwin Davis przed chwilą dał znać, że na łodzi nic się nie dzieje, a dwaj pasażerowie są wciąż na pokładzie.

– Jak oni zamierzają się dostać na teren kraju? – zapytała Cassiopeia.

– Wierz lub nie, o tej porze roku obowiązuje tu system honorowy – odparł Malone. – Gdzieś w okolicy portu jest pewnie budka z wideotelefonem. Stajesz przed kamerą, żeby twój obraz mógł zostać wysłany do kontroli, potem podnosisz słuchawkę i zadają ci kilka pytań. Jeśli nie mają zastrzeżeń, dostajesz pozwolenie na wjazd, jeśli nie, odsyłają cię z powrotem tam, skąd przybyłaś. Kontrolerzy polegają na pomocy miejscowych, którzy sami pomagają utrzymać porządek i zgłaszają wszelkie problemy.

– Żartujesz, prawda?

– Sam kilka razy korzystałem z takiej budki w innych miejscach. Pilnowanie prawie dziewięciu tysięcy kilometrów granicy jest trudne oraz kosztowne. Kelly prawdopodobnie wie, jak słabo chroniona jest granica z Kanadą. W końcu skierował się prosto tutaj.

Zatrzymał samochód na parkingu pod jakimś pensjonatem.

– Zorin mnie zna, dlatego nie może mnie zobaczyć. Ale ty to co innego. Pozwolimy dronowi prowadzić

obserwację, dopóki nie będzie trzeba wkroczyć osobiście. Ty się tym zajmiesz.

Cassiopeia dla żartu zasalutowała.

– Tak jest, panie kapitanie, gotowa na rozkazy.

– Brakowało mi tego twojego poczucia humoru – powiedział z uśmiechem.

– To dobrze.

W tym momencie zadzwonił jej telefon. Cassiopeia odebrała i od razu przełączyła na głośnik.

– Schodzą z żaglówki do małej łódki – usłyszeli głos Edwina Davisa.

– Przedpole oczyszczone? Jeśli ktoś coś zgłosi, straż graniczna zepsuje nam całą akcję.

– Wszystko załatwione. Powinni mieć wolną drogę. Dowiedziałem się, że w całym porcie mamy ukryte kamery. Latem jest tam spory ruch.

– Znalazłeś cokolwiek na temat Szkolnego mata albo zerowej poprawki?

– O tak, ale ostrzegam, że to się wam nie spodoba.

# ROZDZIAŁ 50

WASZYNGTON

GODZ. 8:05

Stephanie wyszła z Białego Domu i wróciła taksówką do hotelu Mandarin Oriental, gdzie wzięła prysznic, przebrała się i poszła coś przekąsić. W sumie spała tylko kilka godzin, ponieważ nie mogła przestać myśleć o tym, co przeczytała w teczce otrzymanej od Danny'ego.

Sowieci byli żywo zainteresowani dwudziestą poprawką do amerykańskiej konstytucji, tak bardzo, że nadali jej własną nazwę.

Zerowa poprawka.

Co to tak naprawdę oznaczało, tego autor analizy nie wytłumaczył, ale z innych materiałów zawartych w teczce wynikało, że określenie to pojawiała się regularnie w sowieckich dokumentach państwowych na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i z całą pewnością sprawa łączyła się bezpośrednio z samym Jurijem Andropowem.

A potem w 1984 roku wszelkie wzmianki na ten temat zniknęły.

Amerykański wywiad bardzo zwracał uwagę na to, kiedy różne tematy zyskiwały na popularności, a kiedy przemijały, ponieważ oba te zdarzenia były równie istotne. Analitycy przez całą swoją karierę zastanawiali się, dlaczego coś się zaczęło i dlaczego potem się skończyło. Odnajdywanie związków pomiędzy osobnymi wątkami to Święty Graal pracy wywiadowczej, a w tym przypadku Cotton otrzymał kluczową wskazówkę, kiedy Wadim Bielczenko na chwilę przed śmiercią wypowiedział słowa „Szkolny mat” i „zerowa poprawka”. Stephanie musiała się dowiedzieć więcej na temat sformułowania „Szkolny mat”. Na szczęście wiedziała dokładnie, do kogo się zwrócić.

Kristina Cox mieszkała w zasięgu wzroku od katedry Świętych Piotra i Pawła. Większość ludzi mówiła na tę świątynię po prostu Katedra Narodowa, a na Kristinę – Kris. Jej mąż, Glenn, rosły mężczyzna o tubalnym głosie, był kanonikiem w Kościele episkopalnym. Od trzydziestu jeden lat służył swojej wspólnoty, a kiedy w końcu został biskupem diecezji waszyngtońskiej, jego miejscem pracy stała się katedra. Ale pewnej smutnej niedzieli dostał ataku serca i zmarł na ambonie.

W ramach podziękowania za wieloletnią posługę męża Kris otrzymała dożywotnio mały, piętrowy domek, nieco cofnięty od ulicy. Idealną symetrię wysokich okien wkomponowanych w kremową elewację zakłócał jedynie klimatyzator zainstalowany w jednym z nich. Nikt nie widział nic dziwnego w fakcie, że żona waszyngtońskiego biskupa Kościoła episkopalnego była dawniej szpiegiem. Właściwie nikt w ogóle nie zadawał żadnych pytań, dzięki czemu jej życie prywatne i zawodowe nigdy się ze sobą nie mieszały. Konieczność rozdzielania tych dwóch światów to jedna z pierwszych rzeczy, jakich Stephanie nauczyła się od Kris Cox, i tylko jeden jedyny raz pozwoliła sobie złamać tę zasadę.

Wchodząc na krótką ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych, podniosła z ziemi poranną gazetę. Drewniany płot sięgający do ramion osłaniał ogród od ulicy. Stephanie zadzwoniła z hotelu, więc wiedziała, że Kris na nią czeka. Gdy zapukała, drzwi otworzyły się niemal natychmiast, a gospodyni we frotowym szlafroku przywitała ją serdecznym uściskiem. Minęło kilka miesięcy, odkąd Stephanie ostatni raz odwiedziła swoją starą przyjaciółkę, choć od czasu do czasu rozmawiały przez telefon. Kris, która dobijała do osiemdziesiątki, zawsze była bardzo szczupła. Miała krótkie siwe włosy i jasnoniebieskie oczy. Przez niemal pięćdziesiąt lat pracowała dla CIA – zaczynała jako analityk, ale gdy przechodziła na emeryturę, była zastępcą dyrektora. Kiedy utworzono jednostkę Magellan Billet, to właśnie Kris pomogła



sformułować zasady jej funkcjonowania, a także opowiadała się za uniezależnieniem jej od wpływów Waszyngtonu. Stephanie przez całą swoją karierę starała się bronić tej niezależności, ale ostatecznie to właśnie waszyngtońska polityka doprowadziła do likwidacji jednostki.

– Mów, co jest nie tak – odezwała się Kris. – Zaproponowałabym ci kawy, ale wiem, że jej nie znosisz, a poza tym nie przysłaś tu, żeby się napić.

– To prawda.

Usiadły w kuchni i Stephanie opowiedziała przyjaciółce o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni.

– Muszę wiedzieć, co się kryje za określeniem „Szkolny mat”.

Nie było potrzeby rozwodzić się nad faktem, że została zwolniona z pracy. Tak funkcjonował świat polityki, który obie dobrze znały i nikt nie rozumiał tego lepiej niż Kris. Jest problem do rozwiązania, więc trzeba od razu przejść do rzeczy, szkoda czasu na bzdury. Stephanie ogromnie szanowała to w swojej przyjaciółce i sama brała z niej przykład jako szefowa Magellan Billet. Niestety to podejście w połączeniu ze szkodliwymi naciskami ze strony Waszyngtonu w końcu pozbawiło ją pracy.

– Pamiętam *Szkolnego mata*. Z tego, co udało nam się ustalić, to kryptonim związany z nieautoryzowaną przez sowieckie władze operacją wywiadowczą, w którą mógł być bezpośrednio zaangażowany Andropow.

Jurij Andropow, ostatni ze starej gwardii komunistów, był prawdopodobnie najniebezpieczniejszym ze wszystkich Sowietów. Ten inteligentny i przebiegły człowiek rzadko kiedy robił jakiś fałszywy krok. Zdecydowanie odnalazłby się w czasach Lenina. Andropow był oburzony korupcją, która szerzyła się za rządów Breżniewa. Stephanie pamiętała śledztwa i aresztowania, które miały miejsce po objęciu przez Andropowa stanowiska sekretarza generalnego. Wielu z najbliższych współpracowników Breżniewa stanęło wtedy w obliczu kary śmierci.

– Andropow nie był naszym przyjacielem – powiedziała Kris. – Zawsze starał się uchodzić za reformatora, ale tak naprawdę był dogmatykiem. Na szczęście bardzo krótko sprawował władzę i przez większość tego okresu zmagął się z ciężką chorobą.

Stephanie wiedziała, że przysłała pod właściwy adres. Był to znacznie lepszy pomysł niż czekanie, aż Osin, Danny czy Edwin będą w stanie przekazać jej więcej informacji. Dlatego właśnie postanowiła tak szybko opuścić Biały Dom, uznając, że tutaj może poznać odpowiedzi na pytania, których nawet jeszcze nie umiała zadać.

– Był rok 1983 – kontynuowała swoją opowieść Kris. – Jak wiesz, popularność Reagana biła wszelkie rekordy. Udało mu się przeżyć zamach na swoje życie i na każdym froncie przeciwstawiał się Związkowi Radzieckiemu. Europa Wschodnia powoli implodowała, za to w Polsce nastąpiła eksplozja. Żelazna kurtyna zaczęła się walić. W listopadzie 1982 roku umarł Breżniew i władzę przejął Andropow. Wszyscy spodziewali się po nim najgorszego. To on zdusił powstanie na Węgrzech w 1956 oraz w Pradze w 1968. Jako szef KGB tępił dysydentów, a potem nawoływał do inwazji na Afganistan. Był z niego niezły bandzior. Pod jego rządami Związek Radziecki nie miał szans się zmienić, a zimna wojna zdecydowanie nabrała rumieńców. Dlatego zdwoiliśmy wysiłki i zintensyfikowaliśmy operacje wywiadowcze. Spędzałam dużo czasu w Kongresie, lobbując na rzecz zwiększenia naszych funduszy. A pewnego dnia na moje biurko trafił *Szkolny mat*.

– Czy Osin mówił prawdę? Sowietci mieli w naszym kraju swoje składy broni?

– Nigdy nie udało się tego potwierdzić. Ale jednostki specnazu znały się na rzeczy. KGB znało się na rzeczy. A nasze własne służby bezpieczeństwa nie działały tak skutecznie jak dzisiaj. Na pewno dało się wwieźć to i owo do kraju.

Stephanie słuchała z uwagą opowieści Kris o Andropowie.

– Nienawdził Reagana, a Reagan nie bardzo wiedział, jak sobie z nim poradzić. W tamtym okresie mieliśmy na Kremlu swojego agenta. Dobrego, można było na nim polegać. Ostrzegł nas, że Andropow coś szykuje. Że jeżeli sytuacja w Europie Wschodniej się nie uspokoi, zwłaszcza w Polsce, planuje pozbawić Reagana szans na drugą kadencję. Prawdę mówiąc, stary komunista bał się byłego aktora.

Stephanie pamiętała, jakie było poruszenie w Departamencie Stanu, kiedy ogłoszono, że Andropow został sekretarzem generalnym. George Shultz przewidywał kłopoty, ale robił, co mógł. Operacja Forward Pass niewiele zmieniła, wszystko nieubłaganie posuwało się naprzód. W czerwcu 1983 roku Jan Paweł II ponownie odwiedził Polskę, a jego triumfalny powrót do ojczyzny dodał nowych sił całemu ruchowi opozycjnemu. Stephanie pomagała przy koordynacji tej siedmiodniowej wizyty, która w otwarty sposób podważała pozycję i wpływy Andropowa.

– Groźba niedopuszczenia do drugiej kadencji Reagana nie wzbudziła większego niepokoju? – zapytała.

– W tamtych czasach Sowietci cały czas wygłaszali takie pogroźki. Nikt nie wierzył, że ZSRR dąży do wojny. A tak by się to skończyło, gdyby cokolwiek zrobili. Nie mieli szans zwyciężyć w tej walce.

Może i tak, ale dzisiaj podobne groźby zostałyby potraktowane dużo poważniej. I byłoby to jak najbardziej uzasadnione.

– Kiedy zadzwoniłaś i zapytałaś o *Szkolnego mata*, musiałam bardzo daleko sięgnąć pamięcią. Dowiedzieliśmy się, że czterech agentów zostało wysłanych na specjalne misje. Pamiętam to, ponieważ każda z nich miała kryptonim zaczerpnięty z szachów. Ostatnia część tej operacji nosiła nazwę *Szkolny mat*. Ale nie dowiedzieliśmy się niczego więcej. Zdobyliśmy tylko strzępy informacji, nic konkretnego. Andropow zmarł w lutym 1984 roku i ten temat już nigdy nie powrócił. Uznaliśmy, że zagrożenie zniknęło, że jego plan umarł razem z nim.

– Możliwe, że nie mieliście racji – odparła Stephanie.

Kris posiadała dostęp do najściślej strzeżonych tajemnic państwowych, więc Stephanie nie miała oporów, żeby z nią o tym rozmawiać. Ale właściwie jakie to miało znaczenie? Jej własne upoważnienie do zapoznawania się z tajnymi informacjami wygasło kilka godzin temu.

– Wszyscy uważaliśmy – podjęła Kris – że gdyby Andropow żył dłużej, zahamowałby wszelkie reformy i spacyfikował Europę Wschodnią. Wszystko wyglądałoby inaczej. Ale on nagle zachorował i umarł. Problem rozwiązany. Rok później mieliśmy już Gorbaczowa, który był łagodny jak baranek, a reszta jest historią.

– Reagan wiedział dokładnie, jak się z nim obchodzić.

– Jak nikt inny. Ale niepokoi mnie ten obecny rozłam we władzach Rosji, o którym mówiłaś. Ludzie Danielsa umieli sobie radzić z takimi rzeczami, ale nie mamy pojęcia, jak się sprawdzi nowa ekipa. Ten okres przejściowy zawsze jest trudny, a nowi ruscy grają ostro. Ty oczywiście to wiesz, ale mam nadzieję, że ludzie Foksa też to wiedzą.

– Jaki jest ich plan? – zapytała Stephanie. – Co ci podpowiada intuicja?

Kris przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, być może analizując sprawę w kontekście tego, co Stephanie powiedziała jej o dwudziestej poprawce.

– Inauguracja odbędzie się za dwadzieścia kilka godzin – odezwała się w końcu. – Pamiętam, że Sowietci przejawiali fascynację naszą sukcesją prezydencką. Procedura jest pełna niejasności, bez dwóch zdań. Można by pomyśleć, że po jedenastym wrześniu kongres stanie się bardziej czujny, ale nic się pod tym względem nie zmieniło. Rzecz jasna logika podpowiada, że Zorin chce zaatakować podczas inauguracji. Na pewno wiele na to wskazuje. Ale najpierw musi znaleźć ponaddwudziestopięcioletnią bombę walizkową, o której nie wiadomo, czy w ogóle działa. Nawet jeśli nadal jest sprawna, to i tak trzeba ją podłożyć naprawdę blisko celu. Owszem, to ładunek jądrowy, ale niewielkich rozmiarów.

Tymczasem służby w Waszyngtonie mają psy, detektory promieniowania jądrowego i elektromagnetycznego i tym podobne. Szanse na to, że ktoś przedostanie się wystarczająco blisko, żeby wysadzić wszystkich w powietrze, są praktycznie zerowe.

– Mimo to Zorin się nie poddaje.

Kris opadła plecami na fotel.

– No właśnie. Mnie też to martwi.

– Więc co on wie, czego my nie wiemy?

Kris wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale to musi być coś dobrego.

Ciszę, która zapadła, przerwał dzwonek komórki Kris. Sięgnęła po aparat leżący na biurku.

– Czekałam na ten telefon.

– Może wyjdę do drugiego pokoju?

– Ależ nie. To dotyczy też ciebie.

# ROZDZIAŁ 51

Luke pojechał na północny zachód do Maryland. Ludzie z Secret Service zabrali samochód Fritza Strobla, a w zamian Luke'owi wydano nierzucającego się w oczy rządowego sedana. Jego własny mustang nadal tkwił na złomowisku i groziło mu, że już tam zostanie, bo Luke miał wykupioną tylko minimalną polisę ubezpieczeniową – nigdy nie przypuszczał, że pewnego dnia może wziąć udział w walce na samochody. Naprawy pochłonęłyby tysiące dolarów, a to znacznie więcej, niż był w stanie zainwestować w niemal pięćdziesięcioletni wóz. Szkoda. Świetnie się nim jeździło.

Udało mu się przespać kilka godzin i nawet zdążył zjeść śniadanie. Stephanie zadzwoniła kilka minut po siódmej rano i powiedziała, co ma zrobić. Podała mu adres Lawrence'a Begyna, obecnego przewodniczącego Towarzystwa Cyncynatów, mieszkającego w Germantown w stanie Maryland.

– Musimy dowiedzieć się więcej o *Czternastej kolonii* – wyjaśniła Stephanie. – Koniec mydlenia oczu, chcę znać wszystkie szczegóły. Masz moje pozwolenie na zaprezentowanie się mu od swojej najbardziej bezpośredniej i czarującej strony.

Ta ostatnia uwaga wywołała uśmiech na jego twarzy. W normalnej sytuacji oczekiwaby dyplomatycznego podejścia. Ale nie tym razem. Luke czuł, że sprawy nabierają tempa, poza tym Stephanie oznajmiła, że Cotton i Cassiopeia są już z powrotem w Stanach, pod kanadyjską granicą, gdzie pilnują Zorina. Stephanie wciąż nosiła przy sobie telefon komórkowy Anji Pietrowej, który był włączony, ale jeszcze ani razu nie zadzwonił. Zapewniła go, że kiedy to nastąpi, będą na to przygotowani.

Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Stephanie Nelle nigdy nie włączała się do walki nieprzygotowana. A fakt, że wczoraj straciła pracę, najwyraźniej zupełnie nie wybił jej z rytmu. Na pewno pomagało jej w tym granie w jednej drużynie z urzędującym prezydentem Stanów Zjednoczonych, nawet jeśli ten stan rzeczy miał się utrzymać jeszcze tylko przez kilka godzin.

Luke odnalazł wskazany adres wśród rozłożystych, starych budynków na zadrzewionych przedmieściach Germantown. Dom Begyna – duży, biały prostokąt z drewnianą elewacją – stał na niewielkiej górcie. Cała okolica przypominała położenie domu Charona w Wirginii – była tam nawet podobna brama z kutego żelaza, za którą zaczynał się wysypyany żwirem podjazd. Luke zjechał z głównej ulicy i ruszył ścieżką pomiędzy nagimi drzewami w stronę domu.

Natychmiast rzuciły mu się w oczy dwie rzeczy.

Pośród drzew u wylotu podjazdu stał jakiś samochód, a drzwi frontowe domu były uchylone i wyglądały na wyłamane.

Zatrzymał wóz i ściskając w rękę swoją beretę, podbiegł do głównego wejścia. Nasłuchiwał jakichkolwiek odgłosów, ale wkoło panowała cisza. Zerknął do środka i zobaczył korytarz pełen zabytkowych mebli. Co to za ludzie, ci cyncynaci? Wszyscy wyglądali na nadzianych. Najpierw posiadłość Charona, a teraz ten Begyn.

Wśliznął się do środka i trzymając się ściany, wypatrywał w nasłonecznionych pokojach wszelkich oznak niebezpieczeństwa. Zaglądając do kolejnych pokoi, widział przewrócone sprzęty, poszarpaną tapicerkę, wybebeszone fotele, pozrzucone z półek książki. Szuflady były wyciągnięte z biurka, a ich zawartość rozsypała po podłodze, jakby ulicę nawiedziło trzęsienie ziemi. Ktoś niewątpliwie czegoś szukał.

Nagle jego wzrok padł na schody.

Niemal na samej górze na drewnianych stopniach leżało ciało. Krew spłynęła w dół, tworząc gęste, brunatne kałuże. Luke wspiął się po schodach, omijając plamy krwi, i odwrócił ciało na plecy. Wysunął się spod niego karabin, który z głośnym stukotem zjechał po stopniach. Luke rozejrzał się czujnie, czy hałas nie zwrócił niczyjej uwagi.

Cisza.

Zabity mężczyzna miał trzydzieści kilka lat, krótkie włosy i ostre rysy twarzy. Jego gardło było rozcięte od ucha do ucha, co tłumaczyło przyczynę śmierci.

Luke usłyszał jakiś dźwięk. Dochodził z dołu.

Coś się tam ruszało.

Ostrożnie zszedł z powrotem na parter, zamykając umysł na wszelkie bodźce z wyjątkiem tego, co się działo bezpośrednio wokół. Po lewej ujrzał jadalnię, gdzie na drewnianej podłodze leżało ciało kolejnego mężczyzny, również z poderżniętym gardłem. Przed Lukiem znajdowały się drzwi wahadłowe, które zapewne prowadziły do kuchni. Podeszedł bliżej i oparł się o ścianę, dyskretnie zaglądając przez centymetrową szparę pomiędzy drzwiami a futryną. Miał rację, po drugiej stronie rzeczywiście była kuchnia. Jedną ręką pchnął drzwi i wpadł do środka.

Pusto.

Słońce świecące przez okna skrzyło się na marmurowych blatach i urządzeniach z nierdzewnej stali.

Co tu się stało?

Miał właśnie sprawdzić resztę domu, kiedy ponownie coś usłyszał. Dźwięk dochodził z za jego pleców. Szybko się odwrócił i niemal w tej samej chwili dostał uderzenie w tchawicę, co sprawiło, że zaczął się krztusić. Znał ten cios, nauczył się go w wojsku, ale nigdy nie doświadczył go na własnej skórze.

Próbował złapać oddech, ale napastnik nie dał mu żadnych szans.

Coś walnęło go w lewą skroń.

Ostatnim, co zobaczył, zanim wszystko zrobiło się czarne, było połyskujące ostrze noża.

Malone siedział w kawiarni w centrum Eastport i kończył śniadanie składające się z jajek, bekonu, grzanek i kawy. Zorin i Kelly zniknęli ponad dwie godziny temu. Malone razem z Cassiopeią obserwowali, jak dwaj mężczyźni przypłynęli na ląd w małej łódeczce, omijając budkę w porcie, która służyła jako kontrola graniczna. Zgodnie z przewidywaniami, gdy tylko znaleźli się w mieście, zadzwonili po taksówkę, która pojawiła się po kilku minutach. Malone i Cassiopeia nie pojechali za nimi. Wyręczył ich w tym latający dron, który monitorował przybyszów z bezpiecznej odległości, a oni dzięki otwartej linii telefonicznej mogli na bieżąco kontrolować sytuację.

Taksówka zawiozła Zorina i Kelly'ego na lotnisko w Eastport, które leżało niedaleko dzielnicy handlowej. Weszli do niewielkiego terminalu, a kilka minut później wyszli, skierowali się do rzędu samochodów stojących na parkingu i odjechali jednym z nich. Malone wiedział, co się wydarzyło. Kelly wynajął samochód, z czym oczywiście nie miał żadnych trudności.

W końcu sprawy zaczęły iść po ich myśli.

Malone zdecydował się wysłać w ślad za tamtymi dwoma Cassiopeię, ale ostrzegł, by trzymała się daleko z tyłu. Powiedziano mu, że dron niedługo będzie musiał lądować, dlatego Cassiopeia miała go zastąpić. On sam planował później ją dogonić. Najważniejsze teraz było nie zgubić Zorina.

Wcześniej zadzwonił już do Edwina Davisa i powiedział mu, co jeszcze chodziło mu po głowie. Czekał na rozwój wypadków, postanowił wykorzystać ten czas na zjedzenie czegoś ciepłego.

Kelnerka zabrała pusty talerz ze stołu.

Za oknem miasteczko wciąż wydawało się dość senne, ale w końcu był środek zimy. Poranne niebo

szybko zrobiło się jednolicie szare. Zbierało się na śnieg i Malone miał nadzieję, że do tego czasu będzie już w drodze na południe. Oprócz niego w ten sobotni poranek kawiarnia nie miała zbyt wielu klientów. Po jakimś czasie na ukośny parking przed lokalem wjechał biały ford taurus, z którego wysiadło dwóch mężczyzn w niebieskich mundurach policji stanowej Maine.

Policjanci weszli do kawiarni, zobaczyli go i się przedstawili.

– Podobno potrzebuje pan naszej pomocy – powiedział jeden z nich. – W sprawie dotyczącej bezpieczeństwa narodowego.

Malone wychwycił w jego głosie nutę sceptycyzmu.

– Nie wierzycie, że to prawda?

– To bez znaczenia – odparł policjant z uśmiechem. – Kiedy naczelnik policji stanowej dzwoni do mnie osobiście w sobotę rano i mówi, że mamy tu przyjechać i robić to, co pan każe, to przyjeżdżam i robię, co pan każe.

Trzeba oddać Edwinowi sprawiedliwość – umiał załatwiać takie rzeczy. Malone wyjaśnił mu wcześniej, w jaki sposób najlepiej kontynuować obserwację Zorina i Kelly’ego: jeden samochód śledzi ich przez kilkaset kilometrów, potem zastępuje go kolejny i tak dalej. Dzięki temu trudno im będzie się zorientować, że mają ogon. W tej chwili zadanie ograniczało się tylko do terytorium Maine, więc Edwin zaangażował do pomocy stanową policję. Zorin i Kelly najprawdopodobniej kierują się dalej na południe, w głąb Nowej Anglii, więc trzeba będzie również postawić na nogi służby w innych stanach. O wiele prościej byłoby śledzić ich za pomocą drona, ale Malone zdawał sobie sprawę, że używanie ich na amerykańskiej ziemi wiąże się z różnymi prawnymi komplikacjami.

Tak czy inaczej, tradycyjna metoda też powinna zdać egzamin.

Oprócz tego potrzebne mu było wsparcie.

Dopił swój sok i powiedział:

– Musimy jechać na lotnisko.

Podróż była krótka, ponieważ od lotniska dzieliły ich niecałe dwa kilometry. Wewnątrz terminalu Malone bez trudu odnalazł stanowisko wypożyczalni samochodów. Poprosił policjantów, żeby poszli z nim na wypadek jakichkolwiek problemów. Nie ma nic bardziej onieśmielającego niż widok mundurów, odznak i broni w kaburach.

– Mniej więcej dwie godziny temu wynajął pan samochód dwóm mężczyznom – powiedział, gdy podszedł do lady. – Chcemy spojrzeć w papiery. – Pracownik wypożyczalni wyglądał, jakby miał zamiar stawiać opór, więc Malone wskazał na dwóch funkcjonariuszy, dodając: – I jedyna poprawna odpowiedź brzmi: „Oczywiście, oto one”.

Jego surowe spojrzenie w połączeniu z dwoma mundurowymi u jego boku zrobiło odpowiednie wrażenie. Mężczyzna podał im umowę sporządzoną na nazwisko Jamiego Kelly’ego, legitymującego się kanadyjskim prawem jazdy, opłaconą w gotówce. Nie było na niej punktu docelowego pojazdu.

– Samochód wraca tutaj? – zapytał Malone.

Mężczyzna za ladą pokiwał głową.

– Tak powiedzieli.

Malone wiedział jednak, że skłamali.

Zapytał zatem o to, czego naprawdę chciał się dowiedzieć.

– Macie GPS we wszystkich swoich pojazdach, prawda?

– Oczywiście. Jeśli trzeba, możemy je zlokalizować.

Malone zamachał mu przed nosem umową.

– Proszę nam podać częstotliwość dla tego samochodu. Teraz.

## ROZDZIAŁ 52

Stephanie słuchała, jak męski głos po drugiej stronie linii, suchy i zachrypły jak szelest jakiegoś zwierzęcia w stosie uschłych liści, opowiada o rzeczach, o których nigdy wcześniej nie słyszała. Najwyraźniej w latach osiemdziesiątych, kiedy uczestniczyła w operacji Forward Pass i współpracowała potajemnie z Reaganem oraz papieżem, inni także ciężko pracowali nad osłabieniem sowieckiego reżimu, w bardziej aktywny sposób dążąc do destabilizacji wrogiego państwa.

– To były czasy – mówił głos. – Nie zapominajmy, że Andropow stał na czele KGB, kiedy zorganizowano zamach na Jana Pawła II. Musiał zatwierdzić tę decyzję.

Głos wyjaśnił dalej, że w przekonaniu Andropowa wyniesienie Jana Pawła II na Tron Piotrowy zostało specjalnie pomyślane przez Watykan jako sposób na podkopanie sowieckiej władzy w Polsce, co stanowiło część większego planu doprowadzenia do upadku ZSRR. To rzecz jasna absurdałne, ale w ostatecznym rozrachunku, dzięki zewnętrznym okolicznościom takim jak wybór Ronalda Reagana na prezydenta USA, dokładnie taki był efekt.

– Szczerze wierzył, że papież stanowi zagrożenie, przede wszystkim ze względu na osobistą charyzmę Jana Pawła II, widoczną szczególnie w kontaktach z mediami. Czytałem kiedyś memorandum, w którym Andropow rozwodził się nad tym, że papież wykonuje tanie gesty pod publikę, na przykład zakłada góralski kapelusz podczas wizyty w Anglii albo podaje wszystkim ręce i całuje dzieci, jakby prowadził kampanię wyborczą. Andropow sprawiał wrażenie przerażonego tym, co papież jest w stanie osiągnąć.

Jak się okazało słusznie, pomyślała Stephanie, ponieważ Jan Paweł II obmyślał swoje działania z wprawą godną hollywoodzkiego reżysera. Co ciekawe jednak, ani Reagan, ani papież nigdy nie ostrzegali jej przed Andropowem.

– KGB posłużyło się Bułgarami, żeby dokonać zamachu na Jana Pawła II – ciągnął głos. – To wiemy na pewno. I bardzo rozważnie wybrali swojego zabójcę. Ali Ağca gwarantował im możliwość wyparcia się wszystkiego. Był słabym, głupim człowiekiem, który o niczym nie miał pojęcia. Potrafił tylko bełkotać od rzeczy i to właśnie robił, kiedy go złapano. Pamiętam dzień, gdy papież poszedł go odwiedzić w więzieniu i mu wybaczył. Co za genialne posunięcie.

A do tego Stephanie sama pomogła to zorganizować. Decyzję podjął Jan Paweł II, a Reagan był jak najbardziej za.

I tak w 1983 roku, dwa lata po próbie zamachu, papież spotkał się w cztery oczy z Alim Ağcą, który wzruszony do granic, rozplakał się i ucałował papieski pierścień. Zdjęcia i relacje z tego zdarzenia obiegiły cały świat, razem ze spekulacjami na temat powiązań zamachowca z Moskwą. Było to ze strony papieża bardzo śmiałe zagranie, świadczące o wielkiej pewności siebie. Doskonały przykład tego, jak można przekuć porażkę w sukces.

A przynajmniej tak to przedstawiał Reagan.

– Kiedy Andropow został sekretarzem generalnym – mówił dalej głos w telefonie – wielu zapowiadało kłopoty. On wiedział o naszej aktywności w krajach Bloku Wschodniego. Finansowaliśmy działalność ruchów opozycyjnych, udzielaliśmy wsparcia logistycznego, przekazywaliśmy informacje wywiadowcze na temat poszczególnych rządów, nawet pomagaliśmy zająć się tym czy innym problemem.

Wiedziała, co ma na myśli.

Paru ludzi zginęło.

– A potem Andropow zachorował i wiedział, że dla niego to już koniec. Lekarze dawali mu osiem

miesiący. Wtedy naprawdę się wystraszył. Ale nie miał nic do stracenia, a na Kremlu byli ludzie gotowi pójść za nim w ogień. Kiedy Kris zadzwoniła, żeby zapytać o *Szkolnego mata*, od razu sobie o tym przypomniałem. Wszyscy myśleliśmy, że to będzie ostatnie zagranie tego starego komunisty.

Stephanie cały czas zastanawiała się, do kogo należy ten głos, ale wiedziała, że lepiej nie pytać. Gdyby Kris chciała, to już dawno by jej powiedziała. Najprawdopodobniej był to ktoś z CIA. Wysoko postawiony. A wiedziała, jak to wygląda w tej branży. Ani o sukcesach, ani o porażkach nie mówi się publicznie. Agencja została podzielona na mniejsze komórki, a wiele faktów z jej przeszłości umyślnie utrzymywano w tajemnicy właśnie po to, żeby nikt nigdy nie mógł wiedzieć wszystkiego. A najważniejsze sekrety, te, które naprawdę się liczyły? Nigdy ich nie spisywano. To jednak nie oznacza, że nikt ich nie znał.

– Andropow nienawidził Reagana. Wszyscy się spodziewali, że KGB wykona jakiś ruch wymierzony bezpośrednio w niego. W końcu Andropow próbował zamordować papieża, więc dlaczego nie miałby spróbować zabić prezydenta? Pod koniec 1983 roku zdecydowanie było wiele sygnałów ostrzegawczych. Związek Radziecki zmagał się z poważnym kryzysem gospodarczym, miał także problemy z przywództwem. W całym kraju zapanował chaos. Kreml zafascynował się zasadami amerykańskiej sukcesji prezydenckiej. Kris wspomniała, że czytała pani analizę, którą przechwyciliśmy w tamtym okresie. Było więcej takich pism. Zerowa poprawka. Tak nazywali dwudziestą.

– Wiadomo dlaczego?

– Ponieważ gdyby atak został przeprowadzony skutecznie, nie zostałby nikt, kto mógłby przejąć stery.

– Jak to możliwe?

– Nie jestem w tej kwestii ekspertem, ale ktoś mi kiedyś tłumaczył, że gdyby udało się za jednym zamachem wyeliminować prezydenta elekta razem z wiceprezydentem elektem, spikerem Izby Reprezentantów oraz przewodniczącym Senatu, zanim nowy prezydent i wiceprezydent zdążyliby zostać zaprzysiężeni, zostaliby tylko członkowie gabinetu, którzy przejmują władzę na mocy uchwały Kongresu. Ta ustawa jest pełna usterek. Nie jest pewne, czy członkowie gabinetu mogliby w ogóle objąć urząd prezydenta w zgodzie z konstytucją. Zaczęłyby się wewnętrzne starcia i w efekcie nikt nie stałby na czele kraju. Nawiasem mówiąc, ta walka o władzę byłaby podsycana przez agentów KGB. W tego typu działaniach ci goście byli mistrzami. Tysiące razy manipulowali naszą prasą i w tym przypadku też by to robili.

– A jaki by to wszystko miało cel? – zapytała Stephanie.

– Właśnie w tym momencie Związek Radziecki przystąpiłby do ataku. Kiedy nikt nie ma pewności, kto może wydawać rozkazy wojsku. Mielibyśmy jeden wielki zamęt. Sowieckie czołgi przetoczyłyby się przez całą Europę, a my bylibyśmy zajęci kłótniami o to, kto właściwie sprawuje władzę. Jedni przekonywaliby, że ten, drudzy, że ktoś inny. Nikt nie wiedziałby tego na sto procent.

Ta taktyka zaczynała nabierać sensu.

– Przechwyciliśmy informację, że ZSRR przygotowuje jakieś posunięcie związane z ustawą o sukcesji prezydenckiej z 1947 roku. Oczywiście, żeby plan zadziałał jak należy, musieliby zaatakować w trakcie inauguracji. Niektórzy z nas uważali, że Andropow zamierzał to zrobić po drugim zwycięstwie Reagana w 1985 roku. Na szczęście już na początku 1984 roku wysiadły mu nerki i wszystko odeszło w niepamięć, ponieważ ludzie, którzy przejęli po nim władzę, nie byli już zainteresowani wywołaniem trzeciej wojny światowej. A po dawnej lojalności wobec Andropowa nie zostało ani śladu.

Stephanie spojrzała na siedzącą po drugiej stronie stołu Kris Cox, która wpatrywała się w nią oczami koloru lodowca. Wyraz twarzy jej przyjaciółki jasno dawał do zrozumienia, że to, co słyszą, to sama prawda opowiedana przez kogoś, kto zna fakty.

– Ilu ludzi o tym wie? – zapytała ich rozmówcę.



– Niezbyt wielu. To jedna z tych rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły, więc po prostu poszły w zapomnienie. W tamtych czasach to było na porządku dziennym. KGB pozostawało skoncentrowane na swoim celu. Każdego dnia próbowali czegoś nowego. Ta sprawa dzisiaj znowu wydaje się istotna tylko dlatego, że wiąże się z waszym obecnym problemem. Pamiętam Aleksandra Zorina. Był kompetentnym oficerem KGB. Nasi ludzie czuli wobec niego respekt. To zadziwiające, że wciąż żyje.

Stephanie starała się dowiedzieć od niego jak najwięcej.

– A co z ładunkami RA-115?

– Od dłuższego czasu nie słyszałem tej nazwy, może jedynie w telewizji albo w filmach. One istniały naprawdę, tego jestem pewien. Mimo to inni uważali inaczej. Problem w tym, że nigdy, w żadnym miejscu na świecie, nie znaleziono ani jednej sztuki. A wydawałoby się, że przez cały ten czas ktoś powinien się na nie w końcu natknąć. W opinii niektórych stanowiło to część prowadzonej przez KGB kampanii dezinformacji. Żebyśmy szukali wiatru w polu. Jak mówię, byli w tym dobrzy.

– SWR utrzymuje teraz, że te bomby rzeczywiście istniały, a pięć z nich jest nadal ukrytych.

– W takim razie powinna pani ich posłuchać. To całkiem doniosłe wyznanie.

Stephanie wiedziała, że Nikołaj Osin tak naprawdę nie powinien być jej tego mówić, zważywszy na rosnące podziały wewnątrz jego własnego obozu. Z pewnością ostatnie, czego życzyli sobie rosyjscy radykałowie, to żeby Amerykanie dowiedzieli się czegokolwiek na temat ewentualnych bomb walizkowych.

– Czy one mogą tu być? – zapytała. – W Stanach?

– Oczywiście. KGB była największą, najbardziej rozbudowaną agencją wywiadowczą, jaką widział ten świat. Na przygotowania do wojny z nami wydawano niezliczone miliardy rubli. Ci ludzie mogli zrobić dosłownie wszystko. Nic nie było dla nich nie do pomyślenia. Naprawdę nic. Wiemy na pewno, że w całej Europie i Azji mieli rozmieszczone swoje składy broni. Dlaczego my mielibyśmy być lepsi?

Miał rację.

– Wygląda na to, że Zorin próbuje wprowadzić w życie *Szkolnego mata* – powiedziała. – Najwyraźniej Andropow wtajemniczył go w swoje plany.

– Do operacji zostało przydzielonych czterech oficerów KGB. Nigdy nie poznaliśmy ich nazwisk. Zorin mógł zatem być jednym z nich.

– Ale minęło już tyle lat – wtrąciła się Kris. – Dlaczego teraz?

Stephanie знаła odpowiedź.

– Jest rozgoryczony upadkiem ZSRR i wszystkim, co wydarzyło się później. Był ideologiem, naprawdę wierzył w komunizm. Według Osina obarcza nas winą za wszelkie zło w swoim życiu i nosił w sobie tę zadrę przez bardzo długi czas.

– A to czyni go szczególnie niebezpiecznym – podsumował głos z telefonu. – Moim zdaniem chce wykorzystać dwudziestą poprawkę, żeby wywołać u nas taki sam chaos polityczny, jaki my sprowadziliśmy na jego kraj. Ale musiałby zlikwidować wielu ludzi jednocześnie, a do tego będzie potrzebował sprawnego ładunku RA-115.

To faktycznie stanowiło problem, lecz Zorin wydawał się zdeterminowany, żeby go rozwiązać.

– Za nieco ponad dwadzieścia cztery godziny będziemy mieli nowego prezydenta – przypomniał na koniec głos.

Stephanie wiedziała, co to oznacza.

Nadarzała się kolejna okazja, żeby zrealizować *Szkolnego mata*.

## ROZDZIAŁ 53

Luke otworzył oczy.

Siedział przywiązany taśmą do drewnianego krzesła w niemal identycznej pozycji, w jakiej sam skrepiował Anję Pietrową. Taśma ciasno opinała mu ręce i nogi, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Miał za to wolną szyję i odkryte usta. Ale głowa nadal go bolała od otrzymanego ciosu, a obraz przed oczami był wciąż nieco zamazany. Zaczął mrugać, żeby odzyskać ostrość widzenia, i w końcu zobaczył, że znajduje się w kuchni w domu Begyna.

Po drugiej stronie pomieszczenia stała jakaś kobieta.

Była niska i bardzo szczupła, nie miała ani grama zbędnego tłuszczu. Obcisły strój do biegania eksponował wyraźnie zarysowane mięśnie. Luke zastanawiał się, ile godzin robienia pompek, podciągania się na drążku i wyciskania na ławeczce musiało ją kosztować wyrzeźbienie takiej sylwetki. Zazdrościł jej tego zaangażowania. On musiał się zmuszać do ćwiczeń. Jej czujne, ciemnoorzechowe oczy przypatrywały mu się badawczo. Miała krótko obcięte kasztanowe włosy, sięgające nieco za uszy – domyślał się, że to fryzura z wojska, a to wrażenie dodatkowo potęgowało jej zachowanie. Całkiem atrakcyjna twarz nie zdradzała złych zamiarów, ale też nie wyrażała wielkiej empatii. Kobieta wpatrywała się w niego jak dzikie zwierzę; jej spojrzenie było spokojne i uważne, ale zastygłe w niepokojącym bezruchu. W ręku trzymała nóż z siedemnastocentymetrowym ostrzem ze stali nierdzewnej, podobny do tego, który sam kiedyś nosił przy sobie jako ranger.

– Jesteś z armii? – zapytał.

– Piechota rzeczna.

Znał tę formację. Stanowiła część marynarki wojennej i skupiała się na walce krótkodystansowej oraz operacjach militarnych w obrębie rzek. Oddziały piechoty rzecznej walczące w Wietnamie poniosły największe straty i otrzymały najwięcej odznaczeń. Od kilku lat służyły w nich także kobiety.

– W służbie czynnej?

Skinęła głową.

– Chwilowo na przepustce.

Zauważył, że cały czas obraca w rękach nóż. Czubek ostrza lekko opierała o lewy palec wskazujący, a prawą dłoń wolno przekręcała czarną rękojeść.

– Kim jesteś? – zapytała.

Powoli odzyskiwał trzeźwość umysłu i zimną krew.

– Na pewno już to wiesz.

Przeszła przez podłogę w czarno-białą szachownicę i przycisnęła ostrze płaską stroną do jego gardła.

– Wiesz, że to nieprawda, że kobiety nie mają jabłka Adama? Tak naprawdę też je mamy. Po prostu u mężczyzn jest dużo bardziej widoczne. To dobrze, bo dzięki temu dokładnie widzę, gdzie wbić ostrze.

Luke na całym ciele poczuł gęsią skórę, a to, mówiąc oględnie, nieczęsto mu się zdarzało. Jej sposób bycia łączył w sobie opanowanie księdza z drapieżnością jaguara, co stanowiło dość nieprzyjemną mieszankę. Nie podobało mu się wzbierające w nim uczucie bezradności. Ta kobieta mogła w każdej chwili poderżnąć mu gardło, a on nie mógłby jej w żaden sposób powstrzymać. Tak naprawdę wystarczył jeden fałszywy ruch – napad czkawki, kichnięcie – żeby ją w tym wyręczył i sam wyciął sobie w szyi drugi uśmiech.

– Zapytam ostatni raz – powiedziała. – Widziałeś tamtych dwóch. Wiesz już, do czego jestem zdolna.

– Zrozumiałem, złotko.

– Dla kogo pracujesz? – wycedziła wolno.

Odzyskał panowanie nad sobą, widząc, że ta kobieta nie ma zamiaru zrobić mu krzywdy. Wyraźnie nie wiedziała, co o nim myśleć, czyli już teraz podchodziła do niego zupełnie inaczej niż do dwóch ludzi, których trupy widział wcześniej. Co do tamtych nie miała żadnych wątpliwości. Ale jej ostrze wciąż wciskało mu się w skórę w bardzo wrażliwym miejscu. Jeżeli tylko lekko je obróci...

– Agencja Wywiadowcza Departamentu Obrony. Wykonuję zadanie na zlecenie Białego Domu. Ale ty to dawno wiesz, prawda? Masz przecież moją odznakę.

Strzelił na oślep, ale kobieta faktycznie cofnęła nóż i wyciągnęła z tylnej kieszeni skórzane etui, po czym rzuciła mu je na kolana.

– Czego Biały Dom tutaj szuka?

– Teraz twoja kolej... Kim ty jesteś?

– Powinieneś wiedzieć, że mam cierpliwość dwulatka i niewiele lepszy temperament.

– To nic. Większość ludzi i tak uważa mnie za aroganckiego dupka.

– A jesteś nim?

– Czasami. Ale potrafię też być uroczy.

Cały czas próbował rozgryźć tę kobietę, która na pierwszy rzut oka wydawała się bardzo bezpośrednia i szorstka w obyciu. Zwrócił uwagę, że na mocnych nogach ma buty do biegania.

– Wyszłaś pobiegać?

– Codziennie robię osiem kilometrów. Kiedy wróciłam, jacyś ludzie przetrząsali cały dom.

– Wybrali zły adres.

Wzruszyła ramionami.

– Też tak myślę.

– Masz pomysł, kto ich przysłał?

– To właśnie jedyny powód, dla którego ciągle oddychasz. W przeciwieństwie do ciebie, ci faceci byli Rosjanami.

Luke był coraz bardziej zaintrygowany.

– Skąd wiesz? Chyba nie nosili małych plaketek wypisanych cyrylicą?

– Lepiej. Rozmawiali ze sobą. Słyszałam ich, kiedy wkradłam się do środka.

Interesujące. Zamiast wezwać policję albo po prostu trzymać się z dala od włamywaczy, ta kobieta od razu rzuciła się do walki.

– Jaki masz stopień?

– Porucznika.

– Dobrze, poruczniku, teraz proszę mnie uwolnić.

Nie poruszyła się.

– Co tu robisz?

– Muszę pomówić z Larrym Begynem.

– On ma na imię Lawrence.

– A wiesz to, ponieważ...

– Jestem jego córką. Dlaczego chcesz z nim rozmawiać?

Z początku chciał odpowiedzieć wymijająco, ale uznał, że w ten sposób tylko dłużej będzie siedział przywiązany do krzesła.

– Kilka godzin temu odebrał telefon od człowieka nazwiskiem Peter Hedlund. Teraz ja muszę z nim porozmawiać.

– O czym?

– O Czternastej kolonii. O Towarzystwie Cyncynatów. O pokoju na świecie. Sama wybierz.

Obeszła krzesło i przecięła mu więzy. Zaczął rozcierać ręce i nogi, żeby z powrotem pobudzić krążenie. Nadal trochę mu się kręciło w głowie.

– Czym ty mnie walnęłaś?

Uniosła stalową rękojeść noża.

– Działa jak trzeba.

Tego także uczą w wojsku.

– Fakt – przyznał.

Spojrzała na niego tajemniczo.

– Musisz coś zobaczyć.

Wyszedł za nią z kuchni, a ona zaprowadziła go przez jadalnię do krótkiego korytarza, który wiódł do przedniej części domu. Tam na podłodze leżało ciało trzeciego mężczyzny, z ranami na szyi i klatce piersiowej oraz z szeroko rozwartymi ustami.

– Zanim zginął – powiedziała, wskazując na trupa nożem – powiedział mi, że szukają jakiegoś dziennika. Wspomniał też o „czternastej kolonii”. Dlaczego ty i ci Rosjanie węcycie za tym samym?

Doskonałe pytanie.

Mówiła spokojnym, opanowanym tonem, ani na moment nie podnosząc głosu. Cały czas nie spuszczała jednak z niego swoich czujnych oczu. Miała rację. Ci ludzie przyszli prosto do tego domu, a to oznaczało, że druga strona wie więcej, niż się wydawało Stephanie.

– Łatwo ci przychodzi zabijanie – zauważył.

Stali blisko siebie w korytarzu, ale ona nawet nie próbowała się od niego odsuwać.

– Nie dali mi wyboru.

Nie odrywając od niej wzroku, gestem wskazał na ciało.

– Powiedział może, czego dokładnie szukają?

– Nazwał to dziennikiem Tallmadge’a.

A zatem Rosjanie nie byli dwa kroki, tylko dobre kilkaset metrów przed nimi.

– Muszę porozmawiać z twoim ojcem.

– Nie ma go tu.

– Więc zabierz mnie do niego.

– Niby czemu?

– Bo ci goście tak po prostu nie zrezygnują i ja muszę się tym zająć, no chyba że zamierzasz poderżnąć jeszcze co najmniej kilka gardel.

Chyba przeskoczyła pomiędzy nimi iskra niechętnego porozumienia, ponieważ wyglądała, jakby zaczynała mu wierzyć. A mimo całej swojej chłodnej aury, miała w sobie jakąś nieustępliwość, która budziła w nim sympatię.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Mogę cię do niego zaprowadzić.

– Będę musiał zameldować o tych ciałach – stwierdził. – Sprzątaniem zajmą się chłopcy z Secret Service. Załatwią to szybko i po cichu. Teraz za nic nie chcemy ściągać na siebie uwagi.

– Na moje szczęście.

Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tak, też bym tak powiedział.

Odwróciła się i zaczęła iść z powrotem w stronę kuchni.

– Dlaczego mnie też nie zabiłaś? – zawołał za nią, bo nie dawało mu to spokoju.

Spojrzała na niego.

– Ciągle czuć na tobie smród armii.

– Powiedziane jak przystało na prawdziwego żołnierza marynarki.

– Ale mało brakowało, żebym nie podjęła tego ryzyka – dodała.

Nie umiał stwierdzić, czy mówi poważnie, czy nie. To właśnie było w niej intrygujące. Nie dało się jej rozgryźć.

– Ja ci się przedstawiłem – powiedział. – A ty jak się nazywasz?

– Susan Begyn. Większość ludzi mówi na mnie Sue.

## ROZDZIAŁ 54

Malone wsiadł do radiowozu z dwoma policjantami z Maine i wyruszyli w drogę. Opuścili Eastport, przejechali przez groblę i skierowali się na zachód. Zorin i Kelly mieli nad nimi dwie godziny przewagi; znajdowali się już na autostradzie międzystanowej numer 95 i jechali na południe. Nawigacja satelitarna wynajętego samochodu przesyłała w czasie rzeczywistym dane do centrali Secret Service, co umożliwiało dokładne śledzenie jego trasy. Z kolei pojazd prowadzący bezpośrednią obserwację na autostradzie na wszelki wypadek trzymał się przynajmniej trzy kilometry za celem, dzięki czemu mógł z łatwością uniknąć wykrycia.

– Ci goście, których pan ściga – odezwał się jeden z policjantów na przednim siedzeniu – nie są zbyt sprytni.

Malone wiedział, że w tym stwierdzeniu kryje się haczyk. Kto nie byłby ciekawy? A żaden policjant z prawdziwego zdarzenia nie zapytałby wprost. Każdy z nich wolał kluczyć i prowokować, specjalnie wygłaszając uwagi, które zachęcały do polemiki w nadziei, że rozmówca sam z siebie coś palnie. Ale Malone nie urodził się wczoraj.

Dlatego postanowił nie komplikować sytuacji.

– Ci ludzie nie mieli wielkiego wyboru. Głupotą byłoby kraść samochód.

– Ale kraść łódź to co innego? To było w porządku?

– Tu też nie mieli innego wyjścia. A potrzebowali jej tylko po to, żeby dostać się do Maine. Na wodzie spędzili raptem dwie godziny, w środku nocy. Nie ryzykowali zbyt wiele. Ale gdyby gwizdnęli samochód i odjechali nim na południe, mogliby mieć kłopoty.

– Nie słyszeli wcześniej o GPS-ie?

– Obaj przez jakiś czas byli mało aktywni – czuł, że może powiedzieć przynajmniej tyle.

To rzeczywiście była prawda.

Kiedy Zorin ostatni raz pracował w terenie, technologia GPS nie została jeszcze wynaleziona. Kelly prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z jej możliwości, ale żadnemu z nich nie wydawało się, żeby władze Stanów Zjednoczonych mogły się zainteresować tym, co robią. Po tym, co zaszło w domu Kelly'ego, z pewnością wiedzieli już, że ktoś ma ich na celowniku, ale Zorin doszedł do wniosku, że ścigają ich wyłącznie służby rosyjskie – tak przynajmniej obstawiał Malone.

Cassiopeia śledziła samochód Rosjan do miasta Bangor, gdzie zastąpili ją funkcjonariusze policji stanowej Maine w nieoznakowanym wozie. Ci mieli podążać za celem aż do granicy z Massachusetts, a potem zadanie przechodziło w ręce ludzi z Secret Service. Nikt nie wiedział, gdzie nastąpi koniec trasy, ale chodziło o to, by zapewnić Zorinowi jak najdłuższą smycz. Tylko cierpliwość mogła przynieść jakiegokolwiek odpowiedzi. Czy podejmowali ryzyko? Bezsprzecznie. Ale na tę chwilę mieli sytuację pod kontrolą.

Z przodu zadzwonił telefon. Odebrał go policjant na siedzeniu pasażera i podał aparat do tyłu.

– Do pana.

Malone wziął od niego telefon.

– Cotton, mówi Danny Daniels.

Cassiopeia czekała na lotnisku w Bangor, dokąd skierował ją Edwin Davis, gdy tylko policja stanowa Maine dała znać, że są na tropie Zorina. Musiała to przyznać – dobrze było wrócić do akcji. Czowała się,

jakby została do tego stworzona. Przez ostatni miesiąc próbowała przekonać samą siebie, że jest kimś innym, ale strzelanina w Kanadzie na nowo obudziła w niej dawne instynkty. Natomiast fakt, że zjawiała się, gdy Cotton jej potrzebował, był niezwykle ważny dla nich obojga. Znała wielu mężczyzn, którym nie podobałoby się, gdyby to ona musiała ich ratować, ale Cotton nie miał takich głupich uprzedzeń. Każdy czasami potrzebuje pomocy. To właśnie robił Cotton w Utah – próbował jej pomóc. Ona jednak cały czas się przed tym wzbraniała. Był jak brakująca część jej samej i tylko gdy byli razem, czuła się naprawdę sobą. Nawet jeśli wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ostatni miesiąc udowodnił to ponad wszelką wątpliwość.

Zaparkowała samochód przed jednopoziomowym terminalem z dala od największego tłoku, w miejscu, gdzie stały prywatne odrzutowce i inne samoloty. Dziesięć minut temu wylądował tu mały, dwusilnikowy odrzutowiec z amerykańskim oznakowaniem rządowym, a piloci wyszli z niego i zniknęli w terminalu.

To prawdopodobnie ich transport.

Cassiopeia pomyślała o Stephanie Nelle. Wiedziała, że z nią także musi zawrzeć pokój. Ale to nie powinno być zbyt trudne. Stephanie nie należała do osób, które chowają urazę, zwłaszcza gdy sama ponosiła przynajmniej część odpowiedzialności za powstały bałagan. Ale Cassiopeia nie zamierzała jej niczego wypominać.

Nie było takiej potrzeby.

Każdy już wyraził na ten temat swoje zdanie.

Malone słuchał głosu prezydenta Stanów Zjednoczonych, który wydawał się bardziej podenerwowany niż zazwyczaj.

– Myślę, że Zorin planuje coś zrobić podczas inauguracji – powiedział przez telefon Daniels.

Malone nie chciał się spierać, ale musiał przedstawić kontrargument.

– To przecież praktycznie niemożliwe. Nikt nie zdoła się przedostać dostatecznie blisko, żeby wyrządzić szkody na skalę, która jest mu potrzebna.

Wcześniej, jeszcze w Eastport, Edwin Davis opowiedział mu przez telefon o dwudziestej poprawce oraz o słabościach ustawy o sukcesji prezydenckiej z 1947 roku.

– Eksperci mówią mi, że jedna z takich bomb, jeśli oczywiście istnieją, może zawierać ładunek o mocy sześciu kiloton – kontynuował Daniels. – Dla uzyskania maksymalnej siły rażenia trzeba ją zdetonować na pewnej wysokości, żeby wytworzyło się jak największe nadciśnienie. Fala uderzeniowa zmiotłaby wtedy wszystko w promieniu półtora kilometra, a kula ognia miałaby jakieś dziewięćset metrów szerokości. Oczywiście jeśli eksplozja nastąpi dwieście metrów od miejsca zaprzysiężenia, efekt będzie mniej więcej ten sam. Ale zgadzam się z tobą co do tego, że nie ma szans podejść tak blisko.

– Jak wysoko musi się znaleźć bomba, żeby mogła dokonać największych zniszczeń?

– Sto, dwieście metrów nad ziemią. To może oznaczać samolot, helikopter albo drona.

– Ci faceci nie mają dostępu do dronów.

– Ale Rosjanie owszem.

– Chyba pan nie myśli, że Moskwa chce rozpętać wojnę.

– Nie jestem pewien, czy Moskwa ma z tym w ogóle cokolwiek wspólnego. Chcę, żebyście z Cassiopeią wrócili tu jak najszybciej. Czas uciąć sobie pogawędkę z nową ekipą rządzącą i chcę, żebyście oboje przy tym byli.

– Po co?

– Oni nie uwierzą w nic, co ja im powiem.

Malone nie był przyzwyczajony do takiego defetyzmu ze strony tego człowieka.

– Wiem już teraz, co znaczy być odchodzącym prezydentem – powiedział Daniels. – Trochę jeszcze

mogę, ale to nic w porównaniu z tym, co było kiedyś. Ludzie wiedzą, że mój czas minął.

– Co pan chce zrobić?

– Musimy przenieść zaprzysiężenie. To jedyne wyjście.

Stephanie wróciła do hotelu Mandarin Oriental. W normalnej sytuacji podczas pobytu w Waszyngtonie pracowałaby w budynku Departamentu Sprawiedliwości, ale w obecnym stanie zawieszenia hotel był jej jedyną opcją. Wyprawa do domu Kris Cox okazała się niezmiernie pouczająca i teraz potrzebowała chwili, żeby przetrwać to wszystko, czego się dowiedziała.

Gdy tylko znalazła się w hotelowym lobby, jeszcze zanim zdążyła skrócić w stronę wind, ujrzała stojącego z boku Nikołaja Osina, nadal ubranego w elegancki czarny wełniany płaszcz.

Nie odezwał się, kiedy do niego podeszła.

– Co cię tu sprowadza? – zapytała.

Jego twarz była jak z kamienia, a spojrzenie równie zimne, jak powietrze na zewnątrz.

– Pewni ludzie chcieliby z tobą porozmawiać. Na osobności. Nie są z rządu. To... prywatni przedsiębiorcy.

Wiedziała, co się kryje za tym eufemizmem. Mafia.

– Ale przyjechali tu w imieniu kilku osób z kręgu władzy państwowej – dodał. – Tych, o których rozmawialiśmy wcześniej. A to bardziej niż cokolwiek innego powinno tłumaczyć, dlaczego tu jestem.

Zrozumiała. Nie miała wyboru.

– W porządku.

– Przed wejściem czeka samochód, tylne drzwi są otwarte.

– Ty też idziesz?

Pokręcił głową.

– To, co mają do powiedzenia, jest przeznaczone tylko dla ciebie.



## ROZDZIAŁ 55

Zorin usiadł na siedzeniu pasażera, a Kelly przejął kierownicę. Umówili się, że będą się zmieniać, żeby każdy mógł odpocząć chociaż kilka godzin. Jak zapewniał Kelly, trasa była nieskomplikowana. Prosto na południe, cały czas tą samą drogą, aż do Wirginii, a potem na zachód, na wiejskie tereny około osiemdziesięciu kilometrów na zachód od Waszyngtonu.

Wrócił myślami do czasów służby w KGB. Kanada od dawna była szykowana na bazę wypadową dla sowieckich operacji wojskowych. Zorin osobiście przeprowadzał rekonesans kilku miejsc, gdzie można było przekroczyć granicę i przedostać się do Minnesoty czy Dakoty Północnej. Tama na jeziorze Flathead w Montanie miała zostać zniszczona jako jeden z pierwszych obiektów w ramach skoordynowanego ataku na infrastrukturę, który osłabiłby Stany Zjednoczone od wewnątrz. Ale Kanada sama w sobie stanowiła ważny cel. Zorin poświęcił dwa lata na zbieranie informacji wywiadowczych na temat tamtejszych rafinerii naftowych i gazociągów, ustalając najlepsze sposoby na dokonanie sabotażu. Z wszelkich postępów zdawał oczywiście szczegółowe sprawozdania Moskwie.

Prawie wszystkie kanadyjskie prowincje i wszystkie bez wyjątku amerykańskie stany zostały podzielone na „strefy operacyjne”. W każdej zorganizowano bazę na terenach wiejskich, w której skład wchodziło miejsce do lądowania dla spadochroniarzy, wolne od jakichkolwiek zabudowań w promieniu dwóch kilometrów, oraz domy-kryjówki w razie potrzeby zapewniające funkcjonariuszom bezpieczne schronienie. Lądowiska nazywano „pasami startowymi”, a domy „ulami”. Zgodnie z wytycznymi KGB ziemia musiała należeć do zaufanego człowieka, a w ulach powinno znajdować się radio oraz zapas wody, żywności i pieniędzy. Trzymano w nich również mundury policyjne i wojskowe, uniformy pracowników kolei i leśnictwa, a także cywilną odzież typową dla regionu. Zaszyfrowane akta zawierały schemat miejscowych linii energetycznych, rurociągów naftowych i gazociągów, mostów, tuneli i instalacji wojskowych znajdujących się w promieniu stu dwudziestu kilometrów.

No i oczywiście uzbrojenie.

W ulach tworzono tajne składy broni palnej i materiałów wybuchowych, przemyconych przez granicę lub częściej po prostu kupionych na terenie kraju. To ostatnie praktykowano szczególnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie dostęp do broni był wyjątkowo łatwy.

– Czy własnoręcznie przygotowałeś ul na potrzeby *Szkolnego mata*? – zapytał Zorin.

– Myślałem, że śpisz.

– Spałem.

– Tak, Aleksandrze, sam jestem jego właścicielem.

– To chyba dość ryzykowne?

– Tak brzmiały rozkazy Andropowa. Nie pozwolił mi wtajemniczać nikogo innego. Miałem nad wszystkim sprawować całkowitą kontrolę.

– Minęło już tyle lat. Czy to, co tam zostawiłeś, jeszcze w ogóle istnieje?

– To była część moich rozkazów. Ul miał przetrwać jak najdłużej. Nigdy nie podano konkretnej daty rozpoczęcia działań. Zakładałem, że nastąpi to raczej prędzej niż później, ale zważywszy na specyficzny charakter broni, o której mówimy, trzeba było podjąć specjalne środki bezpieczeństwa.

Zorin wiedział, co Kelly ma na myśli.

– Stałe źródło zasilania.

– Dokładnie. I przyznam, że stanowiło to nie lada wyzwanie.

– Wszystko zaminowane?

Kelly pokiwał głową.

– Jeden z ładunków jest ustawiony tak, żeby eksplodował w przypadku włamania do składu. To także zostało ujęte w moich rozkazach. W razie czego nie ma zostać ani śladu po całym przedsięwzięciu.

Ryzyko, które w tym celu podjęto, było ogromne. Co, gdyby ktoś dostał się do środka, umyślnie lub przypadkowo, i doszło do wybuchu jądrowego o sile sześciu kiloton? Raczej trudno byłoby się z tego wytłumaczyć.

– Kiedy się dowiedziałeś, co zaplanował Andropow? – zapytał Kelly.

– Po części wyciągnąłem to od pozostałych dwóch oficerów. Potem przeszukałem stare archiwa i znalazłem więcej szczegółów. Ten archiwista też sporo wiedział.

Bielczenko przez lata kusił go wzmiankami na temat *Szkolnego mata*. Opowiadał mu o zerowej poprawce. Część informacji została wyciągnięta z prywatnych zapisków Andropowa, które do dziś pozostają nieodtajnione. W końcu zebrał wystarczająco dużo wskazówek, żeby odtworzyć plany Andropowa względem Reagana. Za każdym razem, gdy Ameryka wybierała nowego prezydenta, on próbował dowiedzieć się więcej, ale za każdym razem Bielczenko odmawiał pomocy. Aż do teraz. Nareszcie jego stary przyjaciel przejrzał na oczy i nakierował go na właściwy trop.

Na który najwyraźniej wpadła także Moskwa.

– Jesteś głodny? – zapytał Kelly.

– Musimy jechać dalej.

– Musimy też jeść. Możemy kupić coś do zjedzenia po drodze. Przed nami jest kilka takich miejsc.

Rzeczywiście dobrze by było coś przegryźć, a straciliby przecież tylko kilka minut. Spojrzał na zegarek.

13:16.

Zostały dwadzieścia dwie godziny.

Malone patrzył przez boczne okienko w odrzutowcu na krajobraz poniżej. Znajdowali się na pokładzie gulfstreama C-37A należącego do amerykańskich sił powietrznych i lecieli na południe. W tym momencie byli gdzieś nad Nowym Jorkiem albo New Jersey. Lecąc z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, powinni dotrzeć do Waszyngtonu przed drugą po południu.

Cassiopeia siedziała naprzeciwko. Spotkali się ponownie na lotnisku w Bangor, gdzie niezwłocznie wsiedli na pokład samolotu, zostawiając dwóch policjantów bez odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Malone streścił jej wszystko, czego się w międzyczasie dowiedział, łącznie z obawami Daniela związanymi z nadchodzącą inauguracją.

– Gdzieś tam na dole jest Zorin – powiedział. – Jedzie na południe. – Odwrócił się od okna. – Na szczęście trzymamy go na krótkiej smyczy, fizycznie i elektronicznie.

– Więc pozwolimy, żeby doprowadził nas do tego, czego szuka, cokolwiek to jest, a potem go zdejmujemy.

– Taki jest plan. Niestety sprawę dodatkowo komplikują Rosjanie, spięci jak gumka w majtkach.

Uśmiechnęła się.

– Tak się mówi na południu?

– Po prostu stwierdzam fakt. – Zastanowił się przez chwilę. – Moja teoria jest taka: cel Zorina leży gdzieś w samym Waszyngtonie albo w okolicach. Dlatego zaczekamy, żeby to on przyszedł do nas. Jeśli tego nie robi, my pójdziemy po niego. Przepraszam cię za te wszystkie samoloty.

Wiedział, że latanie nie należy do jej ulubionych czynności.

– Tu nie jest tak źle – odparła. – Dużo miejsca, można rozprostować kości. Co innego tamte myśliwce.

Po prostu nie rozumiem, o co tyle hałasu.

Malone rozumiał. Tak naprawdę gdyby jego życie potoczyło się nieco inaczej, zostałby pilotem myśliwca w marynarce wojennej i dziś byłby już na emeryturze po zakończeniu dwudziestoletniej kariery. Ciekawe, że wydawało się mu to teraz czymś tak pospolitym. Tak niewielu ludzi ma w życiu szansę zasiąść za sterami samolotu bojowego kosztującego kilkadziesiąt milionów dolarów, a jednak nawet to doświadczenie błędnie w porównaniu z tym, co robił najpierw jako agent Magellan Billet, a potem na własną rękę, po odejściu ze służby. Przeżył kilka niesamowitych przygód, nie wyłączając obecnej.

– Muszę zadzwonić do Stephanie – powiedział.

Samolot był wyposażony we własny system komunikacji, który Malone uaktywnił, podnosząc telefon z zainstalowanej obok konsoli. Wybrał numer komórki Stephanie, ten, który podała mu przed dwoma dniami.

Usłyszał sygnał połączenia. Potem drugi raz.

Trzeci.

Po czwartym sygnale uruchomiła się poczta głosowa, a mechaniczny głos oznajmił, że osoba, do której dzwoni, jest niedostępna, oraz zachęcił do zostawienia wiadomości.

Postanowił się nie nagrywać i przerwał połączenie.

– Mówiła, że mam się odezwać, kiedy tylko sytuacja będzie opanowana – stwierdził, odkładając telefon. – No więc gdzie ona się podziała?

## ROZDZIAŁ 56

Stephanie sama zajmowała całe tylne siedzenie escalade'a. Z przodu siedzieli dwaj mężczyźni absolutnie pozbawieni osobowości. SUV zgrabnie przemykał pomiędzy samochodami; chociaż był weekend, ulice pękały w szwach od gości, którzy przyjechali na inaugurację. Następne dwa dni obfitowały w przeróżne uroczystości, w mieście miał się pojawić ponad milion ludzi z całego kraju, a środki bezpieczeństwa zostały szczególnie zaostrome. Biały Dom, park National Mall oraz zachodnia strona Kapitolu już teraz powinny być zamknięte dla zwiedzających. Scena, na której miało się odbyć zaprzysiężenie, będzie strzeżona przez całą dobę. Wszystkie muzea ciągnące się po obu stronach parku, od Kapitolu po pomnik Waszyngtona, także opanują funkcjonariusze służb bezpieczeństwa, a ich drzwi zostaną zamknięte na wiele godzin przed rozpoczęciem ceremonii. Stephanie dobrze pamiętała, jak w 1989 roku wspięła się na północną wieżę w zamku Smithsonian, skąd obserwowała złożenie przysięgi przez George'a Busha. W dzisiejszych czasach nikt by jej na to nie pozwolił, ponieważ taka wieża to wymarzone miejsce do oddania czystego strzału. Z tego wysokiego punktu obserwacyjnego będą dziś korzystać wyłącznie wojskowi snajperzy lub agenci Secret Service.

Nie była do końca pewna, o co tu chodzi, i nie podobał jej się wyraz twarzy Osina w hotelu. Ale nie miała wyboru. Jak mawiał Danny, „wiedza jest wtedy, gdy zdajesz sobie sprawę, że pomidor to owoc; mądrość jest wtedy, gdy wiesz, żeby nie dodawać go do sałatki owocowej”. Stephanie zawsze interesowała przede wszystkim mądrość. Zastanawiające, że nawet jako bezrobotna cały czas potrafiła pakować się w kolejne tarapaty. Po raz pierwszy poczuła pewną empatię względem Cottona, który za jej sprawą regularnie musiał stawiać czoła tego typu sytuacjom.

Wzięła się w garść i uświadomiła sobie, że jadą Siódmą Ulicą na północ w kierunku Columbia Heights. W którymś momencie samochód skręcił w boczną aleję. Nie zdążyła przeczytać jej nazwy. Po prawej stronie widziała mały osiedlowy park. Tam się zatrzymali, a mężczyzna z siedzenia pasażera szybko wyskoczył i otworzył jej drzwi.

Co za dżentelmen.

Wysiadła z samochodu. Było dość zimno, ale na szczęście ciągle miała na sobie swój gruby płaszcz, szalik i rękawiczki. Park ciągnął się od jednej przecznicy do drugiej i wydawał się niemal całkiem pusty z wyjątkiem mężczyzny siedzącego na samotnej ławce.

Ruszyła w jego stronę.

– Przepraszam za tę konspirację – odezwał się, gdy podeszła bliżej. – Ale to ważne, żebyśmy odbyli tę rozmowę.

Był niski i pulchny, ubrany w ciemny płaszcz, kapelusz z wąskim rondem, rękawiczki i modny szalik od Louisa Vuittona. W palcach trzymał zapalony papierosa, którym co jakiś czas się zaciągał.

– Ma pan jakieś nazwisko? – zapytała.

– Proszę mi mówić Ishmael.

Uśmiechnęła się na tę aluzję do pierwszej linijki *Moby Dicka*.

– Nazwiska są nieistotne – powiedział. – Ale to, co musimy omówić, ma znaczenie fundamentalne. Proszę, niech pani usiądzie.

Wiedziała, że aby znaleźć poszukiwaną mądrość, musi go wysłuchać, dlatego usiadła na ławce. Nawet przez ubranie czuła zimno drewnianych listew.

– Nie brzmi pan jak Rosjanin – stwierdziła.

– Jestem tylko posłańcem, zatrudnionym przez grupę zainteresowanych obywateli innego państwa.

W Rosji dzieją się rzeczy, które budzą ich szczerzy niepokój.

Przypomniała sobie, co Osin powiedział jej w hotelowym lobby.

– Reprezentuje pan oligarchów czy mafię? Ach, zapomniałam, przecież to jedno i to samo.

– To ciekawe, jak łatwo zapominamy, że my przeszliśmy ten sam proces dojrzewania. Dzisiejsza Rosja wcale tak bardzo się nie różni od tego, jak wyglądał nasz kraj pod koniec dziewiętnastego wieku, a nawet jeszcze w latach trzydziestych. Korupcja była na porządku dziennym. Ale czy mogliśmy się spodziewać czegoś innego po obaleniu autorytarnych rządów, które trwały osiemset lat? Wydawało się nam, że z dnia na dzień w Rosji rozkwitnie demokracja? I odtąd wszystko będzie już dobrze? Co za naiwność.

Miał sporo racji. Przed laty, za czasów operacji Forward Pass, stanowiło to temat zacieklej dyskusji pomiędzy Reaganem i jego doradcami. Wszyscy zastanawiali się, co się stanie po upadku komunizmu. Jednak mało kto brał pod uwagę jakiegokolwiek alternatywne scenariusze. Liczyło się tylko zakończenie zimnej wojny. Teraz, ćwierć wieku później, Rosja wydawała się bardziej autorytarna i skorumpowana niż kiedykolwiek. Jej gospodarka była słaba, instytucje polityczne niemal nie istniały, reformy stały w miejscu.

– Ludzie, których reprezentuję, upoważnili mnie, żebym rozmawiał z panią otwarcie. Chcą, żeby pani wiedziała, że w rosyjskim rządzie są frakcje, które mają bardzo groźne zapędy. Być może nawet dążą do wojny. Nienawidzą Stanów Zjednoczonych jeszcze bardziej niż komuniści. Ale przede wszystkim nienawidzą tego, czym stała się Rosja.

– To znaczy?

Mężczyzna zaciągnął się papierosem i wypuścił z ust niebieskawy kłąb dymu.

– Oboje wiemy, że ten kraj nie stanowi już zagrożenia na skalę globalną. Tak, wygrał wojnę w Gruzji, najechał na część Ukrainy i w dalszym ciągu zastrasza państwa bałtyckie. I co z tego? To przecież drobnostki. Rosja jest zbyt słaba i biedna, żeby zrobić cokolwiek poza wymachiwaniem pięścią. Waszyngton to wie. Moskwa to wie. Pani to wie.

To prawda.

Każdy raport wywiadu mówił to samo. Rosyjska armia jest kompletnie zdemoralizowana, a większość żołnierzy słabo wyszkolona i źle opłacana. Co miesiąc średnio dwunastu z nich popełniało samobójstwo. I chociaż nowa Rosja zdołała stworzyć imponujące samoloty wojskowe, ciche okręty podwodne i superszybkie torpedy, nie była w stanie produkować ich na skalę masową. Tylko jej arsenał nuklearny nadal budził respekt, ale i tak dwie trzecie całego sprzętu było przestarzałe. Rosja nie posiadała już zdolności wyprowadzenia pierwszego uderzenia. Globalny zasięg jej głowic należał do przeszłości, a nawet ich potencjał regionalny był mocno ograniczony.

Tak naprawdę mogła tylko wszystkim grozić.

– Wygląda na to, że pewne wydarzenia z ostatnich kilku dni odnowiły w niektórych kręgach rosyjskich władz poczucie dumy – kontynuował. – W przeciwieństwie do tego, co może się wydawać pani albo ludziom z CIA czy NSA, nie każdy w Rosji jest skorumpowany i łatwy do kupienia. Nadal istnieją tam dogmatycy. Fanatycy nie zniknęli z powierzchni ziemi. A to oni są ze wszystkich najbardziej niebezpieczni.

Stephanie zaczęła pojmować, w czym rzecz.

– Wojna szkodzi interesom.

– Można tak powiedzieć. Każdego roku z Rosji wyjeżdżają setki tysięcy ludzi. I to wcale nie ci biedni i niewykwalifikowani. Mam na myśli inteligentnych przedsiębiorców, wyszkolonych fachowców, inżynierów, naukowców. To bardzo niekorzystnie odbija się na kondycji całego państwa.

Wiedziała, że to także prawda. Korupcja, rozdęta biurokracja i brak rządów prawa sprawiały, że

ludzie szukali bezpieczniejszych miejsc do życia.

– Więcej ludzi napływa do kraju, niż z niego emigruje. Nic im nie będzie.

– Na szczęście wiele osób przyciąga duża liczba wolnych miejsc pracy. To tylko jeszcze bardziej tłumaczy, dlaczego Rosji nie stać na to, żeby tolerować te fanatyczne bzdury. Powinna rozbudowywać to, co posiada, poszerzać swój udział w rynku ropy i gazu, rozwijać gospodarkę, a nie przygotowywać się do wojny, której nie jest w stanie wygrać. Miałem nadzieję, że dostrzeże pani tę prostą prawdę i przyzna mi rację.

– Nie pracuję już dla amerykańskiego rządu. Zostałam zwolniona.

– Ale nadal ma pani bezpośredni dostęp do prezydenta. Wiemy to od Osina. Powiedział, że pani jest właśnie tą osobą, która może porozmawiać z Danielsem.

– I co miałabym mu powiedzieć?

– Że chcemy pomóc.

Stephanie parsknęła śmiechem.

– Żartuje pan, prawda? Rosyjscy oligarchowie i gangsterzy chcą nam pomóc? Co niby zamierzacie zrobić?

– To, czego wy nie możecie. Wyeliminować fanatyków w kręgach władzy. Ten powrót do sowieckiej mentalności musi się skończyć. Już się mówi o zawieszeniu porozumień o kontroli zbrojeń, o bombowcach naruszających przestrzeń powietrzną NATO, żeby sprawdzić, jaka będzie reakcja, o remilitaryzacji, nawet o ponownym wymierzeniu pocisków w Europę i Stany Zjednoczone. Czy tego pani chce?

Widziała, że to wszystko naprawdę budzi w nim strach. Ciekawie było zobaczyć, co jest w stanie wstrząsnąć człowiekiem, który na co dzień zadaje się z ludźmi bez sumienia.

– Nikt nie chce nowej zimnej wojny – stwierdził. – To byłoby niekorzystne nie tylko dla moich zwierzchników, ale i dla całego świata. Wy uważacie ludzi, których reprezentuję, za kryminalistów. W porządku, są w stanie to zaakceptować. Ale oni nie wyrządzają wam krzywdy. Co więcej, robią z wami interesy. Nie mają pod sobą armii, nie posiadają pocisków.

– Ale eksportują zbrodnię.

Z lekceważącą miną wypuścił w niebo chmurę dymu i wzruszył ramionami.

– Nikt nie jest doskonały. Oni powiedzieliby, że to dość niska cena, zważywszy na inne opcje.

Propozycja niewątpliwie brzmiała intrygująco.

– Wasi ludzie zajmą się wszystkimi problemami?

– W Moskwie będzie wiele pogrzebów.

Stany Zjednoczone nigdy oficjalnie nie sankcjonowały zabójstw na zlecenie, ale w rzeczywistości sprawy miały się zupełnie inaczej.

– Czego oczekujecie od nas?

– Powstrzymajcie Aleksandra Zorina.

– Wiecie, co on planuje?

– Wiemy.

– Czyli co? – Chciała to od niego usłyszeć.

– Zamierza sprawić, by nadchodząca inauguracja stała się najbardziej pamiętną w historii. Nie pozwólcie mu na to.

Wreszcie otrzymała potwierdzenie planu Zorina.

W ostatnich latach coraz więcej mówiło się o nowej zimnej wojnie. Wszyscy się zgadzali, że jeśli do niej dojdzie, będzie to wojna toczona na pieniądze, ropę, a przede wszystkim na medialną propagandę. Orężem będą w niej półprawdy poparte minimalną ilością dowodów, jaka wystarczy, by uczynić je

interesującymi i możliwymi do obrony. W dzisiejszych czasach bardzo łatwo to osiągnąć. Internet i całodobowy cykl informacyjny zmieniły wszystko. Stare reguły dawno odeszły do lamusa. Wielkie, zamknięte społeczeństwa przestały być realną opcją. Wystarczy spojrzeć na Chiny, które poniosły pod tym względem bolesną porażkę. Sowieci wierzyli niegdyś, że nic nie działa tak jak bezwzględna dyscyplina, że Zachód można pokonać, po prostu stojąc twardo na swoim i nie ustępując ani na krok. Niestety ta filozofia także się nie sprawdziła, ponieważ okazało się, że komunizm generuje jedynie ubóstwo i represje, a z taką ofertą ciężko zjednać sobie społeczeństwo. Tak więc ostatecznie i Związek Radziecki był zmuszony zrobić krok w tył. A potem całkiem upadł.

A teraz wyglądało na to, że niektórym marzyło się wskrzeszenie tego trupa.

Choć napawało ją to obrzydzeniem, musiała zapytać:

– Kiedy możecie zacząć działać?

Mężczyzna dokończył papierosa i wyrzucił niedopałek.

– To kwestia godzin. Trzeba poczynić pewne przygotowania. Najlepiej, jeśli będzie to wyglądało jak wewnętrzna walka o władzę, w ten sposób można skompromitować zarówno żywych, jak i martwych. Jeśli zrobi się to jak należy, oni zniszczą sami siebie.

– A pan i pańscy zwierzchnicy będziecie mogli dalej zarabiać do woli.

– To sama esencja kapitalizmu. Nie widzę, jak ktokolwiek w tym kraju mógłby mieć coś przeciwko.

Stephanie chciała wiedzieć jeszcze jedno.

– Czy Zorin jest na dobrym tropie?

– Tak uważają ci fanatycy. Ściągnął na siebie ich uwagę, kiedy zwrócił się do Wadima Bielczenki. Oni obserwują archiwistów, a zwłaszcza tego konkretnego. Wysłali żołnierzy, żeby zabili Bielczenkę na Syberii. Zdołali do niego dotrzeć, ale wasz agent zostawił pięciu martwych Rosjan, w tym trzech wojskowych, w tamtej dacy nad Bajkałem. Mam nadzieję, że dalej będzie w takiej formie. Musi być, żeby powstrzymać Zorina.

– Naprawdę są tu bomby walizkowe?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Wiemy, że Osin wam o nich powiedział. W porządku. Powinniście wiedzieć. Taki właśnie był problem z Andropowem. Przy całej swojej brawurze naprawdę wierzył, że ZSRR przegra ideologiczną i gospodarczą wojnę z Zachodem, o ile nie zostaną podjęte drastyczne kroki. Dlatego postanowił je podjąć. Nazwał to *Szkolnym matem*. Wszyscy myśleli, że zarówno ten plan, jak i jego twórca odeszli w niepamięć. A tymczasem on wrócił zza grobu, żeby znów siać zniszczenie. Tak, na terenie waszego kraju jest nasza broń.

Stephanie poczuła się nagle cała odrętwiała, jakby zmęczenie i zimno zaczęły dawać jej się we znaki. Uczestniczenie w nielegalnym spisku też nie poprawiało jej ogólnego samopoczucia. Ale człowiek siedzący obok niej nie blefował. Jego zwierzchnicy zbyt długo i zbyt ciężko pracowali, żeby jakiś idiota mógł to wszystko zaprzepaścić, więc zamierzali to zrobić z jej pomocą albo i bez niej. O tak, w Moskwie będzie niedługo wiele pogrzebów. Ale tutaj też może się ich kilka odbyć.

Anja Pietrowa już straciła życie.

Ilu jeszcze skończy tak jak ona?

– SWR zaatakowało Zorina w Kanadzie – powiedziała. – Ile wiedzą ci szaleńcy w rządzie?

– Podobno całkiem sporo. Mają nieograniczony dostęp do tajnych archiwów KGB, w tym do osobistych zapisków Andropowa. Mało kto widział te papiery na oczy. Kiedy Zorin sprowadził Bielczenkę na wschód, a potem wasz agent został wpuszczony na teren Rosji, wywołało to niemałe zaniepokojenie. Wydaje się, że ci ludzie już wcześniej wiedzieli o *Szkolnym macie*, ale nie znali pełnego potencjału tego planu. Dlatego poszperali głębiej i natknęli się na nazwisko Jamiego Kelly'ego. Wtedy

zdecydowali się zabić Zorina i Bielczenkę, żeby wiedziało o tym jak najmniej osób. Wasz człowiek udaremnił ich próbę zestrzelenia samolotu Zorina, co pozwoliłoby szybko zakończyć całą sprawę. Nie byli zadowoleni. Teraz są tutaj, przyjechali, żeby definitywnie posprzątać cały bałagan, co oznacza zlikwidowanie Zorina, Kelly'ego i waszego agenta. Dlatego bądźcie czujni.

– Oni wiedzą, gdzie są ładunki jądrowe?

Mężczyzna pokręcił głową.

– To jedna z rzeczy, które działają na naszą korzyść. Potrzebują Kelly'ego, żeby zaprowadził ich do celu, tak samo jak Zorin zresztą.

Stephanie uznała, że usłyszała już dość, i podniosła się z ławki.

– Zajmiemy się wszystkim na naszym podwórku.

– Oglądajcie uważnie telewizję. Z kanałów informacyjnych dowiedziecie się, kiedy zaczniesz się po drugiej stronie.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Mogę panią odwieźć z powrotem do hotelu – zawołał.

Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze.

– Dzięki, ale złapię sobie taksówkę.

Po tych słowach odeszła.



## ROZDZIAŁ 57

Luke i Sue Begyn wysiedli z samochodu. Jechali dwie godziny na wschód, do Annapolis, a potem na południe, wzdłuż wybrzeża Zatoki Chesapeake. Sue mało się odzywała podczas podróży, a on nie wrywał jej z zamyślenia. Instynkt i doświadczenie przestrzegały go przed wyjawianiem zbyt wielu informacji. Podzielił się z nią tylko tym, co absolutnie niezbędne, żeby zobaczyć, jak się do tego odniesie.

W ogóle się nie odniosła.

Ludzie z Białego Domu zapewnili go, że ktoś się zajmie domem Begyna i po ciałach nie zostanie ani śladu. Sue przebrała się z obcisłego stroju treningowego w jeansy, koszulę z diagonalu z długim rękawem, płaszcz, rękawiczki i ciężkie buty. Była uzbrojona w strzelbę myśliwską i pistolet, które zabrała z kolekcji broni w gabinecie jej ojca. Najwyraźniej Lawrence Begyn całym sercem wierzył w drugą poprawkę.

Mniej więcej w połowie podróży zaczął padać zimny, jednostajny deszcz i widoczność na drodze bardzo się pogorszyła. Kierując się wskazówkami Sue, Luke dojechał w końcu do nadmorskiej wioski Long Beach. Jej ojciec miał w okolicy dom, w którym, jak wyjaśniła, od czasu do czasu lubił się zaszyć. Na szczęście akurat wczoraj Begyn zapragnął pobycć sam, dzięki czemu zdążył zniknąć z domu, zanim pojawili się nieproszeni goście. Luke jednak miał wątpliwości, czy to był tylko przypadek. Biorąc pod uwagę telefon od Petera Hedlunda, to wszystko zaczynało wyglądać na coś więcej niż zbieg okoliczności.

– Miałam dzisiaj wracać do jednostki – oznajmiła, gdy szli w deszczu. Luke czuł na karku lodowate krople wody, które wiatr strząsał z nagich gałęzi drzew.

– Będziesz miała kłopoty?

– Przepustka oficjalnie kończy mi się dopiero jutro.

Te kilkanaście słów to była jej najdłuższa wypowiedź od chwili, gdy wsiedli razem do samochodu.

Przed sobą widzieli rozłożysty biały budynek z cedrowym gontem na dachu i długimi werandami od strony lądu. Obok był wolno stojący garaż na dwa samochody. Dom stał wśród ogołoconych klonów i buków w zakolu zatoki. Sue zadzwoniła z wyprzedzeniem i przedstawiła ojcu sytuację.

Przed werandą czekał na nich mężczyzna chudy jak szczapa, z kanciastą twarzą i siwobrazowymi włosami. Był ubrany w strój do polowania, a w rękę trzymał jednostrzałową strzelbę Browning. Luke pamiętał, że on i jego bracia też takie mieli – jego ojciec również był zagorzałym zwolennikiem drugiej poprawki do konstytucji.

– Jesteś cała? – zapytał córkę Begyn.

– Poderżnęła gardło trzem facetom – odpowiedział za nią Luke.

Stary Begyn posłał mu spojrzenie, w którym zaciekawienie mieszało się z pogardą.

– Moja córka jest żołnierzem – stwierdził. – Umie się bronić.

Luke skrył się przed deszczem na zadaszonym ganku.

– Co do tego zgoda.

– Dopiero pana poznałem – zaczął Begyn – a już pana nie lubię.

– Często to słyszę. Ale sprawa wygląda tak: albo załatwimy to miło i przyjemnie, albo pod przymusem, w asyście całego zastępu agentów federalnych. Jeśli o mnie chodzi, to mam gdzieś, którą opcję pan wybierze. Ale potrzebuję odpowiedzi, i to natychmiast.

Begyn nadal miał w rękę strzelbę z lufą skierowaną w niebo, ale cały czas trzymał palec na spuście.

– Zapewniam pana, panie Begyn, że nie zdąży pan tego użyć. Ja też potrafię się bronić.

– Nas jest dwoje – mruknęła Sue.

Luke zmierzył ją wzrokiem.

– Nie krępuj się, kochanie. Poradzę sobie z tobą.

Stała w milczeniu, wpatrując się w niego swoimi wielkimi oczami. Ktokolwiek trenował tę kobietę, powinien być z siebie dumny. Wyraźnie wzięła sobie do serca każdą lekcję. Szczególnie tę, żeby więcej słuchać niż mówić. On sam nigdy nie opanował tej sztuki. Ale Stephanie kazała mu zdobyć informacje wszelkimi dostępnymi metodami.

– Czego pan chce? – zapytał Begyn.

– Chodzi mi o *Czternastą kolonię*. Hedlund mówił, żeby pana o to spytać.

Starszy człowiek przyjrzał mu się badawczo.

– Hedlund dzwonił do pana wczoraj. Powiedział: „Myśleliśmy, że wszyscy o tym dawno zapomnieli, ale najwyraźniej nie mieliśmy racji. Znowu się zaczyna”. Musiał mieć na myśli *Czternastą kolonię*. Tak więc chcę wiedzieć kto, co, gdzie, kiedy i dlaczego. Chcę wiedzieć wszystko.

– Peter wspomniał, że może się pan do mnie odezwać.

– Uwielbiam, kiedy ludzie się mnie spodziewają. To bardzo ułatwia pracę.

Nagle coś rzuciło mu się w oczy. Za garażem, blisko miejsca, gdzie zaczynały się drzewa, dostrzegł górkę zmarzniętych brył ziemi, znad której sterczała łopata.

– Jakies wykopaliska? – zapytał Luke.

– Niech pan się zamknie i wejdzie do środka.

Stephanie wróciła na Siódmą Ulicę i skręciła w kierunku centrum miasta, gdzie powietrze wypełniał ryk silników. Na niebie nisko wisały gęste chmury napływające z północnego wschodu. Zanosilo się na zimny deszcz, może nawet śnieg, dlatego trzeba było szybko znaleźć jakiś ciepły kątek.

Trzymając ręce w kieszeniach płaszcza, wypatrywała jakiejś taksówki. Ale Waszyngton to nie Nowy Jork, gdzie można je złapać na każdym kroku, o każdej porze dnia i nocy. Oczywiście zawsze mogła zamówić coś przez telefon. Przez ostatnie dziesięć lat praktycznie nie zdarzało jej się jeździć taksówkami, transport i ochronę zazwyczaj zapewniały jej służby państwowe. Konsekwencje utraty pracy docierały do niej powoli, ale prędzej czy później będzie musiała się do tego przyzwyczaić.

Wiedziała, że Cotton próbował się z nią skontaktować, ponieważ jej telefon pokazywał nieodebrane połączenie. Musiała jak najszybciej do niego oddzwonić. Na razie jednak tylko włączyła z powrotem dzwonek w komórce.

Nie podobała jej się postawa Ishmaela, który zachowywał się, jakby byli rozdzielonymi przez los sojusznikami walczącymi w słusznej sprawie. Rosyjskie syndykaty zbrodni należały do najbardziej rozbudowanych, okrutnych i niebezpiecznych na całym świecie. Było tak w dużej mierze dlatego, że ich działalność wewnątrz kraju została niemalże zinstytucjonalizowana. Tak jak zauważył Ishmael, dzisiejsza sytuacja w Rosji nie różniła się zbyt wiele od wczesnych czasów zorganizowanej przestępczości w Ameryce. Tak czy inaczej, myśl o wchodzeniu w układy ze złodziejami i bandytami nie podnosiła jej na duchu. Ale nie mogła się nie zgodzić, że jeżeli ktokolwiek byłby w stanie rozwiązać problem fanatyków w rosyjskich władzach, to właśnie oligarchowie i ich prywatna armia, czyli mafia.

Zadzwoił jej telefon. Wyciągnęła go z kieszeni płaszcza i odebrała.

– Wracaj, potrzebuję cię tutaj – powiedział Danny Daniels. – Gdzie jesteś?

– Gdybym ci powiedziała, i tak byś nie uwierzył.

– Przekonajmy się.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło.

– Masz rację, trudno w to uwierzyć.

- A jednak tak właśnie było.
- Tym bardziej powinnaś tu teraz być. Nie ruszaj się z miejsca, zaraz przyślę po ciebie samochód.
- Co się dzieje?
- Utniemy sobie pogawędkę z następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Luke wszedł do domu i już od progu zrobił na nim wrażenie jego przytulny, rustykalny wystrój. Szacował, że obie kondygnacje razem mają może sto czterdzieści metrów kwadratowych powierzchni. Gospodarz oparł strzelbę o krzesło i klęknął przed paleniskiem, gdzie rozpalili ogień. Płomienie najpierw tylko lizały podpałkę, a potem zabrały się za porąbane polana. Pokój wypełniło pomarańczowe światło.

– Czekałem z tym aż do waszego przyjazdu – powiedział Begyn. – Dzisiaj jest naprawdę zimno.

Do tego padało, ale nie przyszli tu rozmawiać o pogodzie.

– Pańska córka mówi, że opuścił pan wczoraj dom i przyjechał tutaj – zaczął Luke. – To nie był przypadek.

– Nie miałem pojęcia, że ktoś wtargnie do mojego domu.

– Wcale tak nie twierdzę. Ale skoro sam już pan poruszył ten temat, proszę mi opowiedzieć o dzienniku Tallmadge'a.

Sue przysunęła się do okna i wyglądała przez żaluzje, jakby stała na straży, co było dość irytujące.

Luke zdjął płaszcz.

– Myślałem, że ten koszmar już dawno się skończył – odezwał się Begyn.

Znowu to samo. Kolejne odwołanie do przeszłości.

– Może nie wyraziłem się jasno – powiedział Luke. – Potrzebuję informacji, i to w tej chwili.

– I co zrobisz? – zapytała Sue. – Aresztujesz nas?

– Jasne, czemu nie? Możemy zacząć od tych trzech ludzi, których zabiłaś. O tym, czy to była samoobrona, czy nie, pozwolimy zdecydować ławie przysięgłych. Jednak już samo postawienie zarzutów zakończy twoją karierę wojskową.

– Nie musi pan nam grozić – powiedział Begyn.

– Co było takie ważne, że Peter Hedlund starał się to chronić? I co pan wykopał tam na zewnątrz?

Jak dotąd zadał już cztery pytania i na żadne nie doczekał się odpowiedzi.

– Panie Daniels...

– Wystarczy Luke – wtrącił, próbując rozładować napięcie.

Begyn wbił w niego wzrok.

– Panie Daniels, to wszystko jest dla nas naprawdę trudne. Sprawa dotyczy Towarzystwa, a to zawsze były kwestie prywatne. Jestem przewodniczącym naszego stowarzyszenia. Jego liderem. Muszę być wobec niego lojalny.

– W takim razie może pan to wszystko wytłumaczyć ludziom z FBI, CIA i Secret Service, którzy na pewno zechcą pana przesłuchać i przebadają całą dokumentację pańskiej organizacji.

Pozwolił, żeby do Begyna w pełni dotarła waga jego groźby.

– Tato, musisz mu powiedzieć to, co chce wiedzieć – odezwała się Sue. – Nie ma sensu mnożyć sekretów. Sam zobacz, do czego cię to doprowadziło.

Begyn spojrział na córkę, która stała po drugiej stronie pokoju. Po raz pierwszy powiedziała coś, pod czym Luke mógł się podpisać. Może w końcu zaczęła do niej docierać rzeczywistość. Po każdym skoku adrenaliny następuje wyciszenie, a zabijanie nigdy nie przychodzi łatwo, nieważne, kim się jest.

Gospodarz wskazał na drzwi i przeszedł przez nie jako pierwszy. Za nimi była długa, wąska kuchnia z oknami wychodzącymi na zatokę. Po prawej skręcało się do jeszcze jednego małego pomieszczenia z przesklonymi drzwiami prowadzącymi na zewnątrz. Na dworze w dalszym ciągu zacinął deszcz.

i dmuchał silny wiatr. Rodzinny dom Luke'a w Tennessee też miał taki przedsiomek, dla którego on i jego brat znajdowali wiele zastosowań. Pośrodku drewnianej podłogi, na podkładce z gazet stało plastikowe pudło oblepione błotem.

– Właśnie to wykopałem – powiedział Begyn.

Luke pochylił się i ostrożnie uniósł pokrywę. Wewnątrz, zawinięte w matowy plastik, były książki i jakieś papiery.

– Co to?

– Tajemnice, których Peter Hedlund czuł się w obowiązku bronić.

## ROZDZIAŁ 58

Stephanie usiadła na jednym z krzeseł ustawionych naokoło owalnego stołu w Sali Gabinetowej w Białym Domu. Oprócz niego stało tam jeszcze dziewiętnaście innych, ale tylko kilka z nich było zajętych. W pomieszczeniu znajdowali się urzędujący prezydent oraz prezydent elekt, a także nowo mianowany prokurator generalny i pełniący obecnie obowiązki prokuratora generalnego Bruce Litchfield. Na sali obecni byli również Edwin Davis oraz Cotton i Cassiopeia, na których widok Stephanie szczerze się ucieszyła. Nie było czasu na wymianę uprzejmości. Przyszła tu prosto z samochodu, który przyjechał po nią na Siódmą Ulicę.

Po raz pierwszy w życiu znalazła się w tym pokoju, gdzie od dziesięcioleci prezydenci naradzali się z członkami swoich gabinetów. Znała historię stołu, kupionego przez Nixona i podarowanego Białemu Domowi. Prezydent zawsze siedział w centralnym miejscu, naprzeciwko wiceprezydenta i plecami do ogrodu rózanego, a jego krzesło było kilka centymetrów wyższe od pozostałych. Członkom gabinetu przydzielano miejsca według daty powstania ich departamentów; szef najstarszego z nich siedział najbliżej prezydenta. Każda ekipa rządząca wybierała, jakie portrety mają zdobić ściany i stanowić źródło inspiracji. Aktualnie nad obradami czuwali Harry Truman, George Washington, Thomas Jefferson i Theodore Roosevelt. Stephanie wiedziała jednak, że w ciągu najbliższego tygodnia zapewne nastąpi zmiana warty.

Ponieważ na sali brakowało wiceprezydenta, naprzeciwko Danny'ego usiadł prezydent elekt Fox. Wszyscy pozostali zajęli miejsca po stronie swojego szefa. Stephanie wybrała skrajne krzesło po prawej ręce Danny'ego. Pomiędzy nią a prezydentem siedział Litchfield, a Cotton i Cassiopeia wybrali neutralny teren na przeciwległym końcu owalu.

Kiedy już wszyscy się przedstawili, jako pierwszy odezwał się Fox.

– To podobno miało być coś pilnego.

Stephanie wychwyciła w jego głosie lekceważącą nutę, jakby chciał powiedzieć: „Jak cokolwiek może być ważne w ostatnich godzinach twojej kadencji”. Do tego ta mina dyrektora przemawiającego do lekko opóźnionego w rozwoju ucznia. Ale Danny nie tracił zimnej krwi. On i Fox diametralnie się od siebie różnili, nawet pod względem fizycznym. Danny był wysokim, postawnym mężczyzną z gęstymi włosami i przenikliwym spojrzeniem. Ktoś powiedział o nim kiedyś „kawał chłopca z oczami przeszywającymi cię na wskroś”. Fox był niski, wychudły i ponury. Miał popielatoszare włosy i wodniste, niebieskie oczy. Czytała, że uważał sam siebie za intelektualistę ze wschodniego wybrzeża, postępowego w kwestiach finansowych, ale konserwatywnego pod względem społecznym. Danny to południowiec z krwi i kości, do bólu pragmatyczny. Komentatorzy polityczni od lat próbowali go zaszufłakować, ale nikomu się to jeszcze nie udało. Z tego, co wiedziała, ci dwaj mężczyźni nigdy wcześniej się nie spotkali, a dystans dodatkowo zwiększał fakt, że należeli do konkurencyjnych partii i żaden nie był drugiemu absolutnie nic winien.

– Mamy problem – odparł Danny. – Ten idiota siedzący obok mnie wiedział, co się dzieje, ale uznał, że to nie nasze zmartwienie.

Słowa prezydenta wywołały uśmiech na twarzy Stephanie. Litchfield milczał jak grób.

– Rozumiem – powiedział Fox – że macie nam za złe zwolnienie pani Nelle, ale umówiliśmy się, że wszystko musi być zatwierdzone przez moich ludzi, zwłaszcza na tak późnym etapie.

– O ile mi wiadomo, Litchfield nadal pracuje dla mnie. Ale twój chłopiec na posyłki mieszał się do

wszystkiego i blokował wszelkie inicjatywy. Dodajmy, że wbrew moim wyraźnym poleceniom.

Litchfield siedział z pewnym siebie wyrazem twarzy.

– Robił to, co ja mu kazałem – odezwał się nowo mianowany prokurator generalny. – Ja i tak bym ją wyrzucił w przyszłym tygodniu.

– Wal się – wypaliła Stephanie.

Fox, Litchfield i nowy prokurator generalny spojrzeli na nią zszokowani. Nawet Cotton wyglądał na nieco zdziwionego. Cassiopeia tylko się uśmiechnęła.

– Rany goją się lepiej, kiedy się ich ciągle nie rozdrapuje – powiedział do Stephanie Fox. – Przepraszam za mojego kolegę.

Nawet jeśli poczuł się urażony jej wybuchem, Fox nie pokazał tego po sobie.

– Po co się tu spotkaliśmy? – zwrócił się z powrotem do obecnego prezydenta.

Danny opowiedział wszystko, co wiedział o Zorinie, *Szkolnym macie* i dwudziestej poprawce. Stephanie dodała to, co usłyszała w domu Kris Cox, a Cotton zdał relację z wydarzeń na Syberii i w Kanadzie. Ponieważ Danny nie wspomniał ani słowem o rozmowie, którą Stephanie odbyła w parku, poszła za jego przykładem i również zachowała to dla siebie.

Kiedy skończyli mówić, Fox odchylił się na swoim krześle.

– To wszystko nie brzmi dobrze.

– Witam w moim świecie – odparł Danny.

Fox spojrział na swojego przyszłego prokuratora generalnego, a potem na Litchfielda i poprosił ich o opinię.

– Nie wiemy zbyt dużo – zauważył Litchfield. – Większość tego to spekulacje. Wygląda na to, że trzeba ustalić po pierwsze, czy te trzydziestoletnie bomby jądrowe rzeczywiście są w naszym kraju, a po drugie, czy nadal są sprawne.

– Rosjanie ewidentnie tak uważają – odparła Stephanie. – Zaprojektowali je tak, by przetrwały długie lata. Dlatego nie możemy ryzykować i zakładać, że do niczego się już nie nadają.

– Ale nie wiecie, czy one w ogóle istnieją – stwierdził nowy prokurator generalny. – Może to tylko fortel, mistyfikacja zorganizowana przez Moskwę, żeby odwrócić naszą uwagę i pomóc w osiągnięciu jakiegoś zupełnie innego celu.

– Nie możemy podejmować takiego ryzyka – powiedział Daniels.

Fox wydawał się nieco bardziej zafrapowany.

– Czego ode mnie oczekujecie?

– Przenieśmy inaugurację w inne miejsce, które pozostanie tajemnicą. Złóży pan przysięgę w południe, tak jak nakazuje konstytucja, i problem sam zniknie.

Nikt się nie odezwał.

W końcu Fox pokręcił głową.

– Rozumiem waszą propozycję, naprawdę. Ale przenoszenie ceremonii teraz, w ostatniej chwili, wywołałoby lawinę pytań i w żaden sposób nie udałoby się nam tego wszystkiego utrzymać w tajemnicy. Na tym etapie nie wiemy nawet, czy zagrożenie jest realne. Pierwszy miesiąc mojego urzędowania zdominowałyby dziennikarskie spekulacje i domysły dotyczące przyczyn tej decyzji. Nigdy nie przebilibyśmy się przez ten medialny szum. Nie mogę zaczynać swojej prezydentury w cieniu czegoś takiego.

– Wolałby pan raczej zginąć w zamachu? – odezwał się Edwin.

Było to całkiem sensowne pytanie, a skoro padło z ust człowieka o umyśle ostrym jak brzytwa, tym bardziej powinno zostać potraktowane poważnie.

– Czy każdy, kto dla pana pracuje, jest równie niesubordynowany? – zapytał Daniela Fox.

– Nie wobec mnie.

Fox skwitował to uśmiechem.

– W takim razie przynajmniej przenieśmy zaprzysiężenie wiceprezydenta – nie poddawał się ustępujący prezydent. – W ten sposób nie będziecie obaj przebywać w tym samym miejscu.

– A jak mamy to zrobić bez prowokowania tych samych pytań? Wszystko jest przecież zaplanowane, jutro w południe obaj mamy złożyć przysięgę. Razem.

Cotton milczał, z uwagą obserwując to starcie dwóch zawodników wagi ciężkiej. Stephanie zdała sobie sprawę, że argumenty Danny'ego znacznie osłabiał brak twardych dowodów. Trudno było się dziwić Foksowi, że domagał się konkretów. Nie mogąc mu ich zaoferować, nie mieli szansy przekonać go do opracowanego przez nich planu. Chciała jednak usłyszeć jeszcze ocenę Cottona, dlatego zapytała go wprost:

– Cotton, ty rozmawiałeś z Zorinem. Byłeś w tamtym domu z Wadimem Bielczenką. Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

– Ci ludzie mają misję do spełnienia. Nie ma co do tego wątpliwości.

– Skoro tak, to jak najbardziej róbcie dalej swoje – powiedział Fox. – Doprowadźcie sprawę do końca. Ale nie będziemy przesuwać ani przenosić inauguracji, dopóki nie będziecie mieli czegoś konkretnego. Dopóki nie udowodnicie, że istnieje autentyczne niebezpieczeństwo. Na pewno wszyscy rozumiecie moje stanowisko. A poza tym przecież jutro wszystko i tak odbędzie się tutaj, w Białym Domu. Czy można sobie wyobrazić bezpieczniejsze miejsce?

Stephanie wiedziała, do czego zmierza.

Zgodnie z konstytucją kadencja ustępującego prezydenta kończy się dwudziestego stycznia dokładnie o godzinie dwunastej w południe. Zazwyczaj nie stanowiło to problemu. Publiczna uroczystość miała miejsce na podwyższeniu przed budynkiem Kapitolu, a w telewizji oglądały ją miliony ludzi. Ale jeżeli dwudziesty stycznia przypadał na niedzielę, od dawna praktykowano inne rozwiązanie. Nowy prezydent i wiceprezydent składali przysięgę w niedzielę, jak każe konstytucja, a dopiero następnego dnia odbywała się tradycyjna ceremonia przed Kapitołem, podczas której obaj jeszcze raz powtarzali tekst przysięgi.

– Sprawdziłem – kontynuował Fox. – Poczynając od 1937 roku, kiedy dwudziesta poprawka weszła w życie, inauguracja trzykrotnie wypadła w niedzielę. Jutro stanie się to po raz czwarty. Nie kontroluję kalendarza ani nie mogę zmienić konstytucji, ale mogę trzymać się ustalonego planu. I tak właśnie zrobimy, o ile nie dowiemy się nagle czegoś, co radykalnie zmieni obraz sytuacji.

– Ta feta jest dla pana aż tak ważna? – zapytał Danny.

– To nie fair. Pan miał dwie inauguracje. Mógłbym dodać, że obie bardzo huczne. Teraz moja kolej.

– Popełnia pan błąd.

– Tylko przy założeniu, że macie rację. A co, jeśli się mylicie, a ja posłucham waszej rady? Wtedy wyjdę na durnia, który za pańską namową szuka wiatru w polu. Chyba pan wie, o czym mówię. A nawiasem mówiąc, wśród moich wyborców nie cieszy się pan zbyt dużą popularnością.

Stephanie była dumna z Danny'ego. Ani na chwilę nie stracił panowania nad sobą. Nic dziwnego, w końcu przez większość życia z zadziwiającą zręcznością poruszał się po przypominającym labirynt światie polityki. Nigdy nie widziała, żeby jakakolwiek konfrontacja wyprowadziła go z równowagi. Przeciwnie, kiedy znajdował się pod presją, sprawiał wrażenie, jakby wstępowały w niego nowe siły.

– Ale wiem, co zrobić – dodał Fox. – Bruce, przygotuj mi prawną analizę dwudziestej poprawki i ustawy o sukcesji prezydenckiej. Przyznaję, że nie jestem znawcą ani jednego, ani drugiego. Dzięki temu, jeżeli wykrystalizuje się z tego coś konkretnego, będziemy przygotowani do podjęcia świadomej decyzji.

Litchfield pokiwał głową.

– A na razie wy wszyscy pracujcie dalej nad tą sprawą – ciągnął prezydent elekt – i zobaczymy, co z tego wyniknie. Nie ignoruję tego, co mówicie. Po prostu chcę wiedzieć więcej, zanim postanowię działać. A jeśli zajdzie taka potrzeba, mamy jeszcze czas, by wprowadzić zmiany.

Fox odsunął krzesło od stołu i wstał. Nowy prokurator generalny poszedł w jego ślady.

Danny wskazał na Litchfielda.

– Zabierzcie go ze sobą. Robi mi się niedobrze na jego widok.

Litchfield podniósł się z krzesła.

– Ale zanim pójdziesz – powiedział do niego Danny – musisz coś naprawić.

Litchfield popatrzył na Foksa.

– Po cholere się na niego gapisz? – huknął prezydent. – Nie myśl sobie, że cię nie wywalę na zbity pysk, tu i teraz. To tak à propos zwracania na siebie uwagi.

Litchfield zjeżył się na ten obelżywy ton, ale roztropnie trzymał język za zębami.

– Niech pan pomyśli o tej konferencji prasowej – Danny zwrócił się tym razem do Foksa. – To będzie coś.

Korespondenci pracujący w Białym Domu to ostatni przedstawiciele wymierającego gatunku dziennikarza. Byli inteligentni i nieustępliwi. Żaden nowy prezydent nie chciałby musieć stawać z nimi twarzą w twarz w przeddzień swojej inauguracji.

Dlatego Fox tylko skinął głową.

Litchfield odwrócił się do Stephanie.

– Jesteś przywrócona do służby. – Podeszedł do niej, włożył rękę do kieszeni i oddał jej odznakę.

Następnie trzech mężczyzn opuścili salę gabinetową.

– Kazałem mu ją przynieść – wyjaśnił Danny.

– Cieszę się, że mieszkam w Danii – odezwał się Cotton. – Ci ludzie nie wiedzą, co robią.

– Nasza propozycja była zupełnie rozsądna – stwierdził Edwin. – Zważywszy na potencjalne zagrożenie.

– Jeśli ktoś ma zamiar spacerować po skrzydłach samolotu, to najpierw musi wiedzieć, kto go pilotuje – powiedział Danny. – Fox przyszedł, żeby się o tym przekonać, i co do jednego ma rację. Nie mamy nawet strzępu dowodu. Według naszych ostatnich informacji Zorin i jego kumpel są nadal na autostradzie numer dziewięćdziesiąt pięć i jadą na południe. Zmierzają w naszą stronę, ale dokąd i po co?

– Jutro wszyscy znajdą się w jednym miejscu – przypomniał Edwin. – Prezydent elekt, wiceprezydent elekt, spiker Izby Reprezentantów, przewodniczący Senatu i cały gabinet, z wyjątkiem jednej osoby. Tutaj, w Białym Domu, w samo południe. Przypuśćmy, że niemożliwe stanie się możliwe i wszyscy wylecą w powietrze. To oznacza, że władzę przejąłby wyznaczony uprzednio członek gabinetu.

– Kto to jest tym razem? – zapytał Danny.

– Sekretarz transportu.

– Który zna się świetnie na budowaniu autostrad, ale nie ma zielonego pojęcia o kierowaniu krajem – skomentował prezydent. – Nie wspominając już o konstytucyjnych komplikacjach związanych z prawem sukcesyjnym. Kazałem to sprawdzić.

– Litchfieldowi? – zapytała Stephanie.

– Jeszcze czego. Zajął się tym prawnik Białego Domu. Ta dwudziesta poprawka i ustawa o sukcesji to istna katastrofa. Kiedy tylko opadnie kurz po eksplozji, zaczną się procesy sądowe, polityczne przepychanki, po prostu chaos.

Stephanie pamiętała, przed czym przestrzegał głos w telefonie w domu Kris.

– Być może po części napędzany przez SWR w ramach kampanii dezinformacyjnej.



– Na pewno skorzystaliby z okazji – przyznał Danny.

Spojrzała na niego znacząco, a on przyzwalająco skinął głową.

– Pojawiła się też nowa komplikacja – oznajmiła, po czym opowiedziała Cottonowi, Cassiopei i Edwinowi o rozmowie, jaką odbyła w parku w północnym Waszyngtonie.

– Uznałem, że lepiej, żebyśmy to zachowali dla siebie – dorzucił na koniec Daniels.

– Ten człowiek potwierdził, że bomby istnieją – powiedziała. – Ale nijak nie jesteśmy w stanie zweryfikować, czy mówił prawdę.

– W każdym razie jeszcze nie – odparł Cotton. – Ale Zorin jest coraz bliżej. On i Kelly z pewnością właśnie jadą po którąś z nich.

– W rosyjskim rządzie też wkrótce zapanuje mały chaos – dodała Stephanie. – Ludzie, którzy zarabiają tam duże pieniądze, wolą, żeby wszystko zostało tak, jak jest. Nie marzy im się nowy Związek Radziecki.

Danny zwrócił się do Edwina.

– Niech Departament Stanu się tym zajmie. Chcę dostać analizę: kto może zostać przez nich usunięty. Powiadom też CIA, może oni dadzą radę się czegoś dowiedzieć. Zostaliśmy ostrzeżeni, więc nie wolno nam teraz obudzić się z ręką w nocniku.

Edwin skinął głową i wyszedł z sali.

– Szykuje się jutro niezła impreza – powiedziała Stephanie.

– Moja ostatnia. W Sali Niebieskiej właśnie ustawiają kamery. To nie potrwa długo, może pół godziny. O 10:30 zaczyna się małe przyjęcie dla grubych ryb. Do pierwszej po południu będzie po wszystkim.

– To daje im dwuipółgodzinne okno, w trakcie którego może zostać rozegrany scenariusz *Szkolnego mata* – stwierdził Cotton.

– Niezupełnie. Fox i jego wiceprezydent przyjeżdżają dopiero o 11:30. Zostaje zatem maksymalnie półtorej godziny. Ale dwunasta w południe to idealny moment. Wszyscy będą wtedy na widoku.

Stephanie wiedziała, że pozostałe uroczystości w mieście rozpoczną się dopiero w poniedziałek po publicznej ceremonii zaprzysiężenia o dwunastej. Po wygłoszeniu inauguracyjnego przemówienia i zejściu z podium Fox skieruje się do Kapitolu, gdzie podpisze nominacje dla członków swojego gabinetu, żeby Senat mógł zabrać się za ich zatwierdzanie. Następnie zje lunch z najważniejszymi osobami w Kongresie, a potem weźmie udział w inauguracyjnej paradzie. Wieczorem nowy prezydent i wiceprezydent będą musieli zrobić rundę po kilku uroczystych balach.

– Kiedy całe towarzystwo opuści Biały Dom – powiedział Danny – to nie będzie już miało znaczenia. Wszyscy rozproszą się po mieście. Nie ma wątpliwości. Jutro, dwunasta w południe, to nasza piąta achillesowa. Gdzie jest Luke?

Ta nagła zmiana tematu nieco ją zaskoczyła.

– Sprawdza kolejne tropy związane z Towarzystwem Cyncynatów – odparła Stephanie. – Zorin wysłał tam Anję Pietrową z jakiegoś powodu. Chcę wiedzieć, jaki to powód.

– Ja też – zgodził się Danny. – I w tym miejscu rodzi się fascynujące pytanie. Co amerykańska wojna o niepodległość sprzed ponad dwustu lat ma wspólnego ze Związkiem Radzieckim?

## ROZDZIAŁ 59

Luke siedział przy kuchennym stole. W czajniku na piecu gotowała się woda, a Begyn szykował dla wszystkich herbatę. Sue usiadła obok niego. Luke zastanawiał się, ile z tego wszystkiego wiedziała już wcześniej, a ile dowiaduje się po raz pierwszy. Jej dotychczasowe komentarze sugerowały, że była kimś więcej niż tylko biernym obserwatorem. Miał ochotę zapytać o jej matkę, ale wiedział, że to nie najlepszy pomysł. W innych pokojach dostrzegł trochę rodzinnych zdjęć, jednak widnieli na nich tylko ojciec z córką, dlatego podejrzewał, że stary Begyn jest raczej rozwodnikiem niż wdowcem.

Zabytkowy mosiężny chronometr na ścianie wskazywał kilka minut przed piątą po południu. Dzień szybko dobiegał końca. Z ciemniejącego nieba zaczął prószyć śnieg, a wiatr grzechotał szybami w oknach. W palenisku nadal buzował ogień, emanując ciepłem i złotym blaskiem. Ale w skrzynce na drewno nie było już więcej polan, a jeżeli jakieś leżały na zewnątrz, to były zbyt mokre, żeby dorzucić do pieca. Luke zauważył jednak termostat, czyli dom posiadał centralne ogrzewanie.

Begyn postawił czajnik na stole i nalał wszystkim wrzątku do filiżanek. Luke preferował zieloną herbatę, w której rozsmakował się w czasach służby w rangersach. Żadnych niepotrzebnych dodatków, jak owoce, przyprawy czy mleko. Najchętniej pijał prostą, czystą mieszankę, w miarę możliwości bezkofeinową. Begyn miał akurat taką w domu.

Gospodarz dosiadł się do stołu. Na blacie leżały plastikowe zawiniątka wyjęte z pudła w przedsionku. Okazało się, że to torebki zamykane próżniowo, ale ponieważ były matowe, ich zawartość nadal pozostawała tajemnicą.

– Panu może się wydawać, że to nic takiego – zaczął Begyn – ale dla mnie sprawy dotyczące Towarzystwa Cyncynatów są bardzo ważne. Byłem jego członkiem przez całe dorosłe życie. Jeden z naszych przodków walczył w wojnie o niepodległość i należał do grona założycieli towarzystwa.

– Pan jest pierwszym przedstawicielem rodu, który został jego szefem?

Starszy człowiek pokiwał głową.

– Zgadza się.

– I, niech zgadnę, także ostatnim, przynajmniej dopóki nasz Jim Bowie w spódnicy<sup>3</sup> nie znajdzie sobie męża i nie urodzi syna, ponieważ kobiety nie mogą być członkami stowarzyszenia.

– Zawsze jesteś takim fiutem? – wycedziła Sue.

– Tylko kiedy ktoś ze mną pogrywa, a chyba oboje próbujecie to robić.

– Peter Hedlund powiedział panu o *Czternastej kolonii* – stwierdził Begyn.

Luke skinął głową.

– Wiem, że chodzi o amerykański plan podbicia Kanady. To było dawno temu. Kogo to dzisiaj obchodzi?

– Nas.

Begyn powiedział to podniesionym głosem, co chyba zaskoczyło nawet jego samego. Luke cierpliwie wysłuchał więc opowieści o tym, jak wyglądała sytuacja zaraz po wojnie o niepodległość. Nowe państwo rodziło się w bólach. Jego przywódcy mieli bardzo niewielką władzę. Gospodarka praktycznie nie istniała. Trzyście stanów nieustannie walczyło między sobą. Nie było mowy o żadnej jednolitości, o żadnej centralizacji. Zarówno oficerów, jak i zwykłych żołnierzy po latach wiernej służby wysyłano do domu bez zapłaty. Niektórzy zaczęli przebąkiwać o kolejnej rewolucji, tym razem w postaci wojny domowej.

Z całego tego zamętu wyłoniło się Towarzystwo Cyncynatów, założone w 1783 roku. Z początku mało kto zwracał na nie uwagę. Ale kiedy we wszystkich trzynastu stanach zorganizowały się filie, a w skarbcu znalazło się już ponad dwieście tysięcy dolarów, ludzie zaczęli się bać. Towarzystwo miało więcej pieniędzy niż całe państwo, a zrzeszanie się żołnierzy wzbudzało powszechny niepokój. Dodatkowo fakt, że członkostwo w nim było dziedziczne, pachniał wykształcaniem się nowej arystokracji i kojarzył się ze społeczeństwem klasowym.

– Patrycjusze i plebejusze – powiedział Begyn. – Tak krytycy postrzegali nowy naród. Jak w starożytnym Rzymie, gdzie zdarzyło się dokładnie to samo. Pomiędzy rokiem 1783, kiedy skończyła się rewolucja, a 1787, czyli uchwaleniem konstytucji, to państwo ani na chwilę nie przestawało żyć w strachu. Były to bardzo trudne lata, które książki historyczne najczęściej pomijają.

Później, jak wyjaśniał dalej Begyn, kiedy francuscy oficerowie, którym pozwolono dołączyć do stowarzyszenia, zaczęli wpłacać pieniądze do wspólnej kasy, pojawiło się nowe zagrożenie – obawiano się ingerencji obcych państw oraz tendencji monarchistycznych. W końcu, kiedy towarzystwo zaczęło wywierać wpływ na stanowe organy ustawodawcze oraz na Kongres, lobbując na rzecz wyznawanych idei, głosy nawołujące do jego likwidacji stały się coraz donośniejsze.

– Uznano, że nasza organizacja jest „sprzeczna z duchem wolnego państwa, narusza artykuły konfederacji i stanowi zagrożenie dla pokoju, wolności oraz bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych”. Gdyby nie osobista interwencja George’a Washingtona, towarzystwo zostałoby rozwiązane. Ale w 1784 roku Washington zaproponował radykalne zmiany, które ostatecznie spotkały się z akceptacją i dotychczasowe zagrożenie zostało zneutralizowane.

Wtedy nastąpił koniec lobbowania, mieszania się w politykę i dziedziczenia tytułów. Skończyły się wpływy obcokrajowców i przyjmowanie obcych pieniędzy. A żeby stłumić podejrzenia o spisek, walne spotkania członków miały się od tamtej pory odbywać tylko raz na trzy lata.

– Wszyscy wydawali się usatysfakcjonowani nowym, ulepszonym kształtem towarzystwa i powoli zaczęto o nas zapominać.

– Więc dlaczego na tym opowieść się nie kończy?

– Podczas wojny w 1812 roku państwo wezwało nas na pomoc – podjął Begyn. – Jednakże to, czego od nas oczekiwano, kłóciło się z naszym nowym statutem. Wielu spośród naszych członków walczyło w rewolucji. Prezydentem był wówczas James Madison, który chciał wojny z Wielką Brytanią i doprowadził do niej. Potem zaś chciał dokonać inwazji na Kanadę, ponieważ było to najbliższe terytorium brytyjskie. Zwrócił się do towarzystwa z prośbą o opracowanie planu inwazji.

Wszystko zgadzało się z relacją Hedlunda.

– To nie skończyło się zbyt dobrze.

– Można tak powiedzieć. Niektóre z dzienników, które leżą tu na stole, zamknięte i zabezpieczone, zawierają szczegóły tamtych planów wojennych z 1812 roku. Jak pan już wie, opatrzone je wspólną nazwą *Czternasta kolonia*. Są całkiem precyzyjne. Ludzie, którzy je tworzyli, znali się na rzeczy. Niestety ci, którzy kierowali działaniami wojennymi, okazali się o wiele mniej kompetentni. Inwazja była katastrofą. Po wszystkim schowaliśmy te plany, a około trzydziestu lat później usunęliśmy je z naszych oficjalnych archiwów. Uznano, że najlepiej będzie, jeżeli nikt nigdy nie dowie się o naszej roli w tym incydencie. Mnie samemu kazano je zniszczyć, ale nie umiałem się do tego zmusić. Wstydlive czy nie, stanowią jednak część historii.

Luke przypominał sobie, co jeszcze mówił Hedlund.

– Charon wiedział o tych dziennikach?

– Oczywiście, był w tamtym czasie strażnikiem tajemnic. Trzymał je u siebie. Ale sprzeniewierzył się swojej funkcji, pozwalając, aby zobaczyła je osoba z zewnątrz.

Nareszcie dochodzili do tego, co najciekawsze.

– Wie pan kto?

Begyn napił się herbaty.

– Tylko że był to sowiecki obywatel zatrudniony w ambasadzie w Waszyngtonie. Nie pamiętam nazwiska ani zajmowanego stanowiska. Stało się to pod koniec lat siedemdziesiątych lub na początku osiemdziesiątych. Brad otworzył przed nim nasze tajne archiwa, co stanowiło rażące pogwałcenie zasad. Za pierwszym razem puściliśmy mu to płazem, ale kiedy dziesięć lat później zrobił to ponownie, tym razem udostępniając archiwa jakiemuś Amerykaninowi, nasz przewodniczący usunął go ze stowarzyszenia.

– Zna pan nazwisko tego drugiego?

Begyn pokręcił głową.

– Nigdy go nie poznałem.

– Czyli jeżeli pootwieramy te paczuski, znajdziemy tylko plany ataku na Kanadę z 1812 roku?

Begyn odstawił kubek i wziął do ręki jedno z około dziesięciu zawiniątek leżących na stole.

– Niesamowite, że te dzienniki w ogóle dotrwały do naszych czasów. Te torebki próżniowe naprawdę działają. Pamiętam, jak je kupowałem. Wyprodukowano je z myślą o jedzeniu, ale znalazłem dla nich inne zastosowanie. Nie myślałem o tych sprawach od bardzo dawna.

– Dopóki nie zadzwonił do pana Hedlund.

– Zgadza się. Powiedział mi o Rosjance, która przyszła do jego domu, i o strzelaninie.

*Myśleliśmy, że wszyscy o tym dawno zapomnieli, ale najwyraźniej nie mieliśmy racji.*

– Czy przewodniczący, który wyrzucił Charona, jeszcze żyje?

Begyn pokręcił głową.

– Zmarł lata temu.

– Według Hedlunda pan wie wszystko. Ale wygląda na to, że panu także brakuje wielu elementów tej układanki.

– Nasze towarzystwo jest bardzo zamknięte. Trzymamy się na uboczu i nikomu się nie naprzykrzamy. Dzisiaj prowadzimy działalność filantropijną. Jest dla nas niezwykle istotne, aby funkcjonować ponad bieżącą polityką. Złamaliśmy tę regułę w 1812 roku. Ale nie był to jedyny raz. Później jeszcze kilkakrotnie zdarzało nam się pomagać prezydentom czy armii. Tym samym naruszyliśmy zasady ustalone przez George'a Washingtona i założycieli naszego stowarzyszenia. I, jak powiedziałem wcześniej, dla pana może to nic nie znaczy, ale dla nas bardzo dużo. Brad tylko pogłębił ten wstyd, pozwalając, by dowiedzieli się o tym ludzie z zewnątrz, obcokrajowcy.

Luke nie wiedział, co o tym myśleć.

– Ale nigdy nic z tego nie wynikło.

– Nie słyszałem o tym ani słowa, aż do wczoraj.

„Znowu się zaczyna” – tak powiedział Hedlund przez telefon.

Sue siedziała w milczeniu, popijając herbatę, i słuchała. Tatuś zapewne nigdy nie rozmawiał o tych sprawach ze swoją córką. Większość z tego, co opowiedział, to nieistotne brednie. Ale część musiała być nadal ważna, skoro Anja Pietrowa przyjechała po to aż z Syberii.

Begyn poszperał w leżących przed nimi paczkach i podał mu jedną z nich.

– Zrobiliśmy coś jeszcze. Bliżej naszych czasów.

Luke wziął od niego szczelnie opakowaną książkę.

– Trzyma pan w ręku plany operacyjne inwazji Stanów Zjednoczonych na Kanadę – oznajmił Begyn. – Pochodzą z roku 1903.

## ROZDZIAŁ 60

Zorin zobaczył tablicę informującą, że opuszczają stan Pensylwania i wjeżdżają do Maryland. Nie kapał się ani nie golił od ponad dwudziestu czterech godzin, a w ustach miał paskudny smak. Nie mógł spać, ale o dziwo nie czuł się zmęczony. Zamiast tego jego cały organizm przepełniała szczególna energia, a w trzewiach pulsowało niemal namacalne przeczucie zwycięstwa. Wiedział, że to jego ostatnia szansa na odkupienie.

Często wracał myślami do Anji, zastanawiał się, co teraz robi. Włączył komórkę już kilka godzin temu w nadziei, że się z nim skontaktuje. Sam postanowił nie dzwonić, dopóki nie dowie się, co dokładnie udało się osiągnąć Kelly'emu.

Zarówno Anja, jak i jego żona dały mu szczęście, każda na własny sposób. Dziękował losowi, że je znalazł, zwłaszcza Anję, która miała w sobie znacznie więcej ducha przygody niż jego żona nawet w najlepszych chwilach.

Ale jego żona była wspaniałą kobietą.

Poznali się, kiedy oboje wciąż odbywali szkolenie, i wzięli ślub w sekrecie, ponieważ jej rodzina nie aprobowała ich związku. Ale fakt, że on należał do KGB, zagłuszył wszelkie obiekcje z ich strony. Żyli razem przez niemal trzydzieści lat, zanim zmarła na raka jajnika. Niestety zdążyła wcześniej przeżyć śmierć ich syna. Ta tragedia napełniła ich smutkiem, który od tamtej pory już nigdy ich nie opuścił. Jego żona go rozumiała, akceptowała takim, jaki był. Przez większość ich małżeństwa mieszkała sama, ponieważ stale przenoszono go z miejsca na miejsce. Zawsze zajmowała się wszystkim, dopóki nie zmoęła jej choroba.

Ale nawet wtedy to ona nadal była w ich związku szefem.

*– Musisz mnie wysłuchać – powiedziała, leżąc na wąskim szpitalnym łóżku.*

*Leżała na plecach, z rękami wzdłuż tułowia i stopami sterczącymi w górę. Jej ciało tworzyło pod pościelą małą górkę. Przez większość czasu była na środkach znieczulających, ale zdarzały się chwile, takie jak teraz, kiedy jej świadomość przebijała się przez zasłonę leków, a ona odzyskiwała przytomność umysłu. W klinice na przedmieściach Irkucka leczono wyłącznie ludzi z partyjnej elity i ich rodziny. Pokój był przestronny i wysoki, lecz mimo to sprawiał ponure wrażenie. Udało mu się załatwić, żeby ją tu przyjęli, ale – choć żadne z nich nigdy o tym fakcie nie wspomniało – oboje wiedzieli, że ta część budynku była przeznaczona tylko dla pacjentów nieuleczalnie chorych.*

*Otarł cienką warstwę potu z jej bladego, poszarzałego czoła. Jej włosy były tłuste i wilgotne. Nie była brudna, bo pielęgniarki codziennie ją myły, ale odór nadchodzącej śmierci, który wydzielala, był nie do pomylenia z niczym innym. Lekarze powiedzieli mu już, że nie są w stanie jej pomóc. Mogli tylko łagodzić ból i dopilnować, żeby miała wszystko, czego potrzebuje. Mimo że nie służył już w KGB – agencja nie istniała od lat – ludzie nadal zdawali sobie sprawę z jego reputacji.*

*– Chcę, żebyś zrobił to, czego zawsze pragnąłeś – powiedziała.*

*Jego twarz odzwierciedlała jej cierpienie, ale te słowa wyraźnie go zaskoczyły.*

*– Co masz na myśli?*

*– Nie traktuj mnie jak głupiej. Wiem, że umieram, nawet jeśli nie umiesz się zdobyć na to, żeby*

to głośno powiedzieć. Zresztą lekarze też nie. Wiem również, że coś cię gnębi. Obserwowałam cię przez te wszystkie lata. Jest w tobie jakiś smutek, Aleksandrze. Był tam, jeszcze zanim zmarł nasz ukochany syn. I nadal go w tobie widzę.

Ból zaczął powracać i nie mogła już dłużej leżeć spokojnie na łóżku. Przewracała się z boku na bok, szarpiąc za pościel, którą była przykryta. Niedługo przyjdą dać jej kolejny zastrzyk i znowu odpłynie na kilka godzin. Powiedziano mu już, że w którymś momencie po prostu się nie obudzi.

Wziął ją za rękę. Miał wrażenie, że trzyma małego ptaszka, delikatnego i kruchego.

– Coś zżera cię od środka – powiedziała. – Cokolwiek to jest, zrób to. Wylecz się z tego gniewu. Tak, Aleksandrze, trawi cię gniew. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej w twoim życiu. Zostawiłeś coś niedokończonego.

Siedząc u jej boku, od nowa przeżywał w pamięci całe ich wspólne życie. Była prostą kobietą, która zawsze okazywała mu szacunek. Tak wiele innych żon zdręczało swoich mężów, niektóre nawet przyprawiały im rogi – a oni zmieniali się w zazdrosnych, podejrzliwych, umęczonych głupców, na czym cierpiała zarówno ich praca, jak i reputacja. Jemu to się nie przytrafiło. Nigdy nie prosiła go o wiele ani nie oczekiwała od niego więcej, niż był w stanie jej dać. Poślubienie jej było najmądrzejszą decyzją w jego życiu.

Jego żona z każdą chwilą robiła się coraz bardziej niespokojna i w końcu krzyknęła z bólu. Zaraz pojawiła się pielęgniarka, ale odprawił ją machnięciem ręki. Chciał chociaż jeszcze przez kilka chwil być z nią sam na sam.

Otworzyła oczy i wbiła w niego wzrok.

– Nie... marnuj... swojego życia – wyszeptała.

Pamiętał, że jej oczy pozostały otwarte, usta zastygły w niemrawym uśmiechu, a dłoń całkiem zwiotczała. Dostatecznie dużo napatrzył się na śmierć, żeby umieć ją od razu rozpoznać, ale mimo to siedział tam jeszcze przez kilka minut w nadziei, że nie ma racji. W końcu ucałował jej zimne czoło i przykrył jej głowę prześcieradłem. Przez tyle lat kroczyła za nim na oślep, dawała się wciągać w jego rozterki, aż znalazła się w pułapce tak samo jak on. Choć zdołała się oswoić z jego gniewem, pragnęła, żeby się od niego uwolnił.

On także.

Przypominał sobie ból, który wezbrał w jego gardle i niemalże go zadławił. Umysł sparaliżowało nagle, dojmujące poczucie samotności. Nie mógł znieść żadnej myśli o swojej żonie. Zarówno ona, jak i jego syn opuścili go na zawsze. Jego rodzice również nie żyli. Jego bracia mieszkali daleko i prawie nie miał z nimi kontaktu. Został sam i miał przed sobą długie, puste, pozbawione celu życie. Nadal cieszył się dobrym zdrowiem, ale stabilność jego umysłu stanęła pod znakiem zapytania.

*Nie marnuj swojego życia.*

I wtedy ta myśl po raz pierwszy do niego wróciła.

*Szkolny mat.*

– Czas, żebyśmy pomówili ze sobą otwarcie – odezwał się Kelly.

Zorin otrząsnął się ze wspomnień. Z powrotem siedział w ciemnej kabinie samochodu, na zewnątrz padał śnieg, ale niezbyt obficie.

– Z koperty, którą dał mi tamtego wieczora Andropow – kontynuował Kelly – dowiedziałem się, że pod koniec lat siedemdziesiątych KGB otrzymało bardzo istotne informacje od naszej ambasady w Waszyngtonie. Ponoć jeden z tamtejszych pracowników nawiązał znajomość z człowiekiem, który wiedział o niezwykłych rzeczach.

Wszystkich sowieckich dyplomatów i oficerów KGB uczono, jak wyciągać z innych informacje tak, by

rozmówca nawet się nie zorientował. Tak naprawdę ogromna większość danych wywiadowczych pochodziła z całkiem niewinnych pogawędek. Ryzyko wykrycia było bardzo niskie, ponieważ nikt niczego nie podejrzewał. Ot, zwyczajna rozmowa pomiędzy przyjaciółmi i znajomymi. W języku angielskim funkcjonowało trafne powiedzenie z czasów drugiej wojny światowej, którego Zorin nauczył się w szkole zawodowej: „długi język może zatopić okręt”.

– Te rewelacje dotyczyły Kanady – oznajmił Kelly, po czym opowiedział Zorinowi o Towarzystwie Cyncynatów i czynionych przez Amerykę planach ataku na swojego północnego sąsiada.

– Rozpisano bardzo szczegółowy scenariusz – stwierdził Kelly. – Pierwotną wersję planu z 1812 roku napisał człowiek nazwiskiem Benjamin Tallmadge, który był amerykańskim szpiegiem podczas ich wojny o niepodległość. Druga wersja, już z dwudziestego wieku, została opracowana przez grupę członków towarzystwa mających doświadczenie w sztuce wojennej. Czytałem oba plany. To zadziwiające, jakie Ameryka miała zamiary względem Kanady. Informator Andropowa dowiedział się o tym i przekazał tę wiedzę dalej, razem z czymś innym, czymś jeszcze ważniejszym, co musiałem zweryfikować osobiście. To właśnie jest drugie posunięcie *Szkolnego mata*, o które pytałeś, Aleksandrze. To, które przynosi zwycięstwo w rozgrywce.

Zorin czuł narastającą ekscytację.

– Nawiązałem kontakt z tym samym członkiem towarzystwa, który wcześniej rozmawiał z pracownikiem naszej ambasady. Nazywał się Bradley Charon. Zostaliśmy przyjaciółmi. Fakt, że jego organizacja dwukrotnie tworzyła plany inwazji na Kanadę, stanowił pilnie strzeżony sekret. Wiedziało o tym tylko kilku członków. I szczerze mówiąc, dla nas to sprawa bez większego znaczenia. Ale ta druga informacja okazała się kluczowa. Pozostawało jednak jedno pytanie.

Zorin domyślił się jakie.

– Czy informacja była prawdziwa?

– Zgadza się. I wszystko się potwierdziło, Aleksandrze. Każdy szczegół.

– Słyszałem o tym towarzystwie. Były o nim wzmianki w starych aktach KGB. Znam też nazwisko Tallmadge. Przypisuje się mu dziennik, który znajdował się w posiadaniu towarzystwa. Dowiedziałem się, że Andropow interesował się tymi zapiskami, dlatego wywnioskowałem, że część twojej misji polegała na zdobyciu dziennika.

– Dobra robota. Masz rację.

– Tamten informator w naszej ambasadzie – ciągnął Zorin – doniósł Andropowowi o sekretnym pomieszczeniu w domu tego człowieka, Charona. Kilka dni temu wysłałem kogoś, żeby odnalazł ten pokój i sprawdził, czy właśnie tam nie znajduje się dziennik. Moja agentka jest na miejscu już niemal od tygodnia, w dalszym ciągu prowadzi poszukiwania. W którymś momencie będę musiał się z nią skontaktować.

– Wie już, gdzie został ukryty ten dziennik?

– Tego właśnie muszę się od niej dowiedzieć.

– Nie potrzebujemy dziennika, Aleksandrze. Znam dokładnie jego treść.

Dobrze to słyszeć.

– To właściwie dość niesamowite i w pewnym sensie ironiczne. Zapewniam cię, że to, co zapisano w dzienniku, może mieć katastrofalne skutki.

– Pod warunkiem – zauważył Zorin – że w pobliżu jest chociaż jeden sprawny ładunek RA-115.

– Mówisz, jakby to było niemożliwe.

– A tak nie jest?

– Sam się przekonasz za mniej więcej trzy godziny.

## **Streszczenie opcji działań militarnych na wypadek wojny z Kanadą Data: 4 czerwca 1903**

Latem 1898 roku Stany Zjednoczone stoczyły wojnę przeciwko Hiszpanii. Konflikt trwał zaledwie trzy i pół miesiąca i zakończył się zdecydowanym zwycięstwem Amerykanów. Wielka Brytania zachowała neutralność, ale w następstwie wojny zaczęła się stawać coraz bardziej nieufna wobec Stanów Zjednoczonych. Wzajemne relacje dodatkowo komplikuje kwestia własności i kontroli nad budowanym właśnie Kanałem Panamskim. Ameryka ewoluuje i zmienia się w globalną potęgę, także na morzu, a Wielka Brytania, która obecnie posiada największą armię i najsilniejszą marynarkę wojenną na świecie, obawia się z jej strony konkurencji.

Od kilkadziesiątu lat stosunki amerykańsko-kanadyjskie są napięte z powodu nierozwiązanego sporu granicznego w regionie północno-zachodnim. Odkrycie złóż złota w Yukonie tylko nasiliło ten narastający konflikt. Wielka Brytania dopiero co zakończyła kosztowną wojnę w Afryce Południowej i w chwili obecnej nie jest skłonna do udzielenia Kanadyjczykom dodatkowego wsparcia militarnego w trwającym sporze granicznym. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i Kanada wprowadziły swoje wojska na terytorium Yukonu.

Niniejszy poufny dokument powstał na zamówienie Departamentu Wojny i zawiera szczegółowy plan potencjalnej pełnowymiarowej inwazji na Kanadę. Amerykańskie plany podboju Kanady sięgają czasów wojny o niepodległość oraz wojny 1812 roku. Traktat paryski z 1783 roku respektował niezależność Kanady (wówczas znanej jeszcze jako Prowincja Quebec). W ostatnich latach zainteresowanie Ameryki północnym sąsiadem ponownie bardzo wzrosło. Wchłonięcie jego terytorium bez użycia siły byłoby z pewnością preferowanym rozwiązaniem, ale Kanada jest uważana za wartościową część składową Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a zatem Wielka Brytania stanęłaby w jej obronie. To kraj o drugim największym potencjale produkcyjnym w całym brytyjskim imperium, a Ontario i Quebec to jego najważniejsze ośrodki przemysłowe. W miarę jak stosunki brytyjsko-amerykańskie stają się coraz bardziej napięte, Kanada zyskuje na znaczeniu pod względem strategicznym jako czynnik kluczowy dla amerykańskiego



bezpieczeństwa narodowego. Niedawne zamorskie sukcesy militarne oraz zdobycie nowych terytoriów na Pacyfiku i Karaibach odnowiły także zainteresowanie koncepcją amerykańskiej ekspansji w kierunku północnym.

Na kolejnych stronach znajduje się szczegółowa analiza, która zawiera wszelkie istotne dane dotyczące potencjalnej operacji zbrojnej przeciwko Kanadzie. Oto krótkie streszczenie proponowanego planu:

1. Atak uprzedzający na Bermudy w celu wyeliminowania możliwości wykorzystania wyspy jako portu lub bazy zaopatrzeniowej dla Królewskiej Marynarki Wojennej.
2. Zdobycie Halifaksu. Obrona portu w Halifaksie została ostatnio wzmocniona, ale jego uzbrojenie nadal pozostaje przestarzałe. Po wyeliminowaniu Bermudów Halifax stanie się głównym portem docelowym dla wszelkich brytyjskich posiłków. Rekonesans na terenie portu (przeprowadzony w przygotowaniu do niniejszej analizy) wykazał, że sama stocznia to miejsce pełne rdzy i duchów, niezdolne do podtrzymania długoterminowej operacji militarnej. Tę sytuację da się jednak naprawić, dlatego port powinien zostać zdobyty.
3. Przejęcie portów od strony zachodniej. Tu celem jest odcięcie komunikacji ze wschodnią częścią Kanady oraz uniemożliwienie przysyłania posiłków z Australii, Nowej Zelandii i Indii. Opisywany wyżej przypadek zaniedbanego portu w Halifaksie ma swój odpowiednik na zachodnim wybrzeżu Kanady - jest nim Esquimalt, gdzie amerykańskie siły lądowe mogłyby z łatwością zostać wysadzone na brzeg. Kolejny bezpośredni rekonesans ujawnił, że ta była brytyjska, a dziś kanadyjska baza jest słabo wyposażona i niedostatecznie obsadzona załogą, a jej basen portowy znajduje się obecnie w fatalnym stanie.
4. Pozostałe porty zdolne przyjmować jednostki oceaniczne, czyli Yarmouth, St. John, Montreal, Quebec, Prince Rupert, Vancouver, Victoria, Churchill, Three Rivers, Windsor i New Westminster także zostałyby albo przechwycone, albo obłożone blokadą.
5. Pierwsze natarcie wojsk lądowych odcięłoby całą komunikację kolejową. Jeden front utworzono by w Maine, drugi w Montanie, a trzeci, na którym znalazłyby się główne siły, w rejonie Wielkich Jezior, gdzie zostałyby opanowane kanały na rzece Świętego Wawrzyńca.
6. Przejęcie kontroli nad Wielkimi Jeziorami oraz rzeką Świętego Wawrzyńca ma kluczowe znaczenie, ale most na rzece Cornwall oferuje najszybszy sposób na przerzucenie wojsk i sprzętu przez granicę.

7. Północna linia kolejowa łącząca Quebec z zachodnim wybrzeżem musi zostać przejęta. W skład tej trasy wchodzi także oceaniczny terminal w porcie Prince Rupert. Z wojskowego punktu widzenia kolej ta zapewni doskonały transport. Po jej przechwyceniu kanadyjscy farmerzy, których gospodarstwa mieszczą się na prerii wzdłuż torów, stracą możliwość wywożenia swoich plonów, dzięki czemu mogą dać się nakłonić do handlowania wyłącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Wywoła to braki żywności na skalę krajową, które sparaliżują kanadyjską gospodarkę.

8. Należy bezsprzecznie opanować główne drogi. Choć ogromne połączenie kraju, zwłaszcza w jego północnej części, mają bardzo słabo rozwiniętą lub wręcz nieistniejącą sieć drogową, nie dotyczy to regionów południowych. Istnieje tam około 150 000 kilometrów dróg, w większości klasyfikowanych jako żwirowe, tłuczniowe lub betonowe. Drogi o nawierzchni żwirowej będą wymagały intensywnej konserwacji, zwłaszcza w okresie wiosennym.

Pełen plan przewiduje możliwą kontrofensywę, na którą składałoby się wkroczenie wojsk kanadyjskich i brytyjskich do Nowej Anglii, jak również inne operacje na terenie Michigan i Pensylwanii oraz na Pacyfiku. Celem byłoby bowiem wyprowadzenie ataku na wielu frontach. Najskuteczniejszą odpowiedzią na te posunięcia wydaje się wciągnięcie kanadyjskich i/lub brytyjskich sił w głąb amerykańskiego terytorium, aby rozciągnąć ich trasy zaopatrzeniowe, wydłużyć linie komunikacyjne oraz odizolować je od reszty ich wojsk.

Jednakże naszym zdaniem Kanada najprawdopodobniej przyjęłaby jedynie postawę defensywną, analogicznie do tego, co miało miejsce podczas amerykańskich inwazji zarówno w 1775, jak i 1812 roku, kiedy lokalni patrioci prowadzili efektywną wojnę partyzancką. Miasta Montreal i Quebec byłyby z pewnością dobrze bronione, zapewne przez stałą armię kanadyjską, podczas gdy brytyjska marynarka atakowałaby amerykańskie statki handlowe na Atlantyku. Ta taktyka także została wykorzystana podczas konfliktu w 1812 roku. Amerykańska marynarka znajduje się dziś jednak na zupełnie innym poziomie niż we wczesnym XIX wieku. Nasza flota jest w pełni przygotowana do konfrontacji z siłami brytyjskimi.

Szacuje się, że Kanada byłaby w stanie bronić się skutecznie jedynie przez kilka tygodni. Wszelkie siły zbrojne wysłane do pomocy z Wielkiej Brytanii zdołałyby bronić określonych pozycji przez pewien czas, ale ostatecznie zostałyby pokonane dzięki przytłaczającej przewadze liczebnej. Nawet gdyby Królewska Marynarka Wojenna uzyskała dominującą pozycję na morzu, wojna

zostałaby przegrana na lądzie. Kanadyjczycy najprawdopodobniej skoncentrowaliby się na obronie Halifaxu i linii Montreal-Quebec, aby utrzymać swoje obecne bazy operacyjne.

Podsumowując, naszym zdaniem reakcja zbrojna ze strony Kanady byłaby bardzo ograniczona. Trzeba zaznaczyć, że podczas naszych wizji lokalnych (kiedy udawaliśmy zwykłych turystów) francuskojęzyczni Kanadyjczycy lubowali się w przechwałkach w rodzaju: „Pokonaliśmy Amerykanów w przeszłości, pokonamy ich ponownie”. Mimo to napotkany przez nas brytyjski oficer przyznał, że obrona Kanady byłaby trudniejsza niż obrona Indii.

## ROZDZIAŁ 62

Luke przeczytał skróconą wersję planu inwazji, a następnie przekartkował strony gęsto zapisane faktami i liczbami przytoczonymi na poparcie proponowanej taktyki. Sue wzięła od niego streszczenie i również wczytywała się w nie teraz z wielką uwagą.

– To były inne czasy – powiedział Begyn. – Upowszechniła się doktryna Boskiego Przeznaczenia. Opanowaliśmy Kubę, Portoryko i Filipiny. Reszta świata postrzegała nas jako raczkujące imperium. Działo się to w epoce Teddy’ego Roosevelta, kiedy stale napinaliśmy mięśnie na międzynarodowej arenie.

W takich chwilach Luke żałował, że nie uczył się pilniej historii. Wiedział o większości zjawisk, do których odnosił się Begyn, ale nie znał szczegółów.

– Jak doszło do opracowania tego planu przez towarzystwo?

– Proszę zwrócić uwagę na datę: 1903. W tamtym czasie działał już Army War College, ale pierwszy rocznik studentów zaczął się tam uczyć dopiero w 1904 roku. Zatem nie istniało jeszcze miejsce, w którym Stany Zjednoczone przygotowywały plany swoich wojen czy to prawdziwych, czy wymaginyowanych. Nikt nie rozważał różnych scenariuszy, nie analizował możliwych komplikacji. Teddy Roosevelt popierał nasze towarzystwo. Zależało mu, żeby ktoś opracował plan w sekrecie, bez ściągania na siebie uwagi. My byliśmy w stanie mu to zapewnić.

– To tyle, jeśli chodzi o wizerunek spokojnego, dobroczynnego stowarzyszenia.

Sue skończyła czytać.

– Brzmi to tak, jakby naprawdę zamierzali to zrobić.

– Dwudziestego pierwszego maja 1916 roku eksperci z Army War College przedłożyli swój własny plan inwazji na Kanadę. Powtórzyli w nim wiele koncepcji zawartych w tym oryginalnym raporcie. Pomiędzy 1903 a 1916 rokiem Stany Zjednoczone wydały siedemdziesiąt jeden milionów dolarów, jak na tamte czasy ogromne pieniądze, na budowę systemu umocnień wzdłuż wybrzeży Pacyfiku i Atlantyku, co również uczyniono za radą naszego towarzystwa. Raport z 1916 roku powstał w reakcji na zacieśnienie relacji angielsko-japońskich. Zastanawiano się, na co Brytyjczycy pozwolą Japończykom w Kanadzie. Duża część z tych spekulacji nosiła znamiona paranoi, ale właśnie w takie paranoje ludzie byli skłonni wierzyć w tamtych czasach.

– Ale wszystko zmieniała pierwsza wojna światowa, prawda? – zapytała Sue.

– Zgadza się. Kanada nie była już zagrożeniem czy trofeum do zdobycia, stała się sprzymierzeńcem. Mieliśmy wspólnego wroga w postaci Niemców. Ale jest jeszcze coś, o czym musi pan wiedzieć.

Begyn wyjaśnił, że w latach trzydziestych War College po raz kolejny zwrócił swą uwagę na Kanadę. W maju 1930 roku zatwierdzono tzw. Plan czerwony, pod wieloma względami podobny do tego, co proponowano wiele lat wcześniej. Choć trudno w to uwierzyć, w 1934 roku do planu wniesiono poprawkę sankcjonującą użycie przeciwko Kanadyjczykom trującego gazu oraz strategiczne bombardowanie Halifaksu w przypadku, gdyby portu nie udało się zdobyć siłom lądowym.

– Następnie – ciągnął Begyn – w lutym 1935 roku Departament Wojny nakłonił Kongres do wyasygnowania pięćdziesięciu siedmiu milionów dolarów na budowę trzech granicznych baz lotniczych, z których dałoby się wyprowadzić atak wyprzedzający na kanadyjskie lotniska. Baza zlokalizowana w regionie Wielkich Jezior miała zostać zamaskowana jako lotnisko cywilne, zdolne jednak uderzyć w przemysłowe serce Kanady i w Półwysep Ontario. To nie moje słowa. Przeczytałem je w protokole

z zebrania komisji Kongresu do spraw wojskowych z 1935 roku. Te ustalenia miały pozostać tajemnicą, ale przez pomyłkę zostały opublikowane.

– Nigdy o tym nie słyszałem – przyznał Luke.

– To dlatego, że do 1974 roku te protokoły były ściśle tajne. Podczas tamtego posiedzenia komisji pojawiła się wzmianka o naszym towarzystwie, ponieważ omawiano nasz raport z 1903 roku. Ja otrzymałem wtedy zadanie przejrzenia wszystkich odtajnionych materiałów, aby sprawdzić, czy nie znajduje się w nich nic, co mogłoby nam przysporzyć kłopotów.

– Zdaje pan sobie sprawę – wtrącił Luke – że War College przeprowadza wiele czysto hipotetycznych analiz, z których większość nigdy nie ma zostać wprowadzona w życie.

– W sierpniu 1935 roku – kontynuował niezrażony gospodarz – miały miejsce największe w dotychczasowej historii kraju manewry wojskowe w okresie pokoju. Na granicy z Kanadą, na południe od Ottawy, zgromadziło się trzydzieści sześć tysięcy żołnierzy, a kolejne piętnaście tysięcy trzymano w rezerwie w Pensylwanii. Oficjalnie ogłoszono, że to ćwiczebna gra wojenna, inscenizowana inwazja zmotoryzowanych wojsk na Kanadę.

– I pewnie właśnie tak było – rzucił Luke.

– Otóż nie. Ta gra wojenna stała się operacyjną podstawą dla finalnego planu wojny z Kanadą. Kiedy w 1940 roku Niemcy zajęły Francję, naszą politykę izolacjonizmu diabli wzięli. W sierpniu Roosevelt zawarł z Kanadą pakt obronny. Gdyby Hitler jesienią 1940 roku pokonał Wielką Brytanię, jego pierwszym posunięciem w Ameryce Północnej byłby właśnie najazd na Kanadę. Naszym celem stała się zatem obrona Kanady poprzez jej okupację. Strategia z 1903 roku została połączona z planem stworzonym przez War College i innymi koncepcjami, dzięki czemu przygotowano ostatnią dyrektywę operacyjną, której również nadano kryptonim *Czternasta kolonia*. To interesujące, że powrócono do określenia ukutego przez nasze towarzystwo w czasach wojny 1812 roku, ale symbolika tej nazwy i kryjąca się za nią intencja jest niezaprzeczalna. Tamten plan pozostaje tajny po dziś dzień. Rozmawiałem jednak z jednym z naszych najstarszych członków, który brał udział w jego opracowaniu. Idea była prosta: kiedy już wkroczymy do Kanady, żeby jej bronić, zostaniemy tam na stałe.

Za oknami zapadł zmrok. Wiatr ustał i zrobiło się znacznie spokojniej. Nawet Sue jakby się wyciszyła. Siedziała przy stole jak posłuszna córka, zachowując swoje myśli dla siebie. Zazwyczaj kobiety, które otaczały Luke'a, były zupełnie inne. Śmiałe, głośne, agresywne. Prawdę mówiąc, to właśnie w nich lubił, ale trzeba przyznać, że i te z natury milczące miały coś w sobie. Zwłaszcza takie, które potrafiły o siebie zadbać tak dobrze jak ta atrakcyjna żołnierka z piechoty rzecznej.

– Zawsze jesteś taka skupiona? – zapytał.

– Z zamkniętymi ustami można się znacznie więcej nauczyć.

Zaśmiał się pod nosem.

– Tej nauki nigdy nie wzięłem sobie do serca.

Dochodziła ósma wieczorem, a Luke cały dzień nie zgłosił się do Stephanie. Powinien sprawdzić, co się dzieje w Waszyngtonie. Ale najpierw musiał dowiedzieć się jeszcze jednego.

– Co to wszystko ma wspólnego z Bradem Charonem i jego długim językiem?

– W tym właśnie sęk – odparł Begyn. – Brad wiedział o tych sprawach, kiedy służył jako strażnik tajemnic. Udostępnił te materiały tamtym dwóm ludziom, sowieckiemu dyplomacie i Amerykaninowi. I jeszcze coś.

Teraz zrozumiał.

– Dziennik Tallmadge'a.

– Właśnie – Begyn pokiwał głową. – I może mi pan wierzyć lub nie, ale ja nie wiem, co w nim jest. Brad nikomu go nie pokazywał.

A jednak wiedzieli o nim i Sowietci, i później Rosjanie, i nawet Anja Pietrowa.

Begyn odchylił się w krześle.

– Brad uważał, że trzymanie tych rzeczy w sekrecie jest śmieszne. Przecież to starożytna historia, mawiał. Nigdy chyba w pełni nie pojął, że dla nas te sprawy są nie tylko ważne, ale także wolimy, żeby zostały między nami. Wiem co nieco o tym dzienniku. Tallmadge kierował pracą nad oryginalnym planem *Czternastej kolonii* z 1812 roku. Nadzorował także inne zlecenia, jakie wykonywaliśmy dla rządu we wczesnym dziewiętnastym wieku. Wszystko skrzętnie odnotowywał w dzienniku. Kiedy Brad został wydalony, dziennika nie znaleziono w archiwach. Zapytany o to wprost nie przyznał się, że kiedykolwiek go miał. Ale kłamał.

– Po co go sobie zachował? – zapytała Sue.

– Taki był Brad. W ten sposób chciał się nam odpłacić. Jak zauważyłem, sytuacja zrobiła się trudna. Postanowiliśmy machnąć na to ręką, żeby nie wszczynać wojny. Po jego śmierci myśleliśmy o tym, żeby odzyskać dziennik, ale uniemożliwił nam to spór o spadek. Fritz Strobl powiedział mi, że pan odkrył tajne archiwum w domu Brada. Wiedzieliśmy o jego istnieniu. Brad obiecał kiedyś, że zostawi te książki towarzystwu, ale to było, zanim zaczęliśmy mieć z nim kłopoty. Ten tajny zbiór nie wchodził w skład jego głównej biblioteki, którą otrzymaliśmy od niego w darze, więc założyliśmy, że zmienił zdanie. Nie podjęliśmy żadnej próby odzyskania tych książek. Rozumiem jednak, że pańska przełożona obiecała nam w tym pomóc.

Teraz mogło się to okazać trudniejsze, niż się wcześniej wydawało, skoro Stephanie Nelle straciła pracę, a jej ostatni sprzymierzeniec już niedługo przestanie być prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Luke próbował sobie poukładać w głowie wszystko, czego dowiedział się do tej pory.

Towarzystwo Cyncynatów było zaangażowane w stworzenie wczesnej wersji planu inwazji na Kanadę, który został następnie rozbudowany w trakcie drugiej wojny światowej. *Czternasta kolonia*. Nigdy nic z tego nie wynikło, poza zainteresowaniem Sowietów pod koniec lat siedemdziesiątych. Potem, w latach osiemdziesiątych, rzucił na to okiem jeszcze jakiś Amerykanin i oba te incydenty doprowadziły do usunięcia z towarzystwa człowieka pełniącego funkcję strażnika tajemnic. Ten sam człowiek miał w posiadaniu stary dziennik niejakiego Tallmadge'a, zawierający być może opis innych potajemnych działań towarzystwa we wczesnym okresie istnienia Stanów Zjednoczonych. Jak zauważył sam Charon, te materiały to już dziś wyłącznie źródła historyczne. A może wcale nie? Anja Pietrowa przyjechała do Ameryki specjalnie po to, żeby odnaleźć dziennik, i w tym celu udała się prosto do posiadłości Charona i włamała do ukrytego pokoju.

Nie znalazła tam tego, czego szukała. Dlatego w następnej kolejności trafiła do Petera Hedlunda. A to z kolei doprowadziło Luke'a do Lawrence'a Begyna.

Wstał od stołu i podszedł do jednego z okien. Reflektory zamontowane na okapie dachu rzucały fioletowe cienie na spadający z nieba śnieg.

– Powiedziałaś, że ci ludzie, którzy włamali się do domu, zanim ich zabiłaś, mówili o dzienniku Tallmadge'a – odezwał się do Sue.

– Tak było.

A to oznaczało, że Moskwa również znała ten rzekomy sekret.

– Wiem na pewno, że dziennik nie znajdował się w sekretnym pomieszczeniu w domu Charona – oznajmił Luke.

– Ale nadal może być gdzieś na terenie posiadłości – odparł Begyn.

– Dlaczego pan tak twierdzi?

– Bo znam Brada.

Luke widział to w oczach starszego mężczyzny.

- Pan wie, gdzie on jest, prawda?
- Tak myślę. Brad miał jeszcze jedną tajną kryjówkę.

## ROZDZIAŁ 63

Malone i Cassiopeia opuścili Biały Dom ponad godzinę temu. Ruszyli na zachód do Wirginii, w kierunku Front Royal, a następnie zjechali z autostrady numer 66 i odbili na północ. Jechali teraz po wiejskich drogach Warren County, bo właśnie w tej okolicy zatrzymał się wynajęty samochód Zorina, przez cały czas śledzony za pomocą GPS-u przez Secret Service. Lepszy byłby oczywiście dron z kamerą noktowizyjną, ale pogoda czyniła takie rozwiązanie praktycznie niemożliwym. Zerwała się burza, śnieg kleił się do przedniej szyby, snopy światła z reflektorów, nadające złoty blask sypiącym się z nieba płatkom, niknęły w całkowitych ciemnościach.

– Zapowiada się paskudna noc – powiedziała Cassiopeia, siedząc na miejscu pasażera.

Malone nie mógł przestać myśleć o spotkaniu z nowym prezydentem. Warner Fox na pewno nie jest idiotą – w końcu udało mu się zostać wybranym na najpotężniejsze stanowisko polityczne na świecie. Nie chcąc wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, zanim nie zyskają pewności, wykazał się rozsądkiem, ale już to, że kategorycznie nie zgadzał się nawet na zmianę miejsca zaprzysiężenia wiceprezydenta, świadczyło raczej o małostkowości, arogancji albo zwykłej głupocie.

Ciężko stwierdzić.

Daniels i Stephanie gruntownie naświetlili im sytuację, a chwilę później przyszło powiadomienie od Secret Service, że Zorin i Kelly zjechali z autostrady międzystanowej numer 95 na zachód i wjechali do Wirginii drogą numer 66. To było przed godziną. Teraz Malone i Cassiopeia zmierzali na spotkanie z agentami, którzy przez większość dnia jechali za Zorinem.

– To się musi zakończyć tutaj – odezwał się Malone. – Gdzie mamy wszystko pod kontrolą.

To była ich największa przewaga. Zorin nie ma pojęcia, że ktoś ich obserwuje, zwłaszcza ten Amerykanin, który powinien przecież leżeć martwy gdzieś nad Bajkałem.

Oboje zdążyli coś przegryźć i wskoczyć pod prysznic. Malone zaczynał już czuć się nieco zapuszczony, więc skorzystał z okazji i szybko się ogolił. Cassiopeia również wyglądała na odświeżoną. Wszystko dzięki gościnności Białego Domu. Cieszył się, że przynajmniej są tu razem i pracują ramię w ramię.

– Oboje tak samo wolimy odsuwać od siebie uczucia – powiedziała.

Wiedział, że ma rację.

– Może wprowadzimy nową zasadę: żadnego ściemniania. Od tej pory ty i ja jesteśmy ze sobą szczerzy. W porządku?

To mu się podobało.

– Umowa stoi.

– Dobrze. Ja zacznę. W ciągu ostatniej doby spędziłam tyle czasu, gnieźdząc się w ponaddźwiękowych samolotach, że starczy mi za całe życie.

Uśmiechnął się.

– Nie było tak źle.

– A gdyby odwrócić sytuację i to ty siedziałbyś uwięziony pod ziemią, w małej klitce, gdzie nie mógłbyś się nawet poruszyć?

Malone wzdrygnął się na samą myśl.

Każdy ma swoje lęki. On sam mógł znieść niemal wszystko, z wyjątkiem tego, co właśnie opisała. Często nawiedzał go sen, w którym siedział w miejscu bez wyjścia, otoczony ze wszystkich stron twardą ziemią. Im ciaśniejsza pułapka, tym gorszy koszmar.



Raz we śnie znalazł się nawet w zamkniętej skrzyni, w której nie mógł stanąć ani się rozciągnąć i ledwo był w stanie oddychać. Jak dotąd jego podświadomość nie zaserwowała mu nic gorszego. Na szczęście był sam tamtej nocy, kiedy obudził się zlany zimnym potem. Rzadko rozmawiał z kimkolwiek o swojej fobii, ponieważ wołał w ogóle jak najmniej o niej myśleć. Od czasu do czasu zdarzało mu się znaleźć w zamkniętej przestrzeni, ale jeszcze nigdy nie spełnił się ekstremalny scenariusz, w którym byłby całkowicie uwięziony, bez żadnego pola manewru. Nigdy nie powiedział Stephanie o swojej przypadłości, a od agentów Magellan Billet na szczęście nie wymagano poddawania się rozbudowanym testom psychologicznym. Stephanie nigdy nie widziała takiej potrzeby; bardziej ufała własnemu osądowi.

– Umiesz od razu przejść do sedna – powiedział.

– Teraz rozumiesz, o czym mówię?

– Tak jest, proszę pani. Rozumiem.

– Nie mówiłam ci tego wcześniej, ale kiedy przejąłeś stery w tym myśliwcu i zanurkowałeś, żeby pozwolić Zorinowi uciec, Rosjanie zaciekle dyskutowali przez radio, co z nami zrobić. Nasi piloci chcieli nas oboje katapultować.

– A co ich powstrzymało?

– Rozkaz z ziemi. Kazano im dostarczyć nas do celu i udawać, że to, co się stało, nie zrobiło na nich żadnego wrażenia.

– Więc ta frakcja w rządzie już wtedy o wszystkim decydowała.

– Na to wygląda. Wiedzieli dokładnie, gdzie mieszka ten cały Kelly. A kiedy się zorientowali, dokąd zmierza Zorin, też pojechali prosto za nim.

Teraz zaś dzięki Stephanie i jej nowemu przyjacielowi, Ishmaelowi, Malone wiedział, że celem było zabicie Zorina i wzięcie Kelly'ego żywcem, żeby mógł ich zaprowadzić do składu broni.

– To, że ponieśli porażkę w Kanadzie – powiedział – nie znaczy, że nie pojawią się tutaj.

– Założę się, że wiedzą o tajnym składzie broni gdzieś w okolicy, może nawet o więcej niż jednym. Mogą nawet wiedzieć, na jakich posesjach ukryto broń, ale niekoniecznie, w którym dokładnie miejscu. Minęło wiele lat, odkąd uznano te lokalizacje za użyteczne. Nie wspominając o zainstalowaniu jakichkolwiek pułapek.

– Czyli myślisz, że mogą mieć te miejsca pod obserwacją?

– To chyba sensowne założenie.

Zgodził się z tym. Musieli więc być wyjątkowo czujni.

– Atakowanie inauguracji nowego prezydenta – kontynuowała – zakrawa na szaleństwo. Nawet najwięksi radykałowie nie byłiby chyba aż tak głupi. Nasze służby rozniosłyby ich na strzępy. Mądrzejszym posunięciem z ich strony byłoby utrzymać to nadal w tajemnicy i zachować bomby na przyszłość.

Malone ujrzał przed sobą restaurację McDonald's, do której ich skierowano, i wjechał na parking. W środku, z kubkami parującej kawy, czekali dwaj agenci Secret Service, ubrani, jakby za chwilę wybierali się na zimowe polowanie.

– Samochód zatrzymał się kilka minut temu – zakomunikował jeden z nich. – Jakieś piętnaście kilometrów stąd.

– Nie ma tu nikogo więcej? – upewnił się Malone.

– Zgodnie z prośbą. Tylko nasza czwórka.

Malone nie chciał dopuścić do sytuacji, w której zjechaliby się tu wszyscy stróże prawa i funkcjonariusze służb wywiadowczych w promieniu setek kilometrów, a wiedział, że każdy z nich chętnie przypisałby sobie powstrzymanie zagrożenia. Takie zachowanie natychmiast spłoszyłoby Zorina.

Tu nie chodziło o uznanie, tylko o efekt.

– Śledziliśmy ich od Pensylwanii – powiedział agent. – Zatrzymali się raz, w sklepie Target w stanie Maryland. Kiedy odjechali, wysłaliśmy tam ludzi. Z nagrań monitoringu i rachunków w kasie wiemy, że kupili łopatę, dwuręczny młot, dwie latarki, szczypce do metalu, skobel i pięć superwytrzymałych baterii sześciowoltowych.

Interesująca lista. Malone zwrócił uwagę na ostatnią pozycję. Edwin Davis opowiedział im trochę o bombach RA-115. Potrzebowały zasilania, żeby dało się je przenosić z miejsca na miejsce. Zorin był odpowiednio przygotowany.

– W Dulles mamy śmigłowiec w gotowości. Może tu być za chwilę – dorzucił drugi z agentów.

– Na razie niech tam czeka. W taką pogodę i tak na niewiele się zda.

– Wy dwoje zamierzacie sami się tym zająć? – zapytał z niedowierzaniem ten sam agent.

– Taki jest plan. Nie będziemy niepotrzebnie kombinować. Chcemy, żeby doprowadzili nas do celu swojej wyprawy, a potem ich dopadniemy. O ile to możliwe, weźmiemy ich żywych, ponieważ mamy dużo pytań.

– Czego dokładnie szukamy?

Im mniej ludzi wiedziało o wszystkim, tym lepiej, zwłaszcza biorąc pod uwagę panikę, jaką mogłaby wywołać w społeczeństwie taka informacja. Obce bomby jądrowe na amerykańskiej ziemi? Trudno sobie wyobrazić gorsze wiadomości.

Dlatego Malone puścił to pytanie mimo uszu.

– Mówcie, gdzie jest Zorin.

## ROZDZIAŁ 64

Zorin siedział w zaparkowanym samochodzie, wsłuchując się w bębnienie deszczu i śniegu o dach. Część przedniej szyby była już pokryta cienką warstwą lodu, po którym głośno skrobały wycieraczki. Miał wielką ochotę rozprostować nogi po długiej jeździe, ale czekał, aż Kelly podejmie jakąś decyzję. Od chwili, gdy tu stanęli, Kelly studiował mapę, którą przywiózł ze sobą w torbie podróżnej. Zorin dobrze się czuł w tych warunkach. Żadnych nowoczesnych gadżetów, żadnej elektroniki. Nic, co mogłoby naprowadzić na nich ewentualny pościg. Tylko sprawdzone metody szpiegowskiego rzemiosła, te, na których zbudował niegdyś swoją reputację.

– Na co czekamy? – zapytał.

– Robisz się niecierpliwy na starość.

– Pogoda się pogarsza.

– Tym lepiej dla nas – Kelly złożył mapę. – Kiedy człowiek od Cofniętego piona dał mi znać, że broń przyjechała na miejsce, nie byłem jeszcze całkiem gotowy, chociaż powiedziałem mu, że jestem. Wymaganiom postawionym przez Andropowa trudno było sprostać. Według otrzymanych rozkazów miałem wszystko przygotować na prezydencką inaugurację w 1985 roku. Ale Andropow zmarł rok wcześniej, a po jego śmierci sprawa ucichła. Trzy lata później, w 1988 roku, niespodziewanie otrzymałem komunikat, że bomby są na terenie Ameryki. Byłem zdumiony, że operacja nadal posuwa się do przodu. Musiałem się niezłe pospieszyć, żeby na czas dokończyć swoją część planu.

– Może wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Andropow żył dłużej.

Kelly pokręcił głową.

– Wtedy i tak chwila nie była odpowiednia.

– Dlaczego tak mówisz? – Zorin nie rozumiał podejścia towarzysza.

– Reakcja świata byłaby jednomyślna i miażdżąca dla nas. Zamierzaliśmy przecież zabić amerykańskiego prezydenta i zdetonować w Waszyngtonie bombę jądrową. Nasi przywódcy znacznie przeceniali swoją pozycję i możliwości. Nie zdołaliby pokonać całego świata.

Zorin nie chciał znowu słuchać o ich dawnych słabościach.

– Historia to potwierdziła, Aleksandrze. Pod koniec lat osiemdziesiątych Związek Radziecki miał się już ku końcowi. Jedynie kwestią czasu było, kiedy nastąpi ostateczny upadek, co stało się wreszcie w 1991 roku.

Zorin dostrzegł jeszcze jedną różnicę pomiędzy tamtymi czasami a obecnymi.

– Tym razem jesteśmy tylko ty i ja. Nie będzie odwetu, ponieważ nie ma przeciwko komu brać odwetu. Osiągniemy cel zamierzony przez Andropowa, ale bez jakichkolwiek globalnych reperkusji.

– Otóż to. Teraz warunki są idealne. Tak jak ty bardzo długo o tym rozmyślałem, nigdy nie podejmując żadnych działań. Tylko się zastanawiałem. Stany Zjednoczone wyszły z zimnej wojny jako dominująca globalna potęga i przez ostatnie trzydzieści lat zmieniły się w aroganckie monstrum. Wreszcie pokażemy Ameryce, gdzie jest jej miejsce. Pamiętasz przysięgę, którą składaliśmy na początku służby w KGB?

Jak przez mgłę. To było tak dawno temu.

Kelly wyciągnął portfel, a ze środka wydobyl poźółkły, pomarszczony skrawek papieru. Widać było, że nosił go przy sobie przez wiele lat.

W słabym świetle lampki samochodowej Zorin przeczytał wydrukowane na karteczce słowa.

Była tam mowa o powinnościach sowieckiego obywatela i o zasilaniu szeregów czerwonej armii

robotniczo-chłopskiej, o byciu uczciwym, dzielnym, zdyscyplinowanym i czujnym żołnierzem, który stoi na straży sekretów i posłusznie wykonuje wszystkie rozkazy.

Potem zaczynał się ważniejszy fragment.

Trzeba być gotowym, by stanąć w obronie ojczyzny. Bronić jej umiejętnie, z odwagą i honorem, nie szzczędząc krwi i, gdy trzeba, oddając życie w imię zwycięstwa.

Ostatnie zdanie na kartce brzmiało: „Jeżeli w złej wierze złamię tę uroczystą przysięgę, niechaj spadnie na mnie surowa kara sowieckiego prawa oraz powszechna nienawiść i pogarda ludu pracującego”.

Jego towarzysz wyciągnął do niego rękę, którą Zorin skwapliwie uścisnął. Nagle znów rozpierała go duma, a dawno utracone poczucie obowiązku i celu powróciło ze zdwojoną siłą. Przez wiele lat żył w strachu i izolacji, co pozbawiło go wszystkich sił, zostawiając jedynie ślepe pragnienie podjęcia jakiegokolwiek działania.

Tak samo było z Kellym.

Ale teraz znów znalazł się na swoim miejscu, znów pracował na szkodę swojego naczelnego wroga. Znów służył ojczyźnie, wypełniając daną przed laty przysięgę. Tak wielu ludzi poświęciło się bez reszty tej walce. Kolejne dziesiątki milionów oddało za nią życie.

Ich ofiara nie mogła pójść na marne.

W myślach słyszał słowa swojej żony.

*Nie marnuj swojego życia.*

– Dokonamy tego wspólnie – powiedział do Kelly’ego.

– Tak będzie, towarzyszu.

Cassiopeia zawsze uważała się za osobę niezależną. Rodzice wychowali ją na silną kobietę. Ale jakaś część jej osobowości czuła się bezpiecznie i komfortowo przy Cottonie.

Czy to oznaka słabości?

Nie dla niej.

W Kanadzie uratowała mu życie, tak jak on wiele razy ocalił ją w przeszłości. Zaufanie to element, którego boleśnie brakowało w jej poprzednich związkach. Zakładała, że podobnie przedstawiała się sprawa z Cottonem i jego ekszoną, która ponoć była kiedyś dość trudna w obejściu, choć z czasem znacznie złagodniała. Miała nadzieję, że któregoś dnia uda jej się poznać tę kobietę. Na pewno miałyby o czym rozmawiać; Cassiopeia chciałaby zwłaszcza dowiedzieć się więcej o przeszłości Cottona, ponieważ on sam nie mówił na ten temat zbyt wiele.

Spotkanie ze Stephanie Nelle w Białym Domu nie było dla niej łatwe, ale z nią także w końcu zawarła pokój. Na szczęście ich konflikt nie zdążył się przerodzić w otwartą wrogość. Nie mogły sobie pozwolić na to, by pamięć o wydarzeniach, których nie da się już zmienić, wpływała na jasność ich myślenia. Działo się zbyt wiele ważnych rzeczy.

Co minione, to minione. Liczy się tylko to, co jest teraz.

Cassiopeia lubiła myśleć, że jest zawodowcem. Niewątpliwie mogła się pochwalić sporym doświadczeniem. Jadąc razem z Cottonem w mroczną głąb Wirginii, zastanawiała się, co ich czeka.

Sukces? Czy porażka?

Tak to już jest, gdy gra się w karty z losem.

Zawsze ma się najwyżej pięćdziesiąt procent szans na zwycięstwo.

Zorin czuł na twarzy wodniste płatki śniegu, które szybko topniały mu na skórze. Wszystko po tej stronie Oceanu Atlantyckiego wydawało się znacznie bardziej mokre. Był przyzwyczajony do suchej odmiany

śniegu, który zasypywał Syberię od połowy września do początku maja. Lato niechętnie zaszczycalo okolice Bajkału i Zorin zawsze cenił sobie tych kilka tygodni krótkotrwałego ciepła w ciągu roku.

Nie cierpiał poczucia, że się starzeje, ale nie był w stanie ignorować ani w żaden sposób zamaskować sygnałów, jakie zaczynało mu dawać jego własne ciało. Skok ze spadochronem ogromnie dużo go kosztował. Na szczęście nie będzie musiał tego powtarzać. Przez tak długi czas isierki jego ambicji ledwie skrzyły się w ciemnościach. W ciągu ostatnich kilku dni ponownie rozbłysły jasnym płomieniem i postanowił, że już nigdy nie pozwoli im zagasnąć.

Mimo to nie mógł się wyzbyć swoich wątpliwości.

Skłonność do refleksji to kolejna rzecz, która przychodzi z wiekiem.

Idąc ramię w ramię z Kellym, przeszedł przez hałdę rozsypanych dachówek, z niemałym trudem stawiając kolejne kroki. Miał na sobie płaszcz i rękawiczki, a w ręku trzymał kupioną po drodze łopatę. Stąpał ostrożnie, wiedząc, że potknięcie się w takim miejscu grozi poważną kontuzją. Kelly niósł torbę, w której miał parę innych przedmiotów ze sklepu. Młot, szczypcy do cięcia metalu i skobel zostawili w samochodzie. Najwyraźniej nie były im teraz potrzebne. Obaj trzymali też w rękach latarki.

– Kupiłem tę posesję dawno temu – wyjaśnił Kelly. – Wtedy była naprawdę odosobniona, w promieniu kilometrów nie było zupełnie nic. Okolice nadal jest wyludniona, ale już nie tak jak w latach osiemdziesiątych.

Po drodze widzieli z samochodu tylko kilka gospodarstw i jeszcze mniej światel.

– Oczywiście jest zapisana na inne nazwisko. Ale to ja płacę podatki i rachunek za prąd.

To ostatnie zwróciło jego uwagę.

– Przez cały ten czas? – zapytał.

– To był mój obowiązek, Aleksandrze. Nie mówimy o dużych kwotach. Zużycie energii jest minimalne.

Kelly się zatrzymał.

Przed nimi drzewa ustępowały miejsca ciemnej polanie, na której dało się dostrzec masywne kształty domu i stodoły.

– Budynek nie jest w najlepszym stanie – powiedział Kelly – ale da się tu mieszkać. Przede wszystkim przyciągnęły mnie tu jednak pewne modyfikacje, które wprowadził poprzedni właściciel. Był weteranem ostatniej wojny światowej i nieco ekscentrycznym człowiekiem. Naprawdę ciekawa postać.

Zorin wziął głęboki wdech i poczuł, jak mroźne powietrze wypełnia mu płuca.

– Panicznie bał się wojny jądrowej – wyjaśnił Kelly. – Dlatego zbudował schron przeciwbombowy.

Zorin rozumiał już, do czego potrzebna im była łopata.

– Tamten człowiek zmarł lata temu. KGB potajemnie przejęło od niego akt własności gospodarstwa i zamierzano tu zorganizować standardowy skład broni. Ale kiedy zobaczyłem to miejsce, od razu wiedziałem, że jest idealne na potrzeby *Szkolnego mata*. Przekazano je zatem w moje ręce.

Zorinowi zapaliła się w głowie lampka ostrzegawcza.

– To znaczy, że ten adres może figurować w jakichś aktach.

Kelly zastanowił się przez chwilę.

– Teoretycznie tak.

Zorin dobrze pamiętał, jak skończyła się jego wizyta na Wyspie Księcia Edwarda. Instynktownie sięgnął po broń.

Kelly pokiwał głową, rozumiejąc jego obawy, i również wyciągnął swój pistolet.

– To było tak dawno temu, Aleksandrze. Może to miejsce zostało zapomniane? A nawet jeśli ktoś wie o tej posesji, i tak nie znajdzie ukrytego schronu.

Zorin nie był przekonany. W końcu rosyjskie służby znalazły Kelly'ego, dlaczego więc nie miałyby znaleźć tego gospodarstwa?

– I nie zapominajmy o pułapkach – dodał Kelly.

Zorin wykonał ponagląjący gest, a następnie spojrzął na zegarek. Chwilę trwało, zanim jego oczy skupiły się na kręgu jaskrawych cyfr.

22:40.

Musieliby się pospieszyć.

Zostało już tylko trzynaście godzin.

## ROZDZIAŁ 65

Stephanie wkroczyła do budynku Departamentu Sprawiedliwości, mijając w wejściu znajome twarze ludzi z ochrony. Przechodziła przez te drzwi tysiące razy, o każdej porze dnia i nocy, i personel rozpoznawał ją z daleka. Rozmyślała o Litchfieldzie. Ten sukinsyn siedział zadowolony z siebie podczas spotkania dwóch prezydentów i nie odzywał się niepytany, ale wyraźnie dał do zrozumienia, w czyjej gra drużynie. Danny, mimo że jego kadencja dobiega końca, jasno pokazał, kto tu nadal rządzi. Po wyjściu Cottona i Cassiopei Stephanie zapytała go, dlaczego po prostu dla świętego spokoju nie zwolnił Litchfielda.

Odpowiedział w typowy dla siebie sposób.

„Zawsze lepiej, kiedy wróg jest w naszym namiocie i sika na zewnątrz, niż kiedy jest na zewnątrz i sika nam do namiotu”.

Dwie godziny później, kiedy Litchfield zadzwonił do niej z prośbą o spotkanie, zaczęła rozumieć mądrość zawartą w tych słowach. Czego on mógł od niej chcieć? Danny nalegał, żeby poszła, mówiąc: „Nie kłóć się z idiotą, i tak pokona cię doświadczeniem”. Poza tym w tej chwili niewiele się działo. Cotton i Cassiopeia wyruszyli do Wirginii, żeby zająć się Zorinem, a Luke był nie wiadomo gdzie i ciągle czekała na jakieś wieści od niego. Próbowwała się z nim skontaktować, ale natychmiast uruchomiła się poczta głosowa. Bardzo ją interesowało, co miał do powiedzenia przewodniczący Towarzystwa Cyncynatów. Pytanie Danny’ego o powiązania tej organizacji z byłym Związkiem Radzieckim było całkiem celne.

Zastała Litchfielda w jego biurze, siedzącego w samotności nad stosem książek i papierów. Co ciekawe, założył teraz okulary bez oprawki, przez które jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej wyraziste i intensywne.

– Usiądź, proszę – powiedział zauważalnie zmienionym tonem.

Zajęła miejsce naprzeciwko.

– Chcę cię przeprosić – zaczął. – Zachowywałem się jak dupek. Zdaję sobie z tego sprawę. Tam, w Białym Domu, prezydent postawił mnie do pionu. I słusznie.

Stephanie spojrzała na zegarek.

– W sobotę wieczorem o dwudziestej drugiej, ostatniego dnia kadencji, w końcu zrozumiałeś, kto tu rządzi?

– Prezydent Fox też potem na mnie wszedł. Mówił, że albo będę współpracował z resztą zespołu, albo mam się wynosić. A w tym zespole nadal jest Daniels.

– Więc ta skrucza została ci narzucona z góry.

– W porządku, Stephanie, zasłużyłem sobie na to. Rozumiem. Źle cię traktowałem. Ale mamy tu poważny problem i myślę, że byłbym w stanie wam pomóc. Przecież ostatecznie wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Stephanie niemal dała się zwieść. Ale Danny powiedział jej też: „Włącz odkurzacz, wyciągnij więcej informacji, niż sama wyjawisz”.

– Właśnie czytałem trochę o dwudziestej poprawce i ustawie o sukcesji – kontynuował Litchfield. – Jeżeli zarówno prezydent elekt, jak i wiceprezydent elekt umrą przed zaprzysiężeniem, a nikt nie pełni w tym momencie funkcji spikera Izby Reprezentantów i przewodniczącego Senatu, zdecydowanie mogłyby się pojawić poważne komplikacje. Dotąd nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nawet ja jestem

ujęty w linii sukcesji. Nie jestem faktycznym prokuratorem generalnym, ale na jego zastępcę mianował mnie prezydent i zatwierdził Senat, a zatem zgodnie z ustawą z 1947 roku jako pełniący obowiązki prokuratora generalnego mam prawo zastąpić prezydenta, oczywiście pod warunkiem, że wcześniej zginie sześć innych osób.

– Co jest teraz całkiem możliwe, ponieważ Fox zaparł się kopytami.

– Kiedy wyszliśmy, powiedział mi, że jeśli pojawią się wiarygodne dowody na to, przed czym ostrzegaliście, wprowadzi zmiany w planie inauguracji. Po prostu nie chciał się do tego przyznać Danielsowi. Życzy sobie, żebyśmy oboje wspólnie ocenili sytuację i ustalili, czy zagrożenie jest realne.

Teraz zrozumiała. To oni próbowali ją wciągnąć do swojego namiotu.

– Wiesz tyle co ja. Nie ma żadnych sekretów.

To naturalnie nie była do końca prawda, ponieważ wciąż nie wiedziała, co zdołał odkryć Luke. Nie zamierzała też zdradzić Foksowi i jego ludziom, co wkrótce miało się wydarzyć w Moskwie.

– Chcę cię o coś poprosić – powiedział.

Czekała w milczeniu.

– Zgodziłabyś się z kimś porozmawiać?

Ledwo powstrzymała cisnący się na usta uśmiech. Danny ostrzegwał, że powinna się spodziewać zagrań z gatunku „dziel i rządź”. To jedna z najstarszych politycznych sztuczek, która jakoś nigdy nie wyszła z mody. Z prostego powodu: była skuteczna. Ludzie, którzy dochodzą na sam szczyt struktur władzy, są z reguły szalenie ambitni. W tej chwili ci sami ludzie są też głęboko zaniepokojeni. Wielu służyło w administracji państwowej i prawo chroniło ich przed zwolnieniem lub zmniejszeniem pensji przez nadchodzącą ekipę rządzącą, nie mieli jednak gwarancji, że po zmianie władzy zachowają te same stanowiska i obowiązki. Przetrasowania w administracji, choć częste, budziły wśród urzędników powszechną grozę. Dla ludzi mianowanych z klucza politycznego, jak Litchfield, sprawy wyglądały jeszcze gorzej. Ich przyszłość zależała całkowicie od tego, czy nowa ekipa będzie nadal chciała korzystać z ich usług. Nie mieli pod sobą żadnej siatki bezpieczeństwa. Dwudziestego stycznia o dwunastej w południe tracili pracę, chyba że nowa władza postanowi ich zatrzymać. Danny wymusił przywrócenie jej do służby, a teraz druga strona chciała się przekonać, jak bardzo zależało jej na tym, by pozostać na stanowisku.

– Jasne – odparła Stephanie. „Tylko nie bądź przesadnie ugodowa”, przestrzegwał Danny. Dlatego szybko dodała: – Wiesz, że mam gdzieś, co się ze mną potem stanie.

– Rozumiem. Jesteś lojalna wobec Daniela. Fox bardzo cię za to ceni.

Litchfield zaczął pisać coś na klawiaturze swojego laptopa. Rozległ się charakterystyczny sygnał dźwiękowy uruchamianego połączenia przez Skype. Ostatni raz stuknął w touchpada, po czym odwrócił komputer ekranem do niej. Chwilę później pokazała się na nim twarz nowo mianowanego prokuratora generalnego.

– Stephanie, chciałbym cię szczerze przeprosić za moje wcześniejsze komentarze. To było nie na miejscu. Tak, dopuściłaś się niesubordynacji i poparłem twoją dymisję, ale wystarczyłoby, żebyś przeprosiła, a na pewno sprawę dałoby się jakoś rozwiązać.

Wiedziała, do czego to zmierza. Kolej na nią. Teraz ona musi sobie przypomnieć, gdzie jest jej miejsce. Bardzo to małostkowe, ale wiedziała, że trzeba przez to przejść.

Dlatego spojrzała na Litchfielda i powiedziała:

– Ma rację. Nie powinnam robić tego, co zrobiłam. Zachowałam się wysoce nieprofesjonalnie.

Litchfield przyjął jej gest skinięciem głowy.

– Cieszę się, że mamy to za sobą – powiedział prokurator generalny. – To ważne, żebyśmy umieli ze sobą współpracować.



Miała ochotę mu wytłumaczyć, że on nie ma pojęcia, co oznacza kierowanie operacją wywiadowczą, zwłaszcza dotyczącą tak niestabilnego miejsca jak nowa Rosja. Nieważne, czego ten człowiek się nauczył, pracując w swojej kancelarii prawniczej w Nowym Jorku, i tak nie był ani trochę przygotowany na to, co go teraz czeka. Właśnie dlatego prokuratorzy generalni potrzebowali takich ludzi jak ona. Zachowała jednak swoje przemyślenia dla siebie i powiedziała tylko:

– Nie wykonałam wyraźnego polecenia. Bruce miał pełne prawo tak zareagować. Ja na jego miejscu potraktowałabym tak samo każdego ze swoich ludzi. – Czuła, że za chwilę zrobi jej się niedobrze. – A teraz, skoro mamy to już z głowy, mogę zapytać, dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać?

– Chcę, żebyś została w departamencie i pracowała dla nas.

– I co miałabym robić? Magellan Billet już nie istnieje.

– Odtworzymy jednostkę.

Kolejny punkt dla jasnowidzącego Danny'ego.

– Zaczynam dostrzegać, że taka komórka jednak jest potrzebna w Departamencie Sprawiedliwości – ciągnął prokurator generalny. – Ale teraz, Stephanie, muszę cię o coś poprosić.

W końcu przechodził do rzeczy.

– Nie chcemy zostać wzięci z zaskoczenia. Musimy to usłyszeć od ciebie, osoby, która planuje odegrać jakąś rolę w nadchodzącej kadencji. Czy to zagrożenie jest realne?

– Tak. Ale prezydent Fox miał rację, ciągle nie mamy wszystkich elementów układanki. Do pewnego stopnia opieramy się na spekulacjach. Mam jednak w terenie ludzi, którzy w tej chwili zbierają te brakujące elementy.

– Tego właśnie się spodziewałem. Chcemy, żebyś meldowała nam o wszystkim na bieżąco, gdy tylko coś się zmieni. Bez owijania w bawełnę i filtrowania informacji. Zrobisz to dla nas?

Skinęła głową.

– Na pewno mogę mieć oczy oraz uszy otwarte i raportować wam o rozwoju sytuacji.

– Tu nie chodzi o zdradzanie czyjegokolwiek zaufania – powiedział prokurator generalny. – Tylko o dostęp do najbardziej wiarygodnych informacji, na podstawie których będziemy mogli podjąć jak najlepsze decyzje. Zależy nam tylko na tym, żeby nie popełnić żadnego błędu.

Ciekawe, że w jego ustach fałsz brzmiał tak rozsądnie.

– Kontaktuj się bezpośrednio z Bruce'em. On będzie przekazywał wszystko mnie i prezydentowi elektowi. Dzięki temu nie grożą ci żadne kłopoty. Fox nie jest lekkomyślny. Zrobi to, co konieczne, ale nic ponadto. Rządy Danielsa dobiegły końca. To bardzo ważne, żebyśmy jutro zaczęli od początku, wszyscy według tych samych, nowych zasad, zapominając o tym, co było do tej pory. Ale nie chcemy też pozwolić sobie na jakieś głupie potknięcia.

– To nie byłoby dobre dla nikogo.

– Chciałem, żebyś to usłyszała bezpośrednio ode mnie – powiedział. – W ten sposób nie ma mowy o żadnych nieporozumieniach. Możemy na ciebie liczyć?

Nagle nie przeszkadzało jej już tak bardzo, że jednostka Magellan Billet została rozwiązana – i to na dobre, niezależnie od tego, co twierdził prawnik na ekranie komputera. Ten człowiek nie miał zamiaru robić nic ponad to, co już się stało. Potrzebował po prostu wiarygodnego szpiega w obozie przeciwnika i we własnym odczuciu właśnie udało mu się kogoś takiego zwerbować. Czy naprawdę uważał ją za tak słabą, tak płytką? Z pewnością ten opis pasował do Bruce'a Litchfielda, a najwyraźniej według przyszłego prokuratora generalnego również do niej.

Podjęła decyzję. Jutro o 12:01 złoży rezygnację.

Ale póki co...

– Możecie na mnie liczyć. Dopilnuję, żeby nic was nie zaskoczyło.

## ROZDZIAŁ 66

Zorin oświetlał sobie latarką czarną ścieżkę, której nie zdążył jeszcze zasypać śnieg.

Temperatura pozostawała niska, ale nie było chyba na tyle zimno, żeby zrobiło się naprawdę biało; większość gruntu i gołych gałęzi nad ich głowami była tylko lekko oprószone. Każdy wydech zmieniał się w obłok pary. Zorin nie mógł zrozumieć, dlaczego po prostu nie podjechali samochodem pod sam dom. Nagle jednak wszystko się wyjaśniło, kiedy zobaczył, że drogę przed nimi tarasują zwalone drzewa.

Kelly przeszedł nad pniami.

– Ściałem je kilka lat temu, żeby zniechęcić potencjalnych gości.

Sprytnie. Jak dotąd ten były oficer KGB zachowywał się jak przystało na fachowca. Niesamowite, że upływ czasu ani trochę nie nadszarpnął jego umiejętności. Ale Zorin to samo mógłby przecież powiedzieć o sobie.

– Kiedy mieszkałem w Waszyngtonie – mówił dalej Kelly – przyjeżdżałem tu regularnie. Teraz tylko raz do roku, zwykle latem. Niektóre elementy wymagają stałej konserwacji. Ostatni raz byłem tu w sierpniu.

Ciszę mącił jedynie odgłos ich kroków na twardej, kamienistej ziemi, na którą wolno spływały z nieba płatki śniegu. Jak na razie nie widzieli żadnych śladów jakichkolwiek intruzów. Światła ich latarek z trudem przebijały się przez jednolitą ciemność. Zorin przestał się koncentrować na własnym biciu serca i starał się chłonąć wszystkie otaczające go dźwięki, nasłuchując jakichś oznak niebezpieczeństwa, ale do jego uszu docierała jedynie cisza.

W końcu dotarli do domu. Ściany i dach były nienaruszone, okna całe, a drzwi zamknięte. Po jednej stronie sterczał ceglany komin.

– Dom jest w przyzwoitym stanie – powiedział Kelly. – Mieszkam w nim zawsze, kiedy tu przyjeżdżam. Nie dostałby może pięciu gwiazdek, ale spełnia swoje zadanie. Uznałem, że to ważne, żeby nie obrócił się w ruinę. – Wskazał kierunek latarką. – Tamtędy.

Obeszli dom, za którym było jeszcze mniej więcej pięćdziesiąt metrów wolnej przestrzeni, a potem znowu zaczynał się las. Tam ich oczom ukazał się czarny, prostokątny kształt, brudny i ponury, mający około dziesięciu metrów długości i pięciu szerokości.

– Stodoła – wyjaśnił Kelly. – Zbudowana nie bez powodu.

Kiedy podeszli bliżej, Kelly wyciągnął z kieszeni klucz i zdjął kłódkę zawieszoną na drzwiach. Wnętrze budynku pachniało wilgocią i stęchlizną. Pod dachem biegły surowe krokwie. Nie było okien. Pod jedną ścianą Zorin widział jakieś narzędzia, taczkę i dużą kosiarkę do trawy. Pod drugą w równych rzędach leżały pocięte kłody. W jedną z nich była wbita siekiera z długim trzonkiem. On także na Syberii dbał o to, by zawsze mieć spory zapas drewna na opał, suszonego przez rok albo i więcej, gotowego do użycia w tym czy innym kominku w daczce.

– Schron jest pod spodem – powiedział Kelly, drapiąc butem klepisko. – Nikt by się nie domyślił.

Zorin dojrzał nad głową świetlówkę i postanowił wrócić na zewnątrz, żeby dokładniej się rozejrzeć. Świecąc sobie latarką, namierzył gruby przewód elektryczny, pokryty warstwą szronu, prowadzący na dach głównego budynku.

– Poprzedni właściciel trzymał na dole generator elektryczny. Potrzebowałem stałego źródła energii, więc pociągnąłem linię z domu przez ścianę stodoły. Nigdy nie było problemu z prądem. Oczywiście mogą się zdarzyć przerwy z powodu burz, ale zamontowałem też awaryjne baterie.

Kelly odstawił torbę ze sklepu i wycelował latarkę w ziemię. Nawet nie próbował włączyć górnego światła.

– Musimy uprzętać trochę tego drewna.

Malone i Cassiopeia przyglądali się wynajętemu samochodowi, który stał pośrodku wąskiej dróżki pomiędzy rzędami ogołoconych drzew. Nawigacja satelitarna doprowadziła ich prosto tutaj. Oboje milczeli, wiedząc, że ich cel znajduje się nieopodal. Przed sobą, może jakieś czterysta metrów dalej, widzieli rozbłyskujące co chwila światła latarek.

Malone czytał o składach broni należących do KGB w archiwach Mitrochina, opublikowanych w latach dziewięćdziesiątych. A także o chroniących je pułapkach. SWR po dziś dzień nie przyznało się publicznie, że takie składy naprawdę istniały, nie wspominając o udzieleniu pomocy w ich likwidacji. Wszystkie takie miejsca, o których słyszał, zawierały jedynie sprzęt telekomunikacyjny, więc mógł sobie tylko wyobrazić, jakie środki ostrożności podjęto, żeby zabezpieczyć pięć bomb RA-115. Ponieważ Kelly i Zorin parli zdecydowanie przed siebie, zakładał, że wiedzą, co robią. On i Cassiopeia musieli zatem dać im czas na rozbrojenie zabezpieczeń.

Zauważył coś na tylnym siedzeniu samochodu Zorina. Wyglądało jak niebieski nylonowy worek.

Ostrożnie otworzył tylne drzwi i rozpiął worek. W środku znalazł młot, skobel i szczypce do metalu. Podczas spotkania w McDonalddie agenci federalni wspomnieli, że wszystko to zostało kupione w Targecie, razem z kilkoma innymi rzeczami, między innymi łopata, której nie było w samochodzie.

Zamknął cicho drzwi i wyciągnął rękę przed siebie, po czym oboje weszli głębiej w ciemność.

Zorin odrzucił kolejną kłodę pokrytą śliskim zielonym nalotem.

– Ty pociąłeś to drewno?

– Każdy kawałek. Może i się starzeję, ale nadal jestem w dobrej formie. Podobnie jak ty, Aleksandrze.

Usunęli część stosu pośrodku długiego rzędu, odsłaniając twarde klepisko. Kelly chwycił łopata i ostrożnie wbił ją w ziemię. Wyglądało na to, że wie dokładnie, w którym miejscu kopać. Operował ostrzem łopaty z niemal chirurgiczną precyzją, zagłębiając je tylko kilka centymetrów pod powierzchnię, tworząc okrąg o średnicy mniej więcej jednego metra.

– Zamknij drzwi – powiedział w pewnym momencie.

Zorin zrobił to, o co prosił.

Jedynym źródłem światła stanowiły ich dwie latarki wycelowane w podłoże. Kelly wprawnie poruszał łopata, żeby trochę rozluźnić ubitą ziemię wewnątrz okręgu. Potem odłożył ją na bok.

– Trzeba to robić uważnie.

Zorin patrzył, jak Kelly klęka i zaczyna odgarniać ziemię, która odchodziła całymi bryłami. Ukazał się pod nią ciemny metal, a po chwili można już było rozpoznać właz.

– Żadnego zamka? – zapytał.

Kelly podniósł na niego wzrok.

– Nie widziałem takiej potrzeby. Jeśli się tego nie otworzy prawidłowo, nastąpi eksplozja ładunku jądrowego o mocy sześciu kiloton.

Zorin aż zeszywniał na samą myśl.

Kelly obejrzał dokładnie właz.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Nikt tego nie ruszał. Podasz mi łopata?

Nie podnosząc się z kolan, rozluźnił pas ziemi pół metra od wjazdu. Potem znowu odłożył łopata, sięgnął po latarkę i usunął stamtąd grudy, aż wyłoniła się spod nich mała plastikowa skrzynka. Oczyszczył ją, zdmuchując resztki piachu z wypukłego wieka, po czym przekręcił coś z boku skrzynki i otworzył ją.

W środku były trzy przewody, z których każdy wchodził do łącznika w innym kolorze.

Czerwony, żółty i czarny.

– Trzeba odłączyć właściwy kabel – wyjaśnił Kelly – albo nastąpi wybuch. Jeśli odłączy się wszystkie trzy, również wywoła to eksplozję.

Zorin musiał przyznać, że to sprytne rozwiązanie.

Kelly odkręcił czerwony łącznik.

– Za każdym razem zmieniam kolory, na wszelki wypadek. W tym roku padło na czerwony.

Rozdzielił odsłonięte miedziane druty, odsuwając je daleko od siebie. Następnie wyciągnął rękę i otworzył właz. Metalowe zawiasy stawiały niewielki opór. Pod spodem ujrzeli drabinę wbudowaną w ścianę szybu sięgającego trzy metry w dół.

– Zapraszam – powiedział Kelly. – Na samym dole jest włącznik światła.

## ROZDZIAŁ 67

Luke jechał na tyle szybko, na ile pozwalały warunki. Ominął Waszyngton i kierował się na zachód autostradą numer 66. Sue i jej ojciec siedzieli z tyłu. Lawrence Begyn powiedział mu o jeszcze jednej tajnej kryjówce w posiadłości Brada Charona. To właśnie tam według niego były strażnik tajemnic mógł schować dziennik Tallmadge'a.

„Widziałem kiedyś to miejsce – mówił Begyn. – Jeszcze zanim Brad i ja się poróżniliśmy”.

„Więc nie wie pan, czy ten dziennik rzeczywiście tam jest?”

„Brad miał swoje przyzwyczajenia. Twardo trzymał się tego, co raz postanowił. Można założyć, że do końca ukrywał dziennik bezpiecznie gdzieś niedaleko”.

Warto więc było sprawdzić to przecucie.

– Czegoś tu nie rozumiem – odezwał się Luke do Begyna. – Skoro Charon tak kłapał dziobem i pokazał wasze archiwa dwóm obcym, dlaczego pozwolono mu zatrzymać dziennik?

– Brad był pod wieloma względami dziwnym człowiekiem. Może zachowując ten dziennik, chciał nam pokazać, że naprawdę potrafi dochować tajemnicy. Że można mu zaufać. Postanowiliśmy dać sobie z tym spokój. Poza tym nigdy więcej nie słyszeliśmy o dzienniku, dlatego uznaliśmy temat za zamknięty.

Zegarek wskazywał jedenastą wieczorem. Luke wiedział, że powinien zadzwonić do Stephanie, która wcześniej próbowała się z nim skontaktować i zostawiła wiadomość. Tak naprawdę jednak ciągle nie miał jej do przekazania nic konkretnego. Postanowił jeszcze trochę się wstrzymać i zobaczyć, co będzie dalej. Pogoda nie zrobiła się jeszcze zupełnie nie do wytrzymania, a mimo wiatru i zimna śnieg roztapiał się na asfalcie, dzięki czemu jezdnia na autostradzie wciąż pozostawała czarna. Przecucie podpowiadało mu, że jest na właściwym tropie, ale pędził przed siebie na oślep, bez żadnego wsparcia. W pojedynkę, co nawet mu się podobało. Miał jednak przy sobie Sue, która siedziała na tylnym siedzeniu, obejmując ramionami strzelbę myśliwską ojca. Begyn z początku nie chciał, żeby z nimi jechała, ale ustąpił, kiedy przypomniała, że zdążyła już zabić trzech ludzi i decyzja nie należy do niego. Luke cieszył się z jej udziału w wyprawie.

Dotarł do właściwego zjazdu i znów znalazł się na tej samej dwupasmowej drodze, na której odbył swój pojedynek z Pietrową. Kilka kilometrów dalej przejechał przez znajomą bramę z kutego żelaza i pomknął szosą przez las do domu Charona.

Gdy tylko wysiedli z samochodu, Begyn wyciągnął dwie latarki i ruszył przodem.

– Nie było mnie tu od wielu lat. Dom zmienił się w straszną ruinę. Kiedyś robił wielkie wrażenie.

– Tak to się kończy, kiedy ludzie nie potrafią się dogadać – rzucił Luke.

– Mogę najpierw zobaczyć to archiwum, które pan wcześniej znalazł? – zapytał Begyn.

Luke nie chciał tracić więcej czasu, ale ostatecznie uznał, że nie zaszkodzi rzucić okiem. Wskazał drogę promieniem latarki i po chwili obaj przeszli przez wyrwę w ścianie i wkroczyli do tajnego gabinetu. Siekiera Pietrowej wciąż leżała na podłodze tam, gdzie ją rzuciła. Sue została na korytarzu ze strzelbą, na straży.

Luke i Begyn rozglądali się po sekretnym pomieszczeniu.

– Coś niesamowitego – stwierdził Begyn. – Trzeba to wszystko zabrać z tego zimna.

– Moja szefowa mówiła, że dostaniecie te zbiory z powrotem. Macie to jak w banku.

Begyn przyjrzał się książce leżącej pod szklanym kloszem.

– To bardzo rzadki tom, wart około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Znam kilku członków

towarzystwa, którzy zapłaciliby jeszcze więcej.

Luke'a niewiele to obchodziło.

– Skończył pan już?

Jego ton dawał do zrozumienia, że muszą iść dalej. Opuścili gabinet i Begyn poprowadził po schodach na piętro, do drewnianych drzwi na końcu długiego korytarza. Luke głęboko wciągnął w płuca mroźne powietrze, żeby uspokoić nerwy, i podążył za ojcem i córką do sypialni pana domu.

– Czytałem, że pożar wybuchł po drugiej stronie budynku – powiedział Begyn.

Sypialnia była w nienaruszonym stanie, w pełni umeblowana i nawet z pościelonym łóżkiem, ale wszystko cuchnęło pleśnią i stęchlizną.

– Tam – Begyn wskazał na uchylone drzwi.

– Wy idźcie – odparła Sue. – Ja będę tu pilnować.

Luke zastanawiał się, dlaczego wydaje się taka spięta.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Nie podoba mi się to miejsce.

On też nie był specjalnie zachwycony, ale jak dotąd nic nie wzbudziło w nim żadnych podejrzeń.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Po prostu mam złe przeczucia.

Postanowił uszanować jej intuicję i uznał, że powinni się pospieszyć. Razem z Begynem weszli do garderoby większej niż sypialnia w jego mieszkaniu. W pomieszczeniu nie było nic, tylko puste wieszaki, drewniane szafki i półki.

– To tutaj – powiedział Begyn, wskazując na ostatnią mahoniową szafkę, w której mieścił się metrowej długości pręt na ubrania oraz kilka półek. Znajdowała się na końcu dłuższej ściany, w samym rogu garderoby.

– Urządziliśmy tu kiedyś przyjęcie – zaczął Begyn. – Brad, jak to on, chciał się popisać. Przyprowadził kilku z nas tu, na górę, i chwycił za ten pręt, na którym wtedy wisiały jego koszule. – Oddał Luke'owi latarkę i ścisnął ręką gołą, metalową rurę. – Przekręcił go w tę stronę.

Usłyszeli chrzęst i cała konstrukcja się poruszyła. Begyn przesunął ją do końca w prawo, przykrywając atrapę sąsiadującej z nią szafki narożnej i odsłaniając ciemną otchłań.

– Założę się, że Charon lubił Harry'ego Pottera – rzucił Luke.

– Na pewno – odparł z uśmiechem Begyn. – Uwielbiał tajemnice. Był też po trosze aktorem. Nasze towarzystwo regularnie wystawiało *Opowieść wigilijną*, a Brad zawsze grał Boba Cratchita. Był całkiem niezły.

Luke zaświecił latarką w ciemność, a wtedy ich oczom ukazała się maleńka klitka, mniej więcej metr na metr. W środku znajdowała się tylko czarna gablotka z czterema szufladami. W prawym górnym rogu był zamek i Luke spodziewał się już kolejnych komplikacji, ale na szczęście szuflada otworzyła się bez oporu.

– Po co zamykać na klucz – skomentował Begyn – coś, co jest tak dobrze ukryte?

Luke przyznał mu rację, wdzięczny, że Charon nie okazał się przesadnym paranoikiem. W górnej szufladzie leżały jakieś papiery, głównie wyciągi bankowe, zestawienia finansowe i dowody zakupu akcji. Druga była pełna dokumentów dotyczących nieruchomości, w rodzaju ekspertyz budowlanych i aktów notarialnych.

– Brad był dość zamożny – powiedział Begyn. – Jego majątek sięgał dwudziestu, może trzydziestu milionów dolarów.

– A jego żona i dzieci nie potrafili się tym podzielić?

– Najwyraźniej nie.

Trzecia szuflada była pusta, ale w najniższej czekała na nich główna nagroda.

Opasłe tomiszczce oprawione w skórę.

Begyn wyciągnął księgę i otworzył na pierwszej stronie. Luke uniósł latarkę i obaj zaczęli czytać napisane odręcznie słowa.

*Dziennik ten zawiera zgodny z prawdą opis wszelkich działań Towarzystwa Cyncynatów wykonywanych na zlecenie rządu Stanów Zjednoczonych oraz władz poszczególnych stanów w okresie ostatniej wielkiej wojny z Wielką Brytanią, która trwała od 8 czerwca 1812 do 17 lutego 1815, spisany w celu upamiętnienia tych wydarzeń, a także po to, by każdy zainteresowany mógł w pełni zrozumieć motywacje i zamiary leżące u ich podstaw. Niechaj będzie wiadomym, że każdy członek tego towarzystwa jest prawdziwym, wiernym patriotą, a naszym jedynym celem była zaszczytna i honorowa służba naszemu państwu.*

Benjamin Tallmadge

8 sierpnia 1817

– To jest to – stwierdził Begyn.

Spomiędzy kartek dziennika wystawał luźny skrawek służący jako zakładka. Luke postanowił rozpocząć poszukiwania właśnie od tego miejsca i dał znak Begynowi, żeby otworzył na zaznaczonej stronie, mniej więcej w połowie książki.

*Wieczorem 24 sierpnia 1814 roku miało miejsce godne pożałowania wydarzenie, którego, choć wstyd przyznać, byłem naocznym świadkiem. Ogień armat wstrząsał murami stolicy przez większość dnia, a kiedy wystrzały ucichły, wystraszeni mieszkańcy wypatrywali jakichkolwiek oznak, że ich rodacy odnieśli zwycięstwo, jednocześnie obawiając się najgorszego. Wkrótce przekonali się, że gęste kłęby kurzu, unoszące się coraz szybciej ponad lasami, wzniewały wojska brytyjskie. Niestety, amerykańscy żołnierze opuścili swoją stolicę, a odjeżdżając konno, krzyczeli na całe gardło: „Nadchodzą szubrawcy”. Pozostali zbrojni rzucili swe pistolety i niczym przerażone stado owiec rozbiegli się we wszystkich kierunkach, tylko nie w stronę wroga. I chociaż zarzekali się, że postawili twardy opór Brytyjczykom i wystrzelali wszystkie kule, ci, którzy rzucili okiem na ich skrzynki z amunicją, widzieli, że nie został oddany ani jeden strzał.*

*W pałacu prezydenckim Dolley Madison czekała na powrót swojego męża, prezydenta Jamesa Madisona, który dwa dni wcześniej wyjechał, żeby złożyć wizytę na froncie. Miał wrócić przed zmrokiem i dla całej jego świty przygotowano powitalny posiłek. Jednakże widok Brytyjczyków wkraczających do miasta przekreślił te plany. Niektórzy proponowali, aby wysypać ścieżkę z prochu strzelniczego i wysadzić w powietrze całą rezydencję, gdyby Brytyjczycy próbowali wejść do środka, ale pani Madison na to nie pozwoliła. Kiedy powiedziano jej, że musi uciekać, wstrzymała się aż do chwili, gdy pewne przedmioty, w większości skarby narodowe, były gotowe do transportu. Znalazł się wśród nich wspaniały obraz George’a Washingtona, który chciała za wszelką cenę uratować. Coraz bardziej obawiano się, że pani Madison zostanie uwięziona wewnątrz posiadłości, bez możliwości ucieczki. Ostatecznie zdążyła wyjechać z miasta na krytym wozie, ledwo uchodząc przed napierającymi wojskami brytyjskimi, które opanowały miasto po zmroku.*

*Brytyjczycy w pierwszej kolejności weszli do budynku Kapitolu, gdzie George Cockburn, ich dowódca, usiadł na krześle przewodniczącego i zadał drwiące pytanie: „Czy ten bastion jankeskiej demokracji ma zostać spalony? Kto jest za?”. Wszyscy jego żołnierze ryknęli*

*z aprobatą, na co Cockburn oznajmił, że wniosek przeszedł jednogłośnie. Krzesła, meble, książki, mapy i wszelkie dokumenty zostały rzucone na wielki stos, pod który podłożono ogień. Wkrótce zajął się cały budynek. Ogień był tak gorący, że marmurowe kolumny zmieniły się w wapno i się zawaliły. Płomienie wydarły się z okien i podpaliły domy stojące od zawietrznej strony. W niektórych dla bezpieczeństwa trzymano archiwa Kongresu. Kapitol w końcu całkowicie zniknął za ścianą ognia, który doszczętnie zniszczył budynek.*

Luke zastanawiał się, dlaczego akurat ten fragment został zaznaczony zakładką.

– Wszyscy wiemy, że w tamtej wojnie dostaliśmy po dupie od Anglików.

– To prawda. Tallmadge przeżył to osobiście. To bardzo ważna relacja spisana przez naocznego świadka.

Na pewno była cholernie ważna dla Anji Pietrowej.

Nagle rozległ się huk, który odbił się echem wśród ścian domu. Potem powtórzył się jeszcze trzykrotnie.

Tego odgłosu nie dało się pomylić z niczym innym.

Ktoś strzelał.



## ROZDZIAŁ 68

Zorin pchnął ciężkie metalowe drzwi, które znalazł, gdy dotarł po drabinie na sam dół. Bijące stamtąd powietrze było zaskakująco ciepłe, choć trąciło stęchlizną. Włączył światło i już po chwili świetlówki na suficie ukazały mu zamknięte, cylindryczne pomieszczenie, długie na jakieś dziesięć metrów i szerokie na pięć. Po jednej stronie znajdowały się metalowe regały, na których stały zapasy wody pitnej i konserw, a także koce, ubrania, narzędzia i szpule drutu. Była tam również broń, i to zarówno pistolety, jak i karabiny, plus dodatkowa amunicja. Zorin rozpoznał też przenośne nadajniki radiowe, standardowe wyposażenie KGB, które swego czasu sam umieszczał w różnych tajnych kryjówkach. Wszystko było uporządkowane i równo ułożone, co w połączeniu z uderzającą czystością całego pomieszczenia świadczyło o skrupulatności i oddaniu osoby, która opiekowała się tym miejscem.

Kelly po chwili do niego dołączył.

Zorin zauważył, że ściany zostały przykryte warstwą grubego plastiku. Wskazał na jedną z nich i zapytał:

– Ochrona przed wilgocią?

– Schron zbudowano z betonu i zaimpregnowano, ale uznałem, że przyda się dodatkowe zabezpieczenie.

I wtedy Zorin je zobaczył. Leżały na metalowym stole naprzeciwko regałów z zapasami i sprzętem. Pięć małych walizek, każda z lekko uchylonym wiekiem, spod którego wystawał przewód. Wszystkie następnie łączyły się z główną linią, ta zaś biegła do samego końca pomieszczenia, pięła się w górę po ścianie i wychodziła na zewnątrz.

– Z tyłu był szyb, który umożliwiał cyrkulację powietrza. Zamknąłem go, ale świetnie się nadał do poprowadzenia linii energetycznej. Prąd nie tylko ładuje urządzenia, ale też wydziela na tyle dużo ciepła, że ogrzewa całe wnętrze.

Zorin był pod wrażeniem. Zorganizowanie tego wszystkiego wymagało sporo namysłu.

Podszedł do bomb walizkowych RA-115 i otworzył szerzej wieko pierwszej z brzegu. Obudowa z lekkiego aluminium nie nosiła nawet najmniejszych śladów zużycia. W środku znajdowały się trzy zbiorniki połączone w cylindrze o długości pół metra. Całość leżała na skos, powyżej była bateria, poniżej przełącznik. Od przełącznika biegły kable do baterii, stamtąd do małego przekaźnika i w końcu do cylindra. Zorin przypomniał sobie szkolenie. Przełącznik uruchamiał baterię i następował mały wybuch, w wyniku którego kula uranu zderzała się z większą ilością uranu, a to z kolei wywoływało reakcję łańcuchową i doprowadzało do eksplozji o sile równej sześciu tysięcy ton trotylu.

Zajrzał do pozostałych czterech walizek. Wydawało się, że wszystkie są w idealnym stanie.

– Doglądam ich co roku – powiedział Kelly. – Wstawiam nowe baterie, wymieniam okablowanie. Rzecz jasna cylindry są z nierdzewnej stali, a wszystkie pozostałe części z metali odpornych na korozję.

Zorin wiedział, że w walizkach nie ma ruchomych elementów i nic nie opiera się na działaniu sprężyn czy kół zębatych. Kiedy ładunek elektryczny aktywuje mechanizm, o resztę zadbają podstawowe procesy fizyczne, zmieniając całość w kulę żaru i ognia, która zmiecie z powierzchni ziemi wszystko w promieniu kilometra.

– Zadziałają jak należy? – upewnił się.

– Oczywiście. Są w pełni sprawne.

– Zdajesz sobie sprawę, że w tym roku inauguracja odbędzie się w Białym Domu?

– Tak samo jak w 1985 roku – odparł Kelly.

Tego Zorin nie wiedział.

– Na tym opierał się cały plan, Aleksandrze. Właśnie z tego powodu narodził się *Szkolny mat*. Podczas drugiego zaprzysiężenia Ronalda Reagana wszyscy zebrali się w Białym Domu, o dwunastej w południe w niedzielę dwudziestego stycznia. Ale do tego czasu Andropow już dawno nie żył, a bomb nadal tu nie było. Myślałem, że sprawa jest zakończona, dopóki w 1988 roku nie otrzymałem telefonu dotyczącego *Cofniętego piona*. Nagle wszystko wydawało się znów aktualne. Mimo to nigdy nie wydano ostatecznego rozkazu. Szkoda. Amerykanie uważają Biały Dom za superbezpieczne miejsce, chociaż jedenasty września z pewnością dał im sporo do myślenia.

Zorin wychwycił w głosie Kelly’ego jakąś nową nutę. Czy to była pewność siebie? Duma?

– Ty coś wiesz – stwierdził.

Kelly uśmiechnął się.

– Oni wszyscy zapomnieli o swojej własnej historii.

Cassiopeia przywarła do pnia wysokiej sosny, wpatrując się w ciemne kontury domu i stodoły. Zorin i Kelly zniknęli jakieś piętnaście minut temu i od tego czasu nic się nie wydarzyło. Cotton obszedł dom naokoło i powinien już być przy wejściu do stodoły. Ona sama schowała się za drzewem, gdzie mogła z ukrycia mieć oko na całą okolicę i pilnować, żeby nie przeszkadzali im żadni nieproszeni goście.

Noc była zimna, ale dało się wytrzymać. Cassiopeia po drodze zamieniła francuską odzież na amerykańską, którą dostarczyli agenci z Secret Service. Miała przy sobie pistolet z pełnym magazynkiem oraz dodatkową amunicję w kieszeni. Cotton także był odpowiednio ubrany, uzbrojony i gotowy do akcji.

W pełni się z nim zgadzała. Zorin i Kelly muszą zostać powstrzymani tu i teraz.

Malone podkradł się do stodoły, uważając, żeby nie potknąć się o żadne gałęzie, korzenie czy śliskie kamienie. Drzwi zamknęły się kilka minut temu, a słabe światło, które wcześniej paliło się w środku, całkiem zniknęło. Gdy podszedł bliżej, przekonał się, że wejście nie jest zamknięte na żaden zamek czy zasuwę.

Musiał tam zajrzeć.

Obejrzał już całą konstrukcję od zewnątrz i wiedział, że w stodole nie ma okien.

Do środka prowadziła tylko jedna droga.

Zorin zdał sobie sprawę, że to, co za chwilę powie mu Kelly, stanowi brakujący element, który sam próbował odnaleźć i w którego poszukiwaniu przysłał tutaj Anję.

Drugi ruch *Szkolnego mata*.

– Nie można po prostu podejść sobie do Białego Domu i położyć pod płotem walizki – zauważył.

– Nie musimy tego robić – odparł Kelly z uśmiechem. – Jest łatwiejszy sposób.

Zorin spojrzał na pięć bomb jądrowych o łącznej mocy wynoszącej prawie trzydzieści kiloton trotylu.

– Muszę tylko zmienić baterię w jednej z walizek i będzie można ją przewieźć – kontynuował Kelly. –

Te baterie mają zaledwie kilka miesięcy, ale nie ma sensu ryzykować.

To tłumaczyło zakup sześciowoltowych baterii. Wiedział, jak to działa. Włącznik wewnątrz walizki sprawiał, że bateria wysyłała impuls elektryczny do detonatora. Jedyną wadą było niskie napięcie, co oznaczało, że na wytworzenie dostatecznej ilości ciepła, żeby aktywować mechanizm wywołujący rozszczepienie uranu, potrzeba było czasu. Z tego, co pamiętał, trwało to około piętnastu minut. Zapytał Kelly’ego, czy to nadal tak wygląda.

– Mniej więcej, zależnie od temperatury wokół obudowy.

A zatem urządzenie należało uruchomić nie później niż jutro o 11:45.

Ale najpierw musiał zapytać o coś jeszcze.

– Gdzie jest punkt docelowy?

Kelly znów się uśmiechnął.

– To fascynująca historia, Aleksandrze. Rozpoczęła się dawno temu, kiedy spłonął Biały Dom.

## ROZDZIAŁ 69

Luke wybiegł z garderoby, mówiąc Begynowi, żeby został w środku, ale ten zignorował jego polecenie i podążył za nim. Z korytarza za sypialnią dobiegały kolejne strzały, tym razem ze strzelby. Sue najwyraźniej odpowiedziała ogniem.

Ale komu?

Luke dobiegł do podwójnych drzwi i oparł się plecami o ścianę przy samej futrynie. Begyn chwilę później stanął obok.

– Co się dzieje? – zawołał Luke.

– Mamy towarzystwo – krzyknęła Sue. – Widziałam dwóch. Są na dole, próbują wejść po schodach.

– Niech pan tu zostanie – powiedział do Begyna, który ścisnął już w rękę rewolwer.

Luke ruszył korytarzem, trzymając się blisko ściany. Przed sobą, za ozdobną balustradą u szczytu schodów, ujrzał Sue, która kucała ze strzelbą w rękach.

Z dołu ktoś posłał w ich stronę serię z broni automatycznej, doszczętnie niszcząc słupki podtrzymujące balustradę na piętrze. Chwilę później nad ich głowami przeleciały dwa przedmioty i z głośnym stukotem wylądowały na podłodze.

Luke znał ten odgłos.

Granaty.

Odskoczył i rzucił się na ziemię, zakrywając rękami głowę. Miał nadzieję, że Sue zrobiła to samo.

Oba granaty eksplodowały równocześnie.

Malone wolno otworzył drzwi do stodoły. Starał się zrobić to bezszelestnie, by nie zdradzić swojej obecności. Wślizgując się do środka, otarł się nogą o stojącą obok taczkę. W pewnym momencie coś czmychnęło na jego widok, co lekko go przestraszyło. W powietrzu unosił się zapach starości. Jedyne światło wydobywało się z okrągłej dziury w ziemi ukrytej wśród wielkiego stosu drewna na opał.

Z włazu dochodziły stłumione głosy.

Rozejrzał się wkoło i upewnił się, że jest sam. Zorin i Kelly musieli razem zejść pod ziemię.

Podkradł się do włazu i zobaczył, że nie ma w nim zamka ani żadnego innego sposobu, by zamknąć go na dobre. Szkoda – to byłoby idealne. Ale nie potrzebował zamka, żeby uwięzić tamtych dwóch na dole. Wystarczyło przygnieść klapę dostateczną ilością drewna, a o własnych siłach już się stamtąd nie wydostaną.

Pod warunkiem, że to jedyne wyjście. Musiał podjąć to ryzyko.

Zauważył obok trzy kable w odkopanej skrzynce, jeden był odłączony.

Pułapka. Aktualnie rozbrojona.

Doskonale.

Miał ich w garści.

Luke przekręcił się na plecy i zobaczył przed sobą pomarańczowe płomienie, nad którymi unosiła się chmura dymu i kurzu.

– Sue?

– Nic mi nie jest – odpowiedziała.

Zerknął za siebie w stronę sypialni i ujrzał biegnącego ku nim Begyna.

– Wchodzą na górę – ostrzegła Sue.

Luke zerwał się na równe nogi i wskoczył prosto w chmurę, spoglądając w lewo, gdzie kończyły się schody. Zobaczył ciemną sylwetkę pnącą się po stopniach.

Strzelił dwa razy. Postać potoczyła się do tyłu i wylądowała z powrotem na parterze.

To było zbyt łatwe.

Po chwili przekonał się dlaczego.

Z karabinu człowieka na dole posypał się grad kul przecinających ze świstem powietrze. Luke rzucił się w tył i skrył za najbliższą ścianą. Kątem oka zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego niedoszła ofiara podnosi się z ziemi i ponownie wdrapuje na schody.

Cholerny kevlar. *Następnym razem celuj w głowę.*

Coś twardego uderzyło w ścianę trzy metry od niego.

Potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Luke usłyszał ten sam znajomy stukot na drewnianej podłodze i natychmiast skoczył w stronę Begyna, pociągając go na ziemię w chwili, gdy trzy eksplozje rozświetliły mrok, jakby wewnątrz domu zniecka wyszło słońce. Wybuchł ogień, wściekłe płomienie szybko ogarniały suche drewno i gips na ścianach, a korytarz znów wypełniły kłęby dymu. Wkrótce pomarańczowe języki ognia zaczęły sięgać sufitu.

Z dymu wyłoniła się ciemna postać, człowiek ubrany na czarno, w kamizelce kuloodpornej, celujący z karabinu prosto w Luke'a, który leżał na podłodze. Luke modlił się, by Begyn miał dość oleju w głowie, żeby nie strugać bohatera jak Peter Hedlund. Mężczyzna stanął nad nimi z wymierzoną w dół bronią. W ognistej poświacie Luke szukał na jego twarzy jakichkolwiek oznak zdenerwowania, strachu czy wątpliwości. Nie znalazł jednak nic.

Swój pistolet przygniatał własnym ciałem. Postanowił symulować i zaczął się skręcać z udawanego bólu.

– Nie ruszaj się – ostrzegł napastnik.

Mężczyzna pochylił się, garbiąc ramiona i przechylając głowę na bok. Wpatrywał się w swój cel i starał się wyglądać groźnie. Luke wił się nadal, odwracając głowę w kierunku Begyna.

Wykrzywił twarz, jakby przeszywał go ból.

– Mam dwóch – zawołał człowiek w czerni.

Luke gwałtownie odwrócił się na plecy, uwalniając rękę z pistoletem, i strzelił napastnikowi w udo, zwalając go z nóg. Sam podniósł się szybko z podłogi i chwycił upuszczony karabin. Przez moment poczuł ukłucie sumienia, ale natychmiast je zignorował. To nie czas na zabawę. Strzelił mężczyźnie prosto w głowę.

Ogień i dym rozprzestrzeniły się w stronę głównej sypialni.

– Sue! – krzyknął. – Sue!

Nie doczekał się odpowiedzi. Niedobrze.

– Gdzie ona jest? – odezwał się Begyn.

– Jest dużą dziewczynką. Musimy stąd iść.

Wycofali się z powrotem do sypialni. Nagle szyba w oknie po drugiej stronie pokoju roztrzaskała się na kawałki i do środka wleciało coś twardego. Po chwili to samo stało się z drugim oknem. Luke i Begyn zanurkowali w stronę masywnego łóża z baldachimem.

Oba granaty eksplodowały.

Sufit zaczął sypać się im na głowy, ogień w okamgnieniu ogarnął podłogę i meble, odcinając drogę do garderoby, w której został dziennik Tallmadge'a. To było jednak najmniejsze z ich zmartwień. Powietrze wypełniły dym i czad. Obaj zanieśli się kaszlem. Luke z każdą chwilą czuł się coraz słabszy, ponieważ w pokoju zaczynało brakować tlenu. Wskazał na rozbite okna, ale przytomnie złapał starszego mężczyznę,

zanim ten zdążył wystawić głowę na zewnątrz. Ściągnął poduszkę z łóżka i wyrzucił ją pierwszą przez okno.

Na zewnątrz rozległy się strzały.

Tak jak podejrzewał.

Zamierzali albo wykończyć ich granatami, albo zwabić do okien, gdzie stanowiliby łatwy cel.

Mieli coraz mniej opcji.

Cassiopeia sprawdziła, jak dawno temu Cotton zniknął wewnątrz stodoły. Nie była to duża konstrukcja, więc nie mogło w niej być zbyt wiele potencjalnych kryjówek. Najwyraźniej uznał, że jest na tyle bezpiecznie, żeby wejść do środka. Zastanawiała się, co dokładnie się tam dzieje.

Minęło pięć minut.

Z zimna zeszywniały jej palce. Zaczęła je rozcierać przez rękawiczki. Nogi również zdrętwiały. Po prawej usłyszała jakiś dźwięk. W ciemnościach zobaczyła śnieg spadający tam, gdzie coś poruszyło gałęziami sosny. Jakieś wystraszone zwierzę? Tu, w taką pogodę? Mało prawdopodobne. Pozostała w swojej kryjówce, broń trzymała w pogotowiu.

W zasięgu jej wzroku pojawił się jakiś cień. Po nim kolejny.

Oba niosły przed sobą karabiny.

Luke stanął obok okna, pamiętając o strzelcach na dole. Drzwi prowadzące z sypialni na korytarz całkiem zajęły się ogniem, podobnie jak większość pokoju. Begyn zajął pozycję przy drugim rozbitym oknie. Przynajmniej przez chwilę obaj mieli czym oddychać.

Rzucił oknem na ulicę.

Padły strzały. Ale nie w ich kierunku.

Dwa, a potem ktoś odpowiedział ogniem. Trzykrotnie.

– Luke! – zawołał czyjś głos, gdy tylko strzały ucichły.

Wyjrzał przez okno i zobaczył Sue stojącą z zadartą głową. Najwyraźniej udało jej się uniknąć ognia i wydostać z domu.

– Już po nich. Musicie stamtąd uciekać.

Wystawił głowę przez okno i oszacował wysokość. Od ziemi dzieliło ich jakieś pięć, sześć metrów. Wystarczy, żeby połamać kości albo gorzej. On może i dałby radę przetrwać taki skok, ale nie Begyn. Zauważył jednak rynnę, która biegła przy innym oknie, wzdłuż węgła budynku. Była gruba, zapewne miedziana. Mieliby się czego złapać.

Pobiegł do narożnego okna i je otworzył.

– Szybko – krzyknął do Begyna.

Starszy mężczyzna podszedł do niego. Zanosił się rwącym płucą kaszlem.

– Mam astmę. To się dla mnie nie skończy dobrze.

Jeszcze chwila i dla nich obu może się to skończyć fatalnie.

– Niech pan się złapie rynny, wygnie plecy w łuk i zsunie się po niej, używając stóp jak hamulców.

Pokazał, co ma na myśli.

Begyn nie dyskutował, tylko pokiwał głową i wygramolił się przez okno, mocno chwytając okrągłą rurę. Przycisnął stopy do metalu, wygiął się zgodnie z poleceniem, odrobinę rozluźnił chwyt i zaczął się osuwać na ziemię.

Sue czekała na niego na dole.

Nagle dopadł go atak kaszlu, który zatrzymał go w pół drogi.

Begyn nie mógł złapać tchu. Ciężko sapał i rzeził, walcząc o powietrze. Podniósł głowę i popatrzył

prosto na Luke'a.

– Da pan radę. Niech się pan nie zatrzymuje.

– Moje... płuca... nie mogę... oddychać...

Begyn wyglądał, jakby stracił przytomność. Palce puściły rynnę i bezwładne ciało runęło w dół, zahaczając głową o rurę i ścianę. Sue rzuciła strzelbę na ziemię i próbowała go złapać. Udało jej się złagodzić upadek, ale jego ciężar zwałił ją z nóg i oboje wyładowali na ziemi.

– Jesteś cała? – zawołał Luke.

Widział, jak wygrzebuje się spod ojca.

– Mam go, ale jest nieprzytomny.

– Zabierz go do samochodu.

Oderwał się od okna. Musiał odzyskać ten dziennik. Jaskrawo pomarańczowe płomienie lizały ścianę, w której znajdowało się wejście do garderoby. Ale może udałoby mu się wśliznąć do środka, złapać książkę i wyskoczyć. Przeczytali tylko fragment zaznaczonej strony, a musiał wiedzieć, jakie inne informacje kryją się w środku. Rozejrzał się po sypialni, ale nie znalazł nic, co mogłoby ułatwić mu zadanie.

Czas zacisnąć zęby i brać się do roboty.

– Luke – zawołała z dołu Sue. – Idziemy.

Wystawił głowę przez okno i krzyknął:

– Mówiłem, że macie się stąd wynosić. Zadzwoń na dziewięć jeden jeden. Wracam po ten dziennik.

– Zostaw go!

– Bądź czujna, w lesie może czekać na was więcej kłopotów. Ruszajcie, poruczniku.

Po tych słowach odsunął się od okna.

Coraz gorzej widział. Oczy piekły od dymu, wszędzie wokół tańczyły płomienie.

Coś trzasnęło nad jego głową.

Głośny, bardzo niepokojący odgłos.

Spojrzał w górę i zobaczył, że sufit zaczął się robić czarny. Ogień szalejący na strychu próbował przebić się niżej. Wchodzenie do garderoby nie wydawało się już tak dobrym pomysłem. Chwila zawahania wystarczyła, żeby wszystko zaczęło się rozpadać.

Strop puścił i na sypialnię zwałił się stos płonącego drewna.

Luke skoczył w stronę łóżka, które wydawało się teraz jedyną osłoną.

Poczuł ucisk w piersi, serce mu waliło, nagle uświadomił sobie, że krztusi się dymem. Zanim zrobiło mu się czarno przed oczami i wszystko ucichło, zdążył jeszcze tylko zarejestrować otaczający go zewsząd straszliwy żar.

## ROZDZIAŁ 70

Brytyjscy żołnierze opuścili płonący Kapitol około dziesiątej wieczór, 24 sierpnia 1814 roku, i pomaszzerowali dwójkami w dół Pennsylvania Avenue. Przy szerokiej ulicy stało tylko kilka drewnianych budynków, ostatni odcinek prowadzący bezpośrednio do Białego Domu był po obu stronach porośnięty drzewami. Około godziny jedenastej oddział stu pięćdziesięciu ludzi przeszedł przez ulicę i zbliżył się do pałacu prezydenckiego, który stał pusty, ciemny i przez nikogo niechroniony. Był to najwspanialszy budynek w mieście, zaprojektowany przez samego George'a Washingtona. Czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych, James Madison, wiele godzin wcześniej wsiadł na konia i wyjechał z miasta. Brytyjczycy podejrzewali, że to pułapka, ponieważ nie mogli uwierzyć, że Amerykanie tak po prostu pozwoliliby im wkroczyć do swojej stolicy.

Ale nikt nie stawiał oporu.

Brytyjczycy weszli do Białego Domu jak do siebie, frontowymi drzwiami. W świetle latarni lustrowali eleganckie pokoje, ich nozdrza wypełnił zapach gotującego się jedzenia. W głównej jadalni na parterze znaleźli stół zastawiony dla czterdziestu osób. Był na nim adamaszkowy obrus i serwetki, srebra i ozdobne kieliszki. Na kredensie chłodziły się w lodzie różne gatunki wina. Wszystko było rozłożone jak należy, gotowe do użycia. W kuchni zobaczyli obładowane mięsem różny obracające się nad ogniem, a także garnki pełne warzyw i sosów. Domyślili się, że to kolacja przyrządzona dla prezydenta, z której ten już nie skorzysta. Zasiadli więc do stołu, pili wino, jedli potrawy, wielokrotnie wznosząc toast: „Pokój z Ameryką, wojna z Madisonem”.

Po posiłku żołnierze zaczęli zabierać sobie różne przedmioty na pamiątkę, nic o wielkiej wartości, żeby nie narazić się na oskarżenia o grabież. A było tam wiele cennych sprzętów. W każdym pomieszczeniu stały sofy, sekretarzyki i krzesła z poduszkami, niektóre zgromadził Jefferson podczas pobytu we Francji, inne należały do Washingtona i Johna Adamsa. Na miejscu została również większość rzeczy osobistych Madisonów. Jeden z żołnierzy ściągnął ze ściany portret Dolley Madison z myślą o późniejszym zaprezentowaniu go na wystawie w Londynie. Szabla paradna prezydenta Madisona stała się własnością młodego szkockiego porucznika. Admirał zabrał sobie stary kapelusz Madisona, a także poduszkę z krzesła, która, jak stwierdził, miała mu przypominać „siedzenie pani Madison”.

Kiedy nasycili się ucztą i plądrowaniem, wstawili wszystkie krzesła na stoły, do których przysunęli także pozostałe meble. Rozbili okna, pościel i zasłony oblali naftą. Następnie pięćdziesięciu ludzi zajęło pozycje na zewnątrz, trzymając długie żerdzie, do których przymocowano kule ze szmat nasączonych naftą. Wszystkie podpalamo i na rozkaz wbito je jak oszczepy przez stłuczone okna.

W jednej chwili cały budynek stanął w ogniu.

Palił się równomiernie, trawiony przez płomienie i dym. Dopiero obfity deszcz, który spadł późną nocą, ugasił pożar i ocalił zewnętrzne ściany przed zawaleniem. Z budynku została tylko wydrążona skorupa.

Zorin niezbyt dobrze znał amerykańską historię, chociaż jako młody człowiek studiował niektóre jej aspekty w ramach szkolenia w KGB. Nigdy wcześniej nie słyszał historii o spaleniu Białego Domu przez Brytyjczyków, którą właśnie opowiedział mu Kelly.



Podobała mu się ta opowieść.

– Jeden z żołnierzy napisał później, że czuli się jak „artyści przy pracy” – mówił Kelly. – Byli dumni ze swojego dzieła. Ten najazd miał przekazać Madisonowi jasny komunikat. To Madison i jego zausznicy dążyli do wojny. W tamtym okresie Wielka Brytania była zajęta walkami z Napoleonem i konflikt z Ameryką uważała za niepotrzebne odwracanie uwagi od tego, co naprawdę ważne. Nie mieli ochoty się w to angażować. Ale był też w tym element zemsty. Nie tylko za amerykańską rewolucję, ale również za wcześniejszy epizod tej wojny, kiedy Amerykanie dokonali inwazji na Kanadę i spalili Toronto. Brytyjczycy odpłacili im pięknym za nadobne.

Zorin słuchał tego wszystkiego z dużą przyjemnością.

– Odbudowa Białego Domu zajęła dwa lata, a prace wykończeniowe trwały jeszcze kolejnych dwanaście. Wyobraź to sobie, Aleksandrze. Brytyjczycy kompletnie ich upokorzyli.

Imponujące. Mimo to cisnęło mu się na usta pytanie:

– Co to ma wspólnego z obecną sytuacją?

– Wszystko. Widzisz, w tym samym czasie, kiedy odbudowywano Biały Dom, powstało coś jeszcze.

*W 1814 roku Waszyngton był już od lat siedzibą władz państwowych. Choć znajdował się tam pałac prezydencki, budynek Kapitolu i inne obiekty rządowe, życie w granicach miasta wiązało się z pewnymi ograniczeniami. Znacznie bardziej komfortowe warunki oferowały sąsiednie miasta Georgetown i Alexandria. Nieliczne drogi były w większości niewybrukowane, co oznaczało nieustanne zmagania z kurzem i błotem. Miasto otaczały mokradła, liczne potoki i rzeka Potomac stale groziły powodzią. Mimo to powoli rozwijały się tam dzielnice mieszkaniowe i wznoszono kolejne domy. Ludzie zaczęli osiedlać się w mieście na stałe. Nabożeństwa religijne odprawiano w samym Kapitolu, w ministerstwie skarbu oraz w innych budynkach rządowych.*

*W końcu pojawiły się też wolno stojące kościoły. Dwa z nich były episkopalne, jeden przy wzgórzu kapitolimskim, drugi nieco dalej, w Georgetown. Po niszczycielskim najeździe Brytyjczyków zaczęto domagać się powstania trzeciego kościoła episkopalnego na zachodnim krańcu miasta. Czternastego września 1815 roku położono kamień węgielny na działce dokładnie naprzeciwko Białego Domu.*

*Projekt był bardzo prosty. Kościół zbudowano na planie krzyża greckiego, bez wieży, werandy czy nawy głównej. W środku wznosiła się galeria podtrzymywana przez kolumny. Po bokach ceglanej posadzki biegły zabudowane ławy. Całość zwieńczyła kopuła z latarnią na szczycie. Światło wpuszczały okna w kształcie półksiężyca umieszczone na końcach czterech naw poprzecznych. Prezbiterium było płytkie, dzięki czemu ołtarz znajdował się bliżej wiernych.*

*Kościół został konsekrowany w grudniu 1816 roku.*

*Świątynia ta, z czasem rozbudowana, stoi po dziś dzień na rogu ulic Szesnastej i H, przy Parku Lafayette’a, zaledwie kilkaset kroków od Białego Domu.*

*Kościół episkopalny Świętego Jana, ze swoją żółtą fasadą, portykiem z kolumnami i wysoką wieżyczką, stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych punktów lokalnego krajobrazu. Każdy urzędujący prezydent od czasów Jamesa Madisona przynajmniej raz uczestniczył tu w nabożeństwie. Madison zapoczątkował tradycję „prezydenckiej ławki”. John Tyler opłacił jej użytkowanie po wsze czasy i tak ława numer 54 zawsze czeka na każdego kolejnego prezydenta.*

– Kościół Świętego Jana – powiedział Kelly – to klucz do powodzenia całej misji.

– Tego właśnie dowiedziałeś się z dziennika Tallmadge’a?

Kelly pokiwał głową.

– Kościół przez cały czas jest otwarty dla zwiedzających. Postanowiłem poznać osobiście jego administratora, który pokazał mi wszystkie zakamarki budynku. Wtedy udało mi się potwierdzić to, co Tallmadge napisał w swoim dzienniku dwieście lat temu. KGB nieustannie przeszukiwało amerykańskie legendy. Andropow osobiście natknął się na opowieść z czasów wojny 1812 roku, o której ludzie w tym kraju zwyczajnie zapomnieli.

Kelly nie krył podekscytowania.

– Mów dalej – poprosił Zorin.

Malone próbował podsłuchać trwającą na dole rozmowę, ale głosy były za bardzo przytłumione. Zejście po drabinie byłoby zbyt dużym ryzykiem, dlatego postanowił przejąć kontrolę nad sytuacją i zatrzasnął metalową kłapę, a następnie zaczął układać na niej kawałki pociętego drewna, tak żeby nie dało się w żaden sposób otworzyć wjazdu od wewnątrz.

Teraz tamci dwaj byli zamknięci jak sardynki w puszcze.

Cassiopeia czekała do ostatniej chwili, obserwując dwie ciemne sylwetki zbliżające się do stodoły i wsłuchując się w skrzypienie ich butów na ośnieżonej ziemi.

Z jednym by sobie poradziła, ale raczej nie z dwoma naraz.

Dlatego zrobiła to, co wydawało się najrozsądniejsze.

– Cotton! – zawołała. – Masz towarzystwo!

Obaj mężczyźni stanęli jak wryci i się odwrócili. Jeden ruszył w jej kierunku, a drugi pobiegł dalej w stronę stodoły.

Właśnie na to liczyła.

Malone usłyszał ostrzeżenie Cassiopei i zanurkował za stos drewna. Po chwili drzwi stodoły otworzyły się z hukiem.

I natychmiast rozległ się donośny terkot strzałów z karabinu.

Malone skulił się za drewnem, które na szczęście zapewniało dostateczną osłonę. Obok niego świszczały kule i wbijały się w ściany, roztrzaskując grube bale. Napastnik strzelał na oślep w ciemność, próbując rozwalić wszystko jak leci. A to oznaczało, że nie chciał zostawić nikogo przy życiu.

Łącznie z nim.

# ROZDZIAŁ 71

Zorin usłyszał, jak kłapa od włazu zamyka się z trzaskiem, a potem zaczęły na nią spadać jakieś ciężkie przedmioty. Domyślił się, że ktoś przygniótł właz drewnem, chcąc uwięzić ich na dole. Podbiegł jednak do drabiny i wspiął się po niej, żeby potwierdzić przypuszczenia. Przeklinał sam siebie za to, że był tak nieostrożny. Euforia, jaką wywołało w nim odnalezienie tego miejsca, przytłumiła jego zazwyczaj podejrzliwą naturę.

Wrócił na dół do swojego towarzysza.

– Pewnie nie ma stąd innego wyjścia?

Kelly pokręcił głową, ale nie wyglądał ani trochę na zmartwionego.

– Mam PVV 5-A.

Czyli rosyjską wersję plastycznego materiału wybuchowego. Na twarz Zorina wrócił uśmiech.

Doskonale.

Kelly podszedł do półki, na której stały dwie lodówki turystyczne z pokrywami zaklejonymi szeroką taśmą, i je otworzył. W skrzynkach znajdowało się kilka kostek oliwkowozielonego materiału owiniętego w gruby plastik.

– Leżą tu od dawna – zauważył Zorin. – Do czegokolwiek jeszcze się nadają?

– Trzymałem je w ten sposób od samego początku. Podobno ten materiał ma długą datę przydatności, pod warunkiem, że jest odpowiednio zabezpieczony. Zaraz się przekonamy, czy to prawda.

Cassiopeia nie opuszczała bezpiecznej pozycji za pniem drzewa, ponieważ zorientowała się, że człowiek idący w jej stronę nie ma pojęcia, gdzie jest jej kryjówka. Wszędzie wokół ciągnął się gęsty las, miała więc nad nim przewagę. Z drugiej strony Cotton znalazł się pod ostrzałem. Ze stodoły dochodziły odgłosy prawdziwej kanonady. Musiała się tam jak najszybciej dostać – zaraz po tym, jak upora się z tym nieproszonym gościem.

Opuściła rękę i podniosła z ziemi kamień, który ładnie mieścił jej się w dłoni. Człowiek w czerni był oddalony o dwadzieścia metrów, kierował się ku drzewom stojącym na lewo od niej. Wyrzuciła kamień w górę. Z szelestem przeleciał pomiędzy gałęziami, strząsając z nich śnieg, i wylądował na ziemi na wprost od mężczyzny.

Który bez wahania posłał w tamtym kierunku serię z karabinu.

Złe posunięcie.

Cassiopeia wychyliła się zza drzewa, oparła rękę z pistoletem o pień, wymierzyła i pociągnęła za spust.

Zorin wdrapał się po drabinie do włazu, niosąc w rękach jedną z zielonych kostek plastiku. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz używał materiałów wybuchowych. Podejrzewał, że cała kostka to chyba za dużo, ale nie było czasu, żeby martwić się o siłę wybuchu czy ewentualne zniszczenia.

Kelly znalazł w schronie szpulę miedzianego drutu i szczypce. Całe szczęście, że miał tu na składzie wszystkie niezbędne narzędzia. Na tym w końcu polegała cała idea podobnych magazynów. Miało tu być wszystko, gotowe do użycia, gdy tylko zajdzie potrzeba.

Z braku lepszego miejsca Zorin umieścił kostkę tuż nad ostatnim szczeblem drabiny, kilka centymetrów pod zatrzaśniętą kłapą. Zakładał, że ktokolwiek ich tu zamknął, przygniótł właz stosem drewna, żeby

niemożliwić otwarcie go od dołu. Materiał wybuchowy, który zamierzali za chwilę zdetonować, powinien sobie jednak poradzić bez problemu.

Na górze rozległy się strzały z broni automatycznej.

Dziwne.

Powtarzała się sytuacja z domu Kelly'ego. Coś się działo w stodole nad nimi. Ale tym będą się martwić później, najpierw muszą wydostać się z tej pułapki.

Kelly również wszedł na drabinę, żeby podać mu dwa odsłonięte miedziane druty. Owinął je wokół cegły, po czym precyzyjnie sam metalowe końcówki przez plastikową osłonkę materiału wybuchowego. Tak przygotowany ładunek przymocował ponownie pod włazem i zszedł po szczeblach, uważając, by nie potrącić drutów. Kelly przeciągnął już resztę przewodów na sam koniec schronu.

– Przymknij drzwi – powiedział jego towarzysz. – Najbardziej jak się da bez naruszania drutów.

Rozumiał, w czym rzecz. Siła eksplozji będzie przede wszystkim skierowana w górę, ale również w dół pójdzie fala uderzeniowa, a najważniejsze było teraz bezpieczeństwo ich pięciu bomb walizkowych. Nie wspominając o bezpieczeństwie jego samego i Kelly'ego. Udało mu się niemal zamknąć drzwi, które otwierały się na zewnątrz. Wybuch powinien całkiem je zatrzaskać. Pozostawała jeszcze kwestia sprężenia powietrza w zamkniętej przestrzeni. Kelly pomyślał i o tym – złapał dwa grube wełniane koce i rzucił jeden w stronę Zorina.

Obaj owinęli nimi głowę i uszy. Nie była to idealna ochrona, ale nie mieli nic lepszego.

Wycofali się zaregaly i stół z pięcioma bombami jądrowymi i skulili się w najdalszym zakątku pomieszczenia. Przed nimi leżały końce dwóch miedzianych drutów oraz sześciowoltowa bateria.

Teraz musieli tylko złączyć jedno z drugim i ładunek elektryczny powinien w zupełności wystarczyć, aby rozświetlić tę ciemną noc.

Malone cierpliwie czekał, aż strzały ucichną, leżąc nieruchomo za stosem drewna, dobrze ukryty przed wzrokiem człowieka w drzwiach. Dlatego właśnie nierozsądnie jest tak wpadać dokąś bez zastanowienia. W środku może być ktoś, kto myśli, zwłaszcza jeśli został wcześniej ostrzeżony. Ale ten facet nie wyglądał, jakby się tym przejął. Wolał spróbować za jednym zamachem zabić wszystko, co się rusza.

Ogień na moment ustał.

Malone poderwał się z ziemi, klęknął, odnalazł wzrokiem swój cel i oddał trzy strzały. Napastnik padł jak kłoda. Malone szybko podbiegł do drzwi, nie opuszczając broni, kopnięciem odrzucił karabin i sprawdził puls na szyi mężczyzny.

Był już martwy.

Cassiopeia usłyszała strzały i zobaczyła, jak człowiek w drzwiach stodoły pada na ziemię. Najwyraźniej Cotton był na niego gotowy. Po chwili z budynku wyłoniła się tak dobrze jej znana sylwetka.

Podbiegła do niego po resztkach trawy.

– Wszystko w porządku? – zawołała z daleka.

– Jest ich tam więcej?

– Drugiego już załatwiłam.

Była dziesięć metrów od niego.

Zorin trzymał jeden drut, a Kelly drugi. Bateria leżała na podłodze pomiędzy nimi. Mieli głowy owinięte kocami, żeby osłonić uszy przed hukiem eksplozji, która miała zaraz wstrząsnąć ich podziemnym więzieniem. Oficerowie KGB żyli dla takich chwil, po to właśnie szkolili się przez długie lata. Zorin

czuł, że nareszcie obudził się z nieznośnego transu, w który sam się wprowadził. Tak długo błąkał się po omacku jak pijany, snuł się przez życie pełen frustracji i rozczarowania. Teraz w końcu znów nabrał wiatru w żagle.

Znowu parł przed siebie. I nic nie mogło go powstrzymać.

Spojrzał na Kelly'ego i skinął głową.

Jednocześnie przyłożyli przewody do styków baterii.

Zaiskrzyło.

Malone szedł w stronę Cassiopei. Właśnie miał jej powiedzieć, że zamknął Zorina i Kelly'ego w potrzasku, kiedy stodoła eksplodowała.

Wszystko wyleciało w górę, fala powietrza dosięgła Cottona i Cassiopei, rzucając ich oboje na ziemię. Malone poczuł niesamowity ból pod czaszką, jego zmysł równowagi zupełnie przestał działać. Dźwignął się z ziemi, żeby znaleźć Cassiopeię. Leżała kilka kroków od niego. Doczołgał się do niej, siłą woli zmuszając swoje mięśnie do pracy. Z nieba zaczął padać deszcz odłamków z wysadzonej stodoły. Resztkami sił położył się na Cassiopei, żeby zasłonić ją własnym ciałem.

Jego mięśnie były zdrętwiałe z bólu.

Świat przed oczami zniknął.

Zorin zdjął koc z głowy, to samo zrobił Kelly. Siła wybuchu poszła w górę, a metalowe drzwi do schronu z hukiem się zatrzasnęły, w dużej mierze osłaniając ich przed falą uderzeniową. Ścianami wstrząsnął potężny podziemny grzmot, który zdążył już ucichnąć. Wszystko pozostało na swoim miejscu. Nadal mieli prąd i lampy na suficie paliły się równie jasno jak przedtem.

Wstali.

Pięć bomb walizkowych ciągle leżało na stole. Wyglądało na to, że nic im się nie stało.

Zorin podszedł do drzwi i pchnął je przed siebie. Szyb z drabiną był pusty, właz na samej górze zniknął bez śladu. Wytężył słuch, ale nie słyszał zupełnie nic. Stodoła nad nimi już niczego nie zasłaniała. Z nieba padał śnieg.

– Przygotuj jedną walizkę do drogi – powiedział do Kelly'ego. – Ja sprawdzę, jak to wygląda na górze.

Złapał latarkę, wyciągnął pistolet i wdrapał się na powierzchnię. Tylko jakieś pół stodoły stało jak dawniej, reszta rozleciała się we wszystkich kierunkach w promieniu dwudziestu metrów. Słaby promień latarki zaczął lekko migotać, gdy Zorin wskoczył na rumowisko. Rozejrzał się naokoło i zobaczył ciało. Kiedy odwrócił je na plecy, ujrzał trzy rany po kulach w klatce piersiowej.

Ten człowiek zginął przed wybuchem. W strzelaninie, którą słyszał wcześniej.

Oświetlając to, co zostało ze stodoły, w którymś momencie natknął się na jeszcze jednego trupa. Podszedł bliżej, kucnął i zaczął odrzucać kawałki starego drewna. Nie. To były dwa ciała, jedno na drugim. Przewrócił to na górze i w świetle latarki rozpoznał twarz.

To ten Amerykanin, Malone.

Tutaj?

Pod nim leżała jakaś kobieta.

Nagle Zorin poczuł się bardzo nieswojo. Jak to możliwe?

– Aleksandrze.

Kelly wyszedł ze schronu. W rękę niósł walizkę.

Czy ten zastrzelony był sprzymierzeńcem Malone'a, czy też jego wrogiem? Strzały, które słyszał przez właz, świadczyły o tym, że odbyła się tam walka. Czy w takim razie ten drugi należał do SWR? Możliwe.

Nawet prawdopodobne. Nagle ogarnęły go wątpliwości, jakby zobaczył przed sobą zastawioną pułapkę.

Kelly podszedł do niego.

– Amerykanie?

– Ten na pewno.

– Skąd wiesz?

– Miał umrzeć na Syberii. Tamten mógł być z Rosji, tak jak ci w twoim domu.

– Wynajęty samochód – odgadł Kelly. – Możliwe, że znaleźli nas dzięki niemu. Przy dzisiejszej technologii to nie problem. Po prostu założyłem, że nikt tutaj nie będzie nas obserwował. Powinieneś być i powiedzieć mi wszystko, kiedy jeszcze byliśmy u mnie. Niektóre rzeczy zrobiłbym inaczej.

Teraz już na to za późno.

Wyprostował się. Wokół panowała cisza. Eksplozja z pewnością przyciągnęłaby posiłki.

Ale nikt więcej się nie pokazał.

Może była tu tylko ta trójka.

– Wszystko gotowe – oznajmił Kelly, unosząc walizkę. – Bateria pociągnie jeszcze co najmniej kilka dni. Do jutra wystarczy w zupełności.

Zorinowi w głowie kłębiły się nowe możliwości. Pomysły na to, jak uporać się z Amerykanami i dopilnować, żeby misja zakończyła się sukcesem.

Musieli myśleć i improwizować.

– Zabieramy wszystkie pięć walizek.

– One są ciężkie, Aleksandrze.

Pamiętał. Każda ważyła około dwudziestu kilogramów.

– Poradzimy sobie.

Powinni też zmienić pojazd. Przeszukał kieszenie Malone'a i znalazł kluczyki.

– Potrzebujemy rzeczy, które są w naszym samochodzie – zauważył Kelly.

Zorin też chciał odzyskać swój worek.

– Przyniosę je. Ty przygotuj pozostałe bomby. Zaraz wrócę i pomogę ci je wnieść na górę.

I jeszcze coś. Kelly nie zdążył opowiedzieć mu do końca o kościele Świętego Jana, Białym Domu i tajemnicy, którą ujawnił dziennik Tallmadge'a.

– Musisz dokończyć to, co zacząłeś mówić na dole.

– A ty musisz mi wyjaśnić, co Amerykanie robili na Syberii.

## ROZDZIAŁ 72

Malone otworzył oczy.

Twarz miał przysypaną śniegiem, który wchodził mu też za kołnierz. Ktoś nim potrząsał, wołał go po nazwisku. Rozpoznał twarz. To był jeden z agentów z McDonalda. Jego skronie przeszywał chłód i wszystkie zmysły miał przytępione, ale już sam fakt, że czuł cokolwiek, poczytywał za dobry znak, zważywszy na to, co zdarzyło się wcześniej.

Stodoła wyleciała w powietrze, zasypując odłamkami zarówno jego, jak i Cassiopeię. Leżał teraz obok niej, a drugi z agentów próbował ją ocucić. Malone wsparł się na łokciach. Głowa mu pękała, kark był cały sztywny, przed oczami widział ciemne plamy. Usta miał tak suche, że zaczął wsysać padający mu na twarz śnieg. W każdym ciężkim oddechu, który natychmiast zmieniał się w parę, dotkliwy ból mieszał się z poczuciem wielkiej ulgi. Spojrzał na zegarek. Było nieco po piątej rano. Leżeli tu nieprzytomni przez kilka godzin.

– Czekaliśmy najdłużej, jak mogliśmy – powiedział jeden z agentów. – Potem tu przyjechaliśmy i znaleźliśmy was.

Cassiopeia usiadła prosto i popatrzyła na Malone’a.

– To bolało.

– Jeszcze jak.

– Co się stało? – zapytał agent.

Malone z wysiłkiem wstał z ziemi i wciągnął głęboko zimne powietrze, próbując oczyścić płuca.

– Zorin nie miał ochoty siedzieć zamknięty pod ziemią. Więc wysadził wszystko w powietrze i zrobił sobie wyjście. Nie słyszeliście?

– Byliśmy piętnaście kilometrów stąd, wewnątrz budynku.

– Co z tamtymi dwoma, których pokonaliśmy? – zapytała Cassiopeia.

– Obaj nie żyją – oznajmił agent. – Wciąż próbujemy ustalić, w jaki sposób namierzyli Zorina.

Nie mogło to być aż tak trudne. Jak zauważyła wcześniej Cassiopeia, Rosjanie wiedzieli ogólnie o składach broni, nie znali jedynie szczegółów, zwłaszcza dotyczących ewentualnych pułapek. Po prostu mieli oczy otwarte i w którymś momencie szczęście się do nich uśmiechnęło. Ale to nie oni stanowili teraz problem.

Malone spojrział na pozostałości stodoły.

– Musimy rzucić na coś okiem.

Dzięki adrenalinie, która znów zaczynała krążyć w jego żyłach, powoli odzyskiwał przytomność umysłu. Pożyczył od jednego z agentów latarkę i ruszył w ciemność. Znalazł to samo wejście do podziemi co przedtem. Metalowa kłapa zniknęła bez śladu i została tylko zwykła dziura w ziemi.

– Szyb zadziałał jak lufa armaty, skierował siłę wybuchu w górę zamiast na boki – stwierdził. – Tylko dzięki temu przeżyliśmy.

Musiał tu kiedyś być schron bombowy, a może cały ten obiekt został od podstaw zbudowany przez KGB. Znowu zakręciło mu się w głowie, więc na chwilę stanął w miejscu, czekając, aż świat przestanie wirować.

– Wy zostańcie tutaj i pilnujcie – zawołał do agentów. – Naprawdę nikt nie słyszał eksplozji?

– Jesteśmy na zupełnym odludziu. Następna farma jest kilka kilometrów stąd.

Malone zaczął schodzić po drabinie. Miał nadzieję, że w tych ciemnościach nie czeka na niego więcej

pułapek. Na dole znalazł na wpół otwarte metalowe drzwi, które najpierw dokładnie obejrzał. Nie widział w nich jednak nic podejrzanego.

Ostrożnie otworzył je szerzej i zaświecił latarką do środka.

Na zaokrąglonej ścianie był zainstalowany włącznik światła połączony kablem ze świetlówkami na suficie. Przez chwilę wahał się, czy go użyć. W końcu machnął ręką i po prostu włączył światło.

Lampy rozjarzyły się niemal natychmiast. Wyłączył latarkę.

Cassiopeia weszła do pomieszczenia zaraz po nim.

W środku ujrzeli imponujący zbiór przeróżnych zapasów i sprzętów. Było tu wszystko, czego mógłby potrzebować zawodowy szpieg. W przenośnej lodówce leżały kostki plastycznych materiałów wybuchowych, co tłumaczyło, jak Zorinowi udało się uwolnić z potrzasku. Malone obejrzał też małą kolekcję pistoletów, karabinów oraz amunicji, jak również zapasy artykułów pierwszej potrzeby.

Nigdzie jednak nie było widać bomb walizkowych RA-115.

Po jednej stronie schronu stał duży stół z całkiem pustym blatem. Nic nie wskazywało na to, że kiedyś trzymano tu broń jądrową.

– Świetnie – mruknął. – Zorin zniknął, a my dalej nie mamy pojęcia, czy stanowi zagrożenie, czy nie.

Żałował, że nie udało mu się wtedy podsłuchać tamtej rozmowy. Walnął pięścią w ścianę w bezsilnej złości. Zalała go fala obezwładniającego gniewu, wypełniła go aż po gardło. Nawalił. Widowskowo dał ciała. Ci dwaj agenci powinni byli przyjechać tu z nimi jako wsparcie, ale on cały czas starał się utrzymać sprawę w tajemnicy. Miał wrażenie, że całe to miejsce z niego szydzi i choć pomieszczenie było dość przestronne, źle się czuł w tej zamkniętej przestrzeni. Widząc, że niczego więcej się tu nie dowiedzą, wrócili na powierzchnię.

– Tamten samochód ciągle stoi na drodze? – zapytał agentów, a ci odpowiedzieli twierdząco.

Malone i Cassiopeia pobiegli do pojazdu, który stał kawałek za zwalonymi drzewami blokującymi dalszy przejazd. Cassiopeia chyba się domyśliła, czego szuka, ponieważ oboje w pierwszej kolejności zajrzeli przez tylne okna. Nylonowa torba, która leżała tam wcześniej, zniknęła.

– A zatem najwyraźniej potrzebowali młota, szczypców i skobla – stwierdziła.

Na to wyglądało.

Dwaj agenci za chwilę ich dogonili.

– Czy nasz samochód tu jest? – zapytał Malone. – Czarny, zaparkowany przy głównej drodze?

– Nie widzieliśmy żadnego samochodu.

Cudownie.

– Ma nad nami kilkugodzinną przewagę – zauważyła Cassiopeia. – Więc dokądkolwiek planował się dostać, na pewno jest już na miejscu.

– I co gorsza, nikt go przez ten czas nie szukał.

Czas przekazać złe wieści.

Stephanie siedziała przy małym biurku w swoim pokoju hotelowym, dokąd wróciła zaraz po wizycie w Departamencie Sprawiedliwości. Po drodze zadzwoniła do Danny'ego, żeby mu powiedzieć, że może zakładać nowy biznes jako wróżbita. Roześmiał się i odparł, że nie trzeba jasnowidza, żeby odczytać myśli tych ludzi. Po powrocie nie mogła zasnąć. Na zewnątrz, trzy piętra niżej, żółte lampy oświetlały główne wejście do hotelu, taksówki i samochody z wypożyczalni jeździły w tę i z powrotem. Prószył delikatny śnieg, ale chodniki i ulice nie były oblodzone. Za kilka godzin będą tego żałować. Lepsza pogoda oznacza większe tłumy, większy chaos, większe szanse dla Zorina.

Zadzwonił jej telefon.

– Obyś miał dobre wieści – powiedziała do słuchawki.



– Nie mam – odparł Cotton.

I opowiedział jej, co się wydarzyło.

– W całym mieście są kamery – powiedziała. – Każę przejrzeć wszystkie nagrania. Ten samochód musi się gdzieś pojawić.

– Zakładając, że Zorin faktycznie wjedzie do Waszyngtonu. Równie dobrze może planować atak z powietrza, który przeprowadzi spoza miasta.

– Niebo mamy lepiej chronione niż ziemię.

– Zostawiam to tobie. Wracamy do Białego Domu.

Rozłączyła się. Uznała, że to dobry moment, żeby odegrać małą scenkę, która potwierdzi jej nowy układ z Foksem. Wybrała numer komórki Litchfielda. Ten dureń odebrał prawie od razu i Stephanie oznajmiła mu, że na razie nic nie znaleźli, a Zorin jest nadal na wolności.

– Żadnych dowodów, że ma bombę? – upewnił się Litchfield.

– Niestety.

– Fox będzie chciał trzymać się ustalonego programu.

– Rozumiem.

– Będę w Białym Domu około dziesiątej – powiedział. – Jeśli do tego czasu cokolwiek się zmieni, daj mi znać, a ja dopilnuję, żeby Fox natychmiast zareagował.

– Jakby co, dowiesz się jako pierwszy.

Zakończyła połączenie. Czują do siebie obrzydzenie za to, że udaje skłonną do współpracy. Nadal zamierzała jeszcze dziś złożyć rezygnację. Flaki jej się przewracały na myśl, że miałyby pracować dla tych ludzi. Już sam Litchfield wystarczająco ją do tego zniechęcił. Znajdzie sobie jakieś inne zajęcie. Może weźmie przykład z Cottona i przeprowadzi się za granicę. Ta perspektywa zawsze wydawała jej się atrakcyjna.

Telefon zadzwonił ponownie.

Luke. Nareszcie.

W słuchawce usłyszała jednak głos kobiety.

– Nazywam się Sue Begyn. Jestem córką Lawrence’a Begyna. Luke Daniels przyjechał z nim porozmawiać.

Nie brzmiało to dobrze.

– Skąd ma pani telefon Luke’a?

– On jest ranny. W końcu zdołałam wydobyć jego komórkę od pielęgniarki. To był ostatni numer, z jakim się kontaktował, dlatego pod niego zadzwoniłam. Zna pani Luke’a?

Teraz naprawdę ogarnął ją strach.

– Jestem jego szefową. Proszę mi powiedzieć, gdzie jesteście.

## ROZDZIAŁ 73

Zorin czuł się lepiej. Udało im się ukraść samochód Malone'a i dotrzeć do Waszyngtonu bez żadnych incydentów. Nowy dzień przywitał ich porywistym wiatrem i ołowianymi chmurami, przez które tylko z rzadka przebijało się słońce. Zabrali ze sobą wszystkie pięć walizek i całą elektrykę mogącą świadczyć o tym, że kiedyś w tym schronie trzymano broń jądrową. Po drodze do miasta opowiedział Kelly'emu, co się wydarzyło w dacy na Syberii, nie zatajając żadnych szczegółów na temat tego Amerykanina, Malone'a. Kelly natomiast przekazał mu kolejne zadziwiające informacje związane z ich planem. Zorin rozumiał już teraz, dlaczego Andropow tak dalece zafascynował się historyczną ciekawostką dotyczącą mało znanego amerykańskiego stowarzyszenia z czasów wojny o niepodległość, na którą przypadkiem natknął się czterdzieści lat temu jakiś bystry sowiecki dyplomata.

Jak mówił Kelly, była to prawda, o której ludzie po prostu zapomnieli.

Stanęli na parkingu przy Union Station, wśród miliona innych pojazdów. Mieli nadzieję, że nikt nie szuka ich samochodu, a jeśli tak, to nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby sprawdzić akurat tutaj. W bagażniku leżały cztery bomby walizkowe RA-115, gotowe do użycia. Jeszcze w schronie przyszedł mu do głowy pomysł, jak odwrócić uwagę Amerykanów i poraz ostatni dać im fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Zanim udali się na poszukiwania jakiejś otwartej restauracji, poszli obejrzeć kościół Świętego Jana i odkryli coś, co ich zdumiało. Budynek był zamknięty, ponieważ już od roku trwały w nim prace remontowe. Ściany były zastawione rusztowaniami, które sięgały aż do czubka dzwonnicy. Nie odbywały się tu dziś żadne nabożeństwa. Kelly obawiał się, że będą musieli dostać się do środka dużo wcześniej, przed przybyciem pierwszych wiernych; teraz okazało się, że nawet to nie będzie konieczne. Cały teren ogradała wysoka siatka postawiona na czas remontu. Kiedy ją pokonają, nikt już nie powinien im przeszkadzać. Ponieważ wokół kościoła nie było dziś nikogo, mogli także bez obaw ukryć wśród gruzów nylonową torbę, którą zabrali z wynajętego samochodu.

Park Lafayette'a zaczynał się od razu po drugiej stronie ulicy. Zaraz za nim, zaledwie trzysta metrów stąd, stał Biały Dom. Ten imponujący budynek został podświetlony już wczesnym rankiem na powitanie nowego prezydenta. Skończywszy rekonesans, Zorin i Kelly przeszli kilka przecznic dalej, znaleźli tanią restaurację i zamówili śniadanie.

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy omówić – powiedział półgłosem Kelly, gdy przyniesiono im jedzenie.

Stoliki szybko zapełniały się klientami niecierpliwie czekającymi na obsługę. Do uszu Zorina docierały strzępki typowych rozmów turystów, dyskusji politycznych i plotek. Po raz kolejny znalazł się w otoczeniu swoich wrogów. Ale to nie był zwykły niedzielny poranek. Ten dzień miał przejść do historii. Co najmniej z kilku powodów.

Zajął się jajkami, kiełbaską i grzanką na talerzu.

– Nie wyjedziemy już stąd, prawda? – zapytał cicho Kelly.

Zorin podniósł wzrok na swojego towarzysza. Nie było sensu kłamać.

– Ja na pewno nie.

– Od chwili, kiedy otworzyłem drzwi i zobaczyłem cię na progu – podjął Kelly – wiedziałem, że mój czas również nadszedł. Po tamtej strzelaninie w moim domu parę rzeczy do mnie dotarło. Jestem już za stary, żeby uciekać i co chwila oglądać się za siebie. Żeby przez cały czas zastanawiać się, czy to dziś

jest ten dzień, kiedy w końcu mnie dopadną.

Zorin dobrze rozumiał to uczucie nieustannej paranoi. Doświadczał go każdy oficer służący za granicą. Życie w kłamstwie oznaczało ciągły strach, że prawda wyjdzie na jaw. Ale zawsze istniała droga ucieczki. Jeśli zostałeś zdemaskowany albo wpadłeś w inne tarapaty, wystarczyło przedostać się z powrotem na teren Związku Radzieckiego.

Dzisiaj nie było już takiej możliwości.

– Nie mamy dokąd pójść – mruknął.

Kelly pokiwał głową.

– Nikt nas nie chce, Aleksandrze. Ty i ja to jedyne, co pozostało ze świata, który już nie istnieje.

Zorin wrócił myślami do akademii wojskowej i ośrodka szkoleniowego KGB. W tamtych czasach nigdy by mu nie przyszło do głowy, że to on będzie kiedyś ostatni na linii frontu.

– Zdałem sobie sprawę – mówił dalej Kelly – że dla ciebie ta misja to podróż w jedną stronę. Chcę, żebyś wiedział, że ja także nie planuję wracać do domu. Dokądkolwiek nas to zaprowadzi, ja się nie cofnę.

– Jesteś dobrym i lojalnym oficerem.

– Urodziłem się do tej pracy. Moi rodzice oboje służyli w KGB i wychowali mnie na przyszłego funkcjonariusza. Nie znam innego życia, choć przez bardzo długi czas prowadziłem fikcyjną egzystencję.

Zorin również znał ten ciężki do wytrzymania paradoks.

Był nadspodziewanie głodny, a w restauracji unosił się przyjemny zapach świeżo parzonej kawy. Skinął na kelnerkę, że chce zamówić jeszcze coś.

Kelly się uśmiechnął.

– Skazanym na śmierć zawsze dopisuje apetyt.

– Teraz rozumiem dlaczego. Świadomość, że niedługo wszystko się skończy, napędza człowieka dziwnym spokojem.

– Jedyne, czego żałuję – powiedział Kelly – to że nigdy się nie ożeniłem. Chciałbym tego doświadczyć.

– Moja żona była dobrą kobietą, która umarła zbyt młodo. Teraz jednak cieszę się, że odeszła. Gdyby wciąż żyła, być może nie znalazłbym w sobie odwagi, żeby zrobić to, co muszę.

Była jeszcze Anja.

Powinien zadzwonić i się z nią pożegnać. Wciąż to od siebie odsuwał, wiedząc, że nie może jej powiedzieć całej prawdy. Sama podjęła się odnalezienia dziennika. Powinien jej powiedzieć, że ta książka nie jest im już potrzebna. To ważne, żeby usłyszała to od niego. Ciągle miał przy sobie komórkę kupioną w Irkucku. Włączył ją kilka godzin temu, ale Anja jak dotąd nie próbowała się z nim skontaktować.

– Chciałeś przywieźć wszystkie pięć – zmienił temat Kelly.

To prawda. Jedna z bomb właśnie spoczywała pod stołem u jego stóp, bezpiecznie ukryta w gustownej, aluminiowej obudowie.

– Czas, żebyś wyjaśnił, jaki miałeś w tym cel.

– Musimy dopilnować, żeby Amerykanie mieli pełne ręce roboty – powiedział. – A skoro jestem już pewny twoich intencji, jest jeszcze coś, co mógłbyś zrobić, żeby zagwarantować sukces naszej misji. To będzie przedostatnia niespodzianka dla naszych wrogów.

Kelly'emu wyraźnie podobał się ten pomysł.

– Mów, co masz na myśli.

Cassiopeia weszła do Sali Niebieskiej. Razem z Cottonem przyjechali z Wirginii prosto do Białego

Domu. Owalne pomieszczenie swoją zwyczajową nazwę zawdzięczało efektownym niebieskim dywanom i pasującym do nich zasłonom. Kilkoro drzwi prowadziło do sąsiednich pokoi, a jedno, całe przeszklone, wychodziło na trawnik od strony południowej, gdzie było widać część ogrodu różanego, a także magnolie zasłaniające blade słońce. Normalne meble zostały wyniesione i zastąpiono je rzędami wyściełanych krzeseł ustawionych przodem do mównicy przed kominkiem. Naprzeciwko niej, w pobliżu drzwi wyjściowych, stała kamera telewizyjna. W środku nie było nikogo, a wszystkie drzwi zablokowano aksamitnymi linami.

– Za chwilę dużo się tutaj wydarzy.

Cassiopeia odwróciła się i zobaczyła Danny’ego Danielsa.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać, kiedy byliście tu kilka godzin temu – powiedział.

– Dobrze pana znowu widzieć.

Prezydent stanął obok niej.

– Cotton rozmawia z Edwinem – wyjaśniła. – Postanowiłam przyjść i rzucić okiem.

– To miejsce robi wrażenie. Dzisiaj powita nowego prezydenta.

– Nie wydaje się pan zbyt podekscytowany.

– Będę tęsknił za tą pracą.

– A pańskie plany na przyszłość?

Cassiopeia zaliczała się do garstki osób, które wiedziały o Danielsie i Stephanie. Do tego zamkniętego kręgu należeli jeszcze tylko pierwsza dama i Edwin Davis. Ona sama dostała się do niego przypadkiem, w wyniku innej sytuacji kryzysowej kilka miesięcy temu. Cotton przeczuwał, że coś wie, ale zbywała wszystkie jego pytania. Na pewno nie można o niej powiedzieć, że nie umie dotrzymać tajemnicy.

– Pauline i ja pożegnaliśmy się ze sobą – odparł niemal szeptem. – Oboje zaczynamy nowy rozdział w życiu. Ale jak to mówią, nie trzeba mieć spadochronu, żeby wyskoczyć z samolotu. Jedynie jeśli chce się wyskoczyć więcej niż raz.

– Zawsze umiał pan na wszystko spojrzeć z właściwej perspektywy. Będzie mi tego brakowało.

Wzruszył ramionami.

– Nawet nostalgia nie jest już taka jak kiedyś.

– Cotton jest na siebie mocno wkurzony.

– To nie jego wina, że Zorin postanowił wszystko wysadzić w powietrze. Pytanie brzmi: czy mamy się czego obawiać z jego strony?

Zaraz po powrocie usłyszeli, że ludzie z Secret Service sprawdzili bunkier pod kątem promieniowania, ale nie wykryli go dostatecznie dużo, żeby móc wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski. Powiedziano im również, że Luke Daniels jest ranny i leży w szpitalu.

– Jakieś nowe wieści w sprawie Luke’a? – zapytała.

– Stephanie do niego pojechała. Niedługo będziemy wiedzieć więcej.

Patrzyła, jak omiata wzrokiem pustą salę.

– Czy zaprzysiężenie trwa długo?

Pokręcił głową.

– Przewodniczący Sądu Najwyższego odczyta tekst przysięgi, najpierw wiceprezydentowi, potem prezydentowi. My wszyscy będziemy się gapić i prężyć przed kamerą. Zajmie to piętnaście, maksymalnie dwadzieścia minut. Dzisiaj nie ma żadnych przemówień, to wszystko będzie jutro, podczas publicznej ceremonii przed Kapitołem. Pół godziny i możemy iść. Ale Fox planuje zostać odrobinę dłużej.

– Ciągłe nie mamy twardych dowodów, że w mieście są bomby.

– Są tutaj. Czuję to.

Jej instynkt podpowiadał to samo.

– Musicie mieć oczy otwarte – powiedział. – Ty i Cotton jako jedyni jesteście w stanie zidentyfikować

Zorina i Kelly’ego.

Na szczęście oboje zdążyli im się przyjrzeć przez okno na Wyspie Księcia Edwarda.

– Wraca pan jutro do Tennessee?

Pokiwał głową.

– Znowu w domu.

Wydawał się trochę nieobecny, jakby myślami błądził gdzie indziej.

– Mam złe przeczucia – mruknął pod nosem. – Naprawdę złe przeczucia.

Zorin skończył wyjaśniać swój plan i z zadowoleniem stwierdził, że Kelly popiera proponowaną przez niego taktykę.

Kelnerka przyniosła drugie zamówienie.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedział Kelly – że przed nami jeszcze nikt nie zadał bezpośredniego ciosu naszemu naczelnemu wrogowi?

Wiedział o tym. To dla niego dużo znaczyło.

Nareszcie ukończy swoje zadanie.

Wyciągnął rękę do Kelly’ego.

– Zrobimy to razem, dla naszej ojczyzny.

Uścisnęli sobie mocno dłonie. Byli towarzyszami broni i obaj się cieszyli, że właśnie tak się to skończy.

– Jedz – powiedział Zorin. – Ja muszę zadzwonić. – Wyciągnął z torby telefon. – Wyjdę na zewnątrz, to zajmie tylko chwilę.

Wstał od stolika. Po drodze rzucił mu się w oczy zegar wiszący na ścianie za ladą.

Była 7:50.

Zostały cztery godziny.

## ROZDZIAŁ 74

Stephanie pożyczyła samochód należący do Białego Domu i znalazła szpital w Manassas w stanie Wirginia. Gdy tylko dowiedziała się o Luke'u, zadzwoniła do Danny'ego, a ten powiedział, żeby wyruszyła niezwłocznie. Po przyjeździe spotkała się z Sue Begyn, która wyjaśniła, że Luke doznał wstrząśnienia mózgu i ma uszkodzone oskrzela w wyniku długotrwałego wdychania dymu. Ciągłe nie odzyskał przytomności, cały czas podawano mu tlen, żeby oczyścić płuca. Na szczęście nie miał poparzeń. Schował się pod ciężkim łóżkiem, które się na niego zawaliło, ale jednocześnie osłoniło przed ogniem na tyle długo, że Sue zdążyła go stamtąd wyciągnąć. Ta nieznajoma kobieta najwyraźniej ryzykowała życiem, żeby go uratować. Stephanie nie mogła w to uwierzyć, dopóki nie odkryła, że Sue należy do piechoty rzecznej.

Stojąc przy szpitalnym łóżku, patrzyła na młodego Danielsa. Był dobrym agentem. Zatrudniła go za rekomendacją jego wujka, ale wzorową służbą udowodnił, że nadaje się do tej pracy. Nawet Cotton nie szczędził mu pochwał. Lekarz powiedział, że powinien z tego wyjść, ale będzie musiał tu poleżeć jeszcze co najmniej kilka dni. Teraz Stephanie musiała się dowiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w tamtym domu.

Sue została wezwana do sali, w której leżał jej ojciec. Podczas ucieczki z płonącego budynku dostał ostrego ataku astmy i teraz znajdował się w półśpiączce, ale lekarze dawali mu duże szanse. Na szczęście straż pożarna i ratownicy medyczni zjawili się na czas i szybko przewieźli obu mężczyzn do szpitala. Stephanie nie naciskała na Sue, widząc, że jest wytrącona z równowagi z powodu ojca, zresztą sama chciała najpierw sprawdzić, co z Lukiem.

Ale czas uciekał. Południe zbliżało się wielkimi krokami.

Numer rejestracyjny oraz opis rządowego samochodu skradzionego w Wirginii przekazano wszystkim jednostkom policji w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Waszyngtonu. Przeglądano nagrania z miejskiego monitoringu w nadziei, że gdzieś tam da się zauważyć zaginiony pojazd. Stephanie wiedziała jednak, że takie szczęście miewa tylko policja w telewizji. W mieście było tylu ludzi, do tego o wiele za dużo samochodów. A setki kamer oznaczały tysiące godzin nagrań, które ktoś musiał obejrzeć.

Ludzie z Secret Service zabezpieczyli skład broni, ale nie znaleziono ani śladu bomb typu RA-115. Co gorsza, nikt nie miał pojęcia, jak wygląda Zorin. W amerykańskich bazach danych nie istniały żadne zdjęcia, a Rosjanie nie kwapili się, żeby czymkolwiek się podzielić – zakładając, że w ogóle dysponowali jego aktualną fotografią. Ten człowiek od bardzo dawna nie działał aktywnie w branży. Jedyne Cotton i Cassiopeia byli w stanie go rozpoznać. Kelly także okazał się dużym problemem, ponieważ o nim nie wiedzieli praktycznie nic. Nie znaleziono żadnych dokumentów, amerykańskich czy kanadyjskich, wystawionych na jego nazwisko. Nie było to zaskakujące. W końcu ten człowiek uczył się, jak być niewidzialnym. Kanadyjskie służby przepytwały sąsiadów i pracodawcę, ale nie zdobyły ani jednej aktualnej fotografii. Najwyraźniej Kelly całe życie stronił od aparatów.

Drzwi się otworzyły i do pokoju Luke'a weszła Sue.

– Jak twój ojciec?

– Wyjdzie z tego. Ale musi tu zostać kilka dni.

– Chcę wiedzieć, co się stało.

– Trzej ludzie zaatakowali dom. Użyli granatów zapalających. Udało mi się uciec przez okno, ale usłyszałam w środku strzały. Strażacy powiedzieli mi, że znaleźli ciało, więc Luke musiał jednego zabić.

Ja zastrzeliłam pozostałych dwóch na ulicy. Wyciągnęliśmy stamtąd mojego ojca, ale dostał nagle ataku astmy. Luke został w środku.

– Wiesz dlaczego?

Pokręciła głową.

– Stałam na straży przed sypialnią, nie weszłam do środka z ojcem i Lukiem. Szukali dziennika Tallmadge’a, ale nie mam pojęcia, czy cokolwiek znaleźli.

Mimo to Luke ryzykował życiem, żeby zostać wewnątrz płonącego budynku.

Zadzwoił telefon. Nie jej własny. Anji Pietrowej.

Ciarki przeszły jej po plecach.

– Możesz chwilę poczekać na korytarzu? – zapytała.

Gdy Sue zamknęła za sobą drzwi, Stephanie odnalazła w kieszeni komórkę, którą nosiła przy sobie od chwili, gdy Luke wydobył ją z wraku samochodu Pietrowej.

– Anja – usłyszała męski głos.

– Nie, towarzysz Zorin, Anji tu nie ma.

W słuchawce zapadła cisza.

– Nazywam się Stephanie Nelle. Pracuję dla Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. Wiemy, co pan robi.

– Szczerze wątpię.

– Na pewno? W końcu mam ten telefon.

– Gdzie Anja?

– Nie żyje.

Cisza.

– Jak zginęła?

– Rozbiła się samochodem, kiedy uciekała przed nami. – Stephanie postanowiła blefować na całego. – Wiemy, że jest pan w Waszyngtonie i ma przy sobie groźną broń. Nasi ludzie przejęli już magazyn w Wirginii.

– To bez znaczenia. Sami widzieliście, jest pusty.

– Zabrał pan ze sobą wszystkie pięć?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

Wiedziała, że w ten sposób nic z niego nie wyciągnie i wcale się tego nie spodziewała. Miała do czynienia z człowiekiem, który grał w tę grę jeszcze w czasach, kiedy to rzeczywiście była poważna gra.

– Nie dotrze pan do Białego Domu.

– Już tam jestem.

I wtedy się rozłączył. Koniec rozmowy.

Mówił prawdę czy kłamał? Nie sposób tego stwierdzić. Zrobiła, co mogła, żeby wyprowadzić go z równowagi, ale zachował spokój, nawet gdy się dowiedział, że jego kochanka nie żyje. Nie wiadomo jednak, jak bliska była ich relacja. Zresztą nawet gdyby nie łączyło ich nic szczególnego, człowiek pokroju Zorina i tak nie dałby po sobie niczego poznać.

Spojrzała na Luke’a.

To, co on wiedział, z każdą chwilą stawało się coraz ważniejsze.

Właściwie był to jedyny trop, jaki im pozostał.

Zorin stał na ulicy przed kawiarnią, starając się zachować zimną krew.

Wyłączył telefon.

Anja nie żyje?

Nie doświadczył takiej straty, odkąd zmarła jego żona. Teraz ten znajomy ból ponownie zagościł w jego trzewiach. Anja dołączyła do niego z własnej woli, bo wierzyła w to, o co walczył, i stała się jego aktywną współpracownicą. Czy darzyli się miłością? Trudno powiedzieć, ponieważ żadne z nich nigdy za bardzo nie okazywało emocji. Ale ten związek dawał im obojgu satysfakcję. Wiadomość o jej śmierci tylko utwierdziła go w przekonaniu, że musi zrobić to, co postanowił.

To będzie jego ostatnia misja.

Kobieta, z którą rozmawiał – ta Stephanie Nelle – знаła tylko część prawdy. Siedział w tym zbyt długo, żeby nie umieć rozpoznać, kiedy ktoś blefuje. Wiedziała o bombach walizkowych, ale nie miała pojęcia, czy były przechowywane w tym bunkrze. A już na pewno nie miała pojęcia, gdzie znajdują się teraz.

Znała jednak jego cel. Biały Dom.

Niestety w niczym jej to nie pomoże.

Nawet nie zobaczą, z której strony nadejdzie atak.

Stephanie nie miała jak namierzyć Zorina ani ponownie się z nim skontaktować. Wyłączył telefon i domyślała się, że za chwilę pewnie go zniszczy.

– Sue – zawołała.

Młoda kobieta weszła z powrotem do sali.

– Nie da się porozmawiać z twoim ojcem?

– Przynajmniej do jutra pozostanie nieprzytomny. Według lekarza ma szczęście, że dym go nie zabił.

Mieli coraz mniejsze pole manewru.

Przy łóżku Luke'a stał monitor funkcji życiowych. Na ekranie niezmordowanie przesuwała się zielona linia, której towarzyszyło ciche, rytmiczne pikanie. Stephanie sięgnęła niżej i wcisnęła przycisk, którym wzywało się do chorego personel. Czas trochę się tu poszarogęsić. Kiedy zjawiała się pielęgniarka, Stephanie kazała jej znaleźć lekarza zajmującego się Lukiem. Widząc jej opór, zamachała jej przed oczami swoją odznaką, żeby dać do zrozumienia, że to nie była prośba. Pielęgniarka w końcu ustąpiła i wyszła z pokoju.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz – Stephanie zwróciła się do Sue. – Jak widzisz, nie jestem w nastroju na głupoty.

– Tata opowiedział Luke'owi o dzienniku napisanym przez członka jego towarzystwa, Benjamin Tallmadge'a. Mówił, że Charon mógł go ukryć gdzieś w swoim domu. Tata podejrzewał, że wie, co to za kryjówka, więc pojechaliśmy to sprawdzić.

Pietrowa szukała dokładnie tego samego, więc teraz przynajmniej stało się jasne, dlaczego Luke zdecydował się na tak wielkie ryzyko.

– Nie wiesz, dlaczego ten dziennik jest taki ważny?

– Tata nigdy wcześniej o nim nie wspominał. Ale powiedział Luke'owi, że wiele lat temu mógł tę książkę zobaczyć jakiś człowiek z ZSRR.

To samo twierdził Peter Hedlund.

Do sali wszedł lekarz i Stephanie z miejsca powiedziała mu, że ma pomóc Luke'owi odzyskać przytomność.

– To niemożliwe – odparł. – Byłoby to dla niego bardzo niebezpieczne. Musi sam się wybudzić.

Spodziewała się takiej odpowiedzi, dlatego znowu pokazała odznakę, mówiąc:

– Panie doktorze, mogę tylko wyjawić, że chodzi o kwestie wagi państwowej. Zostały mi niecałe trzy godziny, żeby ustalić coś bardzo ważnego, i muszę w tym celu porozmawiać z moim agentem. Zapewniam pana, że Luke przyznałby mi rację.



Ale lekarz tylko stanowczo pokręcił głową.

– Jest coś, co można mu podać, żeby go ocucić?

– Tak, ale ja tego nie zrobię.

W tym momencie Sue podeszła do łóżka, na siłę posadziła Luke'a prosto i uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

W porządku. To też może zadziałać.

Lekarz rzucił się, żeby ją powstrzymać, ale Stephanie wyciągnęła broń i wycelowała prosto w niego.

– Wynocha – powiedziała.

Zszokowany mężczyzna wybiegł z sali.

Sue wymierzyła Luke'owi jeszcze jeden policzek, a następnie zaczęła nim potrząsać. Zaczął kaszleć i wolno podnosić powieki, jak ktoś wyrwany z głębokiego snu. Oczy miał zamglone i przekrwione. Twarz pokrywał co najmniej dwudniowy zarost. Nie wyglądał ani nie zachowywał się jak Luke, którego tak dobrze знаła.

– W terenie to zawsze skutkuje – stwierdziła Sue.

Stephanie uśmiechnęła się. Dziewczyna miała dobry pomysł.

– Luke, spróbuj się obudzić.

Widziała, że z wielkim wysiłkiem stara się spełnić jej życzenie.

– Muszę wiedzieć, czy w tym domu jest coś ważnego.

Rzuciła okiem na Sue i uznając, że nie ma innego wyjścia, skinęła głową, a ta po raz kolejny dała mu po twarzy.

Jego oczy się rozszerzyły i popatrzył prosto na Sue.

– Czy ty... mnie bijesz?

Sue wyszczerzyła zęby.

– Tak, ale z jak największym szacunkiem.

Zaczął rozcierać sobie policzki.

– To bolało.

– Słyszałeś, o co pytałam? – odezwała się Stephanie.

– Tak. Ale ciężko mi się oddycha.

Rurki biegnące wokół jego głowy doprowadzały powietrze bezpośrednio do nozdrzy. Dała mu chwilę, żeby wziął kilka głębokich wdechów.

– Sufit się zawalił – powiedział. – Jak się stamtąd wydostałem?

Stephanie wskazała na Sue.

– Ona cię uratowała.

– Wygląda na to, że wiszę ci przysługę.

Stephanie wzięła do ręki swoją komórkę i wybrała numer. Kiedy uzyskała połączenie, przełączyła się na tryb głośnomówiący. Danny cały czas czekał na jej telefon. On też zdawał sobie sprawę, że ich jedyną szansą jest to, co może wiedzieć jego bratanek.

– Dziennik Tallmadge'a... jest w tym domu – zaczął Luke. – Zaczęliśmy go czytać, Begyn i ja. – Potarł ręką głowę. – Ale nie dokończyliśmy... zaczęli do nas strzelać.

– Sfajczył się kawał domu – wtrąciła Sue. – Ale ciągle stoi.

– A więc dziennik też się spalił – w pokoju rozległ się głos Danny'ego.

Luke zobaczył telefon w ręku Stephanie.

– Nie, raczej nie.

– Mów, Luke – ponaglał Danny. – Zaraz zwali mi się tu na głowę cały amerykański rząd. Czy muszę ich wszystkich stąd ewakuować?

– Dziennik – podjął Luke – jest w ognioodpornej szafce w garderobie przy głównej sypialni. W ukrytej komórcie, o której wiedział Begyn.

Wyrzucenie z siebie tego wszystkiego chyba do reszty go wyczerpało. Stephanie kazała mu odpocząć.

– Stephanie, jesteś teraz najbliżej tego domu – powiedział Danny. – Pietrowa chciała zdobyć ten dziennik za wszelką cenę. Musimy go odzyskać.

*A Zorin go nie ma, mimo to cały czas posuwa się naprzód.*

– Wyruszam natychmiast.

– Wyślę ci helikopterem kogoś do pomocy. Ale ty jedź tam pierwsza.

Malone nie spuszczał wzroku z Danny’ego Danielsa. Kiedy prezydent odebrał telefon od Stephanie, przeszedł przez korytarz na piętrze do pokoju, w którym Malone i Edwin Davis zorganizowali małe centrum dowodzenia. Na dole było zbyt głośno i tłoczno, żeby porozmawiać na osobności. Członkowie odchodzącego personelu Białego Domu przekazywali swoje stanowiska nowym pracownikom, którzy nie mogli się już doczekać, żeby zająć miejsce poprzedników.

– Powiniennem jechać z nią do tego domu – powiedział do prezydenta Malone.

Daniels pokręcił głową.

– Ty i Cassiopeia jesteście jedynymi ludźmi, którzy wiedzą dokładnie, jak wyglądają Zorin i Kelly. Potrzebuję was oboje w centrum monitoringu. Mamy wszędzie kamery. Może uda wam się wypatrzyć któregoś z nich za ogrodzeniem.

– Kiepska strategia obronna.

– Na nic lepszego nas nie stać.

– Nie powinien pan być na dole, witać gości?

– Mam to gdzieś. Zresztą ja ich już nie obchodzę. Jestem jak wczorajsza gazeta.

Do tej pory nie udało się zlokalizować samochodu skradzionego przez Zorina, ale agenci cały czas analizowali nagrania z kamer drogowych. Wszystkie służby zostały postawione na nogi, ale według szacunków dzisiaj i jutro w mieście miał być prawie milion ludzi.

– On ma bombę – stwierdził Daniels. – Ja to wiem i ty to wiesz.

Malone przyznał mu rację.

– Może mieć nawet więcej niż jedną.

– Zamierza wysadzić nas wszystkich w powietrze – ciągnął prezydent. – A my nie możemy z tym kompletnie nic zrobić, chyba że chcemy wywołać masową panikę. A jeśli się mylimy? Słono za to zapłacimy. – Daniels spojrział na niego ze zrezygnowanym wyrazem twarzy.

Brak konkretnych dowodów nadal uniemożliwiał im przekonanie kogokolwiek do swoich argumentów.

– Nie wiem, dlaczego nie możemy po prostu zrobić tego cholernego zaprzysiężenia przed Kapitołem. Co z tego, że jest niedziela? Jeśli chodzi tylko o uszanowanie Dnia Pańskiego, zupełnie mija się to z celem, bo dzisiaj mamy więcej pracy, niż będziemy mieć jutro.

Malone słyszał autentyczną frustrację w jego głosie.

– Eksperci mówią mi, że Zorin musi podejść blisko – podjął Daniels. – A to znaczy, że musi przytargać tę walizkę ze sobą.

A także młot i inne narzędzia, które specjalnie wyciągnął z samochodu przed ucieczką. Daniels miał rację. Obserwowanie monitorów wydawało się teraz najrozsądniejsze.

Podniósł się z krzesła.

Prezydent również wstał. Był ubrany w elegancki garnitur i krawat. Jutro będzie musiał założyć frak na swoje ostatnie wystąpienie na podwyższeniu przed Kapitołem.

– Mówią mi też, że to nie wygląda jak w filmach – powiedział Daniels. – Na tych bombach nie ma

cyfrowego licznika, który piszczy i odmierza czas do eksplozji. Powstały na długo przed tym, zanim istniały takie rzeczy. W ogóle nie ma żadnego licznika. Byłoby za dużo ruchomych elementów. Konstrukcja musiała być prosta. Żeby ustrojstwo wyłączyć, wystarczy użyć przełącznika albo wyciągnąć przewody z baterii. To nie dopuści do wysłania impulsu elektrycznego, który powoduje wzrost temperatury, co wywołuje z kolei reakcję łańcuchową. Ale jeśli zdąży się wytworzyć dostatecznie dużo ciepła, to nijak nie da się już tego zatrzymać.

Wszystko to nie napawało optymizmem.

– Pomyślałem, że powinieneś to wiedzieć – powiedział Daniels. – Na wszelki wypadek. Będę na dole. Muszę się zachowywać jak na ustępującego prezydenta przystało.

Malone spojrział na zegarek.

Była 10:20.

Do dwunastej została godzina i czterdzieści minut.

## ROZDZIAŁ 75

Zorin dotarł do kościoła Świętego Jana.

Żeby dostać się do świątyni, pokonał cały labirynt bocznych uliczek oddalonych o kilka przecznic od Białego Domu, ponieważ wolał unikać ruchliwej ulicy biegnącej przed głównym wejściem do budynku. Skulony i ciasno owinięty płaszczem czujnie wypatrywał kamer miejskiego monitoringu i w ogóle wszystkiego, co mogłoby mu zaszkodzić. Bardzo uważał też, żeby nie wpaść na nikogo po drodze. Po rozmowie telefonicznej z tą Amerykanką stał się jeszcze bardziej przeczulony na tym punkcie, zwłaszcza że rozpoczynał się właśnie najbardziej delikatny etap całej operacji.

Na szczęście teren położony za tylną ścianą kościoła był pełen drzew i żywopłotów, za którymi mógł się łatwo skryć. Wcześniej, jeszcze zanim zrobiło się widno i nikt nie mógł ich zobaczyć, on i Kelly ukryli na miejscu torbę z narzędziami. Teraz dźwigał w ręku aluminiową skrzynkę, która mogłaby go łatwo zdradzić, ale udało mu się przemknąć alejką biegnącą za sąsiednim budynkiem, a potem wśliznąć niepostrzeżenie na plac budowy.

Zatrzymał się na chwilę, żeby spojrzeć na Park Lafayette'a znajdujący się mniej niż sto metrów od niego. Dobiegał stamtąd gwar tłumów powoli zapełniających zarówno park, jak i zamknięty fragment Pennsylvania Avenue bezpośrednio przed Białym Domem. Ten odcinek ulicy był od dwudziestu lat wyłączony z ruchu samochodowego, dzięki czemu piesi mogli z niego swobodnie korzystać.

Dzisiaj robi się tam wyjątkowo tłoczno.

Płot otaczający kościół był wyłożony czarnym plastikiem, dzięki czemu zapewniał doskonałą osłonę. Stało tam też kilka ogołoconych z liści drzew z pniami czarnymi jak żelazo. Zorin postrzegał fakt, że kościół był w remoncie, jako znak – niekoniecznie od niebios, ponieważ Bóg nigdy nie odgrywał istotnej roli w jego życiu, ale od losu. Być może nawet prezent od poległych kompanów, którzy obserwowali jego postępy i zagrzewali go do boju.

Kelly powiedział mu wszystko, co potrzebował wiedzieć o kościele. Szybko przeszedł na północną stronę budynku, niosąc aluminiową walizkę i nylonową torbę. Ostrożnie stawiał kroki, ponieważ łatwo było się tu pośliznąć na ubitym śniegu. Pod rusztowaniem, wśród drzew i krzewów zobaczył wejście do piwnicy za ciemną, żelazną balustradą. Postawił skrzynkę i torbę na ziemi i wyciągnął szczypcę. Drzwi blokowała od zewnątrz metalowa płyta z zawiasem, zabezpieczona błyszczącą kłódką. Kelly opowiedział mu o swojej wizycie w kościele, podczas której administrator pokazał mu także piwnicę. Podziemne pomieszczenie było ponoć zaskakująco przestronne; zostało dodane dwadzieścia lat po wzniesieniu świątyni.

Zorin przeciął zamek i kłódka spadła na ziemię.

Włożył szczypcę z powrotem do torby i otworzył dwuskrzydłowe drzwi na oścież. Za nimi ukazały się betonowe schody. Zgodnie z pierwotnym planem Kelly miał zastąpić rozwalony zamek nowym skoblem, zakupionym specjalnie w tym celu, i zamknąć go w środku – zakładali bowiem, że będą się tu dziś odbywać normalne niedzielne nabożeństwa i w ten sposób zamaskują fakt, że ktoś włamał się do piwnicy. Zorin miał wejść do niej kilka godzin wcześniej i po prostu zaczekać, aż nadejdzie godzina dwunasta. Ponieważ kościół okazał się zamknięty, mogli zrezygnować z tej części planu, a to umożliwiło Kelly'emu wykonanie znacznie bardziej istotnego zadania.

Mimo to Zorin wolał zachować pewne środki ostrożności.

Najpierw zaniósł bombę i torbę na dół. Potem przymocował nowy zamek do jednego skrzydła drzwi

i wolno przysunął oba skrzydła do siebie, tak aby wyglądały na zamknięte. Tylko patrząc z bliska, dałoby się zauważyć, że skobel nie jest zamontowany jak należy.

Zszedł po schodach i znalazł włącznik, który zapalił górne lampy. Jasno oświetlona przestrzeń miała około piętnastu metrów kwadratowych. Była zavalona różnego rodzaju sprzętami, znajdowało się tam też mnóstwo rur, przewodów i zaworów stanowiących część systemu grzewczego, chłodniczego oraz instalacji elektrycznej. Warkocząca cicho maszyna nieustannie pompowała do kościoła na górze ciepłe powietrze, jednocześnie ogrzewając także wnętrza piwnicy.

Zorin zdjął płaszcz i rękawiczki. I wbił wzrok w ścianę naprzeciwko.

Stephanie wyjechała z Manassas i dzięki nawigacji w smartfonie odnalazła posiadłość Charona. Sue miała rację. Dom wyglądał na wypalony od środka. Większość dachu obróciła się w popiół, jedno skrzydło całkiem się zawaliło, ale część centralna i drugie skrzydło wciąż stały i nadal miały dwie kondygnacje. Mimo to w osmalonym, dymiącym kadłubie domu nie zostało nic z dawnego przepychu.

Strażacy już dawno odjechali i sceneria kojarzyła się nieodparcie z cmentarzem. Porozbijane okna przypominały puste oczodoły ziejące w czarnej jak sadza ścianie frontowej. Po niebie szybko przesuwały się chmury, odcinając promienie bladego słońca. Wiał zimny wiatr, w każdej chwili mógł znowu spaść śnieg. Stephanie postawiła kołnierz i szybkim krokiem ruszyła w stronę szkieletu budynku. Cały teren otaczała żółta taśma policyjna – nic dziwnego, w końcu wczorajszej nocy zginęło tu trzech ludzi. Podejrzewała, że jeszcze dzisiaj wrócą tutaj śledczy, więc musiała się pospieszyć.

Czas nieubłaganie uciekał.

Malone i Cassiopeia wyszli z Białego Domu na Pennsylvania Avenue. Dostępny jedynie dla pieszych odcinek ulicy, który biegł wzdłuż północnego trawnika, był już pełen ludzi. Wobec takich tłumów kamery zainstalowane przy ogrodzeniu okazały się bezużyteczne. Z bramy po tej stronie budynku korzystano bardzo rzadko, ze względów bezpieczeństwa przez większość czasu stała zamknięta. W telewizji i filmach zawsze jednak pokazywali tylko ją, jakby stanowiła główną drogę do Białego Domu. Podobno w tym miejscu odległość od ogrodzenia do samego budynku wynosiła zaledwie pięćdziesiąt metrów. To bardzo niewiele. Od drugiej strony gmach osłaniało kilka akrów ziemi tworzących trawnik południowy, a oba skrzydła sąsiadowały bezpośrednio z zachodnią i wschodnią nitką Executive Avenue, także od dawna zamkniętą dla ruchu drogowego. Transport samochodowy korzystał z innych bram znajdujących się na wschodnim i zachodnim krańcu posiadłości, z dala od samego budynku.

Ponieważ nie mieli pojęcia, w jaki sposób Zorin i Kelly spróbują zbliżyć się do swojego celu, postanowili wspólnie patrolować teren. W środku agenci nieustannie obserwowali obraz z kamer wideo, wypatrując czegokolwiek podejrzanego, cała ochrona Białego Domu była w stanie pełnej gotowości. Podjechanie pod samo ogrodzenie samochodem wydawało się niemożliwe. Rzeka ludzi zgromadzonych po północnej stronie działała jak bufor, wszystkie ulice wewnątrz i wokół Parku Lafayette'a były zamknięte dla ruchu drogowego. Z kolei liczne bramy po stronie południowej były wyposażone w zaawansowane środki bezpieczeństwa, zdolne przechwycić każdego intruza. Ale skoro w grę wchodziła bomba jądrowa o sile sześciu kiloton, wystarczy, że zamachowcy podejną pod samą bramę, a uda im się dopiąć swego.

Przypomniał sobie instrukcje Danielsa. W środku jest wyłącznik. Jeżeli ładunek nie zdąży osiągnąć masy krytycznej, wszystko się dobrze skończy. A jeżeli wyłączą go za późno? Bum.

– Ile tu ludzi – mruknęła Cassiopeia.

– Zorin musi mieć w ręku walizkę, więc skupmy się na tym.

Wszyscy byli okutani w ciepłą zimową odzież, ale mało kto miał przy sobie coś więcej niż plecak.

Wielu rodziców posadziło sobie dzieci na ramionach, żeby mogły zobaczyć słynny biały budynek za czarnym, żelaznym płotem. Nad tłumem unosił się gwar podekscytowanych rozmów, ludzie cieszyli się, że mogą w tym uczestniczyć. Malone wiedział, że od południowej strony do budynku napływali coraz to nowi dygnitarze. Zmieniała się władza, a wraz z nią przesuwwały się polityczne sojusze.

Poczuł w kieszeni wibracje telefonu.

– Mamy samochód – oświadczył głos w słuchawce, co sprawiło, że Malone stanął w miejscu.

– Zamieniam się w słuch.

– Na Piętnastej Ulicy, jedzie na południe. Kamery go namierzyły.

Wiedział, że od strony Piętnastej Ulicy Biały Dom sąsiadował z wielkim gmachem Departamentu Skarbu. Ale zaraz za tym charakterystycznym obiektem droga przylegała bezpośrednio do południowego trawnika i parku Ellipse. Znajdowała się tam jedna z bram, przez które samochody wjeżdżały na teren Białego Domu.

– Jesteście pewni?

– Mamy tylko jedno zdjęcie, ale to ten wóz. Jechał szybko.

Stephanie znalazła wejście do wypalonego budynku i zobaczyła, że klatki schodowej już nie ma, ale ktoś zostawił na jej miejscu drabinę, po której można było dostać się na piętro. A zatem policyjni detektywi zdecydowanie planowali wrócić na miejsce zdarzenia.

Wspinając się po aluminiowych szczeblach, nagle uświadomiła sobie, że minęły dziesiątki lat, odkąd ostatni raz wchodziła na jakąś drabinę. To zabawne, że w ostatni dzień swojej kariery z powrotem stała się agentem terenowym i robiła to, czym zawsze zajmowali się mężczyźni i kobiety, którzy dla niej pracowali. Była w tym jakaś ironia losu, chociaż wolałaby, żeby finał wyglądał inaczej.

Galeria na piętrze, która wznosiła się nad szerokim holem i łączyła ze skrzydłami domu, całkiem spłonęła, dlatego drabinę oparto bezpośrednio o podłogę korytarza, na którego końcu znajdowały się spalone drzwi prowadzące do kolejnego pomieszczenia. Według wskazówek Luke'a to właśnie tam powinna się mieścić główna sypialnia, a Sue powiedziała, że strażacy przyjechali, zanim pożar zdążył strawić tę część domu. Z dachu prawie nic nie zostało i całe wnętrze było teraz wystawione na pastwę żywiołów. W miejscach, które zdążyły dostatecznie ostygnąć, leżał śnieg.

Stephanie spojrzała na zegarek. Była 10:46.

Do dwunastej zostały siedemdziesiąt cztery minuty.

Chociaż podłoga wydawała się stabilna, a ściany stosunkowo nietknięte, bardzo ostrożnie stawiała każdy krok. Drewniane deski skrzypiały pod jej stopami. Kiedy dotarła do sypialni, zobaczyła, że pokój nie ma już sufitu, a większość mebli zmieniła się w bezkształtne, zwęglone bryły. Znalazła drzwi do garderoby i weszła do środka, przechodząc ponad czarnymi belkami stropowymi, które leżały jej na drodze. W kilku najgorętszych punktach nadal unosił się dym. Zobaczyła tajną kryjówkę, o której mówił Luke, a w niej szafkę na akta. Wyglądała na nienaruszoną. Daniels twierdził, że kiedy usłyszał strzały, wrzucił dziennik do najniższej szuflady i ją zamknął.

Dobra decyzja, świadcząca o tym, że nie stracił głowy.

Prześliznęła się pomiędzy gruzami, złapała za uchwyt ostatniej szuflady i mocno go pociągnęła.

W środku leżała poszukiwana przez wszystkich książka.

Nie miała nawet zadrapania.

Luke słusznie ocenił, że szafka jest ognioodporna.

Zabrała dziennik i wróciła do sypialni, gdzie pochmurne niebo dawało odrobinę więcej światła. Pomiedzy stronami tkwiła zakładka, dokładnie tak, jak opisał to Luke. Otworzyła i przeczytała fragment o spaleniu Kapitolu i Białego Domu przez Brytyjczyków w 1814 roku. Pisząc tę relację, Tallmadge był

wyraźnie oburzony postawą amerykańskich żołnierzy, którzy opuścili posterunek i uciekli z miasta, zostawiając tylko jego bezbronnych mieszkańców. Stephanie szybko przesuwała wzrokiem po ciemnych, męskich literach, które nie wyblakły, choć od powstania dziennika minęły dwa pełne stulecia.

Przewróciła kartkę. A tam natrafiła na następujący fragment.

*Pałac prezydencki zostanie odbudowany, lecz prezydent Madison nalega, aby tym razem uwzględnić rozwiązania służące bezpieczeństwu jego mieszkańców. Niewiele brakowało bowiem, aby pani Madison została uwięziona w rezydencji i trafiła do brytyjskiej niewoli. Ocaliło ją jedynie szczęście i Boża opatrzność. Prezydent rozkazał stworzenie bezpieczniejszej drogi ucieczki i to mnie zostało powierzone zadanie zaprojektowania i skonstruowania tejże drogi.*

Stephanie już nie przeglądała pobieżnie tekstu, tylko delektowała się każdym słowem, które wyszło spod pióra słynnego szpiega. Każdy funkcjonariusz amerykańskiego wywiadu znał nazwisko Benjamin Tallmadge'a. Teraz miała okazję poznać jego prywatne przemyślenia. „Ostrożnie”, powtarzała sobie. „Niczego nie przegap”.

Dotarła do końca strony i znowu przewróciła kartkę.

Nagle wszystko stało się jasne.

– Mój Boże – wyszeptała.

Usłyszała niski łomot śmigła tłukącego powietrze. Nadlatywał helikopter, który obiecał przysłać Danny.

Przeczytała jeszcze kawałek i upewniła się, że ma rację.

Wiedziała już, co planuje Zorin.

Helikopter wyłonił się znad drzew i skierował na polanę przed domem. Hałas był przytłaczający.

Stephanie musiała ruszać w drogę. Natychmiast.

Postanowiła, że zadzwoni już z powietrza.

## ROZDZIAŁ 76

Malone i Cassiopeia puścili się biegiem przez teren Białego Domu. Wrócili się przez Bramę Północną i ruszyli po oszronionym trawniku, okrążając budynek od wschodniej strony, gdzie widać było gmach Departamentu Skarbu z jego wielkimi kolumnami i portykiem. Dalej zaczynała się ruchliwa Piętnasta Ulica. Biegli dalej pomiędzy drzewami w stronę bramy, którą dało się wjechać do parku Ellipse. Malone ciągle trzymał w ręku swoją komórkę, w której usłyszał, że poszukiwany samochód zbliża się do skrzyżowania Piętnastej Ulicy i Pennsylvania Avenue. Strażnicy na całym terenie Białego Domu zostali już wcześniej powiadomieni o obecności Malone'a i Cassiopei, a Edwin Davis osobiście wydał rozkaz, żeby nikt w żaden sposób im nie przeszkadzał, w szczególności snajperzy i obserwatorzy na dachu, których postawiono w stan najwyższej gotowości, ponieważ brano pod uwagę możliwość ataku z powietrza.

Pobiegli ścieżką o nazwie Executive Avenue, znowu przecięli trawnik i minęli pomnik generała Williama Shermana, który Malone dobrze pamiętał. Nad ich głowami postrzępione chmury płynęły po ponurym niebie. Dokładnie przed sobą mieli bramę dla samochodów na Piętnastej Ulicy.

– Jest prawie przy bramie – meldował głos w słuchawce. – Przechwycają go lokalne jednostki.

Teraz, gdy budynek Departamentu Skarbu mieli już za plecami, usłyszeli syreny. Ulica biegła tutaj równoległe do ogrodzenia Białego Domu.

Dotarli do bramy.

Samochód rządowy, który został im skradziony przez Zorina, wpadł na skrzyżowanie i ostro zahamował, a jego tył zatoczył przy tym pełne koło. Następnie wjechał na chodnik po drugiej stronie ulicy, za którym zaczynał się Pershing Park.

– Tam jest lodowisko – powiedział Malone. – Mnóstwo ludzi.

Za chwilę pojawiły się radiowozy z włączonymi syrenami i migającymi niebieskimi światłami, żeby zablokować ruch na skrzyżowaniu. Malone i Cassiopeia minęli bramę i pobiegli za skradzionym samochodem, który stanął na skos na ceglanej drodze spacerowej niedaleko krawężnika. Na szczęście nie dojechał do lodowiska. Nie było widać żadnych ofiar.

Wszystko nagle jakby zamarło.

Naokoło samochodu, w odległości piętnastu metrów, stały trzy radiowozy, z których wysiedli policjanci z bronią w rękach. On i Cassiopeia nadchodzili od tylnej strony pojazdu.

– Cofnąć się – krzyknął do nich jeden z policjantów. – No już, do tyłu!

Malone podniósł swój telefon.

– Tu Secret Service – z głośnika dobiegł czyjś głos. – Róbcie dokładnie to, co on wam powie.

– Bez jaj – skomentował policjant.

Przez ulicę przebiegli dwaj umundurowani agenci Secret Service, pokazując odznaki. Szybko przejęli kontrolę nad sytuacją i kazali policjantom się odsunąć.

– Zrozumiał pan? – zapytał funkcjonariusza Malone.

Mężczyzna opuścił broń i odwrócił się.

– Tak, zrozumiałem.

– Panowie – zawołał Malone – teraz my się tym zajmujemy. Niech wszyscy zachowają spokój.

Nagle w skradzionym samochodzie otworzyły się drzwi po stronie kierowcy.

Wysiadł z niego mężczyzna, którego twarz Malone od razu rozpoznał.



Kelly.

Zorin wyciągnął z torby młot. Ściany piwnicy były zbudowane ze starych cegieł połączonych grubą zaprawą murarską. Pomalowana betonowa posadzka wydawała się nowsza. Jego celem była ściana południowa, znajdująca się około trzech metrów od południowo-zachodniego narożnika. Prostokątna powierzchnia kształtem i rozmiarem kojarzyła się z większymi drzwiami. W tym miejscu cegły wyglądały nieco inaczej niż gdzie indziej. Dokładnie tak, jak opisał to Kelly. Różnica nie była jednak na tyle wielka, by wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia. Ot, fragment ściany nieco inny od pozostałych.

Nic szczególnego.

Podszedł bliżej, mocno zaparł się nogami, ścisnął drewniany trzonek, wziął zamach i z całej siły uderzył młotem w cegły.

Cały mur się zatrzęsł.

Następne uderzenie sprawiło, że na ścianie pojawiły się pierwsze pęknięcia. Po kolejnych dwóch na ziemię spadło kilka odłamków.

Według Kelly'ego piwnica nie była częścią pierwotnego projektu kościoła. Powstała wiele lat po jego ukończeniu, kiedy okazało się, że potrzebna jest większa nawa. Wykopano więc jamę pod świątynią, aby umieścić w niej centralny piec ogrzewający całe wnętrze, który zastąpił stare piecyki opalane drewnem. Przedtem budowla opierała się na ziemi, teraz jej fundamenty mieściły w sobie piwnicę.

Uderzył jeszcze kilka razy i fragment ściany zapadł się w sobie, wśród chmury pyłu i odłamków cegieł. Zorin oczyścił sobie przejście. Czoło miał zroszone potem.

W końcu odstawił młot.

I spojrzął w ciemny tunel, który otworzył się za rozwalonym murem.

Stephanie wskoczyła do śmigłowca należącego do piechoty morskiej, który natychmiast wzbił się z powrotem w niebo. Miała w ręku dziennik i kazała pilotowi lecieć prosto do Białego Domu.

– Potrzebujemy pozwolenia – odpowiedział.

– Zdobądź je. Lecimy.

Musiała mieć absolutną pewność, dlatego jeszcze raz zajrzała do dziennika.

*Styczeń 1817. Prezydent Madison przeprowadził dzisiaj oględziny i pochwalił nas za pomysłowość, zadowolony, że jego polecenie zostało spełnione. Zlecił nam stworzenie ukrytej drogi ucieczki z pałacu prezydenckiego, która prowadziłyby do miejsca bezpiecznego i umożliwiającego skuteczną obronę. Nasze zadanie polegało na wytyczeniu, zaprojektowaniu i skonstruowaniu takiej trasy. Rozważaliśmy kilka możliwości, ale za najlepsze rozwiązanie uznaliśmy połączenie odbudowanego pałacu prezydenckiego z niedawno konsekrowanym kościołem Świętego Jana. Odległość nie wydawała się przesadnie wielka, a tunel dało się łatwo uzasadnić jako kanał odprowadzający wodę z północnego trawnika i pobliskich oczyszczalni. Wykopywanie go nie wzbudziło więc żadnych podejrzeń, zwłaszcza że w całej stolicy istniały podobne tunele. Ściany wyłożyliśmy ceglami, aby zapewnić trwałość konstrukcji, a także zabezpieczyć korytarz przed zalaniem. Wejście we wnętrzu pałacu prezydenckiego zostało zastawione meblami, natomiast w kościele wyjście ukryto pod ceglana posadzką w pobliżu południowo-zachodniego narożnika budynku. Dokładne położenie obu wylotów tunelu znają tylko prezydent i jego najbliższy krąg współpracowników, a także trzech członków towarzystwa. W niniejszym dzienniku znajduje się mapa z naszkicowaną trasą podziemnego korytarza, do użytku w przyszłości. Okazjonalnie może być potrzebna konserwacja tunelu, a prezydent poprosił*

*nas o zajęcie się także tym zadaniem. Ta droga ucieczki zapewni głowie naszego państwa dodatkowe zabezpieczenie, którego dotychczas brakowało. Poczytujemy to sobie za zaszczyt, że poproszono nas o pomoc w tym przedsięwzięciu.*

A zatem powstał kiedyś tunel pomiędzy Białym Domem a kościołem Świętego Jana. Stephanie знаła tę świątynię, stojącą kilkaset metrów na północ, zaraz za Parkiem Lafayette'a. Sam Biały Dom był wielokrotnie przebudowywany, wykopywano pod nim nowe pomieszczenia i piwnice, mimo to nie pamiętała, żeby kiedykolwiek odkryto wejście do podziemnego, ceglanego korytarza.

Ale on musiał tam być.

A Zorin musiał być teraz w kościele Świętego Jana.

Zegarek pokazywał pięć po jedenastej.

Wykonała telefon do Edwina Davisa, ale nie odbierał. Spróbowała zadzwonić na komórkę Danny'ego; połączyła się tylko z pocztą głosową. Prawdopodobnie obaj byli zajęci gośćmi i doglądali przygotowań na rychłe przybycie nowo wybranego prezydenta i wiceprezydenta. Postanowiła w takim razie skontaktować się bezpośrednio z drugą stroną.

Wybrała numer Litchfielda.

Odebrał po dwóch dzwonekach.

Przycisnęła telefon mocno do ucha i krzyknęła, żeby przebić się przez hałas:

– Bruce, podłóż bombę pod Białym Domem. Zorin jest w kościele Świętego Jana, po drugiej stronie ulicy. Gdzieś pod ziemią biegnie tunel. Natychmiast wyślij agentów. Zapewne chce zdetonować bombę w samo południe. Znajdźcie go.

– Rozumiem, Stephanie. Gdzie jesteście?

– W helikopterze, lecę z powrotem. Ewakuujcie wszystkich z Białego Domu. Może jeszcze nie jest za późno.

– Zajmę się tym – powiedział.

Stephanie rozłączyła się. I zadzwoniła do Cottona.

Malone położył swój telefon na masce radiowozu i wystąpił naprzód, ściągając na siebie uwagę Kelly'ego. Pod nogami chrzęścił mu brudny śnieg, ostry, zimny wiar niósł zapach samochodowych spalin.

Wyciągnął broń.

– Możemy panu w czymś pomóc?

– Mądrała z pana – odparł Kelly. – Nikt nie lubi takich ludzi.

– Prawa ręka – Malone usłyszał za sobą głos jednego z agentów Secret Service. Sam już zauważył, że Kelly ukrywa jedną dłoń za drzwiami samochodu na wysokości uda. Wyglądało to tak, jakby coś w niej trzymał.

– W porządku – powiedział. – Spróbujmy inaczej. Ci policjanci tylko marzą o tym, żeby pana zastrzelić. Niech mi pan poda jeden powód, dla którego nie powinni tego zrobić.

Kelly wzruszył ramionami w geście pełnym pogardy i lekceważenia.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

Podniósł prawą rękę i ich oczom ukazał się pistolet. Malone był jednak szybszy i oddał strzał wymierzony w nogi. Potrzebowali go żywego.

Niestety policjanci mieli inny pomysł. Wszyscy naraz zaczęli strzelać.

Kule przebiły płaszcz Kelly'ego. Mężczyzna zatrząsł się, jakby dostał spazmów. Próbował odskoczyć, ale nie dał rady. Zwalił się na zasypaną śniegiem ścieżkę.

Malone pokręcił głową i spojrzał na Cassiopeję. Tylko oni dwoje rozumieli, co się właśnie stało.

Jedyny człowiek, od którego mogli się czegokolwiek dowiedzieć, został zabity.

Zorin wyciągnął z torby latarkę i oświetlił otwór w ścianie. Po dwóch metrach podłoga się urywała i zaczynała kolejna czarna gardziel. Zajrzał głębiej i zobaczył, że tunel, który właśnie w tym miejscu łączył się z kościołem, schodzi jeszcze o jakiś metr niżej i potem ciągnie się dalej w kierunku Białego Domu.

Wziął do ręki walizkę, przeszedł przez wyrwę i ostrożnie ruszył w dół. Korytarz z półokrągłym stropem był w całości zbudowany z cegieł. Musiał się schylić, żeby iść, bo tunel miał znacznie mniej niż dwa metry wysokości. Ale trasa wydawała się stosunkowo prosta. Wcześniej oszacował odległość od kościoła do ogrodzenia przed Białym Domem, teraz musiał tylko kontrolować pokonany dystans. Ale wiedział, że nawet jeżeli trochę się pomyli, to nie będzie miało wielkiego znaczenia. I tak znajdzie się dostatecznie blisko, żeby zmieść wszystkich z powierzchni ziemi.

Wszystkich, którzy byli jego wrogami.

Ruszył przed siebie, licząc kroki.

Cassiopeia podbiegła razem z Cottonem do ciała Kelly'ego. Wiatr zmieniał sypki śnieg w skryształizowaną mgłę.

Nie musieli sprawdzać, czy Kelly żyje.

Cotton był wściekły.

– Mieliście nie strzelać. Mieliście się cofnąć. Której części tego rozkazu nie zrozumieliście?

– Uratowaliśmy panu tyłek – bronił się jeden z policjantów.

– Nie potrzebowałem waszej pomocy. Panowałem nad sytuacją. On był nam potrzebny żywy.

Agenci Secret Service meldowali przez radio, co się stało.

Malone spojrział na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej.

Cassiopeia zajrzała do samochodu, ale w środku nic nie znalazła.

Nacisnęła więc dźwignię otwierającą bagażnik.

Razem z Cottonem obeszli samochód. W bagażniku znajdowały się cztery aluminiowe skrzynki. Cotton nie wahał się ani chwili. Podniósł jedną z nich, położył na ziemi i otworzył, odsłaniając przełącznik, baterię i ułożony na skos cylinder ze stali nierdzewnej. Wszystkie trzy elementy były połączone kablami, a przestrzeń pomiędzy nimi wypełniona czarną gąbką, żeby nic się nie ruszało. Przełącznik był opisany cyrylicą, którą Cassiopeia umiała odczytać.

– Wyłączona – powiedziała.

Cotton przyłożył rękę do baterii i cylindra.

– Zimne.

Szybko wyciągnęli z bagażnika pozostałe trzy walizki. Wszystkie wyglądały dokładnie tak samo. Żaden z ładunków RA-115 nie został aktywowany.

– Czy to bomby? – zapytał jeden z policjantów.

– Zabierzcie ich stąd, do cholery – rzucił Cotton do ludzi z Secret Service, którzy kazali funkcjonariuszom się cofnąć.

– Kelly chciał zginąć – stwierdziła Cassiopeia.

– Wiem. I przywiózł nam te cztery zabawki, żeby nas czymś zająć.

Pamiętał, czego dowiedziała się Stephanie. Zaginęło pięć bomb typu RA-115. To oznaczało, że ostatnia jest w rękach Zorina.

Ale gdzie ją zabrał?

– Malone – usłyszał czyjeś wołanie. – Ktoś dzwoni na twój telefon, mówi, że to pilne.

Zorientował się, że zostawił komórkę na masce jednego z radiowozów.

Przebiegli przez ulicę, nadal zablokowaną, i Malone przyłożył telefon do ucha. Przez chwilę słuchał, po czym się rozłączył.

– To Stephanie – powiedział do Cassiopei. – Zorin jest w kościele Świętego Jana z piątą bombą. Wracaj do Białego Domu i dopilnuj, żeby wszystkich stamtąd wyprowadzili, jak najszybciej. Stephanie ostrzegła już Litchfielda. Pomóż mu. Mamy dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia pięć minut.

Następnie odwrócił się do stojącego obok policjanta.

– Pożyczam wóz – oznajmił i nie czekając na odpowiedź, wskoczył na siedzenie kierowcy.

– A ty dokąd? – zapytała Cassiopeia.

– Jadę powstrzymać tego sukinsyna.

## ROZDZIAŁ 77

Zorin od początku liczył kroki i stwierdził, że powinien znajdować się już bezpośrednio pod terenem Białego Domu. Był cały umorusany, ponieważ w miarę jak zapuszczał się głębiej, tunel robił się coraz ciaśniejszy.

Ale wreszcie znalazł punkt docelowy, o którym mówił Kelly.

Andropow byłby z niego dumny. Jego wizja miała za chwilę stać się rzeczywistością.

Położył się płasko na brzuchu, bo tunel miał już w tym miejscu ledwie kilkadziesiąt centymetrów wysokości. Latarką oświetlił aluminiową skrzynkę. Odblokował zatrzaski i uniósł wieko; w tym ścisku nie był w stanie nawet otworzyć go do końca. Wiedział, że gdy włącznik zaskoczy, upłynie jeszcze jakieś piętnaście minut, zanim temperatura uruchomi mechanizm spustowy, może trochę więcej z uwagi na panujący pod ziemią chłód.

Spojrzał na zegarek.

11:40.

Kelly na pewno zdążył już przeprowadzić swoją dywersję, a to powinno dostatecznie zaskoczyć i dezorientować Amerykanów, żeby przynajmniej przez kilka minut mieli pełne ręce roboty. Znalezienie czterech bomb RA-115 powinno też uspokoić ich na tyle, żeby piąta zdążyła bez problemu eksplodować.

O tej porze prawdopodobnie wszyscy są już w Białym Domu, szykując się do ceremonii, która rozpoczyna się punktualnie o dwunastej. Zorin naczytał się wystarczająco dużo o tej amerykańskiej tradycji, żeby wiedzieć, że program dnia nie zostanie zmieniony. Konstytucja USA mówi jasno: „Dwudziestego stycznia w samo południe”, i tak właśnie będzie.

Przez jego zmęczone ramiona i ręce przeszedł dreszcz, uda i łydki miał całkiem odrętwiałe. Mimo to, leżąc tu w samotności, ze wszystkich stron otoczony ziemią, czuł przepełniający go spokój. Koniec był już przesądzony. Zabawne, że całe życie doprowadziło go w to miejsce. Być może z jego prochów wyrośnie nowe ziarno, nowa walka, może nawet nowe państwo. Nienawiść, którą tak długo w sobie pielęgnował, gdzieś wyparowała, zamiast niej czuł wszechogarniającą ulgę. Nie był już tym samym starym, zmęczonym i pokonanym człowiekiem.

Odniósł sukces.

Szkolny mat.

Zwycięstwo w dwóch ruchach.

Kelly pewnie już nie żył. Jeden ruch został wykonany.

Prawą ręką sięgnął do środka walizki i znalazł włącznik.

Ilu jeszcze ludzi opuści dzisiaj ten świat? Dziesiątki tysięcy? Chyba raczej setki tysięcy. Najwyższy czas, żeby naczelnym wrogiem doświadczył tego samego, co Sowieci przeżywali od tak dawna, że zdążyli się do tego przyzwyczaić.

Porażki.

Ujął małą dźwignię dwoma palcami. Zalała go fala euforii. Od tej iskry zapłonął świat.

– Za ojczyznę.

Włączył urządzenie.

Malone wcisnął gaz do dechy i pognął radiowozem Piętnastą Ulicą na północ, mijając Departament Skarbu. Włączył syrenę, żeby oczyścić sobie drogę, ale i tak jechał zygzakiem pomiędzy innymi

samochodami. Na skrzyżowaniu z jednokierunkową ulicą H skręcił pod prąd w lewo i przez kilka kilometrów wymijał mknące z naprzeciwka samochody, aż zobaczył przed sobą kościół Świętego Jana stojący tuż przy Parku Lafayette'a. Wtoczył się na chodnik, za którym zaczynał się już park, i podjechał najdalej, jak mógł, zanim dalszą drogę zablokowała barierka z wbitych w ziemię żelaznych słupków. Tam wyskoczył z pojazdu. W całym parku aż do Pennsylvania Avenue roiło się od ludzi. Według Stephanie pod ziemią w tym miejscu biegł tunel do Białego Domu. Malone puścił się biegiem w stronę głównego wejścia do kościoła. Cały teren był zamknięty, ponieważ trwały tam prace remontowe, ale bez namysłu przeskoczył ogrodzenie. Kilka osób na chodniku dziwnie na niego spojrzało, ale nie miał czasu, żeby przed kimkolwiek się tłumaczyć.

Ani żeby ich stąd ewakuować.

Jedynie, co mógł teraz zrobić, to nie dopuścić do eksplozji.

Cassiopeia przybiegła do Białego Domu w towarzystwie jednego z agentów Secret Service, którzy byli w miejscu, gdzie zginął Kelly. Od razu rzuciło jej się w oczy, że nikt nie opuszcza budynku. Gdy tylko weszli do środka przez wschodnie skrzydło, usłyszeli od strażnika, że ceremonia za chwilę się rozpocznie.

– Dlaczego nie trwa ewakuacja? – zapytała.

Mężczyzna spojrział na nią zdziwiony.

– Jaka ewakuacja?

Odepchnęła go i ruszyła w stronę głównej części budynku. Po chwili na jej drodze stanęli dwaj agenci w mundurach.

– Nie może pani tam wejść.

– Musimy stąd wszystkich wyprowadzić. Nic nie wiecie? Gdzie jest ten prokurator generalny, Litchfield? Znajdźcie go.

Jeden z agentów skontaktował się z kimś przez radio. Następnie odwrócił się z powrotem do niej i powiedział:

– Pan Litchfield pół godziny temu opuścił budynek.

Zorin miał ochotę po prostu zostać na miejscu razem z bombą i umrzeć w chwili eksplozji, ale rozsądek nakazywał mu wrócić do kościoła i stanąć na straży, żeby na pewno nic nie przeszkodziło w realizacji planu. Będąc zaledwie kilkaset metrów od epicentrum wybuchu, i tak umrze, ale w ten sposób do ostatniej chwili będzie wykonywał swoje zadanie.

Zgarbiony zaczął z powrotem przeciskać się przez stary tunel, który mocno cuchnął, ale zachował się zaskakująco dobrze, zważywszy na jego wiek. Promień latarki tworzył bladą ścieżkę na ceglanym dnie. Zorin zaniósł bombę najdalej, jak mógł, potem tunel był już całkiem zawalony. Wyglądało na to, że dawne przejście prowadzące aż do Białego Domu już nie istniało.

Dotarł do wylotu, wyprostował się i wskoczył z powrotem do kościelnej piwnicy.

Na zegarku była 11:47.

Minęło pięć minut, odkąd aktywował bombę.

Malone rozejrzał się naokoło, ale walający się wszędzie gruz i cienka warstwa śniegu nie zdradzały żadnych śladów. Zauważył metalowe drzwi, które wyglądały, jakby prowadziły do podziemi kościoła. Wydawały się zamknięte na metalowy skobel, ale gdy podszedł bliżej, okazało się, że zamek jest przymocowany tylko do jednego skrzydła drzwi i tak naprawdę niczego nie zabezpiecza.

Malone szarpnął za obie klamki, a drzwi nie postawiły żadnego oporu. Zbiegł po stromych betonowych

schodach i znalazł się w piwnicy pełnej sprzętu elektrycznego i grzewczego.

Po drugiej stronie pomieszczenia stał Zorin z latarką w ręku.

Skoczył do przodu i rzucił się całym ciałem na wielkiego Rosjanina, zwalając go ramieniem z nóg niczym futbolista.

Widok Malone'a zszokował Zorina. Ten Amerykanin wydawał się niezniszczalny. Już dwa razy wywinął się śmierci. Kiedy metalowe drzwi z brzękiem się otwały, Zorin stanął jak wryty. Nie miał przy sobie broni, zostawił ją w kieszeni płaszcza, który leżał kilka metrów od niego.

A Malone nie dał mu czasu na jakąkolwiek reakcję.

Z głuchym łoskotem obaj upadli na ziemię.

Cassiopeia nie wierzyła własnym uszom. Najwyraźniej zamiast podnieść alarm, Litchfield uciekł, żeby ratować własną skórę.

Teraz było już za późno, żeby cokolwiek zrobić. A nie chciała marnować cennego czasu na wyjaśnienia.

– Gdzie jest kościół Świętego Jana? – zapytała.

Jeden z agentów wytłumaczył jej, jak się tam dostać.

Wybiegła przez drzwi, krzycząc:

– Dajcie znać strażnikom, że muszą mnie przepuścić przez północną bramę!

Malone musiał skończyć to jak najszybciej.

Nigdzie nie widział aluminiowej skrzynki, a otwór wybity w ceglanej ścianie mógł oznaczać tylko jedno: bomba była na miejscu i mechanizm spustowy już się rozgrzewał.

Zorin wyswobodził się i stanął na nogi.

Malone też się podniósł, ale w tej samej chwili dostał cios pięścią, który wstrząsnął jego szczęką. Kolejne uderzenie, tym razem w splot słoneczny, zgięło go wpół. Mimo to otrząsnął się niemal natychmiast i głową rąbnął Zorina w nos. Usłyszał zbolące stęknienie i szybko poprawił prawym sierpowym.

Zorin zatoczył się do tyłu, ale odzyskał równowagę i rzucił się do kontrataku z szybkością kobry. Złapał gruby stalowy łańcuch, który leżał na stosie pustaków, i zamachnął się nim z całej siły. Malone zrobił unik, ale metal przeszedł tak blisko, że niemal poczuł na skórze jego dotyk. Łańcuch uderzył w ścianę, odłupując kawałek cegły. Na ziemię posypał się pył. Zorin jeszcze raz zatoczył łańcuchem szeroki łuk, a Malone uniknął ataku, odskakując do tyłu.

Ten człowiek potrafił walczyć.

Ale Malone nie był od niego gorszy.

Mocno zaparł się nogami i wymierzył przeciwnikowi kilka ciosów pięścią. Zorin próbował zebrać siły na kolejny zamach łańcuchem, ale trafienie otwartą dłonią w podbródek wybiło go z rytmu, a dwa uderzenia w korpus sprawiły, że wypuścił łańcuch z rąk.

Malone dalej tłukł pięściami w twarz Rosjanina i rozciął mu łuk brwiowy. Z nosa Zorina nadal płynęła krew. Czuł, że przeciwnik słabnie, dlatego skupił się na tułowiu i wbił mu pięść prosto w brzuch. Zorin stracił grunt pod nogami i upadł.

Malone doskoczył do niego, objął jego szyję prawą ręką i pomagając sobie drugą, zaczął go dusić. Po czole ściekał mu pot, ale zamrugał tylko oczami i ścisnął jeszcze mocniej. Zorin próbował się uwolnić, ale Malone nie odpuszczał ani o włos.

Trzymał z całej siły.

Oddech Zorina stał się szarpany, potem chrapliwy.

Chwyty palców Rosjanina wpijających się w jego ręce powoli zaczął słabnąć. Krew huczała mu w uszach, jak gdyby słyszał bicie serca Zorina zamiast własnego. Jeszcze nigdy nie zabił człowieka gołymi rękami, ale teraz już nie mógł się cofnąć. Zorin musiał zostać wyeliminowany. Bez wahania, bez wątpliwości, bez skrupułów. W głowie Malone'a cały czas trwało odliczanie. Wiedział, że pozostały tylko minuty.

Wszystkie mięśnie Zorina się napięły, szarpały się i napierały, próbując przełamać żelazny uścisk Malone'a. Słysząc było charkot, potem nogi zaczęły dziko kopać w wisielczym tańcu. Aż w końcu głowa opadła na bok i całe ciało zwiotczało Malone'owi w rękach.

Zwolnił uścisk i na czworakach odsunął się na bok, z wysiłkiem łapiąc powietrze. W uszach mu dudniło, przed oczami widział czerwone plamy. Zorin leżał nieruchomo, z otwartymi szeroko ustami. Krew wciąż sączyła się z jego nosa, twarz skrywał cień.

Malone sprawdził puls. Jego przeciwnik nie żył.

I wtedy coś do niego dotarło.

Zorin stawiał opór na pokaz, walczył, ale tylko dla zachowania pozorów. Ten oficer KGB, tak samo jak Kelly, wykupił bilet tylko w jedną stronę. Zamierzał zginąć w wybuchu. Ten pojedynek na śmierć i życie tak naprawdę odniósł tylko jeden skutek: bomba miała więcej czasu, żeby się uzbroić.

Malone przeklinał własną głupotę. Stracił bezcenne sekundy.

Otrząsnął się, zerwał na równe nogi i rzucił do otworu w ścianie piwnicy. Żebra przeszywał mu ostry ból, którego bardziej przytępioną wersję czuł także w plecach. Podniósł z ziemi latarkę odrzuconą przez Zorina i wkroczył do tunelu.

„Szybciej”, powtarzał sam sobie.

Ruszył w ciemność.



## ROZDZIAŁ 78

Stephanie widziała przed sobą centrum Waszyngtonu. Helikopter nadlatywał od zachodu, mijając budynek Pentagonu i mauzoleum Lincolna. W parku National Mall, znajdującym się w zasięgu eksplozji, było co najmniej kilka tysięcy ludzi. Za późno, żeby przewieźć ich wszystkich w bezpieczne miejsce. Mogła mieć tylko nadzieję, że Litchfield zabrał z Białego Domu Foksa i nowego wiceprezydenta. Danny, jak to on, zapewne nie ruszył się z miejsca.

– Mamy pozwolenie? – zapytała pilota przez mikrofon.

– Tak jest. Wylądujemy na północnym trawniku.

– Pospieszcie się.

Na horyzoncie pojawił się zarys Białego Domu.

Cassiopeia wybiegła przez bramę północną na zatłoczoną Pennsylvania Avenue, gdzie rozbrzmiewały tysiące zlewających się w jedno głosów ludzi, którzy czekali na wybicie dwunastej. Nagle jednak przez całą tę wrzawę przebił się odgłos helikoptera tnącego powietrze. Odwróciła się i zobaczyła wojskowy śmigłowiec, który przeleciał nad Białym Domem i zaczął lądować, wzbijając przy tym tumany śniegu. Tylne drzwi się otworzyły i ze środka wyskoczyła Stephanie, trzymając w ręku coś, co wyglądało na książkę. Cassiopeia zawróciła i popędziła z powrotem do bramy, którą strażnik ponownie przed nią otworzył. Stephanie usłyszała jej wołanie.

– Litchfield nikomu nic nie powiedział i sam uciekł – powiedziała, gdy tylko podeszła bliżej.

Stephanie popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Wszyscy ciągle tu są?

Skinęła głową.

– Cotton szuka Zorina w kościele. Idę tam do niego.

– Ja zrobię, co mogę, w środku.

Rozbiegły się w przeciwnych kierunkach.

Malone posuwał się naprzód z latarką, której słabe światło ledwo oświetlało drogę. Tunel był wprawdzie ciasny, ale na szczęście nic nie tarasowało drogi. Najbardziej nie podobało mu się to, że musi przejść kilkaset metrów pod ziemią – a to całkiem sporo – nie mając przed sobą ani za sobą nic poza absolutną ciemnością. Gdyby wyłączył latarkę, nie widziałby nawet własnych palców dotykających nosa.

Jego zegarek pokazywał godzinę 11:50.

Zorin prawdopodobnie uruchomił bombę jakieś pięć, dziesięć minut temu. Z pewnością chciał jak najbardziej zsynchronizować wybuch z wybiciem dwunastej. Malone starał się skoncentrować na zadaniu i zwalczyć w sobie wzbierającą falę paniki, która szybko zaczynała opanowywać jego ciało i umysł. Nigdy nie doświadczył żadnych problemów w windzie, drzwiach obrotowych czy maleńkiej łazience. Nawet w kokpicie myśliwca, w którym jest się przecież ściśniętym i nie można spojrzeć na ziemię. Za szybko zawsze było jednak widać otwarte niebo, a siła odrzutowego przyspieszenia nie pozwalała ani przez chwilę poczuć się jak w pułapce.

Wręcz przeciwnie. Latając myśliwcem, czuł się wolny.

Dużo czytał na temat klaustrofobii. Zalewająca organizm adrenalina dawała impuls do walki lub ucieczki. Ale kiedy żadne z tych działań nie było możliwe, następował atak paniki.

Tak jak teraz.

Zatrzymał się i przez kilka sekund ze wstrzymanym oddechem wsłuchiwał się w ciszę. Ciemność wydawała się tu jeszcze bardziej nieprzenikniona, a powietrze zimne i ponure.

Pierwszy raz doświadczył tego jako nastolatek. Razem z kumplem schowali się w bagażniku auta, żeby wśliznąć się do kina samochodowego. Skończyło się tak, że spanikował i rozwalił tylne siedzenie, żeby uciec z zamknięcia. Przez następne lata podobna sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie, aż zdał sobie sprawę, że nie tyle boi się ciasnych przestrzeni, co raczej poczucia skrępowania. Bycia unieruchomionym. W samolocie nigdy nie lubił siedzieć przy oknie. I chociaż często żartował sobie z Cassiopei z powodu jej strachu przed lataniem, zawsze wiedział, że jego słabość to coś więcej. Strach można pokonać. Fobia człowieka paraliżuje.

Do gardła podeszła mu cierpka żółć.

Nozdrza wypełniał odór stęchlizny.

W tym tunelu od lat nie było żadnej wymiany powietrza.

Ruszył dalej. Ale już po chwili poczuł w sobie ogień, który wyrywał się z trzewi i zaatakował głowę.

Zaczynał się atak paniki.

Stephanie weszła do Białego Domu przez północne drzwi. W budynku panował gwar ściszonych rozmów i atmosfera oczekiwania. Do zaprzysiężenia zostało tylko kilka minut. Edwin Davis czekał już na nią, z pewnością zaalarmowany przez przylot helikoptera.

– Bomba jest pod nami – oświadczyła. – W tunelu wykopanym przez Towarzystwo Cyncynatów po wojnie 1812 roku. – Uniosła trzymany w ręku dziennik. – Wszystko jest tutaj. Ostrzegłam Litchfielda, ale odjechał, nie informując nikogo.

I wtedy zrozumiała.

– Drań. Sam mi powiedział, że zgodnie z ustawą z 1947 roku jest ujęty w linii sukcesji. Założę się, że prokurator generalny jest wyżej w hierarchii niż wyznaczony na dziś członek gabinetu. Jeśli wszyscy wylecimy w powietrze, Litchfield zostanie prezydentem.

– Postarajmy się więc, żeby tak się nie stało.

Wyrzała przez oszklone drzwi. Patrzyła na północny trawnik, na ogrodzenie i zgromadzonych za nim ludzi. Kiedy rozmawiała z Litchfieldem przez telefon, była jeszcze szansa, żeby uratować Foksa i ewakuować stąd przynajmniej część ludzi.

Teraz nic nie dało się już zrobić.

Bomba o sile sześciu kiloton unicestwi wszystko w promieniu półtora kilometra.

– Cała nadzieja w Cottonie.

Malone nie mógł się zatrzymać. Musiał iść dalej. Ale jego umysł opanował przeraźliwy strach, który wymazał wszystkie myśli z wyjątkiem jednej.

Uciekaj.

Wszystkie mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Zacisnął oczy i zamknął się w sobie, próbując stłumić przypływ irracjonalnego strachu. Od bardzo dawna nie czuł się tak bezradny.

Ale znajoma panika powróciła.

Zaczął się dusić, jakby miał na sobie za ciasne ubranie. Zakręciło mu się w głowie, stracił wycucie kierunku. Ściany stale się przybliżały, z każdą sekundą robiło się ciaśniej. Ktoś powiedział mu kiedyś, że chodzi o lęk przed utratą kontroli.

Gówno prawda.

To było jak uwięzienie w klatce zamkniętej w innej klatce, która jest zamknięta w innej klatce.

Coś okropnego.

Jedyny plus był taki, że nikt go nie zobaczy w tym stanie.

Tunel zaczął się zwężać, strop zdecydowanie wisiał teraz niżej niż na początku. Cała konstrukcja wyglądała, jakby się nieco osunęła. Nie liczył kroków, ale doszedł już naprawdę daleko. Na pewno był już za Parkiem Lafayette'a, może nawet za Pennsylvania Avenue. Jak to możliwe, że ten korytarz przez te wszystkie lata nie został odkryty? To doprawdy niewiarygodne. Ale tunel tu był, i to całkiem niezłe utrzymany, choć wyglądało na to, że im dalej od kościoła, tym jego stan się pogarszał. Malone próbował się skupić na tej myśli i oszukać swój umysł, ale bez powodzenia. To podziemne przejście było jak ogromny pyton stopniowo wyciskający z niego zdolność racjonalnego myślenia i wpędzający go w obłąd. Z ciemności wystrzelił czysty strach, który wbił się w niego jak strzała.

Malone zobaczył miejsce, w którym korytarz całkiem się zapadł i prześwit miał już mniej niż metr kwadratowy. Na początku tylko trochę się garbił, potem musiał przykucnąć, teraz szedł na kolanach. Ale przed nim, zaledwie kilka kroków dalej, zaczynała się tak wąska przestrzeń, że dałoby się do niej tylko wczołgać na brzuchu.

Zaświecił do tej szczeliny latarką.

I ujrzał aluminiową skrzynkę.

Leżała trzy metry od niego.

*Mój Boże.*

Teraz musiał tylko się do niej dostać.

Spełniał się najczarniejszy scenariusz rodem z najgorszych koszmarów, jakie kiedykolwiek go nawiedziły. Te, po których budził się zlany zimnym potem.

Ale nie miał wyboru.

Cassiopeia dobiegła do kościoła Świętego Jana ogrodzonego wysokim płotem, który sprawnie pokonała. Następnie obeszła budynek naokoło i od północnej strony dostrzegła stalowe drzwi otwarte na oścież. Za nimi były betonowe schody, które zaprowadziły ją do kościelnej piwnicy. Unoszący się tam zapach przyprawił ją o mdłości. Po chwili zlokalizowała jego źródło. Po drugiej stronie pomieszczenia leżało ciało.

Podbiegła bliżej. I rozpoznała Zorina.

Był martwy.

Nie widziała nigdzie Cottona, a zatem musiał wejść do tunelu.

Ruszyła za nim.

Malone przesuwiał się na brzuchu z rękami wyciągniętymi do przodu, ściskając w dłoni latarkę. W szczelinie było tak ciasno, że teraz nie mógłby już nawet cofnąć ręki. Chwytając garściami ziemię, zbliżał się do walizki centymetr po centymetrze. Nie mógł oddychać, wydawało mu się, że płuca ma pełne płynu. Zakaszał, próbując złapać odrobinę powietrza, ale przestał, gdy ziemia zaczęła sypać się mu na głowę. Zastanawiał się, czy ta szczelina może się na niego zawalić.

Ta myśl go paraliżowała.

Przypomniawszy sobie, że dwa metry od niego znajduje się bomba jądrowa. Jeżeli ona eksploduje, nie zostanie po nim nawet ślad. Cóż, wtedy przynajmniej ta tortura też się skończy – bo przebywanie w tym miejscu było dla niego torturą. Ale nie mógł do tego dopuścić. Zbyt wielu ludzi tam, na górze, na niego liczyło. Dlatego nie przestawał się czołgać, podciągając na łokciach i ryjąc stopami w ziemi.

Wreszcie dosięgnął bomby.

Szczelina miała w tym miejscu najwyżej pięćdziesiąt centymetrów wysokości. Nie było nawet miejsca,

żeby otworzyć szeroko walizkę. Gdyby zaczął się z nią teraz szarpać, próbował ją wyciągnąć i przenieść w bardziej przestronne miejsce, zmarnowałby bezcenny czas, co byłoby katastrofalne w skutkach. Widział, że zaczepy nie są zamknięte. Położył latarkę tak, żeby światło padało na skrzynkę, i ostrożnie podniósł pokrywę na tyle, by wsunąć do środka rękę.

Poczuł pod palcami cylinder ze stali nierdzewnej.

Był gorący.

Przypomniał sobie instrukcje Daniela i przerzucił dźwignię wyłącznika, ale dla pewności namacał też kable podłączone do styków baterii.

Wyrwał je.

Zaiskrzyło.

Malone otworzył szeroko oczy.

Czekał na wybuch, jasny i gorący jak samo słońce, na oślepiający błysk, który zobaczy tylko przez milisekundę.

Ale nic się nie stało.

Odczekał jeszcze kilka sekund.

Nadal nic.

Jego więzienie było zimne jak lód, prawie nie dało się oddychać. Naprawdę znalazł się we wnętrzu ziemi. Leżał nieruchomo, wpatrując się w walizkę, ciągle trzymając w środku rękę. Przesunął palcami po cylindrze. Już teraz wydawał się odrobinę chłodniejszy niż jeszcze przed chwilą. Malone dotykał, macał i ścisnął urządzenie ze wszystkich stron.

Tak, cylinder zdecydowanie stygnął.

Udało się.

Rozbroił to cholerstwo.

Czas się stąd wynosić.

Próbował się wycofać, ale nie był w stanie. Ekstremalnie ciasna przestrzeń nie pozwalała się poruszyć. Kiedy zaczął się mocniej szamotać, posypała się ziemia, jeszcze bardziej odcinając dopływ powietrza. Miał wrażenie, że wszystko się kurczy, ścisną, zgniata go żywcem.

Na plecach znów poczuł spadający piach.

Ziemia wydawała się mścić za jego wtargnięcie.

Utknął na dobre.

*Matko Boska. Co do...*

Nagle wszystko zważyło mu się na głowę.

Malone krzyknął.

Cassiopeia szła tunelem najszybciej, jak mogła, oświetlając sobie drogę telefonem. Wyobrażała sobie, co musi przeżywać Cotton. Nie znosił ciasnych miejsc. Nawet jej było ciężko, a wcale nie miała z tym takiego problemu jak on. Przeszła już ładny kawał drogi, może ze sto metrów, a korytarz zaczął się robić coraz węższy, kiedy nagle usłyszała krzyk.

Gdzieś przed nią. Całkiem niedaleko.

Przyspieszyła kroku i dotarła do miejsca, gdzie tunel stawał się wąską szczeliną.

Coś się tam ruszało, a przez zwałoną ziemię sączyła się odrobina światła.

*O Boże.*

Cotton był zasypany.

Malone stracił kontrolę.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak krzyczał, jeśli w ogóle kiedykolwiek mu się to zdarzyło. Czuł się żalony i słaby. Jego własny strach w końcu złamał jego opór. Zamknął oczy i z całą siłą dotarła do niego beznadzieja sytuacji, w której się znalazł. Całe ciało miał jak z ołowiu, ręce i nogi ścisnęły bolesne skurcze. Był pogrzebany żywcem, ledwo oddychał, w głowie kołatała się tylko jedna myśl.

*Muszę stąd wyjść.*

Ale nie mógł nic...

– Cotton.

W jednej chwili odzyskał panowanie nad sobą.

Głos.

Mocny, dźwięczny, budzący zaufanie.

I znajomy.

Cassiopeia.

Sam fakt, że ją usłyszał, pozwolił mu wrócić znad przepaści.

– Tutaj – powiedział, starając się nie stracić głowy.

Złapała go za buty. Jej dotyk od razu go uspokoił i wysłał sygnał do jego otumanionego umysłu, że być może jeszcze nie wszystko stracone.

*Trzymaj się. Zachowaj spokój. Nadeszła pomoc.*

– Utknąłem... Nie mogę wyjść.

– Teraz już możesz – odpowiedziała.

Cassiopeia gołymi rękami dokopała się do Cottona, wściekle odrzucając za siebie jedną garść ziemi za drugą. Kiedy udało się odsłonić jego stopy, chwyciła go za kostki i zaczęła z powrotem wysuwać się z dziury. Będąc drobniejszej postury niż on, miała odrobinę większe pole manewru.

Doskonale rozumiała, dlaczego krzyczał.

Choć sama niekoniecznie wierzyła w istnienie piekła, wiedziała, że tak właśnie wyglądałoby piekło przygotowane specjalnie dla Cottona.

Malone powoli wygrzebywał się ze szczeliny z pomocą Cassiopei, która mocno ciągnęła go za nogi. Jeszcze chwila i wydostanie się z tej trumny. Zostawił w środku walizkę i latarkę. Ktoś inny może tu po nie później wrócić. On chciał już tylko stąd wyjść. Wreszcie jego nogi, a potem ręce wysunęły się z ciasnej dziury. Znowu znalazł się w wąskim tunelu o wymiarach metr na metr, który jednak w porównaniu z miejscem, gdzie był przed chwilą, wydawał mu się teraz przepastnym pasażem.

Kłęczał na ziemi. Jego oddech był płytki i rwany, ale powoli się uspokajał. W świetle telefonu komórkowego zobaczył twarz Cassiopei. Wyglądała jak anioł.

– Bomba? – odezwała się.

– Wyłączyłem.

– Wszystko w porządku?

Słyszał troskę w jej głosie i pokiwał głową.

Ale to nie była prawda.

Mocno wciągnął powietrze w obolałe płuca i powstrzymał napad kaszlu. Całe jego ciało dygotało. W ustach wciąż czuł smak żółci i strachu.

Wyciągnęła ręce i złapała go za nadgarstek.

– Pytam serio. Wszystko w porządku? Jesteśmy tu sami.

– Byłem... pogrzebany.

Wiedział, że na jego brudnej twarzy maluje się niemoc i ból, że jego rysy nadal wykrzywia strach. Ale

nie próbował tego ukrywać. Po co? Słyszała jego krzyk, zdradzający słabość, której ktoś taki jak on wolałby nigdy nie okazać. Ale zawarli pakt. Koniec ściemniania.

Postanowił więc dotrzymać warunków umowy.

Spojrzał jej głęboko w oczy, nie kryjąc wdzięczności za to, co dla niego zrobiła, i powiedział dokładnie to, co czuł.

– Kocham cię.

# ROZDZIAŁ 79

BIAŁY DOM

PONIEDZIAŁEK, 21 STYCZNIA

GODZ. 17:45

Stephanie rozglądała się po Gabinetcie Ovalnym, z którego zniknęły już wszelkie ślady po administracji Roberta Edwarda Danielsa juniora. Warner Scott Fox złożył przysięgę, jak nakazywała konstytucja, wczoraj o dwunastej w południe. Stała wtedy pod drzwiami do Sali Niebieskiej i patrzyła na scenę, którą transmitowano na żywo na cały świat. Przez cały czas ona i Edwin myśleli tylko o tym, czy za moment ich wszystkich zmiecie z powierzchni ziemi podziemny wybuch jądrowy. Ale nic takiego się nie stało.

Cotton wykonał zadanie.

Dzięki czemu dzisiaj mogła się odbyć druga ceremonia, przed budynkiem Kapitolu. Fox przemawiał na mrozie przez pół godziny, wykazując się nadspodziewaną elokwencją, energią i odwagą. Nowy prezydent wziął następnie udział w inauguracyjnej paradzie, skąd wrócił do Blair House, żeby przygotować się na wieczór na mieście, podczas którego razem z żoną miał odwiedzać jeden bal za drugim. Najpierw jednak Danny poprosił go o rozmowę, wybierając na to ostatnie spotkanie ten sam gabinet, który jeszcze do wczoraj stanowił jego azyl.

Stawiła się cała ekipa.

Cotton, Cassiopeia, Edwin Davis, no i ona.

Zaraz po zaprzysiężeniu opowiedziała Danny'emu o wszystkim, co się wczoraj wydarzyło. Chciała też zdać relację Foksovi, ale Danny wyperswadował jej ten pomysł.

„Jeszcze nie teraz”, powiedział.

Wiedziała, że powstał już częściowy raport dotyczący incydentu z Jamiem Kellym i czterech walizek znalezionych w samochodzie. Wyobrażała sobie, że ta informacja powinna przyprawić Foksa o gęsią skórkę. Luke czuł się już lepiej i chciał wyjść ze szpitala, ale lekarze kazali mu zostać jeszcze jeden dzień. Młodszy Daniels usłyszał już, co się stało, i był szczęśliwy, że wszystko tak dobrze się skończyło.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł prezydent Fox. Ubrany w czarny frak z białą muszką wyglądał całkiem elegancko. Był sam.

– Wiesz, że prędzej czy później będziesz musiał się stąd wyprowadzić – powiedział do Danny'ego z uśmiechem.

Przez to, że data zaprzysiężenia wypadła w niedzielę, tradycyjne pożegnanie odchodzącego prezydenta przeszło bez echa. Zazwyczaj zaraz po ceremonii przed Kapitołem były prezydent machał do dziennikarzy i wsiadał do samolotu w wojskowej bazie lotniczej Andrews. Jednak nie tym razem. Danny patrzył wczoraj, jak Fox składa przysięgę, potem spędził ostatnią noc w Białym Domu i dziś gapił się na to samo po raz drugi, po czym wrócił tutaj, żeby zabrać resztę swoich rzeczy.

– Jestem już jedną nogą za drzwiami – odparł Daniels. – Ale najpierw musimy pogadać.

– Czuję się trochę osaczony – powiedział Fox. – Może powinni do nas dołączyć moi ludzie?

– Niech to lepiej zostanie między nami.

– Czuję, że wszyscy tutaj wiedzą coś, czego ja nie wiem.

– Próbowaliśmy ci powiedzieć, że jest bardzo źle, ale nie chciałeś nas słuchać – mówił dalej Danny. – Zamiast tego twoi ludzie za moimi plecami próbowali zwerbować moją zaufaną agentkę i zrobić z niej swojego szpiega. I tak, ona na moje polecenie udawała, że z nimi współpracuje.

Fox nic nie powiedział. Ale tacy jak on nie lubili, kiedy się ich przypierało do muru, i przez całe życie uczyli się wymykać z każdego potrzasku. Teraz jednak miał do czynienia z klasycznym zagranieniem Danny'ego Danielsa. Niektórzy członkowie gabinetu oraz kongresmani nazywali to „torturami z Tennessee”.

– Chodzi ci o te cztery bomby, które zostały wczoraj przechwycone? – zapytał Fox. – Tak, słyszałem o wszystkim. Nie były nawet aktywne.

– One miały tylko odwrócić naszą uwagę – powiedział Danny.

Z kolei ludzie z Secret Service umiejętnie odwrócili od nich uwagę opinii publicznej, przedstawiając Jamiego Kelly'ego jako człowieka niezrównoważonego, któremu bardzo zależało na rozgłosie i niestety marnie skończył. Według oficjalnej wersji znalezione u niego „bomby” okazały się tylko atrapami. Natomiast lądowanie helikoptera na trawniku przed Białym Domem uzasadniono po prostu „rutynowymi działaniami służb bezpieczeństwa”.

– Była też prawdziwa bomba – kontynuował Danny. – Sześć kiloton, podłożona w starym tunelu bezpośrednio pod Białym Domem.

– I nikt mi nie powiedział? – zdziwił się Fox.

– Chciałem zachować ten przywilej dla siebie.

– Będę musiał odbyć rozmowę z Secret Service na temat ich lojalności. Od wczoraj ja tu rządę.

– Nie, jeśli chodzi o tę operację. Mówiłeś, że mamy się tym zająć. Więc się zajęliśmy. Teraz już po wszystkim, więc meldujemy o przebiegu misji, zgodnie z twoją prośbą.

Fox nie bardzo mógł się z tym nie zgodzić, skoro była to sama prawda.

– Dobrze, Danny, rozumiem. Co do prób zwerbowania Stephanie: mój prokurator generalny ewidentnie się pod tym względem przeliczył. Kiedy powiedział mi, co zrobił, nie byłem zadowolony. To nie mój styl.

Danny pokiwał głową.

– Wiem coś o tym. Ja też miałem u siebie paru samotnych jeźdźców.

„Kilku nawet próbowało go zabić”, dodała w duchu Stephanie.

– Zastanawia mnie jednak – podjął Fox – jak to możliwe, że nikt nie wiedział o istnieniu tunelu pod tym budynkiem.

Stephanie niemal się uśmiechnęła. Fox próbował nabić sobie kilka punktów.

Danny podniósł z prezydenckiego biurka dziennik Tallmadge'a, który dostał od niej wczoraj.

– To bardzo pouczająca lektura – stwierdził.

I opowiedział Foksowi o Towarzystwie Cyncynatów.

– Wszystko zaczęło się od wojny 1812 roku. Chcieliśmy uczynić z Kanady naszą czternastą kolonię, żeby stała się częścią wielkich Stanów Zjednoczonych. Ale Brytyjczykom nie było to w smak. Spaliliśmy Toronto, więc oni przyszlizli i spalili nam Waszyngton. Trochę poszperaliśmy i okazało się, że dawno temu wiadano o tunelu. Dokumenty świadczą o tym, że zamknięto go podczas wojny domowej. Do tego czasu zapadła się część biegnąca pod Białym Domem, więc nasi poprzednicy zapieczętowali wejście od tej strony, potem poszli do Świętego Jana i zamurowali wejście znajdujące się w piwnicy. W kościele nikt o niczym nie wiedział. Nie chcieli, żeby ktoś zainteresował się tunelem w czasie wojny domowej, dlatego po cichu go zlikwidowali. Gdyby nie to, że w archiwach Towarzystwa Cyncynatów istniały wzmianki na ten temat, nikt by o tym nie pamiętał. A gdyby nie godna podziwu praca wykonana przez siedzącą tu osoby oraz mojego bratanka, który trafił przez to do szpitala, wszyscy bylibyśmy martwi. Cotton dezaktywował bombę na kilka sekund przed eksplozją.

Fox rzucił okiem na Malone'a, ale nic nie powiedział.

– A na domiar złego – ciągnął Danny – człowiek, którego osobiście wyznaczyłeś na swojego



pośrednika, mający cię o wszystkim informować, uznał, że woli sam być prezydentem. Dlatego zamiast powiedzieć ci o bombie, uciekł jak szczur z tonącego okrętu i pognął najdalej, jak mógł.

Teraz Fox wydawał się naprawdę zaskoczony.

– Jak to?

– Zadzwoiłam do Litchfielda z helikoptera – odezwała się Stephanie – i powiedziałam, żeby wszystkich ostrzegł. Był jeszcze wtedy czas na ewakuację. Ale Litchfield wykorzystał ten czas dla siebie. Gdybyśmy wszyscy zginęli w wybuchu jądrowym, on w tej chwili zostałby prezydentem. Był na ceremonii zaprzysiężenia, widział tam sekretarzy stanu, skarbu i obrony, którzy wyprzedzali go w linii sukcesji, więc kiedy powiadomiłam go przez telefon, co się dzieje, po prostu uciekł.

Fox chyba zrozumiał.

– To sukinsyn.

– Wyobraź sobie tylko – dodał Danny, któremu ta rozmowa wyraźnie sprawiała przyjemność. – Wyznaczony do przeżycia członek gabinetu wychodzi z ukrycia gotowy objąć władzę, a tu nagle pojawia się Litchfield i mówi: „Przepraszam, jeszcze ja tu jestem. Jako prokurator generalny przewyższam cię w hierarchii, a prawo sukcesyjne mówi, że wygrywa ten, kto jest wyżej na liście”. Pewnie uznał, że w ten sposób zemści się na nas obu.

– Już jest zwolniony.

Danny zaśmiał się pod nosem.

– Spotkała go znacznie gorsza kara.

Fox spojrzał na niego pytająco.

– Cotton odnalazł go kilka godzin temu – wyjaśnił Danny. – Wcześniej nie miał okazji podziękować za to, że Litchfield chciał go zostawić na pastwę losu na Syberii. Więc poprosiłem Cottona, żeby przekazał mu wyrazy niezadowolenia w imieniu swoim oraz nas wszystkich. To jak, Cotton? – Były prezydent odwrócił się do Malone’a. – Ile złamanych żeber?

– Więcej niż jedno. Odbyliśmy ożywioną dyskusję na temat prezydenckiej sukcesji. W którymś momencie pan Litchfield zdecydował, że chce wybrać inną ścieżkę kariery, i złożył swoją rezygnację. Potem poszedł poszukać lekarza.

– Stłukł go pan? – zapytał Cottona Fox.

– O tak.

Nowy prezydent wyglądał na całkiem zadowolonego.

– Więc chyba na tym koniec. Sprawa zamknięta.

– Niezupełnie – powiedział Danny. – Stephanie wczoraj odeszła z pracy, o czym być może jeszcze nie wiesz.

– Słyszałem.

– Potrzebujesz jej, Warner.

Głęboki głos Danny’ego nabrał nieco innej barwy. Stał się niższy, bardziej pojednawczy.

– Czy to próba wymuszenia? – zapytał Fox.

Stephanie sama się nad tym zastanawiała.

Danny jednak tylko wzruszył ramionami.

– Nazwij to, jak chcesz. Ale chyba nie chciałbyś, żebym ogłosił całemu światu, że o mały włos nie zginęły setki tysięcy ludzi tylko dlatego, że ty chciałeś koniecznie zostać zaprzysiężony w Białym Domu, w samo południe, podczas transmisji na żywo. Nie wspominając o tym, że twoi ludzie aktywnie próbowali utrudniać śledztwo mające na celu powstrzymanie zamachowców. Dodajmy do tego jeszcze spiskowanie z Litchfieldem i jego późniejszą zdradę i mamy już gotowy materiał na cały serial. Który będzie nadawany przez wiele tygodni przez wszystkie media informacyjne w tym kraju. Jak ty to ująłeś

wtedy w sobotę? „Nigdy nie przebilibyśmy się przez ten medialny szum”.

Danny nie wyjawiał wcześniej swoich zamiarów, ale Stephanie podejrzewała, co planuje.

– Cotton – kontynuował Danny – Litchfield chętnie udzieli kilku wywiadów, prawda?

– Zapewnił mnie, że gdy tylko ból ustąpi, będzie do naszej dyspozycji.

– No widzisz? Mamy nawet świadka.

Fox uśmiechnął się.

– Ostrzegano mnie, że kiedy chcesz, potrafisz być niewiarygodnie przekonujący.

– Przekonasz się, że w tej pracy to bardzo cenna umiejętność.

Nowy prezydent zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

– Dla jasności: w sobotę byłem sceptyczny, ponieważ nie przedstawiliście żadnych konkretnych dowodów na potwierdzenie swoich słów. Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, nie chciałem tylko podejmować decyzji wyłącznie na podstawie waszych podejrzeń. Ale byłem gotowy do działania w chwili, gdy zdobędziecie dowody. Jeśli chodzi o pana Litchfielda, przyznaję się do błędu. Słuchaliśmy jego rad. Mój prokurator generalny sromotnie się pomylił i, jak to określił pan Malone, odbyłem z nim ożywioną dyskusję, z tym że bez przemocy. – Fox spojrzał na Stephanie. – Litchfield przekonywał nas, że jest pani kimś innym niż w rzeczywistości. Przepraszam za tę krzywdzącą ocenę. Jednostka Magellan Billet zostanie odtworzona i pozostanie niezależna ode mnie i nowego prokuratora generalnego. I choć wszyscy wiemy, że ten pomysł został mi narzucony, tak naprawdę w pełni zgadzam się z Dannym. Chciałbym, żeby pani pilnowała moich pleców.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie prezydencie – odpowiedziała Stephanie, uznając, że czas odrobinę spuścić z tonu. – Przekona się pan, że jestem lojalnym żołnierzem.

– Poza tym, czy można się spierać z człowiekiem, który odchodzi ze stanowiska, mając wskaźnik społecznego poparcia na poziomie sześćdziesięciu pięciu procent? – dodał Fox.

– Nie przypuszczałem, że jesteś moim fanem – odparł Danny.

– Skoro jesteśmy tu w zaufanym gronie – powiedział Fox – mogę przyznać, że moim zdaniem naprawdę nieźle rządziłeś tym krajem. Sam nawet na ciebie głosowałem. Dwa razy. Oczywiście względy polityczne nie pozwalają mi powiedzieć czegoś takiego publicznie. Podczas tamtego spotkania w sobotę odegrałem małe przedstawienie przed moimi ludźmi. Wszyscy od czasu do czasu musimy tak robić. Ale chcę, żeby ten kraj był nadal tak samo bezpieczny, jak przez ostatnich osiem lat. W moim odczuciu to zadanie numer jeden dla każdego, kto zasiada przy tym biurku. Wiem, że jestem nowym graczem, ale szybko się uczę.

Stephanie podobało się, że Fox umie się przyznać do błędu. U prezydentów to rzadkość.

Warner Fox z pewnością nie był Dannym Danielsem. Ale tylko czas pokaże, czy to dobrze, czy źle.

– A wam wszystkim – podjął Fox – chcę powiedzieć: dziękuję. Świetnie się spisaliście. – Zwrócił się w stronę Cottona. – Zwłaszcza pan, panie Malone. Powinien pan dostać medal.

Cotton pokręcił głową.

– Wystarczy, że mi zapłacicie za przepracowane godziny i dacie przez kilka dni odpocząć. Więcej mi nie trzeba.

Malone wyszedł z Białego Domu drzwiami od strony północnej. Przez cofające się zimowe chmury zaczęły się przebijać ostre promienie słoneczne. W mieście wciąż panowała inauguracyjna gorączka. W Parku Lafayette’a i przeznaczonych tylko dla pieszych strefie za ogrodzeniem nadal roiło się od turystów z aparatami.

Cassiopeia stanęła obok niego, a chwilę później dołączyli do nich Stephanie z Danielsem.

– Nie chciałem o tym wspominać w środku – odezwał się Danny – bo to nasz mały sekret. Nowy przyjaciel Stephanie z parku mówił prawdę. W Moskwie ostatnio umiera dużo ludzi. Zaczęło się

wczoraj. Trzy zabójstwa. O kolejnym doniesiono kilka godzin temu. Giną głównie różni ministrowie, niektórzy dość wysoko postawieni, inni raczej średniego szczebla. Zakładam, że wszyscy tam umieją czytać między wierszami.

Danny objął rękami Malone'a i Cassiopeię, po przyjacielsku klepiąc ich po ramionach.

– Dziękuję wam obojgu za to, co zrobiliście. Doskonała robota. Tam w gabinecie mówiłem poważnie.

Ta nowa administracja potrzebuje was wszystkich. Jeżeli będziecie mogli, pomóżcie im.

Przed wejściem czekał ciemny sedan.

Daniels wyciągnął z kieszeni kluczyki.

– Pożyczyłem. Długo czekałem na tę chwilę. W końcu mogę sam prowadzić.

– Ciekawe, co na to powie Secret Service – odezwała się Stephanie. – Masz nadal przydzieloną grupę agentów, prawda?

– Wziąłem przykład z pierwszego George'a Busha i zrezygnowałem z dalszej ochrony. Nie chcę jej i nie potrzebuję. Od teraz nikt nie będzie za mną chodził.

Stephanie pokręciła głową.

– Boże, miej nas w opiece. Znowu na wolności, bez nadzoru osoby dorosłej.

– Tego bym nie powiedział. Mam przecież ciebie. – Daniels gestem zaprosił ją do samochodu. – Ruszamy?

– Dokąd jedziemy?

– Do tego szpitala w Wirginii, zobaczyć się z Lukiem. Możesz zacząć odbudowywać swoją jednostkę od jutra. Muszę też uścisnąć rękę dzielnej porucznik marynarki, niejkiej Sue Begyn.

Stephanie trzymała w ręku dziennik Tallmadge'a, który zabrali z Gabinetu Ovalnego. Daniels wskazał na niego, mówiąc:

– Musimy to zwrócić staremu Begynowi. Nasi ludzie przeczytali całość i nie znaleźli więcej żadnych sekretów, które mogłyby sprawić nam problemy.

Stephanie przyjęła to z dużą ulgą.

– A ja obiecałam Towarzystwu Cyncynatów zawartość biblioteki w posiadłości Charona.

– Już ktoś się tym zajął – odparł Daniels. – Podobno biblioteka jakimś cudem przetrwała pożar. – Danny otworzył drzwi samochodu. – Mam też prezent dla swojego bratanka. Kazałem naprawić jego samochód, będzie jak nowy. Koszty biorę na siebie.

Wiedziała, że Luke będzie uszczęśliwiony.

Wsiedli do samochodu i Daniels uruchomił silnik. Zanim odjechał, opuścił jeszcze szybę i zawołał:

– Uważajcie na siebie. I odezwiście się czasem.

Samochód ruszył z miejsca i skierował się w stronę południowych bram dla pojazdów. Za chwilę skręcił i zniknął wśród drzew.

– Co on miał na myśli – odezwał się Malone – kiedy powiedział do Stephanie: „Mam przecież ciebie”?

– To długa historia – odparła Cassiopeia. – Ale chyba teraz już mogę ci ją opowiedzieć.

Zapowiadało się ciekawie.

– Mam poczucie, że jeszcze nieraz usłyszymy o Dannym Danielsie – stwierdziła.

Też tak uważał. Bez dwóch zdań.

Zaczęli iść wolno w kierunku północnej bramy dla pieszych. Bomba walizkowa typu RA-115 została wyciągnięta z tunelu i eksperci potwierdzili, że w chwili dezaktywacji do uruchomienia mechanizmu spustowego zostały zaledwie sekundy, dokładnie tak, jak powiedział Daniels. Panujący pod ziemią chłód wydłużył nieco cały proces, dzięki czemu Malone miał szansę ją rozbroić. Badania ujawniły również, że wszystkie bomby, zarówno ta z tunelu, jak i pozostałe cztery, były w pełni sprawne. Agenci Secret

Service zaplombowali już wejście pod kościołem kilkoma tonami betonu i planowali wypełnić także pozostałą część tunelu, która biegła pod trawnikiem północnym.

Brukowaną ścieżką dotarli do stanowiska strażników przy bramie. Malone musiał jeszcze raz spojrzeć na idealnie zadbany trawnik przed Białym Domem. Zaledwie wczoraj leżał uwięziony bezpośrednio pod nim. Po powrocie oboje zameldowali tylko, że bomba została znaleziona i rozbrojona. Tylko on i Cassiopeia wiedzieli, co naprawdę wydarzyło się pod ziemią.

– Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko – odezwała się. – Mam nadzieję, że działa to w obie strony.

Odwrócił się do niej.

– Zawsze.

Widzieli siebie nawzajem w chwili największej słabości. Ona odstłoniła się przed nim w Azji Środkowej i potem znowu w Utah. On przed nią wczoraj, pod ziemią, na której teraz stali. Na samo wspomnienie ogarniał go wstyd. Ale cieszył się, że to ona usłyszała wtedy jego krzyk. Nadal czuł jej pewny chwyt na swoich kostkach, który dodał mu sił, kiedy ziemia pochłaniała go żywcem. Jeszcze nigdy nic tak bardzo nie podniosło go na duchu. Sam się sobie dziwił, jak emocjonalnie do tego podchodzi. Ale tak właśnie działała na niego Cassiopeia.

Kochał ją, tak jak powiedział.

I właściwie co w tym złego?

Wyciągnął rękę w kierunku leżącego za bramą Parku Lafayette'a.

– Hotel Hay-Adams jest zaraz za tymi drzewami, naprzeciwko kościoła Świętego Jana. Zawsze chciałem wynająć tam pokój. Robert Ludlum lubił umieszczać go w swoich powieściach. Wszyscy szpiedzy chodzili u niego na drinka do baru w Hay-Adams. To brzmiało tak tajemniczo.

– Podobno seks w hotelu też jest całkiem niezły, zwłaszcza na pogodzenie po rozstaniu.

Uśmiechnął się. Wiedziała, jak go podejść. Ale nie miał nic przeciwko. Lubił to.

– Myślisz, że dostaniemy tam pokój? – zapytała. – Przecież jest dzień inauguracji.

– Na szczęście mamy wysoko postawionych znajomych. Kiedy wychodziłem z Gabinetu Ovalnego, Fox wsunął mi to do ręki. – Pokazał jej kartę hotelową z logo Hay-Adams. – To klucz do rządowego apartamentu. Mówi, że to najlepszy pokój w hotelu. Mamy go na dwie noce, z wyrazami wdzięczności od nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który właśnie w tej chwili przenosi stamtąd swoje rzeczy do Białego Domu. Mieszkał tam przez ostatnich kilka dni.

Podobał jej się ten pomysł, ale nie byłaby sobą, gdyby nie pozwoliła sobie na komentarz.

– Musisz być bardzo pewny siebie, skoro zgodziłeś się na to wszystko bez pytania mnie o zdanie.

Wyciągnął rękę, a ona wzięła go pod ramię.

– To prawda.

# OD AUTORA

W ramach przygotowań do tej powieści Elizabeth i ja odbyliśmy zapadającą w pamięć podróż na kanadyjską Wyspę Księcia Edwarda i trzy wyprawy do Waszyngtonu. Zrobiliśmy sobie także wycieczkę po wiejskich terenach północnej Wirginii.

Czas teraz oddzielić prawdę od fikcji.

Opisane w prologu spotkanie pomiędzy Ronaldem Reaganem i Janem Pawłem II faktycznie miało miejsce, zgadza się też data. Był to pierwszy raz, kiedy papież i prezydent rozmawiali w cztery oczy. Jediną ingerencją z mojej strony było przesunięcie w czasie incydentu z nikaraguańskim księdzem, do którego w rzeczywistości doszło dopiero w czerwcu 1982 roku. Większość dialogów w tym fragmencie trafnie oddaje poglądy i odczucia tych dwóch ludzi. Rozmawiali sami przez piętnaście minut i do dziś nikt nie wie, co sobie nawzajem powiedzieli. Jeśli chodzi o zawartą między nimi umowę w celu doprowadzenia do upadku Związku Radzieckiego, nie ma żadnych dowodów, że kiedykolwiek doszło do takiego porozumienia. Bez wątpienia jednak rozwinęła się między nimi cicha współpraca i każdy z nich na swój sposób wywierał nacisk na ZSRR (rozdział 30). Pomiedzy Waszyngtonem i Watykanem faktycznie krążyli specjaliści wysłannicy, przekazujący tajne wiadomości, ale operacja Forward Pass została w całości wymyślona przeze mnie. Dane o dziesiątkach tysięcy głowic jądrowych, które posiadały oba mocarstwa w 1982 roku (o czym mowa w prologu), są zgodne z prawdą.

Jednosilnikowy dwupłatowiec An-2 rzeczywiście posiada zdolność latania do tyłu w silnym wietrze przednim (rozdziały 1 i 5). Bajkał (rozdział 1) to największy zbiornik słodkiej wody na świecie, a każdej zimy jego zamrożona tafla zmienia się w autostradę dla samochodów i ciężarówek. Śmierć setek tysięcy żołnierzy podczas wielkiego syberyjskiego marszu oraz budowa na powierzchni jeziora linii kolejowej w trakcie wojny rosyjsko-japońskiej to fakty historyczne (rozdział 1). Obserwatorium występujące w rozdziale 10 istnieje naprawdę, choć w rzeczywistości znajduje się na zachodnim, a nie wschodnim brzegu Bajkału. Wioska Czajanije została stworzona przeze mnie, ale koźliki to autentyczne pojazdy używane przez rosyjskie wojsko (rozdział 21).

Inspirację dla zamku budowanego przez Cassiopeię (rozdział 4) stanowiły dwa rzeczywiste przedsięwzięcia tego typu. Jednym jest zamek Guédelon we Francji, drugie to średniowieczna twierdza w Ozark w stanie Arkansas. Oba te miejsca mają swoje strony internetowe, z których można dowiedzieć się więcej na ich temat.

Czarne łąnie były kiedyś na porządku dziennym na całym terenie Syberii. Opis w rozdziale 6 zaczerpnąłem ze źródeł historycznych. Opuszczone domy nie są rzadkością w Wirginii, choć posiadłość Brada Charona (rozdział 8) stanowi wytwór mojej wyobraźni.

Opisy różnych miejscowości pojawiających się w powieści, takich jak Annapolis, Germantown, St. Andrews, Eastport w stanie Maine i Long Beach w stanie Maryland, są zgodne z prawdą. Mandarin Oriental to wspaniały hotel w Waszyngtonie, do którego zarówno Stephanie, jak i ja sam lubimy od czasu do czasu wracać. W syberyjskim mieście Ułan Ude rzeczywiście stoi ogromna głowa Lenina (rozdział 22). Charlottetown i Stratford to piękne miasta na Wyspie Księcia Edwarda, a wzdłuż północnego wybrzeża wyspy istotnie rozciąga się park narodowy (rozdziały 37 i 38). Most Konfederacji łączący wyspę z resztą kraju (rozdział 40 i 45) jest także prawdziwy.

Jednostki specnazu (rozdział 11) istnieją do dziś, a informacje zamieszczone w rozdziale 19 są zgodne z prawdą. Nocny skok ze spadochronem z lecącego na dużej wysokości samolotu to wyczyn, którego

mógłby dokonać każdy agent specnazu. Skok opisany w rozdziale 37 został zaczerpnięty z autentycznych relacji. Sowieckie plany ataku z wykorzystaniem tych wyspecjalizowanych jednostek (rozdział 55) także są zgodne z prawdą historyczną.

Agenci KGB do mistrzostwa opanowali zarówno czynne, jak i bierne metody zdobywania informacji wywiadowczych. Macki tej organizacji sięgały do każdego zakątka świata, szczególnie do Stanów Zjednoczonych, które Związek Radziecki uważał za swojego „naczelnego wroga”. Lwia część sowieckiej działalności szpiegowskiej skupiała się na przygotowaniach do nieuniknionej konfrontacji z Ameryką (rozdział 10). Lasek (rozdział 49), gdzie miał swoją siedzibę budzący największą grozę Pierwszy Zarząd Główny, był niezwykle okazałym obiektem, a przytoczona w książce historia jego powstania i smutnego końca jest zgodna z rzeczywistością. Pracownicy KGB cieszyli się różnymi specjalnymi przywilejami, co izolowało ich od niedoli zwykłych obywateli sowieckich (rozdział 49). Pomaga to również zrozumieć, dlaczego potrafili z taką łatwością zadawać cierpienie wielu własnym rodakom. Firma Intourist (rozdział 45) istnieje do dziś, ale została sprywatyzowana i nie jest już oficjalnym państwowym biurem podróży.

Towarzystwo Cyncynatów to najstarsza męska organizacja założona w Ameryce (rozdziały 14 i 18). Jej początki oraz obawy związane z jej funkcjonowaniem, do czego wracam w różnych miejscach książki, są zgodne z prawdą. George Washington osobiście uratował towarzystwo przed likwidacją. Benjamin Tallmadge, pierwszy amerykański as wywiadu (rozdział 34), był jednym z członków założycieli, ale spisany przez niego dziennik, a także jego rola w opracowywaniu wojennych planów Stanów Zjednoczonych oraz w budowie sekretnego tunelu pod Białym Domem, to elementy dodane przeze mnie (rozdziały 14, 18, 20, 23, 34, 39 i 60). Anderson House to autentyczny budynek, który jest otwarty dla zwiedzających (rozdziały 18 i 20). Nadal służy jako państwowa siedziba główna towarzystwa. W piwnicy rzeczywiście mieści się biblioteka zawierająca jeden z najcenniejszych na świecie zbiorów dotyczących amerykańskiej wojny o niepodległość. Tamejsza sala balowa i oranżeria to prawdziwe i niezwykle imponujące miejsca, ale dyżurka na piętrze (rozdział 23) to fikcja literacka.

Z wyjątkiem Szkolnego mata wszystkie fakty na temat Jurija Andropowa zgadzają się z prawdą historyczną (rozdział 33). Andropow nie znosił Reagana i Jana Pawła II (rozdział 52). Jako przywódca ZSRR budził lęk całego świata zachodniego, ale na szczęście zmarł po zaledwie piętnastu miesiącach od objęcia stanowiska sekretarza generalnego. Dziesięcioletnia amerykańska dziewczynka wspomniana w rozdziale 33, która napisała do Andropowa list opublikowany w *Prawdzie*, nazywała się Samantha Smith. Wokół jej listu i odpowiedzi Andropowa rozpętał się w 1982 roku istny medialny cyrk. Andropow wykorzystał tę okazję, żeby okłamać Zachód, ogłaszając, że wstrzymuje wszystkie prace nad systemem obrony przeciwrakietowej (rozdział 33). Tego rodzaju kłamstwa, stanowiące część szeroko zakrojonej kampanii dezinformacyjnej i propagandowej, były w Związku Radzieckim na porządku dziennym. W 1983 roku Samantha odwiedziła ZSRR, ale Andropow był już wtedy zbyt chory, żeby ją powitać. Co smutne, zginęła w katastrofie lotniczej w 1985 roku.

Do powstania Inicjatywy Obrony Strategicznej (SDI) rzeczywiście doszło w sposób opisany w rozdziale 30. Historycy spierają się co do tego, ale niektórzy uważają, że głównym celem tego programu nie było wcale stworzenie tarczy przeciwrakietowej, ponieważ to wykraczało daleko poza możliwości ówczesnej technologii. Zamiast tego chodziło przede wszystkim o to, by przekonać Związek Radziecki, że coś takiego jest możliwe do zrealizowania w praktyce, i tym samym zmusić Sowieców do wydania miliardów rubli na prace badawcze, na które nie było ich stać (rozdział 30).

Taki był właśnie efekt końcowy, co przyspieszyło upadek całego reżimu.

Po drodze Stany Zjednoczone opracowały wiele innowacyjnych technologii, ale stworzenie pełnej tarczy antyrakietowej nadal pozostaje w sferze fantazji.

Szwadron piechoty rzecznej amerykańskiej marynarki wojennej należał do najbardziej udekorowanych

jednostek biorących udział w wojnie w Wietnamie i poniósł w niej duże straty. Dopiero od niedawna mogą w tych oddziałach służyć także kobiety (rozdział 53). George Shultz (rozdział 18) i Cyrus Vance (rozdział 9) to dwaj amerykańscy sekretarze stanu z czasów zimnej wojny. Jan Paweł II przebaczył swojemu niedoszłemu zabójcy i odwiedził go w więzieniu (rozdział 52). Do dziś uznaje się, że zamach na papieża w 1981 roku został najprawdopodobniej przeprowadzony na zlecenie ZSRR.

Tereny wokół Białego Domu, Pershing Park oraz Park Lafayette'a (rozdział 76) zostały przedstawione w sposób zgodny z rzeczywistością. Nixon faktycznie zakupił stół stojący w Sali Gabinetowej (rozdział 58). Spalenie Kapitolu i Białego Domu przez Brytyjczyków w 1814 roku to wydarzenia historyczne (rozdziały 59 i 70). Wojnę roku 1812 nazywano „wojną Madisona”, a Wielka Brytania nie chciała w niej walczyć (rozdział 39). W sierpniu 1814 roku amerykańskie wojska uciekły ze stolicy, nie stawiając oporu najeźdźcy. Wbrew legendzie tamtego dnia Dolley Madison nie uratowała słynnego portretu George'a Washingtona namalowanego przez Gilberta Stuarta, który wisi obecnie w National Portrait Gallery (rozdział 67). Tego wyczynu dokonał za nią ktoś inny.

Kościół Świętego Jana powstał w tym samym czasie, kiedy trwała odbudowa Białego Domu (rozdział 70). Natknąłem się na tę informację podczas zwiedzania kościoła (który jest otwarty dla wszystkich) i od razu stwierdziłem, że powiązanie ze sobą tych dwóch wydarzeń ma dużo sensu. Jedna ławka w kościele naprawdę jest zarezerwowana dla prezydenta (rozdział 70). Udało mi się też zejść do piwnicy kościoła (nie stanowi to części wycieczki), której wierny opis zawarłem w rozdziale 75 i 76 – z jednym wyjątkiem. Różnica widoczna na jednej ze ścian nie jest spowodowana innym kolorem cegieł. W rzeczywistości wyróżniający się fragment ściany jest z betonu; podobno znajdował się tam dawniej zsypany węgiel do opalania bojlera. Ten widok pobudził moją wyobraźnię, wymyśliłem więc tunel biegnący stamtąd do Białego Domu. Na przestrzeni swojej ponaddwustuletniej historii kościół okazjonalnie zamykano w celach remontowych, dokładnie tak, jak ma to miejsce w książce (rozdział 73 i 75).

Ważną rolę w opowieści odgrywa dwudziesta poprawka do amerykańskiej konstytucji oraz ustawa o sukcesji prezydenckiej z 1947 roku. Oba akty są pełne prawnych niedociągnięć i sprzeczności, przez co stwarzają problemy wymagające rozstrzygnięcia przez Sąd Najwyższy. Kongres jak dotąd nie zajął się nigdy ich poprawieniem (rozdziały 42 i 48). Fascynacja Sowietów tymi kwestiami to mój wkład do tej historii, ale były Związek Radziecki faktycznie analizował wszystkie aspekty funkcjonowania naszego społeczeństwa, nieustannie szukając słabych punktów. Dwudziesty stycznia przypadający w niedzielę zawsze traktowano inaczej i organizowano wówczas dwie ceremonie zaprzysiężenia (rozdział 58) – jedną w niedzielę, drugą w poniedziałek. Tak właśnie wyglądało to w przypadku drugiej inauguracji Ronalda Reagana w 1985 roku. Wyznaczony do przeżycia to rzeczywiście osoba, którą za każdym razem wybiera szef sztabu Białego Domu (rozdział 58). Prawdą jest także, że osoba znajdująca się najwyżej w linii sukcesji (według ustawy z 1947 roku), która przeżyła atak, przejmuje obowiązki prezydenta niezależnie od tego, czy to ona została wcześniej wyznaczona przez szefa sztabu (rozdziały 48 i 79). W przeciwieństwie do treści książki, w te rzadkie okazje, gdy dwudziesty stycznia wypada w niedzielę, zaprzysiężenie wiceprezydenta zawsze odbywa się osobno i w innym miejscu.

Bomby RA-115 do dziś pozostają tajemnicą. Nikt nigdy nie widział broni jądrowej rozmiaru walizki wyprodukowanej w Związku Radzieckim. Jednakże Stanisław Łuniew (rozdział 11), były sowiecki oficer wojskowy i najwyższy rangą funkcjonariusz wywiadu, który kiedykolwiek uciekł do Stanów Zjednoczonych, opisał je w swoich wspomnieniach pt. *Through the Eyes of the Enemy* (Oczami wroga). W latach dziewięćdziesiątych przed Kongresem odbyły się przesłuchania w sprawie istnienia tych bomb i opis ich konstrukcji zaczerpnąłem właśnie z tych przesłuchań (rozdział 68), od siebie dodając konieczność rozgrzania mechanizmu spustowego. W programie *60 Minutes* wyemitowano kiedyś materiał

na ten temat, który Sowietci próbowali zdyskredytować, rozsiewając nieprawdziwe informacje na temat jego twórców, do czego odniosłem się w rozdziale 11.

Stworzone przez KGB składy broni znajdowano w całej Europie i na Dalekim Wschodzie (rozdział 19), ale nigdy na terenie Stanów Zjednoczonych (rozdziały 66 i 68). Byli archiwiści rzeczywiście wielokrotnie okazywali się najlepszym źródłem informacji. Skarbnicą wiedzy na temat agencji jest książka *The Sword and the Shield: the Mitrokhin Archive and the Secret History of the KGB* (Tarcza i miecz: Archiwum Mitrochina i tajna historia KGB), wydana w 1999 roku (rozdział 11).

Pozostaje jeszcze kwestia Kanady. Amerykańscy ojcowie założyciele marzyli o tym, żeby uczynić z niej naszą czternastą kolonię. W Artykułach konfederacji zawarto sformułowania, które pozwoliłyby na jej automatyczne przyłączenie do nowo powstałego państwa (rozdział 39).

Ale tak się nigdy nie stało. Natomiast dwie próby dokonania inwazji zakończyły się niepowodzeniem.

Kanada po raz kolejny znalazła się na naszym celowniku na początku XX wieku. Plan inwazji z 1903 jest autentyczny (rozdziały 59, 61 i 62), a większość tekstu przytoczonego w rozdziale 61 jest zacytowana słowo w słowo. 21 maja 1916 roku War College przedstawił własny plan inwazji, a wszystkie przygotowania, które opisałem w rozdziale 62, naprawdę miały miejsce. W 1935 roku odbyły się wielkie manewry wojskowe na granicy z Kanadą. Podczas drugiej wojny światowej obawiano się konsekwencji ewentualnego zwycięstwa Niemiec nad Anglią, dlatego powstał 94-stronicowy dokument, w którym analizowano możliwości przejęcia kontroli nad terytorium Kanady. W 1977 roku ukazała się nawet na ten temat książka *The Defence of the undefended Border* (Obrona niestrzeżonej granicy) autorstwa Richarda A. Prestona. Oczywiście zaangażowanie Towarzystwa Cyncynatów w tworzenie tych wszystkich planów to fikcja literacka.

W przeciwieństwie do moich innych powieści ta dotyczy bardziej współczesnego okresu, czyli zimnej wojny. Pracując nad nią, poznałem wiele fascynujących sekretów z tamtych czasów, które dopiero teraz zaczynają w pełni wychodzić na światło dzienne. W swoim szczytowym momencie KGB zatrudniało ponad 700 000 ludzi rozsianych po dwudziestu kilku zarządach głównych.

*Tarcza i miecz Partii.*

Tak brzmiało motto tej organizacji.

Utworzenie zarówno CIA, jak i NSA stanowiło bezpośrednią reakcję na jej istnienie. Agenci KGB udawali dyplomatów, dziennikarzy, biznesmenów, wykładowców, nawet zwyczajnych obywateli. Potrafili przeniknąć dosłownie wszędzie. Nie było dla nich żadnych świętości. Swego czasu nawet stroiciela fortepianów gubernatora stanu Nowy Jork podejrzewano o bycie agentem KGB. We wzmiankowanych wyżej wspomnieniach Stanisław Łuniew napisał zdanie, które Stephanie Nelle wydało się na tyle celne, że nigdy go nie zapomniała.

To dobra przestroga. Pouczająca i przerażająca zarazem.

*Najlepszym szpiegiem będzie człowiek, którego wszyscy lubią, a nie tajemnicza postać czająca się w kącie.*



---

[1](#) Cytat za: Biblia Tysiąclecia, Rz 12, 18-20 (przyp. tłum.)

[2](#) Fragmenty konstytucji za: *Konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki*, tłum. Andrzej Pułło, Warszawa, Wydawnictwo Sejmowe, 2002 (przyp. tłum.)

[3](#) Jim Bowie – dziewiętnastowieczny amerykański pionier i bohater teksańskiej rewolucji (przyp. tłum.)